

F O N D A L E E



玉之城

M · I · A · S · T · O

J A D E I T U

# **MIASTO JADEITU**

**Tom pierwszy sagi o Zielonych Kościach**

**Fonda Lee**

**Przełożył Michał Jakuszewski**

**Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2023**

**Dla mojego brata**

## Rozdział 1

### Podwójne Szczęście

Dwaj kandydaci na złodziei jadeitu pocili się w kuchni restauracji Podwójne Szczęście. Okna w sali jadalnej otworzono i wieczorny wietrzyk docierający tu od brzegu chłodził gości, ale w kuchni były tylko dwa umieszczone pod sufitem wentylatory, które kręciły się przez cały dzień, lecz nie dawały zbyt wiele ulgi. Lato dopiero się zaczęło, ale całe miasto cuchnęło i lepiło się już niczym sterany kochanek.

Bero i Sampa mieli po szesnaście lat i po trzech tygodniach snucia planów postanowili, że dzisiejszy wieczór zmieni ich życie.

Bero miał na sobie ciemne spodnie kelnera i białą koszulę, nieprzyjemnie lepiącą mu się do pleców. Twarz miał ziemistą, a spękane wargi sztywne od skrywanych myśli. Postawił w zlewie tacę z brudnymi szklankami, po czym wytarł dłonie w ścierkę i pochylił się ku współnikowi, który polewał naczynia wodą z węża i ustawiał je na suszarce.

– Jest teraz sam – oznajmił cicho.

Sampa uniósł wzrok. Był Abukei – miał skórę barwy miedzi, gęste, sztywne włosy i lekko puciołowate policzki, upodabniające go nieco do cherubinka. Zamrugał szybko i skierował wzrok z powrotem na zlew.

– Za pięć minut schodzę ze zmiany.

– Musimy to zrobić teraz, keke – sprzeciwił się Bero. – Daj mi to teraz.

Sampa wytarł dłonie o koszulę, wyjął z kieszeni małą papierową kopertę i wsunął ją pośpiesznie w dłoń współnika, który schował ją pod fartuchem, wziął w ręce pustą tacę i opuścił kuchnię.

Poprosił barmana o rum z chili, limonką i lodem – ulubiony koktajl Shon Judonrhu. Zabrał tacę, postawił ją na pustym stoliku pod ścianą i zaczął udawać, że wyciera blat ściereczką. Dyskretnie wsypał do szklanki zawartość koperty – musowała przez chwilę, nim rozpuściła się w bursztynowym płynie.

Wyprostował się i ruszył do stolika w kącie. Shon Ju nadal siedział sam. Jego masywne cielsko z trudem mieściło się na małym krześle. Wcześniej wieczorem przysiadł się do niego Maik Kehn, ale ku wielkiej uldze chłopaka dołączył do brata, w boksie po drugiej stronie sali. Bero postawił szklankę przed Shonem.

– Na koszt firmy, Shon-jen.

Shon wziął koktajl w rękę i pokiwał sennie głową, nie unosząc wzroku. Był regularnym klientem Podwójnego Szczęścia i dużo pił. Łysina pośrodku jego głowy lśniła różowo w blasku lamp. Wzrok Bera stale wędrował ku trzem zielonym kolczykom w jego lewym uchu.

Oddalił się, by nikt nie zauważył, na co się gapi. To śmieszne, że taki korpulentny, postarzały pijak był zieloną kością. Co prawda, Shon nosił niewiele jadeitu, ale prędzej czy później ktoś mu go odbierze, być może razem z życiem. Czemu by nie ja? – pomyślał chłopak. Słusznie. Czemu by nie? Mógł być tylko bękartem dokera i nigdy nie uczył się sztuk walki w Świątynnej Szkole Wie Lona albo w Akademii Kaul Dushurona, ale był Kekończykiem z krwi i kości. Nie brakowało mu odwagi ani wiary w siebie, które pozwolą mu zostać kimś. A żeby zostać kimś, trzeba było mieć jadeit.

Minął braci Maik, którzy siedzieli razem w boksie w towarzystwie trzeciego młodego mężczyzny. Zwolnił nieco, by lepiej im się przyjrzeć. Maik Kehn i Maik Tar – to były prawdziwe zielone kości. Żyłaści mężczyźni mieli na palcach mnóstwo pierścieni z jadeitami, a do pasów przytroczyli sobie bojowe karambity z wyłożonymi jadeitem rękojeściami. Byli też dobrze ubrani – ciemne koszule, szyte na miarę jasnobrązowe marynarki, błyszczące czarne buty oraz czapki z daszkiem. Byli znanymi członkami klanu Bez Szczytów, kontrolującego większość dzielnic w tej części miasta. Jeden z nich zerknął na Bera.

Chłopak odwrócił się pośpiesznie i zajął sprzątaniem naczyń. Uwaga braci Maik była ostatnim, czego dziś pragnął. Powstrzymał się przed dotknięciem małokalibrowego pistoletu, który trzymał w kieszeni spodni ukrytej pod fartuchem. Cierpliwości. Od jutra nie będzie już musiał nosić

stroju kelnera. Nie będzie nikogo obsługiwał.

Sampa zakończył tymczasem wieczorną zmianę i był gotowy opuścić kuchnię. Zerknął pytająco na Bera, który skinął głową, potwierdzając, że zrobił, co trzeba. Sampa odsłonił drobne, białe zęby i przygryzł nimi dolną wargę.

– Naprawdę myślisz, że może nam się udać? – wyszeptał.

Bero pochylił się ku niemu.

– Trzymaj się, keke – wysyczał. – Już to robimy. Za późno, żeby się cofnąć. Musisz wykonać swoje zadanie.

– Wiem, keke, wiem.

Sampa obrzucił go kwaśnym, pełnym urazy spojrzeniem.

– Pomyśl o pieniądzach – poradził Bero i popchnął go lekko. – Ruszaj.

Sampa zerknął jeszcze nerwowo za siebie i popchnął drzwi kuchni. Bero łypnął na niego ze złością, po raz kolejny żałując, że musi mieć za współnika takiego pozbawionego wigoru mięczaka. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Tylko Abukei czystej krwi, odporny na jadeit, mógł wziąć w rękę klejnot i opuścić restaurację, nie przyciągając niczyjej uwagi.

Musiał się nieźle natrudzić, by namówić Sampę do współudziału. Podobnie jak wielu członków jego plemienia chłopak nurkował w rzece, spędzając weekendy na poszukiwaniu jadeitu spływającego z kopalń położonych daleko stąd. To było niebezpieczne – po ulewnych deszczach nurt często porywał pechowych nurków – a nawet gdy komuś się poszczęściło (Sampa przechwalał się, że kiedyś znalazł jadeit wielkości pięści), mogli go złapać. Wtedy, o ile miał szczęście, spędziłby trochę czasu w więzieniu, a jeśli go nie miał, w szpitalu.

Bero przekonywał go, że to zajęcie dla frajerów. Po co poszukiwać w wodzie surowego jadeitu, żeby sprzedać go czarnorynkowym pośrednikom, którzy następnie szlifowali go i przemycali z wyspy, płacąc poławiaczom tylko drobną część ceny, za jaką go sprzedawali? Dwóch sprytnych, odważnych chłopaków, takich jak oni, mogło poradzić sobie lepiej. Jeśli już ryzykować dla zdobycia jadeitu, niech to będzie poważne ryzyko. Oszlifowane, oprawione klejnoty były warte znacznie więcej.

Bero wrócił do sali i zajął się sprzątaniem naczyń oraz przygotowywaniem stolików. Co kilka minut zerkał na zegar. Będzie mógł pozbyć się Sampy później, kiedy już zdobędzie to, czego potrzebował.

\*\*\*

– Shon Ju mówi, że w Pasze były kłopoty. – Maik Kehn pochylił się, bo hałas panujący w restauracji zagłuszał jego słowa. – Grupki dzieciaków atakują tamtejszych przedsiębiorców.

– O jakich dzieciakach mówimy? – zapytał jego młodszy brat, Maik Tar, sięgając pałeczkami po chrupkie kotlecki z kalmarów, leżące na talerzu po drugiej stronie stołu.

– Palcach niskiej rangi. To młode zbiry, mające tylko jeden, góra dwa kawałki jadeitu.

– Nawet najmniej ważne palce są żołnierzami klanu – oznajmił z niezwykle zamyśloną miną trzeci z siedzących przy stoliku mężczyzn. – Wykonują rozkazy pięści, a pięści wykonują rozkazy rogu. – Pacha zawsze była sporną dzielnicą, ale jawne groźby pod adresem firm powiązanych z klanem Bez Szczytów były czymś stanowczo zbyt śmiałym, by mogły za nimi stać tylko nieostrożne zbiry. – Wygląda na to, że ktoś próbuje na nas naszczać.

Maikowie popatrzyli na niego, a potem zerknęli na siebie nawzajem.

– Co się dzieje, Hilo-jen? – zapytał Kehn. – Jesteś dziś wyraźnie nie w sosie.

– Naprawdę? – Kaul Hiloshudon oparł się o ścianę boksu i obrócił w palcach szklanek, machinalnie ocierając z niej wilgoć. Piwo szybko robiło się ciepłe. – Może to przez ten upał.

Kehn skinął na jednego z kelnerów, prosząc o ponowne napełnienie szklanek. Błady nastolatek spuszczał wzrok, obsługując ich. Na sekundę zatrzymał spojrzenie na Hilu, ale najwyraźniej go nie poznawał. Niewielu ludzi, którzy nie spotkali Kaul Hiloshudona osobiście, spodziewało się, że może być taki młody. Róg klanu Bez Szczytów, ustępujący pozycją tylko starszemu bratu, często pozostawał niezauważony, gdy pokazywał się publicznie. Czasami go to irytowało, ale niekiedy bywało użyteczne.

– Jest jeszcze jeden dziwny szczegół – odezwał się Kehn, gdy kelner się oddalił. – Od pewnego czasu nikt nie widział Trzypalcego Gee ani nie miał od niego żadnych wiadomości.

– Jak można stracić z oczu Trzypalcego Gee? – zdziwił się Tar. Czarnorynkowego szlifierza jadeitu łatwo było rozpoznać po wielkiej tuszy, podobnie jak po kalectwie.

– Może się wycofał.

Tar zachichotał.

– Z tego interesu można się wycofać tylko w jeden sposób.

– Kaul-jen, czy masz udany wieczór? – zabrzmiał nagle przy jego uchu czyjś głos. – Jesteś zadowolony?

Pan Une pojawił się przy ich stoliku, rozciągając usta w niespokojnym, troskliwym uśmiechu, jaki zawsze rezerwował dla nich.

– Jak zwykle wszystko jest wspaniale – zapewnił Hilo, uśmiechając się ironicznie w typowy dla niego sposób.

Właściciel Podwójnego Szczęścia splótł dłonie pokryte bliznami od pracy w kuchni i pokłonił głową na znak pokornego podziękowania. Pan Une był mężczyzną po sześćdziesiątce, łysym i dość tłustym restauratorem w trzecim pokoleniu. Jego dziadek założył ten mający już swoje lata, powszechnie szanowany lokal, a ojciec przeprowadził go przez lata wojny i późniejsze czasy. Podobnie jak jego protoplaści pan Une był lojalnym latarnikiem klanu Bez Szczytów. Gdy tylko Hilo odwiedzał lokal, właściciel zawsze osobiście składał mu wyrazy szacunku.

– Proszę, powiedz, czy mogę ci ofiarować coś jeszcze – dodał.

Gdy uspokojony pan Une się oddalił, Hilo znowu zrobił poważną minę.

– Wypytajcie ludzi. Musimy się dowiedzieć, co się stało z Gee.

– Co nas to obchodzi? – zapytał Kehn, nie impertynencko, a po prostu z ciekawości. – Kit z nim. Jednego szlifierza sprzedającego nasz jadeit mięczakom i cudzoziemcom mniej.

– To mnie niepokoi. – Hilo przesunął się do przodu, sięgając po ostatni chrupiący kotlecik z kalmarów. – Gdy psy zaczynają znikać z ulic, to nigdy nie wróży nic dobrego.

\*\*\*

Bero czuł narastającą nerwowość. Shon Ju wypił skażony koktajl niemal do końca. Specyfik ponoć nie miał smaku ani zapachu. Co jednak, jeśli Shon zdołał go wykryć dzięki wzmocnionym przez jadeit zmysłom? Albo jeśli nie zadziała tak, jak powinien, i Shon po prostu sobie pójdzie, zabierając swój jadeit poza jego zasięg? Albo jeśli Sampę opuści odwaga? Łyżka w rękach Bera drżała, gdy kładł ją na stoliku. Trzymaj się, Bądź mężczyzną.

Z fonografu ustawionego w rogu sali płynęły charczące dźwięki powolnej melodii z opery romantycznej, ledwie przebijające się przez gwar rozmów. Nad czerwonymi obrusami wisiały wonie papierosowego dymu i ostrych przypraw.

Shon Ju wstał nagle, chwielejąc się na nogach, powłókł się do toalety dla mężczyzn i zamknął za sobą drzwi.

Bero policzył powoli w myślach do dziesięciu, po czym podążył za nim, nie okazując zbytniego zainteresowania. Wsunął się do toalety, wetknął dłoń do kieszeni i zacisnął ją na rękojeści małego pistoletu. Następnie zamknął drzwi na zamek i oparł się o ścianę.

Z jednej z kabin dobiegały odgłosy przeciągającego się rzygania. Chłopak omal nie dostał mdłości od smrodu przesyconych alkoholem wymiocin. Rozległ się szum spuszczonej wody. Odgłosy torsji ucichły. Potem Bero usłyszał głuchy łoskot, jakby na kafelki podłogi zwały się coś ciężkiego. Następnie zapadła przyprawiająca o mdłości cisza. Bero postąpił kilka kroków naprzód. W uszach czuł uderzenia tętna. Uniósł pistolet do wysokości piersi.

Drzwi kabiny były otwarte. Masywne cielsko Shon Ju leżało na podłodze, kończyny miał bezładnie rozrzucone, klatka piersiowa unosiła się i opadała, a z ust dobiegało ciche chrapanie. Z jednego kącika ust spływała cienka strużka krwi.

W innej kabinie poruszyła się para brudnych, płóciennych butów. Sampa wysunął głowę z kryjówki i otworzył szeroko oczy na widok pistoletu. Podeszedł jednak do współnika i obaj wlepili spojrzenia w nieprzytomnego mężczyznę.

A niech to, udało się.

– Na co czekasz? – Bero skierował broń na Shona. – Ruszaj się! Zabierz je!

Sampa wszedł z niechęcią do środka przez uchylone drzwi kabiny. Głowa Shon Ju przechyliła się w lewo, a ucho z kolczykami dotykało ściany pomieszczenia. Chłopak skrzywił się jak ktoś,

kto ma dotknąć przewodu pod prądem, i ujął w dłonie głowę nieprzytomnego mężczyzny. Zatrzymał się na moment. Shon Ju się nie poruszył. Sampa przesunął jego głowę w drugą stronę i drżącymi palcami wyciągnął pierwszy kolczyk.

– Skorzystaj z tego.

Bero wręczył mu pustą papierową kopertę. Sampa wrzucił do niej kolczyk i zabrał się za uwalnianie drugiego. Bero przeniósł spojrzenie z jadeitu na Shon Ju, pistolet, na współnika i znowu na jadeit. Podszedł bliżej, trzymając broń kilka cali od skroni nieprzytomnego mężczyzny. Wydawała się niepokojąco mała i bezużyteczna. Broń człowieka z plebsu. Nieważne. W tym stanie Shon Ju nie zdoła użyć Stali ani Odbijania. Sampa zabierze jadeit, wyjdzie przez drzwi na zapleczu i nikt niczego nie zauważy. Bero dokończy swoją zmianę i spotka się z nim później. Przez wiele godzin nikt nie będzie niepokoił starego Shon Ju. Nieraz już zasypiał po pijanemu w toalecie.

– Pośpiesz się – rzucił Bero.

Sampa zdjął już dwa kolczyki i pracował nad trzecim. Jego palce wbiły się głęboko w mięsiste ucho mężczyzny.

– Nie mogę go wydostać.

– Wyrwij go! Po prostu wyrwij!

Chłopak mocno szarpnął ostatni, uparty kolczyk, wyrwijając go z ciała, którym obrósł. Shon Ju poruszył się nagle i otworzył oczy.

– O kurwa – mruknął Sampa.

Shon zawył na całe gardło i uniósł ręce. Wymachując nimi wokół głowy, zdołał podbić rękę Bera w tej samej chwili, w której ten nacisnął spust. Strzał ogłuszył wszystkich, ale kula wbiła się w sufit.

Sampa rzucił się w stronę drzwi, omal nie przewracając się o Shona. Zielona kość złapał chłopaka za nogę, wybałuszając przekrwione oczy z gniewu i dezorientacji. Sampa padł na podłogę i wyciągnął ręce przed siebie. Koperta spadła ze stukiem na podłogę i zatrzymała się między nogami Bera.

– Złodzieje!

Usta Shon Ju uformowały to słowo, ale Bero go nie usłyszał. W głowie dzwoniło mu od huku i czuł się jak w wyciszonym pomieszczeniu. Gapił się na grubasa o poczerwieniałej twarzy, który złapał przerażonego Abukei niczym demon wynurzający się z otchłani.

Chłopak schylił się po zgniecioną kopertę i pobiegł do drzwi.

Ale zapomniał, że je zamknął. Przez mgnienie oka ciągnął za nie w ogłupiałej panice, nim wreszcie otworzył zamek. Goście usłyszeli strzał i ku chłopakowi zwróciły się dziesiątki pogrążonych w szoku twarzy. Bero zachował wystarczającą przytomność umysłu, by schować pistolet i wskazać palcem na drzwi toalety.

– Tam jest złodziej jadeitu! – zawołał.

Rzucił się do ucieczki, klucząc między stolikami. Dwa skryte w kopercie kamienie wrzynały się boleśnie w jego zaciśniętą lewą dłoń. Twarze klientów zmieniały się w zamazane plamy. Bero wpadł na krzesło, przewrócił się, wstał i pobiegł dalej.

Twarz mu płonęła. Nagły przyływ ciepła i energii, nieprzypominający niczego, co czuł do tej pory, wypełnił go niczym prąd elektryczny. Dotarł do szerokich, krętych schodów prowadzących na pierwsze piętro. Goście wstawali i spoglądali przez balustradę, by zorientować się, co to za zamieszanie. Bero pokonał schody w kilku długich susach. Jego stopy ledwie dotykały podłogi. Przez tłum przebiegło westchnienie. Zaskoczenie chłopaka przeszło w ekstazę. Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. To na pewno była Lekkość.

Z jego oczu i uszu spadły zasłony. Słyszał zgrzytanie nóg krzesła i brzęk talerzy, czuł smak powietrza na języku. Wszystko było ostre jak brzytwa. Ktoś spróbował go złapać, ale był za wolny. Bero zrobił się bardzo szybki. Bez trudu ominął wyciągniętą rękę, wskoczył na stół i odbił się od blatu. Rozległy się krzyki oraz stukot tłuczonych naczyń. Miał przed sobą suwane drzwi prowadzące na patio z widokiem na port. Bez zastanowienia, nie zatrzymując się ani na chwilę, przebił się przez nie niczym szarżujący byk. Drewniana konstrukcja pękła i Bero z krzykiem szalonej ekstazy przedarł się na drugą stronę, zostawiając za sobą dziurę wielkości ludzkiego ciała. Nie było bólu. Czuł się niezwykły, niepowstrzymany.

Taka była moc jadeitu.

Nocne powietrze muskało jego skórę. Lśniąca powierzchnia wody wabiła go niepowstrzymanie. Przez jego żyły przepływały fale cudownego ciepła. Ocean wydawał mu się chłodny i odświeżający. Jego dotyk byłby bardzo przyjemny... Popędził w stronę balustrady.

Czyjeś ręce złapały go za ramiona i szarpnęły mocno. Bero zatrzymał się gwałtownie, jakby dotarł do końca łańcucha. Odwrócił się i zobaczył Maik Tara.



## Rozdział 2

### Róg klanu Bez Szczytów

Z drugiego końca sali dobiegł stłumiony odgłos wystrzału. Po sekundzie czy dwóch Hilo usłyszał w umyśle nagły krzyk niekontrolowanej aury jadeitu, drażniący jak dźwięk widelca drapiącego o szkło. Kehn i Tar odwrócili się na krzesłach, patrząc na nastoletniego kelnera, który nagle wypadł z toalety i popędził ku schodom.

– Tar – odezwał się Hilo, choć nie musiał tego robić, bo Maikowie już zaczęli działać.

Kehn skierował się do toalety, a Tar skoczył na szczyt schodów, złapał złodzieja na patio i cisnął go z powrotem do środka przez roztrzaskane drzwi. Chłopak spadł na podłogę i przesunął się aż pod same schody. Rozległo się chóralne westchnienie. Niektórzy goście krzyknęli.

Tar wrócił do lokalu tuż za złodziejem, pochylając się, by przejść przez dziurę wybitą w drzwiach. Nim chłopak zdążył się zerwać, uderzył go otwartą dłonią w głowę i obalił z powrotem na podłogę. Złodziej wydobył mały pistolet, ale Tar wyrwał mu go i wyrzucił do portu przez rozbite drzwi. Gdy zielona kość przycisnął kolanem jego przedramię i wyrwał mu kopertę ze zbielejącej dłoni, z ust nastolatka wyrwał się stłumiony przez dywan krzyk. Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że większość gapiów niczego nie zarejestrowała.

Tar wstał. Chłopak leżący u jego stóp jęczał i miotał się spazmatycznie, gdy energia jadeitu wypływała z jego ciała, zabierając ze sobą gniewne brzęczenie pod czaszką Hila. Młodszy Maik złapał kelnera za tył koszuli i powlókł go za sobą w dół po schodach. Podekscytowani goście, którzy wstali od stolików, schodzili mu z drogi. Kehn wyszedł z toalety, trzymając za ramię młodego Abukei, który jęczał cicho. Obalił chłopaka na kolana, a Tar położył złodzieja obok niego.

Shon Judonrhu włókł się chwiejnie za Kehnem, łapiąc się po drodze oparcie krzesła. Sprawiał wrażenie, że nie jest do końca pewny, gdzie się znajduje i jak tu trafił, był jednak wystarczająco przytomny, żeby się wściec. Wybałuszał pełne gniewu oczy i jedną ręką trzymał się za ucho.

– Złodzieje – wymamrotał i złapał za rękę karambita ukrytego w pochwie pod marynarką. – Wypruję im flaki.

Pan Une podbiegł do niego, machając rękami na znak sprzeciwu.

– Shon-jen, błagam, nie w sali! – Unosił przed sobą drżące dłonie.

Jego twarz o obwisłym podbródku pobladła z niedowierzania. Wystarczająco okropny był fakt, że Podwójne Szczęście okryło się hańbą, a w jego kuchni pracowali złodzieje jadeitu. Gdyby obu chłopaków zamordowano publicznie tuż obok stołu bufetowego z deserami, takiego pecha nie przetrwałby żaden lokal. Restaurator zerknął trwożnie na nóż w ręce Shon Ju, a następnie na braci Maik i na gapiących się na to wszystko przerażonych gości. Jego usta się poruszyły.

– Stało się coś strasznego, ale błagam, panowie...

– Panie Une – zawołał nadal siedzący w boksie Hilo. – Nie wiedziałem, że urządzasz teraz przedstawienia na żywo.

Hilo wstał i ruszył w stronę złodziei. Poczul dreszcz zrozumienia przebiegający przez tłum. Siedzący najbliżej goście zauważyli to, co przeoczył Bero, który przyjrzał się mu tylko pobieżnie. Widoczne pod szarą sportową marynarką dwa górne guziki koszuli barwy pastelowego błękitu były rozpięte i można było zauważyć szereg małych jadeitów wszczepionych w skórę na obojczykach, jak naszyjnik połączony z ciałem.

Pan Une podbiegł do Hila i szedł u jego boku, załamując ręce.

– Kaul-jen, strasznie mi wstyd, że zakłócono twój wieczór. Nie mam pojęcia, w jaki sposób te dwa nędzne złodziejzki zakradły się do mojej kuchni. Czy mogę ci jakoś to wynagrodzić? Co tylko zechcesz. Jedzenie i picie bez ograniczeń, oczywiście...

– Takie rzeczy się zdarzają – przerwał mu Hilo z rozbijającym uśmiechem.

To jednak nie uspokoiło restauratora. Pan Une skinął głową i otarł pot z czoła, ale sprawiał wrażenie jeszcze bardziej podenerwowanego.

– Schowaj karambit, wujku Ju. Pan Une i tak będzie miał mnóstwo roboty ze sprzątaniami. Nie potrzebuje dodatkowo krwi na dywanie. Jestem też pewien, że goście, którzy zapłacili za kola-

cję, nie chcieliby, żebyś popsuł im apetyt.

Shon Ju zawahał się. Hilo nazwał go wujkiem, okazując mu szacunek, mimo że spotkało go publiczne upokorzenie. To jednak nie wystarczyło, by go udobruchać. Machnął nożem w kierunku Bera i Sampy.

– To złodzieje jadeitu! Mam prawo odebrać im życie! Nikt mi nie powie, że jest inaczej!

Hilo wyciągnął rękę do Tara, który podał mu kopertę. Wysypał na otwartą dłoń dwa kamienie. Kehn podał mu trzeci jadeit. Hilo potrząsnął dłonią z zamysłą miną, poruszając trzema zielonymi kolczykami, i spojrzął z wyrzutem na Shona.

Gniew odpłynął z twarzy grubasa, ustępując miejsca trwodze. Shon Ju gapił się na swoje jadeity spoczywające na dłoni innego. Ich moc przepływała teraz przez Kaul Hila zamiast przez niego. Znieruchomiał. Nikt się nie odzywał. Zapadła pełna napięcia cisza. Shon odchrząknął z wysiłkiem.

– Kaul-jen, nie chciałem okazać braku szacunku twojej pozycji rogu – przemówił z poważaniem, jak do starszego wiekiem mężczyzny. – Oczywiście podporządkuję się wyrokowi klanu we wszystkich kwestiach dotyczących sprawiedliwości.

Hilo uśmiechnął się, ujął jego dłoń, wysypał na nią trzy klejnoty i delikatnie zacisnął palce Shona wokół nich.

– Obeszło się bez poważnych strat. Lubię, kiedy coś przypomina Kehnowi i Tarowi o potrzebie czujności. – Mrugnął do obu braci, jak uczeniak dzielący się żartem z kolegami, ale gdy spojrzął z powrotem na Shona Ju, z jego twarzy zniknęła wesołość. – Wujku, być może nadszedł czas, byś pił nieco mniej i lepiej uważał na jadeit.

Shon Ju zacisnął dłoń na odzyskanych jadeitach i uniósł ją do piersi ze spazmem ulgi. Jego gruba szyja poczerwieniała z oburzenia, ale nie powiedział już nic więcej. Nawet w stanie lekkiego oszołomienia nie był głupi i rozumiał, że udzielono mu ostrzeżenia. Po dzisiejszym kompromitującym incydencie pozostał zieloną kością wyłącznie dzięki łasce Kaul Hila. Wycofał się, pokornie pochylony.

Hilo odwrócił się i pomachał rękami do zafascynowanych gości.

– Przedstawienie skończone. Dziś mieliśmy rozrywkę za darmo. Zamówmy jeszcze trochę pysznego jedzenia pana Une i coś do picia na dodatek!

W sali rozległy się nerwowe śmiechy. Ludzie posłusznie wrócili do swych posiłków i towarzyszy, choć co chwila zerkali ukradkiem na Kaul Hila, braci Maik oraz dwóch pechowych nastolatków leżących na podłodze. Nieczęsto się zdarzało, by zwykli, nienoszący jadeitu obywatele byli świadkami tak dramatycznych demonstracji mocy zielonych kości. Wróć do domu i opowiedzą przyjaciom, co widzieli: złodziej biegł szybciej, niż to możliwe dla zwyczajnych ludzi, i przebił się z impetem przez drzwi, ale bracia Maik i tak byli znacznie szybsi i silniejsi od niego. A nawet oni wykonywali rozkazy młodego rogu.

Kehn i Tar podźwignęli złodziei z podłogi i wynieśli ich z lokalu.

Hilo ruszył za nimi. Pan Une biegł u jego boku, jękając się cicho.

– Po raz kolejny błagam o wybaczenie. Zawsze dokładnie sprawdzam personel. Nie mam pojęcia...

Hilo wsparł dłoń na jego ramieniu.

– To nie twoja wina. Nie zawsze da się przewidzieć, kto zarazi się jadeitową gorączką i zejdzie na złą drogę. Zajmiemy się tym na zewnątrz.

Pan Une pokiwał głową z ogromną ulgą. Wyglądał jak ktoś, kto omal nie wpadł pod autobus, a pojazd w ostatniej chwili go wyminął i rzucił mu do stóp walizkę pełną pieniędzy. Gdyby Hilo i bracia Maik nie byli tu dziś obecni, miałby na głowie dwóch zabitych chłopaków i rozjuszoną, pijaną zieloną kość. Dzięki publicznemu poparciu, jakiego udzielił im róg, Podwójne Szczęście uniknęło skażenia, a nawet zasłużyło na szacunek. Wieści o dzisiejszym incydencie się rozejdą i przez pewien czas w restauracji będzie się roiło od gości.

Hilo poczuł się lepiej na tę myśl. Podwójne Szczęście nie było jedynym lokalem w okolicy prowadzonym przez klan Bez Szczytów, było jednak jednym z największych i najbardziej zyskowych. Klan potrzebował pieniędzy z płaconej przez niego daniny. Co jeszcze ważniejsze, nie mogli sobie pozwolić na utratę twarzy, jaka wiązałaby się z upadkiem lokalu albo przejściem go przez kogoś innego. Gdyby lojalny latarnik, jakim był pan Une, stracił źródło utrzymania albo nawet

życie, odpowiedzialność spadłaby na Hila.

Ufał panu Une, ale ludzie byli tylko ludźmi. Opowiadali się po stronie silniejszych. Podwójne Szczęście mogło dziś należeć do klanu Bez Szczytów, ale gdyby doszło do najgorszego i właściciel byłby zmuszony przejść na stronę kogoś innego, by zachować rodzinny interes oraz głowę, Hilo raczej nie wątpił, że tak właśnie by postąpił. W końcu latarnicy byli nienoszącymi jadeitu cywilami. Należeli do klanu i mieli kluczowe znaczenie dla jego funkcjonowania, ale nie musieli za niego ginąć. Nie byli zielonymi kośćmi.

Zatrzymał się i wskazał na zniszczone drzwi.

– Przyślij mi rachunek za naprawę uszkodzeń. Pokryję go.

Pan Une zamrugał, splótnął dłonie i kilka razy dotknął nimi czoła w geście pełnej szacunku wdzięczności.

– Jesteś zbyt hojny, Kaul-jen. To nie będzie konieczne.

– Nie bądź głupi. – Hilo spojrzał na niego. – Powiedz mi, przyjacielu, czy miałeś tu ostatnio jakieś inne kłopoty?

Restaurator rozejrzał się nerwowo i znowu skierował wzrok na twarz Hila.

– Jakiego rodzaju kłopoty masz na myśli, Kaul-jen?

– Zielone kości z innych klanów – odparł Hilo. – Takiego rodzaju.

Po chwili wahania pan Une odprowadził róg klanu na bok.

– Nie tutaj, w Dzielnicy Portowej – odpowiedział ściszym głosem. – Ale przyjaciel mojego bratanka pracuje jako barman w Tancerce w dzielnicy Pacha i mówił, że ludzie z klanu Góra przychodzą tam prawie codziennie, siadają, gdzie tylko zechcą, i domagają się trunków za darmo. Mówią, że to część daniny, bo Pacha to teraz terytorium Góry. – Pan Une cofnął się nagle zaniepokojony wyrazem twarzy Hila. – To może być tylko gadanie, ale skoro pytasz...

Róg poklepał go po ramieniu.

– Nigdy nie kończy się na gadaniu. Zawiadom nas, jeśli dowiesz się czegoś więcej, dobra? Możesz przyjść, kiedy tylko zechcesz.

– Oczywiście. Z pewnością to zrobię, Kaul-Jen – odpowiedział pan Une, raz jeszcze dotykając czoła złączonymi dłońmi.

Hilo klepnął go ponownie na pożegnanie i opuścił restaurację.

\*\*\*

Zatrzymał się tuż za wyjściem, by wyciągnąć z kieszeni paczkę papierosów. Były espeńskie i sporo kosztowały, ale je lubił. Włożył jeden do ust i się rozejrzał.

– Może zróbmy to teraz – zasugerował.

Bracia Maik wywlekli nastolatków z Podwójnego Szczęścia i obalili ich na pokrytą żwirem skarpe nad wodą, w miejscu niewidocznym z ulicy. Pulchny Abukei cały czas płakał i stawiał opór, a drugi chłopak milczał i zachowywał się biernie. Bracia Maik zaczęli ich bić. Silne, rytmiczne ciosy w żebra, brzuch i plecy. Kolejne policzki, aż twarze chłopaków spuchły nie do poznania. Nie uderzali w ważne dla życia narządy, gardło ani w potylicę. Kehn i Tar byli dobrymi pięściami. Nie pozwalali sobie na nieostrożność ani nie dawali się ponieść żądzy krwi.

Hilo przyglądał się temu, paląc papierosa.

Zapadła już noc, ale nie było ciemno. Wszędzie na nabrzeżu paliły się światła, a reflektory jadących drogą samochodów zalewały ją impulsami bieli. Daleko od brzegu widziało się poruszające się powoli światła statków, rozmazane przez morską mgłę i napływające z miasta zanieczyszczenia. W ciepłym powietrzu unosiły się opary, słodka woń przejrzałych owoców oraz smród dziewięciuset tysięcy spoconych mieszkańców.

Hilo miał tylko dwadzieścia siedem lat, ale nawet on pamiętał czasy, gdy samochody i telewizja były w Janloonie nowością. Teraz widziało się je wszędzie, podobnie jak nowych przybyszy, nowe fabryki oraz sprzedawane na ulicach potrawy w cudzoziemskim stylu, jak klopsy w tempurze czy pikantne grudki serowe. Metropolia pękała w szwach i wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy, nawet zielone kości, pękają razem z nią. Hilo odnosił wrażenie, że wszystko dzieje się niebezpiecznie szybko, jakby miasto było nową, dobrze naoliwioną maszyną, w każdej chwili mogącą wyrwać się spod kontroli i zburzyć naturalny porządek rzeczy. Jak to możliwe, że dwóch nieudolnych, niewyszkolonych chłopaków z portu wpadło na pomysł, że ukradną jadeit zielonej kości,

i mało zabrakło, by im się udało?

Prawdę mówiąc, Shon Judonrhu zasłużył na utratę klejnotów. Hilo mógłby mu je odebrać. To byłaby usprawiedliwiona kara za nieudolność. Z pewnością kusiła go energia, która wypełniła jego żyły niczym płynne ciepło, gdy trzymał jadeity w dłoni.

Jednakże odebranie kilku klejnotów żalosemu starcowi byłoby brakiem szacunku. Tego właśnie nie rozumieli ci złodzieje. Jadeit sam w sobie nikogo nie czynił zieloną kością. By stać się jadeitowym wojownikiem, potrzebne były odpowiednia krew, wyszkolenie i klan. Zawsze tak było. Hilo cały czas musiał dbać o reputację własną i swego klanu. Shon Judonrhu był pijakiem, starym durniem i komicznym wrakiem zielonej kości, ale nadal pozostawał palcem klanu Bez Szczytów i róg musiał zareagować na atak na niego.

Odrzucił papierosa i zgasił go podeszwą buta.

– Wystarczy – oznajmił.

Kehn odsunął się natychmiast. Tar, bardziej pracowity z braci, wymierzył jeszcze obu chłopakom po kopniaku i zrobił to samo. Hilo przyjrzał się uważniej obu nastolatkom. Ten w koszuli kelnera wyglądał jak typowy Kekończyk – był chudy, miał długie ręce, ciemne włosy i oczy. Ledwie żył, choć trudno było ocenić, czy bardziej zaszkodziło mu bicie, czy skutki działania jadeitu, Pucółowaty Abukei łkał cicho.

– To nie był mój pomysł – błagał bez przerwy. – Nie mój, nie chciałem tego zrobić. Wypuście mnie, proszę, obiecuję, że to już się nigdy nie powtórzy, już nigdy, nigdy...

Hilo rozważył możliwość, że obaj młodzieńcy nie byli imbecylami, na jakich wyglądali, lecz szpiegami bądź wynajętymi przestępcami, pracującymi dla Góry albo dla któregoś z mniejszych klanów. Doszedł jednak do wniosku, że to mało prawdopodobne. Przykucnął przy Abukei i odgarnął włosy z jego wilgotnego czoła. Chłopak wzdrygnął się z przerażeniem. Hilo pokręcił głową.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał z westchnieniem.

– Powiedział, że możemy mnóstwo zarobić – wyjaśnił nastolatek płaczącym głosem, jakby czuł się skrzywdzony. – Mówił, że staruch jest tak zalany, że nic nie zauważy. Zapewniał, że zna dobrego pasera, który zapłaci najwyższą stawkę za szlifowany jadeit i nie będzie o nic pytał.

– A ty mu uwierzyłeś? Nikt, kto jest na tyle szalony, że próbuje ukraść jadeit zielonej pięści, nie zamierza go sprzedawać.

Hilo wstał. Dla Kekończyka nic się nie da zrobić. Młodzi, gniewni mężczyźni łatwo ulegali jadeitowej gorączce. Widywał to bardzo często. Biedni i naiwni, wypełnieni dziką energią oraz ambicją, złazili się do jadeitu jak mrówki do miodu. Uwielbiali romantycznych bohaterских bandytów, którzy zostali zielonymi kośćmi. W filmach i komiksach było pełno opowieści o ich czynach. Słyszeli, jak ludzie wypowiadają słowo „jen” z szacunkiem oraz odrobiną strachu, i pragnęli dla siebie tego samego. Nie miało znaczenia, że bez lat intensywnej nauki nie mieli szans zapanować nad mocami, jakie dawał jadeit. Wypalali się, wpadali w obłęd, niszczyli siebie i innych. To był beznadziejny przypadek.

Ale młody Abukei był po prostu głupi. Czy śmiertelnie? Z pewnością można było wybaczyć komuś takiemu jak on uczestnictwo w loterii, jakim było nurkowanie w rzece, ale poważne przestępstwo przeciwko klanowi to coś całkiem innego.

Chłopak przyspieszył potok wypływających mu z ust słów, jakby wyczuwał myśli Hila.

– Błagam, Kaul-jen, to było głupie. Wiem, że to było głupie. Przysięgam, że już nigdy tego nie zrobię. Zawsze brałem jadeit tylko z rzeki. Gdyby ten nowy szlifierz nie zastąpił Gee, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zrobić coś innego. To stało się dla mnie nauczka, przysięgam na grób babci, że już nigdy nie dotknę jadeitu, obiecuję...

– Co przed chwilą powiedziałeś?

Hilo przykucnął i pochylił się nad chłopakiem, przyglądając mu się z uwagą.

Nastolatek uniósł pełne strachu i zdziwienia spojrzenie.

– Co... co powiedziałem...

– O tym nowym szlifierzu – uściślił Hilo.

Chłopak skulił się trwożnie pod nieustępliwym spojrzeniem rogu.

– Zawsze... wszystko, co znalazłem w rzece, sprzedawałem zawsze Trzypalcemu Gee. Płacił od ręki gotówką za nieobrobiony jadeit. Niedużo, ale całkiem nieźle. W tej części miasta Gee

był szlifierzem, z którym większość z nas...

– Wiem, kim on jest – przerwał mu z niecierpliwością Hilo. – Co się z nim stało?

Oczy chłopaka przybrały chytry, pełen nadziei wyraz, gdy tylko uświadomił sobie, że wie coś, o czym nie wie róg klanu Bez Szczytów.

– Gee zniknął. Nowy szlifierz pojawił się przed miesiącem i powiedział, że kupi od nas tyle jadeitu, ile zdołamy mu przynieść, surowego albo szlifowanego, bez żadnych pytań. Zaproponował współpracę Trzypalcemu Gee, ale on nie chciał dzielić się zyskami z przybyszem. Dlatego nowy go zabił. – Chłopak wytarł rękawem krew i smarki z nosa. – Mówią, że udusił go sznurem telefonicznym, a potem uciął resztę jego palców i rozesłał je innym szlifierzom w mieście jako ostrzeżenie. Teraz wszystko, co wyłowimy z rzeki, trafia do niego, ale płaci dwa razy mniej niż Gee. Dlatego chciałem skończyć z nurkowaniem...

– Widziałeś go? – zapytał Hilo.

Chłopak zawahał się, niepewny, która odpowiedź może go ocalić, a która będzie go kosztowała życie.

– T... tak. Tylko raz.

Hilo wymienił spojrzenia ze swoimi pięściami. Młody Abukei rozwiązał dla nich jedną irytującą zagadkę, lecz jednocześnie postawił przed nimi następną. Trzypalcy Gee mógł być czarnorynkowym szlifierzem jadeitu, ale był też kimś, kogo znali, bezpańskim psem z podwórka Hila, który okradał jego śmietnik, ale nie sprawiał tylu kłopotów, by warto go było zabić. Dopóki ograniczał się do kupowania surowego jadeitu od Abukei, klany pozwalały mu na drobny przemyt w zamian za to, że od czasu do czasu ostrzegał je przed grubszymi rybami. Któż ośmieliłby się rzucić wyzwanie autorytetowi klanu Bez Szczytów, zabijając go?

Ponownie spojrzął na chłopaka.

– Potrafisz go opisać? Tego nowego szlifierza?

Znowu chwila wahania.

– Tak... myślę, że tak.

Gdy młody Abukei skończył opis, Hilo wstał.

– Sprowadź samochód – rozkazał Kehnowi. – Zabieramy tych chłopaków na spotkanie z filarem.

## Rozdział 3

### Bezsenne filar

Kaul Lanshinwan nie mógł zasnąć. Kiedyś sypiał dobrze, ale od trzech miesięcy przynajmniej raz na tydzień zdarzały mu się bezsenne noce. Okna jego sypialni, ułożonej na piętrze głównego domu w rezydencji Kaulów, wychodziły na wschód. Pomieszczenie robiło na nim wrażenie odrażająco wielkiego i pustego, podobnie jak jego łóżko. Były noce, gdy wyglądał przez okna aż do chwili, gdy nad miejskim horyzontem pojawił się bledy cień jutrzeńki. Próbował medytacji, by uspokoić się przed pójściem spać. Pił herbatkę ziołową i brał słone kąpiele. Zapewne powinien poprosić o poradę. Być może lekarz będący zieloną kością potrafiłby ustalić, jakiego rodzaju nierównowaga energii dokucza filarowi, odblokować przepływ i przepisać dietę, która przywróci wszystko do normy.

Opierał się jednak tej myśli. Miał dopiero trzydzieści pięć lat. Powinien być w pełni zdrowy i u szczytu mocy. Dlatego dziadek wreszcie zgodził się przekazać mu kierownictwo nad klanem, a reszta członków zaakceptowała fakt, że władza przeszła z rąk legendarnego, ale starego i schorowanego Kaul Seningtuna do jego wnuka. Wieści, że filar klanu ma kłopoty ze zdrowiem, nie zrobiłyby dobrego wrażenia. Nawet coś równie banalnego jak bezsenność mogło się stać przyczyną spekulacji. Czy był niezrównoważony? Nie mógł nosić jadeitu? Gdyby uznano go za słabego, skutki mogłyby się okazać fatalne.

Wstał, wciągnął koszulę i zszedł na dół. Następnie włożył buty i wyszedł do ogrodu. Na dworze natychmiast poczuł się lepiej. Ich rodzinna posiadłość znajdowała się w samym sercu Janlonu. Z okien na górze widział czerwony dach gmachu Rady Książęcej oraz stożkowaty tarasowy szczyt Pałacu Triumfalnego. Budynki i ogrody posiadłości zajmowały jednak przestrzeń pięciu akrów i otaczały je wysokie ceglane mury, zapewniające osłonę przed zgiełkiem miasta. Dla zielonej kości nie było tu jednak spokojnie. Lan słyszał szelest myszy poruszającej się w trawie, bzyczenie małego owada przy stawie i chrzęst kamyków ścieżki pod butami. Jednakże wszechobecny szum miasta ledwie tu docierał. Ogród był oazą spokoju. Gdy Lan zostawał sam na tym skrawku natury, daleko od przyprawiającej o zawrót głowy aury jadeitów noszonych przez innych, mógł się choć na chwilę uspokoić.

Usiadł na kamiennej ławce i zamknął oczy. Wsłuchał się w rytm własnego serca i oddechu, w miarowy szum krwi w żyłach, i zaczął nieśpieszną eksplorację. Podążał za łopotem skrzydeł nietoperza, który zakręcał to w tę, to we w tę, łapiąc owady w locie. W wietrzyku docierającym do niego od małego stawu wyczuł zapachy kwiatów pomarańczy, magnolii i wiciokrzewu. Poszukał w trawie myszy, którą wyczuł przedtem, i znalazł ją – gorąca plamka życia, rysująca się ostro i wyraźnie na tle ciemnej murawy.

Podczas nauki w Akademii Kaul Dushurona spędził kiedyś noc zamknięty w ogromnej podziemnej komorze. Panowała w niej całkowita ciemność i miał tam za towarzystwo jedynie trzy szczury. To był jeden z testów Postrzegania, którym poddawano nowicjuszy mających czternaście lat. Obmacywał na oślep zimne kamienne ściany, nasłuchując ledwie słyszalnego zgrzytu pazurków, wyszukiwał ciepło ciał niczym wąż, wiedząc, że egzamin skończy się dopiero wtedy, gdy złapie trzy ostrozębe gryzonie i zabije je gołymi rękami. To wspomnienie przyprawiło go o ból pleców.

Poczuł lekkie poruszenie na granicy świadomości. Zbliżał się Doru. Szedł ku niemu przez ogród. Niewidoczna, lecz łatwo wyczuwalna aura jego jadeitów przecinała noc niczym wąska wiązka czerwonego światła penetrująca tumany dymu.

Lan wypuścił powietrze z płuc i otworzył oczy. Rozciągnął usta w krzywym uśmiešku. Jeśli Doru przyłapie go na tym, że uganiania się nocą za myszami po ogrodzie, będzie to oznaką niezrównoważenia znacznie poważniejszą niż bezsenność. Poirytowało go, że zmacono jego samotność, i nie wstał, by przywitać przybysza.

– Siedzisz tu sam? – zapytał Yun Doru cichym, ochryplym głosem, mającym zapach lekarstwa i brzęmiącym jak żwir podrzucany na patelni. – Czy coś się stało, Lan-se?

Lan zmarszczył brwi, słysząc, że prognostyk zwraca się do niego w ten sposób. Tego przyrostka używało się w rozmowie z dziećmi bądź starcami. Zwracanie się w ten sposób do filaru świadczyło o lekkiej niesubordynacji. Lan wiedział jednak, że Doru nie chciał go obrazić. Od starych nawyków trudno się było uwolnić. Prognostyk znał go od najmłodszych lat, służył klanowi i Kaulom, odkąd filar sięgał pamięcią. Teraz jednak powinien się stać jego strategiem i zaufanym doradcą, a nie stróżem i przyszywanym wujkiem.

– Nic takiego. – Lan wreszcie wstał i zwrócił się w stronę prognostyka. – Lubię posiedzieć nocą w ogrodzie. Czasami dobrze jest pobyć sam na sam z myślami.

To miała być lekka wymówka za to, że Doru zawraca mu głowę.

Prognostyk najwyraźniej tego nie zauważył.

– Z pewnością masz mnóstwo zmartwień – zgodził się. Był chudym jak patyk mężczyzną o jajowatej głowie i sterczącym podbródku, nosił wełniane swetry i grube, ciemne blezery, nawet podczas najgorętszych letnich upałów. Szttywne maniery upodabniały go do uczonego, ale to wrażenie było całkowicie mylne. Przed dziesięcioleciem Doru był człowiekiem z Góry, jednym z nieposkromionych buntowników dowodzonych przez Kaul Seningtuna i Ayt Yugontina. To oni stawiali opór cudzoziemcom okupującym Kekon i w końcu przegnali ich z wyspy. Doru spędził ostatni rok wojny wielu narodów w szotarskim więzieniu. Opowiadano, że jego niegustowny strój ukrywa fakt, że wycięto mu kawałki ciała z rąk i nóg, a także pozbawiono obu jąder.

– KSJ ma pod koniec miesiąca podjąć decyzję w sprawie propozycji eksportu – kontynuował Doru. – Zdecydowałeś już, czy poprosisz tę propozycję w ostatecznym głosowaniu?

Debata o tym, czy zwiększyć eksport jadeitu do cudzoziemskich mocarstw – to znaczy Espenii i jej sojuszników – toczyła się w Kekońskim Sojuszu Jadeitowym przez całą wiosnę.

– Wiesz, co sądzę na ten temat – odparł Lan.

– Rozmawiałeś o tym z Kaul-jenem?

Doru, rzecz jasna, miał na myśli Kaul Seningtuna. Trzy młodsze zielone kości w rodzinie nie miały znaczenia. Dla niego istniał tylko jeden Kaul-jen.

– Nie ma sensu zawracać mu głowy bez potrzeby – odpowiedział Lan, skrywając irytację. Doru mógł nie być jedynym członkiem klanu, który oczekiwał, że Lan będzie się konsultował z dziadkiem we wszystkich ważnych kwestiach, ale to nie mogło trwać dłużej. Już najwyższy czas, by podkreślił, że to on jest filarem klanu.

– Espeńczycy domagają się zbyt wiele. Jeśli będziemy im ustępować za każdym razem, gdy czegoś od nas zażądata, nie minie wiele czasu, nim wszystkie klejnoty na wyspie znajdą się w skarbcach ich armii.

Prognostyk milczał przez chwilę. Wreszcie pochylił głowę.

– Skoro tak mówisz.

Lanowi nieoczekiwanie nasunęła się pewna myśl.

Doru się starzeje. Robi się za stary, żeby się zmienić. Był prognostykiem dziadka i zawsze będzie się za takiego uważał. Wkrótce będę musiał zastąpić go kimś innym.

Szybko odwrócił się od tego nieprzyjemnego tematu. Wyostrzony zmysł Postrzegania nie pozwalał zielonym kościom czytać w myślach, ale ci, którzy opanowali tę sztukę w maksymalnym możliwym stopniu, zauważali wskazówki odsłaniające uczucia i intencje. Jediną dostrzegalną zieleń noszoną przez Doru były skromne pierścienie na palcach. Lan wiedział jednak, że prognostyk ukrywa większość swego jadeitu pod ubraniem i jest bardziej biegły, niż mogłoby się zdawać. Mógł Postrzec, że młody filar nagle zmienił zdanie, nawet jeśli jego twarz niczego nie zdradzała.

Postanowił, że ukryje możliwy błąd jako przejaw zniecierpliwienia.

– Nie przyszedłeś tu tylko po to, by zawracać mi głowę sprawami KSJ. O co jeszcze ci chodzi?

Światła przy bramie włączyły się nagle, zalewając front domu oraz długi podjazd żółtym blaskiem.

– Przyjechał Hilo – oznajmił Doru. – Chce się z tobą natychmiast zobaczyć.

Lan ruszył w stronę pojazdu brata. Wielki, biały sedan łatwo było rozpoznać. Jeden z zastępców Hila, Maik Kehn, opierał się o drzwi duchesse priza po stronie kierowcy, spoglądając na zegarek. Maik Tar stał nieco z boku, razem ze swoim szefem. U ich stóp widniały dwie sylwetki. Gdy filar podszedł bliżej, zorientował się, że to nastoletni chłopcy, którzy klęczeli pochyleni, doty-

kając czołami asfaltu.

– Cieszę się, że udało mi się ciebie złapać, nim zasnęłaś – zażartował Hilo.

Młodszy Kaul często krążył po ulicach aż do świtu. Twierdził, że to część obowiązków rogu, ponieważ groźba jego obecności hamuje zapędy złoczyńców, gotowych grasować po zmierzchu na terytorium klanu. Nikt nie mógłby powiedzieć, że Kaul Hilo nie wykonuje gorliwie swych obowiązków, zwłaszcza gdy dotyczyły one jedzenia i picia, atrakcyjnych dziewcząt i głośnej muzyki, barów, jaskiń hazardu, a od czasu do czasu również wybuchów przemocy.

Lan zignorował zaczepkę brata i spojrzał na chłopaków. Pobito ich ciężko, nim przywieziono ich tutaj i rzucono na podjazd.

– O co tu chodzi?

– Ten stary moczymorda Shon Ju omal nie pozwolił, by ci dwaj durnie ukradli mu jego skromny zapas jadeitu – odparł Hilo. – Okazało się jednak... – trącił stopą chłopaka o bardziej masywnej budowie – ...że jeden z nich ma dla nas ciekawe informacje. Pomyślałem sobie, że powinienś usłyszeć je osobiście. No dobra, chłopcze, powiedz filarowi, co wiesz.

Nastolatek spojrzał w górę. Oczy miał podbite, wargę rozszczępioną, a nos zatkany krwią. Niewyraźnym głosem opowiedział Lanowi o nagłym przejęciu interesu Trzypalcego Gee, zajmującego się handlem surowym jadeitem.

– Nie wiem, jak się nazywa ten nowy facet. Mówimy na niego po prostu „Szlifierz”.

– To Abukei? – zapytał Lan.

– Nie. Cudzoziemski kamiennooki. Nosi płaszcz i kwadratowy kapelusz w ygutańskim stylu.

Zerknął nerwowo na towarzysza, który poruszył się z jękiem.

– Opowiedz, jak wygląda – zażądał Hilo.

– Widziałem go tylko raz, przez kilka minut – bronił się chłopak, ponownie przestraszony ostrym tonem rogu. – Jest niski i dość tęgi. Ma wąsy i dzioby na twarzy. Ubiera się jak Ygutańczyk i nosi pistolet, ale mówi po kekońsku bez akcentu.

– Na jakim terytorium pracuje?

Młody Abukei pocił się intensywnie. Skierował na Lana błagalne spojrzenie podbitych oczu.

– N... nie jestem pewien. Większa część Kuźni, kawałki Papai i Dzielnicy Portowej. Być może również Pralnia i Miasto Rybaków. – Znowu dotknął czołem asfaltu i jego głos zrobił się niewyraźny. – Kaul-jen. Filarze. Jestem dla ciebie niczym, absolutnie niczym. Tylko durnym chłopakiem, który popełnił głupi błąd. Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

Drugi nastolatek odzyskał już przytomność. Dyszał ciężko, ale się nie odzywał.

– Spójrz na mnie – rozkazał Lan.

Chłopak uniósł głowę. Białka oczu miał czerwone od popękanych naczyń, a twarz zapadniętą i udręczoną. Nie przypominał już nastolatka, lecz kogoś, kto posmakował jadeitu w niewłaściwy sposób i to go zgubiło. Z pewnością cierpiał straszliwy ból, lecz nadal gorzał w nim gniew, gorący niczym płomień gazu.

Lan nieco litował się nad nim. Chłopak był ofiarą dezorientujących czasów. Kiedyś prawa natury były proste. Abukei byli odporni na jadeit. Większość cudzoziemców była na niego zbyt wrażliwa. Nawet jeśli Szotarzyk albo Espeńczyk nauczył się panować nad fizycznymi i mentalnymi mocami, bardzo rzadko udawało mu się uniknąć swędziawki. Tylko Kekończycy, odrębna rasa, która uformowała się w ciągu stuleci mieszania krwi Abukei i Tuni, starożytnych mieszkańców wyspy, posiadali naturalną zdolność panowania nad jadeitem. Ale nawet oni potrzebowali wieloletnich przygotowań.

Niestety, ostatnio pojawiły się przesadne opowieści o cudzoziemcach, którzy ponoć sami nauczyli się panować nad jadeitem. To podsuwało młodym, zubożałym Kekończykom niebezpieczne pomysły. Myśleli, że wystarczy im trochę poćwiczyć walki uliczne i być może odnaleźć odpowiednie chemiczne wspomaganie.

– Jadeit to śmierć dla ludzi takich jak ty – oznajmił mu Lan. – Kradniecie go, przemycacie albo nosicie, ale na koniec wszyscy karmicie robaki. – Przeszył nastolatka śmiertelnie groźnym spojrzeniem. – Wynoście się z mojej posiadłości i nie pozwólcie, żeby mój brat jeszcze was kiedyś zobaczył.



Młody Abukei wstał. Nawet drugi chłopak zdołał się podnieść szybciej, niż Lan się tego spodziewał. Obaj pokuśtykali ku wolności.

– Każ strażnikowi otworzyć bramę – polecił Maik Kehnowi Kaul Lanshinwan.

Kehn zerknął na Hila, pytając o zgodę, zanim wykonał rozkaz. Ten drobny gest poirytował Lana. Obaj bracia Maik byli ślepo lojalni wobec jego młodszego brata. Przyglądali się teraz uciekającym chłopakom, starając się zapamiętać ich twarze.

Z oblicza Hila zniknął uśmiech. Bez niego wyglądał na swoje lata, nie wydawał się już tylko niewiele starszy od nastolatków, których kazał skatować.

– Ja darowałbym życie młodemu Abukei – oznajmił – ale z tym drugim popełniłeś błąd. On wróci. Wyczytałem to z jego twarzy. Będę musiał zabić go później.

Mógł mieć rację. Istniały dwa rodzaje złodziei jadeitu. Większość pragnęła tego, co mogły im dać klejnoty – statusu, zysków, władzy nad innymi – ale dla niektórych pożądanie samego kamienia przeradzało się w zgniliznę toczącą mózg, obsesję, która mogła jedynie rosnąć. Niemniej Hilo mógł nie mieć problemów ze skazaniem kogoś na śmierć za pierwsze wykroczenie, ale Lan nie czuł się gotowy powiedzieć, że nie ma szans, by chłopak odnalazł jakiś inny cel dla swej nadmiernej ambicji.

– Udzieliłeś im nauki – stwierdził. – Powinni mieć szansę z niej skorzystać. To tylko głupie dzieciaki.

– Kiedy byłem dzieciakiem, głupoty nie uważano tu za usprawiedliwienie.

Lan przyjrzał się bratu. Hilo wsadził ręce w kieszenie, łokcie sterczały mu na zewnątrz, a ramiona pochylał w geście niedbałej beczelności. Nadal nim jesteś, pomyślał bez wyrozumiałości. Róg był drugim człowiekiem w klanie, równym pozycją prognostykowi. Powinien być doświadczonym wojownikiem. Hilo był najmłodszym rogiem, odkąd ludzie sięgali pamięcią, ale nikt nie kwestionował jego autorytetu – albo dlatego, że był Kauliem i dobrze nosił jadeit, albo dlatego, że gdy półtora roku temu stary róg przeszedł w stan spoczynku, dziadek zaakceptował mianowanie Hila ze wzruszeniem ramion.

– Na cóż innego mógłby się przydać? – skwitował Kaul Sen.

Lan zmienił temat.

– Myślisz, że ten nowy szlifierz to Tem Ben.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu.

– Kim innym mógłby być? – odpowiedział pytaniem Hilo.

Temowie byli członkami wielkiego i potężnego klanu Góra. Byli rodziną dumnych zielonych kości, ale Tem Ben okazał się kamiennookim. To się czasami zdarzało, recesywne geny sprawiały, że rodziło się kekońskie dziecko niewrażliwe na jadeit jak Abukei czystej krwi. Tem Ben był brutalnym zbiorem i rozczarowaniem dla swego rodu. Przed laty rodzina wysłała go na pustkowie północnego Ygutanu, żeby uczył się tam i pracował. Jego nagły powrót na Kekon i gwałtowne wejście w handel nieszlifowanym jadeitem miały sens. Tylko odporny na jadeit kamiennooki mógł kupować, magazynować, szlifować i sprzedawać czarnorynkowe klejnoty. Jednakże implikacje tego faktu były niepokojące.

– Nie wróciliby bez zgody rodziny – skonkludował Hilo. – A Temowie nie zrobiliby niczego bez akceptacji Ayt Mady. – Odchrząknął i splunął w krzaki. Ayt Mada była adoptowaną córką wielkiego Ayt Yugontina i została po nim filarem klanu Góra. – Stawiam cały swój jadeit na to, że ta chciwa suka nie tylko o tym wie, lecz sama wszystko zaaranżowała.

Doru cały czas trzymał się na pewien dystans, ale teraz podszedł bliżej niczym zjawą, by przyłączyć się do rozmowy.

– Filar klanu Góra miałyby się zajmować czarnorynkowymi szlifierzami? – zapytał, nie kryjąc sceptycyzmu. – Nie powinniśmy wyciągać takich wniosków tylko na podstawie słów wystraszonego chłopaka.

Hilo obrzucił go spojrzeniem pełnym ledwie skrywanej pogardy.

– Shon Ju może być zapijaczonym durniem, ale pilnie słucha wszystkich wieści i wie, że naszym latarnikom w Pasze coraz bardziej utrudnia się życie. Właściciel Podwójnego Szczęścia powiedział mi to samo i dodał, że stoją za tym palce Góry. Jeśli Góra ma zamiar wypchnąć nas z Pacy, to czy tak trudno jest uwierzyć w to, że jej filar postarał się, by ktoś, kogo kontroluje, pracował w naszych dzielnicach i zdobywał dla niej informacje? Postawiła na to, że zostawimy

nowego szlifierza w spokoju, by nie antagonizować Temów z powodu drobnego przemytu.

– Wyciągasz przedwczesne wnioski, Hilo-se – sprzeciwił się Doru. – Nazwiska Ayt i Kaul już dawno się połączyły ze sobą. Góra nie wystąpi przeciwko nam, dopóki twój dziadek żyje.

– Mówię, co wiem. – Hilo zaczął spacerować przed dwoma starszymi mężczyznami. Lan wyczuwał wypełniającą brata ekscytację. Jadeitowa aura Hila była jaskrawym płynem, kontrastującym z gęstym dymem Doru. – Dziadek i Ayt Yugontin szanowali się nawzajem, nawet gdy byli rywalami, ale te czasy już minęły. Stary Yu nie żyje i klanem kieruje teraz Ayt Mada.

Lan spojrział na wielki, wspaniały dom Kaulów, zastanawiając się nad słowami brata.

– Klan Bez Szczytów od lat rósł szybciej niż Góra – zauważył. – Wiedzą, że jesteśmy jedynym klanem, który może im zagrozić.

Hilo zatrzymał się i ujął brata za ramię.

– Pozwól mi zabrać pięć pięści i wybrać się do Pachy. Ayt nas testuje, wysyła swoje najsłabsze palce, by wywoływały kłopoty. Chce sprawdzić, jak zareagujemy. Utniemy kilka z nich i odeślemy jej w workach na ciała. To będzie sygnał, że lepiej z nami nie zaczynać.

Doru wykrzywił wąskie usta, jakby ugryzł limonkę. Odwrócił głowę i przeszył młodego Kaula pełnym wzgardliwego niedowierzania spojrzeniem.

– Czy zabili kogoś z naszych ludzi, czy to zielone kości, czy latarników? Chcesz powiedzieć, że powinniśmy pierwsi przelać krew? Zerwać pokój? Od rogu oczekuje się pewnej gwałtowności, ale taka dziecinna przesada źle służy naszemu filarowi.

Aura Hila rozjarzyła się nagle niczym płomień muskany przez wiatr. Lan poczuł, jak uderzyła weń falą żaru.

– Filar sam może zdecydować, kto dobrze mu służy – odparł po mgnieniu oka róg niespodziewanie spokojnym głosem.

– Przestańcie – warknął na obu Lan. – Mamy wspólnie podjąć decyzję, a nie kłócić się o to, kto ma dłuższego.

– Lan-se, to raczej wygląda na działania garstki nadgorliwych, skłonnych do zwady młodziaków. Pacha zawsze była niestabilną dzielnicą. – Aura prognostyka świeciła spokojnie jak tłące się od dawna węgielki, wypełnione zużywającą się powoli energią człowieka, który przeżył już wiele pożarów i nie miał ochoty wzniecać następnych. – Z pewnością można znaleźć pokojowe rozwiązanie, które ocali wzajemny szacunek, od lat panujący między naszymi klanami.

Lan przenosił spojrzenie między swym rogiem a prognostykiem. Mieli oni służyć filarowi jako prawa i lewa ręka. Pierwszy odpowiadał za militarną działalność klanu, drugi zaś za ekonomiczną. Róg był wyraźnie widoczny, zajmował się taktyką, był najgroźniejszym wojownikiem klanu, dowodził pięściami i palcami, którzy patrolowali jego terytorium i bronili jego mieszkańców przed konkurencyjnymi klanami oraz ulicznymi przestępcami. Prognostyk był strategiem, mózgiem pracującym za kulisami, w gabinecie pełnym zdolnych szczęściodawców. Kierował przepływem wielkich sum pochodzących z daniny, patronatu oraz inwestycji. Należało się spodziewać, że między tymi dwoma stanowiskami będzie dochodziło do konfliktów, ale Hilo i Doru bardzo różnili się od siebie również pod względem natury. Hilo reprezentował siłę i uliczne instynkty, a Doru doświadczenie i ostrożność.

– Spróbuj się dowiedzieć, czy Aytowie popierają Tem Bena – polecił bratu Lan. – Jednocześnie wyślij do Pachy kilka pięści, ale tylko po to... – potrząsnął głową, widząc zapał na twarzy brata – ...żeby uspokoić latarników i bronić ich biznesów. Żadnych ataków, żadnego odwetu czy szeptania nazwisk. Nikt nie może przelać krwi bez zgody rodziny, nawet jeśli przeciwnik zaoferuje czystą klingę.

– To rozsądna decyzja – poparł go Doru, kiwając głową.

Hilo skrzywił się, ale sprawiał wrażenie po części zadowolonego.

– W porządku – zgodził się. – Powiem wam jednak, że sytuacja może się tylko pogarszać. Nie zdołamy już długo opierać się tylko na reputacji dziadka. – Pociągnął za płatek prawego ucha w tradycyjnym geście odstrasżającym pecha. – Oby żył trzysta lat – mruknął z szacunkiem, lecz bez przekonania. – Prawda wygląda tak, że Ayt próbuje zademonstrować, że jest silnym filarem. Jeśli klan Bez Szczytów pragnie dotrzymać jej kroku, będziemy musieli zrobić to samo.

– Nie potrzebuję, żeby młodszy brat robił mi wykłady jak ktoś znacznie starszy – warknął ostro Lan.

Hilo zaakceptował reprimendę pochyleniem głowy. Następnie uśmiechnął się szeroko. Jego twarz zmieniła wyraz, znowu stała się chłopięca.

– To prawda. Masz tutaj tego wystarczająco wiele. – Wzruszył ramionami, odwrócił się i podszedł do ogromnej białej duchesse.

Maik Kehn i Maik Tar stali przy samochodzie i palili papierosy, cierpliwie czekając na powrót szefa. Ciepła aura jego jadeitu wycofała się gładko jak rzeka latem. Hilo nie należał do ludzi, którzy chowają urazę po konfrontacji. Lan zdumiewał się myślą, że lata bezlitosnego szkolenia w Akademii Kaul Dushurona nie pozbawiły jego młodszego brata radosnego usposobienia. Hilo wędrował przez świat, jakby był on tylko scenografią zbudowaną specjalnie dla niego.

– Wybacz mi, że byłem dziś dla niego nieuprzejmy, Lan-se – odezwał się cicho Doru. – Hilo jest znakomitym rogiem. Po prostu trzeba go trzymać na krótkiej smyczy. – Uniósł kąciki zaciśniętych ust, jakby wiedział, że Lan jest tego samego zdania. – Będę ci jeszcze dzisiaj do czegoś potrzebny?

– Nie. Dobranoc, Doru.

Stary doradca pochylił głowę i oddalił się bez słowa boczną ścieżką, prowadzącą do rezydencji prognostyka. Lan odprowadził go spojrzeniem, po czym wrócił podjazdem do domu Kaulów. Był on największą i najbardziej imponującą budowlą w całej posiadłości – czysta, nowoczesna symetria, klasyczna kekońska boazeria, dach kryty zieloną dachówką, betonowe płyty lśniące od kruszonych muszelek. Białe kolumny były nieco zbyt ostentacyjnym cudzoziemskim dodatkiem. Lan zapewne by ich nie dodał, gdyby decyzja należała do niego, ale tak nie było. Dziadek wydał znaczną część swojej fortuny na zaprojektowanie i wybudowanie rodzinnej rezydencji. Jej symbolika była wyrazem jego próżności. Mówił, że to dowód na to, jak daleko zaszły zielone kości, które mogły teraz żyć otwarcie, choć zaledwie przed pokoleniem były uciekinierami, kryjącymi się w tajnych obozach w górskiej dżungli, i mogły przetrwać jedynie dzięki sprytowi, podstępom oraz pomocy cywilnych latarników.

Uniósł spojrzenie ku oknu znajdującemu się na samym końcu piętra po lewej stronie rezydencji. Na tle światła rysowała się sylwetka siedzącego na wózku inwalidzkim mężczyzny. Dziadek nie spał, choć było już bardzo późno.

Lan wszedł do holu i zawahał się. Hilo miał rację. Musiał bardziej stanowczo sprawować władzę filaru. Podejmowanie trudnych decyzji należało do jego obowiązków. Skoro i tak nie był dziś w stanie zasnąć, równie dobrze mógł podjąć jedną z nich. Ruszył na górę, choć dręczył go lekki niepokój.

## Rozdział 4

### Płomień Kekonu

Lan wszedł do pokoju dziadka, pełnego pięknych, artystycznych mebli. Palisandrowe stoły ze Stepenlandu, jedwabne kilimy z epoki pięciu monarchów Cesarstwa Tun, szklane lampy z południowego Ygutanu. Większość miejsca na ścianach zajmowały jednak zdjęcia i pamiątki. Kaul Seningtun był bohaterem narodowym, jednym z przywódców powstania sprzed z górą ćwierć wieku, zorganizowanego przez wojownicze zielone kości. Ta rebelia położyła kres panowaniu Cesarstwa Szotaru nad wyspą. Po zakończeniu wojny skromnie oznajmił, że nie interesuje się polityką i nie pragnie władzy. Stał się bogatym biznesmenem i ważną postacią w życiu wyspy. Na ścianie zdjęcia przedstawiające, jak ściska dłonie dygnitarzy podczas rozmaitych oficjalnych bądź dobroczynnych uroczystości, rywalizowały z honorowymi dyplomami.

Staruszek, ongiś zwany Płomieniem Kekonu, nie sprawiał wrażenia, by przywiązywał wielką wagę do zaszczytów i luksusów, jakie udało mi się zdobyć. Większość czasu poświęcał na patrzenie przez okno na odległe zielone góry, porośnięte dżunglą i spowite oparami mgły. Lan zadawał sobie pytanie, czy u kresu życia dziadka jego serce opuściło miasto, które pomógł dźwignąć z wojennych zgliszcz i zmienić w wielką metropolię, i wróciło do interioru wyspy, w miejsce, które starożytni Kekończycy uważali za święte, a cudzoziemcy za przeklęte. Tam właśnie młody Kaul Sen przeżył dni swojej chwały jako rebeliant i wojownik walczący u boku towarzyszy.

Lan zatrzymał się ostrożnie w pewnej odległości od wózka dziadka. Ostatnio trudno było przewidzieć, w jakim nastroju może być staruszek. Kaul Sen zawsze cechował się niespożytą energią i był człowiekiem o wielu talentach, w równym stopniu skłonny do wygłaszania pochwał, jak i krytyki. Nigdy nie przebierał w słowach i nie zadowalał się małymi zyskami, jeśli ryzyko mogło mu zapewnić pełen triumf. Nawet teraz, gdy miał osiemdziesiąt jeden lat, otaczająca go jadeitowa aura była gęsta i potężna.

Nie był już jednak takim człowiekiem, jak niegdyś. Jego żona – niech bogowie obdarzą ją uznaniem – zmarła przed trzema laty, a cztery miesiące później nagły udar położył kres życiu Ayt Yugontina. Od tego czasu z Płomienia Kekonu powoli odpłynął jakiś aspekt jego niepowstrzymanej woli. Bez zbędnych ceremonii przekazał przywództwo Lanowi i często teraz bywał zamyślony i wycofany albo porywczy i okrutny. Siedział nieruchomo. Pomimo upału chude ramiona miał odkryte kocem.

– Dziadku – odezwał się Lan, choć wiedział, że nie musi ogłaszać swej obecności. Wiek nie stępił zmysłów patriarchy. Nadal Postrzegał obecność drugiej zielonej kości na odległość ulicznego kwartału.

Kaul Sen patrzył przed siebie. Trudno było określić, czy zwraca uwagę na program w kolorowym telewizorze niedawno zainstalowanym w kącie jego pokoju. Dźwięk wyciszono, ale Lan natychmiast zauważył, że to film dokumentalny o wojnie wielu narodów. Walka o niepodległość Kekonu była tylko drobną częścią tego konfliktu. Na ekranie rozbłysła eksplozja, rozjaśniając wiele oprawnych w ramki szkielec na ścianach.

– Szotarczycy bombardowali góry – odezwał się Kaul Sen głosem powolnym, lecz nadal dźwięcznym, jakby zwracał się do zafascynowanego audytorium, a nie do ciemnej szyby. – Ale obawiali się nagłych osunięć ziemi. Szociaki posuwały się przez dżunglę gęsiego. Wszyscy ich żołnierze wyglądali tak samo, jak mrówki. Byli niezgrabni. My przypominaliśmy pantery. Załatwialiśmy ich jednego po drugim. – Kaul Sen dźgnął palcem powietrze, jakby atakował niewidzialnych szotarskich żołnierzy krążących po pokoju. – Ich karabiny i granaty przeciwko naszym guan dao i karambitom. Było ich dziesięć razy więcej od nas, ale i tak nie mogli nas zmiażdżyć, mimo że bardzo się starali. Naprawdę bardzo.

Znowu stare wojenne opowieści. Lan nakazał sobie zachować cierpliwość.

– Dlatego wzięli się za latarników, zwyczajnych ludzi, którzy co noc zawieszali w oknach zielone latarnie. Mężczyzn, kobiety, starych, młodych, bogatych, biednych, to nie miało znaczenia. Jeśli Szociaki podejrzywały kogoś o członkostwo w Towarzystwie Jednej Góry, taki ktoś po prostu

znikał. Bez ostrzeżenia. – Kaul Sen przesunął się na krzesło. Jego głos przybrał poważny, zadumany ton. – Jedna rodzina ukrywała mnie i Yu w szopie przez trzy dni. Mąż, żona i córka. Dzięki nim dotarliśmy do obozu żywi. Po kilku tygodniach wróciłem tam, żeby sprawdzić, co z nimi, ale zniknęli. Wszystkie naczynia i meble były na miejscu, a na piecu stał garnek, ale po nich nie było ani śladu.

Lan odchrząknął.

– To było dawno temu.

– Wtedy właśnie pokazałem ci, co musisz zrobić. Jak wbić sobie karambit w szyję. Szybko, jak... – Kaul Sen wykonał gest naśladujący przecięcie tętnicy szyjnej. – Miałeś może ze dwanaście lat, ale świetnie rozumiałeś, o co chodzi. Pamiętasz to, Du?

– Dziadku. – Filar skrzywił się. – Nie jestem Du. To ja, twój wnuk Lan.

Kaul Sen obejrzał się przez ramię. Przez chwilę sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Lan nie po raz pierwszy przyłapał go na mówieniu na głos do syna, którego stracił dwadzieścia sześć lat temu. Nagle jego oczy pojaśniały, a usta wykrzywiły się w grymasie rozczarowania. Westchnął.

– Nawet twoja aura jest bardzo podobna – mruknął i ponownie zwrócił się ku oknu. – Ale on miał silniejszą.

Lan zacisnął dłonie za plecami i odwrócił się, by ukryć irytację. Wystarczająco drażniło go, gdy przychodził tu i widział fotografie ojca rywalizujące liczebnością na ścianie ze zdjęciami samego Kaul Sena. Nie musiał dodatkowo wysłuchiwać coraz częstszych, rzucanych od niechcenia obelg dziadka.

W dzieciństwie Lan uwielbiał zdjęcia ojca. Oglądał je godzinami. Na największej czarno-białej fotografii Kaul Du stał między Kaul Senem a Ayt Yugontinem w wojskowym namiocie. Wszyscy trzej patrzyli na mapę. U pasów mieli karambity, a na ramionach wspierali guan dao. Kaul Du miał na sobie luźną zieloną bluzę generała Towarzystwa Jednej Góry. Patrzył prosto w aparat, promieniejąc rewolucyjnym zapałem i pewnością siebie.

Teraz jednak Lan uważał te zdjęcia za frustrujący relikwiarz dawnych czasów. Gdy na nie patrzył, czuł się tak, jakby widział samego siebie, uwięzionego w niemożliwie odległym czasie i miejscu. Był bardzo podobny do ojca – takie same żuchwa i nos, a nawet skupiona mina i przy-mrużone lewe oko. Jako chłopiec czuł się dumny, gdy ludzie zwracali uwagę na to podobieństwo.

– Wygląda zupełnie jak ojciec! Zostanie wielkim wojownikiem zielonej kości! – wołali ludzie. – Bogowie zwrócili nam bohatera w postaci jego syna.

Teraz jednak zdjęcia i porównania tylko go irytowały. Zwrócił się w stronę dziadka, zdeterminowany, by skierować rozmowę na współczesne czasy.

– W tym tygodniu wraca Shae. Przybędzie czwartego dnia, by złożyć ci wyrazy szacunku.

Kaul Sen odwrócił się szybko na wózek.

– Szacunku? – Wyprostował się wyraźnie wzburzony. – Gdzie był jej szacunek dwa lata temu? Gdzie był, kiedy odwróciła się plecami do klanu i ojczyzny, by zostać espeńską kurwą? Czy nadal żyje z tym szotarskim mężczyzną?

– Szotarsko-espeńskim – poprawił go Lan.

– Wszystko jedno.

– Ona i Jerald nie są już razem.

Kaul Sen rozluźnił się nieco.

– To przynajmniej dobra wiadomość – mruknął. – To nie mogło się udać. Między naszymi ludami jest zbyt wiele przelanej krwi. A poza tym jej dzieci byłyby słabe.

Lan powstrzymał się przed bronieniem siostry. Lepiej było pozwolić dziadkowi wyartykułować żale i mieć to z głowy. Kaul Sen nie gniewałby się aż tak bardzo, gdyby Shae nie była w dzieciństwie jego ulubienicą.

– Zamierza tu zostać, przynajmniej na pewien czas – dodał Lan. – Bądź dla niej miły, dziadku. Napisała do mnie. Przesyła ci wyrazy miłości i modli się o długie życie i zdrowie dla ciebie.

– Ha – mruknął starszy Kaul, sprawiał jednak wrażenie nieco udobruchanego. – Długie życie i zdrowie. Mój syn nie żyje. Moja żona nie żyje. Ayt Yu również nie żyje. Wszyscy byli młodszy ode mnie. – Na ekranie telewizora długie szeregi żołnierzy padały pod bezgłośnym ostrzałem. – Jak to możliwe, że ja żyję, a oni wszyscy umarli?

Lan uśmiechnął się półgębkiem.

– Bogowie cię kochają, dziadku.

Kaul Sen prychnął pogardliwie.

– Nie zakończyliśmy tego, jak trzeba, ja i Ayt Yu. Podczas wojny walczyliśmy razem, ale gdy nastał pokój, pozwoliliśmy, by poróżniły nas interesy. Interesy – powtórzył ze złością i zatoczył krąg sękatą dłonią, wskazując z aurą pogardy i rezygnacji na wszystko, co zbudował. – Szociaki nie zdołały rozbić Towarzystwa Jednej Góry, ale my to uczyniliśmy. Podzieliliśmy nasze klany. Nie miałem nawet szansy porozmawiać z Yu, zanim umarł. Obaj byliśmy okropnie uparci. Przekleństwo na niego. Nigdy nie będzie drugiego takiego jak on. Był prawdziwym wojownikiem zielonej kości.

Lan popełnił błąd, przychodząc tutaj. Spojrzał na drzwi, zastanawiając się, jakiej wymówki użyć. Dziadek pogrążył się we wspomnieniach czasów, gdy zielone kości zjednoczyły się dla nacjonalistycznych celów, i nie będzie chciał słuchać o tym, że – jeśli wierzyć Hilowi – klan jego dawnego towarzysza stał się teraz ich wrogiem.

– Jest już późno, dziadku – rzekł. – Spotkamy się rano.

Ruszył ku drzwiom, ale powstrzymał go podniesiony głos Kaul Sena.

– Czemu właściwie przyszedłeś tu o tej porze? Gadaj.

Lan zatrzymał się z ręką na klamce.

– To może zaczekać.

– Przyszedłeś coś mi powiedzieć – sprzeciwił się jego dziadek. – Mów. Jesteś filarem! Nie możesz czekać.

Lan wypuścił powietrze z płuc i odwrócił się. Podeszedł do telewizora, wyłączył go, a następnie zwrócił się w stronę dziadka.

– Chodzi o Doru.

– Tak?

– Myślę, że pora już, by przeszedł w stan spoczynku. Powinienem mianować nowego prognostyka.

Kaul Sen pochylił się ku niemu. Był teraz całkowicie obecny. Jego oczy miały skupiony wyraz.

– Czy zawiódł cię w jakiś sposób?

– Nie. Nie o to chodzi. Chcę przekazać tę pozycję komuś innemu, kto spojrzy na sprawy ze świeżej perspektywy.

– A kto to mógłby być?

– Być może Woon. Albo Hami.

Starszy Kaul zmarszczył brwi. Mapa zmarszczek na jego twarzy przerodziła się w nową konstelację niezadowolenia.

– Myślisz, że któryś z nich mógłby być równie biegłym i lojalnym prognostykiem jak Yun Dorupon? Któż zrobił dla klanu więcej niż on? Nigdy nie sprowadził mnie na manowce, nie zawiódł mnie na wojnie ani w interesach.

– Nie wątpię w to.

– Doru zawsze był mi wierny. Mógł przejść do Góry. Ayt przyjąłby go bez chwili namysłu. Ale on zgadzał się ze mną, kiedy mówiłem, że musimy się otworzyć przed światem. Szociaki podbiły nas dlatego, że zbyt długo się izolowaliśmy. Był mi wierny i nigdy nie zбочzył z tej ścieżki. To mądry człowiek. Mądry i dalekowzroczny. Przewidujący.

*Ale nadal należy wyłącznie do ciebie.*

– Dobrze ci służył przez z górą dwadzieścia lat – odparł Lan. – Pora już, by odpoczął. Chciałbym, żeby odszedł z pełnym szacunkiem. Nie żywię do niego pretensji. Proszę, byś z nim porozmawiał jako jego przyjaciel.

Dziadek gniewnie wskazał na niego palcem.

– Potrzebujesz Doru. Potrzebujesz jego doświadczenia. Nie upieraj się przy zmianie dla samej zmiany! Doru jest stabilny i godny zaufania. Nie taki jak Hilo. Masz już wystarczająco wiele kłopotów z nie zrównoważonym rogiem. Kto wie, jaki demon z bagien zakradł się do sypialni twojej matki, by spłodzić tego chłopaka, gdy Du walczył za ojczyznę.

Lan wiedział, że te okrutne słowa miały po prostu wytrącić go z równowagi, sprawić, by

zapomniał o swoim celu. Jego dziadek zawsze po mistrzowsku zbijał przeciwników z tropu, na polu bitwy, a później w sali narad. Nie potrafił jednak się powstrzymać.

– Tym razem przeszedłeś sam siebie – warknął. – Za jednym zamachem zniślawiłeś połowę rodziny. Jeśli jesteś tak kiepskiego zdania o Hilu, dlaczego mnie poparłeś, kiedy mianowałem go rogiem?

Kaul Sen pociągnął głośno nosem.

– Dlatego że ma w sobie ogień i gęstą krew. Muszę mu to przyznać. Prognostyk powinien budzić szacunek, a róg strach. Chłopak powinien się urodzić pięćdziesiąt lat wcześniej. Wypełniłby przerażeniem serca Szotarczyków. Byłby strasliwym wojownikiem, tak samo jak Du.

Patriarcha przymrużył powieki. W jego oczach pojawiło się skupienie.

– Du miał trzydzieści lat, kiedy zginął. Był zaprawionym w boju dowódcą. Miał żonę, dwóch synów i trzecie dziecko w drodze. Nosił jadeitowe światło niczym bóg. Możesz go przypominać z wyglądu, ale nigdy nie będziesz nawet w połowie takim mężczyzną jak on. Dlatego inne klany cię nie szanują. Dlatego Eyni cię opuściła.

Lan zaniemówił na mgnienie oka. Potem zapłonął w nim głuchy gniew.

– Nie rozmawiamy o Eyni – warknął.

– Powinieneś być go zabić! – Kaul Sen uniósł ręce i zamachał nimi, nie potrafiąc uwierzyć w głupotę własnego wnuka. – Pozwoliłeś, by bezjadeitowy cudzoziemiec zabrał ci żonę. Straciłeś twarz przed klanem!

Przez umysł Lana przemknęło strasliwe pragnienie wyrzucenia dziadka przez okno na piętrze. Tego właśnie pragnął staruszek, czyż nie tak? Niepowstrzymanej, egoistycznej przemocy. Tak jest, pomyślał Lan, mógł rzucić wyzwanie kochankowi Eyni, stanąć z nimi do pojedynku i zabić go. Każdy szanujący się kekoński mężczyzna uważał, że ma do tego prawo. Być może tak właśnie powinien postąpić filar. Ale nic by w ten sposób nie zyskał. To byłby tylko pusty gest. Nie zatrzymałby Eyni. Już postanowiła, że go opuści. Mógłby jedynie zniszczyć jej szczęście i sprawić, by go znienawidziła. Czy szczęście kochanej osoby nie powinno być ważniejsze niż honor?

– Czemu fakt, że nie zabiłem człowieka w walce o kobietę, miałby znaczyć, że nie powinienem być filarem? – zapytał urywanym głosem. – Uczyniłeś mnie swoim następcą, ale nigdy nie okazałeś mi poparcia ani szacunku. Przyszedłem tu, żeby cię prosić o poparcie w sprawie Doru, ale w odpowiedzi otrzymałem tylko bezsensowne obelgi.

Kaul Sen podniósł się z wózka nagłym, niespodziewanie płynnym ruchem. Koc zsunął się z jego ramion na podłogę.

– Jeśli jesteś godny pozycji filaru, udowodnij to. – Oczy patriarchy były twarde jak obsydian, a twarz sucha niczym spalona słońcem pustynia. – Pokaż mi, jaki jesteś zielony.

Lan spojrział ze zdumieniem na dziadka.

– Nie bądź śmieszny.

Kaul Sen w mgnieniu oka pokonał dzielącą ich odległość. Jego ciało falowało jak grzbiet węża. Uderzył obiema dłońmi w pierś wnuka. Cios był gwałtowny niczym uderzenie bicia. Lan zatoczył się do tyłu. Ledwie zdołał zasłonić się Stalą. Wstrząs targnął jego ciałem z mocą jadeitu. Lan opadł na jedno kolano i wciągnął gwałtownie powietrze.

– Po co to zrobiłeś?

W odpowiedzi dziadek uderzył go kościstą pięścią w twarz. Lan wstał i tym razem z łatwością uchylił się przed ciosem, podobnie jak przed trzema kolejnymi, zadanymi szybko jeden po drugim. Powietrze drżało od starcia ich jadeitowych energii.

– Przestań, dziadku – warknął.

Cofał się, aż wreszcie wpadł na stół, cały czas uchylając się przed kolejnymi ciosami. Skrzywił się, widząc szybkość staruszka, pozostającą niemal poza wszelką kontrolą. Pora już, by przestał nosić tyle jadeitu, pomyślał. Podobnie jak automobile i broń palna jadeit nie był czymś, czym powinni się posługiwać zniechęceni starcy. Jednakże Kaul Sen nie oddałby dobrowolnie nawet najmniejszego kamyka wprawionego w bransoletę albo ciężki pas, które nosił nieustannie.

– Nie potrafisz nawet pokonać starca. – Patriarcha przypominał borsuka. Był żyłasty, kościsty i wyjątkowo wredny. Wykrzywił usta w drwiącym uśmieszku, klucząc i wyprowadzając ciosy. Lan uchylił się po raz kolejny i strącił antyczną glinianą misę, która wylądowała na parkiecie z głuchym łoskotem i się przetoczyła. – Gdzie twoja duma, chłopcze? – wycharczał dziadek. Uderzył

pod ramieniem Lana. Knykcie jego dłoni wniknęły w lukę między dolnymi żebrami wnuka.

Lan stęknął z zaskoczenia i bólu. Reagując bez zastanowienia, zdzielił dziadka w głowę złożonymi dłońmi.

Kaul Sen zachwiał się, wybałuszył oczy i osunął się na podłogę z dziecinnym wyrazem zdumienia na twarzy.

Przerażony Lan złapał staruszkę za ramiona.

– Nic ci się nie stało, dziadku? Przepraszam.

Kaul Sen dźgnął go dwoma sztywno wyprostowanymi palcami w punkt uciskowy pośrodku klatki piersiowej. Lan padł na podłogę, kaszląc gwałtownie. Kaul Sen przetoczył się, podniósł i stanął nad nim.

– Jako filar musisz działać z pełną determinacją. – Kaul Sena na moment opuściła starość. Znowu stał się potężnym Płomieniem Kekonu. Wyprostował plecy, a jego twarz nabrała twardego wyrazu. Każdy okruch jadeitu na jego ciele świadczył o sile i domagał się szacunku. Lan ujrzał na krótką chwilę przez mgiełkę gniewu i upokorzenia bohatera wojennego, którym ongiś był jego dziadek.

– Tylko z pełną determinacją! – warknął Kaul Sen. – Jadeit wzmacnia to, co masz w sobie. Co pragniesz osiągnąć. – Postukał się w pierś. Rozległ się głuchy odgłos, jakby pukał w tykwę. – Bez determinacji żadna ilość jadeitu nie uczyni cię potężnym. – Wrócił do krzesła i usiadł na nim. – Doru musi zostać.

Lan wstał bez słowa, podniósł miskę i postawił ją z powrotem na stole. Następnie wsparł się ciężko dłonią o ścianę. Smutek, który go wypełnił, był jak epifania. Dopiero w tej chwili dziadek naprawdę uczynił go filarem, dowodząc mu bez wątpienia, że jest zupełnie sam.

Opuścił bez słowa pokój i zamknął drzwi.



## Rozdział 5

### Koteczka Rogu

Gdy Kaul Hilo usiadł za kierownicą duchesse, Tar oparł się przedramionami o otwarte okno po stronie pasażera.

– I co powiedział?

– Mamy wzmocnić naszą obecność w Pasze – odpowiedział Hilo. – Ale bez zabójstw. Ograniczymy się do obrony tego, co należy do nas. Naszych latarników i ich firm.

– A co, jeśli rzucą nam wyzwanie? Jesteś gotowy się powstrzymać? – zapytał Tar ze sceptycyzmem w głosie, sugerującym, że za dobrze zna swego szefa, by w to uwierzyć.

Hilo stłumił westchnienie. Kehn rzadko kwestionował jego rozkazy, ale Tar uczył się razem z nim w Akademii Kaul Du i czasami mu pyskował. Młodszy Maik nigdy nie krył, że jego zdaniem Lan jest zbyt ostrożny i to Hilo jest silniejszym z braci Kaul. Rzecz jasna, robił to we własnym interesie i te słowa nie cieszyły Hila tak bardzo, jak zapewne spodziewał się tego Tar.

– Bez zabójstw – powtórzył stanowczo. – Porozmawiam z wami jutro.

Uruchomił duchesse, pokonał rondo przed domem i wyjechał na długi podjazd.

Nie skręcił w węższą drogę przed bramą, prowadzącą do domu przydzielonego rogowi klanu, znajdującego się za domem jego brata. Poprzedni róg był posiwiatym generałem ich dziadka i nie miał zbyt dobrego gustu, gdy chodziło o dekorację wnętrz. Gdy Hilo się tam wprowadził, w domu śmierdziało psami i zupą rybną. Dywan był zielony, a tapety kraciaste. Minęło już półtora roku, a Hilo nadal nie zarządził remontu. Miał taki zamiar, ale jakoś nie potrafił się na to zdobyć. I tak nie spędzał tam zbyt wiele czasu. Nie był rogiem, który wydaje rozkazy za zamkniętymi drzwiami, zostawiając całą robotę swym pięściom. Dom był miejscem, w którym spał, to wszystko.

Oddalając się od posiadłości Kaulów, wsparł rękę na otwartym oknie i bębnił palcami w rytm szotarskiej muzyki klubowej płynącej z radia. Jeśli to nie był espeński jig albo, co gorsza, kekońska muzyka klasyczna, to musiała być szotarska muzyka klubowa. Wielu ludzi ze starszego pokolenia nadal nie kupowało towarów wyprodukowanych w Szotarze, nie słuchało tamtejszej muzyki ani nie oglądało seriali, ale Hilo miał niespełna rok, gdy wojna się skończyła, i nie miał podobnych uprzedzeń.

Był teraz w lepszym nastroju. Nie dano mu wolnej ręki, o co prosił, ale wyraził swoją opinię i wiedział, co ma obecnie robić. Tar nie rozumiał, że Hilo nawet w najmniejszym stopniu nie zazdrości bratu jego pozycji. Użeranie się ze starym, zgorzkniałym dziadkiem, tym popaprańcem Doru, polityką w KSJ i Radzie Książęcej... być może Lan miał cierpliwość do tego wszystkiego, ale Hilo z pewnością nie. Życie było krótkie. Zdawał sobie sprawę, że jego rola jest prosta, i cieszył się z tego faktu. Dowodził swoimi pięściami, bronił terytorium rodziny i walczył z wrogami klanu Bez Szczytów. Sprawiało mu to wielką przyjemność.

Jechał przez trzydzieści minut, zostawiając za sobą bogate okolice otaczające Wzgórze Pałacowe, gdzie znajdowała się rezydencja Kaulów. Najpierw pomknął szerokim Bulwarem Generalskim, następnie skręcił w dwupasmową aleję, aż wreszcie zagłębił się w coraz węższe uliczki Papai, starej dzielnicy klasy pracującej, gdzie pełno było małych sklepików, podejrzanych ulicznych handlarzy oraz krętych zaułków, w których łatwo mogli się zgubić nieostrożni rikszarze, kierowcy, motorowerzyści oraz bezpańskie psy. Papaja prawie w ogóle nie ucierpiała podczas wojny i od tego czasu również nie zmieniła się wiele. Postęp i wścibscy cudzoziemcy ignorowali ją niemal całkowicie. Nocami jej uliczki jeszcze bardziej upodabniały się do labiryntu. Boczne lusterka duchesse ledwie się mieściły między znacznie mniejszymi i bardziej zardzewiałymi pojazdami parkującymi pod ceglanymi budynkami, stojącymi tak ciasno, że wystawiając rękę przez okno można było niemal dotknąć ściany sąsiada,

Hilo zaparkował samochód w odległości pięciu kwartałów od celu. Nie obawiał się niczego, ponieważ znajdował się w głębi terytorium Kaulów. Po prostu nie chciał, by jego łatwy do rozpoznania pojazd widziano każdej nocy w tym samym miejscu. To uczyniłoby jego poczynania zbyt rutynowymi, a powinien starać się o nieprzewidywalność. Poza tym lubił chodzić na piechotę.

Wreszcie zrobiło się trochę chłodniej. Noc była przyjemna. Zostawił marynarkę w samochodzie i ruszył nieśpiesznie przed siebie, ciesząc się spokojem, jaki można było znaleźć między godzinami uważanymi za późne, a tymi, które nazywano wczesnymi.

Zignorował drzwi frontowe i wspiał się na czwarte piętro rozklekotanymi schodami przeciwpożarowymi. W mieszkaniu paliło się światło. Z uwagi na upał okno było szeroko otwarte. Hilo wszedł do środka, przerzucając nogi nad poobtłukiwanym parapetem, po czym ruszył bezgłośnie po dywanie w kierunku pozostawionego w sypialni światła.

Spała. Na jej kolanach leżała otwarta książka. Stojąca przy łóżku lampa rzuciła pomarańczowe światło na jej twarz. Hilo przystanął w drzwiach, obserwując, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada w spokojnym oddechu. Narzuty sięgały do jej kolan, ale nie wyżej. Miała na sobie bawełniany top i niebieskie majteczki obszyte białą koronką. Ciemne włosy były rozrzucone na białej poduszce, a niektóre kosmyki wiły się po bladej, nieskazitelnej skórze barków.

Hilo podziwiał ją przez pewien czas, aż wreszcie nie mógł już znieść oczekiwania. Wyjął książkę z jej dłoni, zaznaczył stronę i położył ją na stoliku przy łóżku. Nie poruszyła się. Zdumiewała go jej całkowita obojętność na możliwe zagrożenie. Nawet w najmniejszym stopniu nie przypominała zielonych kości. Była stworzeniem zupełnie innego rodzaju niż on.

Zgasił światło. W sypialni zapadła ciemność. Następnie położył się na niej, unieruchamiając jej ciało i zakrywając usta dłonią. Obudziła się nagle, otworzyła szeroko oczy, a jej ciało szarpnęło się pod jego ciężarem. Wydała z siebie stłumiony krzyk. Roześmiał się cicho.

– Powinnaś być ostrożniejsza, Wen – wyszeptał jej do ucha. – Jeśli zostawisz na noc otwarte okno, mogą przez nie wejść mężczyźni o złych zamiarach.

Przestała się opierać. Jej serce nadal biło szybko, ekscytując go, ale ciało się rozluźniło. Zdjęła z ust jego dłoni.

– To twoja wina – warknęła. – Zasnęłam, czekając na ciebie, a potem cholernie mnie wystraszyłeś. Gdzie byłeś?

Ucieszył się, że na niego czekała.

– W Podwójnym Szczęściu. Mieliśmy tam kłopoty.

– Z hazardem i striptizerkami? – zapytała, unosząc brwi.

– Nic tak zabawnego – zapewnił. – Zapytaj braci, jeśli mi nie wierzysz.

Wen poruszyła się pod nim prowokująco. Nagie ramiona i uda otarły się o jego ubranie.

– Kehn i Tar nic mi nie mówią. Są za bardzo tobie oddani.

– Nie powinnaś ich nie doceniać. – Wziął w usta płatek jej ucha i zaczął go ssać. Jednocześnie rozpiął pasek i ściągnął spodnie. – Jestem pewien, że uknuli spisek, żeby mnie zamordować, gdy tylko zobaczyli, jak na ciebie patrzę. Od początku wiedzieli, że mam zamiar przelecieć ich siostrzyczkę. – Ściągnął jej majtki, pogłaskał ją między nogami i wsunął w nią dwa palce. – Musiałem ich zrobić najważniejszymi pięściami. Inaczej wypruliby mi flaki.

– Nie możesz mieć do nich pretensji – odpowiedziała i poruszyła zachęcająco biodrami. Jego palce poruszały się w niej, śliskie i ciepłe. Rozpięła kolejne trzy guziki jego koszuli i ściągnęła ją z niego przez głowę. – Czy syn wielkiego rodu Kaulów mógłby chcieć od kamienookiej ze skompromitowanej rodziny czegoś więcej niż szybki numerek?

– Wielu szybkich numerków?

Pocałował ją gwałtownie i niecierpliwie, atakując jej usta wargami oraz językiem. Kutas zeszytniał mu boleśnie, dotykając wewnętrznej powierzchni jej uda. Uniosła ręce i zatopiła je w jego włosach. Następnie przesunęła koniuszkami palców po jego szyi i klatce piersiowej, śledząc kawałki jadeitu wszczepione na obojczykach i wokół brodawek sutkowych. Dotykała ich i lizała je bez śladu strachu, zazdrości czy chciwości. Były dla niej jedynie pięknymi częściami jego ciała, niczym więcej. Nigdy nie pozwalała żadnej innej kobiecie dotykać jego jadeitu. Wolna od strachu intymność, jaką dawała mu Wen, podniecała go szalenie.

Wszedł w nią jednym ruchem. Była cudowna. Feeria wrażeń. Blask słońca i ocean, letnie owoce i piżmo. Hilo warknął z przyjemności i złapał za wezgi łożka, pragnąc więcej. Jego wyostrome przez jadeit zmysły gorzały z osłepiającą intensywnością – łoskot jej serca, grom oddechu, ogień w jej skórze. Żałował, że zgasił światło. Chciałby widzieć ją lepiej, napawać się każdym szczegółem jej ciała.

Wen uniosła biodra nad materac, ściskając go mocno. Jej oczy wpatrywały się w niego –

dwie maleńkie plamki odbitego ulicznego światła, przypominające świeczki unoszące się na powierzchni stawu. Jej intensywny zachwyty podekscytował go jeszcze bardziej. Ssał wiśniowe sutki. Zagłębił się w dolinę między jej piersiami, tonąc w niezrównanych woniach. Uścisnęła jego biodra, popędzając go bezlitośnie, aż wreszcie osiągnął spełnienie, cudownie wyrrywając się poza wszelką kontrolę.

Leżał na niej i dyszał w zgięciu jej szyi. Świadomość odpływała od niego powoli.

– Jesteś dla mnie najważniejsza na całym świecie.

Kiedy się obudził, nadszedł już świt. Światło słońca wciskało się w szczeliny między budynkami i wnikało do środka przez okna. Zapowiadał się kolejny upalny dzień.

Hilo spojrzął na piękne stworzenie śpiące obok niego. Zawładnęła nim gwałtowna żądza. Zaprzagnął objąć ją, otoczyć swym ciałem i w jakiś magiczny sposób wciągnąć ją w siebie, by móc ją zawsze mieć ze sobą. Znał przed Wen inne kobiety i darzył je ciepłymi uczuciami, a nawet czułością, ale pragnienie uszczęśliwienia jej było silne jak fizyczny ból. Myśl, że ktokolwiek mógłby ją skrzywdzić albo ją mu odebrać, budziła w nim gorączkową furię. Mogłaby go prosić o cokolwiek i zrobiłby to dla niej.

Przyszło mu na myśl, że prawdziwa miłość jest zmysłowa i pełna euforii, lecz jednocześnie jest bolesną tyranią, żądającą bezwzględnego posłuszeństwa. Z pewnością była czymś innym niż buntownicze zadurzenie Shae w jej Espeńczyku albo rozsądne uczucie między Lanem a Eyni.

Posmutniał nieco na myśl o Eyni. Zajął mu to kilka tygodni, ale w końcu udało mu się wytropić tę kurwę oraz faceta, który tak straszliwie znieważył jego brata. Mieszkali w Lybonie, w Stepenlandzie. Zastanawiał się, czy nie wynająć kogoś, by wykonał tę robotę, ale na zniewagę wobec klanu powinien odpowiedzieć sam klan. Poleciał Tarowi, by kupił bilet na samolot, posługując się fałszywym nazwiskiem i paszportem, ale gdy opowiedział o swym planie Lanowi, filar nie okazał wdzięczności, a nawet się rozgniewał.

– Nie kazałem ci robić niczego w tym rodzaju – warknął. – Gdybym chciał, żeby wyszeptano ich nazwiska, zrobiłbym to sam! Dlatego powinno być dla ciebie oczywiste, że tego nie chcę. Zostaw ich w spokoju i od tej chwili nie mieszaj się do mojego życia osobistego.

To bardzo poirytowało Hila. Cały wysiłek poszedł na marne. Chciał wyświadczyć bratu przysługę i jaka nagroda go za to spotkała? Lan zawsze starannie ukrywał swoje uczucia. Skąd Hilo miał wiedzieć, czego pragnął?

Wen się poruszyła. Z jej ust wyrwało się cudowne, senne westchnienie. Hilo zapomniał o swych rozmyśleniach i wsunął się pod pościel, by obudzić dziewczynę palcami i ustami. Pracował nad nią cierpliwie i ucieszył się, gdy w końcu doprowadził ją do drżącego orgazmu. Potem znowu się z nią kochał, tym razem wolniej i spokojniej.

– To, co powiedziałaś wczoraj o swojej rodzinie – odezwał się później, gdy leżeli splątani i spoceni. – Nie powinnaś tak myśleć. Sprawa z twoimi rodzicami wydarzyła się wiele lat temu. Nikt nie wątpi w Kehna i Tara. Nazwisko Maików jest szanowane w klanie.

Milczała przez chwilę.

– Nie w całym. Co z twoją rodziną?

– A co ma być?

Wsparła głowę na jego ramieniu.

– Shae nigdy mi nie ufała.

– Uciekła z espeńskim marynarzem, a teraz wraca jak zbite szczenię, które nasikało na dywan. Nie ma prawa cię osądzać. Czemu miałabyś się przejmować jej opinią?

Słyszając ostry ton własnego głosu, uświadomił sobie z zaskoczeniem i rozczarowaniem, że nadal nie wybaczył siostrze w pełni.

– Twój dziadek zawsze jej słuchał. Nie sądzę, by mnie zaakceptował, nawet gdybym nie była kamiennooką.

– To sklerotyczny starzec – uspokoił ją Hilo. – Filarem jest teraz Lan.

Pocałował ją w skroń dla uspokojenia, ale jego zachowanie się zmieniło. Przetoczył się na plecy i wpatrzył w zamyśleniu w żółty wentylator obracający się pod sufitem.

Wen odwróciła się na bok i spojrzała na niego z z troskaniem.

– Co się stało?

– Nic.

– Powiedz mi.

Opowiedział jej o wydarzeniach ostatniego wieczoru w Podwójnym Szczęściu oraz o rozmowie na podjeździe pod posiadłością Kaulów. Wen wsparła się na łokciu i wydeła usta. Jej mina wyrażała niepokój.

– Dlaczego Lan wypuścił chłopaka? Jeśli ktoś został złodziejem jadeitu w tak młodym wieku, nie da się go wyleczyć. Jeszcze narobi ci kłopotów.

Hilo wzruszył ramionami.

– Wiem, ale co mogłem powiedzieć? Lan to optymista. Jak to możliwe, że stał się takim mięczakiem? Za młodych lat zawsze pokazywał mi, gdzie jest moje miejsce. Jest wystarczająco zielony, ale nie myśli jak zabójca, a Ayt Mada to coś całkiem innego. To oczywiste, że nadchodzi wojna z Górą. Czy tego nie widzi? Ten stary, zarozumiały cwaniaczek Doru udziela mu złych rad.

– Z pewnością Lan powinien słuchać raczej ciebie niż Doru.

– On oplótł cały klan jak stary bluszcz. Nie sposób się od niego uwolnić.

Wen usiadła. Lśniące czarne włosy opadały jej na plecy, a nieskazitelny policzek błyszczał w blasku wschodzącego słońca.

– W takim razie musisz się przygotować do obrony klanu na własną rękę – rzekła mu. – Doru ma swoje kontakty, swoich informatorów i swoje podstępne metody. Ale wszystkie pięści i palce, którymi dowodzą, należą do ciebie. Zielone kości są przede wszystkim wojownikami, a dopiero w drugiej kolejności ludźmi interesu. Jeśli wojna wybuchnie, rozszerzy się na ulice, a ulice to domena rogu.

– Moja koteczka ma serce jadeitowej wojowniczkii.

Otoczył ramionami jej barki i pocałował ją od tyłu.

– Ale ciało kamiennookiej. – Jej westchnienie zabrzmiało pięknie, choć głos był pełen goryczy. – Gdybym tylko była zieloną kością, mogłabym ci pomóc. Byłabym najbardziej ci oddaną ze wszystkich pięści.

– Nie potrzebuję dodatkowych pięści – odparł. – Podobasz mi się taka, jaka jesteś.

Ujął w dłonie jej piersi, czując ich przyjemny ciężar, i wyciągnął szyję do następnego pocałunku.

Odsunęła twarz. Nie chciała pozwolić, by coś odwróciło jej uwagę.

– Ile pięści właściwie masz? Tych dobrych, na które możesz liczyć? Kejn mówi mi, że niektóre z nich to mięczaki przyzwyczajone do czasów pokoju, do pilnowania porządku i pobierania podatków, nie do walki. Ile z nich odniosło zwycięstwo w pojedynkach? Ile nosi więcej niż kilka kamyków?

Hilo westchnął.

– Mamy trochę najbardziej zielonych i trochę balastu, tak samo jak nasi przeciwnicy.

Spojrzała na niego. Jej twarz nie była konwencjonalnie piękna, ale Hilowi wydawała się niezmiernie fascynująca. Szeroko rozstawione kocie oczy, ciemne, skośne brwi, usta o chytrym, lubieżnym wyrazie i niemal męski zarys żuchwy. Gdy była w szczególnie poważnym nastroju – jak w tej chwili – sprawiała wrażenie, że pozuje do artystycznej fotografii. Gdy widział jej chłodne, skupione, enigmatyczne spojrzenie, zadawał sobie pytanie, czy myśli o seksie, morderstwie, czy po prostu o zakupach w sklepie spożywczym.

– Zaglądałeś ostatnio do Akademii? – zapytała go. – Mógłbyś porozmawiać z kuzynem i przejrzeć się uczniom z ósmego roku. Zastanowić się, którzy mogą ci się przydać, gdy w przyszłym roku ukończą naukę.

Hilo się rozpromienił.

– Masz rację. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio odwiedziłem Andena. – Uszczypnęła delikatnie sutki dziewczyny, pocałował ją po raz ostatni, a następnie wstał i sięgnął po ubranie. Wkładając spodnie i pochwę z karambitem, nucił coś pod nosem. – Z tego chłopaka będą ludzie – oznajmił, zapinając koszulę przed lustrem w szafie. – Gdy tylko dostanie jadeit, stanie się zieloną kością z legend.

Wen uśmiechnęła się, upinając włosy.

– Tak samo jak jego róg.

Mrugnął do niej znacząco, dziękując za komplement.

## Rozdział 6

### Powrót do domu

Gdy Kaul Shaelinsan wylądowała na Międzynarodowym Lotnisku Janloońskim, czuła się lekko oszołomiona po trzynastogodzinnym locie, jakby miała kaca. Lecąc nad oceanem, wpatrywała się w bezkresny błękit widoczny za oknem. Czuła się trochę tak, jakby cofała się w czasie, zostawiała za sobą osobę, którą stała się w obcym kraju, i wracała do czasów dzieciństwa. Zbijała ją z tropu mieszanina emocji, jakie budziła w niej ta myśl – dojmujące słodko-gorzkie połączenie ekscytacji z poczuciem klęski.

Zabrała swój bagaż z taśmociągu. Nie było go zbyt wiele. Dwa lata w Espanii, niesamowicie drogi kurs uniwersytecki, a cały jej dobytek zmieścił się w jednej walizce z czerwonej skóry. Czuła się zbyt zmęczona, by skwitować uśmiechem tę żalną ironię.

Ujęła w dłoń słuchawkę automatu telefonicznego i już miała wrzucić monetę, lecz znieruchomiała, pamiętając o obietnicy, którą sobie złożyła. Tak jest, wracała do Janloonu, ale robi to na własnych warunkach. Będzie mieszkała w mieście, jak zwyczajna obywatelka, nie jako wnuczka Płomienia Kekonu. A to oznaczało, że nie może zadzwonić do brata, by wysłał po nią samochód z szoferem.

Odłożyła słuchawkę. Zaskoczyło ją, jak łatwo wróciła do dawnych nawyków zaledwie kilka minut od chwili, gdy postawiła nogę na Kekonie. Przez jakiś czas siedziała na ławce w holu przyłotów, czując nagle opory przed wyjściem przez obrotowe drzwi. Coś jej mówiło, że gdy znajdzie się na zewnątrz, nie będzie już mogła się cofnąć.

Wreszcie jednak uznała, że nie może dłużej zwlekać. Wstała i podążyła za innymi pasażerami ku postojowi taksówek.

Kiedy stąd odlatywała przed dwoma laty, nie zamierzała nigdy tu wracać. Wypełniały ją gniew i optymizm, była gotowa rozpocząć nowe życie i stworzyć dla siebie nową tożsamość w wielkim, szerokim, nowoczesnym świecie poza Kekonem, daleko od anachronicznych klanów i przerośniętego ego wszystkich mężczyzn z jej rodziny. Jednakże gdy już znalazła się w Espanii, przekonała się, że trudno jest uciec od piętna pochodzenia z małego wyspiarskiego kraiku, właściwie znanego wyłącznie z jadeitu. Nazwa Janloon wywoływała tylko pełne niezrozumienia spojrzenia. Dla cudzoziemców było to Miasto Jadeitu.

Gdy ludzie słyszeli, że jest Kekonką, ich reakcje były komicznie przewidywalne. Najpierw zaskoczenie. Dla większość Espeńczyków Kekon był egzotycznym, bajkowym miejscem. Powojenny rozkwit globalnego handlu położył kres stuleciom izolacji, ale nie do końca. Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że przyleciała z kosmosu.

Druga reakcja: pełne entuzjazmu żarty: „To znaczy, że umiesz latać? Potrafisz się przebić przez tę ścianę? Pokaż nam coś zdumiewającego. Rozwal ten stół!”

Nauczyła się przyjmować to spokojnie. Na początku próbowała im wyjaśniać, że zostawiła cały swój jadeit na Kekonie i teraz niczym nie różni się od nich. Nawet jeśli zachowała przewagę siły, szybkości i lepszego refleksu, zawdzięczała to wyłącznie faktowi, że nadal budziła się wcześnie rano i ćwiczyła na patio swego apartamentu. Głęboko zakorzenione nawyki nie ustępowały tak łatwo.

Pierwszych dwóch tygodni niemal nie była w stanie znieść. Czuła się tak, jakby znalazła się w komorze deprywacji sensorycznej, którą sama dla siebie stworzyła. Wszystkiego było znacznie mniej niż przedtem. Mniej kolorów, mniej dźwięków, mniej wrażeń. Wyblakły krajobraz ze snu. Jej ciało zrobiło się powolne, ciężkie i obolałe. Dręczyła ją obawa, że utraciła coś o kluczowym znaczeniu, jakby nagle opuściła wzrok i zauważyła, że brakuje jej jednej kończyny. Były też nocne ataki paniki i wrażenie, że unosi się bezwładnie w nierzeczywistym świecie.

Wszystko to byłoby wystarczająco złe nawet gdyby nie otaczali jej młodzi, hałaśliwi Espeńczycy, którzy zdolnością skupienia uwagi nie przerastali małą i zawsze rozmawiali tylko o strojach, samochodach, muzyce popularnej i swym płytkim, ale niezwykle skomplikowanym życiu uczuciowym. Omal nie dała za wygraną. Po pierwszym semestrze zarezerwowała nawet bilet na Kekon.

Duma przewyciężyła jednak niemal paraliżującą grozę odstawienia jadeitu. Na szczęście zwrócili jej pieniądze za bilet.

Bardzo trudno było jej wytłumaczyć nielicznym przyjaciółom, których zdobyła w college'u, co to znaczy nosić jadeit i wywodzić się z rodziny zielonych kości, a także dlaczego wyrzekła się tego wszystkiego. Uśmiechała się tylko niewinnie i czekała, aż ich ciekawość minie.

– Zachowujesz się normalnie, ale któregoś dnia zrobisz coś naprawdę szalonego, prawda? – drażnił się z nią zawsze Jerald.

Nie. Już zrobiła coś szalonego. Związała się z nim.

Niebo było dziwnym połączeniem mgiełki z dogasającą jasnością. Beton był wilgotny od Północnego Potu – nieustannej mżawki i mgły występującej na przybrzeżnej równinie Janloonu w porze monsunów. Było już późno, minęła pora kolacji. Shae stała w kolejce, czekając na taksówkę. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Miała na sobie krótką, kolorową letnią sukienkę, która była modna w Espenii, ale w ojczyźnie Shae wydawała się zbyt obcisła i jaskrawa. Poza tym szczegółem nie różniła się jednak zbyt od innych przybyszy. Nie nosiła jadeitu. Uświadomiła sobie z ulgą połączoną z niewielką dozą uzalania się nad sobą, jak małe są szanse, by ktokolwiek ją tu rozpoznał.

Podjechała następna taksówka. Kierowca włożył jej walizkę do bagażnika. Shae zajęła miejsce z tyłu i otworzyła okno.

– Dokąd, panienko? – zapytał taksówkarz.

Zastanawiała się, czy nie pojechać do hotelu. Chciała wziąć prysznic, odprężyć się po długim locie i pobyć przez chwilę sama. Doszła jednak do wniosku, że w ten sposób okazałaby brak szacunku.

– Do domu – odpowiedziała.

Podawała adres i taksówkarz włączył się w strumień samochodów oraz autobusów. Gdy przejechali przez Most Za Miasto i pojawiły się wieżowce z betonu i stali, Shae załapała nostalgias tak głęboką, że trudno jej było oddychać. Wilgotne powietrze wpadające do środka przez otwarte okno, dźwięk jej ojczystego języka w radiu, a nawet straszliwy ruch na ulicach... przełknęła ślinę bliska łez. Miała bardzo niejasne pojęcie, co właściwie zamierza zrobić w Janloonie, ale z całą pewnością była w domu.

Gdy znaleźli się w dzielnicy Wzgórza Pałacowego, taksówkarz zaczął co kilka sekund zerkać na nią we wstecznym lusterku. Wreszcie samochód zatrzymał się przed wysoką żelazną bramą posiadłości Kaulów. Shae otworzyła do końca okno i wychyliła się na zewnątrz, by porozmawiać ze strażnikiem.

– Witaj w domu, Shae-jen – rzekł mężczyzna, zaskakując ją nieodpowiednim w tej chwili przyrostkiem, a także poufałością związaną z dołączeniem go do imienia. To był jeden z palców Hila. Shae poznała go po twarzy, ale nie pamiętała, jak ma na imię, więc tylko skinęła głową na przywitanie.

Taksówka wjechała do środka i zatrzymała się na rondzie przed głównym budynkiem. Shae sięgnęła po portfel.

– Nie musisz płacić, Kaul-jen – oznajmił taksówkarz. – Wybacz, że nie poznałem cię w tym cudzoziemskim ubraniu. – Odwrócił się i obdarzył ją pełnym nadziei uśmiechem. – Mój teść jest lojalnym latarnikiem, ale ostatnio jego interes ma trudności. Gdybyś mogła...

Shae wcisnęła mu pieniądze w rękę.

– Weź je – nalegała. – Jestem teraz tylko panną Kaul i nie mam w klanie żadnych wpływów. Powiedz teściowi, żeby zawiadomił prognostyka odpowiednimi kanałami.

Stłumiła poczucie winy na widok jego rozczarowania, wysiadła z taksówki, wzięła walizkę i ruszyła schodami do wejścia.

Przy drzwiach natknęła się na Kyanlę, abukejską pomoc domową.

– Och, Shae-se, bardzo się zmieniłaś! – Uściskała Shae i odsunęła ją na długość wyciągniętych ramion. – Pachniesz jak Espenka. – Roześmiała się radośnie. – Ale nie powinnam się temu dziwić. W końcu jesteś teraz wielką espeńską bizneswoman.

– Nie gadaj głupstw, Kyanlo – odparła Shae, uśmiechając się słabo.

Dzięki czystemu, nieustępliwemu pracoholizmowi ukończyła kurs z wynikiem w górnej jednej trzeciej pomimo faktu, że studiowała w obcym języku, a po nauce w Akademii Kaul Du środo-

wisko espeńskiej uczelni wydawało się jej czymś bardzo dziwnym. Cały czas siedzieli w wielkich salach i gadali, jakby każdy student chciał zostać instruktorem. Na wiosnę odbyła rozmowy kwalifikacyjne z kilkoma wielkimi kompaniami prowadzącymi rekrutację na kampusie. Otrzymała nawet propozycję wstępnego zatrudnienia w jednej z nich, ale widziała, jak patrzą na nią rekruterzy.

Gdy wchodziła do pokoju, siedzący za stołem mężczyźni – to zawsze byli mężczyźni – przyjmowali założenie, że jest Tuni albo Szotarką i w ich oczach pojawiał się pierwszy błysk uprzedzeń. Kiedy spojrzeli na jej CV i zobaczyli, że jest z Kekonu i wychowywano ją na zieloną kość, na ich twarzach pojawiał się otwarty sceptycyzm. Espeńczycy mogli być dumni z własnej wojskowej potęgi, ale jej militarne wykształcenie nie szanowali. Na co mogłoby się zdać w cywilizowanym, profesjonalnym środowisku espeńskiej korporacji? To nie był Kekon, gdzie nazwisko Kaul znaczyło bardzo wiele, a jedno słowo dziadka mogło zdobyć dla niej wszystko. W takich chwilach czuła się głupia, myśląc o swych romantycznych planach zrobienia kariery na własną rękę. Głupia i samotna. A teraz wróciła do domu, który dwa lata temu pragnęła jak najszybciej opuścić.

Lan czekał na nią u podstawy schodów.

– Witaj w domu – rzekł z uśmiechem.

Podeszła do niego i uściskała go mocno. Nie widziała brata od dwóch lat i w jednej chwili zaląła ją fala radości. Lan był dziewięć lat starszy od niej i nigdy nie bawili się razem, ale zawsze był dla niej dobry. Bronił jej przed Hilem, nie osądzał jej, gdy opuściła dom, i był jedynym członkiem rodziny, który pisał do niej, kiedy studiowała w Hiszpanii. Niekiedy jego listy, pisane precyzyjnie kreślonymi literami, były dla niej jedynym, co łączyło ją z Kekonem, jedynym dowodem na to, że miała rodzinę i przeszłość.

*Dziadek nie czuje się dobrze* – napisał po prostu na końcu ostatniego listu. *To raczej upadek duchowy niż zdrowotny. Wiem, że tęskni za tobą. Dobrze by było, gdybyś po ukończeniu studiów przyleciała tu, żeby zobaczyć się z nim i z mamą.* Gdy czytała ten list, ból po zerwaniu z Jeraldem nadal był świeży jak sącząca się rana. Raz jeszcze przeczytała list od brata. Odrzuciła jedyną propozycję pracy, którą dostała, i zabukowała bilet do Janloonu.

Lan również ją uściskał i pocałował w środek czoła.

– Jak się czuje dziadek? – zapytała.

– Twoje włosy – rzekł w tej samej chwili jej brat.

Oboje się roześmiali. Shae poczuła się, jakby nagle wypuściła z płuc powietrze wstrzymane przez dwa lata.

– Czeka na ciebie – odparł Lan. – Chcesz pójść na górę?

Zaczerpnęła głęboko tchu i skinęła głową.

– Nie sądzę, by czekanie miało w czymś pomóc.

Weszli na piętro razem. Brat trzymał dłoń na jej ramieniu. Z tak bliska czuła przyciągający zew jego jadeitu, ledwie dostrzegalną zmianę w powietrzu, na którą jej ciało reagowało tęsknym uściskiem w żołądku. Minęło wiele czasu, odkąd jadeit ostatnio przyprawił ją o zawroty głowy. Odsunęła się od Lana i zwróciła ku dwuskrzydłowym drzwiom przed sobą.

– Ostatnio mu się pogorszyło – poinformował ją brat. – Ale dzisiaj jest dobry dzień.

Zapukała do drzwi.

– No wiesz, Postrzegalem cię nawet bez jadeitu, kiedy weszłaś do środka i powlokłaś się na górę – zabrzmiał głos Kaul Sena. – Wejdz.

Shae otworzyła drzwi i stanęła przed dziadkiem. Powinna była najpierw się przebrać i wziąć prysznic. Kaul Sen omiółł przesywającym wzrokiem jej jaskrawy, cudzoziemski strój. W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. Podkulił nozdrza i odsunął się od wnuczki, jakby obrażał go jej zapach.

– Bogowie – mruknął. – Te dwa lata zaszkodziły ci w takim samym stopniu jak mnie.

Shae powtórzyła sobie, że mimo tyrańskich zapędów jej dziadek jest jednym z najbardziej bohaterskich i szanowanych ludzi w kraju, że jest teraz stary, samotny i jego stan się pogarsza, a dwa lata temu złamała mu serce.

– Przyjechałam prosto z lotniska, dziadku. – Dotknęła splecionymi dłońmi czoła w tradycyjnym geście wyrażającym szacunek, po czym uklękła przed jego wózkiem i opuściła wzrok. – Wróciłam do domu. Czy zechcesz znowu zaakceptować mnie jako swoją wnuczkę?

Uniosła spojrzenie i zauważyła, że oczy staruszka przybrały łagodniejszy wyraz. Nie zaciskała już sztywno ust, a jego wargi drżały lekko.

– Ach, Shae-se, jasne, że ci wybaczam – odparł, choć wcale nie prosiła o wybaczenie. Kaul Sen wyciągnął sękaty dłoń, a wnuczka wstała i je uściśniła. Ten dotyk był jak wstrząs elektryczny. Pomimo zaawansowanego wieku aura jego jadeitu była potężna. Kości ramion Shae przeszły mrowienie wywołane wspomnieniami i tęsknotą.

– Bez ciebie rodzina nie była kompletna – oznajmił Kaul Sen. – Twoje miejsce jest tutaj.

– Tak, dziadku.

– Możemy prowadzić interesy z cudzoziemcami. Powtarzałem to wiele razy, bogowie wiedzą, że tak było. Mówiłem to wszystkim. Musimy otworzyć granice Kekonu i zaakceptować zewnętrzne wpływy. Z tego powodu złamałem pakt braterstwa z Ayt Yugontinem. Ale... – Kaul Sen dźgnął palcem powietrze. – Nigdy nie staniemy się tacy jak oni. Jesteśmy inni. Jesteśmy Kekończykami. Zielonymi kośćmi. Nigdy o tym nie zapominaj.

Staruszek obrócił dłonie Shae we własnych i potrząsnął głową ze smutkiem i dezaprobatą na widok jej gołych ramion.

– Nawet jeśli zdejmiesz jadeit, nie staniesz się taka jak oni. Nigdy cię nie zaakceptują, ponieważ czują, że jesteś inna, podobnie jak psy wyczuwają, że są czymś mniej niż wilki. Jadeit jest naszym dziedzictwem. Nasza krew nie powinna się mieszać z krwią innych.

Zacisnął dłonie o przypominającej papier skórze na jej dłoniach w geście mającym dać jej pocieszenie.

Pochyliła głowę bez słowa, ukrywając niezadowolenie z faktu, że dziadek wyraźnie się ucieszył, iż Jerald należy już do jej przeszłości. Poznała go na Kekonie. Stacjonował wtedy na wyspie Euman. Do końca służby zostało mu piętnaście miesięcy, a później zamierzał iść do college'u. Gdy tylko Kaul Sen się dowiedział, że Shae żyje z cudzoziemskim marynarzem, z wściekłością oznajmił, że ten związek nie może się utrzymać. Choć kierował nim przede wszystkim rasizm (Jerald był Szotarczykiem, mimo że urodził się w Espenii) i twierdził, że jej wybranek jest mięczakiem o rozrzedzonej krwi i płytkim sukinsynem, Shae irytowała świadomość, że przepowiednie dziadka się sprawdziły. Jeśli się nad tym zastanowić, z tym płytkim sukinsynem również miał rację.

– Cieszę się, że zdrowo wyglądasz, dziadku – oznajmiła Shae, starając się powstrzymać jego monolog.

Zbył wysiłki dziewczyny machnięciem ręki.

– Nie pozwoliłem tknąć niczego w twoim dawnym pokoju – oznajmił. – Wiedziałem, że wrócisz, gdy tylko minie ci ta faza. Możesz tam zamieszkać.

Zastanowiła się i po krótkiej chwili odparła:

– Dziadku, byłam dla ciebie wielkim rozczarowaniem. Dlatego nie mogłam przyjąć założenia, że nadal jest dla mnie miejsce w domu. Wynajęłam mieszkanie niedaleko stąd i wysłałam tam już swoje rzeczy. – To nie była prawda. Nie znalazła dla siebie mieszkania i nie miała żadnych rzeczy. Z pewnością jednak nie podobała się jej myśl o powrocie do sypialni w rezydencji Kaulów, którą zajmowała jako dziecko, jakby dwa lata i podróż za ocean niczego nie zmieniły. Mieszkając tutaj, byłaby narażona na jadeitowe aury licznych zielonych kości oraz protekcyjnalne przebaczenie dziadka. – Poza tym potrzebuję trochę czasu dla siebie, żeby do tego przywyknąć – dodała. – Żeby zdecydować, co zrobić teraz.

– O czym tu decydować? Porozmawiam z Doru o tym, które interesy ci przekażemy.

– Dziadku – przerwał mu Lan, który stał w wejściu do pokoju, obserwując rozmowę. – Shae ma za sobą długi lot. Daj się jej rozpakować i odpocząć. O interesach możemy porozmawiać później.

– Ha – mruknął Kaul Sen, ale puścił ręce wnuczki. – Pewnie masz rację.

– Wkrótce spotkamy się znowu. – Pochyliła się i pocałowała go w czoło. – Kocham cię dziadku.

Staruszek odchrząknął, ale jego twarz wyrażała ciepłą sympatię. Shae uświadomiła sobie, jak rozpaczliwie brakowało jej tego uczucia. W przeciwieństwie do Lana nie знаła ich ojca i w latach dzieciństwa Kaul Sen był dla niej wszystkim. Rozpieszczał ją, a ona odwdzięczała mu się miłością.

– W imię wszystkich bogów, włóż jadeit – wymamrotał jeszcze, gdy opuszczała pokój. –



Boli mnie, kiedy cię widzę bez niego.

\*\*\*

Wyszła na zewnątrz z Lanem. Byli sami. Słońce już zaszło, pozostawiając jedynie mętną łunę unoszącą się nad dachami budynków otaczających dziedziniec. Shae usiadła na kamiennej ławce obok sztucznie uformowanego klonu i westchnęła głęboko. Brat usiadł obok niej. Przez krótką chwilę żadne z nich się nie odzywało. Zerknęli na siebie i parsknęli śmiechem.

– Mogło być gorzej – zauważyła Shae.

– Jak wspominałem, jest dziś w dobrym nastroju. Lekarz mówi, że powinien nosić mniej jadeitu, ale tę bitwę staram się odwlec.

Lan odwrócił na moment wzrok, ale Shae dostrzegła bolesny grymas na jego twarzy.

– Jak się czuje mama? – zapytała.

– Nieźle. Podoba się jej nowe miejsce. Tam jest bardzo spokojnie.

Ich matka już przed wielu laty pogodziła się z samotnym rodzicielstwem i usługiwaniem wymagającemu teściowi w zamian za bezpieczne i wygodne życie szanowanej wdowy z rodziny władającej klanem Bez Szczytów. Gdy tylko Shae skończyła osiemnaście lat, Kaul Wan Ria wyprowadziła się do nadmorskiej chaty w Marenii, należącej do jej rodziny, trzy godziny jazdy na południe od Janloonu. O ile Shae wiedziała, nigdy już nie odwiedziła miasta.

– Powinnaś do niej pojechać – stwierdził Lan – Nie musisz się śpieszyć, zrób to, jak już się tu urządzisz.

– A co słyhać u ciebie? – zapytała.

Zwrócił twarz ku niej, mrużąc lewe oko. Ktoś stwierdził, że jest podobny do ich ojca, ale Shae tego nie dostrzegła. Jej brat był wytrwały i melancholijny, nie przypominał wojowniczego partyzanta z fotografii wiszących na ścianach w pokoju dziadka. Sprawiał wrażenie, że chce jej coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmienił zdanie i powiedział co innego.

– Wszystko w porządku, Shae. Mam mnóstwo roboty z kierowaniem klanem.

Zalało ją poczucie winy. Podczas pobytu w Espenii nie odpowiadała regularnie na listy brata i nie mogła teraz od niego oczekiwać, że będzie się jej zwierzał. Nie była przy tym pewna, czyby tego chciała. Nie, jeśli musiałyby służyć opowieści o konfliktach terytorialnych, krnąbrnych latarnikach albo pięściach zabitych w pojedynkach. Powiedziała sobie, że od tej chwili nie będzie się mieszała w tego typu klanowe problemy. Pomyślała jednak o tym, że jej brat musi dźwigać brzemię pozycji filaru, a jednocześnie radzić sobie z faktem, że Eyni go opuściła, i z nagłym pogorszeniem się stanu dziadka, mając do pomocy tylko Hila i starego Doru.

– Nie byłam z tobą – rzekła. – Wybacz.

– Masz własne życie, Shae.

W jego głosie nie słyszała się wyrzutu. Dziękowała bogom za to, że to Lan był pierwszym członkiem rodziny, którego spotkała po powrocie. Nie próbował jej zawstydzić za to, że wyjechała, ani z powodu tego, że wróciła. Nie zasługiwała na tak dobre traktowanie i nie mogła na nie liczyć od kogokolwiek innego w rodzinie.

Zaczynał jej dokuczać jet lag. Czowała się zmęczona. Światła w domu zapaliły się, ale po chwili przygasły. Dostrzegła w oknach na piętrze sylwetkę Kyanli zasuwającej żaluzje. W mroku ławki i drzewa, pośród których Shae bawiła się w dzieciństwie, wydawały się chłodne i nieprzystępne niczym wyniośli krewni. Uświadomiła sobie, że Kekon ma swój specyficzny zapach, trudną do opisania woń przesyconą przyprawami i potem. Czy tak właśnie pachniała dla espeńskich kolegów z college'u? Wyobraziła sobie, że ten odór sączy się przez pory jej skóry. Położyła dłoń na ramieniu Lana. Jego jadeitowa aura wypełniła ją niczym cicha, basowa wibracja. Przynęła się bliżej, ale nie nazbyt blisko.

\*\*\*

Zatrzymała się w hotelu w mieście i następne trzy dni poświęciła na szukanie mieszkania. Nie chciała, by znajdowało się za blisko posiadłości Kaulów, ale to nie znaczyło, że może mieszkać gdzie zechce. Nawet jeśli zdjęła jadeit, nie zmieniła twarzy ani nazwiska i pewnych okolic miasta powinna unikać. Ograniczyła zakres poszukiwań do dzielnic pozostających pod ścisłą kontrolą klanu Bez Szczytów, ale i tak musiała jeździć od świtu do zmierzchu tłoczonym, cuchnącym

metrem, pocąc się okropnie w letnim upale, i odwiedzać kolejne budynki.

„To mogłoby być znacznie łatwiejsze”, powtarzała sobie kilka razy. Wystarczyłoby, żeby Lan szepnął słówko latarnikowi będącemu właścicielem kamienicy i w jednej dostałaby świetnie urządzone mieszkanie. Czynnosc byłby o połowę niższy niż dla innych, a właściciel miałby pewność, że jakieś pozwolenie albo kontrakt na budowę, na którym mu zależało, zostaną załatwione w mgnieniu oka. Trzymała się jednak swego postanowienia, że poradzi sobie bez pomocy rodziny. Jako studentka żyła skromnie, a po wymianie na kekońską walutę espeńskie pieniądze, które zarobiła na letnim stażu w zeszłym roku, wystarczą na pół roku czynszu, jeśli będzie oszczędna. Po trzech dniach poszukiwań bolały ją nogi i była okropnie zmęczona, ale zdecydowała się na skromny, lecz wygodny loft z jedną sypialnią, położony w Północnym Sotro, i była z siebie zadowolona.

Kiedy wróciła do hotelu, Hilo czekał na nią w holu. Rozwalił się na wyściełanym, obitym skórą fotelu, ale gdy tylko ją zobaczył, wyprostował się natychmiast. Jego pięść – jeden z braci Maik, Shae nie była pewna który – wstał ze stojącego obok krzesła i przeszedł na drugi koniec holu, by pozwolić im porozmawiać w cztery oczy.

Jej brat nie zmienił się od czasu, gdy widziała go ostatnio, dwa lata temu. Z niespodziewaną samoświadomością zadała sobie pytanie, czy ona się zmieniła w jego oczach, czy włosy albo ubranie sprawiały, że wydawała się starsza albo cudzoziemska. Hilo był zaledwie jedenaście miesięcy starszy od niej. Kiedy opuszczała Kekon, byli poniekąd równi sobie. Teraz była bezrobotną singielką nienoszącą jadeitu, on zaś stał się jedną z najpotężniejszych osób w Janloonie i miał na swoje rozkazy setki zielonych kości.

Wiedziała, że nie zdoła uniknąć tej chwili, powtarzała sobie jednak, że może z tym zacekać. Czy Lan powiedział mu, gdzie ją znajdzie, czy raczej personel hotelu zawiadomił jego palce? Gdy wstał, by ją przywitać, Shae wzięła się w garść. Nie spodziewała się, że do ich spotkania dojdzie w hotelowym holu.

– Cześć, Hilo – rzekła.

Uściskał ją z wielką czułością.

– Dlaczego mieszkasz w hotelu? Unikasz mnie? – W jego głosie zabrzmiała szczerza uraza. Shae zapomniała, że często bywał bardzo drażliwy. Ujął jej twarz w dłonie i ucałował ją w oba policzki, a następnie w czoło. – Zapomniałem o przeszłości – zapewnił. – Wróciłaś i wszystko jest wybaczone. Jesteś moją siostrzyczką, jak mógłbym ci nie wybaczyć?

Przemknęło jej przez głowę, że mówi o wybaczeniu zupełnie jak dziadek. Sam o nie nie prosił, mimo że nazwał ją kurwą oraz zdrajczynią klanu i zaproponował przy niej, Lanie i dziadku, że zabije Jeralda, jeśli tylko otrzyma takie polecenie. Gdyby Jerald nie był espeńskim oficerem, a Lan nie był przy tym obecny i nie mógł wszystkich uspokoić, Kaul Sen równie dobrze mógłby je wydać.

Kusiło ją, by nadal gniewać się na Hila. To byłoby łatwe, gdyby on wciąż był na nią wściekły, ale jego wspaniałomyślność była równie gwałtowna i niepowstrzymana jak aura jadeitu. Czowała, że jej ciepło ją wypełnia, rozluźniając napięcie osłaniające niczym zbroja jej plecy i ramiona.

– Nie unikałam cię – zapewniła. – Przyleciałam niedawno i potrzebowałam trochę czasu, żeby się urządzić.

Odsunął się o krok, nadal trzymając ją za łokcie.

– Gdzie twój jadeit?

– Nie noszę go – odpowiedziała.

Na jego czole pojawił się mars. Pochylił się ku niej.

– Potrzebujemy cię, Shae – rzekł ściszym głosem. Spojrzał jej prosto w oczy. – Góra nas zaatakuję. Wszystko wskazuje na to, że tak się stanie. Myślę, że jesteśmy słabi. Dziadek siedzi bezczynnie. Nigdy nie wychodzi z domu. Doru nie ufam nawet w najmniejszym stopniu. Ale twój powrót może wszystko zmienić. Dziadek zawsze lubił cię najbardziej. Gdybyśmy oboje wsparli Lana...

– Hilo – przerwała mu. – Nie chcę się mieszać w sprawy klanu. Wróciłam do Janloonu, ale to jeszcze nie znaczy, że chcę w nich uczestniczyć.

Przechylił głowę.

– Potrzebujemy cię – odpowiedział po prostu.

Kilka okrutnych słów wystarczyłoby, żeby go przegnać. Miała ochotę je wypowiedzieć – żeby go zranić, odrzucić, sprowokować – ale miała już dość ich rywalizacji. Walka z Hilem była namiastką, złym nawykiem, któremu ulegała przez całe życie. Pragnęła zostawić go za sobą razem z jadeitem. Nie chciała do tego wracać. Oboje byli już dorośli. Hilo był teraz rogiem klanu Bez Szczytów. Jeśli chciała dłużej zostać na Kekonie, nie powinna mu się narażać.

Stłumiła pragnienie udzielenia ostrej odpowiedzi.

– Nie jestem jeszcze gotowa. Muszę zdecydować, co powinnam teraz zrobić. Możesz to uszanować, prawda?

Na twarzy Hila otwarcie walczyło kilka różnych uczuć. Starł się powściągnąć rozczarowanie, by spróbować ocenić jej szczerłość. Przyszedł do niej uzbrojony w ciepło i braterski uśmiech, a gdy Hilo otwierał się przed kimś, oczekiwał w rewanżu tego samego. Byłoby ryzykowne nie spotkać go w połowie drogi. Kiedy przemówił, jego głos był spokojniejszy.

– W porządku. Mogę ci dać czas. Ale nie ma się nad czym zastanawiać, Shae. Jeśli nie chcesz być członkiem klanu, nie powinnaś wracać. – Uniósł palec, nim zdążyła mu odpowiedzieć. – Nie sprzeciwiaj się. Nie chciałbym zapomnieć, że ci wybaczyłem. Jeśli prosisz, żebym zostawił cię na chwilę w spokoju, zrobie to. Ale nie jestem taki cierpliwy jak Lan.

Oddalił się. Jego jadeitowa aura zanikała szybko niczym fala odpływająca do morza.

– Hilo! – zawołała. – Pozdrów ode mnie Andena.

Brat odwrócił się do niej przez ramię.

– Sama go pozdrów.

Jego pięść obrzucił ją pełnym wyrzutem spojrzeniem i obaj zniknęli w ciepłej nocy za drzwiami hotelu.

## Rozdział 7

### Akademia Kaul Dushurona

Nawet w cieniu po plecach i twarzach uczniów z ósmego roku spływały strużki potu. Było ich dziesięciu. Wszyscy stali nerwowo za niskimi wieżami z gorących cegieł.

– Jeszcze po jednej – polecił nauczyciel. Pomocnicy z trzeciego roku podbiegli ze szczypcami do ogniska, ostrożnie, lecz szybko wyjęli z płomieni kolejne cegły i położyli je na szczytach dziesięciu dymiących stosów.

– Ach, co wybrać, ból czy porażkę? – mruknął jeden z ósmoroczniaków o imieniu Ton.

Z pewnością kierował to pytanie do kolegów i nie chciał, by nauczyciel je usłyszał, ale mistrz Sain miał wyostrzone zmysły.

– Biorąc pod uwagę fakt, że jeśli nie przejdziesz Testów pod koniec roku, nigdy w życiu nie będziesz nosił nowego kawałka jadeitu, lepiej byłoby wybrać ból – odpowiedział z przekąsem i omiół wzrokiem szereg czekających uczniów. – I co? Czekacie, aż cegły wystygną?

Emery Anden potarł opaskę ćwiczebną na lewym nadgarstku, raczej odruchowo niż z potrzeby dodatkowego kontaktu z jadeitami wprawionymi w skórzany pasek. Zamknął oczy, starając się pochwycić i skupić niezwykłą energię, którą tylko niewielki procent Kekończyków był w stanie opanować. To rzeczywiście był wybór między bólem a porażką, jak ujął to Ton. Jeśli uwolni wystarczającą Siłę, rozbije cegły, ale jeśli użyje Stali, uniknie poparzenia przez odpryski gorącej gliny. Chyba że – czego miało ich nauczyć to ćwiczenie – użyje Siły i Stali jednocześnie. Naprawdę biegłe zielone kości, jakimi pragnęli zostać Anden i jego koledzy, potrafiły w mgnieniu oka przywołać każdą z sześciu dyscyplin – Siłę, Stal, Postrzeganie, Lekkość, Odbijanie i Przenoszenie.

Anden usłyszał nagły trzask. Z ust Tona wyrwał się stłumiony pisk bólu. To nie jest takie trudne jak algebra, pomyślał chłopak i uderzył kłębem dłoni w środek górnej cegły. Rozpadła się, po niej druga, a następnie trzecia. Kaskada mocy trwała tylko sekundę, ale Anden czuł ją wyraźnie. To było jak szereg przewracających się kolejno kart do gry. Energia płynęła też w drugą stronę, do jego ramienia, barku oraz reszty ciała. Cofnął natychmiast rękę, otworzył raptownie oczy i przyjrzał się własnym dłoniom.

– Trzymaj je otwarte – odezwał się Sain niemalże znudzonym głosem. Przeszedł wzdłuż szeregu uczniów, pocierając z rozczarowaniem gruzłowatą skórę na karku.

– Widzę, że niektórzy z was będą musieli poświęcić popołudniową przerwę na wizytę w izbie chorych – oznajmił, marszcząc nos na widok poparzonych dłoni. Kopnął nieuszkodzoną cegłę leżącą na ziemi. – A inni ucierpią na dodatkowych ćwiczeniach Siły. – Dotarł do końca szeregu, spojrzął na sześć rozbitych cegieł Andena i jego niepoparzone dłonie, po czym odchrząknął – to była najbliższa pochwały reakcja, na jaką kiedykolwiek zdobył się zastępca dyrektora.

Anden skromnie wlepił spojrzenie w skruszone cegły przed sobą. Uśmiech albo radość świadczyłyby o nieokrzesaniu. Mimo że urodził się na Kekonie i nigdy go nie opuszczał, zawsze uważał, by pod żadnym względem nie sprawiać wrażenia cudzoziemca. Ten podświadomy impuls towarzyszył mu przez całe życie.

Sain splótł dłonie.

– Zdejmijcie opaski. Spotkamy się za tydzień. Będziecie powtarzać to ćwiczenie, aż je opanujecie albo odniesiecie obrażenia zbyt wielkie, byście mogli ukończyć Akademię.

Uczniowie dotknęli czół splecionymi dłońmi, tłumiąc jęki, i oddalili się, by zrobić miejsce trzecioroczniakom, którzy mieli posprzątać resztki. Anden odwrócił się, zdjął opaskę i wsadził ją do pojemnika. Następnie przykucnął, opierając się o ścianę, i zacisnął powieki w chwili, gdy nadszedł wstrząs. Wyższa wrażliwość na jadeit często wiązała się z cięższymi objawami odstawienia, nawet po krótkim kontakcie z nim. Anden często potrzebował dwa razy więcej czasu niż inni uczniowie, by wrócić do siebie. Zdobyl już jednak wprawę. Oddychał miarowo, starając się uspokoić, pomimo dezorientującego wrażenia, że świat usuwa mu się spod nóg, wszystko staje się mroczniejsze, a granice jego pola widzenia robią się zamazane. Z czasem wszystko wróciło do nudnej normalności. Po

niespełna minucie zapanował nad wszystkimi objawami, wstał i zarzucił torbę na ramię.

– Słyszałem, że Sain stęknął – odezwał się Ton, zanurzając dłoń w misce chłodnej wody przyniesionej przez dwóch trzecioroczników dla starszych kolegów. – Dobra robota, Emery.

Wymawiał jego imię po kekońsku, *Em-Ri*.

– Moje cegły były cieńsze – odparł uprzejmie Anden. – Jak twoja ręka?

Ton skrzywił się. Owinał dłoń rękawem i przyciskał rękę sztywno do brzucha. Był chudym chłopakiem, niższym od Andena, ale z Siłą radził sobie znakomicie. Jadeit był dziwny pod tym względem. Czasami szczupła kobieta potrafiła zgiąć metalową sztabę, a masywnie zbudowany mężczyzna władający Lekkością mógł wbiec w górę po ścianie albo zeskoczyć z dachu. Kolejny z wielu dowodów na to, że jadeitowe zdolności nie mają fizycznego charakteru.

– Chciałbym, żeby medyczne Przenoszenie lepiej działało na powierzchowne rany – stwierdził z przygnębieniem w głosie Ton. – W dodatku to musiało się zdarzyć przed Dniem Łodzi. – Przerwał, spoglądając na Andena. – Hej, keke, kilku z nas zamierza się wybrać do barów w Dzielnicy Portowej, przed zatopieniem statku w przyszłym tygodniu. Chcesz pójść z nami? A może masz jakieś inne plany?

Anden odnosił wrażenie, że zaproszono go na doczepkę, co zdarzało się często, ale oczywiście nie miał innych planów. Pomyślał też, że może będzie tam Lott Jin.

– Jasne – zgodził się. – To brzmi nieźle.

– Świetnie – ucieszył się Ton. – No to do zobaczenia.

Ruszył w stronę izby chorych, ściskając poparzoną rękę. Anden poszedł w przeciwnym kierunku, ku akademikom. Pogrążył się w zamyśleniu. Spędził w Akademii z górą siedem lat i przywykł do tego, że żyje w szacownym, lecz wypełnionym samotnością pograniczu, w którym nie ma nikogo poza nim. Nigdy nie był do końca wykluczony, ale koledzy nie uważali go też za jednego z grupy. Odnosili się do niego serdecznie (nie mieli innego wyjścia), a Tona i kilku innych mógł uważać za prawdziwych przyjaciół, wiedział jednak, że wielu uczniów czuje się z rozmaitych powodów nieswojo w jego towarzystwie i nie liczył na pełną akceptację.

Pau Noni, kolejna z ósmoroczników, podbiegła truchtem do niego. Jej twarz poczerwieniała od wilgotnego upału.

– Anden! Masz gościa! Czeka na ciebie przy wejściu.

Wskazała na drogę wiodącą do pawilonu wejściowego.

Gościa? Chłopak spojrzał w tamtym kierunku, poprawiając okulary na spoconym nosie. Krótkowzroczność czyniła odstawienie jadeitu jeszcze gorszym, ponieważ wiązała się z nim utrata Postrzegania. Któż mógłby go odwiedzić? Torba podskakiwała mu na plecach, gdy biegł przez pole treningowe.

Małe pole wschodnie było jednym z kilku na kampusie zajmującym powierzchnię sześćdziesięciu akrów. Akademię Kaul Dushurona zbudowano na wzgórzu w Parku Wdowy. Ze wszystkich stron otaczała ją ruchliwe miasto bądź jego przedmieścia, ale wysokie mury Akademii oraz stare wiazy i kamforowce, rzucające cień na długie, parterowe budynki oddzielały ją od metropolii, podtrzymując aurę tradycyjnego sanktuarium zielonych kości. Akademia była dziedzictwem Kaul Sena, hołdem dla jego syna i – co ważniejsze – jednym z najbardziej dostrzegalnych dowodów na to, że kultura zielonych kości na dobre zdobyła centralną pozycję w kekońskim społeczeństwie. Gdy Anden się nad tym zastanowił, musiał przyznać, że cieszy się z tego, iż Akademia jest nie tylko szkołą, lecz również symbolem.

Chłopak zwolnił, gdy dotarł do małego skalnego ogrodu znajdującego się za głównym wejściem. Na jednym z niskich murków siedział jakiś mężczyzna. Jego zgarbiona postać świadczyła o znudzeniu. Miał na sobie szyte na miarę beżowe spodnie, rękawy koszuli podwinął sobie do połowy przedramion, a marynarkę powiesił na murku obok siebie. Gdy Anden się zbliżył, mężczyzna wstał i chłopak zorientował się, że to Kaul Hilo.

Poczuł w piersi ucisk.

– Widzę, że zaskoczył cię mój widok, kuzynie – odezwał się Hilo. – Nie spodziewałaś się, że przyjdę złożyć ci życzenia z okazji urodzin?

Anden przed kilkoma dniami skończył osiemnaście lat. Ten dzień przeszedł niepostrzeżenie, ponieważ w Akademii uważano, że osobiste uroczystości są w złym guście, i instruktorzy patrzyli na nie z niechęcią. Chłopak szybko odzyskał równowagę i na znak szacunku dotknął czoła złączo-

nymi dłońmi.

– Nie, Kaul-jen. Po prostu wiem, że ostatnio jesteś bardzo zajęty. Czuję się zaszczycony, że mnie odwiedziłeś.

– „Czuję się zaszczycony, Kaul-jen” – powtórzył Hilo przesadnie oficjalnym tonem. Lewa strona jego ust rozciągnęła się w drwiącym uśmiechu. – Skąd te formalności, Andy? Czy to miejsce zupełnie cię wypaczyło? – Hilo rozpostarł ramiona. – W moim przypadku to nie zadziałało.

Jesteś Kaulem. Całą szkołę nazwano na cześć twojego ojca. Nawet wśród bezjadeitowych nowicjuszy istniały przywileje. Każdego, kto pochodziłby z mniej ważnej rodziny albo nie był tak utalentowany, wyrzucono by z Akademii za wykroczenia, jakie popełnił Hilo jako uczeń. A teraz był rogiem klanu Bez Szczytów. Kto by pomyślał?

Anden starał się stłumić niepokój. Hilo był dziewięć lat starszy od niego, ale sprawiał wrażenie, że w ogóle się nie postarzał od chwili ukończenia akademii. Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że obaj są w tym samym wieku.

– Jak się czuje dziadek? – Anden nazywał Kaul Sena dziadkiem, podobnie jak młodszych Kauli zwał kuzynami. – I Lan-jen?

– Ach, obaj pozostają typowymi filarami.

Hilo podszedł do niego nieśpiesznie.

Anden ściągnął torbę z pleców, szybko zdjął okulary i schował je do bocznej kieszeni. Miały nową oprawkę i nie chciałby...

Ledwie zdążył rzucić torbę za siebie. Hilo złapał go szybko jak małpa chwytająca owoc. Zaciśnął dłonie na jego łokciu i nadgarstku z siłą imadła, obrócił je gwałtownie i zbił go z nóg.

Anden wykorzystał impet, by złagodzić uścisk kuzyna, i pociągnął go za sobą. Obaj się zachwiali. Hilo silnie kopnął go kolanem w bok, raz, a potem drugi. Chłopak zacharczał i zgiął się wpół, czepiając się bezradnie ramion Hila w pozie suplikanta. Uderzył czołem w bark przeciwnika.

Jego usta wypełnił ostry smak jadeitowej energii. Energii Hila. Byli bardzo blisko siebie i rezonans wypełnił całe ciało Andena, pulsując rytmicznie z każdym uderzeniem serca, oddechem i ruchem Hila. Do mózgu chłopaka napłynęła krew. To nie była prawdziwa jadeitowa euforia, ale coś bardzo zbliżonego. Chciwie pochwyił falujące brzegi aury kuzyna. To było tak, jakby sięgał po strumień pary. Gdy Hilo spróbował znowu go kopnąć, Anden wykorzystał moment nierównowagi i uderzył otwartą dłonią w mostek Hila z Siłą wystarczającą, by starszy mężczyzna zatoczył się kilka kroków do tyłu.

Z twarzy Hila nie zniknął uśmiech. Przesunął się tanecznym krokiem w bok i przeszedł do kontrataku. Chłopak wziął się garść. Nie mógł uciec przed kuzynem, bez względu na to, jak ciężkiego bicia się spodziewał. Hilo zasypał go błyskawicznymi, zadawanymi od niechcenia ciosami. Anden chwiał się na nogach, tłumiąc jęki. Odbił kolejny cios, zbliżył się do przeciwnika i uderzył ramieniem w jego biceps, a potem walnął go w podbródek krawędzią otwartej dłoni.

Głowa Hila odskoczyła do tyłu. Mężczyzna zachwiał się i kaszlnął. Anden bez chwili wahania uderzył kuzyna w usta.

– A niech to – mruknął Hilo.

Obrócił się i kopnął Andena w brzuch z Siłą tak wielką, że chłopak uniósł się w górę i wylądował na plecach na żwirze.

Anden jęknął. Dlaczego to robisz? Był tylko uczniem i nie wolno mu było nosić jadeitu poza sesjami treningowymi nadzorowanymi przez instruktorów. Hilo był potężną zieloną kością. Szanse z całą pewnością nie były równe. Oczywiście nie o to chodziło. Podniósł się chwiejnie i walczył dalej. Nie miał wyboru, jeśli chciał uniknąć zbiccia na kwaśne jabłko.

Ich walka przyciągnęła gapiów. Grupka młodszych nowicjuszy zgromadziła się, by oglądać, jak czołowemu uczniowi Akademii spuszcza łomot róg klanu Bez Szczytów. Hilowi wyraźnie sprawiało to przyjemność. Od czasu do czasu zerkał na gapiów z tolerancyjnym rozbawieniem. Andena nagle wypełniło niedorzeczne zmartwienie myślą, że uczniowie nieznający Hila mogą pomyśleć, że jest wścickły albo okrutny. Mogli nie zauważyć, że porusza się od niechcenia, a jego twarz ma przyjazny wyraz, jakby prowadzili pogawędkę przy obiedzie, a nie zasypywali się ciosami.

Anden przyjmował bolesne uderzenia i odwdzięczał się własnymi, w miarę swoich możliwości. Atakował zębra i nerki, raz jeszcze rozkwaślił twarz kuzyna, a nawet pochylił się, by wyprowadzić uderzenia na kolana i pachwinę. Wreszcie Hilo obalił go na ziemię i unieruchomił, opierając

kolana między jego łopatkami. Anden obrócił głowę. Twarz miał wciśniętą w ziemię i nie był w stanie się ruszyć. Gdybyż tylko jakikolwiek inny członek rodziny, a nie Kaul Hilo, postanowił go dziś odwiedzić.

Hilo stoczył się z Andena i usiadł na ziemi obok niego. Nogi wyciągnął przed siebie, wspierając się na rękach.

– A niech to. – Otarł twarz koszulą, zostawiając na tkaninie ślady krwi i potu. – Został ci niespełna rok do ukończenia Akademii, Andy. Muszę wykorzystać ten czas. Wiesz, że Lan mógł mi skopać tyłek bez wysiłku, kiedy nosił jadeit, a ja jeszcze nie?

Lan uważał, że jesteś szalony, pomyślał Anden. Starszy z braci Kaulów opowiadał chłopakowi, że Hilo atakował starszego brata i uparcie chciał z nim walczyć, mimo że Lan był osiem lat starszy od niego i nosił jadeit. Kilka razy nie miał innego wyjścia niż stłuc go niemal do nieprzytomności.

– Odegrasz się na mnie, kiedy dostaniesz jadeit. Spójrz na siebie. Jestem zieloną kością, pierdolonym rogiem klanu. A i tak dałeś mi to... – wskazał na krwawiącą wargę – ...to... – dotknął bolesnego guza na głowie – ...i to. – Uniósł koszulę i pokazał Andenowi ciemny siniak na tułowiu. Opuścił koszulę i uśmiechnął się tak radośnie, że chłopak wybałuszył oczy ze zdumienia. – Zawsze wiedziałem, że jesteś kimś wyjątkowym. Czułeś jadeit na mnie, prawda? A nawet potrafiłeś go wykorzystać. Wiesz, jak rzadko to się zdarza? W twoim wieku? Pomyśl, kim się staniesz, kiedy otrzymasz zieleń.

Anden cieszył się z pochwał kuzyna, ale nie czuł się szczególnie dumny z tego, jak wypadł. Wszystko go bolało. Czuł się jak myszka, którą znudzony tygrys podrzucał przez kilka godzin. Zastanawiał się, dlaczego nie bawi się przy tym tak dobrze jak jego kuzyn. Czy chodziło o to, że nie jest Kekończykiem czystej krwi? Zgodnie ze stereotypami Kekończycy byli narodem zawsze chętnym do rywalizacji. Nie zdarzały się spotkania towarzyskie, na których nie dochodziłoby do jakichś konkursów fizycznej sprawności – od płucia nasionami do kubków, poprzez toczone na ostro mecze piłki sztafetowej, aż po prawdziwe bójki. Po takich wydarzeniach (które z reguły były niegroźne, lecz czasami śmiertelnie poważne) uprzejmość wymagała, by zwycięzca wygłosił jakiś komentarz umniejszający swój sukces („Wiatr mi sprzyjał”, „Więcej dzisiaj zjadłem”) albo powiedział coś, co pozwoliłoby przeciwnikowi zachować twarz („Gdybyś miał lepsze buty, byłbyś nie do pokonania”, „Miałem szczęście, że ręce cię bolały”), choćby nawet nie brzmiał przekonująco.

Było zatem możliwe, że pochwały Hila płynęły z czystej uprzejmości. Anden nie sądził jednak, by tak było. Nie, kuzyn chciał w ten sposób sprawdzić, ile jest wart, upewnić się, czy Anden jest człowiekiem, który walczy do końca, choćby nie miał szans na zwycięstwo.

Hilo wstał i otrzepał spodnie.

– Przejdź się ze mną kawałek.

Anden miał ochotę odpowiedzieć, że naprawdę powinien pójść do izby chorych. Podźwignął się jednak z wysiłkiem, wziął zakurzoną torbę i pokuśtykał obok kuzyna ścieżką wiodącą przez ogród skalny. Teraz mogli porozmawiać.

Hilo wyciągnął dwa papierosy i zaoferował jeden Andenowi. Papieros chłopaka zapalił najpierw.

– Będziesz musiał zacząć jako palec, tak samo jak wszyscy. Tak właśnie to robimy. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, w sześć miesięcy zostaniesz pięścią. Dam ci terytorium i ludzi.

Gapie się rozproszyli. Hilo spojrzał na drugi koniec pola, gdzie uczniowie ustawiali się w kolejce do ćwiczeń.

– Musisz zacząć zwracać uwagę na kolegów i zastanowić się, których chciałbyś mieć jako palce. Umiejętności są ważne, ale to nie wszystko. Potrzebujesz ludzi lojalnych i zdyscyplinowanych. Takich, którzy nie będą sprawiać kłopotów, ale nie pozwolą też sobą pomiatać.

Połączenie rzutu adrenaliny ze słowami Hila sprawiło, że palce Andena zaczęły drżeć. Zaciągnął się papierosem.

– Kaul-jen... – zaczął.

– Andy, do cholery. Czy muszę cię znowu zbić? Przestań tak do mnie mówić!

Położył rękę na ramionach chłopaka. Anden się wzdrygnął, ale Hilo przyciągnął go do siebie i pocałował w policzek.

– Uważam cię za brata, w takim samym stopniu jak Lana. Wiesz o tym.

Andena wypełniła zawstydzająca fala ciepła. Nie potrafił się powstrzymać przed rozejrzeniem się wkoło, by sprawdzić, czy ktoś był świadkiem tej nagłej demonstracji uczuć.

Hilo to zauważył.

– Boisz się, że dojdą do niewłaściwych wniosków? – zażartował. – Dlatego, że wiedzą, że lubisz chłopców? – Roześmiał się w głos, gdy Anden obrzucił go zdumionym spojrzeniem. – Nie jestem głupi, kuzynie. Niektóre z najpotężniejszych zielonych kości w dziejach były homo. Myślisz, że to ma dla mnie jakieś znaczenie? Tylko nie zapominaj, że już niedługo będziesz musiał zacząć uważać, z kim jesteś. Mieć pewność, że ten ktoś nie ma zakusów na twoją zieleń.

Anden usiadł ciężko na kamiennym murze oporowym, wyciągnął okulary z kieszeni torby i spróbował wytrzeć z twarzy brud oraz pot, zanim je włożył. Rada kuzyna zabrzmiała głupio. Nie był w żadnym romantycznym związku i chwilami przestawał wierzyć, że to kiedykolwiek się stanie. Nie miał jednak ochoty dzielić się tą opinią z rogiem, a poza tym miał poważniejsze powody do obaw.

– Hilo... – zaczął z namysłem – ...co, jeśli się okaże, że nie potrafię sobie poradzić z jadeitem? Że mnie na to nie stać? Jestem tylko półkrwi Kekończykiem.

– Ale to bardzo silna połowa – zapewnił Hilo. – Odrobina cudzoziemskiej krwi może cię uczynić jeszcze lepszym.

Wrażliwość na jadeit była skomplikowaną sprawą. Tylko u Kekończyków jej poziom pozwalał na zostanie zielonymi kośćmi. Anden jako mieszaniec był granicznym przypadkiem. Z pewnością był wrażliwszy, co przy odpowiednim szkoleniu mogło oznaczać większe możliwości. Albo niosącą śmierć skłonność do śwędziawki.

– Znasz historię mojej rodziny – rzekł cicho chłopak.

Instruktor prowadził przez pole grupkę dzieci niosących wiadra oraz łopaty. Chwiały się ze zmęczenia w upale, ale wiedziały, że lepiej się nie skarżyć. Pierwsze dwa lata w Akademii składały się z nieustannej nauki i ciężkiej pracy fizycznej, połączonych ze stale się zwiększającą ekspozycją na jadeit. Te dzieci nie zaczęły studiować sześciu dyscyplin, dopóki nie znajdą się na trzecim roku. Tolerancję na jadeit budowało się przez rygorystyczne mentalne i fizyczne warunkowanie, podobnie jak siłę mięśni, swoją rolę grały też jednak szczęście oraz genetyka. Nie sposób było odgadnąć, dlaczego niektóre zielone kości mogły dźwigać wielki ciężar jadeitu bez straszliwych skutków ubocznych, a inne nie.

Hilo podrapał się kciukiem po brwi. Drugą rękę nadal trzymał na ramieniu chłopaka.

– Historię twojej rodziny? Twój dziadek był legendarnym bohaterem wojennym, a twoi stryjowie sławnymi pięściami. Mówią, że twoja matka potrafiła Postrzec ptaka w locie i użyć Przenoszenia na taką odległość, by zatrzymać jego serce.

Anden gapił się na płonący koniuszek papierosa. Nie to miał na myśli.

– Nazywali ją Szaloną Czarownicą.

Pewnej głębokiej nocy, gdy miał siedem lat, Anden znalazł matkę nagą w wannie. Doskonale pamiętał tę chwilę. To było po upalnym letnim dniu, jednym z tych, gdy ludzie wieczorami kładli lód na pościel i wieszali przed wentylatorami mokre ręczniki. Wstał, żeby zrobić siku. Światło w łazience się paliło, a kiedy wszedł do środka, zobaczył, że tam siedziała. Włosy zwisały jej w strąkach, ich mokre kosmyki lepiły się do twarzy, a ramiona i policzki lśniły żółtym blaskiem w elektrycznym świetle. Miała na sobie tylko naszyjnik z trzema warstwami jadeitu, którego nigdy nie zdejmowała. Wanna była w połowie wypełniona wodą, różową od krwi. Mama Andena spojrzała na niego. Jej twarz wyrażała niepewność i zdziwienie. W dłoni trzymała tarkę do sera. Odsłonięte ciało wyglądało jak mielona wołowina.

Po długiej chwili uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

– Nie mogłam zasnąć. Za bardzo mnie swędziało. Wracaj do łóżka, maleńki.

Anden wybiegł z łazienki i zawiadomił jedyną osobę, jaka przyszła mu na myśl, Kaul Lan-shinwana, młodego mężczyznę, będącego częstym gościem w ich domu. Był on kolegą z klasy oraz najlepszym przyjacielem jego wujka, zanim ten pewnego poranka w zeszłym roku skoczył z Mostu Za Miasto. Lan i jego dziadek przyjechali i zabrali matkę Andena do szpitala.

Było już jednak za późno. Nawet gdy podali jej środki uspokajające i usunęli cały jadeit z jej ciała oraz z otoczenia, nie zdołali jej uratować. Kiedy się ocknęła, miotała się w więzach, krzyczała i przeklinała ich. Nazywała ich psami i złodziejami, domagała się, by oddali jej jadeit. Anden



siedział w korytarzu pod jej pokojem. Zatykał uszy dłońmi, a po twarzy spływały mu łzy.

Umarła po kilku dniach, do końca nie przestając krzyczeć.

Po jedenastu latach to wspomnienie nadal prześladowało Andena w koszmarach. Powracało zawsze, gdy dręczyły go lęk albo niepewność. Kiedy budził się w swym pokoju w akademiku, nie był w stanie wstać i pójść do łazienki. W takich chwilach leżał i gapił się na sufit, czując ucisk w pęcherzu i suchość w gardle. Po skórze przebiegały mu ciarki od podstępnego, psychosomatycznego strachu, że jego krew była przeklęta i on również umrze za młodu i obłąkany. Jego rodzina miała moc w genach, podobnie jak szaleństwo. Dlatego właśnie, mimo że Kaulowie go do tego zachęcali, nie zmienił nazwiska. Wolał zachować cudzoziemskie nazwisko Emery, które nic dla nikogo nie znaczyło, niż przyjąć nazwisko matki, Aun, wiążące się z wielkością i szaleństwem. Nie pragnął dla siebie ani jednego, ani drugiego.

Po śmierci matki Andena Lan porozmawiał z dziadkiem. Kaulowie przyjęli chłopca bez oporu, uczynili go częścią swojej rodziny, zapewnili mu wikt i dach nad głową, a gdy skończył dziesięć lat, wysłali do Akademii Kaul Dushurona za pieniądze Kaul Sena i z jego błogosławieństwem. Tak się złożyło, że rodzina władająca klanem Bez Szczytów była jedyną, jaka pozostała Andenowi. Rodzinę jego matki pochłonęły płomienie, a ojciec był jedynie odległym wspomnieniem – niebieskooki mężczyzna w mundurze, który uciekł do swej odległej ojczyzny z jej jasnowłosymi kobietami i szybkimi samochodami.

– Twoja mama miała paskudne życie – stwierdził Hilo. – Źle się zaczęło i źle się skończyło. Ale ty nie będziesz taki jak ona. Jesteś lepiej wykształcony i wszyscy czuwamy nad tobą. – Zgasił papierosa. – I mamy teraz SN1, jeśli naprawdę będziesz go potrzebował.

– Błysk – odparł Anden, posługując się uliczną nazwą. – Narkotyk.

Hilo zmarszczył pogardliwie nos.

– Nie mówię o czymś, co dręczeni jadeitową gorączką szarlatani warzą w brudnych laboratoriach, żeby sprzedawać to przegrywom i cudzoziemcom na ulicach, tylko o wojskowym SN1, które Espeńczycy produkują dla swoich służb specjalnych. Stępieć wrażliwość i może służyć jako bufor, gdybyś tego potrzebował.

– Mówią, że to trucizna i łatwo można przedawkować. Że skraca życie o wiele lat.

– Jeśli ktoś jest niewykształconym cudzoziemcem o rzadkiej niczym woda krwi, który bierze SN1 bez umiarkowania, jak ćpun – odpowiedział ostrym tonem Hilo. – Ale ty nie jesteś nikim w tym rodzaju. Każdy człowiek jest inny, jeszcze nie wiesz, jak zareagujesz na jadeit. Nie twierdzę, że będziesz potrzebował pomocy, mówię tylko, że ona jest dostępna. Możemy ci ją z łatwością zapewnić, jeśli będziesz jej potrzebował. Jesteś szczególnym przypadkiem. To nie jest powód do wstydu, Andy.

Tylko Hilo zwracał się do niego tym cudzoziemsko brzmiącym zdrobnieniem. Z początku irytowało to Andena, ale teraz już się przyzwyczaił, zrozumiał, że róg klanu uważa to za przejaw szczególnej więzi między nimi dwoma. Anden zauważył, że jego papieros się dopalił. Rozdeptał go i wsadził niedopałek do kieszeni, żeby nie zaśmiecać ogrodu skalnego, co groziłoby reprimendą.

– Zastanawiam się, czy błysk mógłby uratować mamę.

Hilo wzruszył ramionami.

– Być może, gdyby był wtedy dostępny. Ale ona miała mnóstwo innych problemów. Twój tata ją zostawił, a wujek skończył ze sobą. To mogłoby i tak ją zniszczyć. – Obrzucił Andena zatroskanym spojrzeniem. – Hej, czemu tak nagle się martwisz? Nie rób takiej kurewsko przygnębioj miny. Niedługo zostaniesz zieloną kością. Nie pozwolę, żeby mojemu kuzynowi stało się coś złego.

Anden oplótł ramionami posiniaczoną pierś.

– Wiem o tym.

– I lepiej to sobie zapamiętaj – odparł Hilo, opierając się o mur. – Swoją drogą, Shae prosiła, żeby cię pozdrowić.

– Rozmawiałaś z nią? – zapytał zaskoczony Anden. – Wróciła?

Ale Hilo już się nie uśmiechał i nie okazywał po sobie, że usłyszał pytanie.

– Wkrótce będziemy cię potrzebowali, Andy – mruknął i rozejrzał się, jakby po raz pierwszy zauważył, jak wielu jest uczniów. Większość z nich miała już jakieś związki z klanem – byli dziećmi zielonych kości albo latarników. Akademia była w znacznej części ośrodkiem rekrutacji dla klanu Bez Szczytów, a konkurencyjna Szkoła Wie Lona pełniła tę samą funkcję dla Góry.

– Wkrótce będziemy potrzebowali tylu lojalnych nowicjuszy, ilu tylko zdołamy znaleźć – kontynuował Hilo. – Lan nie chciałby, żebym ci o tym mówił, ale powinieneś się dowiedzieć. Dziadek ma już nie po kolei w głowie i jest jedną nogą w grobie. Ayt Yu nie żyje, a ta twarda suka Mada chce się z nami policzyć. Będziemy mieli kłopoty z Górą.

Anden popatrzył z niepokojem na kuzyna, ale nie wiedział, co odpowiedzieć. Przez całe lato na kampusie krążyły pogłoski o narastających napięciach między klanami. Czyjś starszy brat był palcem, którego znieważył ktoś z klanu Góra i miało dojść do pojedynku. Ciotkę kogoś innego wygnano z domu, gdy budynek, w którym mieszkała, przeszedł w ręce dewelopera powiązanego z konkurencyjnym klanem. Anden jednak słyszał podobne historie od wielu lat. Zawsze dochodziło do drobnych konfliktów między klanami. Chłopak był izolowany w Akademii i nadchodzące kłopoty, o których mówił Hilo, wydawały mu się czymś odległym. Dotyczyły tylko jego kuzynów, ale nie jego osobiście, aż do chwili, gdy na wiosnę ukończy studia.

Mylił się. Kłopoty dosięgły go w następnym tygodniu.

## Rozdział 8

### Spotkanie w Dzień Łodzi

Wszystko wydarzyło się dlatego, że poszedł się odlać sam.

Za początek pory tajfunów na Kekonie zawsze uważano Dzień Łodzi, a za jego zakończenie Święto Jesieni, trzy miesiące później. Dzień Łodzi był świętem mającym przebłagać drażliwego boga tajfunów, Yofa, zniszczeniami tak wielkimi, że będzie usatysfakcjonowany przez cały rok i powstrzyma Niszczycieli Łądu, najpotężniejsze sztormy, które wyrwały drzewa, równały wioski z ziemią i powodowały osunięcia się ziemi. Dzieci i dorośli budowali papierowe łodzie (a także domki z zapalek i modele samochodów), a następnie niszczyli je jak najefektywniej. Najczęściej stosowanymi metodami było podpalanie ich i polewanie wodą z węży, ale praktykowano również rzucenie ich z wysokości albo sypanie na nie kamieniami i ziemią z wiader. Wieczorem w Dzień Łodzi w Janłońskim porcie urządzano inscenizację bitwy morskiej z płomieniami, hukami dział i marynarzami skaczącymi za burtę. Na koniec ceremonialnie zatapiano jeden albo dwa stare statki.

Anden w latach dzieciństwa oglądał to widowisko wiele razy i nie czuł potrzeby oglądania go ponownie, przyjął jednak propozycję Tona i zgodził się wybrać z grupką kolegów do portu, żeby się trochę rozerwać. Akademia starała się rozbudzić w swych uczniach ducha oszczędności i dyscypliny. Dlatego podawano tam skromne posiłki, zabraniano alkoholu i rzadko dawano uczniom wolne. Sprawiało to, że w specjalne dni świąteczne siódmo- i ósmoroczniacy, którym pozwalano opuszczać kampus bez nadzoru, mieli w zwyczaju jeść i pić bez umiaru, za co zgodnie z tradycją besztali ich i karali pozbawieni współczucia nauczyciele. Anden, Ton oraz trójka innych uczniów – Lott, Heike i Dudo – odwiedzili cztery bary w Dzielnicy Portowej, spróbowali sześciu różnych posiłków kupionych od ulicznych handlarzy i po południu zaczęli dyskutować nad tym, czy zostać i obejrzeć topienie łodzi, czy raczej wrócić, przedzierając się pod prąd w tłumie schodzących się gapiów.

Pęcherz Andena był bliski pęknięcia, a nigdzie w pobliżu nie widział toalety. Jak zwykle było gorąco i wilgotno, a w ciągu ostatniej półgodziny wypił mnóstwo napojów gazowanych, oskarżając słabą espeńską krew o to, że nie spożył zbyt wiele hoji – kekońskiego trunku z daktyli – dzięki czemu przyjemnie zakręciłoby mu się w głowie.

– Wracajmy. Muszę się odlać – odezwał się, nim sobie uświadomił, że nie zwraca się do nikogo konkretnego. Dudo wymiotował do pojemnika na śmieci, a Ton stał obok, ofiarując mu moralne wsparcie. Heike i Lott toczyli ożywioną dyskusję na temat piłki sztafetowej.

Anden obserwował ich przez mniej więcej minutę. Heike był wyższy, miał ładniejsze ramiona i ogólnie wyglądał atrakcyjniej, ale Lott Jin miał w sobie coś, co zawsze przyciągało uwagę Andena. Naburmuszony, ale zmysłowy łuk ust i lekko kręcone włosy opadające na pozbawione wesołości oczy ukryte za długimi rzęsami. W ruchach jego ciała o perfekcyjnych proporcjach wyczuwało się swego rodzaju zwierzęcą niedbałość, jakby wobec wszystkiego odczuwał lekką pogardę.

Ponieważ rozmowa o piłce sztafetowej nie zmierzała do żadnej konkluzji, a dwaj pozostali koledzy Andena nie sprawiali wrażenia, by w najbliższym czasie zamierzali dokądkolwiek pójść, chłopak doszedł do wniosku, że musi sam zadbać o swoje potrzeby. Zamiast przedzierać się przez tłum gapiów rywalizujących o najlepszy widok na port, oddalił się, idąc pod prąd, aż wreszcie dotarł do przystani, z której odpływały promy na sąsiednie wyspy Euman i Mały Guzik. Można by pomyśleć, że w takim miejscu będzie toaleta, ale nic z tego. Anden przeszedł przez ulicę i pokonał truchtem trzy kwartały, nim znalazł na rogu budkę ze smażonym chlebem. Przepchnął się przez kolejkę do lady, mamrocząc pod nosem przeprosiny, wpadł do toalety i zamknął za sobą drzwi. Odetchnął z ulgą i odmówił pośpieszną modlitwę do Tewana, boga handlu, by pobłogosławił właścicieli Gorącej Chaty.

Wychodząc z lokalu, znowu musiał się przepychać przez tłum nastolatków kręcących się w pobliżu drzwi.

Młody mężczyzna mniej więcej w jego wieku odepchnął go brutalnie.

– Nic nie kupisz?

– Słucham?

Nastolatek wskazał głową na Gorącą Chatę, ani na moment nie spuszczać spojrzenia z Andena.

– Odląłeś się tutaj i nie chcesz nic kupić? Nie lubisz smażonego chleba? Tutaj mają najlepszy w mieście. Powinieneś okazać więcej szacunku, keke.

– On właściwie nie jest keke – zauważył leniwie drugi nastolatek. Przełknął kawałek gorącego chleba i obrzucił Andena szacującym spojrzeniem, wysuwając zuchwę. – To kundel i znalazł się w niewłaściwej części miasta.

Anden zerknął na okno Gorącej Chaty i natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd. W pośpiechu opuścił Dzielnicę Portową, przechodząc do Parku Letniego. Nad kasą wisiała papierowa latornia, ale była jasnozielona, nie biała. Znalazł się na terytorium Góry, a miał na sobie koszulkę w barwach Akademii Kaul Du.

Zostało mu bardzo niewiele pieniędzy, a ostatnim, czego pragnąłby jego przepełniony żołądek, był smażony chleb.

– Masz rację – zgodził się. – Pójdę kupić trochę chleba.

Cofnął się o krok, zbliżając się do kolejki.

Pierwszy z nastolatków popchnął go, przybierając bojową postawę.

– Nie w tej brzydkiej koszulce. – Na jego pokrytej trądzikiem twarzy pojawił się drwiący uśmiešek. – Oddaj nam ją. Przyjmujemy ją jako hołd dla Szkoły Wie Lona i zawiesimy na pisuarze.

– Nie oddam wam koszulki – sprzeciwił się Anden, ogarnął go jednak niepokój. Choć ukończył już osiemnaście lat, nadal był uczniem Akademii i nie nosił jadeitu. W związku z tym nie uważano go za mężczyznę. Zielone kości żyły w zgodzie z kodeksem honorowym *aisho*, który zabraniał im zabijania krewnych wrogów, jeśli ci nie nosili jadeitu. Niestety, kodeks nie dotyczył bezjadeditowych członków konkurencyjnych klanów i szkół. Mogli z nim zrobić, co zechcą. Andena od dziecka uczono, by nigdy nie opuszczał terytorium klanu Bez Szczytów. Przeklął w myślach pijanych kolegów, piątą kolejkę hoji oraz własną nieostrożność.

Napastników było trzech: przyszczaty przywódca, jego chudy koleżka i trzeci nastolatek, który do tej pory nie odezwał się ani słowem. Mógł mieć piętnaście, góra szesnaście lat, ale już był wyższy i masywniejszy od pozostałych. Otoczyli Andena, zajmując pozycje świadczące, że walczyli razem już przedtem. Przywódca stał pośrodku, nieco za dwoma pozostałymi, a chudzielec i potężnie zbudowany chłopak po bokach.

– Dotknij czołem ziemi i oddaj nam koszulkę, kundlu – zażądał przywódca. – A potem powiedz, że Akademia Kaul Du to szkoła pełna gównojadów o rzadkiej krwi i bękartów.

Dwóch pozostałych chłopaków zachichotało. Jeśli wróca z zakrwawioną koszulką Akademii i dobrą opowieścią, zapewni im to podziw w Szkole Wie Lona. Anden się nie odsunął, ale wszyscy goście to zrobili. Cała kolejka przesunęła się na prawą stronę niczym wąż, owijając się wokół Gorącej Chaty i robiąc czwórce chłopaków znacznie więcej miejsca na chodniku. Kobieta przyjmująca zamówienia stanęła na palcach i zawołała:

– Sio! Sio! Nie przed szklanymi drzwiami!

Pomachała rękami, by ich przegnać.

Anden wykorzystał ten moment i zaatakował pierwszy. Zrobił fintę w prawo, a potem przesunął się w lewo i zadał trzy ciosy w twarz chudzielcowi – lewą pięścią, zgiętym lewym łokciem, a potem w szczękę otwartą prawą dłońią. Przeciwnik szybko zwałił się na ziemię.

Tak będzie lepiej. Nie mógł uciec, nie zawstydzając swej szkoły i Hila, ale bez jadeitu nie zdoła pokonać trzech przeciwników, w tym dwóch większych od niego. Tylko go pobiją, nie zrobią nic więcej. Nie publicznie, nie w Dzień Łodzi, nie, jeśli będzie walczył wystarczająco dobrze, by zasłużyć na szacunek.

Złapał padającego przeciwnika za barki, obrócił i rzucił pod nogi atakującemu przywódcy. Największy z chłopaków szybko zaatakował od tyłu, łapiąc Andena w potężny uścisk, podczas gdy przyszczaty przeskoczył nad leżącym na ziemi kolegą i zaczął zasypywać ucznia Akademii Kaul Dushurona ciosami wymierzonym w boki i w brzuch. Anden stęknął z bólu. Nagle osunął się w dół, kopnął większego chłopaka w goleń i nadepnął mu z całej siły na płócienny but. Chłopak zaklął i odsunął stopę w tej samej chwili, w której Anden uniósł obie nogi i uderzył nimi z całej siły

w pierś przywódcy.

Ten zatoczył się ku drzwiom Gorącej Chaty i potknął o nogi swego nadal leżącego kolegi, ale ludzie, na których wpadł, złapali go i odepchnęli z powrotem. Wielki chłopak utracił równowagę i musiał puścić Andena. Ten wylądował na nim, uderzył na oślep łokciem i usłyszał satysfakcjonujący trzask. Przetoczył się szybko, ale zanim zdążył zerwać się na nogi, muskularne ręce przeciwnika otoczyły go w pasie i pociągnęły ku ziemi. Przywódca wrócił do akcji, zadając kolejne ciosy.

Anden poczuł tylko dwa – w policzek i w ucho – nim atak skończył się niespodziewanie. Ciężar napastników nagle zniknął.

– Co wy wyprawiacie? – zapytał jakiś mężczyzna.

Anden uniósł wzrok i zobaczył, że zielona kość z Góry mający ciemną cerę dźwignął wszystkich trzech chłopaków na nogi. Skulili się niezdolni oprzeć się jego Sile, gdy pociągnął ich za sobą jak niegrzeczne szczenięta.

– Dzisiaj jest Dzień Łodzi, mali zasańcy. Spójrzcie na park. Jest pełen ludzi. Są wśród nich turyści, a uczniowie Szkoły Wie Lona tarzają się po ziemi jak psy. Co to ma, kurwa, znaczyć?

– Chcieliśmy dać mu nauczkę, Gam-jen – zaskomlał przywódca. – To bachor z Kaul Du, w dodatku mieszaniec. Poza tym to on uderzył pierwszy.

Rozległ się inny głos, powolny i głęboki jak pomruk niezadowolonego niedźwiedzia.

– Czy tak przyszłe palce zwracają się do pięści?

Anden uniósł wzrok. Nigdy w życiu nie widział tego mężczyzny, ale poznał go natychmiast po samej reputacji.

– Nie, Gont-jen – wyszeptali skruszeni nastolatki, spuszczać wzrok. – Wybacz, jeśli posunęliśmy się za daleko – dodał ich przywódca lekko przepraszającym tonem.

Gont Aschentu, róg Góry, rozproszył tłum samymi swymi rozmiarami i aurą niebezpiecznego autorytetu. Wysunął kwadratowy podbródek i spojrzał z góry na Andena, po czym zwrócił się w stronę nastolatków z Wie Lona.

– Spadajcie stąd.

Trzej młodzieńcy pośpiesznie dotknęli czoł złączonymi dłońmi, wycofali się i uciekli, ogłędając się za siebie. Anden wstał, starając się poprawić wygięte okulary, żeby trzymały się równo. Spojrzał na róg Góry i pomyślał, że chyba wolałby, żeby napastnicy wrócili. Splótł dłonie i uniósł je w ostrożnym, pełnym szacunku salucie.

– Gont-jen.

– Jesteś Anden Emery – stwierdził Gont. Anden nie był zadowolony, słysząc, że zgodnie z cudzoziemską konwencją postawił imię przed nazwiskiem. – Syn Aun Udemayady adoptowany przez Kaulów.

– Tak, Gont-jen – odpowiedział chłopak po chwili wahania.

Gont Asch wyglądał bardzo charakterystycznie. Był łysy, miał muskularne kończyny oraz szyję i nosił grube obręcze na ramionach wysadzone jadeitami. Sprawiał wrażenie muskularnego zbira, rogu takiego rodzaju, który wykrzykuje rozkazy i przekleństwa, najpierw zadaje druzgocące ciosy, a potem pytania. W rzeczywistości przemawiał łagodnym tonem, a pod jego groźnym wyglądem kryły się spryt oraz cierpliwość.

– Słyszałem, że jesteś jednym z najlepszych uczniów w Akademii – mruknął, nie spuszczać wzroku z Andena. Po chwili zerknął na Gama. – Szkoda, że przerwałeś walkę. Chciałbym zobaczyć jej wynik.

– Nie wiedziałem, że to Kaul – odparł pięść.

– Nie jest nim, ale traktują go jak jednego ze swoich – wyjaśnił Gont. Jego głos przybrał chytrą intonację. Przyglądał się Andenowi jak przedsiębiorca pogrzebowy biorący miarę na trumnę. – Kaul Hilo traktuje cię jak młodszego brata, prawda?

Serce Andena znowu zabiło mocniej. Wiedział, że Gont i Gam Postrzegają jego strach. Oddychał powoli i bezgłośnie, starając się zachować spokój. Nie zrobił nic złego, nie popełnił żadnego przestępstwa... Gdyby ci mężczyźni go skrzywdzili, byłoby to niewybaczalnym złamaniem *aisho*, bez względu na to, co mogli mieć przeciwko jego kuzynom.

– Przepraszam, że wywołałem scenę, jen – rzekł, odsuwając się. – Zgubiłem kolegów w porcie i zawędrowałem trochę za daleko. Na przyszłość...

Ciężka dłoń rogu opadła na bark chłopaka, nim zdołał zrobić następny krok w tył.

– Porozmawiajmy, Anden. Z pewnością to szczęście sprawiło, że nasze drogi się skrzyżowały. Przeprowadź tu mój samochód – rozkazał pięści.

Gam oddalił się natychmiast. Anden zamarł, zastanawiając się gorączkowo. Mógł spróbować ucieczki, ale byłoby śmieszne myśleć, że potrafi biec szybciej niż zielona kość, taka jak Gont Asch.

– Nie masz powodu się bać – rzekł róg z nutą wesołości w niskim głosie. – Wiem, że jeszcze nie jesteś mężczyzną.

Do twarzy Andena napłynęło ciepło, zagłuszając narastający niepokój. Obrócił powoli głowę i przyjrzał się ramieniu Gonta. Wszystkie kawałki jadeitu na obręczy ułożono w abstrakcyjny, ale łatwy do rozpoznania wzór przedstawiający rzekę. Rzeka była święta. Przynosiła wodę dającą życie i jadeit dający moc. Była łagodna i harmonijna, lecz gdy wezbrała od monsunowych deszczów, stawała się śmiertcionośna i niepowstrzymana. Czuł, że liczne klejnoty Gonta przyciągają jego krew niczym grawitacja. Uniósł wzrok i spojrzał mu w oczy.

– Nie boję się. Ale moi kuzyni mogą nie ufać twoim intencjom.

Gont zachichotał cicho. W tej samej chwili przy krawężniku zaparkował lśniący zt valor.

– Wsiadaj – rozkazał róg, otwierając drzwi z tyłu. Pod Andenem nagle ugięły się kolana, ale ręka mężczyzny bezbłędnie skierowała go w stronę pojazdu. – Nie martw się o braci Kaul. Z pewnością zawiadomimy ich, że jesteś w naszym towarzystwie.

Pełen obaw Anden zajął miejsce z tyłu czarnego, kanciastego sedana. Gont wsiadł za nim i zatrzasnął drzwi. Ruszyli w drogę.

\*\*\*

Szofer – mężczyzna o szurzej twarzy i białej czuprynie, mający drobiny łupieżu na ciemnej, jedwabnej koszuli – opuścił Park Letni, jadąc wieloma bocznymi uliczkami. Wreszcie skręcili w Patriotyczną i pomknęli na zachód. Mimo swej niepewnej sytuacji Anden wyglądał przez okno z wielką ciekawością. Nauczono go uważać niektóre części Janloonu za terytorium nieprzyjaciela i teraz poczuł się lekko rozczarowany, widząc, że wyglądają one tak samo, jak te, które znał – ruchliwe ulice, sklepy, dzwigi, efektowne nowe budynki i stare, rozsypujące się rudery, psy śpiące w cieniu, zagraniczne samochody mijające ludzi wiozących wielkie pakunki na rowerach. Zwyczajni ludzie – ci, którzy nie byli zielonymi kośćmi – poruszali się swobodnie po całym Janloonie. Czemu się spodziewał, że poczuje się, jak w obcym kraju?

Przesunął się ukradkowo na siedzeniu, starając się jak najbardziej oddalić od gołych ramion Gont Ascha, muskularnych i pokrytych licznymi białymi bliznami. Powszechnie wiadano, skąd się wzięły. Z pewnością celowo nosił koszulki bez rękawów, by wszystkim o tym przypominać. Podczas chaosu, jaki nastał zaraz po wojnie, w Janloonie pojawiło się wiele gangów, które wywoływały kłopoty na ulicach i rzucały wyzwania ocalałym, znużonym zielonym kościom. Niektórym z nich udało się zdobyć jadeit, wtedy bowiem nie był tak ściśle kontrolowany jak obecnie. Dzięki temu stały się potężne, mimo że swędziawka przerzedzała ich szeregi niczym zaraza. Młody Gont Asch podpadł jednemu z takich gangów. Nocą wciągnięto go w zasadzkę i zawleczono przed oblicze szefa.

Zażądał czystej klingi, ale mu odmówiono. Wtedy uniósł gołe pięści i powołał się na „śmierć konsekwencji”, przysługujące zielonym kościom prawo do tego, by zginąć w walce, zamiast być poddanym egzekucji. Zabrano mu broń, a członkowie gangu mieli noże, maczety oraz toporki. Ich szef uśmiechnął się, widząc taką brawurę, ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy, gdy zaczęła się walka. Talent Gonta do Stali nie miał sobie równych. Oparł się nawałnicą cięć, wyrwał przeciwnikowi broń i zabił wszystkich ośmiu gangsterów. Opowiadano, że szef gangu padł na kolana, splótł dłonie wokół głowy i przysiągł wierność Gont Aschowi oraz Górze. Po dziś dzień Gonta uważano za jedyne w dzisiejszych czasach człowieka, który zdołał się obronić przed śmiercią konsekwencji.

– Wyłącz to – zażądał róg.

Siedzący na przednim miejscu dla pasażera Gam wyciągnął rękę i wyłączył radio, z którego płynęły dźwięki operowej pieśni. Wnętrze samochodu wypełniła cisza, nieprzyjemnie harmonizująca z letnim upałem, na który otwarte przednie okna zbyttnio nie pomagały. Gont przesunął potężne

cielsko i wlepił w Andena pełne zainteresowania spojrzenie.

– Spotkałem kiedyś twojego dziadka – odezwał się po chwili. – I matkę też. Jakieś dwadzieścia lat temu. Aunowie byli wspaniałymi wojownikami, tak utalentowanymi, że podejrzewam, iż bogowie nie zaaprobowali podobnej mocy u śmiertelników i wysłali pecha, by ich prześladował. Byłem wtedy chłopakiem, młodszym niż ty teraz, chociaż już zostałem palcem. W tamtych czasach nie mogliśmy sobie pozwolić na luksus długiego szkolenia.

Anden zamrużył, ale nie odezwał się, zaskoczony torem, na który skierowała się rozmowa. Trudno było nie ulec urokowi spokojnego, kulturalnego barytonu rogu. Brzmiał on jak głos bardzo dobrego narratora słuchowiska radiowego i kontrastował z jego niepokojącym wyglądem.

– W tamtych czasach w kraju panował chaos. Trwała odbudowa i wzrost był bardzo szybki, ale panował okropny zamęt. Zielone kości pilnowały spokoju, czuwały, by przestępcy albo cudzoziemcy nie przejęli władzy, lecz pośród tych wydarzeń Ayt Yu i Kaul Sen pokłócili się ze sobą i podzielili Towarzystwo Jednej Góry. Pamiętam, że Aunowie byli wśród tych, którzy najgłośniej się domagali, by Ayt i Kaul pogodzili się, by zielone kości nadal mogły pozostać jednym klanem. Na koniec twój dziadek opowiedział się po stronie Kaulów, ale rodzina Aunów się podzieliła. Twój wujek ukończył Akademię i został najbliższym przyjacielem Kaul Lana, ale twoja matka wybrała Szkołę Świątynną Wie Lona. Gdyby żyła i miała w tej sprawie coś do powiedzenia, składałbyś w tym roku przysięgę Górze.

Anden wpatrywał się przed siebie, mocno zaciskając zęby. Co próbował osiągnąć Gont?

– Moja matka nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia – odpowiedział pozbawionym wyrazu głosem. – Kaul Sen przyjął mnie po jej śmierci. Zawdzięczam mu wykształcenie i jadeit, który będę nosił, gdy już ukończę szkołę.

Gont powoli wzruszył potężnymi ramionami.

– Płomień Kekonu jest już starym człowiekiem. Mógłbyś zastanowić się nad kwestią, czy twój dług wobec niego wymaga, byś został podkomendnym Kaul Hila.

Do tej chwili głos Gonta zdradzał bardzo niewiele, ale teraz mężczyzna niechcący ujawnił, jak głęboko gardzi drugim rogiem.

Samochód skręcił w drogę wijącą się między wzgórzami. Po obu stronach mijali bujną zielenią, od czasu do czasu przerywaną przez przydrożne budki pokryte spłowiałą farbą i prywatne drogi zamknięte zardzewiałymi bramami.

– Dokąd mnie wiesz? – zapytał Anden, starając się ukryć narastający niepokój.

Gont rozsiadł się wygodniej.

– Na sam szczyt Góry.

## Rozdział 9

### Na granicach *aisho*

Lan był na spotkaniu z Doru i dwoma ważnymi latarnikami, gdy nagle przerwała im sekretarka prognostyka. Zapukała nieśmiało i pisnęła:

– Wybacz, Kaul-jen. Ktoś chce z tobą rozmawiać. Mówi, że to pilne.

Filar zmarszczył brwi. To mógł znowu być ktoś z biura espeńskiego ambasadora, pragnący przekonać go perswazją albo przekupstwem do zmiany stanowiska w sprawie eksportu jadeitu. Przeprosił pozostałych i wyszedł. Sekretarka otworzyła przed nim drzwi, uśmiechając się nieśmiało. Nie wiedział, jak ma na imię. Prognostyk często zmieniał sekretarki. Ta wyglądała szczególnie dziewczęco. Miała na sobie prawie przezroczystą różową bluzkę. Lan widział pod nią czarny biustonosz. Podbiegła do swojego biurka i przełączyła rozmowę do jego gabinetu.

Lan właściwie nie uważał go za swój, choć był zarezerwowany do jego użytku i korzystał z niego, gdy tylko chciał załatwić jakąś sprawę. W innych chwilach pomieszczenie stało puste. Najwyższe piętro wieżowca klanu Bez Szczytów na ulicy Statkowej w Dzielnicy Finansowej Janloonu zapewniało niezrównany widok na miasto, było jednak domeną prognostyka. Lan wolał swój gabinet w domu Kaulów.

Wziął w rękę słuchawkę i nacisnął guzik.

– Kaul-jen – rozległ się niski, męski głos. – Mamy twojego młodego przyjaciela Andena. Nasze drogi skrzyżowały się podczas obchodów Święta Łodzi. Nie złamano żadnych zasad. Po prostu z nim rozmawiamy, serdecznie i kulturalnie. Za trzy godziny wypuścimy go w Dzielnicy Świątynnej, w pobliżu ronda. Nie masz powodu do obaw o jego bezpieczeństwo... pod warunkiem, że nikt w waszym klanie nie zareaguje przesadnie. Mówię o waszym rogu.

– Rozumiem – odparł Lan. Wiedział, że rozmawia z członkiem Góry. Nikt inny nie odważyłby się na coś takiego. Podejrzał, że to sam Gont Asch, ale nie mógł być tego pewien. Oparł się o biurko. – Z pewnością nie zapomnę o tej obietnicy – dodał twardym jak stal głosem.

– Nie martw się o Andena. Zachowuje się bardzo uprzejmie i z szacunkiem. Martw się o swojego brata, który może znacznie pogorszyć sytuację.

Nieznajomy przerwał rozmowę.

Lan położył słuchawkę na widełkach i spojrzał na oprawiony w jadeit zegarek, zapamiętując dokładną godzinę. Potem znowu uniósł słuchawkę i wykręcił numer do domu brata, wiedząc, że jest bardzo mało prawdopodobne, by go tam znalazł. Zgodnie z jego oczekiwaniami nikt nie odebrał telefonu. Następnie zadzwonił do rezydencji i powiedział Kyanli, by – jeśli otrzyma jakiś sygnał od Hila – powiedziała mu, żeby natychmiast zadzwonił do jego gabinetu na Statkowej. Odłożył słuchawkę i pozwolił sobie na kilka sekund przerwy na uspokojenie.

Bezczelność Góry zdumiała go i rozgniewała. Jeśli Ayt Madashi chciała przekazać jakąś wiadomość klanowi Bez Szczytów mogła umówić się na spotkanie z nim za pośrednictwem prognostyków. Albo okazać szacunek i przysłać przedstawiciela własnego klanu z propozycją. Oba te sposoby byłyby właściwe, ale porwanie Andena, jedyne nienoszącego jadeitu członka rodziny Kaulów i wykorzystanie go jako pośrednika niebezpiecznie zbliżało się do złamania *aisho*. niesprawiedliwie składało na barki Lana obowiązek powstrzymania przemocy. Jego rozmówca miał rację. Teraz musiał się martwić o Hila. Jeśli jego róg dowie się, że Góra porwała Andena, gniew może go skłonić do nieprzewidywalnego zachowania.

Lan wziął w ręce książkę adresową i znalazł numer do mieszkania Maik Wena. Tam również nikt nie odbierał. Następnie zadzwonił do obu braci Maik, także bez powodzenia. Przypomniał sobie, że jest Dzień Łodzi i ludzie Hila z pewnością patrolują port. Wreszcie połączył się z Podwójnym Szczęściem i poprosił pana Une, by przyprowadził do telefonu zieloną kość o najwyższej randze w restauracji albo w jej okolicach. Po kilku minutach usłyszał w słuchawce męski głos.

– Z kim rozmawiam? – zapytał.

– Jestem Juen Nu.

Jeden z ludzi Maik Kehna.



– Juen-jen – rzekł Lan. – Mówi filar. Muszę natychmiast skontaktować się z rogiem. Wezwij któregoś z Maików, jeśli wiesz, gdzie są, i wyślij wszystkie swoje palce z wiadomością. Niech mój brat zatelefonuje do mojego gabinetu w biurze prognostyka, gdy tylko otrzyma wiadomość. Nie wywołuj paniki, ale pośpiesz się.

– Już się robi, Kaul-jen – zapewnił Juen z niepokojem w głosie i odłożył słuchawkę.

Lan wrócił do gabinetu Doru i przeprosił dwóch latarników. To byli deweloperzy szukający aprobaty planu, wsparcia finansowego oraz pomocy w uzyskaniu pozwoleń na budowę nowej dzielnicy mieszkaniowej. Usiadł na swoim miejscu, ale nie zwracał już uwagi na rozmowę. Martwił się o Andena. Chłopak był dla niego jak prawdziwy siostrzeniec i Lan czuł się za niego głęboko odpowiedzialny. Ciągłe pamiętał, jak trzymał pogrążonego w żałobie chłopca za rękę, próbując go pocieszyć. Zawiózł go do rezydencji Kaulów i powiedział, że teraz to jest jego dom. Był przekonany, że Gont mówił szczerze, zapewniając, że nie chce skrzywdzić chłopaka, ale sytuacja w każdej chwili mogła się zmienić.

Doru musiałby utracić zmysł Postrzegania, żeby nie zauważyć zdenerwowania wyczuwanego w aurze Lana. Prognostyk zakończył spotkanie tak szybko, jak tylko mógł to zrobić bez okazywania nieuprzejmości. Zapewnił petentów, że klan zadba o ich interesy, rzecz jasna, oczekując, że danina, którą w przyszłości będą płacili, będzie odbiciem tego patronatu. Latarnicy zebrali dokumenty, oddali honory Lanowi, potwierdzając swą lojalność, i wyszli.

– Co się stało, Lan-se? – zapytał Doru.

– Góra porwała Andena – odpowiedział Lan. Gdy wyjaśnił sytuację, Doru zamrugał i cmoknął sceptycznie.

– Zaplanowali to – stwierdził. – Chłopak zawsze przebywa w Akademii, poza ich zasięgiem. To agresywny ruch ze strony Gonta, pragnącego wykorzystać szansę. Ale gdyby chcieli nas znieważyć albo skrzywdzić chłopaka, nie zadzwoniliby do ciebie. Nie wątpię, że szczerze pragną, żebyś powstrzymał Hila.

– Na pewno?

Lan przypomniał sobie coś jeszcze. W zeszłym roku stosunki między Górą a małym klanem Trzech Runów popszyły się nagle i doszło do wybuchu przemocy. W rezultacie Góra anektowała mniejszy klan. Opowiadano, że dwaj ludzie z Góry porwali narzeczoną syna filaru Trzech Runów, wozili ją przez dwie godziny poza miastem, aż wreszcie wysadzili przy szosie i musiała wrócić do domu bez butów. Rozwścieczony dziedzic Trzech Runów kazał swoim ludziom zaatakować Gonta, co skończyło się bardzo źle dla niego i jego rodziny.

Hilo często uskarżał się głośno na poczynania Góry – potyczki i spory terytorialne, które Lan z reguły uważał za problem brata – teraz jednak zaczął się zastanawiać nad możliwością, że porwanie Andena przez Gonta jest powtórką tego, co Góra uczyniła Trzem Runom. To nie było otwarte złamanie *aisho*, lecz sprowokowanie rywala do aktu przemocy, by odpowiedzieć miążdżącym odwetem i twierdzić, że to ich skrzywdzono.

Zadzwonił telefon. Lan odebrał go natychmiast.

– To ja – rzekł Hilo.

– Gdzie jesteś? – zapytał filar.

– W budce telefonicznej pod apartamentowcem w Małym Młotku, gdzie mieszka siostrzeniec Gonta. Mam ze sobą dwudziestu ludzi. – Hilo mówił cicho, ale Lan słyszał, że jego brat z trudem powstrzymuje furię. – Gont ma Andy'ego. Nasz informator widział bójkę, do której doszło w Parku Letnim. Powiedział, że ten skurwysyński psojebca wsadził mojego kuzyna do samochodu i odjechał.

– Uspokój się – odpowiedział Lan. – Wiem wszystko. Gont do mnie zadzwonił. Za jakieś dwie godziny wysadzą Andena na rondzie, po stronie Dzielnicy Świątynnej. – Niemalże obawiał się zadać następne pytanie. – Mam nadzieję, że nie zrobiłeś niczego, co mogłoby to zmienić?

Minęła dość długa chwila, nim Hilo mu odpowiedział.

– Nie zrobiłem. Ale otoczyłem ten jebany budynek i zostaniemy tutaj, dopóki Andy nie wróci cały i zdrowy. Kurwa, tym razem Gont posunął się za daleko. Anden to mój kuzyn!

Lan odetchnął z ulgą.

– Mój też, Hilo. Bez względu na to, w co gra Góra, nie możemy im dać pretekstu do złamania *aisho*. Trzymaj krótko swoich ludzi. Pojedźcie w miejsce, gdzie mają go wysadzić. W tej chwili

najważniejsze jest, żebyśmy odzyskali Andena.

Hilo odetchnął ciężko w słuchawkę.

– Wiem o tym – warknął i przerwał połączenie.

Doru splótł palce wokół kościstego kolana i rozciągnął w uśmiechu wąskie usta.

– Jak rozumiem, twój róg nie zaczął jeszcze wojny, bogom niech będą dzięki. Jeśli Góra rzeczywiście chce nas sprowokować, Hilo zrobiłby dokładnie to, czego od niego chcą. Masz rację, że reagujesz powściągliwie.

Filar nie odpowiedział. Zgadzał się ze słowami Doru, ale jego ton wydawał mu się nieco protekcyjny. Chłodna, spokojna analiza była cechą dobrego prognostyka, ale niewykluczone, że pragnienie zachowania pokoju między klanami oślepiło Doru. Hilo mógł być porywczy, ale przynajmniej Lan miał pewność, że najważniejsze jest dla niego bezpieczeństwo Andena. Natomiast Doru nigdy nie nawiązał bliższej więzi z adoptowanym chłopakiem i sprawiał wrażenie, że uważa dzisiejsze wydarzenia za interesujące negocjacje biznesowe, a nie za bezczelną próbę zastraszenia, którą były w rzeczywistości. Góra pokazała im, że potrafi sięgnąć do samego serca rodziny Kaułów.

Zastanawiał się, czy nie pojechać do Dzielnicy Świątynnej i nie dołączyć do Hila, doszedł jednak do wniosku, że lepiej będzie pozostać na miejscu, na wypadek gdyby Góra znowu spróbowała się z nim skontaktować.

– Odwołaj wszystkie dzisiejsze spotkania – polecił prognostykowi. – Będę w gabinecie.

Oddalił się, by czekać samotnie na wiadomości od rogu.

## Rozdział 10

### Dom Góry

Zabrali go do rezydencji Aytów.

Gdy Ayt Yugontin był filarem, wybrał najwyżej położony punkt w mieście, by wybudować w nim swój dom. Postanowił nadać posiadłości aurę szkoleniowego sanktuarium zielonych kości, takiego jak Szkoła Świątynna Wie Lona. Wjazd do niej przypominał drogę do górskiej fortecy, ale gdy Gont opuścił szybę w samochodzie i skinął głową do dwóch strażników – z pewnością byli jego palcami – masywna brama otworzyła się napędzana bezgłośnymi automatycznymi urządzeniami.

Anden nigdy nie widział domu bardziej imponującego niż rezydencja Kaulów, ale posiadłość Aytów była równie wspaniała, choć na zupełnie inny sposób. Dom Kaulów był wspaniały i nowoczesny, a w jego architekturze dostrzegało się zarówno kekońskie, jak i zagraniczne wpływy, natomiast rezydencja Aytów była przykładem klasycznego stylu kekońskiego – rozległy parterowy budynek o kamiennej fasadzie, ciemnych drewnianych belkach, pochyłych dachach, zielonych dachówkach i szerokich chodnikach. Mógłby być domem kekońskiego właściciela ziemskiego sprzed kilku stuleci, gdyby nie kamery monitoringu, czujniki ruchu oraz drogie importowane samochody stojące na podjeździe.

Zt valor podjechał do wejścia i Gont wysiadł. Gdy kierowca otworzył drzwi po drugiej stronie, Anden wyszedł nerwowo z pojazdu i podążył za rogiem do domu. Wejścia strzegły dwa palce. Oddały honory swemu szefowi, ale chłopaka obrzuciły tylko obojętnymi spojrzeniami. Postrzegają, że nie nosi jadeitu.

Gont wskazał na wyściełaną ławkę stojącą pod ścianą nieopodal wejścia.

– Zaczekaj tutaj. Nigdzie nie odchodź, dopóki cię nie wezwą – rozkazał Andenowi i bez dalszych wyjaśnień przeciął wyłożony parkietem hol, po czym zniknął w korytarzu.

Chłopak usiadł, jak mu kazano. Rozejrzał się wkoło. Trudno mu było nie podziwiać pejzaży i antycznych mieczy wiszących na ścianach, mimo że dłonie mu się pociły i czuł ucisk w trzewiach.

Z pewnością sprowadzili go tu jako zakładnika. Między klanem Bez Szczytów a Górą trwał jakiś konflikt. Hilo wspominał o tym w ubiegłym tygodniu. Czy powinien stawiać wcześniej opór albo próbować ucieczki? Wątpił, by to mogło cokolwiek zmienić. Co zrobi Lan, kiedy się dowie, co się wydarzyło? A Hilo? Groźba, że Góra skrzywdzi Andena albo go uwięzi, może doprowadzić do aktów przemocy między klanami. Czy tego właśnie chciał Gont? Ponownie się rozejrzał, zastanawiając się, czy mógłby stąd uciec, i zauważył, że Gam stoi przy drzwiach ze strażnikami, obserwując go uważnie. Nie znał wszystkich najważniejszych ludzi w Górze, ale wiedział, że Gam jest drugą piętą Gonta i uważa się go za bardzo groźnego wojownika. Nie ruszył się z miejsca.

Minęło sporo czasu, być może godzina. Wystarczająco wiele, by niepokój chłopaka przerosł się w nudę, a potem w niecierpliwość. Wreszcie Gont wrócił.

– Chodź ze mną – rzucił, ponownie nie udzielając żadnych wyjaśnień, i poprowadził go korytarzem. Anden śpieszył się, by nadażyć za jego długimi krokami.

Po drodze minęli dwóch mężczyzn w garniturach zmierzających w przeciwną stronę. Anden podejrzewał, że jeden z nich to Ree Turahuo, prognostyk Góry, ponieważ słyszał, że Ree jest niski. Drugi był zapewne jednym z jego podwładnych albo szanowanym latarnikiem. To ciekawe. Najwyraźniej nie tylko w klanie Bez Szczytów stosunki między prognostykiem a rogiem były zimne jak lód.

Gont zatrzymał się przed masywnymi, zamkniętymi drzwiami i zwrócił się w stronę Andena.

– Nie denerwuj się tak – poradził. – Ona nie lubi nerwowych mężczyzn.

Otworzył drzwi i skinął na Andena, każąc mu wejść do środka.

\*\*\*

Ayt Yugontin dokonał żywota, nie zostawiając dziedzica. Jego żona i nowo narodzony syn

zginęli podczas wojny, pogrzebani pod bezlitosnymi tonami błota i gleby, gdy szotarskie bomby spowodowały osunięcie się ziemi, które zniszczyło rodzinną wioskę Ayta.

W czasach wojny ludzie nazywali Ayta Włócznią Kekonu. Był śmiałym mścicielem, gwałtowną zieloną kością. Szotarczyzy bali się go i darzyli nienawiścią. Mówił niewiele, ale szerzył zniszczenie wśród okupantów, by potem uciec i zniknąć w górach.

Jego najbliższy towarzysz, Kaul Sen, był starszym i bardziej doświadczonym buntownikiem, sprytnym i utalentowanym taktykiem. Razem ze swym synem Du rozprowadzał ulotki i nadał nielegalne programy radiowe. To właśnie one stały się inspiracją do stworzenia sieci latarników, która okazała się kluczem do sukcesu Towarzystwa Jednej Góry.

Włócznia i Płomień.

Rok po zakończeniu wojny Ayt Yugontin adoptował troje sierot ze swej rodzinnej wioski. Twierdząc, że talenty i tradycje zielonych kości trzeba ocalić dla przyszłych pokoleń Kekończyków, wysłał całą trójkę – nastoletnią dziewczynkę i dwóch młodszych chłopców – do Szkoły Świątynnej Wie Lona. Dziewczynka z pewnością miała wrodzony talent, choć późno zaczęła szkolenie. Starszy z chłopców, Ayt Im, miał ego większe niż umiejętności i zginął od czystej klingi w wieku dwudziestu trzech lat. Młodszy, Ayt Eodo, miał wystarczające zdolności, ale wyrósł na próżnego młodzieńca, który wolał być playboyem i kolekcjonerem sztuki niż klanowym wojownikiem. Jego siostra, Ayt Madashi, została prognostykiem Góry.

Zaledwie godzinę po śmierci ojca Mada zabiła człowieka, który od lat był rogiem klanu. Wkrótce potem zamordowała trzech kolejnych rywali. Wszyscy byli najbliższymi przyjaciółmi i doradcami Włóczni. Społeczność zielonych kości była oszołomiona – nie jej uczynkiem, lecz faktem, że zrobiła to tak szybko i jawnie, jeszcze przed pogrzebem ojca. Nikt się nie spodziewał, że prognostyk pokona róg w walce. Jej przeciwnicy w klanie wezwali Ayt Eoda, licząc na to, że wróci z domu letniskowego na malowniczym południu i położy kres zbrodniom siostry.

Kekońskie powiedzenie „wyszeptać czyjeś imię” powstało w czasach okupacji, gdy sieć buntowników przekazywała sobie potajemnie nazwiska cudzoziemskich urzędników mających stać się celem zamachów. Ayt Mada wyszeptała imię adoptowanego brata i następnego dnia, gdy kochanka Eoda wyszła spod prysznicy, znalazła go leżącego na łóżku z poderżniętym gardłem. Jego jadeit zniknął.

Gdy rozlew krwi się skończył, Ayt Mada wysłała wiadomość do byłego towarzysza jej ojca, Kaul Sena. Wyrażała w nim najgłębszy szacunek, przesyłała kondolencje z powodu niedawnej śmierci jego żony oraz dawała wyraz smutkowi z powodu nieuniknionej przemocy związanej z przekazaniem władzy w Górze. Zapewniała też, że gorąco pragnie utrzymania pokoju między klanami. Kaul Sen polecił swemu prognostykowi wysłać na pogrzeb starego przyjaciela wielkie bukiety białych serc i lilii tańczących gwiazd – pierwsze symbolizowały współczucie, a drugie przyjaźń dla jego córki, filaru.

W ciągu następnych dwóch i pół roku do Góry przyłączyły się dwa pomniejszych klany. Zielone Wiatry uczyniły to dobrowolnie. Ich patriarcha przeszedł w stan spoczynku i wyjechał na południe Kekonu, a pozostali przywódcy otrzymali stanowiska w Górze. Drugim był klan Trzech Runów, który dał za wygraną, gdy Gont Asch uciął głowę ich filarowi.

Gabinet Ayt Mady był przestronny, jasny i zagracony. Na półkach na ścianach, na biurku i na podłodze walały się sterty książek oraz papierów. Przez wielkie okna do środka napływało światło słońca. Pomieszczenie podzielono na dwie części – właściwy gabinet i przestrzeń przeznaczoną do przyjmowania gości. Była w nim kanapa oraz fotele obite brązową skórą. Ayt Mada siedziała na jednym z nich, trzymając na kolanach kilka teczek z dokumentami. Zbliżała się już do czterdziestki, miała na sobie luźne płócienne spodnie, zielony top bez rękawów, a na nogach sandały. Wyglądała, jakby wróciła z siłowni albo z drugiego śniadania. Nie miała makijażu, a długie włosy związała sobie w wygodny kucyk.

Anden nie był pewien, czego się właściwie spodziewał. Być może wyobrażał sobie, że filar Góry będzie piękną i śmiertelnie groźną *femme fatale*. Albo może zaprawioną w bojach siłaczką, promieniującą twardością i żelaznym autorytetem. Wyglądała jednak zwyczajnie, pomijając tylko imponującą ilość jadeitu na obu ramionach. Klejnoty wprawiono w srebrne bransolety, owijające się wokół jej przedramion i bicepsów na podobieństwo węży. Na obu kończynach miała ich co najmniej po dwanaście. Tak wiele jadeitu noszonego z całkowitą swobodą. Zielone kości nie potrzebo-

wały żadnych innych symboli statusu.

– Zadzwońeś? – zapytała, nie unosząc wzroku.

Gont odchrząknął na znak potwierdzenia.

– Zrozumiał. To rozsądny człowiek, jak mówiłaś. Jego brat zebrał niewielką armię w Małym Młotku, ale na razie tylko czekają.

Ayt Mada zamknęła teczkę, którą przeglądała, i rzuciła ich stosik na blat pobliskiego stolika. Bez zbędnych ceremonii wskazała Andenowi kanapę naprzeciwko siebie. Nawet z tej odległości chłopak wyczuwał jej jadeitową aurę, skupioną, niezmienną i intensywnie czerwoną. Pośrodku stolika stały miska z pomarańczami i żeliwny czajniczek.

– Herbaty? – zapytała Ayt.

Zaskoczony Anden nie odpowiedział natychmiast. Dopiero gdy uniosła spojrzenie, równie przerażające jak jej aura, zdołał wykrztusić:

– Tak, dziękuję, Ayt-jen.

Wysunęła szufladę pod stolikiem i wyjęła z niej dwa gliniane kubki. Postawiła jeden przed Andenem, a drugi przed sobą.

– Świeżo zaparzona – wyjaśniła, jakby było ważne, by zakładnikom podawano gorącą herbatę, a nie stare pomyje.

Nalała najpierw sobie, a potem jemu. Szanowanemu gościowi, zwłaszcza zielonej kości, nalałaby najpierw, ale Anden nie zaliczał się do żadnej z tych kategorii. Zerknął na Gonta, który usadził ogromne cielsko w drugim fotelu. Jemu Ayt nie zaproponowała kubka, nie wziął go też dla siebie. Najwyraźniej nie był uczestnikiem rozmowy, tylko jej milczącym, niepokojącym obserwatorem.

– Z pewnością zastanawiasz się, dlaczego cię tu przyprowadzono. – Ayt nie traciła czasu na formalności. – Podjęliśmy wielkie ryzyko, by wykorzystać szansę porozmawiania z tobą. Istnieje szansa, że twoja adoptowana rodzina może przypisać naszym poczynaniom niehonorowe motywy, choć w rzeczywistości chodzi nam wyłącznie o twoje dobro.

Anden pociągnął łyce herbaty, by zwilżyć usta, w których czuł wielką suchość. Czuł się coraz bardziej zdziwiony, ale wyczuwał z lękiem, że dzieje się coś innego, niż się dotąd spodziewał. Plan był bardziej skomplikowany. Nie chodziło tylko o to, by wziąć go do niewoli i spowodować wybuch przemocy albo uzyskać od klanu Bez Szczytów jakieś koncesje.

– Słyszałam, że jesteś najlepszym uczniem w Akademii Kaul Du. Kiedy byłam młoda, mój ojciec nie pozwalał nikomu, kto miał w żyłach cudzoziemską krew, uczyć się w Szkole Wie Lona, ale czasy się zmieniły. Nie jestem taka, jak mój ojciec. Łamię tradycje, gdy uważam, że są ku temu powody i można na tym skorzystać. Twój rodowód jest imponujący. Nawet bez nazwiska i krwi Kaulów byłbyś przedstawicielem rodziny. Składam ci propozycję przyłączenia się do Góry.

Serce Andena zabiło szybciej. Wiedział, że Ayt i Gont Postrzegają jego strach, mimo że wyraz ich twarzy się nie zmienił. Jego reakcja świadczyła, że rozumie, co się dzieje i co naprawdę powiedziano. Zdrada patrona i adoptowanej rodziny przez przejście do Góry byłaby samobójstwem. Nie mógł zaakceptować takiej oferty i świetnie o tym wiedzieli. Nie, to była lekko zamaskowana propozycja nie dla niego, lecz dla Kaulów. Dla klanu Bez Szczytów. Zaproszenie do negocjacji.

Gdy tylko sobie uświadomił, że sprowadzono go tu po to, by był wysłannikiem na najwyższym szczeblu, że Ayt oczekiwała, że przekaze jej słowa bezpośrednio Lanowi i wyjaśni mu ich znaczenie, wypełniła go lekka ulga. Nie zrobią mu krzywdy ani go nie uwiężą. Po uldze nadeszły jednak zdumienie i gniew wywołane tak przesadnymi środkami. Po co go porywali, zamiast porozmawiać w jakimś neutralnym miejscu? W jakim celu próbowali sprowokować Lana i Hila do ataku? Po co w ogóle wciągali go w tę sprawę?

Wyobraził sobie, że wstaje, chluscze herbatą w twarz Ayt Mady i oznajmia zimnym z niesmaku głosem:

– Kaul Lan nigdy by nie porwał bezjadeitowego ucznia ze Szkoły Wie Lona. Filar klanu Bez Szczytów wie, co to przyzwoitość, i nie oddaje się takim gierkom.

Rzecz jasna, Lan nie chciałby, żeby zrobił coś równie głupiego. Pragnąłby, żeby zachował spokój, słuchał uważnie i wrócił bezpiecznie.

Ayt uśmiechnęła się, widząc jego skrępowanie.

– Cieszę się, że rozumiesz znaczenie tej precedensowej oferty. Zostałbyś pięścią mają-

cym pod sobą wiele palców. To byłaby pozycja wiążąca się z wysokim statusem i dużą odpowiedzialnością. Ale nie tutaj, na Kekonie. W Ygutanie.

– Gdzie? – zdziwił się Anden.

– Rozpoczęliśmy tam nowe działania o kluczowym znaczeniu. Chciałabym, żeby naszą ekspansją do tego kraju kierowały przedsiębiorcze i utalentowane zielone kości. Pracowałbyś pod rozkazami rogu, ale odpowiadałbyś bezpośrednio przede mną.

Ygutani był zimnym pustkowiem, jedzenie było okropne, a na całym jego wielkim terytorium nie można było znaleźć ani kawałka jadeitu. Po co, do licha, Góra pragnęła rozszerzać swoją działalność na ten kraj? Być może Postrzegając jego zdumienie, Ayt rozciągnęła wąskie usta w uśmiechu.

– Cały świat się otwiera. Handel międzynarodowy rozkwita. Dlaczego zielone kości miałyby się skupiać wyłącznie na małym Kekonie, kiedy za granicą czekają wielkie możliwości?

– Ale... co jest w Ygutanie?

Ayt znieruchomiała, trzymając w dłoni uniesiony do ust kubek.

– Produkcja SN1. – Pociągnęła łyk i odstawiła naczynie. – Będziemy sprzedawać błysk Ygutańczykom.

Anden zaniemówił. Na Kekonie błysk był nielegalny i otaczano go powszechną pogardą. To był narkotyk stworzony przez cudzoziemców. Proteza pozwalająca nosić jadeit nie-Kekończykom, ludziom pozbawionym z trudem zdobytej tolerancji, którą szczyciły się zielone kości. Całą ich cywilizację i kulturę zbudowano na niepodważalnym założeniu, że jadeit niszczy każdego, kto próbuje go nosić, poza tylko najlepszymi kekońskimi wojownikami.

Espeńczycy, których arogancja i pomysłowość nie miały sobie równych, znaleźli sposób pozwalający to ominąć. Gdy tylko założyli na Kekonie bazy wojskowe – rzekomo po to, by pomóc sojusznikom w obronie i odbudowie po wojnie wielu narodów, zaczęli w tajnych laboratoriach prace nad metodami, które pozwoliłyby ich żołnierzom zdobyć legendarne zdolności panowania nad jadeitem, jakie posiadały zielone kości. Przed dziesięciu laty udało się im, choć nie do końca. Stworzyli SN1.

Receptura eksperymentalnej surowicy szybko wyciekła z espeńskich baz wojskowych na Kekonie i rozkwitł nielegalny handel błyskiem. Najwyraźniej bardzo wielu ludzi, na wyspie i poza nią, było gotowych pogodzić się ze znacznym skróceniem życia i brać niebezpieczny narkotyk, który pozwalał im nosić jadeit, nawet jeśli nie byli Kekończykami; nie poświęcili wielu lat na trudne ćwiczenia i nie narażali się na straszliwą śmierć spowodowaną przez śwędziawkę. Rzadziej wspomniano o fakcie, że niektóre zielone kości również potajemnie używały tego specyfiku, by podnieść swoją naturalną tolerancję, mimo że takie zachowanie powszechnie potępiano.

Wśród zielonych kości SN1 było kontrowersyjnym tematem. Anden słyszał w szkole, a raz nawet w domu Kaulów, dyskusje na ten temat. Niektórzy twierdzili, że narkotyk przynosi straszliwe szkody społeczeństwu, inni zaś utrzymywali, że można zaakceptować jego użycie w przypadku dobrze wyszkolonych osób, na przykład zielonych kości cierpiących z powodu chorób albo obrażeń, którym tymczasowo zwiększona tolerancja mogła zapewnić poprawę stanu zdrowia.

Anden nie był pewien, po której stronie opowiada się w tym sporze, zwłaszcza biorąc pod uwagę historię jego rodziny. Przekonał się jednak, że wszyscy zgadzają się ze sobą przynajmniej w jednej sprawie – nielegalna dystrybucja błysku szkodzi interesom zielonych kości oraz zagraża ich wartościom, a w związku z tym należy położyć jej kres. Fakt, że Ayt Mada, filar największego klanu zielonych kości na Kekonie, planuje handel błyskiem, był tak zdumiewający, że gdy znowu miał okazję przemówić, zapomniał o swej roli i o ostrożności.

– Zamierzasz dać kolejnym cudzoziemcom zdolność noszenia jadeitu? – zapytał. – Czyż nie tego właśnie chcemy uniknąć?

Uświadomił sobie, że jego wybuch zapewne był wyrazem braku szacunku, ale Ayt to rozbawiło.

– Chcemy uniknąć utraty kontroli. Espeńczycy już podają SN1 swoim żołnierzom. Inne państwa wkrótce podążą za ich przykładem. Liczba cudzoziemców noszących jadeit znacznie się zwiększy. – Pochyliła się w jego stronę. Anden odsunął się mimo woli. Jadeitowa aura kobiety i jej przenikliwe spojrzenie były jak twarde powierzchnie przesuwające się w jego stronę. – To może się okazać największym zagrożeniem, z jakim kiedykolwiek się zetknęliśmy, lecz zarazem nadzwyczajnym.

czajną szansą. Im szybciej Kekon się modernizuje, tym ważniejsze jest, by zielone pięści zachowały ścisłą kontrolę nad naszymi zasobami. Możemy pozwolić, by odebrano nam należne miejsce, albo możemy czerpać z niego wielkie zyski. Mój ojciec starał się nie dopuścić cudzoziemców do jadeitu, ale musimy stawić czoło rzeczywistości. Nie pozbedziemy się ich. Kekon nie jest już tajemniczą, zacofaną wyspą. Ludzie na całym świecie wiedzą o istnieniu jadeitu, a dzięki wynalezieniu SN1 mogą robić z niego użytek. Zamiast walczyć z nieuniknionym, możemy dać im to, czego pragną. Za cenę, którą my ustalimy, i na naszych warunkach. Dzięki handlowi błyskiem na Kekonie wiemy o produkcji SN1 więcej niż ktokolwiek poza samymi Espeńczykami. Możemy zapewnić, że towar produkowany w naszych zakładach będzie bezpieczny. Jeśli to my będziemy zapewniali podaż na SN1, pozwoli nam to decydować, ilu cudzoziemców będzie miało do niego dostęp.

To wykraczało poza pojmovanie Andena. Pochylił się, sięgnął po kubek i wypił łyk letniej już herbaty. Bliskość aury Ayt pobudziła na moment jego Postrzeżanie. Głos kobiety brzmiał przyjemnie, lecz stanowczo. Nie słyszał w nim groźby, wyczuwał jednak niebezpieczeństwo. Nieustępliwą chciwość.

– Ongiś zielone kości były zjednoczone w walce z zagranicznymi zagrożeniami. Pora, by stało się tak znowu, by klany połączyły się w nowym sojuszu. Dlatego proponuję, byś się do nas przyłączył. Nagroda, jaką otrzymasz, będzie wielka. – Ayt usiadła prosto. Jej twarz zmieniła wyraz, stała się zimna i pozbawiona wyrazu. – Jeśli wzgardzisz naszą wyciągniętą ręką... no cóż, wybór należy do ciebie. Pamiętaj tylko, że złożyliśmy tę propozycję w dobrej wierze i jest ona absolutnie szczerą. Stanowczo radzę, byś odwzajemnił ten szacunek, nie opowiadając się w przyszłości za czymś, co musiałoby uczynić nas wrogami.

Serce chłopaka waliło jak szalone. Przesunął się nerwowo. Jego szyję wypełniło gorąco. Ayt przedstawiła swą propozycję tak jasno, jakby rozmawiała z drugim filarem.

– Ayt-jen. – Odchrząknął. Był już niemal całkowicie pewien, że wróci do swego klanu żywy, by przekazać słowa Ayt. To dodało mu odwagi, by wyrażać się bardziej otwarcie. – Czy... mogę zadać szczerze pytanie?

– Proszę bardzo – odparła Ayt, unosząc brwi.

– Jestem tylko uczniem, więc, proszę, wybac mi, jeśli czegoś nie rozumiem, ale... dlaczego zadaliście sobie trud i podjęliście ryzyko, przywożąc mnie tutaj, by odbyć ze mną tę rozmowę? Jeśli chciałaś zaproponować sojusz klanowi Bez Szczytów, czemu nie zrobiłaś tego bezpośrednio?

Uśmiech Ayt był enigmatyczny i pełen satysfakcji.

– Nie doceniasz siebie. Moja oferta, skierowana osobiście do ciebie, jest absolutnie szczerą. W przyszłości odegrasz ważną rolę w zaprowadzeniu pokoju między klanami, pod warunkiem, że twój filar to zaakceptuje... Jeśli zaś chodzi o negocjacje z Kaulami... – Rozpostarła dłonie w geście rozczarowania. – Chętnie porozmawiałabym z Kaul Lanem, ale jak mam to zrobić, kiedy jego róg ciągle nas atakuje? Nigdy nie przepuszcza okazji do nękania nas z powodu sporów terytorialnych. Jego palce nas szpiegują, a pięści zmieniają każdą drobną dysputę w bitwę. Jak możemy liczyć na rozsądną dyskusję z twoim klanem? – Po raz pierwszy podczas całej rozmowy Ayt Mada zerknęła w kierunku, gdzie siedział jej róg. Między nią i Gontem doszło do szybkiej, bezgłosnej wymiany myśli. – Gdyby filar dał nam jakiś znak, że szczerze pragnie pokoju, sprawy wyglądałyby inaczej.

Ayt wstała, gładkim, swobodnym ruchem. Gont również się podniósł. Anden natychmiast podążył za ich przykładem. Filar Góry była wyższa, niż się tego spodziewał. Chłopak górował wzrostem nad większością Kekończyków, a ona patrzyła mu prosto w oczy. Blask słońca padał na jadeity na jej przedramionach, pokrywając stalowe oprawy płamkami światła.

– Zabraliśmy ci dzisiaj już wystarczająco wiele czasu. Pora odwiedzić cię do domu, nim ktoś zatęskni za tobą... za bardzo. – W jej głosie i minie pojawiła się nuta ironii. – Usłyszałeś naszą ofertę. Wiesz, co powinieneś teraz zrobić. Będę czekała na odpowiedź, ale niezbyt długo.

Anden splótł dłonie i dotknął nimi czoła.

– Rozumiem, Ayt-jen.

## Rozdział 11

### Decyzja filaru

Zt valor zaparkował z boku łukowatego bulwaru i wysadził Andena przed szeroką zieloną przestrzenią sąsiadującą z targiem wyrobów rękodzielniczych w Dzielnicy Świątynnej. Gdy tylko chłopak wysiadł z samochodu, zobaczył, że czeka na niego Hilo. Towarzyszyła mu grupa mężczyzn. Twarz miał czerwoną z ulgi i żądy mordy. Przez absurdalną chwilę Anden obawiał się o życie szofera Gonta. Zatrzasnął za sobą tylne drzwi samochodu i Zt valor ruszył w drogę. Po chwili roztopił się w ruchu ulicznym, zmierzając do granicy dzielącej terytoria.

Hilo podszedł do Andena, złapał go za kark i potrząsnął nim mocno.

– Powinienem znowu cię zbić. Kurwa, co robiłeś w Parku Letnim? Za niespełna rok będziesz zielony i musisz zachowywać ostrożność przez każdą pierdoloną sekundę, bo nie zawsze będę mógł ci pomóc, jeśli wpakujesz się w kłopoty, rozumiesz?

Chłopak skinął głową z zawstydzoną miną. Hilo ujął w dłoń jego podbródek i przymrużył groźnie oczy na widok siniaka, jaki zostawiła na policzku Andena trójka chłopaków z Wie Lona w nagrodę za jego nieroztropne wędrówki.

– Zrobili ci to? – zapytał. – Gont i jego ludzie cię pobili?

– Nie, to nie byli oni – zapewnił pośpiesznie Anden. – To było wcześniej, głupia bójka z grupką chłopaków z Wie Lona. Ludzie Gonta mnie nie tknęli.

Hilo przyjrzał się twarzy nastolatka, by sprawdzić, czy mówi szczerze. Potem się uspokoił i uściskał chłopaka z ciepłem, które przegnało resztki napięcia.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, kuzynie.

Wsparł opiekuńczo rękę na jego ramionach i zaprowadził go do duchesse zaparkowanej w strefie załadunku razem z dwoma innymi pojazdami klanu Bez Szczytów. Maik Tar opierał się nerwowo o samochód, ale wyprostował się szybko i otworzył przed nimi drzwi.

– Muszę porozmawiać z Lanem – oznajmił cicho Anden, kiedy wsiedli. Teraz, gdy był już bezpieczny, adrenalina wypełniająca jego naczynia krwionośne przez kilka ostatnich godzin, odpływała niczym woda w rynsztokach po intensywnej ulewie. Drżał gwałtownie.

– Jest w biurze prognostyka – poinformował go Hilo.

Potrzebowali tylko dziesięciu minut, by dotrzeć na Statkową. Gdy już byli na miejscu, róg wydał swoim ludziom krótkie polecenia.

– Powiedźcie naszym w Małym Młotku, żeby się stamtąd zabierali.

Następnie obaj z Tarem zaprowadzili Andena do środka, nie zatrzymując się przy recepcji.

Chłopak nigdy dotąd nie był w biurze prognostyka. O tej stronie działalności klanu wiedział niewiele. Onieśmielali go szczęściodawcy w starannie wyprasowanych garniturach, noszący teczki oraz aktówki. Hilo i Tar, w rozpiętych pod kołnierzem koszulach z podwiniętymi rękawami, spoceni od czekania na słońcu, nadal noszący guan dao na plecach i karambity u pasa, wydawali się tu nie na miejscu. Ludzie zatrzymywali się i gapili na nich, niektórzy nawet oddawali im od niechęcia honory.

Wjechali windą na najwyższe piętro. Lan czekał na nich. Jego mina była spokojna jak zawsze, ale on również uściskał Andena radośnie.

– Chodź, usiądziemy w gabinecie – rzekł, prowadząc chłopaka do pokoju.

– Zawieźli mnie na spotkanie z Ayt Madą – zaczął Anden. – Lan-jen... chciała, żebym natychmiast porozmawiał z tobą – poinformował go, kładąc lekki nacisk na to ostatnie słowo.

Lan go zrozumiał. Gdy weszli do gabinetu, spojrzął na Hila.

– Chcę najpierw porozmawiać z Andenem sam – oznajmił. – Znajdź Doru i zaczekajcie na mnie.

Hilo sprawiał wrażenie poirytowanego, ale nie zdziwionego. Wykrzywił usta w lekkim uśmiešku, by zademonstrować Andenowi, że nie jest na niego zły, skinął głową do Tara i obaj opuścili gabinet. Lan zamknął za nimi drzwi.

Anden usiadł na najbliższym krześle, z wdzięcznością przyjmując butelkę lemoniady, którą



filar wyjął z minilodówki.

– Nie będę cię okłamywał. Trochę nas dzisiaj zaniepokoiłeś – rzekł Lan. – Wypij to – dodał, przyglądając się, jak chłopak pochłania lemoniadę. – A potem powiedz mi, czego chce od nas Góra.

\*\*\*

Gdy jego kuzyn skończył mówić, Lan przez chwilę milczał.

– Dobrze się spisałeś, Anden – odezwał się wreszcie. – Zachowałeś spokój i zrobiłeś dokładnie to, co powinienes. Przykro mi, że to zepsuło ci Dzień Łodzi. Na przyszłość powinienes być bardziej ostrożny. Jestem pewien, że Hilo już ci to powiedział. Niemniej dobrze się przysłużyłeś klanowi.

– Przykro mi, że wywołałem kłopoty, Lan-jen.

Filar się uśmiechnął. Chłopak – młody mężczyzna, poprawił się w myśli – zawsze był taki. Trochę zbyt niespokojny i przesadnie przestrzegający norm. Kiedy mieszkał w domu Kaulów, ciągle zachowywał się jak gość. Czekał na subtelne pozwolenia, zanim usiadł, zjadł coś albo wygłosił swoją opinię, mimo że mieszkał w domu od dzieciństwa i nadal tu wracał, gdy miał wakacje w Akademii.

– Nigdy nie jesteś dla nas kłopotem, Anden – zapewnił go Lan. – Myślę, że Góra już od jakiegoś czasu planowała nami potrząsnąć. Po prostu dałeś Gontowi okazję.

Wstał i Anden podążył za jego przykładem.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał. – W sprawie propozycji Ayt?

– Porozmawiam o niej z rogiem i prognostykiem – odpowiedział Lan. – Nie musisz zawracać sobie tym głowy. Skup się na szkole i na przygotowaniach do Testów. Nadal zanoszą się na to, że ukończysz akademię z pierwszą lokatą?

– Tak sędzę. Staram się, jak mogę – zapewnił go kuzyn.

Lan poczuł nagły przyływ dumy. Anden był dobrym chłopakiem. Miał za sobą tragedię w rodzinie, ale poradził sobie z tym. Nie było dnia, by Lan nie cieszył się, że przekonał dziadka do przyjęcia Andena i uczynienia go Kaulem.

Zaprowadził chłopaka do krzeseł przy windach, gdzie czekali Doru, Hilo i Maik Tar. Tar odwiózł Andena do Akademii, a Lan wrócił do gabinetu z rogiem i prognostykiem. Nalał wszystkim sporo hoji z lodem.

– Weźcie – powiedział. – Będziemy tego potrzebować.

Przełknął łyk trunku i popatrzył na obu mężczyzn. Doru siedział na jednym z krzeseł, krzyżując przed sobą długie nogi, a na jego twarzy malowała się ciekawość. Hilo opierał się o ścianę, spojrzenie zaś miał bystre i niecierpliwe. Ich jadeitowe aury wypełniały świadomość Lana swoim dźwiękiem – chłodna i mroczna po jednej stronie, gładka i gorąca po drugiej.

– Góra planuje produkować i sprzedawać SN1 w Ygutanie – oznajmił filar. – Mogą na tym mnóstwo zarobić, a Ayt proponuje, byśmy weszli z nimi w spółkę.

Gdy Lan opowiedział im, czego się dowiedział od Andena, Hilo odsunął się od ściany.

– Za kogo ma nas Ayt? – Na jego twarzy malował się gniew, ale w głosie pobrzmiwało raczej zdziwienie. – Góra podkopywała nas od miesięcy, a dzisiaj Gont porwał Andy’ego z ulicy, omal nie wywołując w ten sposób wojny. Wydaje się im, że po czymś takim będziemy chcieli wchodzić z nimi w układy? Gdyby Ayt rzeczywiście chciała pogadać o interesach, mogłaby zwrócić się do ciebie oficjalnie, z należnym szacunkiem. To nie jest poważna propozycja. To zniewaga.

Miał rację. Wysłanie do klanu Bez Szczytów wiadomości będącej ledwie zamaskowaną groźbą było jawną obelgą, ale Lan przynajmniej dowiedział się od Andena, jakie powody podała Ayt. „Chętnie porozmawiałabym z Kaul Lanem, ale jak mam to zrobić, kiedy jego róg ciągle nas atakuje?”. Jasno dała do zrozumienia, że nie raczy bezpośrednio negocjować z Kaul Lanem, dopóki ten nie powstrzyma zapędów brata lub nie pozbawi go pozycji rogu.

To było skandaliczne żądanie. Czy można było próbować jakiegokolwiek dyskusji po tak otwartej zniewadze? Jeden filar chciał decydować, kogo drugi ma mianować swym rogiem? Lan nie wątpił, że Hilo i jego ludzie utrudniają życie Górze, ale jego brat zapewniał, że to była tylko odpowiedź na nieustanną eskalację drugiej strony. Czy Hilo rzeczywiście był agresorem stojącym na drodze pokoju, czy po prostu za dobrze wykonywał swoją robotę i Ayt pragnęła się go pozbyć, by łatwiej zdominować klan Bez Szczytów albo nawet przejąć go całkowicie?

Ustępstwo w sprawie pozycji militarnego przywódcy klanu nie wchodziło w grę, ale być może rogowi należało przypomnieć, że nie jest bez winy, gdy chodzi o złe stosunki z Górą. Lan wlepił spojrzenie w brata.

– Ayt mówił, że zgodzi się na osobiste rozmowy, jeśli położymy kres potyczkom na ulicach i udowodnimy, że jesteśmy zainteresowani wspólnymi interesami.

Zauważył kącikiem oka, że Doru pokiwał głową. Podejrzał, że stary doradca domyśla się, iż żądanie miało bardziej sprecyzowany charakter.

– To znaczy, że zgodzi się rozmawiać, jeśli pokłonimy się pokornie i pozwolimy, żeby Góra nas zdeptała? – Nozdrza Hila poszerzyły się nagle. – Wiem, że uważasz, że czasami jestem zbyt drażliwy, że wpadam w gniew i biorę wszystko do siebie, ale uwierz mi, Lan, wiem, co jest grane. Gont wygląda jak mięśniak, ale jest sprytny. Gdy tylko odwrócę wzrok, odbiera nam kolejny kawałek. Kroczek po kroczeniu, ale nigdy w takim stopniu, by sprowokować otwartą wojnę. Dowiaduję się, że dwóch naszych latarników płaci teraz daninę jego Pięściom. Albo że coś niedobrego stało się z prawami dzierżawy budynku, w którym miały siedzibę nasze biznesy, i właściciel sprzedał go kuzynowi z Góry. Nie zdołają połknąć nas w całości, jak klan Trzech Runów, więc próbują to zrobić po kawałeczku.

Lan spojrział na swego prognostyka.

– Co o tym sądzisz, Doru?

Minęła bardzo długa chwila, nim stary doradca mu odpowiedział. Nieco zbyt długa, pomyślał Lan. Jakby nie chciał sprawić wrażenia, że ma z góry przygotowaną odpowiedź.

– Myślę, że propozycja Ayt-jen ma sens. Pięści obu klanów widzą tylko na taką odległość, na jaką sięga ich broń. Drobne potyczki o terytorium nie mają znaczenia, gdy chodzi o sprawy na większą skalę, i nie powinny wpływać na nasze decyzje dotyczące interesów. – W jego chrapliwym głosie słyszało się krytykę samej pozycji rogu i związanej z nią strony kierowania klanem. – Ayt-jen ma rację, twierząc że wszyscy cudzoziemcy pożądamy SN1, a jeśli uda się stworzyć godne zaufania źródło specyfiku kontrolowane przez zielone kości, będziemy mogli zarobić na tym mnóstwo pieniędzy. Ponieważ produkcję będzie się prowadziło za granicą, w Ygutanie, nie istnieje niebezpieczeństwo skażenia naszego kraju. Siła zielonych kości zawsze była największa, gdy były zjednoczone. Zamiast dzielić się Kekonem z Górą, powinniśmy zawrzeć z nią sojusz, by zwiększyć zyski dla wszystkich.

Hilo podkulił gniewnie wargi.

– Nie istnieje nic takiego jak sojusz z Górą. Klan Trzech Runów przekonał się o tym na własnej skórze. W ostatecznym rozrachunku będą dwa klany z dwoma filarami albo jeden klan z jednym filarem. – Hilo wziął do ust kostkę lodu i rozgryzł ją z chrzęstem, krzywiąc się złowrogo. – Jeśli okażemy zainteresowanie tą propozycją, zgodzimy się z nimi współpracować, wykorzystując tę okazję, by przejąć kontrolę nad nami. Ani przez chwilę nie wierzę, że Ayt szczerze mówi o podzieleniu się władzą. To nie w jej stylu. Nie powiedziała nawet, czego od nas właściwie chce. Pieniądzy? Ludzi?

– Wygląda na to, że na początek pragnie zapewnienia, że nie sprzeciwimy się ich planom – odparł Doru. – To absolutnie ma sens. W przeciwnym razie, czemu skontaktowałiby się z Andenem? Kiedy chłopak ukończy Akademię, moglibyśmy go wysłać do Ygutanu, żeby pracował dla Góry. To dobra robota, jak powiedziała Ayt-jen, i wiąże się ze sporą odpowiedzialnością. Dzięki niemu dowiemy się wszystkiego o poczynaniach Góry w Ygutanie, natomiast oni będą mieli pewność, że poważnie zaangażowaliśmy się w podtrzymanie pokoju i nie zdradzimy ich ani nie przejdziemy do Espeńczyków. W ten sposób zbudujemy wzajemne zaufanie.

– Mamy wysłać Andy'ego do nieprzyjaciół? – Hilo wybałuszył oczy z niedowierzania. Postrzeganie jego aury stało się wręcz nieprzyjemne.

– W erze trzech koron królewskie dynastie często wymieniały się dziećmi, by obie strony miały motywację do zachowania dobrych stosunków – odparł Doru.

– Chcesz dać im Andy'ego jako zakładnika? – warknął Hilo, odwracając się w stronę Lana. – Nigdy. Kurwa, nie ma mowy.

Prognostyk pociągnął nosem.

– W starych zwyczajach niekiedy kryje się mądrość.

Filar uniósł rękę, by nie pozwolić mu dodać nic więcej.

– Uspokój się – rzekł cicho, patrząc w wypełnione furją oczy brata. – Anden nie jest pionkiem. Nigdzie go nie wysłamy wbrew jego woli.

Zakręcił szklanką, słuchając stukotu topniejących kostek lodu. Po chwili odstawił naczynie. Wiedział już, jakiej odpowiedzi udzieli Górze. To była nieunikniona decyzja. Hilo miał skłonność do brania wszystkiego do siebie, Doru zaś kierował się zimnokrwistym, strategicznym pragmatyzmem, była też jednak trzecia kwestia, o której żaden z nich nie wspomniał, a Lan uważał, że ma ona decydujące znaczenie.

Zwrócił się w stronę Doru.

– Przygotuję odpowiedź dla Góry. Chcę, żebyś wysłał ją za pośrednictwem ich biura prognostyka, jak powinno się to robić w sprawach biznesowych. Nie musimy się zachowywać niestosownie tylko dlatego, że oni to robią. Odrzucę propozycję sojuszu albo spółki z Górą w sprawie produkcji błysku. Jednakże nie będziemy stać im na drodze. Mogą swobodnie zajmować się tym przedsięwzięciem, pod warunkiem, że nie będzie ono zagrażało interesom ani terytorium klanu Bez Szczytów. – Przerwał na chwilę. – Nie wspominaj o Andenie. On nie jest częścią tej sprawy. Jeśli Ayt pragnie od nas zapewnienia neutralności, będzie jej musiało wystarczyć nasze słowo.

Doru pochylił głowę, ale z jego miny oraz nagłej zmiany w aurze łatwo można było wyczytać, że czuje się rozczarowany.

– Czy mogę zapytać, co skłoniło cię do podjęcia tak szybkiej decyzji w tej ważnej sprawie?

Lan nie miał ochoty słuchać żadnych kontrargumentów, jakie z pewnością mógł przedstawić Doru, był jednak winien wyjaśnienie swym najbliższym doradcom.

– W ten sposób wkroczylibyśmy na niebezpieczną ścieżkę. Jeśli więcej cudzoziemców uzyska dostęp do błysku, popyt na jadeit wzrośnie. Zaczną się naciski na Kekoński Sojusz Jadeitowy, żeby zwiększyć wydobycie, podwyższyć kwoty eksportowe i sprzedawać jadeit nie tylko Espeńczykom, lecz również Ygutańczykom i innym narodom albo narazić się na niebezpieczeństwo, że pozostawione przez nas luki wypełni czarny rynek.

Lan nie mógł się na to zgodzić. Na ostatnim spotkaniu KSJ głosował przeciwko podwyższeniu kwot. Jadeit był najcenniejszym naturalnym surowcem Kekon. Był dziedzictwem jego mieszkańców i znajdował się w samym sercu kultury i sposobu życia zielonych kości. Trudno mu było zaakceptować myśl o sprzedaży go cudzoziemcom jako substancji o zastosowaniu militarnym, ludzi, którzy nie przeszli szkolenia wojowników i nie odebrali odpowiedniego wychowania, którzy nie rozumieli *aisho* i nie potrafili pojąć, co to znaczy nosić zieleń. To prawda, że eksport jadeitu pozwalał utrzymać sojusz z Espeńczykami i przynosił państwu ogromne zyski, ale ten eksport powinien być ściśle kontrolowany. A teraz jeden z najważniejszych klanów proponował coś, co na dłuższą metę z pewnością podważy władzę KSJ. To bardzo go niepokoiło.

– Wybacz, Lan-se – sprzeciwił się Doru bardziej stanowczo niż zwykle. – Z pewnością KSJ jest przykładem na to, że nasze dwa klany mogą ze sobą współpracować. W przyszłości decyzje dotyczące wydobycia i eksportu będziemy podejmować wspólnie z Górą. Twoje obawy wydają się przedwczesne.

Lan zerknął na prognostyka z lekkim zaskoczeniem. Sam nigdy by nie uznał Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego za przykład harmonijnej współpracy między klanami. Skomplikowany system głosowania przez udziałowców zapewniał, że żadnej decyzji nie sposób było podjąć szybciej niż w sześć miesięcy.

– Najwyraźniej twoja opinia o KSJ jest bardziej optymistyczna od mojej – odparł. – Ale są też inne powody, dla których nie powinniśmy w to wchodzić.

– Na przykład fakt, że cała propozycja Ayt to zmyłka – odezwał się Hilo. – Góra chce zrobić wrażenie rozsądnej, a jednocześnie zyskać nad nami przewagę.

Lan był skłonny zgodzić się z podejrzeniami brata, ale nie powiedział tego.

– Błysk to trucizna – oznajmił stanowczo. – Niszczy naturalny porządek społeczny. Ośmiela ludzi, którzy nie powinni mieć nic wspólnego z jadeitem. Takich jak ci złodzieje, których Hilo złapał w zeszłym miesiącu w Podwójnym Szczęściu. – Zacisnął zęby. – Jeśli zaangażujemy się w jakikolwiek sposób w jego produkcję, wesprzemy czarnorynkowy handel jadeitem i jego nielegalne wykorzystanie. Nie chcę osądzać decyzji innego filaru, ale moim zdaniem to pogwałcenie *aisho*.

– Czyż najwyższym poziomem *aisho* nie jest obrona kraju przez zielone kości? – zapytał Doru. – Współpraca w celu utrzymania kontroli nad SN1 uczyni klany silniejszymi. A to wzmocni

cały Kekon, uczyni go bardziej bezpiecznym przed cudzoziemcami.

– A co, jeśli Espeńczycy dowiedzą się, że klany zielonych kości sprzedają SN1 ygutańskiej armii? Ygutańczycy zwałą całą winę na Kekon i oznajmiają, że nie mają z tym nic wspólnego. Góra ryzykuje sprowokowanie konfliktu. Nie chcę, żeby nasz klan się w to angażował. – Lan przerwał Doru, nie pozwalając mu powiedzieć nic więcej. – Doru-jen, moja decyzja jest ostateczna. Czy spełnisz obowiązki prognostyka i załatwisz tę sprawę tak, jak o to prosiłem?

Stary doradca pochylił głowę w geście pozbawionego entuzjazmu potwierdzenia.

– Z pewnością, Lan-se, ale może powinniśmy porozmawiać z Kaul-jenem przed podjęciem ostatecznej decyzji?

Lan miał już tego dość.

– Właśnie rozmawiasz z Kaul-jenem – odparł tonem tak zimnym, że zaskoczony Doru umilkł.

Hilo uśmiechnął się szeroko.

Mimo że Lan podjął decyzję, którą uważał za słuszną, czuł się zniechęcony. Bogowie w niebiosach, trudno było być filarem, gdy po jednej stronie miało się porywczego młodszego brata, a po drugiej starego, chytrego koleżkę własnego dziadka. Sytuacja nie była jednak beznadziejna. Dzisiejszego popołudnia Hilo zachował powściągliwość, a Doru zgodził się wykonać rozkaz, aczkolwiek z oporami. Wszystko już rozstrzygnięto i Lan mógł przemówić bardziej pojednawczym tonem.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy trochę podenerwowani. Zapewniam was obu, że cenię wasze opinie.

– I co teraz? – zapytał Hilo. – Czekamy na odpowiedź Ayt?

– Nie tylko. Powiedziałem, że nie będziemy ingerować w sprawy Góry, ale skoro już wiemy, co kombinują, musimy być ostrożniejsi. Doru, chcę, żebyś umówił mnie na spotkanie z kanclerzem Sonem.

Prognostyk, który został tak stanowczo usadzony zaledwie przed minutą, skinął głową, nie zgłaszając sprzeciwów.

Lan zwrócił się w stronę brata.

– Hilo, to, co ci powiedziałem o Pasze, od tej chwili dotyczy również Sogenu i wszystkich naszych pogranicznych terytoriów. Wzmocnij obronę tam, gdzie to konieczne, ale nie może dojść do żadnego rozlewu krwi bez aprobaty rodziny. Ani do odwetu za uprowadzenie Andena. Może i splunęli nam w twarz, ale chłopak wrócił do nas bez szkody, a w dodatku odrzuciliśmy ich propozycję sojuszu. Lepiej przez jakiś czas nie zaogniać sytuacji.

Hilo skrzyżował ramiona na piersi i wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz.

– Jeszcze jedno – dodał Lan. – Zapewnij ochronę Shae. Ma mieszkanie w Północnym Sotto, więc nie powinna mieć żadnych kłopotów, ale mówię o chwilach, gdy będzie się poruszała po Janloonie. Niech paru twoich ludzi ma na nią oko.

Tym razem to Hilo skrzywił się z niezadowoleniem. Lan pomyślał, że jego brat wygląda dziecinnie – jakby miał osiem lat i skarcono go za to, że był niegrzeczny wobec siostry.

– Świetnie potrafi poradzić sobie sama.

– Wiesz, że nie nosi jadeitu – odparł Lan z irytacją w głosie. – Nie uczestniczy w życiu klanu. Ale Góra może o tym nie wiedzieć. Po tym, co spotkało dziś Andena, musimy być ostrożni.

– Gdyby nosiła jadeit, świetnie potrafiłaby poradzić sobie sama – poprawił się Hilo. Najwyraźniej nadal był niezadowolony, ale nie upierał się przy swoim.

Lan nie wdawał się w dalszą dyskusję. Cieszył się z powrotu Shae, z jadeitem czy bez, ale gdyby to powiedział, Hilo nie byłby uszczęśliwiony. Już dawno doszedł do wniosku, że nie może nic poradzić na to, że jego młodszy brat i młodsza siostra lubią być okrutni dla siebie nawzajem.

## Rozdział 12

### Człowiek nazwiskiem Mudt

Twarz Bera pozrastała się krzywo i gdy przeglądał się w lustrze, myślał, że jest teraz brzydki. Co więcej, utykał lekko, gdy biegł. Te kwestie nie znaczyły dla niego wiele, ale gdy je zauważał, co zdarzało się często, przypominał sobie katastrofalny wieczór w Podwójnym Szczęście. Potężne pięści braci Maik, niedbałą pogardę Hila i spojrzenie filaru, pełne nieskrywanej litości, jakby Bero był trójnogim psem, niewartym nawet zabicia. Przede wszystkim jednak pamiętał jadeit. Jak to było go nosić i jak to było go utracić.

Sampa, ten cykorowaty Abukei, wrócił na prostą drogę. Wbito mu pięściami do głowy strach przed wszystkim, co zielone, i przyjął pracę jako kurier rowerowy. Bero widział go, jak pedałowal po ulicach w biednych dzielnicach robotników portowych na granicy Kuźni. Jego tłuste ciało pociło się z wysiłku, gdy wiozł paczki i zawiniątka na zardzewiałym, poskrzypującym rowerze. Kiedy Bero go zawołał, Sampa nie zareagował. W akcie zemsty przeciął mu opony. Chłopak nie zdołał następnego dnia dostarczyć towaru i stracił robotę.

Ciotka Bera pracowała dwanaście godzin na dobę jako szwaczka w fabryce ubrań. Spał na piętrze jej mieszkania, kiedy była nieobecna. Jej chłopak pracował w portowym magazynie i potrafił skrócić trochę dla siebie. Nie tyle, żeby go złapali i wylali, ale na alkohol wystarczyło. Skurwysyn nigdy nie wyświadczył mu żadnej przysługi, ale to dzięki niemu Bero dowiedział się o istnieniu człowieka nazwiskiem Mudt, który sprzedawał kradziony towar na zapleczu dyskontu w Junko.

To samo w sobie nie było interesujące dla Bera, ale inne pogłoski, które o nim krążyły, były. Znalazł go w jego sklepie liczącego skrzynki. Mudt był śniadym mężczyzną o lekko kręconych włosach i małych oczkach. W jego żyłach mogła płynąć odrobina krwi Abukei.

– Czego chcesz? – zapytał chłopaka.

– Słyszałem, że oferujesz pracę ludziom, którzy jej chcą – odpowiedział Bero.

– Być może. – Mężczyzna odkaslnął w łokieć i skierował na Bera spojrzenie załzawionych, bystrych oczek. Pomimo parnego upału miał na sobie szarą koszulę z rękawami sięgającymi nadgarstków. Jej pachy oraz kołnierzyk były ciemne od potu. – Ale to nie jest robota dla tchórzy. Umiesz prowadzić samochód? Potrafisz strzelać?

– Radzę sobie z jednym i drugim. – Bero przyjrzał mu się uważnie. – Czy to prawda, że jesteś zielony?

Mudt uśmiechnął się półgębkiem i wysunął język, pokazując wkłuty w niego klejnot.

– Prawda – zapewnił. – Mówię ci o tym, bo wiem, że czujesz głód, keke. – Postukał się w środek czoła palcem wskazującym i uśmiechnął się szerzej, odsłaniając krzywe zęby. – No wiesz, Postrzeżanie.

Jeśli Mudt rzeczywiście nosił jadeit, cała reszta tego, co o nim opowiadano, zapewne również była prawdą. Miał fałszywe papiery i stałe źródło błysku, jako właściciel biznesu na terytorium klanu Bez Szczytów płacił mu nominalną daninę, ale podstawowym źródłem zysków było dla niego szpiegowanie na rzecz Góry. Był człowiekiem, który wszystko zawdzięczał sobie. Dowodem na to, że nie trzeba było urodzić się we właściwej rodzinie ani ukończyć odpowiedniej szkoły, by mieć to, co mają zielone kości. Samemu wziąć sobie moc, gdy nikt nie chciał ci jej dać.

– Chcę dla ciebie pracować – oznajmił Bero.

## Rozdział 13

### Prośba o przysługę

Shae polubiła nowe mieszkanie w Północnym Sotto. Dzięki jego urządzaniu miała coś do roboty. Nawet jeśli nie była pewna, co zrobi w następnej kolejności, przekonanie, że może to zrobić, dodawało jej pewności siebie. Mogła zamieszkać w Janloonie, blisko rodziny, a jednocześnie zachować niezależność. Kupiła ładne, lecz proste meble, wypełniła mieszkanie niezbędnymi akcesoriami i na nowo przyzwyczała się do gotowania posiłków dla jednej osoby. Zaczęła poznawać otoczenie i z przyjemnością przekonała się, że są tu sklepy, w których można dostać wszystko – od firmowych torebek po cuchnące ziołowe proszki, a także cały zestaw fast foodów – od barów ostrygowych po czynne całą dobę budki z makaronem. Północne Sotto było lepsze od brudnej i zatłoczonej Wioski Sotto. Przechodziło proces gentryfikacji, stawało się modną dzielnicą zamieszkaną przez młodych profesjonalistów, artystów oraz dość licznych cudzoziemców. Mogła tu nosić koszulki z napisami i jaskrawe spódniczki ze swej espeńskiej garderoby i nie uważano by jej za dziwoląga, lecz za stylową trendsetterkę. To była najbardziej kosmopolityczna i światowa część Janloonu.

Niemniej, choć niczego nieświadomy gość mógłby tego nie zauważyć, dla Shae było oczywiste, że klan rządzi tu równie twardą ręką jak w innych miejscach. Wszędzie widziała zawieszone w oknach białe latarnie – prawdziwe albo tanie papierowe imitacje. Nieraz widziała jednego bądź dwóch ludzi Hila, a czasami nawet trzech. Bez jadeitu nie była w stanie Postrzec ich aur, ale łatwo ich było rozpoznać: twardzi, muskularni młodzi mężczyźni, a czasami również kobiety, wszyscy dobrze ubrani i uzbrojeni, niemal zawsze otwarcie noszący jadeit. Większość ludzi mijala ich pośpiesznie, nie chcąc przyciągać ich uwagi. Shae postępowała podobnie, choć z innych powodów.

Jej sąsiadami była dwudziestoparoletnia para prawdopodobnie pracująca w Dzielnicy Finansowej (kobieta miała małego pieska o rozmiarach i wdzięku spasionego szczura), samotna kobieta w średnim wieku, którą ciągle odwiedzały podobne jej przyjaciółki, by pić razem wino i głośno gadać przy grze w karty, oraz młodzieniec, prawdopodobnie student college'u, który wprowadził się mniej więcej dwa tygodnie po przybyciu Shae. Często gdzieś wychodził, a gdy kilka razy skinęli do siebie głowami w korytarzu, pomyślała, że być może powinna mu się przedstawić. Nie chciała jednak tego robić. Gdy tylko wymieni nazwisko Kaul, jej przyjemna anonimowość się skończy.

Powtarzała sobie, że to śmieszne pozwalać, by podobne sprawy uniemożliwiały jej poznanie nowych ludzi. Kiedy następnym razem spotkała sąsiada, wychodzili z budynku o tej samej porze.

– Ciągłe cię widzę, ale nawet nie wiem, jak masz na imię – odezwała się z uśmiechem.

– Ach – odparł z lekko zawstydzoną miną. Przesunął ramiona do przodu i dotknął czoła w geście nieformalnego pozdrowienia. – Nazywam się Caun Yudenru.

Odwzięczyła mu się tym samym.

– Jestem Shae.

Caun Yu uniósł brwi. Do policzków kobiety napłynęło ciepło. Chciała mu podać pełne nazwisko, ale z jej ust wypłynęło tylko zdrobnienie imienia. Bogowie. Na pewno uznał ją za bezwstydną flirtiarę. Caun był atrakcyjny, choć miał mniej lat od niej i zawsze nosił tę samą czarną czapkę, w której wyglądał jak młodociany przestępca. Ale nie o to jej chodziło. Nie była zainteresowana chwilowymi związkami.

– Miło mi było cię poznać, panie Caun – dodała, szybko wycofując się w formalną uprzejmość. Czuła się straszliwie zażenowana na myśl, jak okropnie zepsuła to proste spotkanie. – Na pewno... wkrótce się spotkamy.

Zdołała jakoś wziąć się w garść i uśmiechnąć z sympatią, a potem oddalić się nieśpiesznie, jakby nie zrobiła z siebie całkowitej idiotki.

Pragnąc poczynić wreszcie jakieś postępy w poszukiwaniu pracy, poszła do miejskiej biblioteki i zaczęła przeglądać katalogi janloońskich firm, zapisując w kołonoatniku nazwy i adresy tych,

które ją zainteresowały. Po paru godzinach, podobnie jak podczas poszukiwań mieszkania, uświadomiła sobie, jak bardzo powolny i nieefektywny jest ten proces. Klan Bez Szczytów kontrolował firmy w wielu dziedzinach, niekiedy jako ich bezpośredni właściciel, lecz częściej za pośrednictwem płacących daninę latarników. Kilka telefonów do odpowiednich osób oszczędziłoby jej mnóstwa wysiłku. Zadała sobie pytanie, czy trzymanie się zasady nieprzyjmowania pomocy od rodziny miało jakikolwiek sens, czy jest po prostu demonstracją idiotycznej dumy.

Wiedziała, co powiedziała na ten temat Hilo. Uparcie siedziała tam jeszcze pół godziny, nim wreszcie opuściła bibliotekę. Po drodze do domu kupiła maszynę do pisania, żeby uaktualnić CV. Spędziła w mieszkaniu najwyżej dwadzieścia minut, nim usłyszała pukanie do drzwi.

Kiedy je otworzyła, zobaczyła, że po drugiej stronie stoi Lan.

– Mogę wejść? – zapytał uprzejmie.

Była tak totalnie zaskoczona, że nic nie odpowiedziała, tylko otworzyła szerzej drzwi. Wszedł do jej mieszkania, zostawiając dwóch ochroniarzy na zewnątrz, i zamknął drzwi za sobą. Przez chwilę rozglądał się z zainteresowaniem po salonie. Poczowała bolesne ukłucie wstydu. Z pewnością wydawało mu się bardzo skromne, tanie i niegodne tego, by mieszkała w nim jedna z Kaulów. Skrzyżowała ramiona i usiadła na nowej twardej kanapie. Czuła się obiektem krytyki, mimo że nie powiedział jeszcze ani słowa. Gdyby to był Hilo, krążyłby po pokoju, dotykając wszystkiego.

„To jest ładne”, mówiłby, uśmiechając się i wzruszając ramionami, jak ktoś, rozweselony zachowaniem dziecka, które po ataku hysterii upiera się, że chce spać na dworze. „Podoba ci się to mieszkanie, Shae? Jeśli tak, to pewnie jest w porządku”.

– Masz coś do picia? – zapytał Lan. – Na dworze ciągle panuje upał.

Ruszył w stronę małej kuchni, ale Shae natychmiast zerwała się z miejsca.

– Wybacz, ja się tym zajmę. Powinam była ci coś zaproponować, ale... zaskoczyłeś mnie.

Popędziła do kuchni, w której i tak mogła wygodnie zmieścić się tylko jedna osoba, i wyjęła z lodówki dzbanek schłodzonej herbaty z korzeniami. Nalała mu pełną szklankę, pośpiesznie wysypała na talerzyk trochę sezamków i prażonych orzechów, po czym zaniósła to wszystko do pokoju.

Lan przyjął szklankę z jej rąk z niemal przepaszającym uśmiechem, jakby było mu przykro, że zmusza ją do wysiłku, po czym wskazał jej gestem kanapę. Usiadł obok Shae i umościł na nowych, twardych poduszkach.

– Czy... wszystko jest w porządku? – zapytała. Nie potrafiła pojąć, dlaczego przyjechał tutaj, zamiast wezwać ją do rezydencji Kaulów.

– Czy potrzebuję pretekstu, by odwiedzić siostrę? – zapytał ostrym tonem.

Znieruchomiała, słysząc te słowa, które zabrzmiały jak wymówka, ale mrugnął do niej na znak, że to tylko żart. Ten gest był bardzo podobny do Lana w jego najbardziej zrelaksowanym nastroju, lecz jednocześnie w żaden sposób nie harmonizował z surową aurą dowódcy, otaczającą go, gdy był filarem. Shae parsknęła śmiechem.

Lan wypił pół szklanki, po czym spojrzał na siostrę z poważniejszą miną.

– Miałem powód, żeby tu przyjechać, Shae. – Starannie dobierał słowa, zanim je wypowiedział. – Nie jestem pewien, czy Doru mówi mi wszystko, co powinienem wiedzieć. Nie sposób byłoby znaleźć bardziej doświadczonego prognostyka. Wiesz też, że on i dziadek są ze sobą bardzo blisko. Powiedział jednak kilka rzeczy, co prawda drobnych, które każą mi myśleć, że nie mogę w pełni na nim polegać.

Shae skrzywiła się. Nie znosiła Doru.

– Powinieneś zastąpić go kimś innym.

Skierował na nią swe charakterystycznie szczere spojrzenie.

– Szanuję twoją decyzję, że nie chcesz się mieszać w sprawy klanu, ale nie podoba mi się myśl, że chodzisz po mieście bez jadeitu, choć nie mam zamiaru cię przed tym powstrzymać. Zawsze cię poprę, bez względu na to, jaką decyzję podejmiesz. Już ci to kiedyś powiedziałem i to się nie zmieniło.

– Ale... – dodała Shae. To było tylko kwestią czasu...

– Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać i kto zna się na interesach. Chcę, żeby pojechał do kopalń i dokładnie się rozejrzył. Sprawdził ich księgi, przekonał się, czy wszystko jest w porządku i czy zgadza się z oficjalnymi zapiskami KSJ. To będzie przysługa dla mnie.

Shae przez chwilę nie odpowiadała. Teraz rozumiała, dlaczego przyjechał do jej mieszkania pod pretekstem wizyty, zamiast wezwać ją domu, gdzie Doru mógłby się dowiedzieć o ich rozmowie i zacząć się zastanawiać.

– Czy to wszystko? – zapytała.

Zmarszczył brwi, jakby spodziewał się sarkazmu.

– To wiele tygodni roboty.

– Wiem, ale czy to wszystko, o co zamierzasz mnie prosić? Czy potem nie będzie nic więcej?

– Nie będzie – zapewnił. – To wszystko. Nie wciągnę cię w interesy klanu ukradkiem, krok po kroku, jeśli o to właśnie mnie podejrzewasz, Shae. – W jego głosie zabrzmiała lekka twardość.

Zawstydzona dziewczyna spuściła wzrok. Okazując nieufność wobec intencji Lana, zraniła jego dumę, po tym, jak już posunął się do odwiedzenia młodszej siostry, by prosić ją o pomoc.

Przed laty jej kontakty z Espeńczykami zaczęły się od kilku drobnych, nieistotnych próśb, które następnie doprowadziły do nieco większych próśb, a wreszcie do teczki z jej nazwiskiem, która omal nie zniszczyła stosunków Shae z dziadkiem. Nie zapomniała, że jeden krok zrobiony w określonym kierunku może czasami doprowadzić do nieodwracalnej zmiany trasy czyjegoś życia.

Tym razem jednak prosił ją brat, a nie Jerald czy któryś z jego uśmiechniętych zwierzchników. Jako filar Lan mógł zażądać od niej hołdu wierności, mógł rozkazać jej ukłęknąć i odnowić przysięgi, a gdyby odmówiła, całkowicie odciąć ją od kontaktów z rodziną. Nie zrobił tego. Nie sądziła, by rzeczywiście rozważał taką możliwość. Nawet gdyby nie chciała spełnić jego prośby. Zawsze ufała Lanowi, a teraz przypomniano jej dlaczego.

Nagła wyprawa na południe wyspy zakłóciłaby jej nadal niejasne plany poszukiwania pracy, ale w końcu nie musiała się z nimi śpieszyć.

– Pojadę tam, Lan – zapewniła. – To będzie przysługa dla ciebie.





Wandale ukradli klejnoty posągu, choć były one tylko pozbawionymi mocy zielonymi kamykami.

Hol Gmachu Mądrości był imponująco wielkim pomieszczeniem z jasnymi, marmurowymi posadzkami i grubymi, zielonymi kolumnami, sięgającymi ku zdobnie pomalowanemu sufitowi. Lana i Woon przywitał młody sekretarz, który z szacunkiem oddał im honory i zaprowadził ich do gabinetu kanclerza.

– Son z pewnością o coś nas poprosi – rzekł cicho Woonowi Lan. – Zastanów się nad tym, co moglibyśmy mu przyznać.

Wprowadzono ich do środka przez drewniane dwuskrzydłowe drzwi. Gdy znaleźli się w gabinecie, kanclerz wstał zza masywnego biurka, by ich przywitać i oddać im honory. Son Tomarho był grubym mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat. Miał dołeczek na podbródku i krzaczaste brwi. Z pewnością w młodych latach był pięknie zbudowany, ale lata wygodnego życia i wiek średni pokryły jego mięśnie zwałami tłuszczu. Obdarzył Lana szerokim uśmiechem polityka.

– Wejdz, proszę, Kaul-jen. Czy bogowie ostatnio ci sprzyjają?

– W wystarczającym stopniu, kanclerzu – odparł Lan.

Poświęcili kilka minut na wymianę uprzejmości, nim usiadł na krześle przed wielkim biurkiem. Woon zajął odpowiednią pozycję za Lanem, po jego lewej stronie, zanim sam usiadł.

Kanclerz zapadł się w obity skórą fotel o wysokim oparciu. Mebel zaprotestował cichym skrzypnięciem. Son złożył dłonie na wydatnym brzuszysku i wlepił w gościa uważne spojrzenie.

– Czy filar klanu ma jakieś kłopoty, w których mógłbym mu pomóc?

Lan zebrał myśli.

– Kanclerzu Son, obawiam się że do złożenia tej wizyty skłoniło mnie coś, co bardzo mnie niepokoi.

\*\*\*

W przeciwieństwie do młodszego rodzeństwa Lan pamiętał ich ojca. W końcowym roku wojny wielu narodów, kilka miesięcy przed tym, nim Kaul Dushuron poległ w jednej z ostatnich bitew z będącą pod coraz większą presją szotarską armią, Lan zapytał go:

– Kto będzie rządził Kekonem, gdy już przegonimy Szociaków? Czy to będziesz ty?

– Nie – odparł Kaul Du. – Nie ja.

– W takim razie dziadek? Albo Ayt-jen?

– To nie będzie żaden z nas. Jesteśmy zielonymi kośćmi. – Jego ojciec kopiował listę nazwisk, rozkład jazdy pociągów oraz mapę na trzy odrębne karty papieru, by na koniec umieścić je w nieoznaczonych kopertach. – Złoto i jadeit nigdy nie chodzą razem.

– Dlaczego ludzie tak mówią? – Lan często słyszał, jak powtarzano to powiedzenie. „Złoto i jadeit” to był kekoński idiom, odnoszący się do chciwości i przesady. Zbytniej zachłanności. Tego, kto liczył na zbyt wielką przychylność fortuny, należało ostrzec „Nie prosz o złoto i jadeit”. Dziecko, które domagało się ciastka z kremem, mimo że zjadło już słodką bułkę, mogło usłyszeć „Chcesz mieć złoto i jadeit jednocześnie?”.

Ojciec przyjrzał mu się z uwagą. Lan przez chwilę obawiał się, że zdenerwował go pytaniami i zostanie wygnany z pokoju, by Kaul Du mógł spokojnie dokończyć pracę. Rzadko odwiedzał dom. Razem z dziadkiem Lana wyruszali na długie, tajne misje, a kiedy wracali, babcia i matka chłopców traktowały to jak wizytę bogów – wielki zaszczyt, nienaturalne zakłócenie porządku rzeczy, coś, co wymagało uczczenia, ale lepiej było jak najszybciej mieć to za sobą. Kaul Du całował dzieci, ale nie miał pojęcia, jak je traktować. Rozmawiał z Lanem jak z dorosłym. W sąsiednim pokoju malutki braciszek Lana, Hilo, dał się przeraźliwie, a ich matka próbowała go uspokoić.

– Dawno temu, wiele stuleci przed przybyciem Szotarczyków, na Kekonie istniały trzy królestwa – zaczął Kaul Du, ponownie kierując połowę swej uwagi na listy i mapy. – Królestwo Jan leżało na północnym wybrzeżu, gdzie znajdujemy się w tej chwili, Hunto na centralnej nizinie, a Tiedo na południowym półwyspie. Hunto było najsilniejszym z królestw, ale jego król miał rozcieńczoną krew i dręczyła go obsesja na punkcie jadeitu. Pewnej nocy dostał śwędziawki, wpadł w straszliwy szal i wymordował całą rodzinę, w tym również własne dzieci.

Spojrzenie Lana padło na liczne jadeity, które ojciec nosił na szyi i nadgarstkach. Kaul Du zauważył to, uśmiechnął się, złapał Lana za ramię i przyciągnął go do siebie z brutalną czułością.

– Czy boisz się tego, synu? – zapytał, wyciągając karambit z pochwy u pasa i kładąc go między nimi. Lan widział, że krawędź noża jest bardzo ostra, ale rękojeść wytarła się od dotyku dłoni jego ojca. – Czy martwisz się o tatę? O to, co może mu się stać?

– Nie – odpowiedział Lan ze spokojem w głosie. Miał już osiem lat i wiedział, że wszyscy mężczyźni w jego rodzinie są zielonymi kośćmi. To znaczyło, że nosili jadeit i składali przysięgi tajnemu klanowi walczącemu z niesprawiedliwością cudzoziemców.

– To dobrze – ucieszył się ojciec, nadal mocno otaczając ramieniem jego barki. – Nie musisz się tego obawiać. Niektórzy mogą nosić jadeit, a inni nie. Ty zaliczasz się do tych pierwszych, podobnie jak twój braciszek, twój ojciec i dziadek. Popatrz, to jest karambit. Nie masz jeszcze własnego? Bogowie, powinienes. Muszę się tym zająć. Dotknij go. To tylko kilka klejnotów, nie zrobią ci krzywdy.

Lan uniósł broń i obrócił ją w ręce, jak robił to z nożem zabawką. Kawałki jadeitu wprawione w rękojeść były gładkie w dotyku. Jego pierś wypełniła ciepła, przyjemna wibracja, jakby zaczerpnął głęboki haust powietrza po długim wstrzymywaniu oddechu. Ojciec spojrział na niego z aprobatą.

– I co się stało po tym, jak król zabił całą rodzinę? – zapytał chłopiec.

Kaul Du zabrał mu nóż i schował go do pochwy.

– Ponieważ nie pozostał żaden następca tronu, królestwa Jan i Tiedo napadły na Hunto i podzieliły się jego terytorium. A potem zaczęły walczyć ze sobą. W końcu Kekon zjednoczono. Od tej pory dla bezpieczeństwa kraju ustalono, że ci, którzy sprawują władzę, nie mogą nosić jadeitu, a ci, którzy noszą jadeit, nie mogą sprawować władzy.

W sąsiednim pokoju dręczony kolką Hilo, który szczęśliwie uciszył się na moment, zaczął się drzeć z nowym wigorem.

– Przekleństwo na tego wrzaskliwego demona – warknął ojciec Lana, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Kekońskie wieśniaczki często zapewniały, że im głośniej krzyczy chłopczyk, tym lepszym wojownikiem zostanie.

W oddali rozległ się nowy dźwięk – syreny nad Janloonem ostrzegające przed nalotem. Ich hałas zmącił nocną ciszę, zagłuszając płacz Hila.

Ojciec Lana zignorował alarm.

– Mężczyzna, który nosi koronę króla, nie może nosić jadeitu wojownika. Złoto i jadeit nigdy nie chodzą w parze. Zielone kości żyją w zgodzie z *aisho*. Bronimy kraju przed wrogami i słabych przed silnymi. – Kaul Du odsunął od siebie syna, na odległość wyciągniętej ręki, i przymrużył lewą powiekę, robiąc zamyśloną minę. – Kiedy ta wojna się skończy, gdy już pokonamy Szocia-ków, klan będzie musiał odbudować kraj i bronić jego mieszkańców przed chaosem. Ach, nie sądzę, bym dożył tej chwili, Lan-se, ale będziesz musiał być zupełnie inną zieloną kością niż ja.

\*\*\*

– Chcę, żebyście uchwalili prawo niepozwalające, by jakikolwiek klan mógł zdobyć status większościowego udziałowca w Kekońskim Sojuszu Jadeitowym – oznajmił kanclerzowi Lan.

Son wydał grube wargi.

– To interesujące... biorąc pod uwagę fakt, że stosunki własności w KSJ od piętnastu lat pozostają w praktyce niezmienione. Dwa największe klany posiadają w przybliżeniu równą liczbę udziałów.

– Góra ma trzydzieści dziewięć procent, a klan Bez Szczytów trzydzieści pięć – uściślił Lan. – Reszta jest podzielona między mniejsze klany. Czy jednak mogę cię poprawić, kanclerzu? Do ostatniej zmiany doszło w zeszłym roku, gdy Góra zwiększyła stan posiadania o dwa i pół procenta, po aneksji klanu Trzech Runów, której dokonali, zabijając wszystkich noszących jadeit członków rodziny Run.

Kanclerz Son skrzywił się z niezadowoleniem. Lan stłumił szyderczy uśmiech. Nigdy nie zaszkodziło przypomnieć politykom, że zielone kości kierują się zupełnie innymi standardami szybkości i brutalności.

– Czy to prawo ma służyć... defensywnym celom, Kaul-jen? – W głosie Sona pobrzmiwała chłodna ciekawość. Gdy ściągnął siwe, krzaczaste brwi, pojawiło się między nimi zagłębienie.

Lan potrafił zgadnąć, o czym myśli kanclerz: „Czy są powody do obaw, że Góra może podbić mniejsze klany albo, bogowie, brońcie, klan Bez Szczytów?”.

– Defensywnym w tym sensie, że chodzi o obronę kraju – odpowiedział stanowczo Lan. – Gdy po wojnie utworzono KSJ, przyjęto rozsądne założenie, że kekońskimi zasobami jadeitu powinny zarządzać zielone kości. Uznano za oczywiste, że wszystkie klany będą gotowe współpracować ze sobą i bronić tych zasobów. To jednak było jeszcze przed wynalezieniem SN1, nim do kraju zaczęły napływać pieniądze z eksportu i nim zaszły... pewne zmiany w przywództwie najważniejszych klanów.

– Myślisz, że Góra pragnie przejąć kontrolę nad KSJ? – zapytał prosto z mostu Son.

– Myślę, że w interesie państwa leży usunięcie tej pokusy.

– W interesie państwa czy w interesie klanu Bez Szczytów?

– Nie chodzi mi o korzyść dla własnego klanu – odparł Lan z wyraźną nutą wyrzutu w głosie. – Każde uchwalone przez radę prawo dotyczące KSJ obowiązywałoby go w takim samym stopniu jak klan Ayt Madashi. – Pochylił się, opierając łokcie na blacie biurka kanclerza. Ten ruch odsłonił jego przedramiona i Son ujrzał na moment wysadzane jademitem mankiety jego koszuli. – Jadeit jest naszym naturalnym zasobem. Nie powinniśmy pozwolić, by kontrolowały go jedna osoba albo grupa. Musimy zachować równowagę sił.

Kanclerz Son podrapał się po policzku.

– Trudno byłoby sformułować podobne prawo tak, by nie dało się go obejść. Zdeterminowana grupa mogłaby użyć filii bądź pośredników, by zdobyć pakiet kontrolny.

– Jestem pewien, że w rządzie nie brakuje inteligentnych ludzi, którzy znajdą jakiś sposób – stwierdził Lan spokojniejszym tonem, uświadomiwszy sobie, że pytanie nie brzmi już „czy?”, tylko „jak?”. – Na przykład można by wprowadzić zasadę automatycznej redystrybucji udziałów, jeśli jakikolwiek klan i jego przybudówki przekroczą barierę czterdziestu pięciu procent. Albo uchwalić prawo przewidujące nacjonalizację KSJ, gdyby znalazło się pod kontrolą jednego klanu. Nie sądzę, by tak skrajne środki kiedykolwiek okazały się potrzebne – dodał, widząc niedowierzanie na twarzy kanclerza. – Ale z pewnością wybiłoby to wszystkim klanom z głowy myśl, że mogą przejąć kontrolę nad jademitem, eliminując rywali.

Son wypuścił ciężko powietrze przez nos i zabębnił grubymi jak kielbaski palcami.

– Ustaw nie uchwała się i nie wprowadza w życie drogą magii ani aktem mojej woli – stwierdził z uśmiechem. – Taki projekt musiałby przejść przez Radę Książęcą. W tym celu potrzebowalibyśmy poparcia wszystkich radców powiązanych z klanem Bez Szczytów i prawie wszystkich niezależnych.

– W takim razie szczęśliwie się składa, że zwróciłem się do kogoś, kto od dawna jest przyjacielem naszego klanu – odparł Lan z równie znaczącym uśmiechem. – Kto ma wpływy potrzebne, by przeprowadzić coś takiego.

Kanclerz odchrząknął i machnął ręką. Miał jednak zadowoloną minę. Nim Son Tomarho zaczął karierę polityczną, był stosunkowo zamożnym latarnikiem klanu Bez Szczytów. Rodzinnym interesem w branży włókienniczej kierowały obecnie jego córki i nadal regularnie płaciły należną daninę. Wszyscy wiedzieli, że Son jest najwyższym postawionym w rządzie człowiekiem klanu Bez Szczytów. Niemal wszyscy radcy oraz ich współpracownicy w Gmachu Mądrości byli powiązani z którymś z klanów zielonych kości. Skarbnik Rady, którego gabinet znajdował się tuż obok, był lojalnym stronnikiem Góry.

*Złoto i jadeit nigdy nie chodzą razem.* Ojciec Lana zaznajomił go z tym aksjomatem ponad dwadzieścia pięć lat temu. Okazało się jednak, że sprawa nie jest taka prosta. Po wojnie zielone kości, idąc za przykładem Kaul Sena i Ayt Yu, wiernie przestrzegały zasad *aisho*, wyrzekając się politycznej władzy i wycofując się do prywatnego życia. Jednakże na dobre już wyszły z cieni. Nie ukrywały się i nie ćwiczyły w górach, lecz żyły otwarcie w miastach, które wyzwoliły. W latach powojennego chaosu i szybkiego wzrostu zwykli ludzie nadal zwracali się do nich z prośbą o ochronę i przysługi, tak samo jak w ciągu dziesięcioleci cudzoziemskiego ucisku, a zielone kości spełniały te prośby. Tajna sieć ich ludzi – latarników – służyła teraz interesom, a nie wojnie. Mieli wpływy i przyznawali posady oraz kontrakty towarzyszącej im wiernym sojusznikom z lat okupacji. Ci, których Szotarczycy uważali za przestępców, stali się na wyspie klasą rządzącą. Mimo że klany oficjalnie nie były częścią kekońskiego rządu, ich działalność splotła się z nim tak ściśle, że nie

sposób ich było odróżnić.

Dlatego właśnie Lan nie miał wątpliwości, jak zakończy się to spotkanie. Son Tomarho spełni jego prośbę. Pozostawały tylko pytania: jak szybko, z jak wielkim entuzjazmem i za jaką cenę. Kanclerz rozsiadł się wygodnie.

– Znasz mnie, Kaul-jen – zaczął wyćwiczonym przyjaznym tonem doświadczonego polityka. – Pragnę tego, co najlepsze dla kraju, i w stu procentach zgadzam się z twoją opinią w tej sprawie. Podejrzewam jednak, że trudno nam będzie zdobyć potrzebne głosy. Bez względu na lojalność wobec klanu niektórzy radcy mogą się zawahać przez poparciem ustawy sprawiającej wrazenie skierowanej wyłącznie przeciw Górze. Byłoby znacznie łatwiej zdobyć poparcie, gdyby propozycja zawierała inne kroki leżące w interesie publicznym.

– Czyż nie zgodziliśmy się, że uchwalenie tego prawa leży w interesie publicznym? – Rzecz jasna, Lan spodziewał się, że Son zażąda czegoś więcej, lecz mimo to czuł się poirytowany. Kanclerz powinien był uświadomić sobie, że obrona KSJ przed władzą jednego klanu jest jego obywatelskim obowiązkiem, bez względu na to, czy klan Bez Szczytów wyświadcza mu przysługi płynące z patronatu. Trudno jednak było się uwolnić od nawyków latarnika.

– To prawda, to prawda – zgodził się miłym głosem Son. – Jednakże zwykłych obywateli obchodzą bardziej konkretne, codzienne sprawy. Na przykład sprawne funkcjonowanie naszego portu. Z pewnością wiesz, że strajk dokerów przed kilkoma miesiącami ciągnął się bardzo długo, ze szkodą dla miasta. Moja rodzina, podobnie jak kilka innych, zwróciła się z prośbą o pomoc do rogu klanu Bez Szczytów, lecz, niestety, jej nie otrzymała.

– Zostawiam rogowi swobodę decyzji w podobnych kwestiach – odpowiedział Lan. – A akurat w tej sprawie zgadzam się z jego opinią.

Rodzina Sonów i inni latarnicy chcieli, by ludzie Hila zastraszyli związkowych bossów, rozpędzili ich wiece i pobili ludzi, gdyby okazało się to konieczne, by zmusić ich do powrotu do pracy.

– Za kogo nas uważają? – zachnął się wtedy Hilo. – Za zbirów do wynajęcia?

Dokerzy również byli latarnikami klanu Bez Szczytów. Związkowi bossowie płacili daninę. Tym razem brat zaimponował Lanowi. Hilo nigdy nie wahał się przed użyciem przemocy, ale przynajmniej robił to w wykalkulowany sposób i wiedział, że nie można pozwolić, by latarnicy uznali, że mogą przesadzić z żądaniami.

Ale też tym razem Lan potrzebował współpracy Sona.

– Rozumiem twoje troski i brzemię dźwigane przez tych, którzy ponieśli straty. Z pewnością moglibyśmy w jakiś sposób poprawić ich sytuację. Nasz prognostyk jest obecnie bardzo zajęty, dlatego poproszę Woon-jena, by potraktował tę sprawę jako priorytetową.

Tymi słowami Lan dał do zrozumienia, że pozwala Woonowi zabrać głos. Filarowy milczał przez cały czas, pozwalając mówić zwierzchnikowi, jak przystało niższemu rangą członkowi klanu w podobnej sytuacji. Nie okazywał też żadnych uczuć, a tylko starannie obserwował rozmówcę, by móc później potwierdzić wrażenia szefa bądź je zakwestionować. Teraz jednak Woon pochylił się i zaczął mówić. Lan czekał z lekkim niepokojem na wynik tej próby.

– Kanclerzu, jak rozumiem, niektóre gałęzie przemysłu, na przykład włókiennictwo i przemysł tekstylny, muszą stawiać czoło trudnej konkurencji ze strony towarów importowanych. Być może narzucane przez klany cła zaporowe mogłyby wyrównać szanse kekońskich producentów?

Lan był zadowolony. To była dobra propozycja. Zwiększone cła na zagraniczne wyroby tekstylne zwiększyłyby zyski klanu, stosunkowo łatwo byłoby je wprowadzić i bardzo pomogłyby rodzinnemu interesowi Sona, nie przyznając jednocześnie zbyt wiele innym latarnikom.

Kanclerz udawał, że zastanawia się nad słowami Woon, ale Lan zauważył, że ledwie powstrzymuje uśmiech zadowolenia.

– Tak, to rzeczywiście byłoby korzystne.

Lan wstał i poprawił mankiety.

– Zatem osiągnęliśmy porozumienie.

Kanclerz podźwignął się z krzesła i odprowadził ich do drzwi gabinetu.

– Jak się czuje twój dziadek, oby żył trzysta lat, Kaul-jen?

– Niestety, starość dopada z czasem nas wszystkich, nawet zielone kości – odpowiedział ze spokojem Lan, uświadamiając sobie, że z pozoru troskliwe pytanie jest w rzeczywistości próbą wysondowania, w jakim stopniu Kaul Sen nadal kieruje sprawami klanu z za pleców wnuka. Son

chciał wiedzieć, czy ugoda, którą zawarł z Lanem, jest ostatecznym słowem klanu. – Mój dziadek nie jest już tym, kim był dawniej, ale nadal czuje się nieźle i cieszy się zasłużoną emeryturą.

Son dotknął czoła tłustymi dłońmi, oddając Lanowi honory na pożegnanie.

## Rozdział 15

### Pakt z demonami

Pod magazynem stało dwanaście podrasowanych motocykli firmy Torroyo w lubianych przez motocyklistów z północnej części Janloonu krzykliwych kolorach: intensywnie czerwonym, limonkowym i jaskrawoniebieskim. Hilo przystanął, by podziwiać kilka z nich. Pogłaskał nawet wymodelowane skórzane siedzenie szczególnie efektownej maszyny, pochylił się, by przyjrzeć się błyszczącemu silnikowi i zerknąć na błotnik. Następnie ruszył ku aluminiowym drzwiom przeznaczonego obecnie do innych celów budynku. Dobiały zza nich wibrujące basowe tony głośnej muzyki.

Towarzyszili mu Maik Tar oraz dwoje starszych rangą palców, których miał nadzieję niedługo awansować na pięści – bystry, ale nieco otyły i niepozorny Obu, którego Odbijanie było silniejsze niż u kogokolwiek, kogo Hilo w życiu spotkał, ale musiał się nauczyć lepiej je kontrolować, jeśli miał osiągnąć wyższą pozycję. Druga, Iyn, nie miała szczególnie wybitnych talentów, ale podobnie jak wiele kobiet będących zielonymi kośćmi – zwłaszcza po stronie klanu należącej do rogu – była przyzwyczajona do tego, że musi pracować więcej od mężczyzn. Hilo to doceniał. Iyn Ro i Maika Tara łączył przerywany związek, obecnie znajdujący się w fazie przerwy. Byli zbyt podobni do siebie i jako kochankowie walczyli ze sobą nieustannie.

Czwórka zielonych kości weszła do budynku dowodzenia gangu motocyklistów. Około dwudziestu jego członków – prawie wszyscy między szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia – siedziało na starych sfatygowanych kanapach, piło i paliło, niektórzy grali w bilard, a kilku oglądało telewizję. Trzech siedzących w rogu mężczyzn otwarcie liczyło stos banknotów. Hilo rozejrzał się wkoło z zainteresowaniem. Jak na gang z dzielnicy Pralnia Chromowane Demony miały całkiem nieźle utrzymaną siedzibę. Widziało się tu stosunkowo niewiele brudu, robactwa i oszołomienia prochami.

Wszyscy spojrzeli na intruzów. W mgnieniu oka Chromowane Demony zerwały się na nogi, sięgając po pistolety, noże albo inną broń, jaką mieli pod ręką: butelki albo kije bilardowe. Trzech mężczyzn podjęło śmieszne próby ukrycia za plecami wielkiej sterty banknotów.

– Słuchać, kundle! – krzyknął Tar. Ktoś wyłączył muzykę.

– Do kogo należy ten piękny torroyo rp550 płomiennej barwy? – zapytał Hilo.

– Do mnie – dobiegła odpowiedź z tyłu pomieszczenia.

Z grupy wyłonił się mężczyzna o ponurej minie. Był potężnie zbudowany i nosił typową dla swego gangu skórzaną kurtkę o rękawach pociętych na paski. Gęste włosy uczesał w dwie sztywne wypukłości o nieco fallicznym kształcie. Sprawiał wrażenie kilka lat starszego niż większość obecnych. Lepszy motocykl i ostentacyjnie demonstrowana pewność siebie przekonały Hila, że to on jest szefem tej komórki Demonów.

– Co cenisz wyżej, twarz czy motocykl? – zapytał Hilo.

– Słucham? – warknął mężczyzna.

– Twarz czy motocykl? – powtórzył Hilo. – Co wybierasz?

Szef gangu spojrzął na jadeity widoczne na obojczyku Hila. Następnie przeniósł spojrzenie na Maika, Obu i Iyn.

– Twarz – odpowiedział niepewnie.

Hilo uderzył go natychmiast, łamiąc mu nos. Mężczyzna zatoczył się do tyłu. Z oczu płynęły mu łzy. Był oszołomiony z bólu. Nie zdążył nawet unieść rąk, by się osłonić. Kilku młodszych Demonów, którzy jeszcze nie znali życia, sięgnęło po pistolety, ale nim zdążył paść choć jeden strzał, Obu uderzył w nich Odbijaniem, ciskając wszystkich członków gangu pod ściany. Kanapy i ciężki stół bilardowy również się przesunęły.

– Dotarło do nas wiele skarg na hałas i zamieszanie, jakie powodują w tej dzielnicy wyścigi motocyklowe – powiedział Hilo, gdy członkowie gangu podnieśli się z wysiłkiem na nogi. – Co więcej, znacznie wzrosła liczba napadów rabunkowych. Sądząc po tym, ile pięknych maszyn parkuje przed budynkiem, Chromowanym Demonom nie brakuje pieniędzy. Wypadałoby, żeby prze-

stępcy płacili daninę klanowi dbającemu o praworządnych obywateli, którym tak beztrudnie utrudniać życie.

Iyn zaczęła krążyć po pomieszczeniu z wielkim workiem. Wrzuciła do niego stertę gotówki ze stolika na zapleczu. Konfiskowanie pistoletów również wychodziło jej świetnie. Maik i Obu obserwowali wszystkich uważnie i nikt nie odważył się stawiać oporu. Chromowane Demony były twardzielami, byli wśród nich zaprawieni w bojach, wytatuowani zabójcy, ale większość z nich z rezygnacją oddawała broń i pieniądze. Najwyraźniej zielone kości nieraz już pobierały od nich opłaty i wiedzieli, że jeśli nie będą się opierali, zachowają życie, w przeciwnym zaś razie z pewnością zginą. Klan nadzorował wszystkie grupy społeczne, w tym również przestępców, i w Janloonie akceptowano to jako nieodłączną część życia. Jeden nierozsądny mężczyzna uśmiechnął się lubieżnie do Iyn, ale gdy przeszła go morderczym spojrzeniem, natychmiast cofnął się skruszony i opróżnił kieszenie, nim zdążyła złamać mu jakąś kość. Hilo był zadowolony z obojga swych palców. Do tej pory trafnie odczytywali jego wskazówki i używali siły w odpowiednim zakresie. Ani razu nie zareagowali przesadnie, a mimo to nikt w pomieszczeniu nie wątpił, że przeleją krew bez chwili wahania. Zielone kości musiały cały czas utrzymywać taką równowagę, co nie było łatwym zadaniem.

Iyn podeszła do Hila i położyła worek z bronią oraz pieniędzmi u jego stóp.

– W normalnej sytuacji zabrałbym wasze bezprawnie zdobyte zyski i zostawiłbym was z ostrzeżeniem, że jeśli usłyszę kolejne skargi, wyślę was na dno zatoki, razem z waszymi motocyklami – oznajmił. – W takim przypadku wystarczyłoby jednak, żebym przysłał tu moje pięści. Nie po to przybyłem.

– To po co, kurwa? – wybełkotał szef gangu, trzymając się za twarz.

– Dobrze, że pytasz – rzucił Hilo. – Słyszałeś o Trzypalcym Gee?

– Gee nie żyje! – zawołał ktoś w głębi pokoju.

– Karmi robaki – zgodził się Hilo. – Człowiek, który go zabił, pracuje dla Góry. Jestem tego pewien, ale chciałbym wiedzieć, czym dokładnie się zajmuje. Co robi i kim są jego współpracownicy. Bardzo wiele z tego... – róg trącił stopą worek z pieniędzmi i bronią – ...to zyski z nielegalnej produkcji ulicznego błysku oraz sprzedawania go złodziejom i przemytnikom jadeitu. Ludziom, którzy handlują z czarnorynkowymi szlifierzami, takimi jak Tem Ben. Oto moja propozycja. Wykorzystajcie swoje kontakty. Swoich złodziei i kieszonkowców, dilerów błysku i alfonsów. Zróbcie to dyskretnie. Znajdźcie mi Tem Bena i tak wielu tych, którzy dla niego pracują, ilu zdołacie, a opuszczę was i zostawię ten worek na podłodze. – Uniósł ręce i zatoczył nimi krąg, wspaniałomyślnie wskazując na wszystko, co znajdowało się w byłym magazynie. – Obu, Iyn i Maik Tar wrócą tutaj, oczekując, że usłyszą wiadomości, ale mnie już nie zobaczycie, jeśli nie będziecie wywoływać kłopotów na terytorium klanu Bez Szczytów. Wszystko, co robicie poza jego granicami, w Mieście Rybaków albo Kikucie, jestem gotowy przeoczyć.

Zapadła znacząca cisza, maćona tylko cichutkimi szeptami. Róg klanu Bez Szczytów w praktyce dał Chromowanym Demonom wolną rękę, z tylko nielicznymi zastrzeżeniami. Zwolnienie od klanowych represji i opodatkowania w zamian za informację. Wręcz zachęcił ich do siania chaosu na terytorium Góry i przynoszenia łupów do Pralni, bez żadnych konsekwencji, o ile nie dadzą się złapać. W mężczyznach przebywających w magazynie niepewność mieszała się z ekscytacją. Róg musiał być naprawdę wściekły. Wojna klanów mogła być dla nich szansą.

– Powinniśmy się zgodzić, Okan – wyszeptał z entuzjazmem jeden z młodszych członków gangu do swego szefa, usiłującego powstrzymać rękawem koszuli krwawienie z nosa.

– Ja zdecyduję, co zrobimy – warknął Okan, próbując odbudować swój wyraźnie nadszarpnięty autorytet. Odwrócił się i zmarszczył groźnie brwi, ale nie chciał patrzeć intruzom w oczy. Wlepił spojrzenie w worek leżący na podłodze. Oczywiście nie miał jadeitowej aury, ale Hilo Postrzegał wypełniające go napięcie. Upokorzenie i ból walczyły w nim z narastającą nieprzyjemnie świadomością, że ofiarowano mu szansę i byłby totalnym durniem, gdyby ją odrzucił.

– To znaczy, że dostaniemy działkę, kiedy załatwicie Tem Bena i ludzi Góry?

– Nie bądź śmieszny – warknął Hilo. Aura dobroduszości, którą otaczał się do tej pory, zniknęła tak gwałtownie, że wszyscy w magazynie się wzdrygnęli, nawet jego ludzie. – To są sprawy klanów. Znajdziesz dla mnie Tema i opowiesz mi o jego działalności oraz powiązaniach, ale to, co wydarzy się później, to sprawa między zielonymi kośćmi. Chcę wam dać pozycję lepszą, niż



mają Czerwoni, Siódemki czy inne gangi. Jeśli nadużyjecie mojej szczodrości na terytorium klanu Bez Szczytów i dowiem się o tym, niech bogowie mają was w swojej opiece. A teraz mi odpowiedz.

– W porządku, rozumiemy się – wymamrotał Okan. – Zgoda.

– Mówi się „Tak, Kaul-jen”. I klęknij, kiedy składasz przysięgę rogowi, psie – warknął gniewnie Maik Tar.

Hilo pomyślał, że te ostatnie słowa były niepotrzebne. Szef gangu był już wystarczająco zastraszone i pełen złości. Róg doceniał porywczą naturę młodszego Maika, ale jego łatwe okrucieństwo osłabiało wymowę słów Hila, zamiast ją wzmocnić.

Nie powiedział jednak nic. Zapisał tylko sobie w pamięci, żeby później skarcić Tara. Podniósł leżący na podłodze worek i wręczył go Okanowi w lekko ceremonialnym geście. W ten sposób odbudował choć część szacunku, który mu przedtem odebrał. Miał nadzieję, że to wystarczy, by reszta gangu trzymała się zawartego dziś porozumienia.

Szef gangu Chromowanych Demonów, nadal wyraźnie wściekły, uklęknął przed Hilem na betonowej podłodze i uniósł ręce, oddając mu honory.

## Rozdział 16

### Kopalnia jadeitu

Shae zatrzymała się na chwilę, by otrzeć pot z czoła. Espeńskie miasto Windton, w którym studiowała w szkole biznesowej, było wysoko położone, miało suchy klimat, otaczały je preriowe tereny uprawne oraz liczne fabryki. Nie mogła znieść tamtejszych mroźnych zim z typowymi dla nich wyjątkimi wiatrami, ale trudno jej też było przystosować się do przytłaczającej wilgoci górzy-stego wnętrza Kekonu. Pomimo krótkiej ulewy poprzedniej nocy, w południowej części wyspy uważano, że nastąpiła już pora sucha. W szczytowym momencie deszczów wiosennej pory kwitnienia strumienie wody spadające z nieba całkowicie zalewały drogi, odcinając okolicę od reszty świata.

Do budynku kierownictwa kopalni od wysypanego żwirem placu, na którym kierowca zaparkował kaszlącą zardzewiałą ciężarówkę w sąsiedztwie dwóch pokrytych skorupą brudu koparek, prowadziła krótka, lecz stroma błotnista ścieżka. Każdy kolejny etap jej dwudniowej podróży był coraz wolniejszy. Najpierw dotarła metrem do Wielkiej Stacji Kekońskiej, następnie odbyła długą podróż autobusem z Janloonu do miasta Pula, zamieszkanego głównie przez Abukei, później wynajęła ciężarówkę, a ostatni odcinek drogi pokonała na piechotę. Każdy krok w błocie zbliżał ją do źródła jadeitu.

Zielone korony drzew nad jej głową filtrowały światło słońca, przebijające się w dół jasnymi snopami. Głosy ptaków, a od czasu do czasu również pohukiwanie małp, przypominały jej, jak pełna życia jest dżungla. Choć koszula nieprzyjemnie lepiała się jej do ciała, a między piersiami spływały strużki potu, powodując swędzenie, Shae cieszyła się, że zgodziła się spełnić prośbę Lana. Janloon był pełen sprzeczności, zdumiewających nawet kogoś, kto się tu urodził – pełna śmieci zupa pyrkocząca nad ogniskiem, a jednocześnie nowoczesna, wspaniała metropolia, gorączkowo zabiegająca o status miasta klasy światowej, mimo że w rzeczywistości była tylko zlepkiem klanowych lenn feudalnych.

Poza miastem Kekon był jednak piękną wyspą. Shae potrafiła zrozumieć, dlaczego w starożytnych czasach cudzoziemscy marynarze nazywali go „przeklętą ślicznotką”. Widok gór był dokładnie tym, czego potrzebowała, by sobie przypomnieć, dlaczego tu wróciła. Jej rodzinna wyspa miała w sobie coś szczególnego. Bycie Kekonką sięgało głębiej niż nieuniknione kłopoty powiązane z członkostwem w rodzinie Kaulów.

Biuro kierownika kopalni mieściło się w małym baraku, sprawiającym wrażenie, że przeżył już kilka osunięć ziemi, lecz nadal trzymał się niepewnie stoku góry dzięki kłodom, które wbito w ziemię poniżej niego, by podtrzymywały pochyłe ściany. Zapukała do drzwi. Słyszała łoskot maszynierii i poruszenia w głębi odkrywki, ktoś więc musiał pełnić tu dyżur. Odczekała chwilę, ale nikt nie odpowiadał, otworzyła więc drzwi i weszła do środka.

Kierownik był pochłonięty oglądaniem meczu piłki sztafetowej na czarno-białym telewizorku w pokoiku na zapleczu. Poderwał się nagle na jej widok.

– Kim jesteś?

Wyłączył pośpiesznie telewizor i omiół ją zdumionym spojrzeniem. Podejrzewała, że młode kobiety z miasta nie zjawiają się tu zbyt często, nawet takie, które mają buty oblepione ziemią i spodnie podwinięte do połowy łydek.

– Pukałam, ale najwyraźniej mnie nie usłyszałeś – wyjaśniła.

– Przepraszam, słabo słyszę – odparł. – Co cię tu sprowadza? Czy ktoś ci towarzyszy?

Obrzucił ją nieufnym spojrzeniem. Zdarzało się, że wyjątkowo nierozsądni złodzieje próbowali kraść jadeit z samej kopalni. Mężczyzna zerknął na biurko. Podejrzewała, że w szufladzie trzyma pistolet.

– Mam dokonać inspekcji kopalni i sprawdzić wasze księgi – wyjaśniła.

– Nie zawiadomiono mnie o żadnej inspekcji. Z czym upoważnieniem tu przyjechałaś?

– Mojego brata, Kaula Lanshinwana, filaru klanu Bez Szczytów.

Shae wyciągnęła kopertę i wręczyła ją kierownikowi. Mężczyzna złamał pieczęć i przebiegł spojrzeniem po tekście, marszcząc brwi. List był napisany pismem Lana, podpisany jego nazwi-

skiem oraz tytułem członka rady nadzorczej Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego i opatrzony czerwoną, okrągłą pieczęcią z klanowymi insygniami.

Kierownik złożył list. W jego wzroku pojawił się wyraz udzielanej z niechęcią uprzejmości.

– W porządku. Co chciałabyś zobaczyć, Kaul-jen? Panno Kaul?

Po raz kolejny przyjrzał się jej niepewnie, zdziwiony brakiem jadeitu.

– Może być panna Kaul. Czy mógłbyś mi pokazać miejsce, gdzie wydobywa się jadeit?

Mruknął coś pod nosem, ale zaprowadził ją z pokoiku na zapleczu do właściwego gabinetu.

Włożył na głowę słomiany kapelusz i poprowadził Shae ścieżką biegnącą wzdłuż stoku. Hałas maszynierii nasilał się z każdą chwilą, zagłuszając dźwięki lasu. Shae poczuła, że po skórze przebiegły jej ciarki, jakby coś nagle zmieniło się w wilgotnym powietrzu. To wrażenie nasilało się z każdym krokiem, aż wreszcie wydało się jej, że ciągnie ją naprzód lina przebiegająca przez jej pępek. Wreszcie wyszli spośród drzew i znaleźli się na skalnej półce nad wielką jak stadion odkrywką. Z ust Shae wyrwało się westchnienie zachwytu.

Przypomniała sobie stare abukejskie mity, które w dzieciństwie słyszała od Kyanli. Bogini matka, Nimuma, po stworzeniu świata wpadła do oceanu, martwa z wysiłku. Jej ciało przerodziło się w wyspę Kekon, a żyły jadeitu biegnące pod górami były kośćmi bogini. Zielonymi kośćmi. Przyszło jej na myśl, że jeśli tak to sobie wyobrazić, prace górnicze, które tu prowadzono, były rozkopywaniem grobu na niemającą sobie równych skalę. Najcenniejszy i najbardziej pożądaný klejnot na świecie wydobywano tu z ziemi, wystawiając go na świeże powietrze. Z miejsca, w którym stała, Shae widziała ogromne kruszące skalę maszyny oraz rozklekotane budynki o aluminiowych dachach, w porównaniu z nimi wyglądające jak zabawki. Abukejscy robotnicy byli małymi figurkami krzątającymi się pośród hałd. W powietrzu unosił się zapach dieslowskiego paliwa oraz przenikliwy dźwięk chłodzonych wodą diamentowych wiertel drażących skalę. Pośród gładów i na naczepach ogromnych ciężarówek, gdzie krojono szare, pokryte błotem głady, zauważyła zielony błysk surowego jadeitu.

– Ostrożnie, panno Kaul! – zawołał kierownik, gdy Shae ruszyła w dół metalowej rampy biegnącej zygzakiem po ścianie odkrywki. Trzymała się ręką poręczy, gdy jej ubłocone buty uderzały o stalową kratę. Kierownik podążył za nią.

– Proszę się zatrzymać przy znaku! – zawołał, przekrzykując łoskot ciężarówek i ciężkiego sprzętu.

Na przedostatnim pomoście znajdował się niewielki taras widokowy. Umieszczono na nim wielką tablicę z napisem: UWAGA. PONIŻEJ TEGO PUNKTU NIEUPOWAŻNIONYM OSOBOM WSTĘP WZBRONIONY. OBSZAR NIEBEZPIECZNY DLA OSÓB WRAŻLIWYCH NA JADEIT. ZEJŚCIE NIŻEJ WYŁĄCZNIE NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ.

Zatrzymała się. Nikt o jej wrażliwości nie powinien się narażać na kontakt z tak wielką ilością jadeitu. Spojrzała na Abukei pracujących na dole. Wszyscy nosili kaski, grube rękawice i brudne brezentowe spodnie, ale z uwagi na upał pracowali rozebrani do pasa. Podobnie jak ich przodkowie, tylko oni mogli bezpiecznie mieszkać w kekońskim interiorze. We współczesnym świecie dzięki swej odporności Abukei wywalczyli dla siebie drugie miejsce w hierarchii społecznej. Chudzi robotnicy na dole pracowali nieustannie, opierając się o wielkie głady i dotykając błyszczącej zielonej powierzchni, i nie czuli tego, co Shae czuła w tej chwili – oszałamiającego pragnienia w brzuchu, głębszego i bardziej dotkliwego niż głód.

Głęboko zakorzenione w Kekończykach uprzedzenia głosiły, że Abukei są niższą rasą, ale Shae studiowała na espeńskim uniwersytecie i wiedziała, że to przekonanie jest błędne. Abukei mieszkali na Kekonie już stulecia przed tym, nim przybyli tu osadnicy z Tun. To oni posiadali zdolność przetrwania. Mieszkali tu, nie ulegając wpływowi substancji, która sprawiała, że późniejsi przybysze mordowali się nawzajem albo rzucali się do morza. O ironio, obecnie Abukei, którym się poszczęściło, tyrali ponad siły dla Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego, by stracić wszystko, co zarobili, na alkohol, hazard i dziwki w ciągu trzymiesięcznej przerwy w pracy u szczytu pory deszczowej, natomiast ci, którzy mieli mniej szczęścia, mieszkali w nędznych chatkach nad rzeką i nurkowali w niej w poszukiwaniu jadeitu.

Zrobiła jeszcze kilka kroków w dół. Gdyby nosiła choć jeden kawałek jadeitu, energia wypełniająca jej ciało stałaby się zbyt potężna, niepowstrzymana.

– Nie widziałas tablicy, panno Kaul?! – zawołał kierownik.

– Nie zejść daleko! – odkrzyknęła.

Co by się stało, gdyby go zignorowała, podeszła do jednego z tych gładów i wsparła otwartą dłoń o surowy jadeit? Czy pozbawiłoby ją to przytomności albo zatrzymało akcję serca? Czy w ostatniej chwili doświadczyłaby wrażenia niezrównanej mocy, jak pogrążona w ekstazie ćma ginąca w płomieniu? A może nie byłoby żadnych natychmiastowych skutków, ale jutro, za tydzień albo za miesiąc zaczęłaby stopniowo tracić zmysły i samookaleczać się, gdy nadeszłyby świętawka?

Skup się. Jesteś tu tylko po to, żeby wyświadczyć przysługę Lanowi. Po nic innego.

Wyjęła z plecaka długopis i kartkę, po czym wychyliła się przez poręcz, by policzyć ciężarówki oraz robotników. Zwróciła też uwagę na liczbę spychaczy, a także koparek. Wszystko wydawało się w porządku. Nie zauważyła niczego, co byłoby niezwykle albo nie na miejscu. Mężczyźni byli smagli i żyłści od ciężkiej pracy, ale sprawiali wrażenie zdrowych i wydajnych. Odwróciła się i ruszyła z powrotem w górę. Kierownik podążył za nią z wyraźną ulgą.

– Chciałabym zobaczyć rejestry księgowo z ostatnich dwóch lat – zażądała, gdy wrócili do pochylego budynku kierownictwa.

– KSJ ma je wszystkie w swoich aktach – odpowiedział kierownik. – Możesz otrzymać kopie od pracowników prognostyka w Janloonie. My mamy tylko oryginalne raporty wydatków...

– Chciałabym je zobaczyć – powtórzyła Shae.

Mężczyzna z wyraźną niechęcią zaprowadził ją z powrotem do pokoiku z telewizorem. Otworzył szafkę w ścianie i zapalił jedyną, nagą żarówkę. W szafce było pełno kartonowych pudeł kartotekowych, ułożonych w sterty zgodnie z datami zapisanymi grubym, czarnym markerem. Zdjął telewizor ze składanego stolika i nagim przedramieniem starł z blatu grubą warstwę kurzu, zostawiając mokre ślady.

– Możesz skorzystać z tego stolika – oznajmił wyraźnie niezadowolony, że przez pewien czas nie będzie mógł oglądać meczów piłki sztafetowej.

– Dziękuję – odparła Shae. – Czy zechciałbyś przekazać kierowcy ciężarówki, którą wynajęłam, żeby na mnie zaczekał? To może potrwać kilka godzin. Masz tu ksero?

Pokazał Shae maszynę i zostawił ją samą. Słyszała jego oddalające się kroki. Po chwili włączył radio w sąsiednim pokoju. Znalazła pudło z najświeższą datą, wyjęła je z szafki i otworzyła. Wyjęła pierwszą grubą teczkę i usiadła. Codzienne raporty produkcyjne. Otworzyła notatnik na pustej stronie i zaczęła czytać. To będzie musiało trochę potrwać.

Czuła się trochę dziwnie, analizując na zimno proces wydobywania jadeitu. Wyglądał tak samo, jak inne rodzaje działalności, wpływy i wydatki, zyski i koszty. Były tam rachunki zysków i strat, faktury oraz zamówienia. Wszystko to niczym się nie różniło od innych miejsc, gdzie produkowano towary na sprzedaż. Tradycyjny folklor Abukei łączył jadeit z Pierwszą Matką i stworzeniem świata. Bogowiercy twierdzili, że jest on darem bogów, drogą do zbawienia ludzi. Niektóre cudzoziemskie religie utrzymywały z kolei, że jadeit jest złą substancją i pochodzi od diabła. Szo-tarczycy narzucali innym to przekonanie podczas dziesięcioleci swych rządów. Wokół jadeitu nagromadziło się mnóstwo mitów i emocji, tajemnic oraz mocy. A mimo to książki były nudne. Coś wydobywano, krojono, transportowano, szlifowano i sprzedawano z zyskiem.

Zrobiła kopie stron, które wydawały się jej ważne, po czym przeszła do następnej teczki. Listy pracowników. Przekartkowała je, zadając sobie pytanie, czego właściwie szuka. Lan polecił jej zrobić audyt, ale nie wyjaśnił, co jego zdaniem może się nie zgadzać. Listy potwierdziły, że koszty płac rosną. Rotacja pracowników była niewielka. Kilka osób doznało obrażeń i przyjęto kilku nowych pracowników. W niektórych raportach używano specjalistycznych terminów oraz skrótowców, których nie знаła. Niemniej wiedziała wystarczająco wiele o kekońskim górnictwie, żeby zrozumieć prawie wszystko. W ciągu ostatnich dwóch lat spędzonych w Akademii uczył ją Yun Doru. Wówczas klan nadal miał nadzieję, że Shae zajmie wysoką pozycję po biznesowej stronie jego działalności, a pewnego dnia być może zostanie następczynią Doru na pozycji prognostyka.

W przeciwieństwie do swych braci Shae nie zdobyła zbyt wielu przyjaciół w Akademii Kaul Du. Jej najlepszą przyjaciółką wśród uczennic była Wan Payadeshan, utalentowana, lecz nieśmiała córka latarnika średniej rangi. Matka Pai zmarła kilka lat temu i Shae często odwiedzała z przyjaciółką dom Kaulów. Pewnego dnia, gdy czegoś szukała – nawet teraz nie pamiętała czego – znalazła

zła na biurku Doru kopertę wypełnioną zdjęciami. Paya na rękach i kolanach, z obrozą na szyi. Naga Paya z rozłożonymi nogami, pobladła i zażenowana. Oczy miała wilgotne od łez.

Jej przyjaciółka płakała ze wstydu i pełnej upodlenia ulgi, gdy Shae powiedziała jej, by nigdy już nie wracała do domu. Paya błagała ją o zrozumienie. Nie była taką dziewczyną, nie chciała tego robić, ale Doru-jen bardzo pomagał jej ojcu w interesach, cóż więc mogła na to poradzić?

Shae oznajmiła dziadkowi, że nie pozwoli, by Doru nadal ją uczył. Nauczy się wszystkiego, co powinna wiedzieć o klanowych interesach, od wysokich rangą szczęściodawców, takich jak Hami Tumashon, ale nie chce mieć już nic wspólnego z prognostykiem. „Bądź rozsądna, Kaul-se”, powiedział jej Kaul Sen. „Každy mężczyzna ma swoje słabostki, nie wiesz, co mu zrobiono podczas wojny, zawsze traktował cię z szacunkiem”. Lata, które minęły, nie zmniejszyły pogardy, jaką Shae darzyła Yun Dorupona. Nie tylko straciła przez niego przyjaciółkę, lecz również opuścił ją bezgraniczny dotąd podziw dla dziadka.

Pogrzebała w plecaku w poszukiwaniu pojemnika na lunch – bułki cebulowe, krojone warzywa, marynowane jajko z kuchni hoteliku, w którym zatrzymała się na noc, oraz butelka wody. Zjadła wszystko, nie przestając przerzucać dokumentów. Kierownik wsunął głowę do środka i zapytał, jak jej idzie. Zapewniła go, że wszystko jest w porządku. Rozgryzła już system archiwizacji, dzięki czemu sprawnie znajdowała i kopiowała comiesięczne sprawozdania finansowe, by móc je potem porównać z corocznymi sprawozdaniami KSJ. Planowała wynająć pokój w Puli. Wtedy mogłaby wrócić do kopalni, gdyby to okazało się konieczne. Nawet jeśli nie znajdzie nic szczególnie interesującego, będzie mogła potraktować ten okres jak wakacje połączone z pracą. Zrobi coś użytecznego, a jednocześnie wypocznie w górach, nim zacznie na poważnie szukać roboty. Co więcej zapozna się z działalnością kopalń i będzie mogła poradzić Lanowi, jakie ulepszenia powinno się wprowadzić. Jej espeńskie wykształcenie wreszcie na coś się przyda. Uniosła pokrywkę kolejnego pudełka i otworzyła następną teczkę. Zamówienia na sprzęt.

W ostatnim roku kopalnia dokonała wielu znaczących zakupów – diamentowe wiertła, rozrzutniki z napędem hydraulicznym, ciężarówki o większej ładowności. Większość tego była przeznaczona dla nowych i rozbudowanych kopalń. Shae pomyślała, że skupienie tak wielu wydatków w jednym roku świadczy o złym planowaniu. Zadała sobie pytanie, czy biuro prognostyka wywierało naciski na KSJ, by uzyskać korzystną ocenę inwestycji. *Budżetowanie kapitałowe?! –* zapisała w notatniku. Wyciągnęła kolejną teczkę, zaznaczyła i sprawdziła sprawozdania finansowe. Rzeczywiście najpoważniejszym czynnikiem powodującym wzrost wydatków było zużycie sprzętu w pierwszym roku eksploatacji. Produkcja kopalni zwiększyła się o piętnaście procent w porównaniu z minionym rokiem, ale nie uwzględniono tego jeszcze po stronie przychodu. Być może KSJ zachował cały ten jadeit na zapas? Kartel bardzo ściśle kontrolował, ile jadeitu można przydzielić szkołom zielonych kości, świątyniom bogowierców i innym koncesjonowanym użytkownikom w armii i ochronie zdrowia, a także ile można sprzedać zagranicznym odbiorcom – w pierwszej kolejności rządowi Espenii. Resztę zamykano w wielkim państwowym magazynie pod budynkiem Skarbu Państwa.

Jeszcze raz przesunęła spojrzeniem po stronach z zamówieniami na sprzęt. Jej wzrok zatrzymał się na podpisie pod jednym z nich. Przyglądała mu się przez moment, nim sobie uświadomiła, czyj to podpis. Gont Ascentu, rogu Góry.

Dlaczego dowódca militarnej gałęzi klanu Góra podpisywał zamówienia na sprzęt górniczy? Zielone kości miały pakiet kontrolny w KSJ, ale samymi kopalniami kierowało państwo, a nie klany bezpośrednio. Roczny budżet akceptowała rada sojuszu, powinien więc widnieć tu podpis jej członka – Doru, Ree Tiry będącego prognostykiem Góry, albo któregoś z ich najbliższych współpracowników. Co mógł oznaczać podpis Gont Ascha, umieszczony na tej stronie, a także na kilku innych?

Shae skserowała wszystkie strony i schowała odbitki w plecaku. Następnie odłożyła teczki na miejsce, włożyła pudło do szafki i wyszła z pokoju. Jednak nie zostanie dziś na noc w Puli. Czeekała ją długa podróż do miasta. Musi wyruszyć w drogę jak najszybciej.

## Rozdział 17

### Noc w Boskim Bzie

Głos śpiewaczki był piękny, w jednej chwili wysoki i czysty, jak w operze, w drugiej zaś zmysłowy i sugestywny. Grała na tuńskiej harfie i śpiewała z zamkniętymi oczami, kołysząc w rytm melodii głową i długimi włosami. Leżący na pluszowych poduszkach Lan pozwolił, by napięcie odpłynęło z mięśni jego barków. Jego umysł stopniowo zapadł w muzykę. Byli sami w luksusowo urządzonego pokoju. To był prywatny występ. Pieśń opowiadała o samotnym wędrowcu tęskniącym za rodzinną wyspą. Nikt tutaj nie byłby tak nietaktowny, żeby śpiewać mu piosenki o miłości albo o złamanym sercu.

Lan był przyzwyczajony do chodzenia wszędzie z jednym albo z dwoma ochroniarzami, ale do Klubu dla Dżentelmenów Boski Bez zawsze wybierał się sam. Pragnął się trochę rozerwać z dala od innych członków klanu. Kiedy tu był, nie musiał myśleć o tym, że jest filarem. Pani Sugo, latarniczka będąca właścicielką Boskiego Bzu, świetnie o tym wiedziała i mógł polegać na jej dyskrecji w równym stopniu jak na jej znakomitym guście. Nigdy nie miał tutaj żadnych kłopotów. Wszyscy wiedzieli, że to lokal odwiedzany przez członków klanu Bez Szczytów i tylko samobójca mógłby tu czegoś próbować, nawet gdyby gry hazardowe na dole wyrwały się spod kontroli.

Lan pomyślał, że pod pewnymi względami zielone kości zasługują na uznanie. Janloon był jednym z najbezpieczniejszych miast na świecie. Klany nie wpuszczały do miasta zagranicznych przestępców i gangsterów, skutecznie ograniczały uliczną przestępczość i kontrolowały oraz opodatkowywały nierząd, sprowadzając go do poziomu możliwego do zaakceptowania dla polityków oraz opinii publicznej. Jeśli nawet niektóre usługi oferowane późną nocą przez lokal pani Sugo nie były w pełni legalne, była rozsądną kobietą i zawsze płaciła klanowi na czas wysoką daninę. Nie szczędziła też wysiłków, by wizyty Lana w jej lokalu były przyjemne.

Yunni, śpiewaczka, zagrała ostatnią melancholijną nutę. Jej szyja wibrowała, a palce tańczyły lekko na strunach harfy. Lan odstawił kieliszek z winem, by nagrodzić ją brawami. Pochyliła głowę w geście fałszywej skromności, przyglądając mu się spod pokrytych permanentnym makijażem brwi.

– Podobała ci się piosenka, Lan-jen?

– Bardzo. Była piękna.

Zaczęła wstawać, pozwalając, by jedwabna chusta opadła jej z ramion.

– Mogłabyś zaśpiewać jeszcze jedną? – powstrzymał ją Lan.

Usiadła z wdziękiem.

– Może coś weselszego?

Szarpnęła za struny i zaczęła śpiewać beztroską balladę.

Lan zatrzymał spojrzenie na krzywiźnie jej szyi i pełnych, czerwonych, poruszających się wargach. Podziwiał to, jak jej zwiewna suknia układała się na piersiach i białych udach. Jako filar mógł mieć każdą z dziewczyn w lokalu, a nawet kilka jednocześnie, gdyby tego zapragnął, ale podczas kilku pierwszych wizyt, gdy już pogodził się z myślą, że Eyni odeszła na dobre, prosił tylko o to, by słuchać śpiewu Yunni. Powtarzał sobie, że nie pragnie seksu, a jedynie chwili ucieczki i towarzystwa. Zadrzał na myśl o miejscach, które kilkakrotnie sugerował mu Doru. Z Yunni łatwo było rozmawiać, a jej głos i ciało były piękne. Nie była zbyt uniżona ani nie starała się mu przypodobać w przesadnym stopniu. Rozmawiała z nim o muzyce i zagranicznych filmach, ale nigdy nie pytała o klan i jego sprawy. Gdy w końcu poszedł z nią do łóżka, przekonał się, że jest miła i pełna zapału.

Dziś jednak trudniej niż zwykle było mu zapomnieć o zmartwieniach. Od ponad dwóch miesięcy nie było żadnej komunikacji między klanami, wiedział jednak, że Ayt zrozumie, co znaczą kroki, które podjął. Odrzucił propozycję wspólnej produkcji SN1, skłonił kanclerza Sona do zgłoszenia propozycji reform KSJ, a zamiast usunąć Hila, pozwolił bratu wzmocnić aktywność klanu na wszystkich pogranicznych terytoriach. Był przekonany, że w każdym z tych przypadków zdecydował słusznie, wiedział jednak, że podejmuje duże ryzyko, zwłaszcza w tej ostatniej sprawie.

W zeszłym tygodniu doszło do nagłego wzrostu aktywności gangów motocyklowych w dzielnicach Pralnia i Miasto Rybaków, wystarczająco poważnego, by zasłużyć na krótką wzmiankę w prasie, co samo w sobie wiele mówiło, ponieważ obie te dzielnice były nędznymi, przeludnionymi slumsami i kilka zabójstw nie przyciągało tam niczyjej uwagi. Zielone kości nie brały udziału w tych wydarzeniach, więc żaden z klanów nie mógł czuć się urażony, wszyscy jednak wiedzieli, że rogi obu stron nie tylko powstrzymują zapędy świata przestępczego, lecz również nim manipulują. Lan obawiał się, że jeśli jakiś latarnik albo zielona kość będzie zamieszany w podobny incydent, może to doprowadzić do otwartego konfliktu między klanami.

Dobrze znał swego brata. Subtelność nie leżała w naturze Hila. Szanował klanową hierarchię i nigdy nie odmówiłby posłuszeństwa filarowi w ważnych kwestiach, lecz kierował codzienną działalnością klanu na ulicach, a jego zasady nakazywały mu nie pozostawiać wątpliwości, że jest gotowy posunąć się dalej niż przeciwnik. Na spojrzenie odpowie słowem, na słowo ciosem, na cios pobiciem, a na pobicie egzekucją. Być może rzeczywiście lepszy byłby bardziej rozsądny i powściągliwy róg, który powstrzymałby eskalację.

Niemniej zrażenie sobie brata mogłoby być najgorszą możliwą decyzją. Nikt nie mógłby ani nie chciałby go zastąpić. Pięści klanu Bez Szczytów, a co za tym idzie również ich palce, nie były lojalne wobec klanu czy pozycji rogu, lecz wobec Kaula Hilo. Lan czuł się głęboko zaniepokojony świadomością, że większość zielonych kości, gdyby zmuszono je do wyboru między nim a Hilem, opowiedziałyby się po stronie jego młodszego brata. Stawiając usunięcie obecnego rogu jako warunek rozpoczęcia negocjacji, Ayt domagała się, by dobrowolnie osłabił swą pozycję i zasiał w klanie ziarna niezgody. Dylemat, przed którym go postawiła, miał wszelkie znamiona pułapki.

– Chyba przydałby ci się masaż.

Yunni skończyła piosenkę i usiadła obok niego. Lan ledwie to zauważył.

– Wybacz – rzekł. – Wiem, że cię zaniedbuję.

– Masz mnóstwo kłopotów na głowie – zauważyła.

Podobała mu się jej cierpliwa akceptacja. Eyni nigdy nie chciała mu jej dać. Przesunął dłonią po jej długich, gładkich włosach i uniósł ich garść do swej twarzy, ciesząc się ich dotykiem i zapachem. Rozpięła jego koszulę i ściągnęła ją z niego.

– Zaczekaj – powiedział.

Wstał, podszedł do stojącego w kącie kredensu i przejrzał się w lustrze w słabym czerwonym świetle. Zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście potrafi stać się człowiekiem, na jakiego wyglądał – silnym, pewnym siebie mężczyzną, muskularnym wojownikiem zielonej kości, noszącym jadeit przywódcą. Człowiekiem, jakim był jego ojciec.

Zdjął wysadzany jadeitem pas oraz bransolety, zostawiając tylko naszyjnik z małymi paciorkami. Schował to wszystko w sejfie pod kredensem i zamknął go na zamek cyfrowy. Yunni twierdziła, że jest półkrwi Abukei, niemalże kamiennoką, ale na wszelki wypadek zdjął prawie cały jadeit.

Prawdę mówiąc, po kilku dezorientujących minutach odstawienia poczuł się dziwnie zrelaksowany. Otoczenie zrobiło się cokolwiek niewyraźne i zamazane. Zmysły miał przytępione i czuł się tak, jakby kochał się w ciemnym pokoju, być może w przyjemnym śnie. Mógł działać, nie widząc za dobrze i nie myśląc zbyt wiele. Czuł się bardziej zdystansowany i pogodny. Zastanawiał się, czy czyni go to wyjątkiem pośród zielonych kości. W końcu Hilo wszczepił sobie jadeit w skórę i nie mógł się od niego uwolnić nawet na chwilę. Natomiast Shae posunęła się za daleko w przeciwnym kierunku. Lan zadawał sobie pytanie, jak jego siostra może żyć bez jadeitu.

To był kolejny problem, który go dzisiaj dręczył. Shae spełniła jego prośbę i pojechała do kopalń. Zadzwoiła do niego z Puli z wiadomością, że Gont Asch składał zamówienia na sprzęt górniczy za pośrednictwem kopalń. Żadne z nich nie wiedziało, co o tym sądzić. Czyżby Asch próbował zawłaszczyć uprawnienia Ree Tury? Minęły trzy tygodnie, nim znowu zadzwoniła do brata, potwierdzając jego obawy.

– Sprawdzalam wszystko wiele razy i wygląda na to, że zamówień zatwierdzonych przez Gonta nie odnotowano w sprawozdaniach finansowych KSJ – poinformowała go siostra. – Góra ingerowała w sprawy kopalń, nie konsultując się z radą Sojuszu.

Oznajmiła, że pojedzie do Skarbca Państwowego, by wszystko tam sprawdzić, i wkrótce wróci.

Z wielką niechęcią wciągnął Shae w sprawy klanu, teraz jednak zrozumiał, że postąpił słusznie. Siostra potwierdziła narastające w nim podejrzenia, że Ayt Mada uprzedziła jego rozmowę z kanclerzem Sonem i już wcześniej podjęła próby przejęcia kontroli nad krajowymi zasobami jadeitu. Co więcej, był przekonany, że nie może ufać Doru. Nic nie mogłoby usprawiedliwić prognostyka, który nie wiedział o tym fakcie bądź postanowił go o nim nie poinformować. Był jednak pewien, że jeśli skonfrontuje się ze starym doradcą, Doru zaprzeczy, by był winien podstępu albo zaniedbania, przedstawi jakies z pozoru rozsądne wyjaśnienie i uda się do Kaul Sena z prośbą o pomoc. Będzie potrzebował niepodważalnych dowodów, żeby usunąć Doru nie tylko ze stanowiska, lecz również z kręgu osób sprawujących władzę. Woon musi być gotowy do natychmiastowego przejęcia jego roli, bez okresu przejściowego.

To był kolejny powód, dla którego nie mógł pozbawić pozycji Hila. Klan nie mógł jednocześnie obyć się bez doświadczonego rogu i prognostyka. Cała masa problemów.

Yunni zaprowadziła go do łóżka, rozebrała do naga i położyła na brzuchu. Zamknął oczy, gdy wcierała mu w plecy wonny olejek.

– Wypełnia cię napięcie – rzekła uspokajającym tonem, masując kciukami mięśnie jego szyi. – Być może dlatego, że nosisz zbyt wiele jadeitu.

Poduszka, na której leżała twarz Hila, ukryła grymas jego warg. Tutejsze śpiewaczki wiedziały to i owo o zielonych kościach i o tym, jak prawić im komplementy. Nawet ci, którzy nosili najwięcej jadeitu, nie byli pewni swej mocy.

Każdy jednak miał inną tolerancję. Lan nosił sporo jadeitu jak na standardy szanowanych zielonych kości, ale nie czuł potrzeby testowania granic swych możliwości. Powyżej pewnego poziomu dodatkowy jadeit sprawiał, że czuł się nieswojo, był podenerwowany i ulegał nastrojom. Problem w tym, że choć rola filaru wymagała wielu innych talentów poza noszeniem wielkiej ilości jadeitu, ludzie byli powierzchowni. Według tych, którzy pamiętali dawne czasy, wielki Kaul Du mógł go nosić więcej niż jakikolwiek inny wojownik w jego epoce. Gdy rywalka jego syna pokazywała się publicznie ze znacznie większą ilością zieleni niż on, ludzie o tym szeptaali, jakby świadczyło to o jego niedoskonałości.

Yunni wymasowała go aż do pasa. Wylała ciepły olejek na swe dłonie i przedramiona, po czym zaczęła przesuwać nimi w górę i w dół jego ciała. Nie był pewien, w której chwili zrzuciła suknię, poczuł jednak, że jej nagie piersi muskają jego plecy, a długie włosy łaskotały skórę, gdy przesuwała się zmysłowo w górę i w dół po jego ciele.

Kiedy go odwróciła i dosiadła odwrócona doń plecami, dotykając jego twarzy nagim brzuchem i krocem, z umysłu Lana wreszcie zniknęły wszelkie nieprzyjemne myśli. Uniósł głowę, by wciągać w siebie jej zapach. Dotykała delikatnymi dłońmi harfistki jego piersi, brzucha, miednicy oraz wewnętrznej powierzchni ud. Jej liczne umiejętności naprawdę imponowały Lanowi. Na kilka sekund wypełniła go tęsknota za Eyni, ale to dawno już stępione uczucie szybko umknęło. Podniecenie opuściło go jedynie na mgnienie oka. Wróciło, gdy dłonie i usta Yunni rozpoczęły swe mistrzowskie, ekscytujące zabiegi. Gdy poczuł, że nadchodzi spełnienie, poprosił ją, żeby się położyła.

– Tak, tego właśnie pragnę – wyszeptała z jękiem i westchnieniem.

Szybciej, niż się tego spodziewał, było po wszystkim. Oklapł. Wszystko z niego odpłynęło. Stoczył się z niej na miękkim materacu.

Yunni przyniosła ciepły, wilgotny ręcznik i wytarła mu twarz, szyję oraz pierś.

– Możesz zostać, jak długo zechcesz – zapewniła.

Wiedział, że to nieprawda, ale ze wszystkich kłamstw, z jakimi miał do czynienia, te, które słyszał od Yunni, były najbardziej niewinne i najłatwiej je było przełknąć. Podobało mu się, że sprawiała wrażenie, iż cieszy się spędzonymi z nim chwilami. Nawet jeśli udawała, był jej za to wdzięczny. Z przyzwyczajenia zacisnął dłoń na paciorkach. Pokój się rozpuścił i Lan zapadł w sen.

Obudziło go pukanie do drzwi. Nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Nikt nigdy mu tu nie przeszkadzał. Yunni zmarszczyła brwi z dezaprobatą, usiadła i sięgnęła po szlafrok. Zaczęła wstać, by otworzyć drzwi, ale Lan ją powstrzymał.

– Kto tam? – zapytał.

– Kaul-jen – rozległ się głos pani Sugo, wysoki i pełen niepokoju. – Wybacz, proszę, że ci przeszkadzam. W normalnej sytuacji nigdy bym... ale czeka na ciebie ktoś z klanu. Powiedział, że



to bardzo ważne.

Lan wstał z łóżka i wciągnął spodnie.

– Zostań tu – polecił Yunni.

Podszedł do sejfów i musiał dwukrotnie wpisywać kombinację, nim zamek się otworzył. Włożył pas i bransolety, a następnie złapał obiema dłońmi za krawędź kredensu. Impuls energii uderzył nagle, zalewając jego organizm. Wszystko pływało wokół niego. Po chwili świat odzyskał ostrość. Dźwięk, obraz i czucie napłynęły z powrotem do jego mózgu. Przez moment oddychał głęboko, po czym się wyprostował. Ponownie przejrzał się w lustrze. Nie miał koszuli, ale każdy kawałek jadeitu był na swoim miejscu. Podszedł do drzwi i je otworzył.

Pani Sugo zeszła mu z drogi. Twarz miała pobladłą. Za nią stał Maik Kehn. Dyszał ciężko. Był wyraźnie wściekły, a na jego jasnobrązowej marynarce widniały plamy krwi, która nie była jego krwią.

– Góra to zrobiła – wydyszał. – Wyszepiali imię Hila.

## Interludium 1

### Niebo i ziemia

Dawno temu w niebie, zgodnie z naukami bogowierców, wielka rodzina bogów mieszkała w olśniewających jadeitowych pałacach. Podobnie jak we wszystkich licznych rodzinach wśród bogów zdarzały się kłótnie, z reguły jednak ich nieśmiertelne życie było szczęśliwe, choć odkąd spłodzili dzieci, a te dzieci spłodziły własne dzieci, niebo zrobiło się niewygodnie ciasne. Dlatego bogowie zbudowali dla siebie drugi dom, zaprojektowany na wzór pierwszego, i nazwali go Ziemią.

Początkowo Ziemia była pod każdym względem równie piękna jak niebo. Były na niej olbrzymie morza, wysokie góry, gęste lasy oraz niezliczone cudowne rośliny i zwierzęta. Niestety, liczne dzieci bogów, rozpieszczone przez rodziców, zaczęły walczyć ze sobą o Ziemię, nim jeszcze została ukończona. Kilkoro z nich pragnęło dostać ten sam ocean, inne spierały się o to, komu przypadnie najwyższy łańcuch górski albo największy kontynent.

Wreszcie nieustanne walki doprowadziły do szału ich rodziców.

– Zbudowaliśmy dla was doskonały dom i oto, jak nam za to odpłaciliście. Zniszczyliście go małostkowością, chciwością i zazdrością. Brat zwrócił się przeciwko bratu, siostra przeciwko siostrze. Dostaniecie zatem Ziemię, ale będziecie cierpieć z tego powodu, a od nas nie otrzymacie już nic więcej.

Rodzice pozbawili dzieci boskich mocy, uczynili je słabymi, małymi i nagimi, po czym wygnali je z nieba.

Yatto, Ojciec Wszechrzeczy, roztrzaskał na kawałki pierwszy, wybudowany za ledwie w połowie, jadeitowy pałac i pochował jego szczątki pod górzystą wyspą.

Bogowie byli jednak rodzicami i nie mogli się powstrzymać przed czuwaniem nad swymi zbuntowanymi, wojowniczymi dziećmi. Niektórzy z nich, jak Thana Księżyc czy Poya, bogini rolnictwa, litowali się nad swoimi potomkami i trzymali się blisko nich, oświetlając im drogę w nocy albo dbając o to, by mieli co jeść. Inni, jak Yofo, bóg tajfunów, bądź Sagi od zarazy, nie chcieli zapomnieć uraz i jeśli ich nie ubłagano, od czasu do czasu przypominali ludzkości o jej dawnych zbrodniach.

Według bogowierców wszystkie ziemskie konflikty biorą się z pierwotnego występku dzieci przeciw rodzicom i rodzeństwa przeciwko sobie nawzajem. Natomiast cały ludzki postęp i zmierzanie do cnoty to próby uzyskania przebaczenia rodziny i powrotu do fizycznego oraz duchowego stanu boskości, który leży w nas uśpiony, lecz niejasno go sobie przypominamy.

## Rozdział 18

### Wyszeptane imię

Wcześniej wieczorem otrzymali rozpaczliwy telefon od pana Paka, który od dwunastu lat prowadził z żoną sklep spożywczy w Pasze.

– Muszę tam jechać – poinformował kochankę Hilo, gdy tylko odłożył słuchawkę.

Czuł się sfrustrowany, ponieważ nie chciała się wyprowadzić z ciasnego mieszkania w Papai i zamieszkać razem z nim w rezydencji rogu w posiadłości Kaulów, dopóki nie wezmą ślubu.

– Najpierw muszę oficjalnie poprosić Lana o zgodę. Później będziemy musieli zaplanować uroczystość. To potrwa miesiące – próbował jej wytłumaczyć. – Stosunki między klanami są coraz gorsze, a ja za często cię tu odwiedzam.

Pod drugiej stronie ulicy od budynku, w którym mieszkała Wen, zaczynała się Pralnia, dzielnica, w której ostatnio znacznie wzrosła gwałtowna przestępczość. Hilo nie zamierzał narażać Wen na niebezpieczeństwo, nawet jeśli mieszkała na terytorium klanu Bez Szczytów. Nie wątpił, że Góra jest zdolna pogwałcić *aisho* i zaaranżować nieszczęśliwy wypadek, jeśli Ayt dojdzie do wniosku, że to sprowokuje go jeszcze bardziej.

– Jeśli nie będziesz rozsądna, nie pozostanie mi nic innego niż ustawić tu palce na straży, a to znaczy, że nie będę mógł ich wykorzystać gdzie indziej.

Wen skrzyżowała ramiona na piersiach, wlepiając w niego nieustępliwe spojrzenie.

– Nie dam twojej rodzinie dodatkowych powodów do uważania mnie za gorszą. Zamieszkamy razem dopiero po ślubie. A tymczasem mam pistolet i umiem się nim posługiwać. Nie chcę być obciążeniem. Poradzę sobie sama.

– Pistolet. – Hilo parsknął odrażającym śmiechem. – I to ma mnie uspokoić? Moi wrogowie to zielone kości. Ty jesteś kamiennooką.

– Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś – odparła zimno.

Kehn zatrąbił klaksonem parkującej na ulicy duchesse.

– Porozmawiamy o tym później – warknął Hilo.

Gdy dotarł do sklepu w towarzystwie braci Maik, pan Pak siedział na chodniku, kryjąc głowę w dłoniach. Pani Pak płakała, zamiatając stłuczone szkło w środku. Dwaj młodzi mężczyźni z małymi jadeitami w brwiach wybili szyby, zniszczyli neon nad drzwiami i pozrucali towar z kilku półek. To miała być kara za to, że państwo Pak nie płacą daniny Górze. Hilo skrzywił się wściekle na widok tych zniszczeń. Jego nastrój pogorszył się jeszcze. Niczego nie ukradziono, ale podobne incydenty kosztowały klan Bez Szczytów bardzo wiele. I nie chodziło tylko o pieniądze na pokrycie strat, lecz również o dobrą wolę latarników z dzielnicy.

– Nie mogę płacić daniny dwóm klanom – poskarżył się pan Pak.

– Zajmiemy się tym – zapewnił go Hilo. – To już się nie powtórzy.

Później pojawiło się pytanie, czy małżeństwo Paków przeszło na stronę Góry i uczestniczyło w spisku. Gdy pan Pak o tym usłyszał, uciął sobie ucho, by dowieść własnej niewinności, i zdał się na łaskę i niełaskę Kaul Lana. Przeszukano mieszkanie oraz sklep Paków i uwolniono ich od podejrzeń, ale po dwóch miesiącach małżeństwo zamknęło sklep i na dobre wyprowadziło się z Pachy.

Jednakże tamtej nocy Hilo rozkazał swoim palcom zadawać pytania, aż się dowiedzieli, że dwaj mężczyźni, którzy zniszczyli sklep, nazywają się Yen Io i Chon Daal. Można ich było znaleźć w czynnym przez całą noc salonie gier w ruchliwym pasażu handlowym w Pasze. Gdyby chodziło o drobniejsze wykroczenie, wysłałby jednego ze swoich pięści z dwoma palcami, miał już jednak po dziurki w nosie ostrożności Lana i paskudnej sytuacji w Pasze. Ludzie musieli się dowiedzieć, że klan Bez Szczytów jest tam silny i nie wolno z nim zadzierać. Barwna, hałaśliwa, pełna życia i podejrzanej aktywności Pacha była jedną z najatrakcyjniejszych dzielnic w Janloonie. Za dnia przyciągała turystów i kupujących, po zmierzchu zaś maklerzy i dokerzy mieszały się ze sobą na ulicach, szukając rozrywki w niezliczonych restauracjach, jaskiniach hazardu, barach, klubach ze

striptizem oraz teatrach. Klan Bez Szczytów nie mógł sobie pozwolić na to, by utracić tu grunt. Hilo doszedł do wniosku, że pora wziąć zniewagę do siebie. Lan zabronił mu zabójstw, ale to jeszcze nie znaczyło, że nie wolno mu dokonać pokazu siły.

Zostawili samochód na płatnym parkingu nieopodal salonu gier Superradość. Kehnowi dokuczały zatoki i ciągle smarkał w mokrą chusteczkę. Starszy z braci Maik złamał sobie w dzieciństwie kość policzkową i od tego czasu zawsze miał trudności, gdy zanieczyszczenie i wilgotność powietrza w Janloonie osiągały wysoki poziom.

– Zostań w samochodzie – rozkazał mu Hilo. – Niedługo wrócimy.

Kehn zgodził się z chęcią, włączył radio i zapalił papierosa. Hilo i Tar wysiedli i ruszyli w stronę Superradości. Tylko fakt, że Kehn został w samochodzie, uratował życie rogowi. Kiedy Hilo i Tar przeszli przez ulicę, dwaj mężczyźni ruszyli na nich na motocyklach. Gdy przemknęli obok duchesse, Kehn natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Wykrzyczał ostrzeżenie i z całej siły nacisnął klakson. Jednakże to nie dźwięki, lecz impuls gwałtownego strachu pięści dotarł do Hila na ułamek sekundy przed tym, nim róg Postrzegł mordercze zamiary zamachowców. W tej samej chwili ci otworzyli ogień z pistoletów.

Jedna kula rozdarła marynarkę Hila na barku, a druga przemknęła ze świstem obok jego ucha. Przykucnął i wznosił ścianę Odbijania, rozpraszając kolejne pociski na obie strony. Kule uderzały w drzwi samochodów i ściany sąsiednich budynków. Ludzie uciekali z krzykiem we wszystkich kierunkach, przepychając się w panice. Salwa z pistoletów była jednak tylko wstępem do ataku, mającym oszołomić przeciwników. Obaj napastnicy zeskoczyli z motocykli, przywołując Lekkość. Jednocześnie Yen Io i Chon Daal wyłonili się z zaparkowanego samochodu, w którym czekali w ukryciu.

Hilo wstał, ściskając karambit. Energia jadeitu wypełniła go jednocześnie z adrenaliną. Dwaj mężczyźni pędzili prosto na niego. Ich guan dao zatoczyły błyskawiczne łuki. Hilo przesunął się w bok i uderzył połączonymi nadgarstkami w uniesione ramię jednego z przeciwników. Jego karambit wbił się głęboko w ciało. Róg zmienił kierunek broni przeciwnika i odsunął się. Gdy mężczyzna poleciał do przodu, Hilo szarpnął nożem, przecinając ścięgna w łokciu.

Guan dao drugiego zamachowca cięło Hila w tors. Ledwie zdążył skupić swoją Stal. Wykreślił ciało i metalowa klinga wygięła się pod wpływem wielkiego naprężenia, zostawiając krwawiącą ranę. Wszystko to działo się przerażająco powoli, ponieważ Siła napastnika z trudem przebijała się przez jego osłony. Hilo spojrzał w oczy zabójcy. Poznał go. To był Gam Oben, druga pięść Gont Ascha.

Róg klanu Bez Szczytów tylko o włos uniknął wyprucia wnętrzości. Warknął z wysiłku i odskoczył do tyłu, pomagając sobie Lekkością. Chciał wylądować na dachu zaparkowanego za nim samochodu, ale Gam wypuścił potężną falę Odbijania, pozbawiając przeciwnika równowagi. Hilo uderzył klatką piersiową w dach. Jego podbródek walnął o metal tak mocno, że przed oczami pojawiły mu się mroczki. Usłyszał głos Maik Tara, wrzeszczącego z bólu i wściekłości.

Duchesse priza z Kehnem za kierownicą wypadła na jezdnię niczym nosorożec. Zahaczyła o jeden z motocykli, przewracając go, po czym uderzyła prosto w Chon Daala. Gam ledwie zdążył uskoczyć w bok. Osłonięte Stalą ciało Chona roztrzaskało przednią szybę, poleciało w górę i spadło na chodnik. W tej samej chwili Kehn nacisnął hamulec, po czym wypadł z głośnym wrzaskiem z samochodu.

Hilo przetoczył się, padł na ziemię i wstał. Skoczył na Gama, ale nim zdążył go dopaść, drugi z wojowników Góry, ten, którego łokieć rozpruł nożem, wpadł nań z pełnym determinacji wrzaskiem i przewrócił go na asfalt. Szarpali się ze sobą, aż Hilo zdołał otoczyć ramionami tułów napastnika. Aura tamtego wzmocniła się gwałtownie, gdy próbował się wyrwać, ale Hilo wziął to wszystko w siebie, całą moc jadeitu, którą zdołał zebrać, i nagłym szarpnięciem otwartej dłoni Przeniósł ją do serca przeciwnika. Stal mężczyzny wygięła się jak drewno balsowe i jego serce eksplodowało.

Odrzut energii po śmierci zielonej kości potężnie wstrząsnął Hilem. Życie zamachowca wyrwało się z jego ciała z siłą wybuchu. Nagły rzut jadeitowej mocy był gorszy niż fizyczne ciosy. Hilo zachwiał się na nogach. Przez krótką chwilę ledwie był w stanie oddychać. Usta wypełnił mu ostry i gorzki metaliczny smak. Zdołał zachować zdolność myślenia wyłącznie dlatego, że wiedział, co się dzieje. Oderwał się od ciała przeciwnika, nim całkowicie zmaćło mu myśli. Wstał, nadal

mocno ściskając karambit, i poszukał wzrokiem następnego wroga. Zauważył jednak tylko Yen Io, który leżał na asfalcie zabity przez Maików. Gam i Chon, którzy jakimś cudem przeżyli kolizję z duchesse, uciekli.

Od chwili rozpoczęcia ataku minęły niespełna dwie minuty.

Tar opierał się o wgniecioną kratkę maski samochodu. Zgiął się wpół, trzymając rękę u boku. Oberwał Odbitymi kulami przeznaczonymi dla Hila. Koszulę miał mokrą od krwi. Kehn zaciągnął młodszego brata na tylne siedzenie. Hilo zauważył, że próbuje zahamować krwawienie obiema dłońmi. Przeniósł własną energię do Tara, ale nie był lekarzem i potrafił tylko spowolnić krwawienie, a nie je powstrzymać.

Wzbrała w nim zimna jak lód furia, wypełniająca jego pole widzenia niczym biała mgła. Pomogła mu zapanować nad ciałem i głosem, gdy wskazał na tłum przerażonych gapiów tłoczących się w bramach i za samochodami jak sardynki w puszkach.

– Ty! – zawołał, wskazując na właściciela kiosku z gazetami. – I ty. I ty. – Wskazał na dwoje kolejnych, kobietę przyciskającą do piersi torebkę oraz bramkarza z klubu. – Chodźcie tutaj.

Wszyscy pobledli. Sprawiali wrażenie, że chcieliby uciec, ale nie śmieli się sprzeciwić rozkazującemu tonowi głosu Hila. Bramkarz zrobił kilka nerwowych kroków naprzód, a dwoje pozostałych nie miało innego wyboru, jak podążyć za jego przykładem. Hilo przyjrzał się kolejno każdemu z nich, by ich upewnić, że wie, kim są, że widział ich i zapamiętał, że mówi bezpośrednio do nich.

– Roznieście tę wiadomość i powiedzcie każdemu, z kim będziecie rozmawiać, żeby przekazał ją dalej. – Podniósł głos, by wszyscy słyszeli jego słowa. – Każdy, kto przyniesie mi informacje o miejscu pobytu dwóch mężczyzn, którzy stąd uciekli, jest przyjacielem klanu Bez Szczytów i moim osobiście. Każdy, kto będzie im pomagał albo ich ukrywał, jest wrogiem moim i mojego klanu. – Wskazał na jednego z zabitych leżących na ulicy, a następnie na drugiego. – Oto co czeka moich wrogów.

Natychmiast zabrał się do roboty. Musieli jak najszybciej zawieźć Tara do szpitala, ale zielona kość miał prawo do jadeitu zabitych wrogów i nigdy nie zostawiał go złodziejom. Hilo pierwszemu zabrał trzy pierścienie z jadeitami, bransoletę oraz wisiołek, drugiemu zaś dwa kolczyki do brwi oraz oprawiony w jadeit zegarek. Pierścienie oraz kolczyki musiał nieestetycznie odciąć z kawałkami ciała. Zabrał też broń z jadeitowymi rękojeściami: dwa guan dao oraz karambit. Następnie popędził do duchesse, otworzył drzwi i rzucił broń na podłogę po stronie pasażera.

– Kluczyki – zażądał.

Kehn pogrzebał w kieszeni i podał mu je. Róg otarł rękawem ślady krwi z metalowych zębów i włączył silnik. Na tylnym siedzeniu Tar jęknął cicho. Samochód ruszył naprzód. Kawałki potłuczonej szyby posypały się do środka. Hilo zakręcił kierownicą i nacisnął gaz.

## Rozdział 19

### Narada wojenna

Po północy w Skarbcu Państwowym nie było nikogo poza dwoma nocnymi strażnikami i dwiema sprzątaczkami, które przechodziły od boks do boks w dziale zapisów, opróżniając kosze na śmieci i odkurzając podłogi. Rozmawiały ze sobą w śpiewnym abukejskim dialekcie o długich samogłoskach, ale przechodząc obok Shae, ściszyły głosy, by nie przeszkadzać jej w pracy. Budynek zamknięto już przed wieloma godzinami. Tylko dzięki temu, że była jedną z Kaulów, oraz listowi, który miała w kieszeni – napisanemu ręką Lana i opatrzonemu klanowymi insygniami – pozwalano jej pracować przy biurku tak długo, jak tylko potrzebowała. Co przez kilku ostatnich dni znaczyło: do późnej nocy.

Odłożyła długopis i kalkulator, po czym oparła się wygodnie i potarła oczy, obolałe od godzin czytania liczb w nieprzyjemnym świetle jarzeniówek. Przyszło jej na myśl, że jest prawie sama w miejscu, gdzie znajduje się największy magazyn jadeitu na całym świecie. Kilka pięter niżej, pod grubymi warstwami betonu, kryły się osłonięte ołowiem krypty z jadeitem pociętym na fragmenty najrozmaitszych rozmiarów, od jednogramowych klejnocików po płyty ważące tonę. Biorąc pod uwagę fakt, że w Kekońskim Skarbcu Państwowym przechowywano znaczną część majątku państwa, budynek był strzeżony znacznie słabiej, niż można by się tego spodziewać, nie tylko dlatego, że gdyby ktoś próbował dopuścić się tu kradzieży, skazałyby go na śmierć wszystkie klany zielonych kości, lecz również dlatego, że nowoczesne systemy bezpieczeństwa zapewniały, że intruz zostanie uwięziony wewnątrz. Dla każdego, kto nie był całkowicie odporny, zamknięcie w pomieszczeniu wypełnionym jadeitem oznaczałoby powolne pogrążenie się w obłądzenie, a potem śmierć.

Mimo to ktoś okradał Kekoński Skarbiec Państwowy. Shae wielokrotnie sprawdzała obliczenia, porównując raporty z kopalń z oficjalnymi sprawozdaniami finansowymi Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego, a teraz również samego Skarbcza. Nie pamiętała już, że jest w tym taka dobra. Uporczywie śledziła wszystkie wskazówki i okrucieństwa informacji, aż wreszcie ułożyły się w jasny obraz. Gdy wpatrywała się w liczby pokrywające strony jej notatnika, nawet zmęczenie tak późną godziną nie tłumilo jej zdumienia i gniewu. Zimna, bezdyskusyjna matematyka w pełni potwierdziła jej podejrzenia. W kopalniach wydobywano jadeit, którego oficjalnie nie rejestrowano w Kekońskim Sojuszu Jadeitowym ani nie przechowywano w Skarbcu Państwowym. Jadeit, który zniknął z kekońskich zasobów.

Drżała z triumfu i oburzenia, mimo że nigdy już nie zamierzała się angażować w sprawę klanu. Spakowała swoje rzeczy i opuściła budynek. Jej kroki niesły się echem w pustych korytarzach. Po chwili zeszła na parter i poprosiła jednego z ochroniarzy, by otworzył drzwi. Był znudzoną mężczyzną w średnim wieku i nosił ceremonialny zielony kaszkiet oraz charakterystyczną szarfę, świadczącą, że jest członkiem Tarczy Haedo, niewielkiego klanu, którego jedynym celem było dbanie o bezpieczeństwo księcia Ioana III oraz rodziny Książęcej, a także budynków rządowych, w tym Gmachu Mądrości i Skarbcza Państwowego. Shae podziękowała mu, wychodząc. Wiedziała, że następnego dnia już tu nie przyjdzie. Nie obawiała się, że ochroniarz opowie komuś o jej poczynaniach. Zielone kości z Tarczy Haedo składały nienaruszalne przysięgi zachowania neutralności w konfliktach międzyklanowych. Nie miały nawet prawa głosu w Kekońskim Sojuszu Jadeitowym.

Podróż metrem z Dzielnicy Pomników do Północnego Sotto była krótka, ale o tej porze pociągi kursowały rzadko i minęło czterdzieści minut, nim opuściła stację, odległą o kilka przecznic od jej mieszkania, i ruszyła w drogę na piechotę. Zatopiła się tak głęboko w myślach o tym, co rano powie Lanowi, że dopiero w odległości stu metrów od domu zorientowała się, że ktoś ją śledzi.

Poczuła się tak wstrząśnięta i upokorzona, że po prostu stanęła jak wryta i odwróciła się. Gdyby nosiła jadeit, Postrzegłaby mężczyznę już dawno temu. Nawet bez jadeitu, gdyby tylko zwracała uwagę, powinna usłyszeć za sobą jego kroki.

Bezceremonialnie rzuciła torbę na chodnik i wyciągnęła karambit z pochwy przytroczonej

do krzyża. To nie był nóż z jadeitową rękojeścią, jaki nosiła przez lata – tamten schowała w bezpiecznym miejscu – lecz zwykła uliczna broń. Była jednak dobrej jakości i z pewnością śmiertelnie groźna we wprawnych rękach. Shae wychowano w kulturze, w której byłoby nie do pomyślenia nie odpowiedzieć na wyzwanie, i nie przyszło jej do głowy, że mogłaby w niespełna trzydzieści sekund dobiec do bezpiecznego apartamentowca.

Idący za nią mężczyzna nie zatrzymał się ani nie rzucił do ataku. Szedł przed siebie tym samym tempem, ale wyjął dłonie z kieszeni i rozpostarł je, by zademonstrować, że nie zamierza jej skrzywdzić. W następnej chwili zauważyła, że to jej sąsiad, Caun Yu. Skinął do niej głową, uprzejmie i z szacunkiem, po czym spojrzął na broń i zorientował się, że Shae trzyma ją we wprawnym uścisku i stoi pewnie na obu nogach, gotowa do ataku.

– Wyglądasz jak zielona kość – stwierdził, uśmiechając się ironicznie.

– Śledziłeś mnie – próbowała się bronić.

– Mieszkamy w tym samym budynku.

– Czemu wracasz tak późno?

Caun spojrzął na nią z niedowierzaniem.

– Pracuję na wieczorną zmianę. A ty?

Podkuliła nerwowo palce u nóg. Oczywiście, to nie był jej interes, w jakich godzinach pracował Caun. Czowała się rozczarowana sobą i odgrywała się na kims, kto nie zasłużył na jej gniew. Schowała karambit i podniosła torbę z chodnika.

– Przepraszam. To było nieuprzejme. Zaskoczyłeś mnie. Wrócimy razem?

Skinął głową i ruszył obok niej, zachowując pewien dystans.

– Sprawiasz wrażenie kogoś, kto ma się na bacności, panno Shae. Gdybym naprawdę miał złe zamiary, nie chciałbym natknąć się na ciebie z tym karambitem.

Shae próbowała zmienić temat.

– Gdzie pracujesz, panie Caun?

– Jestem ochroniarzem – odparł. – Ale to nic niebezpiecznego. Raczej nudna robota, szczerze mówiąc. Mam nadzieję, że wkrótce znajdę coś ciekawszego.

Otworzył przed nią drzwi i weszli na górę. Ich mieszkania znajdowały się na drugim piętrze. Nie zapytał Shae o pracę, ale gdy dotarli do jej drzwi, zatrzymał się przy nich.

– Dobranoc – rzekł z drwiącym błyskiem w oczach. – Od tej chwili będę pamiętał, żeby zawołać do ciebie „cześć”, nim znajdę się w zasięgu twojego noża.

Ruszył ku swojemu mieszkaniu. Shae żałowała, że brak jej Postrzegania, które pozwoliłoby choć w niewielkim stopniu wnikać w jego myśli.

Potem zapomniała o nim i położyła się spać. Do domu Kaulów zadzwoniła, gdy tylko obudziła się rano, niedługo po świcie. Telefon odebrał Doru.

– Shae-se – odezwał się z fałszywym, afektowanym zaskoczeniem. – Czemu ostatnio cię nie widziałem?

Skrzywiła się.

– Byłam zajęta, Doru-jen – odpowiedziała. – Musiałam się urządzić. No wiesz, trzeba załatwić mnóstwo drobnych spraw.

– Trzeba było przyjść do mnie – odrzekł. – Właściwie dlaczego mieszkasz w takim miejscu? Znalazłbym dla ciebie coś znacznie lepszego.

– Nie chciałam zawracać ci głowy. – Skrzywiła się jeszcze mocniej, uświadamiając sobie, że Doru zna miejsce jej zamieszkania. – Czy Lan jest w domu? – zapytała pośpiesznie.

– Ach – odparł prognostyk.

Zapadła długa cisza. W głowie Shae zabrzmiały dzwonki alarmowe.

– Obawiam się, że mamy kłopoty. Być może powinnaś tu przyjechać.

\*\*\*

Shae złapała taksówkę i pojechała prosto do domu Kaulów. Samochód przebijał się irytująco powoli przez poranne korki, pełne dźwięków klaksonów, motocyklistów i objuczonych paczkami rowerzystów. Gdy chodziło o skrzyżowania i znaki drogowe wszyscy stosowali zasadę „prze-trwają najsilniejsi”. Przez całą drogę wyglądała przez okno, ale nie widziała niczego. Czowała się głęboko przygnębiona. Nie dlatego, że próbowano zabić jej brata. To nie było szokiem. Dziwiła się

raczej, że to nie zdarza się częściej. Ale nikt do niej nie zadzwonił, nawet Lan. Gdyby nie zatelefonowała rano do domu, nadal o niczym by nie wiedziała. Być może podczas zamieszania nikomu po prostu nie przyszło do głowy, żeby się z nią skontaktować. Kilka lat spędziła za granicą i nie było z nią kontaktu. Być może nie powinna się tak przejmować tym, że nie zawiadomiono jej natychmiast.

Kiedy przybyła, jej bracia toczyli naradę wojenną. Wszędzie było pełno uzbrojonych pięści o poważnych minach. Pilnowali bramy i wejścia do domu, patrolowali teren i stali w korytarzach. W gabinecie filaru Lan i Hilo palili papierosy zajęci snuciem planów. Towarzyszył im Doru. Gdy tylko weszła do środka, wyczytała wszystko z mowy ich ciał. Lan pochylał się nad blatem, strącając popiół do popielniczki. Twarz miał przygnębioną i zapadniętą. Hilo przysiadł na skraju fotela, wspierając łokcie na kolanach, i gapił się w pustkę. Papieros zwisał bezwładnie z palców jego dłoni. Doru siedział na drugim fotelu ze skrzyżowanymi nogami. Trzymał się nieco na dystans od jej braci, obserwując ich. Napięcie panujące w pokoju było tak wyraźne, że Shae natychmiast zapomniała o oburzeniu. Jego miejsce zajęł głęboki niepokój.

Gdy weszła do gabinetu, Hilo uniósł wzrok. Na jego twarzy pojawiły się bruzdy. Wydawał się teraz innym człowiekiem, całkowicie pozbawionym typowej dla niego nonszalancji. Shae zauważyła pod jego paznokciami zakrzepłą krew, a pod białą koszulą – podejrzewała, że należąca do Lana – bandaże na tułowiu.

– Tar jest w szpitalu – poinformował ją, jakby stała tu już od dawna.

Shae nie była nawet pewna, który z nich to Tar. Czy to był ten, którego widziała z Hilem w hotelu?

– Wyjdzie z tego? – zapytała. Miała wrażenie, że to właśnie powinna w tej chwili powiedzieć.

– Będzie żył. Wen jest przy nim. – Hilo wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, jak pies, który nie ma się gdzie położyć. Drzwi się otworzyły i Maik Kehn wsunął głowę do środka. Nie był tym, którego widziała w hotelu, zatem tamten musiał być Tarem, tym, który leżał teraz w szpitalu.

– Wszyscy są na miejscu – oznajmił Kehn. – Możemy ruszać.

– Lan-se – odezwał się Doru. – Po raz kolejny proszę cię, byś zmienił zdanie. To może skończyć się dla nas źle. Nadal możemy wynegocjować rozejm w Pasze.

– Nie, Doru – sprzeciwił się Lan. Zgasił papierosa w popielniczce i ruszył ku wyjściu razem z Hilem. – Już nie.

Mowa ciała ich obu powiedziała Shae, że Doru wypadł z łask. Lan już mu nie ufał. Filar uznał, że próba zamordowania Hila to zbyt wiele. Dlatego opowiedział się po stronie brata. Doru z pewnością to rozumiał, ponieważ jego twarz przybrała zwodniczo obojętny wyraz. Nie ruszył się z miejsca, gdy dwaj pozostali mężczyźni wyszli.

Shae podążyła za braćmi. W holu czekali liczni ludzie Hila, uzbrojeni po zęby w guan dao, karambity i pistolety. Gdy róg wszedł między nich, skupili się wokół niego. Nic nie powiedział, ale miała wrażenie, że pozdrowił wszystkich, wymianą spojrzeń, skinieniem głowy, dotknięciem barku albo ramienia.

Podeszła do Lana.

– Dokąd jedziecie?

– Do Fabryki. – Włożył skórzaną kamizelkę i zawiązał ją ciasno. Ktoś przyniósł mu jego najlepsze guan dao, Da Tanori długości osiemdziesięciu pięciu centymetrów z pięćdziesięciopięciocentymetrową klingą z hartowanej białej stali i pięcioma jademitami wprawionymi w rękojeść. Przytroczył je sobie do pasa. Od dawna nie widziała go w stroju wojownika. Wyglądał zupełnie jak ich ojciec. To przyprawiało ją o dezorientację. – Tam właśnie są ci, którzy próbowali zabić Hila. Jest tam też Gont i być może również Ayt.

Nagle uświadomiła sobie, że ruszają na bitwę. Złapała brata za ramię.

– W czym mogę wam pomóc?

Lan spojrział na nią. Zdała sobie sprawę, że jej pytanie było śmieszne. Nie mogła im pomóc, nie w tej sprawie, nie teraz, nie bez jadeitu.

– W niczym – odparł Lan. – Nie pozwól, by Doru przejął klan.

Jeśli mnie zabiją.

– Dowiedziałam się wielu rzeczy – oznajmiła, niemal rozpaczliwie próbując opóźnić jego



odjazd. – W Skarbcu Państwowym. Nie chciałam o tym wspominać przy Doru, ale muszę z tobą porozmawiać.

– Kiedy wrócę.

Pocałował ją szybko w czoło.

– Czemu do mnie nie zadzwoniłeś?

– Nie było takiej potrzeby. Nie chciałaś być częścią tego wszystkiego. Obiecałem, że nie będę cię wciągał w to dalej. Wiem, że nawet prosząc cię o zajęcie się tą sprawą, posunąłem się za daleko.

Obejrzał się i jego twarz nagle znieruchomiła.

Shae również się odwróciła. Kaul Sen stał na schodach niczym złowroga mumia. Biały szlafrok zwisał z jego chudego ciała. Omiótł gorejącym spojrzeniem zgromadzonych wojowników i zatrzymał je na Hilu z bezlitosną pogardą. Uniósł kościsty palec, jakby był on bronią, i wskazał na najmłodszego wnuka.

– To twoja wina – warknął. – Co znowu zrobiłeś? Zawsze byłeś tylko porywczym chuliganem. Zniszczysz tę rodzinę!

– Dziadku – odezwał się ostrzegawczym tonem Lan.

Hilo wysunął się przed grupę swoich wojowników.

– Próbowali mnie zamordować, dziadku. – Jego głos był cichy, ale Shae wiedziała, że zawsze tak mówi, kiedy jest wyjątkowo wściekły. – Omal nie zabili jednego z moich pięści. To wojna.

– Ayt nie wyruszyłby na wojnę ze mną! – Ramiona Kaul Sena drżały, gdy starzec ścisnął poręcz. – Byliśmy jak bracia. Zdarzały się między nami spory, ale wojna? Wojna między zielonymi kośćmi?! Nigdy. Jeśli ktoś próbował cię zabić, to znaczy, że na to zasłużyłeś!

W oczach Hila zapłonęły ogień i ból. Odwrócił się, okrywając się pogardą niczym peleryną.

– Chodźmy.

Otoczyli go wojownicy. Wszyscy opuścili dom i wsiedli do szeregu samochodów zaparkowanych na rondzie.

Kaul Sen oklapł i usiadł na schodach. Jego kończyny zginały się niczym nogi rozklekotanego krzesła, a szlafrok okrywał kościste barki i ramiona jak całun.

– Kyanlo! – zawołał Lan. – Pomóż dziadkowi wrócić do pokoju. – Położył dłoń na plecach Shae. – Zostań z nim – dodał cicho.

Skinęła głową. Zastanawiała się, co mogłaby mu powiedzieć. „Uważaj na siebie”? „Proszę, wróć”? Nic z tego jednak nie pasowało. Zresztą Lan wyszedł już z domu i schodził po schodach. Po chwili wsiadł do samochodu. Jeden z klanowych pięści otworzył przed nim drzwi.

## Rozdział 20

### Czyste Klingi w fabryce

Fabryka była starym budynkiem przemysłowym, położonym tuż za granicą, w kontrolowanej przez Górę dzielnicy Grot. Wielkie wyblakłe litery na murze nadal głośiły: specjalne kekońskie wyroby tekstylne s.a., ale budynek już przed laty przerobiono na miejsce zebrań i salę treningową dla zielonych kości Góry. Zgodnie z napływającymi przez całą noc meldunkami palców i latarników klanu Bez Szczytów widziano, jak obaj ocalali zamachowcy, Gam Oben i Chon Daal, uciekli z Pachy na piechotę i przybyli tutaj.

Konwój dotarł na miejsce tuż przed południem – sześć samochodów wypełnionych wojownikami klanu Bez Szczytów. Zaparkowali przed Fabryką i wypadli na zewnątrz w nawałnicy trzaskających drzwi i połyskującej broni. Lan i Hilo zatrzymali się przed wejściem, naradzając się ze sobą. Zbudowany z cegły budynek był wysoki, a jego okna zasłonięto. Nie sposób było ocenić, ile zielonych kości Góry czeka wewnątrz. Hilo wskazał na wartowników obserwujących ich z dachu. Jak dotąd nikt nie wyszedł na zewnątrz.

– Wyślijcie im wiadomość – polecił Lan.

Hilo skinął na jednego ze swoich palców, młodego mężczyznę, który po jednej stronie miał włosy dłuższe niż po drugiej, a w dolną wargę wbił sobie dwa kolczyki. Wojownik opadł na kolana i dotknął czołem ziemi.

– Jestem gotowy umrzeć dla klanu, Kaul-jenowie.

Hilo wydał mu polecenia i nieuzbrojony palec podszedł do drzwi wejściowych. Żądania, które miał przedstawić, były proste: dajcie nam głowy dwóch ludzi odpowiedzialnych za atak na Hila i wycofajcie się z Pachy albo klan Bez Szczytów wyjdzie z lasu. „Wyjście z lasu” było starą frazą zielonych kości, oznaczającą rozpoczęcie otwartej wojny. Celem ataków mogło być całe terytorium Góry, jej ludzie oraz prowadzone przez nich interesy. Na spotkanie posłańca wyszło dwóch wartowników. Wymieniono konieczne słowa i mężczyznę wpuszczono do budynku.

Hilo usiadł na masce duchesse i czekał. Lan oparł się o drzwi roadstera roewolfe i obserwował wejście do budynku. Wypełniało go napięcie. Czuł suchość w ustach. To był jeden z tych dni, gdy słońce i chmury walczyły ze sobą o dominację na niebie i czekający pod wejściem mężczyźni na przemian doświadczały upału i cienia, jakby sama pogoda nie była pewna, w którą stronę zmierzają wydarzenia. Od chwili, gdy pani Sugo przerwała mu w Boskim Bzie poprzedniego wieczoru, czuł się tak, jakby porwało go tsunami. Miał bardzo niewiele kontroli nad jego kierunkiem i walczył tylko o to, by utrzymać się na powierzchni.

Nie pragnął wojny klanów. Otwarty konflikt byłby niekorzystny dla wszystkich – dla zielonych kości, dla interesów, dla zwykłych ludzi i dla całego kraju. Przez cały ten czas wierzył, że jeśli zachowa ostrożność, uda się uniknąć otwartego konfliktu z Górą. Ignorował prowokacje Ayt, uprzejmie odrzucił jej propozycje mające zmusić go do zawarcia sojuszu, podjął rozsądne kroki ostrożności, by zapewnić bezpieczeństwo KSJ i obronić pozycję własnego klanu. Teraz jednak uświadomił sobie, że wszystkie jego poczynania były miotaniem się głupiego byka zaatakowanego przez lamparta. Tylko ośmielały przeciwnika, wywołując wrażenie, że filar klanu Bez Szczytów jest mięczakiem, którego nie ma powodu się obawiać.

Był głupcem. Wiedział, że Góra pragnie usunąć Hila z drogi, ale nie spodziewał się, że nieprzyjacielski filar zareaguje tak szybko i z tak wielką gwałtownością. Czyżby chodziło o to, że miał do czynienia z kobietą i przyjął założenie, że jego rywalka nie zechce pierwsza przelać krwi? Jeśli tak, jego błąd okazał się niemal fatalny w skutkach. Ayt wyszeptła imię drugiego syna klanu Bez Szczytów. Tu nie chodziło już o terytorialne albo biznesowe spory między klanami. To było coś, czego nie mogły załatwić negocjacje. Nazwisko Kaulów utraci wszelki szacunek i znaczenie, jeśli nie udzieli aдекватnej odpowiedzi na tę zniewagę.

Nieopodal przejeżdżał długi na półtora kilometra pociąg towarowy, oznajmiający swe przybycie głośnym sygnałem i łoskotem kół. Wiózł towary z całej wyspy do portowych magazynów w Parku Letnim i w Dzielnicy Portowej. Znad morza wiał zachodni wietrzyk. W Fabryce nadal

panowała nieprzenikniona cisza. Ludzie z klanu Bez Szczytów mamrotali pod nosem, spacerowali w kółko i palili papierosa.

– Nie odpowiadają – odezwał się Maik Kehn. – Pewnie już go zabili. – Jego twarz wykrzywiła się w grymasie niecierpliwości i żądzy mordy. – Co zrobimy, jeśli nie odpowiedzą?

– Weźmiemy ten cholerny budynek szturmem i wyciągniemy z niego Gont Ascha za małe jaja – warknął Hilo. Ta odpowiedź usatysfakcjonowała jego prawą rękę. Kehn mruknął na znak poparcia. To dodatkowo podekscytowało Hila. Zeskoczył z maski duchesse i pokonał połowę odległości dzielącej go od wejścia. – Widzisz, Gont?! – zawołał. Rozpostarł szeroko ramiona i obrócił się wkoło w aroganckim geście. – Żyj! Nie wysyłaj swoich szczeniaków, żeby mnie zabiły. Wyjźdź na zewnątrz i zrób to sam, tchórzliwy psójebco!

Pięści za jego plecami poparły go chóralnym rykiem i uderzaniem w karoserie samochodów.

W tej właśnie chwili w Lana z wielką siłą uderzyło zrozumienie. Góra rozkazała swym ludziom zabić Hila, nie jego. Nie pierworodnego, filar klanu. To Hila nieprzyjaciel uważał za zagrożenie. Hila, który był gwałtowny, agresywny i mógł prowadzić pięści w wojnie. A teraz uszedł z życiem z próby zamachu i skorzystał na tym jeszcze bardziej.

Lan wiedział, co to mówi o nim. Był filarem dzięki urodzeniu, decyzji Kaul Sena oraz twarzy, która przypominała ludziom jego ojca. Cały czas starał się być silnym i roztropnym przywódcą, utrzymywać pokój i szanować dziedzictwo dziadka. Wszystko to zapewniło mu uznanie i wiarygodność wśród członków klanu, ale nie onieśmieliło rywali ani nie skłoniło ich do zmiany planów. Nieprzyjaciel uderzył pierwszy i to nie w politycznego przywódcę klanu, lecz w jego czołowego wojownika. To położyło kres wszelkim wątpliwościom. Góra zamierzała siłą podbić ich klan.

Kaul Lan był z natury nieskory do gniewu, ale teraz zacisnął pięści. Wstyd i wściekłość wezbrały w nim na podobieństwo mętnego przypiływu.

Drzwi Fabryki się otworzyły i wyszło z nich trzech mężczyzn. Lan i Maik Kehn podeszli do Hila, który stał spokojnie, spoglądając na zbliżających się ludzi. Pierwszy szedł młody posłaniec klanu Bez Szczytów. Podbiegł do Hila oraz Lana i znowu przed nim uklęknął. Sprawiał wrażenie, że przeprasza za to, że jeszcze żyje.

– Kaul-jenowie, wyznaję z żalem, że te psy nie dały mi szansy zginąć za nasz klan. Ale odeśłały mnie z powrotem razem z tymi dwoma.

Szły za nim dwie zielone kości z Góry.

– To oni – poinformował Lana Hilo. – Ten, który utyka, to Chon, a ten śniady to Gam.

Obie strony spoglądały na siebie z nienawiścią mieszającą się z niepewnością. Chon, palec średniej rangi, był ranny i przerażony. Po jego posiniaczonej twarzy spływał pot. Spoglądał na wrogich wojowników tylko przez kilka sekund, zanim odwrócił wzrok. Gam był bardziej zielony zarówno na ciele, jak i na duchu. Nosił jadeit na szyi, wszczepiony w nos i wokół nadgarstków. Spojrzał na Lana i odezwał się pierwszy.

– Moja filar przyjmuje wasze żądania – oznajmił. – Zaakceptowała atak na wasz róg, z powodu licznych zniewag, jakie wyrządził naszemu klanowi, ale zdaje sobie sprawę, że gniew mógł ją skłonić do pochopnego działania. Dlatego, by zademonstrować, że jesteśmy skłonni negocjować, wycofamy swe siły z Pachy, pomijając tylko małą część położoną na południe od Patriotycznej, która zawsze pozostawała pod naszą kontrolą.

– Cóż za szczodrość – zadrwił Hilo. – Ale to nie były wszystkie nasze żądania.

Policzkiem Gama targnął tik, ale pięść nadal wpatrywał się w Lana.

– Mój róg ofiaruje wam nasze życie, by w ten sposób ukarać nas za niepowodzenie. – Ten, który mi towarzyszy... – wskazał głową na Chona – ...nie zasługuje na śmierć wojownika, ale klan i honor wymagają ode mnie, bym zginął, jak prawdziwa pięść Góry. Kaul Lashinwanie, filarze klanu Bez Szczytów, oferuję ci czystą klingę.

Szczerze zdumiony Lan przymrużył powieki.

– Zgadza się.

Ludzie z klanu Bez Szczytów, którzy zebrali się wokół, by słuchać rozmowy, odsunęli się jednocześnie, tworząc pusty krąg. Wszyscy oprócz Hila. Ten pochylił się ku Lanowi.

– Gam zasługuje na egzekucję, nie na pojedynek – wyszeptał. – To jakiś podstęp.

– Wszyscy będziecie mogli przekonać się o tym na własne oczy – odparł Lan. – Ale nie

sądzę, żeby tak było.

Nie wdawał się w wyjaśnienia, dlaczego jest pewien, że Ayt chce poddać próbie jego wartość. O Hilo już coś wiedziała. Próbowwała go zabić i nie udało się jej. Teraz chciała sprawdzić, czy Lan rzeczywiście jest taki słaby, jak uważała. Ta wiedza określi jej następne posunięcie. Najwyraźniej warto było poświęcić większą część Pachy, żeby to sprawdzić. Jeśli filarowi klanu Bez Szczytów zabraknie odwagi, utraci twarz na oczach nieprzyjaciela i własnych zielonych kości.

– Zatem śmierć konsekwencji – zasugerował Hilo. – Ja i Kehn możemy to zrobić.

Lan odpowiedział mu pogardliwym spojrzeniem, uciszając go. Co z niego byłby za zielona kość, gdyby kazał rannemu młodszemu bratu walczyć z Gamem po raz drugi, zamiast samemu odpowiedzieć na wyzwanie? Nie miał wątpliwości, że, chcąc nie chcąc, będzie teraz musiał być filarem czasu wojny, i nie mógłby uczynić nic mniej rozsądnego niż przyznać na oczach pięści klanu i nieprzyjaciela, że Hilo jest lepszym wojownikiem od niego.

Nie miał wyboru. Musiał to zrobić na sposób zielonych kości. Jeśli siła rzeczywiście była jedynym językiem, jaki rozumiała Ayt, przemówi do niej z całą wyrazistością.

Gam cofnął się o kilka kroków.

– Nóż czy klinga?

Ten, kogo wyzwano, miał prawo wyboru broni. Hilo wolał karambit – krótki, okrutny i zawsze pozostający w zasięgu ręki – ale Lan nie był ulicznym wojownikiem i sformalizowana elegancja guan dao wydawała mu się bardziej odpowiednia.

– Klinga – odpowiedział.

Hilo nadal pozostawał sceptyczny.

– Spodziewasz się, że to uhonoruję?

Propozycja czystej klingi była nienaruszalną przysięgą. Zwycięzca odbierał pokonanemu życie i jadeit, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Pytanie Hila było retoryczne. Lan zerknął na niego z ukosa.

– Boisz się, że mogę przegrać?

Hilo zerknął na Gama.

– To nie jest słaby wojownik – rzekł półgłosem, przenosząc spojrzenie z powrotem na brata.

– Ja też taki nie jestem.

Odpowiedź Lana zabrzmiała ostrzej, niż było to jego zamiarem.

– Mam kilkanaście pięści gotowych walczyć z Gamem w twoim imieniu. Jesteś filarem.

– Jeśli nie potrafię sobie z tym poradzić, nie mogę nim być – odpowiedział Lan tak cicho, że nie usłyszał go nikt poza Hilem. Niemniej otwarcie wyznał to, co inni z pewnością uważali za prawdę, choć nie mówili tego na głos – że syn wielkiego Kaul Du musi udowodnić, że naprawdę jest zielony.

Wyciągnął swe Da Tanori i podsunął je bratu, który splunął na biały metal, by przyniósł Lanowi szczęście, ale się nie uśmiechnął.

– Ma dobre ofensywne Odbijanie – ostrzegł brata. – Lepiej walcz z nim z bliska.

Ucisnął Lana między barkiem a szyją, a potem odsunął się i stanął obok Kehna. Pierś filaru przeszły jakieś nienazwane ukłucie. Pragnął powiedzieć bratu coś więcej, na wszelki wypadek, ale to mogłoby przynieść pecha.

Mimo że Lan nie był przesadnie religijny, odmówił modlitwę do Jenshu Mnicha, Tego, Który Powrócił, patrona jadeitowych wojowników. *Stary Wujku w niebie, osądź dziś, że jestem zielniejszy niż twój drugi krewniak, jeśli rzeczywiście tak jest.* Następnie zwrócił się w stronę Gama i oddał mu honory, dotykając klingą czoła. Przeciwnik odwzajemnił ten gest. Zaczęli krążyć wokół siebie. Niebo nagle pojaśniało i na chodnik padł ostry blask słońca. Wprawione w rękojeść klejnoty pulsowały pod dłonią Lana, otaczając go jadeitową energią dającą mu klarowność, modyfikującą przestrzeń i czas wokół niego. Sekundy stały się dłuższe, a dystans się zmniejszył. Jego Postrzeganie wypełnił rytm uderzeń serca Gama. Poczul, że jadeitowa aura przeciwnika zmienia się gwałtownie, sonduje, rozszerza się i kurczy, subtelnie oceniając, kiedy i w jaki sposób zaatakować.

W pewnym momencie wypełniły go wątpliwości. Lan był kiedyś najlepszy w Akademii i wygrał wiele walk, ale minęły lata, odkąd ostatnio się pojedynkował. Gam Oben był uczniem Gont Ascha i miał większe i świeższe doświadczenie w walce. Być może Ayt jednak dobrze to rozegrała. Mógł zginać w pojedynku z tym człowiekiem i zgubić swój klan.

Gam zauważył chwilową niepewność przeciwnika i postanowił zaatakować. Zaczął klasycznym cięciem z wysoka, ale zmienił zręcznie kierunek i uderzył nisko. Lan zorientował się na czas i sparował atak, po czym zakręcił własną bronią i wyprowadził pchnięcie w górę. Gam wygiął ciało, osłaniając głowę ręką. Guan dao Lana otarło się o osłonięte Stalą ramię przeciwnika.

Filar klanu Bez Szczytów przeszedł do ofensywy, wyprowadzając serię szybkich cięć. Klingi uderzały o siebie, dźwięcząc w śmiertelnie głośnym duecie. Gam cofał się, blokując i odbijając ciosy, aż wreszcie odwrócił się gwałtownie, zadając kopnięcie w bok filaru. Lan poczuł, że jego żebra ugięły się pod Siłą przeciwnika. Przywołał Lekkość i odleciał do tyłu, po czym wylądował na nogach. Obserwatorzy odsunęli się pośpiesznie, by zrobić więcej miejsca walczącym.

Gdy Lan znalazł się poza zasięgiem broni przeciwnika, przypomniał sobie ostrzeżenia Hila. W tej samej chwili Gam uniósł z głośnym krzykiem lewą rękę. Trysnął z niej impuls jadeitowej energii, tworząc falę Odbijania tak silną, że mogłaby obalić dorosłego mężczyznę. Lan zakorzenił się, pochylony do przodu, i wzniósł własne Odbijanie pod postacią pionowej tarczy, która rozszarpała atak drugiej zielonej kości niczym dziób łodzi. Poczuł, że zderzenie dwóch mocy wypełniło wibracją jego ciało. Zadzwończyły mu zęby. Przesunął się do tyłu ku zakorzenionej stopie.

Poczuł, że aura odpłynęła z powrotem do Gama na podobieństwo cofającej się fali. Przeciwnik przygotowywał kolejną włócznię Odbijania. Lan rzucił się do ataku. Lekkość i Siła przerodziły jego rozpędzone ciało w zamazaną plamę. Jego guan dao zatoczyło śmiertelny łuk wymierzony w bok szyi Gama. Zielona kość z Góry pochylił się i uderzył otwartą dłonią w mostek Lana.

Pięść Przeniósł w ten cios całą energię, którą zgromadził dla Odbijania. Lan włożył każdą cząstkę swego jestestwa w Stal, wiedząc, że jego życie zależy od tego, czy zdoła się oprzeć mocy przeciwnika.

Wszystko pociemniało. Napór energii Gama narastał. Wbiła się w jego klatkę piersiową i złapała za serce. Poczuł łaskotanie śmierci, dotykające granic jego umysłu. Jego Stal się rozszarpała, ale nie pękła. Przez moment utrzymywała się w stanie równowagi, po czym runęła naprzód, rozpraszając moc zabójczego uderzenia. W końcu był Kaulem.

Gam włożył w tę próbę wszystko, co miał. Przez chwilę chwiał się na nogach, jego jadeitowa aura robiła się coraz słabsza i bledsza. Lan wbił guan dao w jego bok, jak w blok miękkiego tofu. Jemu również nie zostało niemal nic, ale ciągnął za rękę, przecinając tkanki i tętnice. Jego Postrzeżenie rozbłysło, jakby wypełnił je mentalny hałas, ostatni impuls bólu i strachu Gama, nurt wypływającej zeń energii życia, chóralny potok triumfu i radości ze strony obserwujących walkę wojowników klanu Bez Szczytów. Potem druga pięść Góry osunął się martwy na ziemię.

Lan padł na kolana, dysząc ciężko.

– Dzięki ci za tę Łaskę, Stary Wujku Jenshu – wyszeptał. Następnie podniósł głos, by wszyscy mogli go usłyszeć, i przemówił do ciała zabitego przeciwnika. – Dobrze nosiłeś jadeit i zginąłeś śmiercią pięści, byłeś godnym przeciwnikiem, Gam, a twoja śmierć jest stratą dla twego rogu. – Wytarł obie strony ostrza guan dao o wnętrze lewego rękawa, uniósł broń wysoko nad głowę i wstał. – Moja klinga jest czysta.

Stojący z boku Kaul Hilo skinął krótko głową do Maik Kehna. Pięść podszedł do Chon Daala, który klęczał pogodzony ze swym losem. Maik odciągnął jego głowę do tyłu i poderżnął mu gardło szybkim, głębokim cięciem karambita. Następnie popchnął ciało na asfalt.

– Bez Szczytów! Bez Szczytów! – zakrzyknęły chórem zielone kości. – Kaul Lan-jen! Nasza krew dla filaru!

Wojownicy padli na kolana i walili pięściami w chodnik na znak aplauzu. Płyty ugięły się pod ich nagromadzoną, pełną radości Siłą. Lan zdjął z pokonanego przeciwnika naszyjnik i bransolety, a następnie wyrwał kolczyki z jego twarzy. Tak wielka ilość trzymanego w dłoni jadeitu sprawiła, że w gardle zaschło mu od gorąca, a po jego głowie przebiegły ciarki, jakby korzenie włosów miał naelektryzowane. Poruszał się jak we śnie, miał zawroty głowy.

Wstał.

– Wynosimy się stąd! – zawołał. – Niech nasi wrogowie dowiedzą się jednego. Klan Bez Szczytów będzie bronił swoich i pomści ich śmierć. Ten, kto skrzywdzi jednego z nas, skrzywdzi nas wszystkich. Jeśli chcecie wojny z nami, odpowiemy wam po stokroć. Nikt nie odbierze nam tego, co należy do nas!

Lan uniósł nad głowę pięść, w której ścisnął zdobyty dziś jadeit. Hałas nasilił się jeszcze.

Zauważył, że Hilo skrzyżował ramiona na piersi i kołysze się z uśmiechem w przód i w tył.

Zielone kości wsiadły z powrotem do samochodów. Pojedynek zaspokoił chwilowo ich żądzę krwi, nawet jeśli nie ugasił jej do końca. Lan pozwolił sobie na chwilę satysfakcji, widząc, że klanowi wojownicy wznoszą okrzyki na jego cześć, podobnie jak wznosili je na cześć Hila. Dla naocznych świadków pojedynków był szybki i miał jednoznaczne rozstrzygnięcie. Góra nie będzie mogła żądać zemsty. Klan Bez Szczytów nie stracił ani jednego członka, a teraz Pacha całkowicie należała do nich. Czyż nie tak?

Lan minął swego srebrnego roadstera i otworzył tylne drzwi duchesse. Usiadł sam na szerokim siedzeniu, upuszczając na nie zdobyty jadeit. Guan dao położył na podłodze u swoich stóp. Wszystko go bolało. Jadeit wokół jego ramion i pasa wydawał się nienaturalnie ciężki. Zastanawiał się, czy ktokolwiek zauważył, jak bardzo wyrównana była walka.

Hilo zajął miejsce na przednim siedzeniu dla pasażera i Maik Kehn ruszył naprzód. Gdy pomknęli przez miasto, róg odwrócił się i zaoferował bratu papierosa. Zapalił mu go, ponownie spojrzął przed siebie i otworzył okno do połowy.

– Na pewno piekielnie cię boli – zauważył cicho. – Połóż się, Lan. Nie ma tu nikogo oprócz nas.

## Rozdział 21

### Rodzinna rozmowa

Shae siedziała obok dziadka, trzymając rękę na jego sękatą dłoń. Po całym zamieszaniu towarzyszącym odjazdowi jej braci w domu zapadła zaskakująca cisza. Zadawała sobie pytanie, gdzie się podział Doru. Czy nadal tu był, czy oddalił się gdzieś, by zadzwonić do kilku osób, czy co tam właściwie robił. Miała ochotę to sprawdzić, ale nie chciała opuszczać dziadka. Wydawał się skurczony i słaby. Nigdy go takim nie widziała. Nadal czuła pod pokrytą starczymi plamami skórą pomruk jego potężnej jadeitowej aury wspartej nieustępliwą wolą, ale w zgarbionej sylwetce starca wczuwało się głęboką rezygnację, gorzką świadomość, że nie jest już bijącym sercem klanu. Nie jest Płomieniem Kekonu.

Kyanla przyniosła mu na tacy miseczkę z krojonymi owocami i poprawiła koc oraz poduszki, by było mu wygodniej na ustawionym przy oknie krześle. Odpędził ją machnięciem ręki i skierowała spojrzenie znużonych, lecz klarownych oczu na wnuczkę.

– Dlaczego nie mieszkasz w domu? Czym się zajmowałaś przez cały ten czas? – Shae napięła mięśnie, ale w pytaniach dziadka słyszała nie tyle gniew, ile zdziwienie. Smutek. – Chcesz mieszkać w Janloonie, ale nie chcesz być z rodziną? A może spotykasz się z jakimś mężczyzną? Kolejnym cudzoziemcem, którego nie chcesz przyprowadzić do domu?

– Nie, dziadku – odparła z irytacją.

– Twój brat cię potrzebuje – nie ustępował. – Powinnaś mu pomóc.

– Bracia nie potrzebują mojej pomocy – stwierdziła.

– Co jest z tobą nie tak? Nie wiesz już, kim jesteś – oznajmił Kaul Sen. – Kiedyś mówiłem, że jesteś moim najlepszym wnukiem. Pamiętasz?

– Nie odpowiedziała mu.

Starala się nie patrzeć na podjazd, jak patrzy się na gotującą się na piecyku wodę. Uświadomiła sobie z tępą rozpaczą, że stała się tym, kim bardzo nie chciała się stać. Kobieta taką jak jej matka, czekającą w domu i zamartwiającą się, gdy mężczyźni wyruszyli na spotkanie niebezpieczeństwa i przemocy. Jej młodsza osobowość byłaby zdegustowana. Była córką Kaul Du i wnuczką Kaul Sena. A nawet jego ulubienicą. W młodych latach myślała, że może się stać kimś mniej niż jej bracia, była dla niej nie do przyjęcia.

Gdzieś na dnie szuflady w jej dawnym pokoju znajdował się dziennik, który prowadziła, gdy była nastolatką w Akademii. Gdyby postawiła go na grzbiecie, otworzyłby się na stronie podzielonej na dwie kolumny pionową linią poprowadzoną pośrodku. Na szczycie jednej kolumny napisano jej imię, na drugiej zaś imię Hila. Przez lata zapisywała tam wszystkie oceny, które otrzymała jako nowicjuszka. Notowała tam również oceny brata, bez jego wiedzy. W niektórych dziedzinach był bardziej uzdolniony od niej, ale ona ćwiczyła konsekwentniej, więcej się uczyła i silniej pragnęła sukcesu. Ukończyła naukę z pierwszą lokatą, mimo że była najmłodsza na roku. Hilo był szósty.

Jako zielona kość miała wyższą rangę od brata i była z tego dumna. Musiało minąć kilka lat, nim sobie uświadomiła, jak niewiele to znaczy. Pozycję Hila obniżały kary za nieusprawiedliwione nieobecności, opuszczanie kampusu bez pozwolenia albo wdawanie się w bójki uliczne – wszystko, co zapewniało mu podziw i uznanie. Niezliczone godziny, które Shae spędzała w samotności, poświęcając je obsesyjnej nauce albo ćwiczeniom, izolowały ją od innych uczniów, zwłaszcza dziewcząt, on zaś spędzał ten czas z kolegami, którzy później stali się jego najbardziej lojalnymi palcami i pięściami. Spoglądając wstecz, Shae mogła się niemal śmiać ze swej młodzieńczej naiwności, beznadziejnej powagi i nieuniknionego rozczarowania.

Pewnego dnia Hilo znalazł jej dziennik i stronę podzieloną na dwie kolumny, starannie porównujące oceny ich obojga. Śmiał się tak bardzo, że z oczu pociekły mu łzy. Opowiedział o tym kolegom i wszyscy nabijali się z niej bezlitośnie. Shae się wściekła. Upokarzały ją wesołość i nonszalancja, z jaką traktował jej misję prześcignięcia go. Jej gniew zdziwił i rozśmieszył Hila jeszcze bardziej.

– Po co to zapisujesz? – Pomachał dziennikiem przed jej oczami. – Pewnie, że jesteś lepszą uczennicą ode mnie. Myślisz, że z tego powodu za dziesięć lat będziesz mi rozkazywać? – Rzucił jej notes z uśmiechem. To rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. Nie chciało mu się nawet zabrać jej go albo podrzeć. – Dlaczego zawsze tak bardzo się starasz, Shae? Pewnego dnia Lan zostanie filarem, ja będę rogiem, a ty prognostyczką. Kogo będą wtedy obchodziły nasze stopnie?

Niewiele zabrakło, by tak właśnie się stało. Lan był filarem, a Hilo rogiem. To ona zniszczyła plan triumwiratu. Ona była pękniętym pionkiem. Hilo wściekł się straszliwie, kiedy wyjechała, nie dlatego, że nienawidził Espeńczyków, Jeralda, czy nawet tego, co uczyniła, i tajemnic, które przed nim ukrywała. Chodziło o to, że nie chciała zająć przeznaczonego dla siebie miejsca w jego wizji świata. W hotelu mówił, że jej wybaczył, ale trudno jej było w to uwierzyć.

Spróbowała zainteresować dziadka miseczką owoców, ale nie chciał ich, więc zjadła je sama.

– Podczas wojny było łatwiej – wymamrotał niespodziewanie Kaul Sen. – Szotarczycy byli okrutni, ale mogliśmy stawić im opór. A w dzisiejszych czasach? Espeńczycy kupują wszystko. Nasz jadeit i nasze wnuki. Zielone kości walczą ze sobą na ulicach jak psy! – Jego twarz wykrzywiła się, jak w grymasie bólu. – Nie chcę już żyć na tym świecie.

Shae uściśnęła dłoń dziadka. Mógł być starym tyranem, ale bolało ją, kiedy mówił takie rzeczy. Pociągnęła się za płatek prawego ucha, przypominając sobie, że Jerald zawsze śmiał się z niej z powodu tego przesadnego kekońskiego nawyku.

– Nie mów tak, dziadku.

Wyjrzała przez okno i wstała tak szybko, że omal nie przewróciła tacy. Bramy się otwierały. Samochody wjeżdżały do środka i zatrzymywały się na rondzie.

Zawołała Kyanlę i zbiegła na dół po schodach. Jej bracia weszli razem do budynku. Wypełniła ją ulga tak potężna, że ugięły się pod nią kolana i musiała się złapać poręczy. Lan uśmiechnął się do niej blado.

– Nie patrz tak na nas. Powiedziałem, że wrócimy, prawda?

– Ominęła cię świetna zabawa, Shae – dodał Hilo. Objął ramiona Lana z dumną miną. – Kehn, zajmij się ludźmi! – zawołał do swej pierwszej pięści. – Muszę porozmawiać z rodziną. Nie wpuszczaj do środka nikogo innego.

Weszli do gabinetu Lana i zamknęli za sobą drzwi.

– A co z dziadkiem? – zapytała Shae. – I z Doru?

– Mogą poczekać – odparł Lan.

Te słowa ją zdumiały. Lan zawsze zapraszał Kaul Sena i Doru na spotkania, na których podejmowano ważne decyzje. Pominięcie patriarchy i prognostyka było afrontem. Otwartą deklaracją, że wiatr w klanie wieje teraz z zupełnie innej strony.

Bardziej niepokojąca była jednak myśl, że ją bracia zaprosili, choć nie nosiła jadeitu. Ludzie mogli pomyśleć, że zastąpiła Doru. Nie chciała tego, nawet w najmniejszym stopniu, ale nie mogła teraz sobie pójść. Zajęła miejsce w jednym ze skórzanych foteli, powtarzając sobie, że nie powinno jej tu być. Lan z wielką ostrożnością usiadł w fotelu naprzeciw niej. Uświadomiła sobie, że jest ranny. Nie krwawił, ale pobrał i był wyraźnie wyczerpany. Nigdy nawet sobie nie wyobrażała, że jej starszy brat mógłby się wydawać tak bezbronny.

– Lan, potrzebujesz lekarza – odezwała się.

– Później – odparł.

Zauważyła, że brat porusza lewą dłonią, przetaczając jadeitowe paciorki. To był nowy jadeit. Jadeit, który zdobył.

– Co się wydarzyło? – zapytała.

– Wysłaliśmy dwóch ich ludzi do grobu. – Hilo nie usiadł. Nadal był uzbrojony po zęby i nie odprężył się nawet w najmniejszym stopniu. – Lan pokonał jedną z ich najlepszych pięści w czystej klindze. Drugą poddaliśmy egzekucji. Pacha należy do nas.

– Ale się nie uśmiechasz – zauważyła. Gdy Hilo wchodził do budynku przed swoimi ludźmi, uśmiechał się triumfalnie. Gdy został sam z Lanem i Shae, jego twarz przybrała ponury wyraz.

– To był tylko pierwszy ruch – wyjaśnił Lan. – Spróbują ponownie.

Hilo spacerował przed regałami Lana wypełnionymi równo ułożonymi książkami, zwraca-



jąc co kilka kroków.

– Wczoraj wieczorem ludzie Ayt wciągnęli mnie w zasadzkę. Dzisiaj Gont rozkazał swojej pięści rzucić wyzwanie Lanowi. Góra udowodniła, że może zadać potężny cios naszemu kierownictwu, nawet nie pokazując twarzy. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że jesteśmy do przodu, ale zabrakło bardzo niewiele. To nas zabolalo. Będzie się o tym mówiło, a to może nam tylko zaszkodzić.

– Zabiliście czterech ich ludzi – zauważyła Shae.

– Nawet dziesięć pięści nie ma znaczenia w porównaniu z filarem – odpowiedział Hilo.

Lan przeniósł spojrzenie na siostrę. Sprawiał wrażenie, że stara się poruszać jak najmniej.

– Powiedz nam, czego się dowiedziałas w Skarbcu.

Shae mimo woli rozejrzała się po gabinecie, jakby spodziewała się zobaczyć kryjącego się w kącie Doru.

– Mówiłam ci już o nowym sprzęcie zamówionym przez Gont Ascha. No cóż, zrobiono z niego użytek. Wydobywanie w kopalniach wzrosło w tym roku o piętnaście procent. To największy przyrost od dziesięciolecia. Zastanawiam się, gdzie znika ten cały jadeit? Sprawdziłam sprawozdania finansowe KSJ i nie ma w nich żadnej wzmianki o wzroście wydobywania. Eksport się nie zmienił. Powiedziałeś mi, że odrzucono wniosek o zwiększenie kwot eksportowych. Przydziały dla szkół sztuki walki, świątyn i koncesjonowanych użytkowników wzrosły zaledwie o sześć procent. Zostaje cholernie dużo wydobytego jadeitu, którego nie rozprowadzono.

– Na pewno leży w Skarbcu – skwitował Hilo.

– Nie – zaprzeczyła Shae. – Byłam w Skarbcu Państwowym i sprawdziłam zapiski z ostatnich trzech lat. Nie odnotowano zwiększonego dopływu jadeitu, który odpowiadałby wzrostowi wydobywania. Cały ten jadeit zniknął po drodze między kopalniami a Skarbcem.

– Jak to możliwe? – zapytał Lan. – Biuro prognostyka prowadzi audyty...

Umilkł nagle i zazgrzytał zębami, poruszając żuchwą.

– Doru – warknął Hilo, zwracając głowę ku zamkniętym drzwiom. – Jest w to zamieszany. Góra wydobywa dodatkowy jadeit i przemyca go tuż pod naszym nosem. Oszukują też wszystkie pozostałe klany w KSJ oraz Radę Książęcą. Ten stary cwaniaczek bez jaja pomagał Ayt nas nabrać.

Na twarz Lana padł głęboki cień.

– Doru zawsze był wierny naszej rodzinie. Kiedy byliśmy dziećmi, był dla nas jak wujek. Nie wierzę, że mógłby sprzedać nas Górze.

– Może nic nie wie o tych rozbieżnościach – zasugerowała Shae. – Któryś z jego podwładnych mógł manipulować sprawozdaniami, które do niego docierały.

– Wierzysz w to? – zapytał Hilo.

Zawahała się, nim udzieliła mu odpowiedzi. Uważała, że Doru jest odrażający, ale musiała zgodzić się z Lanem, że trudno było sobie wyobrazić, by wieloletni prognostyk mógł działać na szkodę klanu. Gdy chodziło o wojnę i interesy, ich dziadek od dziesięcioleci ufał mu bez zastrzeżeń. Jak to możliwe, by Płomień Kekonu tak błędnie ocenił czyjś charakter?

– Sama nie wiem – przyznała. – Ale musimy się go pozbyć. Nawet jeśli nie jest zdrajcą, zaniedbał obowiązki prognostyka.

Lan i Hilo wymienili spojrzenia.

– Dojdziemy prawdy. Na razie zachowajmy tę informację dla siebie. – Ponownie spojrzął na Shae. – Jesteś pewna, że masz dowody na wszystko, co powiedziałaś?

– Tak – zapewniła.

– Spisz je wszystkie i wyślij jutro do Woon Papidonwy w trzech egzemplarzach. Do niego i do nikogo innego. – Lan przerwał na chwilę. – Dziękuję, Shae. Jestem ci wdzięczny za to, że poznałaś dla nas prawdę. Mam nadzieję, że nie było to dla ciebie zbyt wielkim obciążeniem. Tak czy inaczej, proszę cię o wybaczenie.

To wszystko. Kazali jej odejść równie szybko, jak ją zaprosili.

– To nie było żadne obciążenie – zdołała odpowiedzieć. Całe tygodnie podróży, siedzenia do późna w Skarbcu, sprawdzania akt, ksiąg i sprawozdań, bólu oczu. Wstała i ruszyła ku drzwiom, czując ciężar spoczywającego na niej spojrzenia Hila.

– Shae – odezwał się Lan. Zatrzymała się z ręką na klamce. – Przyjedź czasem do domu na kolację. Kiedy tylko będziesz chciała. Nie musisz się zapowiadać.

Skinęła głową, nie odwracając się, i wyszła. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z cichym szcęknięciem. Oparła się o nie i zacisnęła na moment powieki, walcząc z oszołamiającym strumieniem emocji, takich samych, jak dziś rano w taksówce. Dlaczego była niezadowolona, że ją odesłali, jeśli zaledwie kilka minut wcześniej nie chciała być z nimi w gabinecie? Miała ochotę dać sobie po twarzy z obu stron. Musisz wybrać, jedno albo drugie.

Dobrze, że Lan kazał jej odejść. Ze wstydem przyznała przed sobą, że dziadek miał rację. Nie wiedziała już, kim jest.

## Rozdział 22

### Honor, życie i jadeit

– Każ komuś zaufanemu obserwować Doru – rozkazał Hilowi Lan, gdy tylko za Shae zamknęły się drzwi. – Komuś, kto nosi niewiele jadeitu, żeby nic nie zauważył. Masz wtyczkę w biurze prognostyka?

Hilo skinął głową.

– Chcę się dowiedzieć, czy ma kontakty z Górą – dodał Lan. – Czy rzeczywiście jest zdrajcą.

– Moglibyśmy kazać go tu przyprowadzić i dowiedzieć się tego bardzo szybko.

Lan pokręcił głową.

– A co, jeśli się mylimy? Z drugiej strony co, jeśli mamy rację? Dla dziadka Doru jest jak brat. Z tych, którzy towarzyszyli mu w latach jego chwały, tylko on pozostał przy życiu. Nie widziałeś, jak zachowują się co rano. Ja ciągle to oglądam. Piją razem herbatę i grają w szachy cyrkularne pod drzewem wiśni na dziedzińcu, niczym stare małżeństwo. Gdybyśmy oskarżyli Doru o zdradę, to zabiłoby staruszka. – Lan zamknął oczy, ale zaraz je otworzył. – Nie – podjął. – Musimy mieć pewność, a jeśli okaże się, że to prawda, załatwimy to po cichu, żeby dziadek o niczym się nie dowiedział.

– Doru domyśli się, że go podejrzewamy – zauważył Hilo. – A cała reszta będzie zadawać pytania. Jak wytłumaczysz fakt, że odsunęliśmy go akurat w tej chwili?

– Jakoś to załagodzę – odparł Lan. – Powiem, że porozmawiałem z Shae w cztery oczy, jak brat z siostrą, by przekonać ją do powrotu do klanu.

Hilo wreszcie usiadł, na fotelu zwolnionym przez Shae. Lan musiał się nieco odsunąć. Miał w dłoni i w kieszeni nowy jadeit, przez co aura jego brata robiła się nieco zbyt jasna.

– Co z nią? – zapytał Hilo.

– A co ma być?

– Mówiłeś, żebym na nią nie naciskał, że powinniśmy zostawić ją w spokoju i pozwolić, żeby ośmieszała się, chodząc bez jadeitu, jeśli tego właśnie pragnie.

– To prawda – zgodził się Lan.

– A potem kazałeś jej grzebać w klanowych interesach, nawet mi o tym nie mówiąc. Gdybym wiedział, że pracuje dla ciebie, byłbym dla niej miłszy. – Hilo przechylił głowę. – Nie zrozum mnie źle. Nie chodzi o to, że się z tobą nie zgadzam. Ale musisz zdecydować. Chcesz, żeby była z nami, czy nie?

Lan powoli wypuścił powietrze przez nos.

– Nie prosiłbym jej o to, żeby zrobiła coś dla klanu, ale potrzebowałem kogoś, kto ma głowę do liczb i nie pracuje dla Doru, by sprawdził moje podejrzenia. Biorąc pod uwagę, co odkryła, z pewnością tego nie żałuję, ale to jeszcze nie znaczy, że zmieniłem zdanie.

– Wkrótce będziesz potrzebował nowego prognostyka – zauważył Hilo.

– Nie – sprzeciwił się Lan ostrzejszym tonem. – Jeśli sama zdecyduje, że tego chce, to w porządku, ale nie będę próbował zmusić jej do powrotu do klanu rozkazami, groźbą ani zawstydzaniem. Tym bardziej nie potrzebuje żadnych nacisków z twojej strony. Wystarczająco wiele sły-szy ich od dziadka. Shae ma teraz espeeńskie wykształcenie, w przeciwieństwie do nas, a to otwiera przed nią inne opcje w życiu, niedostępne dla nas. Janloon to nie tylko zielone kości. Można wybrać życie bez jadeitu, zwyczajne życie zwyczajnego obywatela, jak miliony innych.

Hilo uniósł ręce.

– Zgoda.

– Nie jesteście już dziećmi. Możecie decydować za siebie. Nie muszę wycierać wam nosków i mówić, żebyście byli dla siebie grzeczni.

– Powiedziałem „zgoda”. – Nastąpiła chwila ciszy. – Lan, nie zauważyłem tego, dopóki nie usiadłem bliżej, ale z twoją aurą coś jest nie w porządku – odezwał się wreszcie Hilo. Zacisnął powieki i obrócił twarz w bok, skupiając Postrzeganie. – Rozbłyskuje, jakby pulsowała. Coś z nią

jest nie w porządku. Nie jest podobna do ciebie.

– To ten nowy jadeit – wyjaśnił Lan. – Będę musiał się do niego przyzwyczaić. Wiesz, jak to jest.

Siedział nieruchomo, ale serce biło mu szybko.

Hilo otworzył oczy.

– Myślę, że nie powinienes go nosić.

– Zdobyłem go w walce. – Lan zdziwił się swą defensywną reakcją. – Mam do niego prawo.

Ty nosisz cały jadeit, który zdobyłeś, prawda?

Jego brat wzruszył ramionami.

– Jasne.

– Co pozyskałeś wczoraj?

Hilo odchylił się i zsunął nieco biodro z fotela, by móc wydobyć łupy z kieszeni.

– Pierścienie, bransoletę i pendent. Oczywiście każę je oprawić na nowo. – Pokazał jadeity Lanowi. – Zegarek i te kolczyki należą do Maików. W samochodzie został pas, który również jest ich łupem. – Schował wszystko z powrotem i rozsiadł się wygodnie. – To mniej niż jadeity Gama.

– Ale w sumie i tak masz więcej.

Lan zamrugał ze zdziwienia. Czy przed chwilą powiedział to na głos? Hilo otworzył szerzej oczy, również zaskoczony.

– Czy o to właśnie chodzi? – Przesunął językiem po wargach. – Jestem rogiem, bracie. Nie oczekuje się ode mnie inteligencji, tylko tego, że będę nosił cholernie dużo jadeitu. Ludzie różnią się od siebie.

– A niektórzy są lepsi od innych. Mają gęstszy krew. – Lan zadał sobie pytanie, co się z nim dzieje, dlaczego nagle stał się taki zgorzkniały i drażliwy. Zmęczenie trzydziestoma sześcioma godzinami bez snu, walka pod Fabryką, a teraz jadeit, wszystko to dawało się odczuć. Za szybko i zbyt wiele. – Minęły lata, odkąd ostatnio walczyłem w pojedynku, Hilo – dodał. – Ayt zabiła róg własnego ojca i dwie jego pięści. Dzisiaj musiałem walczyć na oczach naszych ludzi i zwyciężyć. Jutro wszyscy będą się mi przyglądać, żeby sprawdzić, czy noszę dowód na to, że moja krew jest wystarczająco gęsta, by klan Bez Szczytów mógł się oprzeć Górze w wojnie. To prawda. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Hilo spojrzał mu prosto w oczy.

– Masz rację. To prawda. – Przeniósł wzrok na dywan, wyduł usta i ponownie spojrzał na brata. – Ale nie musisz tego robić w tej chwili. Po tym, co rzucił przeciwko tobie Gam. Jesteś ranny. Odłóż ten jadeit, Lan. Pozwól sobie na odpoczynek.

Wstał i wyciągnął rękę do brata.

W nagłym przypiływie zaborczości Lan zacisnął dłoń na klejnotach. To był jego jadeit, a młodszy brat próbował mu go odebrać. Jak śmiał? Aura Hila była zbyt bliska i ostra. Oślepiła go mentalnie. Ale jego brat nadal stał obok, wyciągając rękę, i Lan nie Postrzegwał w nim chciwości, a jedynie troskę.

Wtedy nadeszła klarowność. Uświadomił sobie, że to jadeit tak na niego wpływa. Budził w nim irytację, wypaczał jego emocje. Od dziecka uczono go, że to wczesne objawy nadmiernej ekspozycji na jadeit, które zdarzają się u wszystkich zielonych kości. Gwałtowne wahania nastroju, zaburzenia postrzegania zmysłowego, drżenie, poty, gorączka, przyspieszony rytm serca, stany lękowe i paranoja. Wszystkie te objawy mogły ujawnić się nagle albo stopniowo. Mogły pojawiać się i znikać miesiącami albo nawet latami, ale zaostrzały je stres, zły stan zdrowia bądź odniesione obrażenia. Nieleczone mogły doprowadzić do śwędziawki, która niemal zawsze kończyła się śmiercią.

Hilo przyglądał mu się teraz z większą uwagą. Lan zmusił się do otwarcia dłoni i odłożenia jadeitowych kolczyków na stolik. Wyjął naszyjniki z kieszeni na piersi i odsunął od siebie cały jadeit Gama.

Minęło kilka sekund, nim zmiana dała się odczuć, ale była tak gwałtowna, jakby nagle ustąpiła wysoka gorączka. Serce zaczęło bić wolniej, nie widział już wszystkiego w pokoju z bolesną ostrością. Jego aura odzyskała normalną gładkość. Lan odetchnął głęboko, a potem wypuścił powietrze z płuc, starając się nie okazywać ulgi zbyt otwarcie.

– Lepiej?

Hilo skinął głową i usiadł z powrotem, ale w jego oczach pojawiła się niepewność, która nie podobała się Lanowi. Zatem nawet Hilo wątpił w jego możliwości. Kaul Sen był zniedołężniałym starcem, Doru mógł być zdrajcą, a Shae w ogóle nie chciała nosić jadeitu. Zostali tylko on i Hilo. Co się stało z wielką rodziną Kaulów?

– Powinieneś już iść, Hilo – odezwał się. – Obaj mamy robotę do wykonania.

Jego brat nie ruszył się z miejsca.

– Chcę cię prosić o coś jeszcze – oznajmił. Lan bardzo rzadko widywał u niego oznaki nerwowości, ale teraz Hilo zatarł dłonie i odchrząknął. – Pragnę się ożenić z Wen.

Filar klanu z trudem powstrzymał westchnienie.

– Czy musimy o tym rozmawiać w tej chwili?

– Tak. – W głosie Hila pojawiła się niecierpliwość. – Po tym, co wydarzyło się wczoraj, nie zamierzam już tracić czasu. Nie chcę w ostatnich sekundach życia, gdy będę się wykrwawiał gdzieś na chodniku, myśleć, że nie zrobiłem wszystkiego, co chciałem zrobić. Że nie dałem jej tego jednego, kiedy miałem na to szansę.

Lana bolała głowa. Czuł się odwodniony. Nagle wziął sobie mnóstwo nowego jadeitu, a później go wycofał i teraz czuł się tak, jakby jego czaszkę nadmiernie rozciągnięto, a później zbyt mocno ściśnięto. Potarł czoło.

– Naprawdę ją kochasz.

Ku jego zaskoczeniu Hilo poczuł się urażony.

– Czy w przeciwnym razie bym o to prosił?

Filar miał ochotę powiedzieć młodszemu bratu, że miłość to za mało, gdy w grę wchodzi małżeństwo. Były czasy, gdy wierzył, że ona wystarczy. Eyni również tak sądziła. Wiedziała, że pewnego dnia Lan zostanie filarem, zapewniała go, że rozumie, co to oznacza, i że wszystko jakoś się ułoży, bo kochają się nawzajem. Przekonał ją, i samego siebie, że objęcie przywództwa klanu Bez Szczytów nie zmieni go, nie zmieni tego, co ich łączy. Mylili się, oczywiście. Spoglądając wstecz, Lan dostrzegał, że szczeliny pojawiły się już wcześniej, ale wymagania stawiane przez klan zmieniły je w nieprzebyte rozpadliny.

Jednakże ostrzeżenia, że miłość nie trwa wiecznie, nie przekonają Hila. Jego młodszy brat nie zaliczał się do osób potrafiących spoglądać abstrakcyjnie na coś, co było dla nich tak bardzo ważne.

– Wiesz, co sędzę o Wen – zaczął. – To śliczna dziewczyna. Zawsze okazywała szacunek klanowi i z chęcią traktowałbym ją jak siostrę. Ale jej rodzina nie jest ciebie godna. Wszyscy wiedzą, że Maikowie okryli się hańbą. Wielu ludzi w klanie nadal uważa, że nie można im ufać, a nawet jeśli nie mówią tego na głos, są przekonani, że Wen jest dzieckiem z nieprawego łóża.

Szyja Hila poczerwieniała gwałtownie, a jego twarz zmieniła się w nieruchomą maskę.

– Wszystko to wydarzyło się dawno temu. Nie powinieneś potępiać Maików z powodu ich rodziców. Mianowałem Kehna i Tara swoją pierwszą i drugą pięścią. Nie zrobiłbym tego, gdybym nie ufał im bezgranicznie. Nie obchodzi mnie, kto jest prawdziwym ojcem Wen. Jest członkinią klanu Bez Szczytów i dobrą, lojalną osobą.

– Nie wątpię w to – zapewnił Lan. – Ale jest również kamiennooką. Niektórzy zawsze będą uważali, że przynosi pecha, albo będą szeptali, że to kara za nieprawie pochodzenie. Nie patrz na mnie z taką złością. Chcę ci tylko powiedzieć, że przesady w klanie utrzymują się od niepamiętnych czasów. Jesteś rogiem i musisz brać to pod uwagę.

– Nie obchodzi mnie, co myślą inni w klanie. Zwracam się do ciebie. – W głosie Hila pojawiła się nuta bliska desperacji. – Jesteś gotowy wybaczyć Shae i przyjąć ją z powrotem do klanu, ale wahasz się przed zaakceptowaniem Maików?

– To co innego – sprzeciwił się Lan. – Shae należy do naszej rodziny, czy tego chcemy, czy nie. Ty chcesz połączyć Kaulów ze zhańbionym nazwiskiem i splodzić dzieci z kamiennooką żoną.

W aurze Hila kłębiło się napięcie.

– Co mam powiedzieć, żeby cię przekonać? – Wlepił spojrzenie w filar klanu. – Przysięgam, że już nigdy nie poproszę cię o nic więcej.

Lana czasami zdumiewało, że młodszy brat różni się od niego aż tak bardzo. Był krótkowzroczny, ale angażował się we wszystko bez zastrzeżeń. I tak pełen pasji, że właściwie nie zostawało miejsca na wątpiwości.

– Wiesz już, co zrobisz – oznajmił. – Zgłosiłem swoje zastrzeżenia, ale decyzja należy do ciebie, Hilo. Nie potrzebujesz mojej akceptacji.

– Nie chrzań głupot – warknął Hilo. Pochylił się tak bardzo, że prawie wstał z fotela. – Jesteś moim starszym bratem. Jesteś filarem! Kiedy dziadek władał klanem, nie było mowy, by choć jeden listek spadł z któregoś z drzew na dziedzińcu bez jego pozwolenia. Ludzie przychodzili do niego z prośbami o zgodę na zawarcie małżeństwa, otworzenie nowego interesu, chcieli, żeby wybierał imiona dla ich dzieci i psów, a nawet kolor pierdolonej tapety, o ile mi wiadomo. Daj mi błogosławieństwo albo mnie potęp, ale nie umywaj rąk. Gdybym ożenił się z Wen bez aprobaty filaru, to nie miałyby dla mnie żadnego znaczenia. Nikt nie potraktowałby tego poważnie.

Z drugiej strony, gdyby Lan poparł ten związek, publicznie przebaczyłby rodzinie Maików. Oznajmiłby, że ich dawną zdradę wymazano. Maikowie staliby się prawą ręką Kaulów. Inne rodziny poczułyby zazdrość i gniew. Natomiast gdyby nie udzielił pozwolenia, zraniłby Hila, a on miał tendencję do dramatycznych reakcji. Zaszкодziłby stosunkom z własnym bratem i rogiem w chwili, gdy klan nie mógł sobie pozwolić na dalsze osłabienie.

Lan miał wrażenie, że jego kończy się tak ciężkie, że mogłyby pociągnąć go w dół przez fotel. Najwyraźniej każda sprawa w klanie wymagała jego decyzji, a każda decyzja, jaką mógłby podjąć, zraniłaby albo obraziła kogoś, wywołując kolejne problemy.

Przyglądając się twarzy Hila, uświadomił jednak sobie, że nie potrafiłby się zdobyć na to, by odmówić bratu. Nawet gdyby wiedział, jak skończy się związek z Eyni, to czy nie podjąłby ryzyka, w nadziei, że jednak się uda? Nie sądził, by mógł tak twierdzić. Jeśli zaś chodzi o Hila i Wen, wszystkie zastrzeżenia, jakie zgłosił – dawne grzechy, klanowa polityka, przesady – nie miały znaczenia w porównaniu z tymi kilkoma sekundami wczoraj w Boskim Bzie, gdy Maik Kehn, widząc niewyraźną w słowach panikę filaru, rzekł: „Żyje. Wyjdzie z tego”. Lan złapał się framugi drzwi i uświadomił sobie, że nie jest gotowy na to, by dowodzić klanem w czasie wojny. Nie potrafiłby znieść nagłej utraty kogoś z najbliższych.

– Masz rację, Hilo. Lepiej myśleć o dniu dzisiejszym, kiedy jutro może nigdy nie nadejść. Udzielam ci błogosławieństwa. Możesz się ożenić z Maik Wen. – Lan starał się nadać swojemu głosowi szczerę, optymistyczne brzmienie, jakiego wymagały te słowa. – Wyznacz datę. Tak szybko, jak tylko zechcesz.

Hilo wstał z fotela, klęknął na dywanie i uniośł splecione dłonie do czoła.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem – zaczął recytować ceremonialną przysięgę zielonych kości, którą obaj złożyli przed wielu laty. – Gdybym okazał niełojalność bratu, niech zginę od klingi. Gdybym szukał korzyści kosztem brata, niech zginę od klingi. – Pokłonił się nisko, dotykając czołem dywanu. – Na mój honor, moje życie i mój jadeit.

Lan pragnął się sprzeciwić tej przesadnie dramatycznej demonstracji wdzięczności, ale gdy Hilo wstał, na jego twarzy widniał typowy dla niego szeroki uśmiech. To znaczyło, że się nie obawia i nikt inny również nie powinien się niepokoić. Nie wyglądał jak człowiek mający za sobą taki sam dzień jak Lan.

Róg klanu wyprostował się, zabrał broń z biurka i dotknął dłonią barku brata. Nim wyszedł, wskazał jeszcze na jadeit Gama.

– Prześpij się trochę, zanim to włożysz.

## Rozdział 23

### Dary na Święto Jesieni

Wiatr zawodził przeraźliwie, a krople deszczu smagały kark Bera, gdy wniósł do furgonetki ostatnią ze skrzynek i wszedł do środka. Drugi chłopak, którego zwali Pyskatym, zatrzasnął drzwi pojazdu.

– Ruszaj! RUSZAJ! – zawołał Bero do kierowcy.

Furgonetka ruszyła z piskiem, ciskając Berem o tylną ścianę. Chłopak przepychał się między skrzyniami pełnymi kartonów z drogimi, markowymi portfelami, butami, torebkami i paskami do spodni. Wreszcie dowlókł się do miejsca dla pasażera i wystawił głowę przez okno, by się obejrzeć. Kierowca ciężarówki nadal leżał na brzuchu pod naczepą, osłaniając głowę dłońmi. Nikt ich nie ścigał.

Bero schował głowę i zamknął okno furgonetki. Uspokoił się nieco, a po chwili jeszcze bardziej, gdy wyjechali na autostradę KI-1 i pomknęli w kierunku Dzielnicy Portowej. Deszcz lał coraz mocniej. Jego krople padały na przednią szybę tak gęsto, że hałaśliwe wycieraczki ledwie mogły nadażyć. Światła innych samochodów były zamazanymi czerwonymi plamami widocznymi za połyskliwą kurtyną wody. Wyglądały jak lampy w dzień Święta Jesieni. Bero poprawił pistolet za pasem i krzyknął radośnie, uderzając pięścią w dach furgonetki.

– Świetnie nam poszło, kekowie!

Cała akcja trwała niespełna pięć minut. Kluczem do udanego napadu były szybkość i dobre planowanie. Ochrona była czujna i każdy błąd mógł kosztować życie. Statków strzegli uzbrojeni ochroniarze, a Dzielnice Portową patrolowały zielone kości. Najlepiej było atakować załadowane ciężarówki, zanim wjechały na autostradę. Bero był nowicjuszem w tej grze, ale szybko się uczył i palił się do roboty. To był jego trzeci udany napad w ciągu trzech tygodni. To ucieszyło Mudta, a jego zadowolenie przeniosło się na ludzi, którzy za nim stali. Ludzi, z którymi Bero bardzo pragnął się spotkać.

Kierowca furgonetki, małomówny mężczyzna imieniem Tas, mający jakieś zmiany skórne i zawsze noszący czarne T-shirty, zjechał z autostrady w południowej części Junko, skręcił do zaułka za dyskontem Dobre Towary i wjechał na biegu wstecznym do otwartego garażu. Mudt przyszedł obejrzeć łupy, chrząknął z zadowoleniem i odliczył zapłatę dla nich na używanym stole bilardowym. Pyskaty wyładował towar przy pomocy nastoletniego syna Mudta.

– Będziecie musieli być ostrożniejsi – ostrzegł ich Mudt, dodając premię dla każdego z nich.  
– Klany szykują się do wojny.

Wojna klanów oznaczała zarówno szansę, jak i niebezpieczeństwo. Zielone kości zajęte walką między sobą poświęcały mniej uwagi złodziejom oraz przemytnikom, ale nadrabiały to, okazując mniej łaski tym, których udało im się złapać, zwłaszcza jeśli mogły ich łączyć jakieś więzy z nieprzyjacielskimi klanami.

– Masz dla nas nowe wskazówki? – zapytał Bero, chowając pieniądze do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nagły powiew zagrzecotał uchylonymi drzwiami garażu.

Mudt wyjął kopertę z tylnej kieszeni spodni i wręczył ją Tasowi. Mężczyzna pokręcił głową.

– Rzucam to.

– Rzucasz to? – zdumiał się Bero. – Po takim skoku?

– Nie chcę jeszcze umierać – mruknął Tas. – Wycofam się, dopóki jestem do przodu. – Wskazał podbródkiem na Bera. – Daj to jemu – dodał i wrócił do furgonetki.

Mudt nawet na niego nie spojrział. Wręczył kopertę Berowi, który otworzył ją i zajrzał szybko do środka. Było tam kilka spiętych ze sobą kartek. Rozkład jazdy ciężarówek JK Transport na najbliższe sześćdziesiąt dni. Firma przewoziła towary do Portu Południowego i z powrotem. Uśmiechnął się. Imponowało mu, że Mudt ma dostęp do tak użytecznych informacji. Schował kopertę do kieszeni, razem z pieniędzmi.

Kolejny powiew wniósł do garażu strugi deszczu, zalewając betonową podłogę i potrząsając

pokrywami skrzyń oraz luźno leżącymi przedmiotami.

– Hej! – krzyknął na syna Mudt. – Zamknij te drzwi, bo się tu utopimy. Potem wyjdź na dwór i zacznij zalepiać okna. Yofu jest dzisiaj w chujowym nastroju. Będzie tajfun, jutro albo pojutrze. – Przesunął dłonią po mokrych, szorstkich włosach. Rękaw opadł mu o jakieś dziesięć centymetrów i Bero zauważył ślady po wkluciu na jego nadgarstku. Mudt skinął na Pyskatego.

– Dobrze się spisujecie, chłopaki – pochwalił jego i Bera konspiracyjnym szeptem. – Tak dobrze, że ktoś chce się z wami spotkać. Może awansujecie, dostaniecie nową robotę. Wchodźcie w to?

– Ja wchodzę – odparł Bero. Pyskaty pociągnął nerwowo nosem, ale skinął głową.

– Tak też myślałem. – Mudt zwrócił się w stronę sklepu. – No to chodźmy.

– On tu jest? – zapytał Bero.

– Jest, jest, tak jest – zanucił Mudt jowialnym tonem i skinął na nich, nakazując, by poszli za nim. – Dzisiaj jest wasz szczęśliwy dzień, kekowie.

Wyszli z garażu przez wewnętrzne drzwi i przeszli do sklepu. Dawno już był zamknięty. W tylnej części palił się szereg jarzeniówek. Ich blask oświetlał półki z okularami przeciwsłonecznymi oraz kosze z plastikowymi sandałami, ustawione przy wejściu do toalet. Pograżone w mroku korytarze prowadziły do pozostałych części budynku. W sklepie były tylko dwie osoby. Syn Mudta zalepiał okna pasmami niebieskiej taśmy maskującej na kształt litery X, a nieznamy mężczyzna siedział na ladzie kasy. Na podłodze obok niego stała torba podróżna.

Mudt zaprowadził do mężczyzny Bera i Pyskatego, a potem oddał mu honory, unosząc dłonie do czoła.

– To są chłopaki, o których ci mówiłem – oznajmił. – Jeden z nich nie był wystarczająco głodny i się wycofał, więc zostało tylko dwóch.

Mężczyzna zeskoczył ze stołu. Był zieloną kością, miał krótką bródkę, jadeitowe kolczyki w uszach i w nosie. Nosił ciemne buty, a na równie ciemny garnitur włożył długi, zielony płaszcz przeciwdeszczowy. Spojrzał z umiarkowanym zainteresowaniem na Bera i Pyskatego. Jego zapadnięte oczy kryły się w cieniu.

– Jak się nazywacie?

Bero podał mu swoje imię i splótł dłonie.

– A jakim imieniem mamy się zwracać do ciebie, jen?

– Żadnym – odparł zielona kość. – Nie znam was, a wy nie znacie mnie. To jest terytorium klanu Bez Szczytów. Jeśli ludzie Kaulów was złapią i poddadzą torturom, gównem się od was dowiedzą. Nie wykrzyczycie im mojego imienia. – Uśmiechnął się ironicznie, widząc strach obu chłopaków. – Boicie się? Jeśli tak, możecie wyjść przez te same drzwi, przez które tu weszliście.

– Nie boimy się – zapewnił Pyskaty, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Chcę mieć to, co ma Mudt – oznajmił Bero. – Powiedz mi, jak to dostać.

Zielona kość pokiwał głową.

– Jadeitowa gorączka to paskudna sprawa, co? Gdyby wpadł wam teraz w ręce kawałek zieleni, bez szkolenia ani błysku dobrej jakości, wasza aura wyglądałaby jak pierdolony alarm przeciwpożarowy. Gdyby zauważyła was jakaś zielona kość, zorientowałaby się, że jesteście złodziejami, i zabiłaby was w mgnieniu oka. – Mężczyzna pociągnął się lekko za bródkę. – Mudt to szczególny przypadek. No wiecie, jest przyjacielem klanu. Mówi nam to, co potrzebujemy wiedzieć, pracuje dla nas w miejscach, do których nie możemy dotrzeć. Jesteśmy mu wdzięczni i dlatego dbamy o niego. Ma status... powiedzmy współpracownika. Wy również możecie go otrzymać, jeśli dowiedziecie klanowi swojej wartości.

Obaj młodzieńcy pokiwali głowami.

– Świetnie. Zielone kości zabierają jadeit zabitym wrogom. Jeśli chcecie zostać wojownikami, będziecie potrzebowali broni.

Zielona kość uklęknął i otworzył torbę leżącą u jego stóp. Wyciągnął z niej pistolet maszynowy C55 fullerton i wręczył go Berowi. Następnie wydobył drugi, dla Pyskatego. Bero poczuł ciężar broni i wciągnął powietrze przez zęby. Nigdy w życiu nie miał nic większego niż pistolet noszony w kieszeni. Nie potrafił uwierzyć we własne szczęście. Czuł się tak, jakby trzymał niemowlę. Nie wiedział, co zrobić z rękami, jak poprawnie trzymać coś równie cennego.

– Cholera. Naprawdę nam to dajesz?



– Szczęśliwego Święta Jesieni – oznajmił mężczyzna. – Musicie sporo poćwiczyć, zanim pozwolę wam zrobić z nich użytek. Mudt pokaże wam, jak to się robi. – Zielona kość wyprostował się z oszałamiającą szybkością i zacisnął dłonie na szyjach obu chłopaków. Żaden nie zdążył się poruszyć czy choćby westchnąć. Zamarli w bezruchu. Z taką Siłą mógłby im wyrwać tchawice z ciała. – Jeśli usłyszę, że obrabowaliście stację benzynową albo zastrzeliliście niewinnych przechodniów, połamię wam wszystkie kości, a potem skrucę karki. Od tej chwili pracujecie dla mnie, jasne?

Pokiwali głowami i zielona pięść ich uwolnił. Poklepał ich jeszcze po plecach dla uspokojenia.

– Na razie nauczcie się nimi posługiwać. Nadal napadajcie na ciężarówki, jak nauczyłem was Mudt. Miejcie oczy i uszy otwarte, a przede wszystkim nie dajcie się złapać. Kiedy będę was potrzebował, dam wam znać i oczekuję, że będziecie gotowi. Wchodźcie w to?

– Wchodzimy, jen – zapewnił Bero.

Wiatr nasilił się jeszcze. Drzewa pochylały się ku ziemi w świetle kołyszących się latarni. Dach budynku drżał i skrzypiał. Syn Mudta skończył zabezpieczać okna i zniknął na zapleczu.

Zielona kość przerzucił torbę przez ramię.

– Lepiej już sobie pójdę. Pogoda jest paskudna, a okolica niezbyt przyjazna. Mudt, jak zwykle świetnie robi się z tobą interesy.

Podał właścicielowi sklepu ostatni przedmiot, który przyniósł w torbie, białe kartonowe opakowanie wielkości małego pudełka do butów, oblepione taśmą klejącą. Mudt sięgnął po nie chciwie, ale zielona kość odsunął je w ostatniej chwili.

– Przestrzegasz zasad, Mudt? – zapytał ścisłym głosem, w którym przyjacielska troska mieszała się z otwartą groźbą. Właściciel sklepu pokiwiał energicznie głową i zielona kość wręczył mu z uśmiechem pudełko. – Zawsze trzeba pamiętać o bezpieczeństwie.

– Dziękuję, jen – wyszeptał Mudt z wyraźną ulgą.

Mężczyzna z krótką bródką postawił kaptur płaszcz przeciwdeszczowego i ruszył ku pogrążonemu w półmroku wejściu do Dobrych Towarów. Otworzył drzwi i wyszedł w nadchodzący tajfun.

## Rozdział 24

### Po tajfunie

Tajfun Lokko zaatakował Kekon dwa dni przed Świętem Jesieni, jakby Yofo Nieprzejednany obudził się akurat na czas, by zdążyć na zmianę pór roku. Wszystkie miejsca pracy i szkoły w Janloonie zamknięto. Mieszkańcy kryli się w domach, zabezpieczając okna i drzwi ręcznikami. Całe wschodnie wybrzeże wyspy smagały gwałtowne wichry i ulewy. Wiatr zrywał z okapów czerwone lampy, proporce utkane z trawy i inne świąteczne dekoracje upamiętniające płodne małżeństwo Thany Księżyc z Guyinem Królem Góry i niósł je zalanymi wodą ulicami.

W Akademii Kaul Dushurona lekcje odwołano, ale praca trwała bez przerwy. Główną Salę Zebrań wypełniały palety z suszoną i konserwowaną żywnością, butelki z oczyszczoną wodą oraz stopy plastikowych namiotów i koców. Za to wszystko zapłacił klan Bez Szczytów. Uczniowie rozkładali zapasy do mniejszych skrzynek, co ułatwi dystrybucję wśród ofiar tajfunu. Zielone kości broniły zwykłych ludzi i przychodziły im z pomocą w chwilach potrzeby. Robiły to zawsze, odkąd istniały.

Anden zrywał plastikową folię z pakietów z konserwowymi warzywami. Na dworze latarnie się kołysały, a woda spływała po oknach jak w myjni samochodowej. Kampus miał zapasowy generator prądu na wypadek wyłączeń, ale gdyby i on się zepsuł, zostałyby im tylko latarki, ręczne i czołowe. Choć na zewnątrz szalał żywioł, w sali toczono ożywione rozmowy.

– Moja rodzina ma dwa sklepy w Sogen – opowiadał z pasją Heike. – To będzie cholerna strefa działań wojennych. Jeśli Góra nie może zdobyć Pachy, zaatakuje Sogen. Już im mówiłem, że kiedy sytuacja się pogorszy, nie warto ryzykować. Trzeba będzie zamknąć sklep albo płacić podwójną daninę, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

– Wojna z Górą – mruknął Lott, otwierając wielkie opakowania z bateriami. – Kaulowie chyba oszaleli. – Jego dłonie znieruchomiały nagle. Zerknął na Andena tak szybko, że nikt tego nie zauważył. Przez jego twarz przemknął wyraz sprzeciwu. Odwrócił wzrok i odgarnął włosy z czoła. – Ale zielone kości zawsze łakną krwi. Jak moglibyśmy udowodnić, kto jest bardziej zielony, gdybyśmy nie szukali pretekstów, by walczyć ze sobą? Po to właśnie tu jesteśmy, prawda? Żeby zostać wojownikami.

Nastała chwila pełnej zażenowania ciszy. Gdyby Lott powiedział to żartem albo z autoironią, mogliby zlekceważyć jego słowa lub wymamrotać jakieś cyniczne slogany na znak zgody, ale jego głos był pełen złości i jadu. Anden spuścił wzrok. Twarz mu poczerwieniała.

– To bardzo wąski sposób patrzenia na sprawę – sprzeciwiła się Pau Noni, również nie bez pasji. Pau pochodziła z bogatej i nowoczesnej rodziny, która wysyłała do Akademii nie tylko synów, lecz również córki. Obecnie na Kekonie zdarzało się to częściej niż w czasach, gdy Ayt Yu rozkazał wyszkolić swą adoptowaną córkę tak samo, jak jej braci. – Szkolenie zielonych kości otwiera przed nami wiele szans – kontynuowała. – Jesteśmy dziedzicami czcigodnej tradycji. Nawet jeśli nigdy nie będziemy się pojedynkować, to fakt ukończenia akademii czegoś dowodzi. Nikt nam tego nie odbierze.

– Chyba że cię zabiją – sprzeciwił się Lott. – Jeśli wybuchnie wojna między klanami, każą nam w niej walczyć. Gdy tylko dostaniemy jadeit, staniemy się celem dla Góry.

– Można by też powiedzieć, że będziemy mieli więcej szans awansu w klanowej hierarchii – odpowiedziała wyzywającym tonem Pau. – Jeśli jesteśmy ludźmi odpowiedniego rodzaju.

– A co, jeśli nie chcę być człowiekiem odpowiedniego rodzaju? – zapytał Lott.

– W takim razie zajmij się medycyną albo nauczaniem – zasugerował Heike. – Możesz też zostać pokutnikiem.

Lott prychnął pogardliwie i potrząsnął głową, rozszarpując plastikowe opakowanie tak gwałtownie, że ciężkie baterie wysypały się i potoczyły po blacie.

Dudo uniósł ręce nad głowę.

– Co więcej nam pozostaje? Zostać Ósmoroczniakiem Yomo?

Wszyscy zachichotali z zażenowaniem, co w pewnym stopniu rozładowało narastające

napięciu. Corocznie garstka uczniów opuszczała Akademię – ku wiecznemu wstydy ich rodzin – ale z reguły zdarzało się to we wczesnych latach nauczania. Tylko jedna osoba, ponad dziesięć lat temu, porzuciła naukę na ostatnim roku i nie została zieloną kością. Instruktorzy nadal powoływali się na nazwisko tego młodego mężczyzny, wypowiadając je niemal mitologicznym tonem jako złowrogi ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem spektakularnej klęski i hańby, mogących nadejść w ostatniej chwili.

Twarz Lotta poczerwieniała. Chłopak pozbierał rozsypane baterie szybkimi, nerwowymi ruchami.

– Z pewnością nie to – wymamrotał ze spuszczonego wzrokiem, lecz w jego głosie nadal słyszało się wzgardę.

Ton odchrząknął znacząco i skierował rozmowę z powrotem na temat konfliktu między klanami.

– Osobiście uważam, że to róg pragnie wojny. Kaul Lan nie sprawia wrażenia człowieka tego typu.

– Właśnie przez takie gadanie filar musi okazać stanowczość – zawołał Dudo. – Kurwa, już najwyższy czas. Góra zaatakowała jego brata. Czego się spodziewali? To korzystne dla Lana. Mógł pokazać, że ma krew równie gęstą jak stary Kaul. – Dudo był typowym uczniem Akademii, drugim synem rodziny latarników o dużym znaczeniu. Jego starszy brat odziedziczył rodzinny interes, a Dudo będzie nosił jadeit i przysięgnie służbę klanowi, dzięki czemu jego rodzina zachowa w nim wpływy i uznanie. Chłopak był z tego zadowolony. Nie interesował się produkcją komponentów ani taktem. – Odkąd Płomień Kekonu zestarzał się i przeszedł w stan spoczynku, inne klany uważają, że klan Bez Szczytów chyli się ku upadkowi. Nie będą nas traktować z szacunkiem, jeśli od czasu do czasu nie przelejemy krwi.

W Akademii od dwóch tygodni nieustannie rozmawiano o nieudanym zamachu na Kaul Hila i pojedynku pod wejściem do Fabryki, który nastąpił później. Wszyscy najwyraźniej mieli kuzyna, kolegę albo kuzyna kolegi, który był palcem w klanie Bez Szczytów i widział na własne oczy, jak Kaul Lan zabił Gam Obena. Anden czuł się dziwnie, na myśl, że Gam Oben – smagły, atletycznie zbudowany mężczyzna noszący sporo jadeitu, który był drugą piętą Góry, i uratował go przed chłopakami ze Szkoły Wie Lona pod Gorącą Chatą – zginął z ręki Lana.

Wypełniał pudełka puszkami tofu i nie wtrącał się do dyskusji. Być może dlatego, że niefortunnym zrzędzeniem losu odziedziczył po ojcu jasną cerę i cudzoziemski kształt oczu, gdy zachowywał milczenie w sprawach dotyczących klanu, inni często rozmawiali przy nim swobodnie na te tematy, zapominając, kim jest. A był bękartem mieszanej rasy, cudownym dzieckiem okrytej nieślawą matki i – jak wszyscy się domyślali – również homoseksualistą (choć Anden nie miał pojęcia, w jaki sposób ta informacja dotarła do Hila, ku jego zawstydzeniu). Tak czy inaczej, nie miał ochoty przyciągać uwagi do faktu, że rodzina Kaulów otacza go opieką, co dałoby kolegom jeszcze jeden powód, by trzymać się od niego na dystans.

Gdy jednak słuchał ich rozmów, dręczyła go frustracja. W tym jednym przypadku pragnął zademonstrować swą wysoką pozycję w klanie i wytłumaczyć kolegom, że nic nie wiedzą o Kaulach. Lan i Hilo byli ludźmi, mieli swoje zmartwienia i przywary, tak samo jak wszyscy. Starali się służyć klanowi najlepiej, jak potrafili. Żaden nienoszący jadeitu uczeń nie miał prawa ich krytykować, a już z pewnością nie Lott Jin. Co on mógł wiedzieć?

Zacisnął zęby i oddalił się od grupy, by rozładować kolejną skrzynię. Dlaczego nie sprzeciwił się słowom Lotta, nim zrobili to Pau i Dudo? To jego rodzina toczyła tę wojnę. Jego kuzyni, a właściwie raczej bracia. A Lott otwarcie to zdeprecjonował. Gdyby Anden był prawdziwym Kauliem, z nazwiska i krwi, takie słowa mogłyby się stać powodem pojedynku. Powinien był zażądać przeprosin, ale teraz było już za późno. Zemścił się na nim fakt, że zawsze starał się nie przyciągać do siebie uwagi, a także to, co czuł do Lott Jina. Chwila minęła.

Wiatr na zewnątrz zawodził jak cierpiące zwierzę. Anden powtarzał sobie, że słusznie postąpił, zachowując milczenie. Nie powinien brać takich rozmów do siebie. Dla większości mieszkańców Janloonu wojna klanów była czymś takim jak szalejący obecnie cyklon, siłą natury, przed którą można było tylko się ukryć, przetrwać ją, opłakać i rozmawiać o niej. Ofiary były nieuniknione i potem trzeba będzie je policzyć. Ze wszystkich obecnych tu uczniów tylko dla Andena była to sprawa osobista.

Wieści o tym, co się wydarzyło, dotarły do niego w tej samej chwili, co do pozostałych. Usłyszał je najpierw jako pogłoski powtarzane przy śniadaniu.

– Słyszeliście? Zastrzelili róg.

Anden omal nie wypuścił z rąk niesionej miseczki. Przerażający, zimny jak lód szok oraz niedowierzanie wypełniły go od stóp do głowy. Nim jednak zdążył się odwrócić, by zidentyfikować mówiącego, usłyszał inny głos.

– Nieprawda. Próbowali go zabić, ale trafili tylko jednego z jego pięści. Róg żyje, ale części napastników udało się uciec i teraz Kaulowie zaatakują Górę.

– Od kogo o tym słyszałeś? – spytał Anden. Dłonie mu drżały.

Wszyscy za stołem sześciu-letnich spojrzeli na niego ze zdumieniem w oczach.

– Mój brat jest palcem patrolującym Pachę – odpowiedział chłopak. – Rozmawiałem z nim godzinę temu. Powiedział, że nikt nie spał przez całą noc, a teraz wezwali ich do domu Kaulów.

Około południa wciąż napływające sprzeczne wiadomości dały początek szalonym spekulacjom. Filar i róg pojechali do Fabryki. Przelano krew. Uczniowie Akademii nie mieli w pokojach telefonów i dopiero wieczorem Anden, doprowadzony do szału myślą, że wszyscy najwyraźniej wiedzą więcej od niego, zdołał dopchać się do telefonu w korytarzu akademika i zadzwonić do domu Kaulów. Kyanla podała mu numer do mieszkania dziewczyny Hila, mówiąc, że tam go znajdzie.

– Nie przejmuj się, Andy – rzekł mu Hilo. Wydawało się, że jest w dziwnie dobrym humorze.

– Czy mogę w czymś wam pomóc?

– Dasz radę jutro ukończyć Akademię? Nie? W takim razie się nie przejmuj.

– A co z Lan-jenem? – Andenowi nadal trudno było sobie wyobrazić, że Lan zabił człowieka w pojedynku. Filar niewątpliwie zaliczał się do najpotężniejszych zielonych kości, które znał, ale nigdy nie sprawiał wrażenia, że pociąga go przemoc. Nawet głos podnosił bardzo rzadko. – Kyanla mówiła, że nie ma go w domu, bo pojechał do lekarza. Czy wszystko z nim w porządku?

W słuchawce na moment zapadła cisza.

– Jest filarem, Andy – odpowiedział wreszcie Hilo. – Poradzi sobie ze wszystkim, co rzuci przeciwko nam Góra, tak samo jak dzisiaj. Nie mówiłem ci, że nadchodzą takie kłopoty? Nie dziw się. Przejdź Testy, to wszystko.

– Przejdę je – zapewnił Anden. – Jeszcze sześć miesięcy i będę mógł wam pomóc.

– Wiem o tym, Andy. Nie przejmuj się. Liczę na ciebie.

Chłopak odwiesił słuchawkę, ale nadal był niespokojny i podenerwowany. Trudno mu było zasnąć. Przez całe życie uważał, że Kaulowie są niemal niezwykłymi. Do zagranicznego ojca nie czuł niczego poza pretensjami i pogardą (wszyscy Espeńczycy byli tacy sami, płytki, arogancy i niewierni), a życie jego matki było tragicznym przypadkiem błędnych decyzji i szaleństwa, wypełniającym go żalem, odrazą i grozą. Kaulowie byli rodziną, w której pragnął się urodzić.

Teraz, gdy trudził się w kącie Sali Zebrań, ustawiając zapakowane skrzynie jedną na drugiej, i nie wracał już w myślach do rozmowy Lotta z innymi kolegami, zaczął wspominać to, co spotkało go w Dzień Łodzi. Kiedy wsadzili go do samochodu Gonta i zawieźli na spotkanie z Ayt, traktowali go jak Kaula – boleśnie uświadamiał sobie, że nim jest – lecz jednocześnie jak bezsilne dziecko pozbawione znaczenia. Teraz czuł się tak samo.

\*\*\*

Gdy tajfun wreszcie się skończył, Janloon wyglądał tak, jakby horda niezgrabnych olbrzymów poddała go myciu pod wysokim ciśnieniem. Wichura przewróciła drzewa i słupy trakcji elektrycznej, a samochody obróciła na dachy. Niektóre części Miasta Rybaków, Kuźni oraz Dzielnicy Świątynnej zalała woda. Anden i jego koledzy z Akademii poświęcili kilka dni na pracę w centrach pomocy oraz dystrybucję zapasów dla ludzi pozbawionych dopływu prądu, wody bieżącej bądź cierpiących na niedostatek żywności. W takich chwilach na ulicach panował spokój. Klany opiekowały się ludźmi mieszkającymi na ich terytoriach i pomagały latarnikom w usunięciu śladów katastrofy oraz w odbudowie. Na terytoriach spornych albo neutralnych zawierały niewypowiedziany rozejm i współpracowały ze sobą.

Po południu w dzień Święta Jesieni Anden pracował przy usuwaniu szczątków z ulic

w Dzielnicy Świątynnej. Tajfun położył kres letnim upałom i uwolnił niebo od smogu, nadając mu zdumiewająco błękitną barwę.

– Szczęśliwego Święta Jesieni! – wołali do siebie – niekiedy z odrobiną sarkazmu – zajęci wrzucaniem gruzu do pojemników na odpady przemysłowe. Tłumy odwiedzające liczne miejsca kultu były mniej liczne niż zwykle, ale słyszało się śpiewy i fajerwerki niosące się echem po okolicy.

– Przetoczmy ten pojemnik do krawężnika – zaproponował Lott, wskazując płataninę gałęzi obalonego drzewa leżącego na ulicy.

Anden podążył za nim, ciągnąc za sobą pojemnik. Pracowali razem, zbierając kawałki drewna, łamiąc je i wrzucając do pojemników. Początkowo nie rozmawiali ze sobą. Anden próbował zdecydować, czy nadal ma się gniewać na Lotta za to, co powiedział przedwczoraj w Sali Zebrań. Jeśli nawet Lott zauważył mimowolne spojrzenia, którymi często obrzucał go Anden, nie skomentował ich ani nie odwzajemniał. Sprawiał wrażenie zaabsorbowanego bieżącymi zadaniami i pogrążonego w myślach. Jego usta zastygły w nadąsanym grymasie, a muskularne ręce łamały kolejne gałęzie.

Anden odwrócił wzrok, zły na siebie, i schylił się, by podnieść leżące na ulicy kawałki dachówek. Osobiście nie znał żadnego homoseksualisty oprócz pana Teoha, starszego instruktora Postrzegania. Nie był pewien, czy Lott również nim jest. Mieli wspólnych kolegów, ale nie był z nim blisko. Zawsze spotykał się z Lottem w towarzystwie innych, a on miał bliższych przyjaciół, takich jak Dudo i Heike, i to z nimi spędzał wolny czas. Anden nigdy nie próbował wcisnąć się do ich kręgu ani nie próbował spotykać się z nim sam na sam. Słyszał, jak Lott wyrażał zdawkowe zainteresowanie kobietami, ale, o ile wiedział, nigdy nie wynikło z tego nic poważnego. W Akademii było o to trudno, ponieważ obowiązywało tu tradycyjne, klasztorne podejście do romantycznych związków między uczniami – po prostu były zakazane.

Niemniej zdarzały się chwile, gdy Anden miał wrażenie, że wyczuwa coś w zachowaniu drugiego chłopaka – przeciągłe spojrzenia, chęć znalezienia się po tej samej stronie, gdy dobierali się w drużyny piłki sztafetowej, czy propozycja wspólnego zajęcia się zadaniem tak banalnym, jak sprzątanie z ulicy pozostałości po tajfunie.

Kekończycy uważali homoseksualne skłonności za coś naturalnego, co czasami się zdarza, podobnie jak w przypadku kamiennookich, i nie potępiali za to nikogo, tak jak nie winili dzieci, które urodziły się głuche. Niemniej tak samo jak kamiennookich, homoseksualistów uważano za pechowych. Ich pojawienie się świadczyło, że ród popadł w niełaskę bogów, którzy postanowili położyć mu kres. Anden nie był zaskoczony tym poglądem i nie przejmował się nim zbyt. Wiedział, że jego rodzina jest przeklęta. Jednakże ludzie nie czuli się dobrze w towarzystwie dotkniętych pechem i nie lubili przyznawać, że sami go mają. Był pewien, że niektórzy w Akademii pociągają się za płatek prawego ucha, kiedy na nich nie patrzy. Gdy jednak zerknął na Lotta, który prze-rwał na moment pracę, by otrzeć przedramieniem spocone czoło i przeciągnąć długi grzbiet, zanim schylił się po kolejną gałąź, przeszło go ukłucie bólu na myśl, że chłopak mógłby być jednym z nich.

– Słyszałem, co cię spotkało w Dzień Łodzi – odezwał się nagle Lott.

To zaskoczyło Andena. Znieruchomiał na chwilę, nim wrzucił do pojemnika kawał gruzu i otarł o spodnie zakurzone dłonie. Nikomu w Akademii nie wspominał o tym, co się wówczas wydarzyło. Nie chodziło o to, że chciał to zachować w tajemnicy. Po prostu przyciąganie do siebie uwagi nie leżało w jego naturze. Rozmowa, którą odbył z Gontem i Ayt, była sprawą klanu i Lan oraz Hilo mogli woleć, by nie rozpowszechniał tej wiadomości. Kolegom powiedział, że zgubił się w tłumie i sam wrócił do Akademii.

– Dowiedziałem się od taty – wyjaśnił Lott.

Anden skinął z namysłem głową. Zapomniał, że ojciec Lotta jest pięścią wysokiej rangi. Dziwnie było pomyśleć, że zapewne odpowiadał bezpośrednio przed Hilem.

– Był tam wtedy? – zapytał. Nie przypominał sobie wszystkich zielonych kości, które towarzyszyły owego dnia rogowi.

– Poczul się rozczarowany, gdy Góra cię wypuściła. – Nadąsane usta Lotta wykrzywiły się w gorzkim grymasie. – Mówił, że róg z twojego powodu ruszyłby na wojnę. A on mógłby wtedy wziąć udział w szturmie na Mały Młotek i zdobyć dla siebie więcej jadeitu. Taki jest mój tata. Oto-

czył już budynek i tak dalej.

Anden odwrócił wzrok. Zdjął okulary i wytarł je, żeby ukryć zmieszanie. Gdy tylko czuł, że zbliża się do Lotta, że mają szansę połączyć się więzią, choćby najdrobniejszą, wkrótce dochodziło do jakiegoś wydarzenia sugerującego coś wręcz przeciwnego. To najwyraźniej był jeden z podobnych przypadków. Dlaczego Lott powiedział mu coś takiego?

– Twój tata na pewno się cieszy. Wojna wydaje się bardzo prawdopodobna – odpowiedział Anden pozbawionym wyrazu tonem, nie próbując ukrywać, że uważa, iż słowa Lotta były w bardzo złym guście. – Nawet nie będę musiał ginać, żeby ją rozpocząć.

Lott uśmiechnął się drwiąco.

– Nie bierz tego do siebie, keke. Nic mnie nie obchodzi, co myśli mój tata.

Wrzucił do pojemnika kolejną gałąź, a potem oparł się o niego, kierując na kolegę zaciekawione spojrzenie ciemnych oczu. Serce Andena zabiło szybciej.

– Jest w tobie znacznie więcej, niż okazujesz, prawda? – zauważył Lott. – Masz najwyższą pozycję w klanie z nas wszystkich, ale nic nie mówisz na ten temat.

W jego głosie słyszało się tylko lekką ciekawość, ale w oczach lśniło silne zdziwienie, być może z nutą gniewu.

Anden nie bardzo wiedział, co mu odpowiedzieć.

Z drugiej strony skrzyżowania dobiegł ich głos Tona.

– Patrzcie.

Anden odwrócił się i poczuł nagły ucisk w żołądku. Poznał lśniącego, czarnego zt valora jadącego powoli ulicą. Samochód ciągnął za sobą platformę, na której końcu przysiadło dwoje zielonych kości, mężczyzna i kobieta. Samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu i rozległ się klakson. Zielone kości zaczęły rozdawać kawałki świątecznego ciasta z długich aluminiowych tac wypełnionych tradycyjnymi przysmakami. Szybko zgromadził się tłumek, który jednak zachowywał pełen szacunku dystans.

– Szczęśliwego Święta Jesieni – mówiły zielone pięści. – Po jednym kawałku na osobę. Szczęśliwego Święta Jesieni.

Drzwi samochodu się otworzyły i pojawił się Gont Asch. Nawet świątecznie ubrany, w ciemnym garniturze i białej koszuli, które zasłaniały większość jego jadeitu, wyglądał tak groźnie, że ludzie odsuwali się od niego.

– Dziękuję, Gont-jen! – wołali, oddając mu honory. – Niech blask przychylności bogów oświeci Górę.

Róg Góry kiwał przyjaźnie głową, rozmawiał z niektórymi ludźmi, wychwalał wysiłki sprzątających i rozdawał świąteczne ciasto. Anden wrócił do pracy, ignorując tę scenę, zaciskał jednak zęby i łamał gałęzie o kolano z coraz większą siłą.

– Hej, wy czterej, chłopaki z Akademii – zabrzmiał niski głos Gonta. – Chodźcie tutaj.

Zawahali się, spoglądając na siebie nawzajem, ale nieposłuchanie byłoby skandaliczną nieuprzejmością. Ton i Dudo podeszli do niego, a Lott i Anden po kolejnej chwili wahania podążyli za ich przykładem. Gont wręczył każdemu z nich po kawałku świątecznego ciasta. Było ciepłe, miękkie i świeżo upieczone, pachniało masłem i powidłami.

– To za waszą ciężką pracę – oznajmił.

Ton, Dodo i Lott przyglądali się z zaskoczeniem i nerwowością trzymanym w dłoniach kawałkom ciasta. Nim Anden zdążył zrobić to samo, wyciągnięta ręka Gonta otoczyła jego barki z powolną siłą pytona.

– Rozczarowałeś mnie, nie przyjmując naszej oferty – mruknął Andenowi do ucha, tak cicho, że nikt inny go nie usłyszał.

Gdy Anden pierwszy raz spotkał Gonta, przed Gorącą Chatą w Parku Letnim, czuł się oniesmielony jego siłą i elokwencją. Gont Asch próbował zamordować moich kuzynów, pomyślał jednak w tej chwili. Pragnie śmierci wszystkich Kaulów.

Czuł jadeit na jego ramieniu, ciężar gęstej energii spoczywającej na karku. Zmusił się do spojrzenia mężczyźnie prosto w oczy.

– Mogę wyglądać jak Espeńczyk, Gont-jen, ale to jeszcze nie znaczy, że można mnie przekupić jak psa – powiedział.

– Dzisiaj jest Święto Jesieni i bogowie oczekują od nas wyrozumiałości – odparł Gont, bez

śladu zaskoczenia czy urazy w głosie. – Dlatego udzielię ci pewnej rady, Anden Emery. W przyszłości nie znieważaj uwagi, jaką poświęciła ci filar. Byłaby szkoda, gdybyśmy zostali wrogami.

Gont puścił Andena i wrócił do samochodu ciągnącego za sobą przyczepę z ciastem.

Anden wrócił do kolegów, którzy stali po drugiej stronie ulicy, ocierając okruchy z ust.

– Co ci powiedział? – zapytał Lott, spoglądając na Andena z jeszcze większą ciekawością i niepewnością niż przedtem.

– Życzył mi szczęśliwego Święta Jesieni. – Chłopak spojrzał na kawałek ciepłego ciasta, który trzymał w dłoni, ale nie miał ochoty go jeść. Odprowadzał spojrzeniem oddalający się samochód Gonta. – I oznajmił, że jeśli zostanę pięścią klanu Bez Szczytów, Góra mnie zabije.

## Rozdział 25

### Wytyczenie granic

Góra przestała atakować interesy prowadzone w Pasze przez członków klanu Bez Szczytów, lecz Kaul Hilo świetnie zdawał sobie sprawę, że poza tym jego klan zyskał na rozejmie bardzo niewiele. Ich rywale wycofali się z części dzielnicy, które prawnie były własnością klanu Bez Szczytów, ale sprytnie zachowali kontrolę nad swymi twierdzami położonymi na południe od Patriotycznej, a były wśród nich najbardziej dochodowe kasyna w całym Janloonie.

Hilo nie mógł poświęcić czasu i ludzi na umocnienie ich pozycji w Pasze, ponieważ przeszkadzały mu w tym kłopoty w Dzielnicy Portowej. W Dzielnicy Portowej! To była niekwestionowana domena klanu Bez Szczytów. Tu znajdowały się najbardziej znane z kontrolowanych przez nich lokali, takie jak Podwójne Szczęście czy Boski Bez. Ostatnio jednak doszło tu do gwałtownego wzrostu przestępczości. Złodzieje atakowali ciężarówki przewożące luksusowe towary importowane, by następnie sprzedawać je na czarnym rynku. O ile byli w stanie to ustalić, winne były zwykle gangi uliczne, ale skala i dobra organizacja całej operacji budziły podejrzenia. Przypuszczenia Hila potwierdziły się, gdy Kehn i jego palce złapali trzech złodziei, a ci po krótkiej perswazji przyznali, że mężczyzna, którego nazwiska nie znali – mężczyzna noszący jadeit – dostarczył im rozkłady jazdy ciężarówek oraz listę towarów przewożonych przez nie z Portu Letniego.

– Co zrobimy w tej sprawie, Hilo-jen? – zapytał przez telefon Kehn.

Hilo rozciągnął metalowy przewód telefonu na maksymalną możliwą długość, skrył się za rogiem i odwrócił się plecami do pielęgniarki toczącej puste łóżko szpitalnym korytarzem, po czym zakrył dłonią drugie ucho, by zablokować stukot plastikowych kółek o linoleum. Na drugim końcu linii było słycać przekleństwa, płacz i jakieś nieartykułowane, stłumione dźwięki. Na Kekonie złodziei nienawidzono najbardziej ze wszystkich przestępców. Za kradzież transportów zegarków i torebek klan zwykle karał biciem i napiętnowaniem, w tym przypadku jednak chodziło o coś więcej. Za tą sprawą kryła się ręka Gont Ascha. Góra była zdolna się zniżyć do wynajęcia bezjadeitowych przestępców, by nękali klan Bez Szczytów.

– Zabij dwóch, a najbardziej gadatliwego puść wolno – rozkazał Hilo.

Odwiesił słuchawkę i poszedł odwiedzić Tara.

– Mam dobre wiadomości – oznajmił. – Mówią mi, że za dwa dni cię wypuszczą.

Tar siedział w łóżku. Kule przebiły jego śledzionę i jelito. Przeszedł kilka operacji i miał przetaczaną krew. Nim trafił do sali operacyjnej, zabrano mu część jadeitu. Dopiero teraz odzyskał siły na tyle, że pozwalano mu je nosić, ale jego aura nadal była równie chwiejna jak nastrój.

– Najwyższy czas. Lekarze gównu wiedzą, a żarcie jest okropne.

– Każę komuś przynieść coś, co ci smakuje. Co byś chciał? Makaron na wynos? Coś pikantnego?

– Wszystko jedno. Czuję się już lepiej. Ten zielony lekarz, którego przysłałeś, wykonał dobrą robotę.

– Nasza rodzina ceni go wysoko – odpowiedział Hilo.

Lekarze władający mocą zielonych kości, formalnie niebędący członkami klanów, lecz biegle posługujący się terapeutycznym Przenoszeniem, zdarzali się rzadko i ich usługi były bardzo poszukiwane. Hilo postarał się, by doktor Truw, lekarz pracujący w Akademii Kaul Du, kilkakrotnie odwiedził Tara w szpitalu. Teoretycznie nie było to dozwolone, ale nikt się nie sprzeciwiał.

– Ożenię się z twoją siostrą – poinformował go Hilo. – Lan się zgodził i cały klan musi to zaakceptować. Obiecuję, że będę dla niej dobry.

– Wiesz, że pójdę za tobą wszędzie, czy ożenisz się z Wen, czy nie – zapewnił Tar. – Tylko wydostań mnie już z tego szpitala.

– Wiem – potwierdził Hilo. – Odpoczywaj, dopóki możesz. Jak już stąd wyjdiesz, będziesz mi bardzo potrzebny. – Nie ulegało wątpliwości że Tar czuje się rozgoryczony, bo odniesione rany wykluczyły go z akcji, ale Hilo nie miał ochoty masować jego ego ani rozmawiać o pracy. – Masz dobry garnitur? – zapytał. – Musisz porządnie wyglądać na ślubie.



\*\*\*

Hilo ucieszył się i poczuł ulgę, gdy po zamachu na jego życie Wen natychmiast zgodziła się zamieszkać w posiadłości Kaulów.

– Przenieś się do głównego budynku – zapewnił, choć krzywił się na samą myśl o mieszkaniu w tym samym korytarzu, co jego dziadek. – Ty dostaniesz dom rogu. Możesz z nim zrobić, co tylko zechcesz. Pomalować ściany, zmienić dywany i tak dalej. Nie przejmuj się kosztami. Pieniądze nie mają znaczenia.

– Tak – zgodziła się. Jej pobladłe usta miały stanowczy wyraz, a na twarzy odbijało się zmęczenie po nocach spędzonych przy łóżku Tara. Rozejrzała się po swym małym, lecz schludnym i gustownie urządzonym mieszkaniu, jakby była gotowa opuścić je natychmiast. – Masz rację. Teraz rozumiem, jak bardzo wrogom zależy na twojej śmierci. Moja duma nie może usprawiedliwić ryzyka, że wykorzystają mnie, by cię skrzywdzić.

Gdy już Hilo postawił na swoim, zrobił się wdzięczny i czuły. Wziął Wen w ramiona i wiele razy pocałował jej twarz.

– Nie masz się czego wstydzić – zapewnił. – Jesteśmy teraz zaręczeni. Zapytałem Lana i udzielił nam błogosławieństwa. Kaul Maik Wen. Jak to ci się podoba? Możemy zaplanować wielkie wesele. Wybierz datę. Myślę, że powinniśmy to zrobić jak najszybciej. Może na wiosnę?

Wen objęła go i uściśnęła tak mocno, że nowe jadeity wpiły się w jego nadal obolałą pierś. Roześmiał się, czując ich ucisk.

– Lan to dobry filar na czas pokoju, ale nie jest dowódcą pięści – stwierdziła niemal bezbarwnym głosem. – Nikt inny nie ma tyle jadeitu i nie cieszy się w klanie takim szacunkiem, by zastąpić cię na pozycji silnego rogu na czas wojny. Góra wie, że bez ciebie Lan nie będzie miał innego wyboru, jak skapitulować. Dlatego najpierw spróbowali zabić ciebie i dlatego ponowią tę próbę.

Hilo zmarszczył brwi. Nie takiej rozmowy się spodziewał, gdy oznajmił Wen, że się z nią ożeni.

– Niech skurwysyny spróbują. – Ujął podbródek dziewczyny i spojrzał jej prosto w oczy. – Boisz się, że zostaniesz młodą wdową, jak moja mama? Czy dlatego się nie cieszysz na myśl o ślubie? Ja się cieszę. Myślałem, że ty zareagujesz tak samo.

– A powinnam? Czy mam się ekscytować kupowaniem sukni i planowaniem bankietu jak głupia baba, podczas gdy wrogowie chcą zamordować mojego narzeczonego i moich braci?

– Nie musisz tak do mnie mówić – warknął poirytowany Hilo. – Zawsze będę miał wrogów, ale to jeszcze nie znaczy, że nie możesz być szczęśliwa. Musisz mi zaufać, Wen. Zapewniam, że postaram się, by niczego ci nie zabrakło, jeśli spotka mnie coś złego. Albo Kehna bądź Tara. Zostawię ci w spadku wszystko, co mam. Nie będziesz nawet powiązana z klanem, jak moja mama, jeśli nie będziesz tego chciała.

Wen milczała przez chwilę.

– Skoro wejdziesz do rodziny, nie ma powodu, bym nie miała pracować dla klanu. Kehn i Tar są twoją pierwszą i drugą pięścią. Mnie również mógłbyś jakoś wykorzystać. Znaleźć dla mnie jakieś miejsce, w którym będę mogła pomóc w wysiłkach wojennych.

Hilo pokręcił głową.

– Wojna to nie twoja sprawa.

– Dlatego, że jestem kobietą?

– Dlatego, że jesteś kamiennooką. To sprawa między zielonymi kośćmi.

Wen opuściła ręce i odsunęła się od niego.

– Pochodzę z rodziny zielonych kości. Sam powiedziałaś, że mam serce i umysł jadesitowej wojowniczkki.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że nią jesteś – odpowiedział Hilo, zaniepokojony kierunkiem, w którym zmierzała rozmowa. – Wiesz, że nie wierzę w cały ten syf, że jadeit zbliża ludzi do bogów, kamiennooki przynoszą pecha i tak dalej. Ale jeśli nie jesteś zieloną kością, czeka cię inne życie. Nie lepsze ani gorsze, po prostu inne. Możesz robić coś innego, wszystko, co tylko zechcesz, ale nie to.

– Inne klany robią użytek ze swoich kamiennookich. Możemy swobodnie poruszać się po

mieście. Dotykać jadeitu, nie produkując aury. Mówiłeś mi, że Tem Ben Szlifierz z Góry jest kamiennookim, ale mimo to dla nich pracuje.

Hila wypełniły przerażenie i gniew. Poczul ucisk w gardle.

– W niczym nie przypominasz Tem Bena – odparł cicho. – On jest zwykłą marionetką. Prześledzę wszystkie sznurki łączące go z Górą i przetnę je. Jest już trupem. Nigdy nie będziesz taka jak on. – Złapał Wen za ramiona, tak szybko, że nawet nie miała czasu się wzdrygnąć. Nigdy nie zapominał o tym, że jest bardzo miękka, powolna i bezbronna, że z wielką łatwością mógłby wyrządzić jej nieodwracalną krzywdę. Myśl o tym, że zagrażają jej jego wrogowie, inne zielone kości, wypełniała go strachem, choć właściwie nie bał się o własne życie – Góra jest zdolna do wszystkiego. Rekrutują pospolitych złodziei, każą kamiennookim przemycać jadeit na terytorium klanu Bez Szczytów. Podejrzewam, że wkrótce wyślą przeciwko nam dzieci. Ja tego nie zrobię. Nie pozwolę kamiennookim walczyć w wojnie zielonych kości. Nawet tobie. I nic nie skłoni mnie do zmiany zdania. Rozumiesz?

Potrząsnął nią.

– Tak – odpowiedziała potulnie.

Złagodniał i ponownie objął ją z westchnieniem.

– Mam wrażenie, że znudziłaś się swoją pracą. – Wen była sekretarką w kancelarii prawniczej. – Jesteś zbyt inteligentna na taką robotę. Jak już weźmiemy ślub, będziesz mogła ją rzucić i zająć się czym zechcesz. Chcesz wrócić do pracy w szkole? Możesz to zrobić. Albo otworzyć własną firmę, zająć się dekoracją wnętrz albo czymś w tym rodzaju? Jesteś w tym dobra. Możemy się nad tym zastanowić.

– Tak – zgodziła się Wen. – Możemy. Ale później.

Jeśli Wen porozmawia z biurem prognostyka, z pewnością przedstawią jej mnóstwo możliwości. Klan miał latarników z koneksjami w niemal wszystkich możliwych dziedzinach. Nie zamierzał jednak zwracać się w tej sprawie do Doru. Zaczeka, aż Lan wywali starego zboczucha, a potem pogada z kimś takim jak Hami Tumashon.

Musiał też porozmawiać z Shae. Nie widział się z nią od kilku tygodni. Hilo był człowiekiem otwarcie wyrażającym uczucia i już od dawna podejrzewał, że kocha członków swojej rodziny bardziej, niż oni kochają jego. To wrażenie było szczególnie silne w przypadku jego siostry. Jak mogła być taka zimna? To pytanie dręczyło Hila bardziej, niż chciałby przyznać. Czy wróciła na Kekon tylko po to, żeby się nad nią litowali? Żeby ukarać ich swym odrzuceniem? Najwyraźniej miała problemy z samooceną i karała siebie odstawieniem jadeitu, widząc w tym jakąś nienormalną formę pokuty. Przyszło mu na myśl, że być może był wobec niej zbyt surowy i w pewnej chwili powiedział coś, co sprawiło jej ból (jakby ona nie zrobiła tego samego), i to był jeden z powodów, które skłoniły ją do ucieczki do Espenii. Był jednak gotowy zapomnieć o tym wszystkim. Oboje byli już dorośli. Byli też Kaulami, a to wiązało się z odpowiedzialnością. Wszyscy troje musieli trzymać się razem, żeby klan Bez Szczytów pozostał silny. Czasami odnosił wrażenie, że tylko on rozumie to jasno. Był przekonany, że jeśli porozmawia z Shae i jeśli Lan przestanie traktować ich siostrę w rękawiczkach i udzieli mu poparcia, może mu się udać przekonać ją o swej szczerości, i skłonić, by przestała tak nieprzejednanie trzymać się na dystans od nich.

Co prawda z Lanem też ostatnio widywał się rzadko. Dość często rozmawiali przez telefon, ale te rozmowy były krótkie i dotyczyły głównie kwestii taktycznych – co się wydarzyło i co powinni w tej sprawie zrobić. Hilo rozkazał swoim pięściom zabijać wszystkich pozaklanowych gangsterów przyłapanych na kradzieży w Dzielnicy Portowej. W innych miejscach wzmacniał obronę klanu. Awansował Iyn, Obu i kilka innych starszych rangą palców do pozycji pięści i przydzielił im terytoria, na których będą mogli skuteczniej chronić najcenniejsze zasoby klanu Bez Szczytów. Krążył po mieście, osobiście odwiedzając wszystkich latarników i udzielając im zapewnień.

– Niech wasze guan dao będą ostre – powtarzał swym wojownikom. Mogli zagarniać jadeit Góry, gdy tylko nadarzyła się okazja. Jego szpiedzy dostarczyli mu raport o organizacji Gonta, tak szczegółowy, jak to tylko możliwe – ile miał pięści i palców, gdzie można było je znaleźć, kto z nich nosił najwięcej jadeitu i był najgroźniejszy.

Przeglądając tę listę, Hilo uświadomił sobie, że choć liczebność obu stron jest zbliżona, klan Bez Szczytów jest w słabszej pozycji. Centrum kontrolowanych przez nich terytoriów graniczyło

z dzielnicami opanowanymi przez Górę zarówno od północy, jak i od południa. W ostatnich dwóch latach Góra wyeliminowała paru słabszych rywali, a jej zielone kości były statystycznie bardziej doświadczone. Potrzebował więcej wojowników. Następnej wiosny Akademię Kaul Du ukończy wyjątkowo liczna grupa nowych zielonych kości, w tym również jego kuzyn Anden, ale do tego czasu będzie musiał sobie radzić z tym, co ma.

Pojedynek czystej klingi stoczony pod Fabryką między Lanem a Gam Obenem teoretycznie pozwolił utrzymać pokój, ale w rzeczywistości dał tylko obu stronom szansę na przegrupowanie i zaplanowanie następnych posunięć. Mimo że klany oficjalnie nie były w stanie wojny, róg nie miał wątpliwości, że obecne potyczki i nękanie wkrótce przerodzą się w otwarty rozlew krwi. Był też przekonany, że Góra nie da za wygraną po zaledwie jednym nieudanym zamachu na jego życie. Rzadko bywał teraz w domu i w związku z tym musiał nieustannie mieć się na baczności. Zdarzało się, że po długiej nocy parkował w jakimś ukrytym w cieniu miejscu wyglądającym na bezpieczne i kładł się spać na tylnym siedzeniu duchesse, by trochę się przespać, podczas gdy Kehn stał na straży.

Z pozycją rogu wiązało się stanowczo zbyt wiele pracy i stresu.

## Rozdział 26

### Przygotowania do wojny

Wszystkie krzesła w długiej sali konferencyjnej na Statkowej były zajęte. Dwunastu latarników klanu Bez Szczytów – prezesi i dyrektorzy niektórych z największych kompanii w kraju – przyszedli tu, by wysłuchać przemowy filaru i zapytać go o plany obrony i środki mające zapewnić bezpieczeństwo ich działalności. Spory o terytorium i kontrolę nad firmami zdarzały się często, ale perspektywa otwartej wojny między dwoma największymi klanami w kraju była czymś bezprecedensowym i przyprawiała biznesmenów o konsternację.

– Czy projekty, którym już przyznano patronat klanu, będą mogły być kontynuowane zgodnie z planem? – zapytał deweloper, którego Lan pamiętał ze spotkania z latarnikami w Dzień Łodzi.

Doru pokiwał wydłużoną głową.

– W obecnej sytuacji klan nadal będzie wspierał wszystkie projekty, które zaaprobował i dofinansował.

– Czy wzmocni się ochronę naszej własności? – zapytał latarnik mający kilka sklepów w Pasze.

– Róg podjął kroki mające zapewnić bezpieczeństwo terytorium klanu – odpowiedział Lan.

– Priorytet będą miały najbardziej zagrożone dzielnice.

– A co z możliwością, że Góra zakłóci handel? Kontrolują większą część firm przewozowych. Czy nie mogą podjąć próby zablokowania nas albo utrudnienia nam przewozu towarów? – zapytał mężczyzna zajmujący się importem mebli.

– Są jeszcze sektory, które ucierpią z powodu spadku ruchu turystycznego – przerwał mu właściciel hotelu. – Czy klan zamierza w jakiś sposób wesprzeć branżę hotelarską?

Lan wstał. Szepty wokół stołu ucichły.

– Nie mogę zagwarantować, że wasze interesy nie ucierpią – zaczął. – Zagraża nam inny klan i musimy być przygotowani na trudne czasy. Obiecuję jednak, że będziemy bronić każdej części klanu, każdego sektora i każdej firmy.

Te słowa najwyraźniej zrobiły wrażenie na obecnych. Filar zauważył, że spojrzenia wszystkich kierują się na jego nowy jadeit, niepodważalny dowód na to, że niedawno odniósł zwycięstwo i może wesprzeć swe zapewnienia siłą. Obrzucił obecnych oceniającym spojrzeniem.

– Obawiam się, że nie możemy w tej chwili odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. Jeśli chcecie zgłosić jeszcze jakieś problemy, umówcie się na spotkanie z prognostykiem i ze mną. Życzę miłego popołudnia, panowie.

– Niech blask przychylności bogów oświeci klan Bez Szczytów – wyszeptali niektórzy z latarników i oddali honory, opuszczając salę.

Gdy wszyscy już wyszli, Lan zwrócił się w stronę Doru.

– Chciałbym, żebyś poleciał do Ygutanu – oznajmił.

Prognostyk sprawnie ukrył zaskoczenie, jakie mógł poczuć.

– Czy to konieczne, Lan-se? Z pewnością to ważne, bym w tym trudnym okresie pozostał w Janloonie, by pomóc ci radzić sobie z latarnikami?

– Możemy odłożyć o kilka tygodni następne spotkania z nimi. Chcę, żebyś się dowiedział jak najwięcej o produkcji błysku prowadzonej tam przez Górę. Gdzie znajdują się ich fabryki, kim są ich dostawcy i dystrybutorzy, jak wielkie obroty udało się już im osiągnąć. Skorzystaj ze wszystkich kontaktów, które tam mamy, ale dyskretnie. Musimy się dowiedzieć, gdzie inwestuje nasz nieprzyjaciel. Byś może będziemy mogli wykorzystać te informacje przeciwko niemu. Gdyby okazało się to konieczne.

Doru wydał cienkie wargi. Być może wyczuwał ukryte motywy Lana. Od czasu pojedynku pod Fabryką Lan okazywał powściągliwość w kontaktach z nim i prognostyk z pewnością sobie uświadomił, że wypadł z łask. Lan nie chciał jednak, by jego podejrzenia posunęły się dalej.

– Potrzebuję tam kogoś, komu mogę zaufać, Doru-jen – odparł twardo, pokazując część gniewu, który czuł. – Nie wysłałbym tam nikogo mniej uzdolnionego czy dyskretnego. Ostatnio

zdarzały się między nami różnice, ale teraz nie możemy sobie pozwolić na niepewność. Będiesz od tej chwili wykonywał moje polecenia czy nie? Jeśli nie, przyjmę twoją rezygnację ze stanowiska prognostyka. Będiesz mógł nadal tu mieszkać. Nie zmuszę cię do przeprowadzki.

Zauważył, że jego domysły były trafne. Stary doradca uspokoił się nieco. Gdyby filar podejrzewał Doru o zdradę albo zamierzał mu zaszkodzić, nie okazywałby uczuć w ten sposób, tylko udawałby, że pogodził się z prognostykiem, i trzymał go blisko siebie.

– Ranisz mnie, Lan-se – oznajmił Doru. – Nie zgadzałem się z tobą wyłącznie dlatego, że bałem się o klan i o twoje bezpieczeństwo. Oczywiście masz rację. Musimy dowiedzieć się więcej o działaniach Góry w Ygutanie. Jutro tam polecę.

Lan skinął głową.

– Rozumiem twoje obawy, wujku Doru – rzekł z pozoru łagodniejszym tonem. – Potrzebuję cię teraz bardziej niż kiedykolwiek. Wyślę z tobą do Ygutanu dwóch ludzi rogu. To raczej nie jest bezpieczny kraj i, bogowie, brońcie, mogłoby ci się przytrafić coś złego.

Błady uśmiezek, który zaczął się pojawiać na ustach Doru, zniknął, gdy padły te słowa. Stary doradca domyślił się prawdy. Lan rzeczywiście chciał się czegoś dowiedzieć o poczynaniach Góry w Ygutanie, ale przede wszystkim pragnął odesłać gdzieś Doru i chciał też, by cały czas obserwowali go ludzie Hila, co nie byłoby możliwe na Statkowej, gdzie prognostyka otaczali jego pracownicy. Nie przejmował się tym, co jego doradca mógłby zrobić w Ygutanie. Ludzie Hila będą regularnie przysyłać mu meldunki, które potwierdzą – bądź nie – wszystko, czego dowie się Doru. Wobec całego klanu prognostyk był bezsilny.

Okazując złość, Lan skutecznie zamaskował inne wrogie intencje, które mógł Postrzec jego rozmówca. Co więcej, Doru już zgodził się polecieć do Ygutanu i nie mógł teraz odmówić akceptacji dodatkowych środków ostrożności.

– Cokolwiek uznasz za konieczne, Lan-se – odparł.

\*\*\*

Gdy tylko Doru wsiadł do samolotu. Lan poprosił Woonę, by jak najszybciej umówił go na spotkanie z kanclerzem Son Tomarho i dwudziestoma pięcioma członkami Kekońskiej Rady Książęcej. Miało się ono odbyć na obiedzie w salonie grillowym Wielka Wyspa.

Znajdował się on w penthousie na dwudziestym siódmym piętrze hotelu Osiem Nieb w bogatej dzielnicy Północne Sotto. Na prośbę Lana latarnicy będący właścicielami lokalu zamknęli go dla innych gości. Filar przybył wcześniej, w towarzystwie Woonę, i przywitał kolejno wszystkich zjawiających się radców. Wieści o pojedynku pod Fabryką rozeszły się po całym Janlonie. Wszyscy, z którymi ostatnio spotykał się filar, zwracali uwagę na nowe jadeity, które dodał do swego pasa, bransolety na nadgarstkach oraz sznura naszyjników. Gdyby nie fakt, że to, jak go postrzegano, miał w obecnej chwili kolosalne znaczenie, Lan wolałby zrezygnować z noszenia nowo zdobytego jadeitu. Szkody wywołane przez wchłonięcie i odparcie ataku Gama, który użył Przenoszenia, nadal się utrzymywały i trudno mu było udźwignąć tak ciężkie brzemię. Chodził na sesje terapeutyczne do doktora Truw i czuł się już lepiej niż zaraz po pojedynku. Ale i tak nie za dobrze. Czasami serce biło mu szybciej, oblewały go poty połączone z zawrotami głowy albo nadchodzące bez ostrzeżenia lęki. Bezsenność się pogarszała. Często też czuł się podenerwowany i wytrącony z równowagi.

– Niech twoi wrogowie uciekają daleko, Kaul-jen – przywitali go radcy. To były tradycyjne słowa gratulacji dla zielonych kości, które niedawno odniosły zwycięstwo w pojedynku.

– Dzięki szczęściu, jakie daje łaska Jenshu – podziękował im Lan, po czym zaczął zadawać pytania: „Jak zdrowie twojej żony, panie Loyi?” albo „Pani Nurh, jak wasz dom przetrwał tajfun?”.

Tych dwudziestu jeden mężczyzn i cztery kobiety to byli najwyżsi rangą politycy lojalni wobec klanu Bez Szczytów. Wywodzili się z rodzin latarników albo zielonych kości i zawdzięczali klanowi sukces finansowy oraz polityczny. Wspólnie mieli znaczne wpływy w złożonej z trzystu członków Kekońskiej Radzie Książęcej.

Po dwugodzinnym obiedzie, na który nie szczędzono wydatków – sałatka coleslaw z mango, zupa ziejąca ogniem i ośmiornice z grilla – podczas którego nie rozmawiano o interesach, Lan nakazał gestem uprzątnąć stół. Zaczął od pochwalenia kanclerza Sona za dalekowzroczność, jaką okazał, zgłaszając propozycję reformy praw własności KSJ.

– Klan Bez Szczytów w pełni popiera dążenia rządu, pragnącego zapewnić, że zasady opieki nad kekońskimi zasobami jadeitu będą zrównoważone i transparentne. Będę wdzięczny, jeśli będę mógł liczyć na to, że przyjaciele klanu w Radzie Książęcej uczynią to, co dobre dla kraju.

Kanclerz Son rozpromienił się i skromnie pomachał tłustą dłonią. Pozostali radcy zastukali w blat na znak aplauzu. Był to tylko przejaw uprzejmości, ponieważ wszyscy obecni w sali z pewnością wiedzieli, że to Lan zlecił Sonowi podjęcie podobnych kroków.

Lan zaczął, aż aplauz ucichnie.

– Niestety... – podjął z powagą – ...muszę was poinformować, że te wysiłki podjęto za późno, by zapobiec nadużyciom, które zdążono już popełnić.

Wyjaśnił, że zaprosił ich tu po to, by dowiedzieli się o wszystkim bezpośrednio od niego. Dodał, że skorzysta ze swych uprawnień współdyrektora, by zawiesić działalność Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego i natychmiast powstrzymać wydobycie jadeitu na czas nieokreślony. Klan odkrył poważne niezgodności między rzeczywistym wydobyciem a rejestrami prowadzonymi przez Skarbiec. Biorąc pod uwagę znaczenie jadeitu dla gospodarki, bezpieczeństwa i tożsamości państwa, nie można było pozwolić na kontynuowanie wydobycia, dopóki nie przeprowadzi się niezależnego audytu. Stanowczo doradzał Radzie Książęcej, by zrobiła to tak szybko, jak to tylko możliwe. Prac w kopalniach nie wznowi się dopóki źródło problemów nie zostanie zidentyfikowane i nie wprowadzi się koniecznych reform umożliwiających należyty nadzór.

Son Tomarho pierwszy przerwał pełną zdumienia ciszę, która zapadła po słowach filaru. Kanclerz wsparł masywne łokcie na blacie i odchrząknął głośno. Lan zorientował się, że ma to wyrażać rozczarowanie faktem, że nie skonsultował się z nim przed podjęciem tak drastycznej decyzji.

– Z całym szacunkiem, Kaul-jen, dlaczego dopiero teraz pierwszy raz słyszymy o tych nieprawidłowościach? I dlaczego nie ma tu waszego prognostyka, który mógłby wyjaśnić ich przyczyny?

– Prognostyk wyjechał w ważnych sprawach klanowych. – Lan odpowiedział na drugie pytanie, ignorując pierwsze. Gdyby porozmawiał wcześniej z kanclerzem o swych zamiarach, Doru mógłby coś zwęszyć, chyba żeby poinformował jednocześnie Sona o swych nieudowodnionych podejrzeniach dotyczących zdrady w ścisłym przywództwie klanu, a tego absolutnie nie mógłby powiedzieć żadnemu latarnikowi, choćby nawet najwyższemu rangą. Jeśli Doru rzeczywiście kolaborował z Górą i ponosił odpowiedzialność za odkryte przez Shae nieprawidłowości – indywidualnie bądź jako współnik – to w chwili, gdy wróci z Ygutanu, będzie już za późno, by mógł powstrzymać oficjalne dochodzenie.

Nurh Huma, radczyni o pociągłej twarzy, zadała pytanie, które nasuwało się wszystkim:

– Czy mamy rację, zakładając, że uważasz, że stoi za tym klan Góra?

Lan skinął na kelnerów, nakazując im napełnić filiżanki gości herbatą. Sam nawet nie tknął gorącego płynu, ponieważ od ostatniej nocy miał lekką gorączkę i nie chciał, by publicznie zalał go pot.

– Tak – potwierdził. – Jestem o tym przekonany.

– Trudno mi uwierzyć, że Góra tak bezczelnie manipuluje zasobami jadeitu za plecami Rady i innych klanów – oznajmił z niedowierzaniem w głosie białowłosa radca Loyi Tuchada.

– Ja byłabym skłonna w to uwierzyć – sprzeciwiła się Nurh, mająca krewnych zarówno w biznesowej, jak i militarnej części klanu. – Ale przedstawiciele Ayt Mady z pewnością zaprzeczą wszelkim oskarżeniom. Co masz nadzieję osiągnąć przez ten audyt, Kaul-jen?

– Klany potrzebują poparcia ludzi w takim samym stopniu, w jakim ludzie potrzebują opieki klanów – odparł Lan. – Zawsze tak było. Nie leży w interesie kraju, by jeden klan stał się zbyt potężny i miał do swojej dyspozycji więcej jadeitu niż wszystkie pozostałe razem wzięte. Gdyby wyszło na jaw, że Góra działała na szkodę państwa, opinia publiczna oraz politycy zwrócą się przeciwko niej. Wyniki audytu podkreślą znaczenie i pilność celu Rady, którym jest ustanowienie ściślejszej kontroli nad działalnością KSJ.

Lan przerwał na chwilę, by ukradkiem zaczerpnąć tchu. Nie zjadł zbyt dużo, lecz mimo to czuł się zmęczony i lekko kręciło mu się w głowie. Trudno mu było skupić całą uwagę na tej ważnej rozmowie. Na szczęście nienoszących jadeitu radców stosunkowo łatwo było oszukać. Brali jego chwile słabości za przerwy robione dla emfazy.

– Kekon już od lat cieszy się stabilnością i wzrostem gospodarczym – kontynuował filar. – Mamy inwestycje zagraniczne, ludzie jeżdżą dobrymi samochodami, nasze miasta rozkwitają. Pokolenie mojego dziadka nie potrafiłoby nawet sobie wyobrazić tego wszystkiego. A u podstaw tego bogactwa i bezpieczeństwa leży jadeit. A to znaczy, że klany kontrolujące jego zasoby muszą ponosić odpowiedzialność za swoje działania.

Radcy pokiwali głowami. W tej sprawie wszyscy mogli się ze sobą zgodzić. Jeden z nich, Vang Hajuda, zaczął coś mówić, ale Lana nagle zawiodło Postrzeganie. Całkowicie wypełnił je szum tł. Indywidualna energia ludzi obecnych w sali, w połączeniu z energią setek innych przebywających na niższych piętrach budynku oraz tysiocy chodzących po ruchliwej ulicy oraz jeżdżących po niej samochodami, załapała umysł filaru, tworząc nagłą kakofonię, przypominającą zakłócenia w telewizorze.

Głowę wypełnił mu pulsujący ból. Przez krótką chwilę odnosił wrażenie, że unosi się wysoko w powietrzu, na szczycie kolumny bezsensownego bełkotu energii. Zaciśnął ukrytą pod stołem dłoń na poręczy fotela, by ucześcić się jej uspokajającej materialności. Odwrócił się, uniósł dłoń, by zasłonić usta, i pochylił się ku siedzącemu na lewo od niego Woonowi.

– Udawaj, że coś do mnie mówisz – poprosił szeptem.

Zaniepokojony filarowy zbliżył usta do jego ucha.

– Jest aż tak źle, Lan-jen? Czy musimy znaleźć jakiś pretekst, żeby wyjść?

– Nie – zapewnił Lan. Na czoło wystąpił mu pot, ale najgorsze już minęło. Gorączkowy chaos, który wypełnił jego jadeitowe zmysły, ustępował, a Postrzeganie znowu się skupiło. – Tylko powtórz mi, co przed chwilą powiedział.

– Chce zapewnić, że nie dojdzie do dalszego rozlewu krwi.

Lan wyprostował się i ponownie spojrzał na gości, w tej samej chwili, w której Vang skończył mówić.

– Przepraszam – rzekł. – Coś na moment odwróciło moją uwagę.

Wśród gości dało się wyczuć nieznaczną konsternację. Wszyscy obserwowali go z uwagą.

– Jeśli przedstawimy Radzie Książęcej sprawy, z którymi nas zapoznałeś, Kaul-jen – powtórzył z lekką irytacją Vang – to czy możemy liczyć na to, że podejmiesz próbę przywrócenia pokoju między klanami? Nikt nie chce przemocy na ulicach. To przeraża ludzi i odstrasza zagranicznych biznesmenów.

– Wszyscy pragniemy pokoju – zgodził się Lan. Pozwolił, by jego słowa wybrzmiały, i zwilżył usta odrobiną herbaty. – Chyba że nasze rodziny zostaną zaatakowane. Wtedy robimy to, co konieczne.

Niektórzy radcy zgodzili się z nim szeptem. Byli dziwnym rodzajem ludzi. Jako polityczni przedstawiciele swych dzielnic naciskali na niego, by zachował pokój, ale jako klanowi lojaliści i prawdziwi Kekończycy nie szanowaliby filaru, który nie potrafiłby posługiwać się przemocą bądź wahałby się przed jej użyciem. Zabijając Gama i nosząc jego jadeit, Lan obudził w nich wiarę w swe zdolności przywódcze oraz gwarancje klanu Bez Szczytów. Po powrocie do Gmachu Mądrości zaczną pracować nad celem, który przed nimi postawił.

– Doskonale rozumiemy twoje motywy, Kaul-jen – nie ustępował Vang, reprezentujący część Janloonu, w której znajdowało się sporne terytorium Sogen. – Zawsze sprawiałeś wrażenie rozsądnego człowieka, ale co z twoim rogiem? Czy on również pragnie pokoju? Czy możemy liczyć na to, że okaże rozsądek?

Lan obrzucił go pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

– Róg odpowiada przede mną.

Skarcony Vang umilkł. Filar przesunął powoli spojrzeniem po wszystkich twarzach. Nikt nie miał już żadnych pytań. Lan wstał.

– Zostańcie tak długo, jak tylko zechcecie, przyjaciele. Cieszcie się herbatą i widokami. – Wskazał głową na wielkie okna, za którymi rozpościerała się panorama miasta, po czym znowu skierował spojrzenie na obecnych. – Kanclerzu i radcy. Jestem wam głęboko wdzięczny za przyjaźń, jaką okazujecie klanowi, i pracę dla dobra kraju.

Gdy tylko znalazł się w windzie, otarł pot z czoła i oparł się o ścianę. Czuł się zmęczony. Udało mu się przetrwać kryzys, ale tylko z największym wysiłkiem. Doktor Truw powiedział mu, że jego *kie* – podstawowa energia każdej osoby będąca źródłem aury, którą można było wzmacniać

i manipulować nią dzięki kontaktowi z jadeitem – została uszkodzona niczym przeciążone mięśnie. Mogą minąć tygodnie, a nawet miesiące, zanim wszystko wróci do normy.

Lan nie mógł sobie pozwolić na luksus tak długiego czekania. Nie był też w stanie nadal funkcjonować tak jak obecnie, z osłabioną tolerancją na jadeit i umiejętnością korzystania z jego mocy. Stawka była zbyt wysoka.

– Woon... – zaczął, kładąc dłoń na ramieniu filarowego. – Zawsze byłem ci wdzięczny za to, że mogę ci zaufać. Teraz pragnę cię poprosić o coś, co będziesz musiał zachować dla siebie. Nie możesz nic nikomu powiedzieć, nawet rodzinie.

Woon popatrzył na niego z wyraźną troską.

– Lan-jen, zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz.

Lan skinął głową.

– Chcę, żebyś do kogoś zadzwonił.



## Rozdział 27

### Ujawnione błędy

Shae siedziała z tyłu autobusu jadącego powoli do Marenii. Wyglądała przez okno, unikając rozmów z turystami, którzy gadali jak opętani i robili zdjęcia malowniczego, nadmorskiego krajobrazu. Po przybyciu do miasteczka ruszyła na spotkanie z matką. Gdy ją znalazła, kobieta spacerowała po plaży za rodzinną chatą. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej ani szczególnie podekscytowanej widokiem córki. Być może Lan zawiadomił ją, że powinna się spodziewać wizyty Shae. Kaul Wan Ria uściskała ją ciepło, ale krótko, jakby ostatnio widziały się przed miesiącem, a nie przed z górą dwoma laty.

– Możemy przejść się kawałek po plaży, a potem napić się herbaty – zasugerowała. – Godzinę drogi stąd jest bardzo sympatyczna herbaciarnia. Jej właściciele to mili ludzie.

Wyjaśniła córce, że często wybiera się na długie spacery, uprawia ogródek, ogląda telewizję i uczęszcza na lekcje akwarelowego malarstwa pejzażowego w miejscowym centrum rekreacyjnym. Shae też powinna kiedyś tego spróbować. To bardzo uspokaja.

Nadmorskie miasteczko Marenia miało dziesięć tysięcy mieszkańców i w niczym nie przypominało Janloonu z jego nieustanną aktywnością. Shae doszła do wniosku, że tego właśnie potrzebuje, by się uspokoić, uciec od dezorientacji, o jaką przyprawiło ją spotkanie z braćmi. Wiedziała, że są obecnie zaangażowani w wojnę klanów, w której ona nie uczestniczyła.

Wieczorami brała guan dao i ćwiczyła sama na długiej plaży za chatą. Pod bosymi stopami czuła mokry, przypominający konsystencją gąbkę piasek, a szum oceanu zastępował odgłosy ruchu ulicznego, które słyszała ze swego balkonu w Janloonie. Rankami na straganach sprzedawano świeżo złowione ryby, surferzy cieszyli się ciepłymi falami, a ludzie na ulicach mówili sobie „cześć”. Nikt z nich nie był zieloną kością.

W Espenii czuła się podobnie. Fakt, że znalazła się w miejscu, które świetnie sobie radziło bez jadeitu i bez klanów, był dla niej niepokojącym objawieniem. Można było się obyć bez dwóch rzeczy, którym oddawali cześć wszyscy mężczyźni w jej rodzinie. Ją również od dziecka uczono stawiać je ponad wszystko inne. Gdzie indziej jednak klanowy patronat i rozstrzyganie sporów za pomocą pojedynków uważano za przejaw zacofania, zielone kości zaś za coś egzotycznego i magicznego, lecz w sumie archaicznego i brutalnego. W gruncie rzeczy to Jerald otworzył jej oczy na szerszy świat. Czasami nie była pewna, czy powinna być mu za to wdzięczna, czy raczej mieć do niego pretensję. Dwa lata spędzone za granicą nauczyły ją spoglądać na ojczyznę z perspektywy raczej obcej innym zielonym kościom. Jej znajomi z college'u w Espenii z pewnością nie potrafiliby zrozumieć Kekonu. Jego pozorne sprzeczności – połączenie nowoczesności z powszechnie akceptowaną brutalnością – przyprawiłyby ich o oszołomienie.

Marenia wydała się Shae czarująca, ale bliskość matki wywoływała u niej depresję. Kaul Wan Ria była jak dzieło sztuki albo mebel, który całkowicie wtapiał się w resztę domu i pozostawał niezauważony. Zanim wydano ją za męża, otrzymała wykształcenie na poziomie szkoły średniej i zapoznała się ze sztukami walki w stopniu wystarczającym, by tolerować kontakt z jadeitem, ale nie nosić go czy naprawdę robić z niego użytek. Po śmierci męża podporządkowała się woli teścia, a następnie najstarszego syna. Nawet jeśli nie była zadowolona ze swego losu, nigdy tego nie okazywała. Jeśli uważała, że jej życie jest nudne i czuła się samotna, to również starannie ukrywała. Shae przyglądała się, jak matka miesza zupę w garnku stojącym na piecu. Przytyła, a jej włosy posiwiały.

– Chłopaki zawsze są bardzo zajęte – mówiła Ria, oglądając się na nią przez ramię. – Lan czasami mnie odwiedza, ale Hilo zjawił się tylko raz, żeby przedstawić mi swoją dziewczynę. Bardzo miłą i uprzejmą, ale kamiennooką. – Matka Shae pociągnęła się za płatek prawego ucha. – Cóż, decyzja należy do niego. Jeśli jest szczęśliwy i jego brat się zgadza... Czy wiesz, że walczyli? Obaj! Oczywiście Hilo zawsze był wojowniczy, ale Lan opowiadał, że też musiał się pojedynkować, żeby rodzina nie utraciła szacunku. – Cmoknęła, jakby filar i róg klanu Bez Szczytów byli małymi chłopcami, którzy wdali się w szkolną bójkę. Z pewnością Lan przedstawił jej ugrzecz-

nioną wersję wydarzeń, niemniej Shae zadawała sobie pytanie, czy jej matka woli nic nie wiedzieć o tym, co się dzieje w klanie, czy – ponieważ wychowywała się podczas wojny – dawno już pogodziła się z myślą, że przemoc jest nieodłączną częścią życia wszystkich mężczyzn.

– Zrobiłam bardzo ostrą, jak lubiłaś – oznajmiła jej matka, nalewając supę chochlą. – Słyszałam, że jedzenie w Espenii nie jest za dobre. Co tam jadłaś?

Słuchała, jak córka opowiadała jej o Espenii. Mówiły o powierzchownych sprawach, takich jak jedzenie, pogoda czy ubrania. Kaul Wan Ria nie pytała o Jeralda, o to, dlaczego jej córka wróciła albo czym się teraz zajmuje. Nie okazała też zainteresowania tym, dlaczego Shae nie nosi jadeitu.

– Ach, kiedyś tak ciężko się trudziłaś, żeby go dostać – rzekła tylko z westchnieniem. – Tak samo ciężko, jak chłopaki. Cieszę się, że teraz traktujesz to z większym luzem. Zbyt ciężka praca nie jest dobra dla zdrowia. Pod warunkiem, że twój brat nie uważa, że to szkodzi rodzinie.

Jej matka z zasady unikała zadawania wścibskich pytań i wyrażania stanowczych opinii. W dzieciństwie Shae szukała u niej pocieszenia, ale nigdy rady. W gruncie rzeczy uważała, że ma z nią bardzo niewiele wspólnego, pomijając oczy i dłonie o nieco męskim wyglądem.

– Podoba ci się tutaj, mamó? – zapytała. – Czujesz się szczęśliwa?

– Och tak – zapewniła jej matka. – Ty i chłopaki jesteście już dorośli. Nie ma potrzeby, bym angażowała się w problemy zielonych kości. Mężczyźni oczywiście nie mogą przed nimi uciec, to leży w ich naturze, ale ty zdjęłaś jadeit i wyjechałaś daleko stąd, więc to rozumiesz.

Shae nie była pewna, czy rzeczywiście tak jest. Nie wiedziała, czy uciekła z Jeraldem do kuszącego nowoczesnego świata poza Janloonem tylko po to, by uwolnić się od niezadowolenia dziadka i wspomnienia upokorzenia, jakie przeżyła, gdy po raz pierwszy opowiedział się po stronie Hila przeciwko niej.

Nie skończyło się tylko na gniewie wywołanym sprawą Jeralda. Kaul Sen wpadł w furję, kiedy się dowiedział o jej kontaktach z Espeńczykami.

– Kurwy przynajmniej sprzedają tylko to, co należy do nich! – wrzeszczał.

Nigdy przedtem tak do niej nie mówił. Nawet gdy był stanowczy, okazywał jej dobroć i akceptację. Była wtedy młoda, ukończyła Akademię zaledwie przed kilku laty, była aroganka, pełna niezadowolenia i nie uważała, by jej poczynania komukolwiek szkodziły. Gdy Jerald uświadomił sobie, jak wysoką pozycję ma jej rodzina, przedstawił ją kilku innym espeńskim wojskowym, którzy z wielkim zainteresowaniem zadawali jej pytania.

Z początku były proste. Znała odpowiedzi na nie albo mogła z łatwością je poznać dzięki klanowym kontaktom. Espeńczycy pragnęli zwiększyć swe polityczne i gospodarcze wpływy, ale wiedzieli bardzo niewiele o tym, jak wygląda sytuacja na Kekonie. Oto czego między innymi chcieli się dowiedzieć: Którzy przywódcy klanów wchodzi w skład rady KSJ? Kiedy się spotykają? Kto ma decydujący głos w sprawach dotyczących eksportu jadeitu? Kto w Radzie Książęcej odpowiada za wydatki na cele militarne? Jak mogliby załatwić spotkanie z tą osobą i jaki podarunek powinno się jej przekazać?

Najbardziej jednak interesowali się swoimi wrogami. Ygutan był mniej zaawansowany od Espenii, ale miał wielki obszar i mnóstwo ludności, a jego siła militarna rosła. Był jedynym rywalem, którego Espeńczycy najwyraźniej się obawiali. Mieli się na baczności przed Ygutańczykami nawet tutaj, na małej, odległej wyspie. Chcieli się dowiedzieć, w co inwestują na Kekonie tamtejsze koncerny. Ile sprzedawanego na czarnym rynku jadeitu w ocenie klanów szmugluje się do tego kraju? Czy Shae mogłaby się dowiedzieć, czy pewien ygutański biznesmen przebywa na Kekonie? Gdzie się zatrzymał i z kim się spotykał?

Espeńczycy natychmiast okazali jej wdzięczność. Nie potrzebowała pieniędzy, które jej dawali, ale ich zwyczaje nakazywały zawsze płacić za przysługi, żeby nie mieć długu. Bardziej zadowolona była ze studenckiej wizy, którą obiecali jej przyznać, żeby mogła studiować za granicą. Niewielu ludzi na Kekonie miało espeńskie wykształcenie. To będzie coś jeszcze bardziej imponującego niż ukończenie Akademii, postawi ją wyżej od braci. A tymczasem pomagała ignoranckim cudzoziemcom robić interesy na Kekonie i po cichu czuła się z tego dumna. To było coś poza klanem, co należało tylko do niej. Informacje i związki, które zawdzięczała samej sobie, nie dziadkowi, braciom albo Doru.

– Jak możesz nazywać się jedną z Kaulów, ty samolubna idiotko? – oskarżył ją dziadek. –

Wszystko, co powiesz cudzoziemcom, może być wykorzystane przeciwko klanowi.

Płomień Kekonu zrobił użytek ze swych wielkich wpływów, zadzwonił z oskarżeniami do espeńskiego ambasadora, który przeprosił Kaul Sena i zapewnił, że nikt z wojskowych ani wywiadowczych służb Republiki Espanii nie będzie się już kontaktował z jego wnuczką. Jeralda przeniesiono do Espanii, a Shae, gorąco oburzona ingerencją dziadka w jej sprawy, wyruszyła tam za nim. To było głupie, lecz, niestety, nawet głupi mają prawo do dumy.

\*\*\*

Shae wróciła do Janloonu bardziej spokojna i wypoczęta, lecz jednocześnie zdeterminowana włożyć więcej wysiłku w poszukiwanie pracy, by jak najszybciej znaleźć dla siebie coś sensownego. Podczas jazdy autobusem przyszło jej na myśl, że nic nie motywuje jej silniej niż strach, że stanie się podobna do matki. Gdyby miała jakieś zajęcie, nie spędzałaby czasu na rozmyślaniach nad tym, co Lan i Woon zrobią z kompromitującymi informacjami, które dla nich znalazła, i czy Góra ponowi próbę wyeliminowania Hila.

Gdy znalazła się pod drzwiami, uświadomiła sobie z jękiem, że zostawiła klucze na blacie w kuchni w chacie matki. Nie mogła się dostać do środka.

Postawiła torbę w korytarzu pod drzwiami i ruszyła do mieszkania sąsiada, Caun Yu, licząc na to, że zadzwoni od niego do właściciela. Zapukała do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Pod drzwiami leżała sterta reklamowych ulotek, sugerująca, że Caun był nieobecny od kilku dni. Wyszła z budynku i wspięła się na górę po schodach ewakuacyjnych, chcąc włamać się do własnego mieszkania, ale gdy mijała okno sąsiada, zatrzymała się i wytrzeszczyła oczy.

Mieszkanie Cauna było prawie puste. Nie ulegało wątpliwości, że nikt nie mieszka w nim na stałe. Na podłodze stał mały telewizor, na nim zaś ustawiono telefon. Zauważyła też śpiwór i parę poduszek, ale nic poza tym. Nie było mebli ani ubrań i nic nie wisiało na ścianach. Nie było tu niczego osobistego.

Zadrżała od podejrzeń i gniewu. Pchnęła okno i weszła do mieszkania sąsiada. Jego rozkład był prawie identyczny jak u niej. Poszła do kuchni i przekonała się, że szafki są prawie puste. Znalazła tam tylko torebkę fistaszków i opakowanie krakersów. W lodówce nie było nic poza kilkoma butelkami napojów gazowanych. Caun rzekomo mieszkał tu równie długo jak ona – prawie od czterech miesięcy – ale nigdy nie wprowadził się tu naprawdę.

Wróciła do pustego salonu i usiadła na jednej z poduszek. Podejrzewała, że Caun zjawi się dość szybko. Rzeczywiście po mniej więcej godzinie drzwi się otworzyły i młody mężczyzna wszedł do środka, niosąc pod pachą stertę ulotek. Zatrzymał się zdumiony, ujrawszy Shae we własnym mieszkaniu.

Nim zdążył odzyskać równowagę, wstała, okrążyła go i zamknęła drzwi za jego plecami. Odwróciła się, wyciągnęła karambit i ruszyła ku Caunowi. Cofnął się, oblizując nerwowo wargi. Nie spuszczał spojrzenia z noża. Gdy dotknął plecami ściany, ściągnęła mu z głowy czarną czapkę, którą zawsze nosił. Krótkie włosy miał rozczochrane i przygniecione nakryciem głowy, a w szczytach obu małżowin widniały wpięte jadeitowe kolczyki. To było niewiele jadeitu, za mało, by mogła wyczuć aurę, chyba żeby go dotknęła.

Cofnęła się o krok i wskazała na telefon.

– Zadzwon do niego – zażądała. – I powiedz, żeby natychmiast tu przyjechał.

Caun uniósł słuchawkę i wykręcił numer, zerkając nerwowo na boki. Shae wątpiła, by bał się jej i jej noża. Raczej chodziło mu o to, jak zareaguje szef.

– Hilo-jen – odezwał się Caun po kilku minutach oczekiwania, aż go połączą. – Twoja siostra... hm, kazała mi do ciebie zadzwonić. Grozi mi karambitem i chce, żebyś natychmiast tu przyjechał.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Shae usłyszała dobiegający ze słuchawki śmiech brata. Wymieniono kolejne słowa i Caun odłożył słuchawkę.

– Powiedział, że musi jeszcze zakończyć pewną sprawę, ale wkrótce się zjawi.

– Mówiłeś, że jesteś ochroniarzem, tak? – zapytała Shae. – Dodałeś, że to nudna robota i masz nadzieję wkrótce znaleźć coś ciekawszego.

Caun poczerwieniał nagle.

– Nie chodziło mi o to, że ty jesteś nudna – tłumaczył się. – No wiesz, pilnowanie ciebie po

prostu nie jest zbyt ekscytujące.

– Pewnie masz rację. – Dziwna uraza połączona z wesołością objawiła się na jej twarzy jako zimny uśmiezek. – A ja zaczynałam już myśleć, że te niespodziewane spotkania znaczą, że próbujesz mnie poderwać.

– Miałbym dotknąć ukochanej siostry rogu? – Caun roześmiał się nerwowo. – Może schowaj ten nóż. Ostatnio często mi nim groziłaś. To niezbyt uprzejme, jeśli się nad tym zastanowić, zwłaszcza że miałem dbać o twoje bezpieczeństwo.

Caun był w zaskakująco dobrym nastroju. Uśmiechał się szeroko, a uwolnione spod czapki włosy opadały mu na oczy w irytująco atrakcyjny sposób. Shae podejrzewała, że reakcja Hila uświadomiła młodemu mężczyźnie, że nie wpadł w tak poważne kłopoty, jak się obawiał, a wkrótce uwolni się od niechcianego zadania.

Shae schowała nóż.

– To znaczy, że obozowałeś tu, żeby mnie śledzić.

– Kazano mi obserwować cię, kiedy wychodzisz na miasto. – Trącił stopą leżący na podłodze śpiwór. – Wieczorami wymykałem się przez okno i wracałem rano, zanim wyszłaś, ale teraz róg powiedział, że powinienem tu siedzieć przez cały czas, kiedy byłaś w domu. – Wycofał się do kuchni i wrócił z opakowaniem krakersów oraz dwiema butelkami napoju o smaku mango. – Chcesz trochę? Obawiam się, że to wszystko, co mam. Albo możemy pójść do twojego mieszkania.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. Caun wzruszył ramionami i otworzył butelkę.

Hilo zjawił się po jakichś dwudziestu minutach. Zapukał do drzwi i zawołał radośnie:

– Shae, mam nadzieję, że nie zrobiłaś krzywdy biednemu Caun Yu? Ostrzegałem go, że to zadanie wiąże się z ryzykiem.

Shae otworzyła drzwi. Jej brat wszedł z uśmiechem do środka i spróbował ją uściskać. Odepchnęła go gwałtownie.

– Śledziłeś mnie przez cały ten czas – wysyczała.

Zamiast jej odpowiedzieć, róg poprawił koszulę, którą mu zmięła, po czym spojrzał na Cauna, kręcąc głową.

– Bogowie w niebiosach, to było najłatwiejsze zadanie, jakie można zlecić palcowi, Caun – oznajmił ostrym tonem. – Jak ci się udało to spierdolić?

Z twarzy młodzieńca natychmiast zniknął uśmiech.

– Nie... nie mam pojęcia, Hilo-jen – wyjąkał. – Odzwierny zawiadomił mnie przez telefon, że wróciła z Marenii. Natychmiast tu przyjechałem, ale zdążyła już wejść do mojego mieszkania i czekała na mnie. Przepraszam, że cię zawiodłem.

Caun uklonił się przepaszajaco, oddając honory rogowi.

Hilo westchnął i rozejrzał się po pustym mieszkaniu.

– Moją siostrę trudno jest oszukiwać zbyt długo, ale mogłeś spisać się lepiej. Zgłoś się do Maik Kehna. Na pewno przydasz się mu w Dzielnicy Portowej. Może nawet uda ci się tam zdobyć trochę zieleni, jeśli silniej się skupisz na tym, żeby nie spierdolić jakiejś następnej sprawy.

Otworzył drzwi i Caun pośpiesznie opuścił mieszkanie ze spuszczonego wzrokiem. Z oblicza Hila nie zniknął srogi wyraz, ale róg klepnął go w plecy i Caun uniósł spojrzenie z wyrazem nerwowej wdzięczności na twarzy. W jednej pechowej chwili opinia Shae o nim zmieniła się diametralnie. Miły, atrakcyjny sąsiad okazał się tylko jednym z licznych podwładnych jej brata. Z niezadowolaniem uświadomiła sobie, że zabolą ją, iż Caun nawet nie spojrzał na nią na pożegnanie.

– Nie mieszaj się do mojego życia – warknęła, zwracając się w stronę Hila.

– Pochlebiasz sobie, Shae. W tej chwili potrzebuję wszystkich swoich palców. Myślisz, że chciałem marnować jednego z nich na pilnowanie ciebie? Mówiłem Lanowi, że sama zdecydowałaś, że pragniesz zamieszkać tu bez jadeitu i potrafisz o siebie zadbać, ale uparł się, że po tym, co spotkało Andena, musimy przydzielić ci ochronę. Nie miej pretensji do mnie.

– Lan kazał ci mnie śledzić? – zapytała nieprzyjemnie zaskoczona Shae. Na myśl, że to Hilo wydał taki rozkaz, omal nie zaniemówiła z gniewu, wiedziała jednak, że Lan zawsze był rozsądny i miał dobre intencje. Część gniewu odpłynęła z niej, przechodząc w niepewność.

– Co się stało Andenowi?

– W Dzień Łodzi Gont Asch porwał go z Parku Letniego i zawiózł do Ayt, która udawała,

że próbuje przeciągnąć go na swoją stronę, i złożyła nam fałszywą propozycję sojuszu, mającą na celu wspólną produkcję i sprzedaż błysku w Ygutanie. Później wypuścili Andy'ego, ale wysłali nam jasny sygnał. Potrząsnęli nami i znieważyli Lana. Stanowczo odrzucił ich propozycję, więc spróbowali wyeliminować mnie. Tak mają się sprawy w tej chwili.

Shae pokręciła głową. Nie chciała przyznać, że była niesprawiedliwa dla któregoś z braci, zwłaszcza dla Hila.

– Nic nie wiedziałam o Andenie. Nikt mi o tym nie powiedział.

Hilo parsknął z pogardliwym niedowierzaniem.

– A czego się spodziewałaś, Shae? Wróciłaś do Janloonu, ale mieszkasz tutaj, nie nosząc jadeitu, jakbyś nie chciała mieć z nami nic do czynienia. Zmusiłaś mnie, bym sam znalazł cię w hotelu, a potem potraktowałaś mnie jak nieznanego. Nie odwiedziłaś Andy'ego ani żadnego z kolegów z Akademii. Nie chciało ci się nawet odwiedzić Tara, kiedy leżał w szpitalu. Nigdy nie zaprosiłaś mnie do swojego mieszkania, nawet teraz, gdy jesteśmy w sąsiednim. Jak to właściwie rozumieć, hę? – W jego głosie pobrzmiwały autentyczne zdziwienie i ból. – Czym właściwie się teraz zajmujesz?

Poczuła, że znowu narasta w niej złość.

– Poświęciłam wiele tygodni pracy dla Lana, pamiętasz? Poza tym wysyłałam podania o pracę. Czekają mnie rozmowy kwalifikacyjne.

– Rozmowy kwalifikacyjne – powtórzył Hilo ociekającym pogardą głosem. – Masz zamiar zostać urzędniczką w banku? Po co? Nie rozumiem cię, Shae.

Poczuła, że jej twarz płonie.

– Nie potrzebuję twoich rad, Hilo. Ani twojej opieki.

– Do tej pory jej nie potrzebowałaś, ale teraz toczymy wojnę z Górą, a ty nadal zachowujesz się tak, jakby to cię nie dotyczyło. Ignorujesz fakt, że należysz do rodziny Kaulów. – Podszedł bliżej. Na jego twarzy malowało się napięcie połączone z pełną złości desperacją. – Mam wiadomość dla mojej małej, twardej siostrzyczki, która uważa, że jest za dobra dla naszej rodziny. Lan ci tego nie powie, ale ja to zrobię. – Nie możesz być zwyczajną osobą, Shae. Nie w tym mieście. Nie w tym kraju. Nie podoba ci się, że ukrywamy przed tobą różne sprawy, strzeżemy cię potajemnie i traktujemy jak bezradną kobietę? No cóż, sama postawiłaś się w tej sytuacji.

Shae przypomniała sobie, że pewnego dnia, prawie dziesięć lat temu, pokłóciła się z Hilem, co zdarzało im się często, i nagle oboje zrozumieli, że noszą jadeit i mogą zadać sobie nawzajem śmiertelne obrażenia. Pozostali tamtego dnia sobą i być może tylko to wspomnienie oraz świadomość, że Hilo nosi mnóstwo jadeitu, podczas gdy ona nie ma go w ogóle, powstrzymały ją przed rzuceniem się na brata.

– Powiedz Lanowi, co zechcesz, ale nie życzę sobie, żeby twoi ludzie śledzili mnie albo kręcili się przy moim mieszkaniu – odpowiedziała zimnym tonem, ukrywającym wszelkie emocje. – Nigdy więcej. Narażaj własne życie, jeśli tego pragniesz, Hilo, ale nie mieszaj się do mojego.

Zauważyła urazę na twarzy brata, gdy wypychała go za drzwi. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że nadal nie ma klucza do mieszkania, ale była zbyt dumna, by próbować dostać się do środka siłą. Opuściła budynek i siedziała przygnębiona w pobliskiej herbaciarni, aż zrobiło się ciemno.

Kiedy wróciła, Hila już nie było, ale właściciel czekał na nią z jej torbą i zapasowymi kluczami.

– Kaul-jen kazał mi dopilnować, żebyś bezpiecznie wróciła do domu – oznajmił, oddając jej honory z zatroskaną miną. – Muszę cię najserdeczniej przeprosić za to, że nie zdałem sobie sprawy, kim jesteś. Od tej chwili, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała, proszę, skontaktuj się ze mną bezpośrednio. – Otworzył drzwi mieszkania Shae i obejrzał się przez ramię. – Jesteś pewna, że jest ci tu wygodnie? Mam nowy dom, tylko dziesięć minut drogi stąd. Zarządza nim mój zięć. Mieszkania są tam znacznie większe, a oczywiście dla ciebie czynsz pozostałby taki sam. Nie? No cóż, jeśli zmienisz zdanie, nie wahaj się mnie zawiadomić. Ja i moja rodzina zawsze byliśmy przyjaciółmi klanu.

## Rozdział 28

### Dostawy i tajemnice

Anden miał złe przeczucia, gdy filar zadzwonił do niego z prostą prośbą. Zadanie nie było skomplikowane. Chciał, żeby chłopak dowiedział się, kiedy będzie miał najbliższe wolne popołudnie i wpadł do niego z wizytą. Czy mógłby przy okazji zajrzeć pod pewien adres i odebrać paczkę dla kuzyna?

Zgodził się oczywiście, ale Lan prosił go o tę przysługę już drugi raz i to wydawało się dziwne. Filar miał mnóstwo podwładnych, których mógł wysyłać po paczki. Gdyby poprosił go o to tylko raz, to mógłby być przypadek. Za drugim razem Anden zaczął jednak podejrzewać, że Lan celowo wybrał go na wykonawcę tego zadania.

Wskazany adres znajdował się w pozbawionej windy kamienicy położonej nieopodal Akademii, na granicy dzielnicy Reje. Anden zadzwonił do drzwi i otworzył mu mężczyzna w workowatych spodniach moro oraz poźółkłym, obcisłym podkoszulku.

– To znowu ty? – zapytał.

Miał zielone oczy i mógł być Espeńczykiem, choć mówił po kekońsku bez akcentu. Chłopak nie potrafił zlokalizować przypominających graffiti tatuaży na jego ramionach ani brzękłej muzyki dobiegającej ze środka. W Janloonie coraz częściej widywało się cudzoziemców, ale Anden nadal czuł się skrępowany, gdy ich spotykał. Wiedział, że tak właśnie wygląda dla tych, którzy go otaczają. Dlatego pozdrowił nieznanego tylko uprzejmym skinieniem głowy.

– Zaczekaj tu.

Mężczyzna zamknął drzwi, zmuszając go do czekania na pomoście. Wrócił po kilku minutach, ściskając w dłoni nieoznaczoną, grubo czymś wypchaną białą kopertę. Anden przyjął ją i schował w szkolnej torbie. Lan powiedział mu, żeby trzymał ją w ukryciu, nie otwierał jej i nikomu o niej nie wspominał.

Chłopak dojechał na rowerze do stacji transportu publicznego i wsiadł do autobusu, który zawiezie go do domu Kaulów. To był kolejny problem. Istnieli dostawcy szybsi niż niemający samochodu uczeń. Anden doszedł do wniosku, że filar zlecił mu poufne zadanie, ponieważ nie chciał, by ktokolwiek z klanu wiedział o tej sprawie. Powinien to uznać za zaszczyt, ale poczuł się zaniepokojony. Lan nigdy dotąd nie prosił go o nic poza tym, by przykładał się do nauki w Akademii. Nie sądził, by filar zlecał mu tajną misję, dla klanu, chyba że nie miał nikogo innego, komu mógłby zaufać.

W autobusie wsadził rękę do torby i zaczął obmacywać kopertę, próbując zgadnąć, co jest w środku. Zabezpieczono ją folią bąbelkową, ale gdy nacisnął mocniej, poczuł małe, twarde przedmioty.

Wysiadł z autobusu. Zostało mu dziesięć minut drogi na piechotę do posiadłości Kaulów. Gdy przechodził przez bramę, strażnik pomachał do niego.

– Hej! – zawołał, gdy znalazł się w holu.

– Anden-se, czy to ty? – dobiegł go z kuchni głos Kyanli, przekrzykującej stukot naczyń. – Lan-jen jest w sali treningowej.

Anden minął gabinet filaru, przeciął zadbane dziedzińce i zapukał do drzwi sali treningowej. Lan uchylił ostrożnie drzwi. Miał na sobie luźną czarną bluzę i spodnie. Był bosy. Chłopak dziwnie się poczuł, widząc go w tak niedbałym stroju. Wyglądał w nim młodziej, jak w czasach, gdy jeszcze nie był filarem.

– Wejdz. – Anden zdjął buty i wszedł do długiej sali o pokrytej parkietem podłodze, a Lan zamknął za nim drzwi. – Przyniosłeś to, o co cię prosiłem?

Chłopak zdjął torbę z ramienia i wyjął z niej kopertę. Kiedy ją przekazywał, jego palce znalazły się blisko ciała filaru. Wzdrygnął się nagle. Nadal nie mógł się przyzwyczaić do zmiany, która zaszła w aurze jego kuzyna. Wiedział, że ma wrażliwość wyższą od przeciętnej. Większość ludzi nie wyczuwała jadeitowych aur, chyba że byli wyszkolonymi zielonymi kośćmi i sami nosili jadeit. Andenowi aura Lana zmieniona przez zieleń zdobytą w pojedynku wydawała się absurdalnie ostra

i przenikliwa, jakby jej mentalna tonacja stała się nagle wyższa o kilka oktaw. To do niego nie pasowało.

– Dziękuję ci za to, że nadłożyłeś drogi – rzekł Lan.

– To żaden kłopot. – Chłopak miał ochotę zapytać, co jest w środku, ale Lan pośpiesznie schował kopertę do szuflady i zamknął ją, co sugerowało, że nie odpowiedziałby na to pytanie.

Filar zdjął wiszący na haku ręcznik i otarł pot z twarzy.

– Jak ci idzie w szkole?

– Dobrze. Zostało jeszcze tylko kilka miesięcy.

– Czujesz się gotowy na Testy?

– Myślę, że tak.

Lan odwrócił się i wrzucił ręcznik do kosza stojącego przy drzwiach.

– Co jest twoją najsilniejszą dyscypliną?

– Prawdopodobnie Przenoszenie.

Filar skinął głową.

– A najsłabszą?

– Hm. Chyba Odbijanie.

– A jak z przedmiotami akademickimi? Matematyką, językami i tak dalej?

– Poradzę sobie ze wszystkimi. – Wyniki Andena we wszelkich książkowych aspektach wykształcenia zielonych kości tylko nieznacznie przewyższały przeciętną. – Nie przejmuj się, Lan, nie obniżą zbytnio mojej pozycji.

– Nie martwię się o twoją pozycję, Anden – odparł filar z nagłą powagą w głosie. – Pytam cię o szkołę, bo jestem pewien, że na kampusie ostatnio dużo się mówi o klanach. Na pewno usłyszysz mnóstwo plotek oraz różnych opinii, o ile jeszcze ich nie usłyszałeś. Nie chciałbym, żeby to cię denerwowało albo odwracało twoją uwagę. Skup się na nauce.

– Tak właśnie zrobię – zapewnił Anden.

Lan poklepał go z aprobatą po ramieniu i wskazał wewnątrz sali.

– Skoro już tu jesteśmy, to może poćwiczylibyśmy Odbijanie?

Anden poszukał w myślach jakiegoś przekonującego pretekstu, który pozwoliłby mu odmówić. Nie uśmiechała mu się myśl, że filar klanu Bez Szczytów będzie poddawał ocenie jego umiejętności, ale Lan podszedł już do drugiego końca sali i zdjął z półki pudełko ze strzałkami.

– Masz przy sobie opaskę ćwiczebną? – zapytał.

Anden zostawił torbę pod ścianą. To tylko Lan. Chce mi pomóc. Nie będzie próbował mnie zawstydzić, pomyślał. Hilo i Shae byli dla niego jak prawdziwi kuzyni, ale Lan miał znacznie więcej lat i chłopak zawsze traktował go raczej jak wujka. Sięgnął do przedniej kieszeni torby i wyciągnął z niej plastikowy pojemnik z opaską ćwiczebną. Jako ósmoroczniak mógł nosić ją ze sobą przez cały czas i korzystać z niej pod nadzorem dorosłej zielonej kości. To był zwykły skórzany pasek zapinany na zatrzask. Wprawiono w niego trzy jadeity. Jeśli jego oceny nadal będą takie dobre, mógł liczyć na to, że na wiosnę dostanie czwartą.

Zapiął opaskę na lewym nadgarstku, zamknął oczy i zaczerpnął tchu. Za każdym razem, gdy zakładał jadeit, czuł przez krótką chwilę opory, jak przed skokiem do wody z wysokiej trampoliny albo zderciem przylepionego do skóry bandaża. To zabolilo, myślał, ale zaraz było po wszystkim. Wytrzymał tę chwilę przejścia, otworzył oczy i stanął naprzeciwko Lana.

Filar załadował już strzałki do pistoletu.

– Na początek łatwa rozgrzewka – oznajmił i zaczął od pojedynczych strzałek.

Anden Odbijał je kolejno i wszystkie wbijały się w pokrytą korkiem ścianę za jego plecami. Strzałki były lekkie i leciały powoli. Odbijanie stawało się eksponencjalnie trudniejsze, gdy pociski były coraz liczniejsze, miały większą masę i leciały szybciej. Po chwili Lan przerzucił się na wiatrówkę. Ona również nie przysporzyła Andenowi większych trudności. Rzucanie szybszego i szerszego Odbijania przychodziło mu z łatwością. Gorzej było z nożami, zwłaszcza gdy było ich kilka i każdy nadlatywał z innej strony.

– Przejmij nad nimi kontrolę – poradził Lan. – Zawróć je i uczynj swoją bronią.

Anden skinął głową, choć taką samą sugestią już sto razy słyszał od instruktora Odbijania w Akademii i nadal nie opanował tej sztuki nawet w przybliżeniu tak biegle, jak tego pragnął. Kiedy Odbijał noże, traciły impet i lekko opadały na powierzchnię za nim, a prawdziwy mistrz

potrafiłby wbić je celnie w dowolnie wybrane miejsce w ścianie albo nawet – jak sugerował Lan – sprawić, by okrążyły jego ciało i pomknęły niczym bumerang ku przeciwnikowi z jeszcze większą szybkością niż przedtem. Anden stanął na palcach i zakołysał się lekko, żeby rozluźnić kończyny. Starał się zachować spokój i skupienie, nie myśleć o tym, że sprawia rozczarowanie kuzynowi.

– Gotowy?

Lan rzucił w niego kolejnym nożem, prosto i bez żadnych sztuczek. Anden uniósł rękę, rzucając ciasne, łukowate Odbijanie. Poczł, jak złapało nóż i zmieniło jego kurs. Skupił się maksymalnie i spowodował, że nóż zatoczył krąg wokół niego, a następnie pomknął w stronę Lana.

Nie doleciał daleko, nim zaczął opadać, ale filar wykorzystał własne Odbijanie i wyprostował jego lot. Następnie skoczył naprzód i złapał go w locie.

– Nieźle! – Na jego twarzy pojawiła się duma. Chłopaka zalała fala ciepła. – Większość nowych zielonych kości nie potrafi zrobić czegoś takiego! Ćwicz dalej, a przejdiesz Testy z łatwością.

– Mam taką nadzieję – odpowiedział niepewnie Anden.

Wsparł dłonie na kolanach i pochylił się, by odetchnąć. Lan wypełnił papierowy kubek wodą z coolera i przyniósł go chłopakowi. Anden z wdzięcznością przyjął kubek, ale ponownie uderzyła go szorstkość aury filaru. Jadeit na skórzanej opasce nasilił znacznie to wrażenie, czyniąc je głośniejszym. Omal nie odsunął się od kuzyna.

Na szczęście Lan wrócił na drugą stronę sali i otworzył szafkę. Wyciągnął z niej sześć dużych plastikowych butelek wypełnionych piaskiem. Ich wyloty zamknięto srebrną taśmą klejącą. Filar ustawił je na podłodze niczym kręgle.

– Nie powinniśmy zaniedbywać ataku – oznajmił. Anden poczuł lekki ucisk w żołądku. Ofensywne Odbijanie było jego najszabszą stroną, a Lan przyglądał mu się z drugiego końca sali, jakby oczekiwał od niego bardzo wiele. Zawsze interesował się postępami w nauce Andena, ale nigdy na niego nie naciskał ani nie miał przesadnych oczekiwań.

– No jazda. Na co czekasz? – rzucił teraz.

Chłopak zaczerpnął tchu. Skupił się na ciężkich butelkach, zebrał w sobie energię i wypuścił w ich kierunku falę Odbijania, posuwającą się nisko nad podłogą. Pierwsza butelka zachwiała się i przewróciła, zbijając również drugą, ale następnie nawet się nie poruszyły.

– Nie najgorzej – pochwalił go Lan i znowu ustawił butelki. – Spróbuj jeszcze raz.

Butelki były ciężkie, a sala długa. Andenowi zaczynało brakować sił. Za drugim razem udało mu się przewrócić trzy z rzędu, ale ten wyczyn wyczerpał jego zasoby energii. Za trzecim razem przewrócił tylko jedną butelkę, a za czwartym jedynie nieco ją przesunął.

– Za słabo się starasz, Anden – stwierdził Lan.

– Przepraszam – odparł chłopak. – Jestem zmęczony.

Rano był na zaawansowanych ćwiczeniach Siły, co zawsze było wyczerpujące. Nie spodziewał się, że wizyta w rezydencji Kaulów zmieni się w improwizowany egzamin.

– To samo powiesz, gdy będziesz musiał walczyć o życie? – warknął Lan. – Zrób to jeszcze raz.

Anden spróbował zebrać energię. Stanął pewniej na nogach i uniósł ręce. Poczł, że drżą z napięcia i wypełnia je mrowienie. Następnie pchnął przed siebie, wypuszczając powietrze z płuc. Włożył w ten ruch tyle energii, ile tylko zdołał zgromadzić. Odbijanie przemknęło przez salę, ale nie trafiło w cel. Drzwi szafki zadrżały, jak podczas trzęsienia ziemi. Butelki nawet nie drgnęły.

Lan potarł oczy otwartą dłonią.

– Jeśli nawet nie potrafisz przewrócić butelki z piaskiem, to jak chcesz zbić z nóg napastnika? Albo obronić się, gdy ktoś spróbuje zrobić to tobie?

– Jeszcze nie jestem zieloną kością – sprzeciwił się Anden, opuszczając głowę. – Będę więcej ćwiczył. Mam jeszcze czas.

– Za kilka miesięcy przestaniesz być uczniem. – Twarz Lana przybrała surowy wyraz, a głos nabrał mocy. – Góra zademonstrowała, że zwraca na ciebie uwagę, Anden. Ayt próbowała już zabić Hila i mnie, a gdy przestaniesz cię bronić kodeks *aisho*, ty również staniesz się celem dla nieprzyjaciół mających znacznie więcej jadeitu i doświadczenia od ciebie. Nigdy nie możesz sobie pozwolić na to, by być zbyt zmęczonym czy słabym, żeby się bronić!

Lan uniósł rękę i cisnął lej Odbijania w stronę butelek. Wszystkie uniosły się, uderzyły



w ścianę, spadły z łoskotem na podłogę i potoczyły się po niej. Filar nawet na nie nie spojrział. Podszedł do Andena, złapał go za ramię i wyprostował nagłym szarpnięciem.

– Kiedy ukończysz szkołę, czeka cię wojna, Anden – warknął. – Musisz być gotowy na to, co to znaczy być Kaulem. W przeciwnym razie zginiesz. Rozumiesz?

Chłopak wciągnął gwałtownie powietrze. Palce Lana wbijały się w jego biceps, ale ból pochodził z jakiegoś innego miejsca, i docierał do samego centrum czaszki. Niezwykły dla Lana gniew wspierało tak wiele jadeitu, że Andenowi zabrakło tchu.

– Kaul-jen – błagał, patrząc w oczy, które ledwie poznawał. Ich tęczęwki lśniły niczym polerowane kamyki, wirowała w nich wzburzona energia. Wokół nich wyraźnie uwidoczniła się sieć cienkich naczyń krwionośnych. Chłopak przełknął ślinę.

– Lan?

Filar zwolnił nagle uścisk, niemalże odpychając chłopaka od siebie. Gapił się jeszcze na niego przez krótką chwilę, po czym potrząsnął głową, jakby chciał przeczyścić myśli. Jego jadeitowa aura kipiała. Anden, nawet nie próbując, postrzegł, że gwałtowny gniew jego kuzyna rozpułnął się, przechodząc w chaos niemożliwych do odczytania uczuć. Lan potarł oczy kłębami dłoni, a potem opuścił ręce.

– Przepraszam, Anden – rzekł spokojniejszym tonem. – Nie zasłużyłeś na to.

– Nic się nie stało – wyszeptał chłopak.

– Ostatnio łatwo wpadam w gniew. – Lan odwrócił się do niego plecami. – Mam na głowie mnóstwo problemów. Musimy utrzymać poparcie Rady Książęcej i latarników. Nie możemy też zapominać o możliwości ingerencji Espeńczyków... – Spojrzął na Andena, jakby oczekiwał od niego zrozumienia. Nadal nie był w pełni sobą, choć bardzo się starał z tym walczyć. – Nieważne. Byłem dla ciebie zbyt surowy.

– Nieprawda. – Chłopak nadal nie mógł odzyskać równowagi. – To, co powiedziałaś, było prawdą.

– Jestem z ciebie dumny, Anden. Nie wyraziłem tego wystarczająco jasno. Hilo chce cię zrobić pięścią. Ze swoim talentem możesz być dla niego bardzo użyteczny. Chcę jednak, żebyś wiedział, że decyzja należy do ciebie. W obecnej sytuacji mógłbyś rozważyć przyjęcie innej pozycji w klanie albo nawet wybrać zupełnie inną ścieżkę.

Anden w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć. Potem jego dezorientacja przeszła w gniew. Twarz mu zapłonęła.

– Nie jestem tchórzem. – Wiedział, że brak mu książkowej mądrości, potrzebnej, by być szczęściodawcą. Istniały zielone pięści pracujące poza klanami – nauczyciele, lekarze, pokutnicy – jak jednak mógłby wybrać podobny zawód w czasach wojny? – Hilo-jen powiedział mi, że będziesz potrzebował wszystkich zielonych kości, które ukończą Akademię. Wszystko zawdzięczam klanowi, tobie i dziadkowi. Kim bym się stał, gdybym odmówił złożenia przysięgi?

Nim Lan zdążył mu odpowiedzieć, usłyszeli głośnie pukanie do drzwi.

– Lan-jen, dzwoni burmistrz Janloonu – rozległ się głos Woonu.

Lan zerknął ku drzwiom, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Andena. Odsunął się od niego. Z jego twarzy nie sposób było czegokolwiek wyczytać. Umysł chłopaka wypełniło na moment nieprzyjemne świerzbienie. Postrzegł w umyśle kuzyna jakąś gwałtowną desperację.

– Wybacz, Anden. Później o tym porozmawiamy. – Zaczął się odwracać w stronę drzwi. – Jeśli zaczekasz kilka minut na dziedzińcu, przyślę kogoś, kto odwiezie cię z powrotem do Akademii.

– Nie ma potrzeby – odparł chłopak. – Sam sobie poradzę. I tak muszę wrócić na stację po rower. Mogę pojechać autobusem.

Lan zatrzymał się, dotykając ręką drzwi.

– Nie sugerowałem, że jesteś tchórzem, Anden – zapewnił z powagą w głosie. – Chciałem tylko, żebyś wiedział, że masz wybór. I bez względu na to, co wybierzesz, zawsze pozostaniesz Kaulem, tak samo jak Shae.

Filar przesunął drzwi na bok i ruszył za Woonem w kierunku głównego domu. Jego przesadnie ostra aura oddaliła się razem z nim.

Anden wypuścił z drżeniem powietrze z płuc. Nawet nie zauważył, że wstrzymywał oddech. Co się przed chwilą wydarzyło? Nigdy nie widział u Lana takich zmian nastroju. Najpierw ciepło,

potem gniew, a na koniec zwątpienie i wyrzuty sumienia. Czy to przeżyty niedawno stres i dodatkowy jadeit tak wytrąciły go z równowagi? Czy rzeczywiście uważał, że Anden nie jest gotowy przyłączyć się do klanu? Chłopak mógł w sobie wątpić, a nawet zastanawiać się, co by zrobił, gdyby nie przeznaczono już dla niego roli pięści, ale jeśli usłyszał tak nieprzyjemne sugestie z ust samego filaru klanu, to było coś całkiem innego. Czy chodziło tylko o to, że tak kiepsko spisał się w próbie Odbijania, czy o coś zupełnie innego?

Odwrócił się, zdjął opaskę ćwiczebną i oparł czoło o ścianę. Jadeitowy wstrząs zaszkodził jego wrażliwemu żołądkowi bardziej niż zwykle. Zacerpnął gwałtownie tchu, stłumił mdłości, zamknął opaskę w plastikowym pojemniku i z powrotem wsadził go do torby.

Przed opuszczeniem sali ćwiczebnej zebrał wypełnione piaskiem butelki i schował je do szafki. Wyrwał też ze ściany noże oraz strzałki i położył je na właściwe miejsce. W Akademii obowiązywała wojskowa dyscyplina i wymagano tam zachowania porządku. Drzwi szafek uchyliły się nieco od Odbijań rzucanych przez niego i Lana. Anden zamknął wszystkie ostrożnie i chciał zrobić to samo z wysuniętą szufladą, lecz zatrzymał się nagle. Jego palce zawisły nad wąską szparą, za którą widział białą kopertę, którą przyniósł Lanowi. Filar schował ją wtedy bez słowa wyjaśnienia.

Chłopak otworzył szufladę i wyjął kopertę. Gdy się na nią gapił, straszliwa pokusa przerozdziła się w jego umyśle w jeszcze bardziej przerażające podejrzenie. Jego serce zabiło szybciej. Rozejrzał się po pustej, starannie wysprzątanej sali. Jeśli otworzy kopertę, Lan się o tym dowie. Między miejscem, w którym ją zaklejono, a rogiem był jednak niewielki otwór. Anden nieco go powiększył. Odwrócił kopertę do góry nogami, potrząsnął nią i wsunął do środka dwa palce. Dotknął czegoś gładkiego i twardego jak szkło. Drżącymi dłońmi wyciągnął małą, cylindryczną fiolkę wypełnioną mętym, białym płynem.

Wiedział, co to jest. Nie było innej możliwości. Zawładnęła nim rozpacz. Rozerwał kopertę, lekkomyślnie wyciągając kolejne fiołki.

Zakręciło mu się w głowie. Jego obawy się potwierdziły, ale nie potrafił w to uwierzyć.

Drzwi sali się otworzyły i stanął w nich Lan. Andenowi opadły ręce. Upuścił kopertę z jej zawartością do otwartej szuflady, ale jego wina była oczywista. Podobnie jak wina Lana. Na jego twarzy gniew mieszał się ze wstydem. Chłopak był pewien, że gdyby nie zdjął opaski, nie byłby w stanie znieść gorejącej aury kuzyna.

Lan wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Przesunęły się ze zgrzytem przypominającym dźwięk noża ostrzonego na oselce.

– Co ty robisz, Anden? – zapytał zwodniczo bezbarwnym tonem.

– Kazałeś mi to przynieść. To SN1 – odpowiedział Anden zdławionym głosem. Poczul potrzebę złapania się czegoś, żeby się uspokoić. – Jak... jak to możliwe, że potrzebujesz błysku?

Lan ruszył w jego stronę. Anden cofnął się mimo woli, aż dotknął plecami ściany.

– Nie miałeś prawa otwierać tej koperty.

Lan nigdy dotąd go nie pobił, nie uderzył go ani razu, ale teraz na jego twarzy malowała się żądza mordu. Anden po raz pierwszy w życiu poczuł strach przed kuzynem. Wolałby kilkanaście razy oberwać od Hila niż znieść choć jeden cios rozwścieczonego Lana. Oczywiście zasłużył na bicie. Nawet nie przyszło mu na myśl, by powiedzieć coś na swoją obronę.

– Nie jesteś chory, prawda? – wypalił tylko. – Nie masz... śwędziawki?

Rozpacz na jego twarzy musiała być wyraźnie widoczna. Wyobraził sobie, że Lan umiera taką samą śmiercią, jak jego matka – krojąc własne ciało i krzycząc w obłędzie – i ten widok rozproszył gniew Lana. Twarz filaru zmieniła wyraz, wykrzywiła się w grymasie wewnętrznej walki. Uniósł rękę i zatrzymał ją nieruchomo w powietrzu, jakby chciał powiedzieć sobie „Stop!”.

– Mów ciszej – rozkazał głosem ochryłym, ale spokojniejszym, niż spodziewał się tego Anden. Tym razem udało mu się powstrzymać impuls gniewu. – Nie mam śwędziawki. W chwili gdy występują pełne objawy, z reguły jest już za późno, by SN1 mogło uratować pacjenta. – W jego oczach pojawiło się współczucie, gdy sobie uświadomił, o czym pomyślał Anden, ale jego głos zachował twarde brzmienie. – Powiniennem wyrzucić cię z domu, Anden, ale nie chciałbym, żebyś odniósł błędne wrażenie, więc wszystko ci wytłumaczę. Nie możesz nikomu szepnąć o tym ani słowa, nawet członkom rodziny. Jasne? – Chłopak nadal był zbyt wstrząśnięty, żeby mu odpowiedzieć, ale Lan uderzył mocno otwartą dłońią w ścianę tuż obok jego twarzy. – Jasne?

Anden skinął głową.

– Błysk jest plagą społeczną – podjął cicho filar. – Używają go ludzie, którzy nie mają naturalnej tolerancji na jadeit ani nie przeszli szkolenia. Cudzoziemcy, kryminaliści i uzależnieni dręczeni jadeitową gorączką. Dlatego nielegalny handel nim trzeba zwalczać. Ale SN1 ma również dobre strony. Może być użyteczne jako środek łagodzący skutki uboczne wystawienia na działanie jadeitu. Są chwile, gdy naturalna tolerancja zielonych kości potrzebuje wsparcia... Rozumiesz to, prawda?

Anden wrócił w myślach do rozmowy z Hilem prowadzonej w Akademii, a potem, mimo woli, do wspomnienia matki w łazience. Tak, rozumiał, co chciał powiedzieć Lan. Ale Kaulowie byli inni. Byli uosobieniem nieskalanej krwi zielonych kości i perfekcyjnego szkolenia. Jeśli Kaul Lan, filar klanu Bez Szczytów, potrzebował SN1, co to mogło oznaczać? Zwłaszcza dla kogoś takiego jak Anden? Jaka nadzieja mu pozostała? Jego myśli wypełnił sprzeciw.

– To przez ten nowy jadeit, prawda? – W szepcie chłopaka pobrzmiwało głębokie poruszenie. – Czy coś jest z nim nie w porządku? Czy jest niebezpieczny dlatego, że przedtem należał do Gama?

Lan zdobył się na uśmiech, ale nie było w nim wesołości.

– Nie. Jadeit jest jedynie wzmacniaczem. Nie przechowuje energii dawnych posiadaczy. To tylko stare przesady. – Odwrócił nieco twarz. – Nie wyszedłem z tego pojedynku bez szkody, Anden – podjął ściszym głosem. – Dotknął palcem swej piersi w miejscu, gdzie miał serce. – Gam zakłócił coś, gdy Przeniósł we mnie swą moc. Od tamtej chwili nie czuję się dobrze. Dlatego nowy jadeit sprawia mi więcej trudności, niż powinien.

– Byłeś u lekarza? – zapytał zaniepokojony chłopak. – Ten w Akademii jest...

– Byłem u doktora Truw. Sesje uzdrawiania są użyteczne, ale w ostatecznym rozrachunku pomogą mi tylko czas i odpoczynek.

Skrzywił się, przyznając, że obu tych rzeczy raczej mu brakuje. Anden zrozumiał, dlaczego jego kuzyn zachowuje się tak nerwowo i ulega zmiennym nastrojom. Oprócz nowej zieleni i stresu związanego z byciem filarem w czasie wojny dokuczały mu również skrywane obrażenia. A teraz również wstyd związany z faktem, że potrzebował SN1, by móc nosić jadeit zdobyty w publicznym pojedynku.

– W takim razie go nie noś – zaproponował Anden. – Do chwili, gdy poczujesz się lepiej. To zbyt wiele.

Lan pokręcił głową.

– W tej chwili nie mogę zniknąć z oczu ludzi. Codziennie spotykam się z radcami, latarnikami, szczęściodawcami, pięściami i palcami, a wszyscy oni pragną zapewnień, chcą zobaczyć dowody na to, że klan Bez Szczytów jest w stanie oprzeć się Górze. Natomiast nieprzyjaciele ciągle wypatrują oznak naszej słabości, czekając na okazję do kolejnego ataku. Nie dam im jej. – Odsunął się od Andena. – To nie twój problem. Chcę, żebyś o wszystkim zapomniał, gdy tylko opuścisz tę salę.

– Ale czy błysk ci nie zaszkodzi? On uzależnia, prawda? I...

– To tylko tymczasowe rozwiązanie – warknął Lan. W jego oczach znowu pojawił się blask, który sprawił, że chłopak zamknął usta i odsunął się od niego. – Nie uzależnię się. I nie chcę, by ktokolwiek w klanie myślał, że to może się wydarzyć. Kazałem Woonowi załatwić prywatne źródło SN1, bo gdybym za często odwiedzał doktora Truw, to wzbudziłoby podejrzenia. Gdyby mój filarowy ciągle odbierał nietypowe przesyłki, to również byłoby ryzykowne. Ludzie obserwują nas uważnie. Ufam ci, Anden, mimo tego, co przed chwilą zrobiłeś. Twój wujek był jednym z moich najlepszych przyjaciół, a ja zawsze uważałem cię za najmłodszego brata. Przypominasz mnie w znacznie większym stopniu niż Hilo. Nigdy cię o nic nie prosiłem, ale teraz proszę, byś dochował tajemnicy.

Anden przełknął ślinę i skinął głową. Powiniennem złamać tę obietnicę i powiedzieć Hilowi, pomyślał jednak natychmiast, choć nie był nawet pewien, jak mógłby się teraz z nim skontaktować. Róg cały czas patrolował terytorium klanu w towarzystwie swoich pięści. Co zresztą odpowiadałby mu Hilo?

Że Lan jest filarem i Anden nie ma prawa kwestionować jego decyzji. Że w wyjątkowych przypadkach korzystanie z SN1 jest dozwolone. Hilo zasugerował nawet, że sam Anden może być jednym z takich przypadków. Klan potrzebował silnego filaru, który nie utraci nad nim kontroli.

Lepiej, żeby brał niewielkie dawki SN1, by przystosować się do zwiększonego brzemienia jadeitu, niż narażał się na obłąd i śwędiawkę. To ostatnie z pewnością było prawdą.

Lan przymrużył powieki.

– Czy nadal mogę na ciebie liczyć, Anden?

Reprimenda słyszalna w jego głosie była jak uderzenie w twarz. Do dzisiaj Anden nigdy nie dał kuzynowi powodu do nieufności i widok jego rozczarowanej miny wystarczał, by wywołać gwałtowne wyrzuty sumienia.

– Wiem, że źle zrobiłem. Przepraszam, Lan-jen. Już nigdy nie nadużyję twojego zaufania. Przysięgam na cały jadeit, jaki kiedykolwiek będę nosił, ale błagam... – Zacisnął pięści zwisających luźno rąk. – Musi być jakieś lepsze rozwiązanie!

Groźne spojrzenie filaru złagodniało nieco. Sprawiał wrażenie, że wziął się w garść i znowu stał się sobą, ale w jego spojrzeniu widziało się jakąś niepewność, prawie smutek, jakby spodziewał się czegoś innego. Chłopak natychmiast pomyślał, że to jego wina, że nie potrafi mu tego dać.

– To jest mój problem, Anden, nie twój. – Wpatrywał się w chłopaka ze smutkiem jeszcze przez długą chwilę. Wreszcie podszedł do drzwi sali i otworzył je. – Powinieneś wrócić do Akademii, nim będzie za późno.

Przez moment chłopak nie ruszał się z miejsca. Wreszcie uniósł dłonie do czoła, oddając honory filarowi, a jednocześnie zasłaniając twarz.

– Wiem. Masz rację, Kaul-jen.

Anden szybko opuścił salę. Gdy szedł przez dziedziniec, korciło go, by się obejrzeć i sprawdzić, czy jego kuzyn nadal stoi w miejscu, w którym go zostawił. Przyśpieszył jednak kroku i wbił wzrok przed siebie.

– Anden-se?! – zawołała stojąca w drzwiach kuchni Kyanla, gdy wszedł do holu i popędził ku wyjściu. – Wszystko w porządku?

– Tak. Muszę już lecieć. Do zobaczenia, Kyanlo.

Anden wypadł przez drzwi frontowe i zszedł po schodach. Mijając palce stojące na straży przy bramie, zwolnił, by nie przyciągać zaciekawionych spojrzeń, ale gdy tylko znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, zaczął biec. Torba podskakiwała mu na plecach, a jego stopy uderzały mocno o asfalt aż do chwili, gdy dotarł do przystanku. Autobus przyjechał po kilku minutach. Oszołomiony Anden osunął się na fotel z tyłu pojazdu i wsparł głowę o okno. Mimo że przestał biec, ucisk w jego klatce piersiowej nie zniknął. Żałował, że nie może się rozplakać, by wypuścić z siebie część napięcia, podobnie jak unosi się pokrywkę, gdy woda w czajniku się zagotuje.

## Rozdział 29

### Zapewne zginiecie

Kradzieże w Dzielnicy Portowej stały się znacznie bardziej niebezpieczne od czasu, gdy Maik Kehn dorwał jedną z ich ekip i klan Bez Szczytów zorientował się, co jest grane. Bero nie chciał skończyć tak, jak te biedne skurczybyki – dwaj, którym skręcono karki, a nawet ten szczęściarz, któremu tylko połamano ręce. Nadal drżał na myśl o braciach Maik. Dlatego poczuł ulgę i radość, gdy Mudt zapytał go, czy ćwiczył strzelanie z fullertona i potrafi już robić to celnie. Zapewnił, że obaj z Pyskatym ćwiczyli trzy razy w tygodniu na pustym polu przy Zbiorniku Retencyjnym.

– W takim razie jutro po zmierzchu przyjdźcie do sklepu – rozkazał Mudt.

Zielona kość z krótką bródką grał w bilard przy starym stole w garażu Dobrych Towarów. Zamiast płaszcza przeciwdeszczowego miał na sobie szary trencz, ale buty włożył te same, co poprzednio. Tym razem zachowywał się przyjaźniej.

– Minął już ponad miesiąc i obaj nadal żyjecie, a w dodatku wykonujecie dla nas dobrą robotę. Albo macie mnóstwo cholernego szczęścia. Dla mnie to bez różnicy.

– Potrafię robić coś więcej niż kraść skrzynki z modnymi torebkami i innym takim syfem – zapewnił Bero.

– Tak też sobie pomyślałem. Teraz będziesz miał szansę tego dowieść – odpowiedział mężczyzna i wsparł dłonie na ramionach obu chłopaków. – Mudt mówi mi, że radzicie już sobie z fullertonami, które wam dałem. To dobrze. Teraz będę miał dla was zadanie. Nie ja je wymyśliłem, przysłano je z góry. Dlatego słuchajcie uważnie i nie spierdolicie sprawy. Gdyby wam się to zdarzyło, zapewne zginiecie. Ale jeśli sobie poradzicie, będziecie gotowi do przyjęcia do klanu, w takim stopniu, jak to tylko możliwe, a to oznacza...

Spojrzał znacząco na Bera i mrugnął porozumiewawczo, pociągając się za kolczyk w lewym uchu.

– Co mamy zrobić? – zapytał Bero.

– Czy znacie Klub dla Dżentelmenów Boski Bez?

Zielona kość uśmiechnął się szyderczo. Każdy nastoletni chłopak, który mieszkał w tej części miasta, słyszał o tym przeznaczonym dla klasy wyższej lokalu. Muskularni ochroniarze pani Sugo patrzyli z pogardą i trzaskali groźnie kostkami w palcach, gdy osobnicy tacy jak Bero i Pyskaty kręcili się wokół z czerzej ciekawości.

– Niedługo, w drugi albo w piąty dzień, otrzymacie wezwanie – oznajmił zielona kość, nie czekając na odpowiedź na swe retoryczne pytanie. – Kierowca zabierze was do Boskiego Bzu. Mudt to załatwi. Kiedy dotrzecie na miejsce, ostrzelajcie budynek i wybijcie wszystkie szyby, żeby każdy klient schował się pod łóżko, ściskając w rękach nagle obwisłego kutasa. Jeśli zobaczycie jakieś niezłe samochody, zwłaszcza pięknego srebrnego roewolfe'a, naszpikujcie go ołowiem. Strzelajcie i zwiewajcie, jasne?

– B... Boski Bez to lokal klanu Bez Szczytów – odezwał się Pyskaty, jękając się nieco. – W środku będzie mnóstwo ważnych latarników i zielonych kości. Mówią, że nawet filar klanu tam chodzi.

– Teraz dopiero na to wpadłeś, geniuszu? – Zielona kość uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Będziecie musieli myśleć szybciej, jeśli chcecie wydostać się żywi z terytorium nieprzyjaciela. Ale to już nie mój problem. Jeśli zrobicie to i wróćcie żywi, nikt nie będzie kwestionował, że jesteście gotowi, by zostać członkami klanu.

– Zrobimy to, jeśli obiecasz, że nas przyjmiecie. – Te słowa wyrwały się z ust Bera, nim Pyskaty zdążył się poruszyć. Mudt i jego syn ustawiali skrzynki skradzionych winyli, udając, że nie uczestniczą w rozmowie. Zatrzymali się jednak i unieśli wzrok, słysząc nagłą gwałtowność w głosie Bera. Chłopaka nie obchodziło, co kazał im zrobić zielona kość, po prostu zrobił się niecierpliwy i nie chciał już, żeby z nim tak pogrywano. – Nie będzie więcej żadnych testów, prawda?

– Niczego wam nie obiecuję, do cholery – warknął zielona kość. – Jeśli wykonacie dobrą

robotę, wyrzecie odpowiednie wrażenie i pokażecie, że możecie być użyteczni dla klanu, będziemy mieli o czym rozmawiać.

Pyskaty przełknął ślinę i pośpiesznie pokiwał głową. Bero wsunął dłonie do kieszeni. Jego twarz niczego nie wyrażała.

Przed laty, w części Kuźni, w której się wychowywał, żył chłopak zwany Haczykiem, który terroryzował młodsze dzieciaki. Ganiał i bił Bera, gdy tylko nadarzała się okazja. Pewnego dnia zaatakował ładną dziewczynkę, której ojciec był związkowym bossem i latarnikiem klanu Bez Szczytów. Zaraz potem w ich okolicy pojawiła się dwójka zielonych kości, którzy beznamiętnie połamali Haczykowi łydki. Już nigdy później nie był w stanie dogonić Bera.

Wszystkie zielone kości przypominały mu tamte palce. Wkraczały bezceremonialnie do jego świata, by połamać komuś kości, a komuś innemu ofiarować lepsze życie. Budziły w nim nie tylko dziecinną bojaźń i strach, lecz również głęboki resentment i zawiść.

Ten z bródką niczym się nie różnił od pozostałych. Uśmiechał się, jakby to wszystko go bawiło, ale jego oczy pozostawały zimne.

– Czekajcie na telefon – rzucił przez ramię, wychodząc z garażu. – Wkrótce zadzwoni.

## Rozdział 30

### Świątynia Boskiego Powrotu

Zapach ściętej trawy i słodkich pieczonych fig unosił się w powietrzu w towarzystwie stęknień i łoskotów towarzyszących grze w piłkę sztafetową, a czasami także cichych okrzyków albo szeptów zachwytu widzów. Dotarła do niskich ławek zajętych przez kibiców Akademii Kaul Du i znalazła dla siebie wolne miejsce. Zerknięcie na tablicę pozwoliło jej się zorientować, że gra jest wyrównana. Akademia była szkołą o wojskowym reżimie i ceniono w niej sprawność fizyczną, ale podczas zawodów sportowych użycie jadeitu było zabronione. Przeciwna drużyna składała się z uczniów wielkiej miejskiej szkoły, z których szeregów wywodziło się wielu graczy ligi państwowej. Z pewnością mieli ochotę dokopać przyszłym zielonym kościom.

Shae zauważyła kuzyna. W pierwszej chwili ledwie go poznała. Nie był już niezgrabnym chłopakiem, którego pamiętała. Anden zmężniał, wyglądał jak dorosła zielona pięść. Nosił ciemne szorty i grał na pozycji pierwszego strażnika, trzymając się blisko przeciwnika, gdy tylko piłka pofrunęła do ich strefy. Drugi zawodnik wyskoczył wysoko w górę, by kopnąć piłkę do kolegi z drużyny, ale Anden, wyższy i szybszy od niego, odbił ją w locie. Dwaj nastolatkiwie zderzyli się i padli na ziemię, a piłka uderzyła w siatkę. Gwizdek sędziego zarządził powtórzenie rzutu.

Boisko do piłki sztafetowej składa się z siedmiu stref oddzielonych od siebie sięgającymi pasa siatkami – pięciu pięciokątnych stref przekazywania i dwóch trójkątnych stref końcowych. Każdą strefę zajmuje dwóch graczy z przeciwnych drużyn, którym nie wolno opuszczać swoich zamkniętych obszarów, gdy próbują rzucić, serwować, kopać albo odbijać ciałem piłkę w kierunku graczy swojej drużyny na sąsiednim polu, by dotarła, strefa po strefie, do strefy końcowej przeciwnika, gdzie kończący ma za zadanie przerzucić ją między słupkami bronionymi przez strażnika. Cała gra w zasadzie jest serią brutalnych dwuosobowych potyczek, co sprzyja rozkwitowi wrogości między drużynami oraz indywidualnymi graczami. Gdy Anden wstał, przeciwnik przeszył go pełnym furii spojrzeniem i warknął jakieś przekleństwo. Anden nie raczył zareagować. Ugiął kolana, gotowy do akcji, i przymrużył powieki, wpatrując się w pomarańczowy blask zachodzącego słońca.

Sędzia rzucił piłkę w górę. Anden podskoczył, uderzył barkiem przeciwnika, złapał piłkę jedną ręką i przekazał ją koledze z drużyny w tej samej chwili, gdy obalono go na ziemię. Shae zatupała z uznaniem, podobnie jak reszta kibiców. Zaimponowała jej gracja ruchów, kuzyna, jego agresywność oraz profesjonalna atletyczność. Sprawiał wrażenie, że traktuje piłkę sztafetową jako obowiązek, nie jako grę. Nie okazywał zbytnej satysfakcji przy dobrych zagraniach i tylko lekko krzywił się przy złych. Już w tej chwili z łatwością wyobrażała go sobie jako zieloną kość, jednego z pięści klanu Bez Szczytów.

Nie była w tym wyjątkiem.

– Strażnik Akademii, ten tam, to syn Szalonej Czarownicy, którego adoptowali Kaulowie. Możesz się założyć, że róg nie może się doczekać dnia, gdy dadzą mu jadeit.

– Jemu i całej bandzie innych ósmoroczniaków – dodał ktoś inny.

Kończący Akademii zdobył punkt i widzowie w jej sektorze zatupali na znak uznania. Aplauz trwał jednak krótko i szybko umilkł. Sportowe zawody na Kekonie wyglądały inaczej niż w Espenii. Shae była zdumiona nieszkodliwą hałaśliwością tamtejszych kibiców. Espeńczycy nieustannie śpiewali piosenki i wydawali okrzyki, bili brawo i buczeli, machali flagami i wykrzykiwali bezsensowne porady do zawodników oraz trenerów. Kekończycy równie namiętnie wspierali swe drużyny, ale nikomu nie przyszłoby na myśl, żeby wrzeszczeć na uczestników gry albo odwracać ich uwagę. Doszła do wniosku, że Espeńczycy uważają, że zawodnicy są po to, żeby dostarczać rozrywki kibicom, a energia widowni jest elementem gry. Kekończycy natomiast są przekonani, że nie są uczestnikami konfliktu, a jedynie świadkami walki toczonej w ich imieniu.

Akademia Du Kaula wygrała mecz jednym punktem. Po zakończeniu spotkania gracze oddali honory przeciwnikom, po czym zgromadzili się przy ławkach, by zabrać ekwipunek. Shae zeszła na dół i stanęła na krawędzi małego boiska, czekając, aż Anden ją zauważy. Popatrzył na nią, rozpoznał ją i uśmiechnął się szeroko. Następnie przerzucił torbę przez ramię i podbiegł do

kuzynki.

– Shae-jen – przywitał ją, a potem się zaczerwienił zawstydzony zrozumiałą, ale żenującą pomyłką. Uściskał ją krótko i ciepło, lecz z szacunkiem, po czym wyjął z torby okulary i założył je na spocony nos. – Przepraszam. Trudno mi się przyzwyczaić do mówienia do ciebie po prostu Shae.

– Grałeś fantastycznie – stwierdziła. – Wyrównaliby, gdyby nie ta twoja obrona w ostatniej kwarcie.

– Przeciwnikowi słońce świeciło w oczy – odpowiedział uprzejmy jak zwykle.

– Chciałbyś coś zjeść? Możemy wybrać się innym razem, jeśli wolałbyś teraz pójść gdzieś z kolegami.

Inni gracze z Akademii już się rozchodzili. Zauważyła, że choć Anden był jednym z zawodników, zachowywał lekki dystans wobec pozostałych. Ona również miała w Akademii podobne kłopoty i nie chciała pozbawiać go szansy na chwilę bliskości.

– Nie. Wolę porozmawiać z tobą – odpowiedział pośpiesznie Anden.

Opuścili razem boisko. Wieczory były już chłodne jak na Janloon i Shae włożyła sweter, gdy szli przez Stare Miasto na dość senny Targ Nocny, gdzie sprzedawano kolorowe latawce, drewniane bączki, fałszywe złote zegarki i kasety z muzyką, a od straganów dobiegał zapach prażonych orzechów z korzeniami oraz słodzonych buraków. Rozmawiali o meczu, a gdy już wyczerpali ten temat, Shae zapytała kuzyna, jak mu idzie w szkole, on zaś w zamian poprosił ją, żeby opowiedziała mu o nauce za granicą. Chciał też się dowiedzieć, czy podoba się jej nowe mieszkanie w Północnym Sotto. Anden nie był małomówny, lecz – podobnie jak Shae – nie zaliczał się również do zbyt gadatliwych osób. Dlatego ich rozmowa była pełna skrępowania. Oboje zastanawiali się nad pytaniami, jakie mogliby zadać sobie nawzajem, i wahali się, nim wypełnili nagle pojawiające się przerwy.

Nad drzwiami restauracji z grillem na rogu ulicy wisiała biała papierowa latarnia, ale oboje stanęli w kolejce razem ze wszystkimi. Wreszcie usiedli na skąpanym w blasku lamp patio, przy małym żółtym stoliku o winylowym blacie, nakrytym za dużym obrusem, i zamówili wieprzowinę ze słodką polewą oraz kapustę o octowym smaku w papierowych torebkach. Anden zabrał się z zapalem do jedzenia, ale nie zdołał skończyć wielkiej porcji pieczonego mięsa. Zbyt wielkie ilości sytych restauracyjnych dań nie zgadzały się z żołądkiem przywykłym do skromnych porcji i prostych posiłków w Akademii.

– Anden, wybacz, że minęło tak wiele czasu, nim się z tobą zobaczyłam – oznajmiła wreszcie Shae. – Nie mam dobrego usprawiedliwienia. Chciałam zrobić to wcześniej, ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Odwiedziny w Akademii wydawały mi się okropnie krępujące. Byłam zajęta poszukiwaniem pracy, a przedtem podróżowałam i wykonywałam pewne zadanie dla Lana. Potrzebowałam więcej czasu, niż się spodziewałam, by przyzwyczaić się do życia w Janloonie.

Dała sobie spokój z przedstawianiem dalszych usprawiedliwień. Hilo oskarżył ją o to, że zaniedbywała rodzinę od chwili powrotu do Janloonu. Jego słowa były prawdziwe, a niektóre głęboko ją zraniły.

Anden gapił się na własne dłonie, starannie wycierając sos spod paznokci wilgotną kwadratową serwetką, wyjętą z małego opakowania. Zmarszczył czoło.

– Widziałaś się ostatnio z Lanem? – zapytał.

Najwyraźniej w ogóle nie słuchał tego, co do niego mówiła.

– Kilka tygodni temu – odpowiedziała. – Z pewnością jest bardzo zajęty.

Ostatnio nie próbowała odwiedzać domu.

– A kiedy zamierzasz się z nim zobaczyć?

Te słowa zaskoczyły Shae. Kuzyn zawsze był wobec niej uprzejmy, lecz teraz usłyszała w jego głosie coś przypominającego żądanie.

– Za kilka dni mam zjeść w domu kolację – odpowiedziała. – Wtedy zapewne się z nim spotkam. Dlaczego pytasz?

Anden darł na kawałeczki resztki papierowej serwetki. Nie patrzył na kuzynkę.

– Pomyślałem sobie, że mogłabyś z nim porozmawiać. Dowiedzieć się, jak się czuje i czy nie potrzebuje w czymś pomocy. Od czasu pojedynku pod Fabryką wydaje się... inny. Zestresowany. Mogłabyś... Bo ja wiem? Pomóc mu się trochę rozluźnić.

Uniosła brwi. Przypomniała sobie, że Anden zawsze uważał Lana za idola i cieszył się jego



uwaga.

– Lan jest filarem. Nie powinien się rozluźniać – stwierdziła. – Jeśli odnosisz wrażenie, że ma kłopoty albo trzyma się na dystans, to znaczy, że ma na głowie mnóstwo problemów. – Anden jej słuchał, ale nie przestawał drzeć serwetki. – Nie przejmuj się za bardzo – dodała głosem, który miał zabrzmieć uspokajająco.

Chłopak zmiął podartą serwetkę i rzucił ją na resztki jedzenia na talerzu.

– Shae, myślę... – zaczął z wahaniem w głosie. – Myślę, że Lan podejmuje błędne decyzje w niektórych sprawach. Wiem, że nie jestem jeszcze zieloną kością i nie mam prawa zabierać głosu. Ale wkrótce dostanę jadeit i chcę być pomocny. – Słowa wylewały się z jego ust cichym strumieniem. – Chciałem pogadać z Hilem, ale on również ma mnóstwo kłopotów. Powiedziałby mi, żebym siedział spokojnie i skupił się na nauce, zamiast zastanawiać się nad pobudkami filaru. Przyszło mi do głowy, że ty mogłabyś...

– Przyznaję to z niechęcią, ale Hilo miał rację – przerwała mu. Sprawiała jej ból świadomość, że Anden już tak głęboko zaangażował się emocjonalnie w problemy klanu. – Jako ósmoroczniaczka byłam podobna do ciebie. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy dostanę jadeit i zostanę pełnoprawną członkinią klanu. Nie trzeba było tak się śpieszyć. Jeszcze przez cztery miesiące pozostaniesz tylko uczniem. Bądź nim. Nie daj się wciągnąć w sprawy klanu, dopóki nie musisz tego robić. – Spróbowała spojrzeć kuzynowi w oczy. – Właściwie to nie będziesz musiał się w nie wciągać, jeśli tego nie chcesz. Rola zielonej kości to tylko jeden z możliwych sposobów życia. Nie musisz jej wybierać.

– A co innego mógłbym wybrać? – zapytał nastolatek z zaskakującą pasją oraz resentymentem. – Nie jestem naiwny. Po co dziadek uczynił mnie członkiem rodziny, po co wysłał mnie do Akademii, jeśli nie po to, bym pewnego dnia stał się członkiem klanu? A ten dzień wkrótce nadejdzie.

– Dziadek nie zawsze wie najlepiej. – Były czasy, że nie powiedziałyby tego nikomu. – To Lan sprowadził cię do klanu i zrobił to dlatego, że tak właśnie należało postąpić. A nie dlatego, że uważał, że przydasz się jako pięść – Westchnęła. – Wiem, że niepokoisz się wojną, ale...

– A ty się nie niepokoisz? – zawołał.

Shae przypomniała sobie, że Góra porwała chłopaka z ulicy w Dzień Łodzi. Nic dziwnego, że nadal był wściekły i wystraszony. Musiała przyznać, że ten bliski złamania *aisho* czyn sprawił, że ona również poczuła się niepewnie. Od chwili odesłania Cauna bardziej starannie trzymała się terytorium klanu Bez Szczytów.

– Pewnie, że się niepokoję. Ale to mnie nie dotyczy. Nie jestem już zieloną kością. Taką decyzję podjęłam.

– Dlaczego? – zapytał cicho. Nigdy przedtem nie okazywał zainteresowania tą kwestią.

Uświadomiła sobie, że nie zna Andena zbyt dobrze. Kiedy rozmawiała z dziadkiem albo z braćmi, często uciekała się do starych frazesów, dzięki którym czuła się tak, jakby nigdy nie opuszczała wyspy. Z Andenem nigdy nie była tak blisko. W czasach młodości dobrze się rozumieli, ale nic nie wiedziała o kilku ostatnich latach jego życia, gdy zmienił się z poważnego, nieco udęczzonego chłopaka w młodego mężczyznę, protegowanego jej braci.

– Klan to wszystko albo nic, Anden. Z własnej inicjatywy zrobiłam coś, co nie zgadzało się z jego oczekiwaniami. I bardzo szybko się dowiedziałam, że to nie jest dozwolone. – Na jej ustach wykwitł pozbawiony wesołości uśmiech. – To było trochę bardziej skomplikowane, ale rozumiesz, o co chodzi.

Anden nie miał zadowolonej miny, ale nie naciskał już na nią. Przez pewien czas śledził spojrzeniem muchy latające wokół słabo się palących lamp. Wreszcie przeniósł wzrok na Shae.

– Co planujesz zrobić teraz?

– Otrzymałam propozycję pracy i zastanawiam się nad przyjęciem jej. – Wyprostowała się na krześle, ciesząc się, że może podzielić się z kimś tą wiadomością, choć wątpiła, by ktokolwiek z rodziny zrozumiał, jak wiele to dla niej znaczy. – To posada w dziale rozwoju lokalnego biznesu w espeńskiej korporacji elektronicznej. Poleciałabym na kilka miesięcy do Hiszpanii na szkolenie. Później będę pracowała częściowo tutaj, a częściowo tam, od czasu do czasu podróżując też do innych krajów. To powinno być ciekawe.

Na twarzy Andena pojawiła się trwoga. Tylko z wyraźnym wysiłkiem zdołał przywrócić

swemu obliczu neutralny wyraz.

– Znowu nas opuścisz?

– Tylko na pewien czas – odparła wyraźnie skonsternowana Shae. – Jak już mówiłam, szkolenie potrwa zaledwie kilka miesięcy. Potem co najmniej połowę czasu będę spędzała na Kekonie. Nie chciałabym cały czas mieszkać w Espenii. Dlatego uważam, że ta praca...

Ucichła. Jej gardło ścisnęło poczucie winy pomieszanego z resentymentem. Chłopak przed chwilą prosił ją, by porozmawiała z Lanem w jego imieniu. Miał nadzieję, że nawet jeśli jego kuzynka nie zajmuje już oficjalnej pozycji w klanie i nie jest zieloną kością, nadal pozostanie obecna, zachowa wpływ na prowadzenie wojny i być może będzie mógł na nią liczyć.

Czy jednak przed chwilą nie powiedziała mu, że klan to wszystko albo nic?

– Przepraszam, to było nieuprzejme. – Anden najwyraźniej uświadomił sobie, że jego odpowiedź była samolubna i nieodpowiednia. – Po prostu ucieszyłem się, że wróciłaś, i pomyślałem sobie, że będziemy mogli częściej się spotykać, zanim znowu odleciś za granicę. Cieszę się, że ci się udało. To chyba bardzo dobra propozycja, zostaniesz międzynarodową bizneswoman. Gratuluję, Shae. Szczerze.

Choć nadal można było zauważyć, że jest zawiedziony, jego uśmiech wyrażał tak szczere pragnienie pojednania, że musiała poczuć się udobruchana. Gdyby tylko ona potrafiła tak szybko odzyskiwać równowagę.

– Wszystko w porządku, Anden – zapewniła. – Myślę, że jednak spędzimy razem trochę czasu. To moja wina, że nie odwiedziłam cię wcześniej. Dopiero niedawno dowiedziałam się o tym, co spotkało cię w Dzień Łodzi. Gdybym o tym wiedziała, na pewno...

Potrząsnął głową, gwałtownie, niemal gniewnie.

– To nie miało znaczenia. Nie grozili mi ani nie zrobili mi krzywdy. Nie jestem jeszcze zieloną kością.

Shae umilkła na dłuższą chwilę. Za jej plecami ludzie stojący za ladą wykrzykiwali zamówienia w stronę tłocznej kuchni, ludzie w kolejce śmiali się, rozmawiając ze sobą, a ćmy trzepotały skrzydłami, uwięzione pod zielonym brezentem nakrywającym patio. Na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Nad rozmazanymi plamami chmur wisiał ogromny księżyc.

– Chyba powinniśmy już sobie pójść – odezwał się Anden.

– O czym miałabym porozmawiać z Lanem? – zapytała. – Jeśli coś naprawdę cię niepokoi, wspomnę mu o tym przy najbliższym spotkaniu. Czy chodzi o coś, co usłyszałeś w Akademii?

– Nieważne. – Anden znowu potrząsnął głową. – Masz rację, moje zdanie na ten temat nie musi go obchodzić. Nie przejmuj się tym. – Odsunął krzesło, demonstrując dobry humor. – To naprawdę świetny lokal. Od kilku miesięcy nie jadłem czegoś równie dobrego. Pamiętasz, jak karmiłem w Akademii, prawda?

– Niestety tak.

Cokolwiek go gryzło, cokolwiek pragnął jej powiedzieć, nie mogła już dłużej naciskać na niego w tej sprawie. Pozwoliła mu zmienić temat rozmowy na lżejszy. Oboje wstali i zbrali swe rzeczy. Po drodze do najbliższej stacji metra nie rozmawiali zbyt wiele. Anden nagle zrobił się małomówny. Gdy wyszli na peron i przybył pociąg jadący na zachód, chłopak uściskał ją krótko.

– Cieszę się, że mogłem się z tobą zobaczyć, Shae. Spotkamy się wkrótce znowu?

Drzwi się za nim zamknęły i pociąg ruszył ze zgrzytem kół. Shae obserwowała światła znikające w tunelu z niezachwianą pewnością, że zawiodła kuzyna i umknęła jej jakaś szansa o kluczowym znaczeniu.

\*\*\*

Zamiast wrócić do domu, wsiadła do pociągu jadącego na wschód i dojechała do stacji znajdującej się tuż obok janlońskiej Świątyni Boskiego Powrotu. Ulicę, na którą wyszła, musiano niedawno poszerzyć, bo z pewnością nie przypominała sobie, by widziała tutaj tyle pasów ruchu. Przy pobliskim placu stał teraz pięciopiętrowy biurowiec, a nowy parking zdobił billboard reklamujący ygutańskie piwo. Sama świątynia wyglądała jednak tak samo jak przedtem. Nocą wydawała się jeszcze bardziej starożytna i szacowna niż za dnia. W blasku reflektorów przejeżdżających samochodów na kamienne rzeźbione kolumny i gliniany dach padały głębokie cienie. Shae nie odwiedzała świątyni od czasu, gdy była nastolatką, ale dzisiaj ogarnął ją głęboki niepokój i weszła do

środką przez zwieńczone ostrym łukiem zielone wrota.

W Dzielnicy Świątynnej znajdowała się nie tylko Świątynia Boskiego Powrotu, najstarsza ze świątyń bogowierców w mieście. W odległości dwóch przecznic wzniesiono ludową Kaplicę Nimumy, a nieco dalej janlooński Pierwszy Kościół Jedynej Prawdy. Pocieszała ją myśl, że Kekończycy, Abukei i cudzoziemcy modlą się obok siebie. Statut KSJ głosił, że świątynie bogowierców otrzymują jadeit w pierwszej kolejności, a w dodatku klany przeznaczały hojne datki na utrzymanie religijnych budynków, ale przysięgi pokutników odrzucały wszelkie świeckie lojalności i zapewniały azyl wszystkim czcicielom. Podobnie jak tereny otaczające Gmach Mądrości oraz Pałac Triumfalny, Dzielnica Świątynna była neutralnym gruntem. Tutaj władza klanów nie sięgała.

Shae przeszła przez ciche podwórko obsadzone świętymi drzewami lśniącymi w blasku księżyca i weszła do słabo oświetlonego wnętrza, gdzie miejscowi pokutnicy nieustannie pełnili trzygodzinne dyżury, pogrążeni w medytacyjnej modlitwie. Shae ujrzała krąg nieruchomych, odzianych w zielone szaty postaci na niskim podwyższeniu z przodu sali i zwołniała kroku. Zadała sobie pytanie, jak głęboko Postrzegają ją pokutnicy. Czy przy odpowiedniej mocy jadeitu można było wyczuć nie tylko obecność danej osoby oraz subtelności jej fizycznego stanu, lecz również wnikać w jej myśli, do wnętrza duszy?

Wybrała jedną z ceremonialnych poduszek i uklękła na niej. Dotknęła trzy razy czołem podłogi, jak nakazywał zwyczaj, a potem wyprostowała się i wsparła dłonie na udach. Jej spojrzenie ponownie przyciągnęły sylwetki trzech pokutników i trzech pokutniczek. Głowy i brwi mieli wygolone, a oczy zamknięte. Każde z nich siedziało ze skrzyżowanymi nogami, wspierając dłonie na szczytach kulistych brył jadeitu wielkości małej kuli do kręgli.

Mieć kontakt z tak wielką ilością jadeitu... Shae przypomniała sobie głązy, które widziała w kopalni, i szaloną pokusę położenia dłoni na jednym z nich. Pokutnicy musieli być świetnie wyszkoleni. Znakomicie potrafili panować nad mocą jadeitu. Zapewne byli w stanie usłyszeć muchę lądującą na poduszce na drugim końcu sali albo Postrzegać ludzi na ulicy. Mimo to zamarli w całkowitym bezruchu, oddychali powoli i miarowo, a na ich twarzach malował się spokój. Pod koniec trzygodzinnej zmiany oderwą dłonie od kuli, wstaną i oddalą się, ustępując miejsca następcom. Zawsze byli wykończeni po rzucie jadeitu i nagłym odstawieniu. Wiedziała, jak wygląda odstawienie, i drżała na myśl, że mogłaby je przeżywać dzień po dniu, w określonych odstępach czasu. Pokutnicy wierzyli, że w ten sposób przybliżają do boskości nie tylko siebie, lecz również całą ludzkość.

Shae zaczęła rozglądać się po sali. Nad kręgiem medytujących widniał sławny mural przedstawiający Wygnanie i Powrót. Oryginalny obraz, namalowany przed stuleciami, zniszczono podczas szotarskiej okupacji, a to, co widzieli obecnie czciciele, było biegle wykonaną rekonstrukcją, opartą na ludzkiej pamięci i starych fotografiach. W niszach w kamiennych ścianach świątyni – każda z nich była poświęcona jednemu z ważniejszych bóstw – paliły się wonne świece. Szum niewielkiego strumyka wypływającego z dwóch fontann w murze mieszał się z miejskimi hałasami, napływającymi do środka przez otwarte okna. O tak późnej porze świątynia była prawie pusta. Poza nią było tu tylko troje wiernych klęczących na zielonych ceremonialnych poduszkach – starszy mężczyzna w kącie z tyłu oraz kobieta w średnim wieku z córką, trzy rzędy przed nią. Obie płakały i obejmowały się czule. Shae wbiła wzrok w podłogę przed poduszką, zawstydzona tym, że jest świadkiem rodzinnej żałoby. Czuła się skrępowana myślą, że w ogóle przyszła do tego świętego miejsca. To była hipokryzja. Nie praktykowała od lat. Nie była nawet pewna, czy nadal może się zwać bogowierczynią.

Rzecz jasna, Kaulowie nominalnie byli religijni. W domu był rzadko używany pokój modlitewny, a w czasach dzieciństwa Shae w ważniejsze święta wszyscy wdziewali najlepsze ubrania i jechali do świątyni. Członkowie ich licznego i potężnego klanu klębili się przed wejściem do czasu, gdy pojawił się samochód Kaulów. Wtedy wszyscy oddawali im honory i składali wyrazy szacunku. W takich momentach Kaul Sen był w swoim żywiole. Pozdrowiał wszystkich z taką samą uprzejmością i wielkodusznością – od najbogatszych latarników po najmłodsze palce. Po odpowiednio długiej chwili dziadek Shae prowadził jej matkę, jej braci, ją (a później również Andena) do środka, a tłum podążał za nimi i całą świątynię wypełniały ich ściszone głosy oraz pulsowanie jadeitowej energii.

Kaul Sen zawsze zajmował miejsce pośrodku pierwszego rzędu. Żona klęczała na lewo od

niego. Po prawej stronie miał Lana, potem Hila, Shae (i wreszcie Andena, gdy już został Kaulen). Dalej klęcząca ich matka. Nabożeństwo ciągnęło się godzinami. Wykształceni – najstarsi pokutnicy, służący przez całe życie – prowadzili zebranych wiernych podczas recytacji tekstów wychwalających bogów, a następnie kierowali medytacyjnymi modlitwami mającymi umożliwić osiągnięcie Boskich Cnót. W trakcie recytacji Hilo wiercił się i robił miny, a Kaul Sen łypał na niego groźnie. Shae czuła, że drętwieją jej nogi i skupiała się na ignorowaniu Hila.

Kiedy była już większa, łatwiej jej było znosić nabożeństwa. W końcu uświadomiła sobie, że recytacje dają spokój i nadzieję. Bogowierstwo było głęboko kekońską wiarą. Istniało wiele sekt, od nacjonalistycznych aż po pacyfistyczne, ale wszystkie zgadzały się ze sobą co do tego, że jadeit zapewnia połączenie z niebem, jest boskim, choć niebezpiecznym, darem, którego należy używać z czcią i wyłącznie w szlachetnych celach. Zielone kości starały się być dobrymi i cnotliwymi ludźmi. Takimi jak jej dziadek, jak wówczas sądziła.

Jednakże w dzieciństwie nie zastanawiała się zbyt nad kwestiami duchowymi. Obchodziło ją tylko to, jak długo będą jeszcze trwały te męki. Kiedy zwieszała głowę, wspierała się na ręce albo zaczynała jęczeć, matka ją trącała, każąc jej się wyprostować.

– Wyprostuj się i bądź cicho – mówiła. – Wszyscy się na ciebie gapią.

Wyprostuj się i bądź cicho. Wszyscy się na ciebie gapią. Do tego sprowadzała się cała filozofia życiowa jej matki. No cóż, w tej chwili nikt się nie gapił na Shae. Bez jadeitowej aury żaden z dawnych kolegów z Akademii nie poznałby jej na ulicy. Gdy odebrała telefon od dyrektora regionalnego firmy Artykuły Gospodarstwa Domowego i Rolnego, ucieszyła się, że propozycję złożono, nie wiedząc, do jakiej rodziny należy. Niemniej poczuła tylko lekką ulgę, nie szczęście albo entuzjazm. Miała dyplom, własne mieszkanie, a międzynarodowa firma zaproponowała jej pracę. Każdy z jej kolegów z espeńskiej szkoły biznesowej pogratulowałby jej z tego powodu. Wreszcie stała się niezależną, światową, wykształconą kobietą, wyrosła ze stanu barbarzyństwa i uwolniła się od wpływów rodziny napędzanej jadeitem oraz testosteronem. Powinna się czuć wolna od więzów i obciążeń, a nie samotna i pełna wątpliwości.

Pochyliła głowę. Nie była pewna, czy wierzy w bogów swych przodków, w Wygnanie i Powrót, czy nawet w to, że jadeit pochodzi z nieba. Niemniej wszystkie zielone kości wiedziały, że tę energię można poczuć, wykorzystać i zapanować nad nią. Świat miał również głębsze warstwy i jeśli Shae skupi się wystarczająco, być może uda się jej nawiązać łączność z nim nawet bez jadeitu.

„Stańcie się moimi przewodnikami”, modliła się. „Dajcie mi znak”.

## Rozdział 31

### Niezdanie z planem

Gdy zadzwonił do niego Hilo, Lan był w gabinecie. To była specjalna linia. Tylko jego brat znał ten numer i wiedział, że może z niego korzystać wyłącznie w pilnych sprawach wymagających całkowicie bezpiecznego połączenia.

– Znalazłem dowód, którego szukałeś – oznajmił róg bez zbędnych wstępów. – Doru utrzymywał regularne kontakty z Górą. Brał od niej pieniądze. Przelano mu je na tajne konta.

Lan poczuł, że spadł na niego ogromny ciężar.

– Jesteś tego pewien?

– Tak.

Filar przez krótki moment nie był w stanie nic powiedzieć.

– Zatem załatwimy sprawę dziś w nocy.

Spojrzał na zegar. Dzień pracy już się kończył. Doru wkrótce opuści biuro na Statkowej. Nie było sensu zwlekać. To tylko utrudniłoby całą sprawę.

Umówił wszystko z Hilem, a potem odłożył słuchawkę i przez kilka minut siedział pogrążony w zamyśleniu. Prognozyk niedawno wrócił z Ygutanu i przywiózł informacje o działalności Góry, w tym również szczegóły dotyczące zakładów produkujących błysk oraz nawiązanych przez Ayt kontaktów biznesowych. Pięść i palec, którzy byli jego strażnikami osobistymi, obserwowali go uważnie i podczas całej wyprawy nie zauważyli nic podejrzanego.

Doru nie był głupi. Wiedział, że jego pozycja w klanie jest słaba, a ponieważ Kaul Sena z każdym dniem opuszczały władze umysłowe, prognozyk najwyraźniej zdecydował, że musi trzymać głowę nisko. Przełknął nawet zniewagę, jaką było zawieszenie przez Lana działalności KSJ pod jego nieobecność. Choć filar przygotował się w myślach na telefon Hila, ta przyjemna zmiana w zachowaniu Doru sprawiła, że przez krótką chwilę rozważał możliwość, że niesłusznie go podejrzewał.

Zadzwonił do biura Woon. Gdy filarowy się zjawił, Lan wstał, by go przywitać.

– Byłeś moim przyjacielem od wielu lat, a przez ostatnie trzy dobrym filarowym. Od jutra rana zostaniesz prognozykiem klanu Bez Szczytów.

Ta nominacja z pewnością nie była całkowitym zaskoczeniem dla Woon, niemniej okazał ogromną wdzięczność.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem – oznajmił, składając pełne honory. – Dziękuję za ten zaszczyt, Lan-jen. Nie zawiodę cię.

Lan uściskał go serdecznie.

– W ciągu kilku ostatnich miesięcy przyznawałem ci coraz większą odpowiedzialność, a ty dobrze się spisałeś. Jesteś gotowy. – W gruncie rzeczy nie był pewien, czy tak jest rzeczywiście. Nadal uważał, że Woon nie jest materiałem na wybitnego prognozyka, ale miał pewien talent, a do tego Lan nie wątpił w jego lojalność. Tak czy inaczej, nie miał wyboru. Woon będzie musiał jakoś sobie poradzić. – Nie wspominaj o tym nikomu ani słowem, dopóki nie udzielę ci jutro pozwolenia.

– Rozumiem. Lan-jen – odparł Woon z należytą powagą, świadczącą, że zdaje sobie sprawę, że otrzymał to stanowisko dzięki upadkowi tego, kto piastował je przedtem.

– Dla klanu nastały ciężkie czasy. Musisz być przygotowany do szybkiego przejęcia kontroli nad biurem prognozyka. Wróć wcześniej do domu i dobrze się wyspij, ale najpierw sobie łyknijmy.

Lan wyjął butelkę z szafki i nalał im obu po kieliszku hoji. Dla uczczenia tej chwili wypili trunek bez słowa.

Gdy Woon raz jeszcze podziękował i opuścił gabinet, Lan przerzucił papiery leżące na biurku, właściwie nie poświęcając im zbytnej uwagi. Ostatnio nigdy nie czuł się w pełni sił ani fizycznych, ani umysłowych. Utrzymująca się słabość ciała nasilała w nim nieustanny lęk przed groźbami, które zawisły nad klanem, a teraz świadomość, że następne dwadzieścia cztery godziny będą wyjątkowo trudne, dodatkowo utrudniała mu koncentrację.

Jego uwagę przyciągnęła koperta leżąca w nietkniętej stercie nieodebranej poczty. Wyciągnął ją i zauważył, że adres zwrotny to skrzynka pocztowa w Stepenlandzie. List od Eyni. Dotknął krawędzi koperty. Pragnął ją otworzyć, lecz jednocześnie czuł przed tym silne opory. Od chwili rozvodu wymienili kilka listów – uprzejmych i rzeczowych, mających ułatwić załatwienie nierozwiązanych spraw. Podała mu adres, pod który miał wysłać jej rzeczy, i tak dalej. Gdy jednak zobaczył jej pismo i usłyszał w głowie jej głos, jak zawsze wracały wspomnienia. Westchnął głośno. Miał dziś i tak wystarczająco wiele problemów.

Przyznała się mu, że ma romans. Jeden z ludzi Hila widział, jak wchodziła z kochankiem do budynku. Wiedząc, że sprawa się wydała, Eyni natychmiast przyjechała do Lana, by go o wszystkim poinformować, zanim zrobi to Hilo.

– Proszę, nie zabijaj go – błagała szeptem, siedząc na skraju ich łóżka i ściskając dłonie między kolanami. – On nie jest Kekończykiem i nie rozumie naszych zwyczajów. Przystanę się z nim spotykać i zostanę z tobą albo odejdę i już nigdy mnie nie zobaczysz, jak mi każesz. Tylko, błagam, nie zabijaj go. I nie pozwól, żeby Hilo to zrobił. Nie proszę o nic więcej.

Właśnie te błagalne słowa, ewidentnie płynące z autentycznego strachu, najbardziej zasmuciły Lana. Najwyraźniej w ogóle go nie znała, mimo że byli małżeństwem od pięciu lat.

– Czy naprawdę jest tak znacznie lepszym człowiekiem ode mnie? – zapytał właściwie sam siebie Lan pozbawionym wyrazu głosem.

Eyni spojrzała na niego, unosząc brwi. Nawet gdy była strapiona, jej twarz w kształcie serca pozostawała autentycznie, bezpretensjonalnie ładna.

– Z pewnością nie. Ale nie jest filarem wielkiego klanu Bez Szczytów. Nie odwołuje nagle kolacji, nie chodzi wszędzie z ochroniarzami, nikt nie poznaje go na ulicy i nie oddaje mu publicznie honorów ani nie zatrzymuje go i nie prosi o przysługi dla krewnych. Może robić głupoty, wstawać późno albo wyjechać na wakacje bez wcześniejszych planów. Wszystko to, co kiedyś robiliśmy razem.

– Zawsze wiedziałas, że kiedyś zostanę filarem – odparł oskarżycielskim tonem Lan. – Zdałaś sobie sprawę, jak to będzie wyglądało. Mnóstwo kobiet z radością zostałyby żonami filaru. Zapewniałaś, że jesteś jedną z nich.

Oczy Eyni wypełniły łzy.

– Kiedyś nią byłam.

Powinienem kazać jej zostać, pomyślał Lan z typowo kekońską mściwością. W zamian za darowanie życia cudzoziemcowi musiałaby dać mi dziedzica klanu.

Nie potrafił jednak być aż tak okrutny – ani dla niej, ani dla siebie.

Koperta, którą trzymał w dłoni, była kwadratowa i sztywna niczym kartka z życzeniami. Wyglądała też na grubszą od poprzednich, jakby zawierała więcej wiadomości. Wyobraził sobie, że otwiera ją i znajduje w środku list, w którym Eyni wyraża skruchę i błaga, by przyjął ją z powrotem. Znacznie bardziej prawdopodobne było jednak to, że – pełna dobrych intencji, lecz całkowicie pozbawiona serca – informowała go, że wszystko u niej w porządku, opowiadała o swym nowym domu za morzem i o wszystkim, co robi i ogląda ze swoim chłopakiem.

Schował list do szuflady. Tak czy inaczej, to nie była odpowiednia chwila na melancholijne rozmyślenia o byłej żonie. Otworzy go później. Niemniej nadal go wabił, nawet z zamkniętej szuflady. Lan wstał i opuścił dom. Był wieczór piątego dnia. Miał jeszcze mnóstwo czasu, by wrócić i czekać na telefon od Hila.

\*\*\*

Po kilku godzinach, pomimo posiłku i numerku w Boskim Bzie, Lan nadal nie czuł się lepiej. Siedział na skraju łóżka, dopalając papierosa, i starał się wydusić z wieczoru kilka ostatnich minut spokoju, nim będzie musiał wyruszyć w drogę.

– Coś się stało? – Yunni podpełzła do niego od tyłu i objęła gołymi ramionami jego szyję.

Uwolnił się jednak z jej uścisku i wstał. Wciągnął spodnie i poszedł do łazienki, z jej zapachowymi świecami i czerwonym światłem. Opłukał twarz zimną wodą, po czym zdjął ręcznik z wieszaka i wytarł szyję oraz nagą pierś.

– Musisz już iść? – kusila go leżąca na łóżku Yunni. – Wróc do mnie. Zostań całą noc.

To by się jej podobało. Gdyby został, zarobiłaby więcej, co wynagodziłoby jej fakt, że rza-

dziej ją ostatnio odwiedzał.

– Chciałbym na chwilę zostać sam – odparł. – Proszę – dodał, ponieważ nie potrafił zdobyć się na to, by traktować ją brutalnie.

Starannie podtrzymywana fasada śpiewaczki zachwiała się na moment. Yunni skrzyżowała ręce na piersiach. Wyczuwał jej oburzenie. „Czy ma mnie za zwykłą uliczną kurwę?”. Gdzie się podział wyrafinowany klient, lubiący śpiew i grę na harfie, konwersację i wino?

Wzięła się jednak w garść z godną podziwu biegłością i wstała z nieśpieszną gracją.

– Jak sobie życzysz, Kaul-jen.

Włożyła szlafrok i pantofelki, wyszła i zamknęła za sobą drzwi z głośnym stuknięciem, dając wyraz swej irytacji. Lan nie odprowadzał jej wzrokiem. Założył zegarek i spojrzał na niego. Trzy pięści czekały już, by przechwycić Yun Doru pod drzwiami jego ulubionego burdelu w dość podejrzanym dzielnicy Pralnia. Uwagi Lana nie umknęła ironia kryjąca się w fakcie, że on i Doru spędzają wieczór przed swą ostateczną konfrontacją w podobnych miejscach.

Po przechwyceniu Doru pięści zawiozą go w nieujawnione miejsce. Kiedy tam przybędą, Hilo zadzwoni do Lana do domu. Pięściom powiedziano, że nie mogą zabić Doru ani zrobić mu żadnej krzywdy, dopóki nie zjawi się filar. Lan oszpecał im to jasno. Pragnął spojrzeć w oczy człowiekowi, którego traktował jak wujka, i zapytać, dlaczego zdradził klan po tak wielu latach. Później będzie musiał zdecydować, co zrobić z prognostykiem, i ukryć wszystko przed Kaul Senem.

Gdy jednak zbliżała się godzina nieuniknionej próby, Lan czuł się coraz mniej pewny, czy potrafi zrobić to, co konieczne. Mimo że wiedział, że Doru jest zdrajcą, nie chciał go zabijać. Nadal pamiętał, jak prognostyk wracał z wyjazdów w interesach, przywożąc słodczyce dla wnuków Kaula. Wypełniało go poczucie winy na myśl o Doru i jego dziadku grających w szachy na dziedzińcu. Jednakże zdrady, do której doszło na tak wysokim szczeblu, blisko samego serca klanu, nie sposób było wybaczyć. Filar zadawał sobie pytanie: Czy można być jednocześnie silnym przywódcą i człowiekiem zdolnym do współczucia? A może to były przeciwstawne siły, nieustannie ze sobą rywalizujące?

Gdy Yunni zniknęła za zamkniętymi drzwiami, Lan otworzył zamek szyfrowy i wyjął resztę jadeitu. To był kolejny powód, dla którego nie przychodził tu już tak często. Ciągłe zdejmowanie i wkładanie tyłu klejnotów sprawiało mu obecnie ból, jakby zanurzano go na przemian w lodzie i w rozżarzonych węgielkach albo potrząsano nim niczym owadem zamkniętym w słoiku. Dotknął kolejno wszystkich paciorków w naszyjniku, jakby chciał się upewnić, czy są na miejscu, po czym założył pas i bransolety, ciężkie od jadeitu, który zabrał Gamowi. Przygotował się.

Rzut nadszedł po kilku sekundach zwłoki, znacznie silniejszy niż zwykle. Świat przechylił się i skurczył. Ciało Lana protestowało głośno, czuł gwałtowny ból w klatce piersiowej. Padł na podłogę, zaciskając palce na dywanie. Oddychaj, oddychaj. Weź się w garść. Stłumił jęk. Te objawy powinny słabnąć. Lekarz zapewniał, że uszkodzenia spowodowane przez Gama są przejściowe. Ale Lan nie wyzdrowiał i skutki nadmiernego wystawienia na jadeit nadal prześladowały go od czasu do czasu. Niegojące się obrażenia po pojedynku, zwiększone obciążenie jadeitem, silny stres i brak snu – wszystkie te objawy nasilały się nawzajem, tworząc błędne koło. Doczołgał się do łóżka i sięgnął po marynarkę wiszącą na kołku przy nadglówiu. Obmacywał ją, aż znalazł stazę, fiolkę i strzykawkę ukryte w wewnętrznej kieszeni. Wyciągnął wszystkie.

Miał wrażenie, że pokój go atakuje, ściany naciskają nań ze wszystkich stron. Jego zmysły oszalały, raz były skupione, a raz traciły precyzję. Usłyszał urywek jakiejś gniewnej rozmowy na ulicy, tak wyraźnie, jakby toczyła się tuż obok niego. W następnej sekundzie umilkła, ale pościel zrobiła się tak szorstka, że skóra swędziała go od jej dotyku. Potarł oczy kłębami dłoni, starając się sięgnąć po metody panowania nad jadeitową mocą, których nauczył się w Akademii.

Nie potrzebował ich od czasów, gdy był nastolatkiem. Napiął, a następnie rozluźnił wszystkie mięśnie w ciele, licząc powoli oddechy. Aż wreszcie odepchnął wszelkie wrażenia na możliwą do zniesienia odległość i ręce przestały mu drżeć. Usiadł na poduszce, wspierając się plecami o wezgłowie, zawiązał stazę, wciągnął zawartość fiolki do strzykawki i się zawahał.

Jego wspomnienia wypełniły szok i niedowierzanie, które ujrzał na twarzy Andena. Wstydział się wtedy okropnie, wiedząc, że głęboko podważył szacunek i zaufanie, jakimi darzył go chłopak. Podzielał niesmak kuzyna. Nienawidził igieł i gardził SN1. Nie znosił pomagania sobie tym środkiem, by uzyskać tolerancję na jadeit, którą zawsze uważał za coś oczywistego. Robił, co tylko

mógł, by powstrzymać produkcję i dystrybucję tej trucizny, a teraz sam nosił ze sobą fiolkę, ukrytą w kieszeni marynarki jak maleńki ładunek wybuchowy. Ból, jaki sprawiła mu konieczność usprawiedliwiania się przed Andenem, sprawił, że przez wiele dni nie robił sobie zastrzyków. Wiedział, że nie w ten sposób powinno się używać SN1, ale za każdym razem czekał tak długo, jak tylko mógł, sądząc, że wreszcie czuje się lepiej i nie musi sobie pomagać lekiem. Potem jednak wracały nerwowość, zaburzenia zmysłów, poty i przyspieszone bicie serca.

Jutro znowu pójdzie na badania do doktora Truw i dowie się, czy mógłby zrobić coś jeszcze, by przyspieszyć naturalny proces zdrowienia i odbudować tolerancję do punktu, w którym będzie mógł nosić jadeit bez chemicznego wspomaganie. Być może powinien podjąć ryzyko i na jakiś czas powierzyć dowództwo Hilowi. To była niepokojąca myśl, ale wtedy mógłby wyjechać na tydzień do Marenii, gdzie mógłby nosić nieco mniej jadeitu i odzyskać zdrowie. Dzisiaj jednak nie może okazać słabości. Musi myśleć jasno i szybko podejmować decyzje. To nie był czas na mętne myślenie ani chwiejne emocje. Musiał skazać człowieka na śmierć.

Wbił igłę w żyłę i opróżnił strzykawkę. Następnie zdjął stazę i zamknął oczy. Narkotyk wypełnił jego mózg i po kilku minutach wszystko się przejaśniło, jakby telewizyjna antena odnalazła wreszcie sygnał i zakłócenia przerodziły się w wyraźny obraz. Wypełniła go potężna jadeitowa energia, była jednak uporządkowana i w pełni nad nią panował. Czekala na polecenia jego woli. Zmysły miał ostre jak nóż, ale spójne i skoordynowane. Nie traciły co chwila ostrości. Czuł się świetnie. Był potężny. Mógłby wskoczyć na balkon na piętrze albo rzucić Odbijanie tak potężne, że przeniosłoby cały samochód. Pozwolił sobie na moment zdumienia. Miał moralne obiekcje wobec SN1 oraz wszystkiego, co ten specyfik sobą reprezentował, a był on naprawdę niezwykły. Nic dziwnego, że cudzoziemcy pragnęli go tak gorąco. Nic dziwnego, że Ayt Mada marzyła o fortunie, którą zdobędzie, sprzedając go im.

Lan schował wszystko do kieszeni marynarki, ubrał się i wyszedł z pokoju. Na dole zbył machnięciem ręki cukierkowe pytania pani Sugo, pragnącej się dowiedzieć, czy jest zadowolony z wizyty. Zapewnił, że tak, ale niestety nie może dziś zostać dłużej. Musiał wrócić do rezydencji, nim Hilo zadzwoni i telefon odbierze ktoś inny.

Woono odesłał do domu i wiedział, że róg jest zajęty wykonywaniem jego instrukcji, nie informował więc nikogo, że wychodzi na kilka godzin. Wziął taksówkę, a samochód zostawił w garażu, by nie przyciągać niczyjej uwagi. Droga do Boskiego Bzu i z powrotem wiodła wyłącznie przez tereny pozostające pod niekwestionowaną kontrolą klanu Bez Szczytów, ryzyko nie było więc zbyt wielkie. Na ulicy złapał kolejną taksówkę i kazał się zawieźć do rezydencji Kaulów.

\*\*\*

Serce Bera tłukło mocno w piersiach, ale dłonie mu nie drżały. Uniósł fullertona leżącego na podłodze po stronie dla pasażera, położył go sobie na kolanach i przygotował się do nagłego otwarcia drzwi. Przed półgodziną zadzwonił do niego Mudt, a piętnaście minut później pod mieszkaniem ciotki pojawił się kierowca z samochodem.

– To musi być dzisiaj – oznajmił Mudt.

Wszystko działo się bardzo szybko, ale Bero nie miał nic przeciwko temu. Im prędzej, tym lepiej. Przed matową czerwoną fasadą Boskiego Bzu stało dwóch bramkarzy i parkowało tam kilka samochodów, ale nigdzie nie widział srebrnego roewolfe'a.

– Jesteś gotowy, keke? – zapytał Bero, oglądając się przez ramię.

Siedzący z tyłu Pyskaty odchrząknął nerwowo na znak potwierdzenia.

Z Boskiego Bzu wyszedł mężczyzna, którego Bero poznałby wszędzie. Chłopak gapił się na niego ze zdumieniem, trzymając jedną dłoń na kłamce. Kaul Lan, filar klanu Bez Szczytów, wsiadł do taksówki tuż przed nimi i ruszył w drogę.

Bero znieruchomiał na krótką chwilę. Nagle wszystko zrozumiał. Odwrócił się błyskawicznie.

– Za tą taksówką! Szybko!

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał Pyskaty i zamknął częściowo otwarte drzwi, gdy samochód ruszył. – Mieliliśmy ostrzelać klub! Takie mamy rozkazy!

– Zapomnij o jebanym klubie! – odkrzyknął Bero. – Jak myślisz, dlaczego przysłali nas tu akurat dzisiaj? Dlatego że był tu pierdolony filar klanu Bez Szczytów! A teraz odjechał tą tak-



sówką. To jego chce załatwić Góra. Nie ma sensu atakować lokalu, jeśli go tam nie ma! – Bero nie tylko był tego pewien, lecz również sądził, że los uśmiechnął się do niego, dając mu szansę, na którą czekał, coś jeszcze lepszego niż to, co mu obiecano. – To jest to, keke – dodał. – Nasza wielka szansa.

„Jeśli wykonacie dobrą robotę, wyrzecie odpowiednie wrażenie i pokażecie, że możecie być użyteczni dla klanu, będziemy mieli o czym rozmawiać”.

Tak brzmiały słowa zielonej kości. Cóż mogłoby zrobić lepsze wrażenie i mieć większą wartość niż załatwienie samego Kaul Lana?

W uśmiechu Bera pojawiła się odrobina szaleństwa. Bez trudu przywołał wspomnienie lekceważącej, pełnej współczucia pogardy Lana. Dzisiaj filar klanu Bez Szczytów uświadomi sobie, jak wielkim błędem było zlekceważenie Bera. Ścieżki losu bywały tajemnicze i piękne.

– Dobra – wydyszał Bero. – Na następnych świątkach zrównaj się z taksówką.

Kierowca był masywnie zbudowanym facetem o gruzłowatej twarzy, który przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem. Albo był za głupi, by czymkolwiek się przejmować, albo uważał, że w jego pracy zamachy z użyciem pistoletów maszynowych są czymś codziennym. Kto wie, gdzie go znalazł Mudt? Nawet w tej chwili nie odpowiedział, a tylko wzruszył ramionami i nacisnął gaz.

– Oszalałeś. To filar pierdolonego klanu Bez Szczytów! – zawołał bliski paniki Pyskaty. – Nakarmimy robaki.

Mimo to opuścił szybę samochodu. Przygotowali się do wysunięcia luf fullertonów na zewnątrz po prawej stronie i otworzenia ognia. To będzie szybkie, bardzo głośne i paskudne.

\*\*\*

Lan zauważył śledzący go czarny samochód. Jego uwagi początkowo nie przyciągnął sam pojazd – wzmocnione Postrzeżanie Lana już z odległości przecznicy wykryło łatwo zauważalny strach i wrogość skierowane przeciwko niemu. Obejrzał się przez ramię i dostrzegł maszynę, która skręciła za nimi, trzymając się na długość dwóch samochodów z tyłu.

Trzech mężczyzn. Energia kierowcy była chłodna i bezbarwna, ale dwaj pozostali byli płomieniami ekscytacji, agresji i strachu. Żaden nie miał jadeitowej aury. Zatem nie były to zielone kości, tylko pospoliccy przestępcy albo wynajęte zbiry. Lan wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia, wyjął z portfela pieniądze – wystarczająco wiele, by z nawiązką wystarczyło ich do pokrycia rachunku – i wręczył je taksówkarzowi.

– Wystarczy – oznajmił. – Zawróć przy następnym skrzyżowaniu i wysadź mnie na rogu. A potem stąd zmiataj. Tylko trzymaj głowę nisko.

\*\*\*

Taksówka przyśpieszyła nagle, a następnie zawróciła.

– Kurwa, co on robi?! – zawołał Beru.

– Zauważył nas – odezwał się z tylnego siedzenia Pyskaty. – Wysiada z taksówki.

– Zawracaj! – wrzasnął Bero na kierowcę. – Szybko, żeby nie uciekł.

Ruch uliczny zasłaniał już przed nimi drugi samochód. Kierowca stracił kilka sekund, nim zdążył wykonać ostry skręt i podjechać do krawężnika, przy którym wysiadł Kaul. Taksówka tymczasem się oddaliła, a zielonej kości nigdzie nie było widać. Niech to chuj! Bero otworzył drzwi i wyskoczył na chodnik, rozglądając się w poszukiwaniu zbiegłego celu.

– Co znowu wyprawiasz? – wyszczał Pyskaty przez otwarte okno samochodu. – Kaul uciekł. Nie będziemy go ścigać na piechotę. Wsiadaj, nim ktoś zauważy, że stoisz tu z jebanym fullertonem. Wrócimy do klubu i wykonamy robotę, którą nam zlecono.

Nigdzie nie widział Kaula. Ulica graniczyła ze stromo opadającą skarpą. Bero podbiegł do poręczy i spojrzął w dół, przypominając sobie z desperacją, jak szybko potrafią się poruszać zielone kości. Porośnięty gęstą trawą stok nikał w ciemności, opadając ku pogrążonemu w mroku nabrzeżu, przy którym cumowały małe żagłówki. Bero wyteżał wzrok, ale wzbierała w nim frustracja. Nic nie szło zgodnie z planem.

Nagłym, cudownym zbiegiem okoliczności, jakby przeznaczenie uśmiechnęło się do niego i skierowało jego wzrok we właściwe miejsce, zauważył postać idącą nadbrzeżną promenadą. Było

zbyt ciemno, by zobaczyć, czy to Kaul, ale Bero nie miał wątpliwości. To były postawa i sposób chodzenia.

– Widzę go! – zawołał triumfalnie chłopak.

Pyskaty zaklął i wygramolił się z samochodu. On również oparł się o poręcz i spojrzał w kierunku wskazywanym przez Bera.

– Zapomnij o tym, keke. Jest już daleko i wie, że go ścigamy. Dorwiemy go następnym razem.

– Nie będzie następnego razu!

Kaul będzie się miał na baczności. Wszędzie będzie chodził z ochroniarzami albo zmieni zwyczaj. Tak czy inaczej, po tym niepowodzeniu zielona kość z bródką odrzuci Bera jako kolejnego bezwartościowego kandydata i odbierze mu szansę na jadeit.

Bero przerzucił taśmę fullertona przez ramię i wlaź na barierę.

– Możesz tu zostać, jeśli chcesz – oznajmił. – Ale kiedy wrócę z głową Kaula, opowiem wszystkim, że okazałeś się bezkrwistym tchórzem. Lepiej od razu wyprowadź się z miasta.

Pyskaty był tchórzem, podobnie jak Sampa, ale różnił się od niego tym, że nie znosił, gdy go tak nazywano. Bero zauważył to już dawno. Zeskoczył na stok i zaczął się po nim zsuwać tak szybko, jak tylko mógł to robić z ciężką bronią na plecach. Ani razu się nie obejrzał. Był pewien, że Pyskaty rzuci parę przekleństw i podąży za nim. A nawet gdyby tego nie zrobił, Bera to nie obchodziło. Nie da za wygraną. Nie pozwoli, by wymknęła mu się taka szansa.

Zielona kość z bródką obiecał mu grudkę jadeitu za ostrzelanie Boskiego Bzu, ale jeśli Bero zabije Kaul Lana – filar klanu Bez Szczytów! – do licha, cały jadeit Kaula będzie zgodnie z prawem należał do niego. Zielone kości zabierały go zabitym nieprzyjaciołom. Wszyscy to wiedzieli.

\*\*\*

Lan przeskoczył przez barierę i użył Lekkości, by wylądować na pustej drewnianej promenadzie biegnącej wzdłuż portu. Poprawił marynarkę i ruszył naprzód, zostawiając z tyłu ścigających. Nie martwił się o to, że będą go śledzić. Jego Postrzeżenie było niewiarygodne, silniejsze i bardziej klarowne niż kiedykolwiek dotąd. Wyczuwał chaos i dezorientację, jakie zostawił za sobą. Był pewien, że te zbiry nawet nie są zawodowcami. Wynajęto ich, żeby spróbowali go załtwić. Uważał to niemal za zniewagę.

Dodatkowo dręczyła go myśl, że on i jego rodzina wcale nie są tak bezpieczni na terytorium klanu Bez Szczytów, jak mu się do tej pory zdawało. Przed pokoleniem, podczas cudzoziemskiej okupacji, kekońscy rebelianci byli mistrzami wojny partyzanckiej, nagłych ataków i nieustannego nękania przeciwnika. Hilo opowiadał mu o zorganizowanych kradzieżach w Dzielnicy Portowej. Niemal na pewno stał za nimi klan Góra. Lan był pewien, że ten nowy atak jest częścią tej samej operacji, mającej na celu wyczerpanie sił klanu Bez Szczytów, odwrócenia uwagi jego przywódców i przeciążenia ich. Ich wrogowie udawali, że nie prowadzą żadnych działań, ukrywali się za plecami pospolitych przestępców, tak lekkomyślnych i głupich, że bez oporu wykonywali ich polecenia. To przypominało cierpliwą taktykę, jakiej używali Ayt Yu i Kaul Sen w walce z Szotarczykami, lecz było całkowicie sprzeczne z tradycją rozstrzygania sporów między zielonymi kośćmi za pomocą otwartych pojedynków. Było obraźliwe i świadczyło o braku szacunku. Gniewało go i świetnie rozumiał, dlaczego Hila doprowadza do furii.

Być może powinien zawrócić i zabić tych ludzi. Nie miał jednak na to czasu i nie chciał urządzać niepotrzebnych scen. Miał dziś na głowie ważniejsze problemy. Powinien już być w gabinecie i czekać na telefon od Hila. Przyspieszył kroku. Promenada ciągnęła się aż do miejsca, w którym Bulwar Generalski przechodził pod autostradą KI-1. Będzie mógł wspiąć się na ulicę i złapać kolejną taksówkę, która odwiezie go bezpiecznie do domu.

Był już prawie na miejscu, gdy pierś niespodziewanie przeszył mu ból. Nagły, straszliwy ucisk, jakby w jego przeponę uderzyła potężna pięść. Zaniepokojony Lan zwolnił i dotknął dłonią mostka. W niemal całkowitym mroku nic się nie poruszało. Światło latarń docierające tu z drogi na górze padało na płaskie sylwetki sampanów i maszty dżonek kołyszących się na pluskającej lekko o ich kadłuby wodzie.

Lana ogarnęła dezorientacja, jakby przeszedł z jednego miejsca w zupełnie inne przez bramę wewnątrz snu. Potrząsnął głową, starając się zorientować, co się dzieje. Skąd się tu wziął?

Co właściwie tu robił? Oddychał krótko i płytko. Zastanawiał się, dlaczego serce bije mu tak nieregularnie.

Był w porcie. Próbował wrócić do domu. Opuścił Boski Bez, wszedł do taksówki, śledzono go... dlatego opuścił taksówkę i znalazł się tutaj. Dlaczego na moment całkowicie zapomniał o tym wszystkim? Zrobił jeszcze kilka kroków, a potem się zachwiał. Nie mógł utrzymać równowagi. Coś tu było nie w porządku. Spowijała go mgła, wysysająca klarowność z jego umysłu i siłę z ciała. Czuł dziwne ciepło, ale gdy dotknął dłonią czoła, zorientował się, że się nie poci. Skórę miał gorącą i suchą, jak podczas gorączki. To nie były objawy związane z jadeitem. Nigdy dotąd nie doświadczył czegoś takiego. Przyszło mu na myśl, że to może być udar albo atak serca. Później nasunęło mu się bardziej oczywiste wytłumaczenie. Zastrzyk SN1, który wziął niedawno. Ile dni minęło od poprzedniego? Osiem? Dziewięć? Po tak długim odstawieniu powinien był ograniczyć się do połowy dawki. Pośpiech i roztargnienie sprawiły jednak, że przyjął całą.

Spróbował się skupić. Musiał natychmiast dostać się na ulicę i znaleźć telefon. W domu miał antidotum na SN1, trzeba było tylko tam dotrzeć. Stawiał krok po kroku, ale nie potrafił ocenić, jak daleko jest ziemia, i potykał się. Zacisnął pięści. Potrafi tego dokonać, zmusi się do tego siłą woli. Ulica nie była daleko, a on był Kaulem. Jego ojciec kiedyś czołgał się trzy dni przez dżunglę, mając kulę w plecach. Wlepił wzrok przed siebie, uspokoił oddech i zrobił pierwszy krok, a po nim drugi. W głowie mu się przejaśniło i szedł teraz pewniej.

Nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się. Dwóch mężczyzn z czarnego samochodu – nie, to były nastolatki – dotarło za nim aż tutaj. Zdumiewało go nie tyle to, że im się udało, ile fakt, że zdołali się zbliżyć do niego na pięćdziesiąt metrów, a on nic nie zauważył. Kiedy się odwrócił, zatrzymali się. Nastąpiła chwila milczenia i bezruchu. Wyższy chłopak po prawej zaczął się szarpać z zamkiem fullertona, ale to ten drugi, o pożółkłej, zniekształconej twarzy wzbudził zdumienie Lana.

– To ty?

Otworzyli ogień.

Pod czaszką filaru eksplodowały oszołomienie i gniew.

Dość już tego. Dość.

Uniósł ręce, uwalniając Stal i Odbijanie w potężnej fali jadeitowej energii. Chłopaki nie umiały strzelać zbyt dobrze, a adrenalina i strach pogarszały tylko sprawę. Kule wbijały się w pomost pod stopami Lana, przelatowały nad nim ze świstem, uderzały w kadłuby łodzi, a nawet wpadały do wody, rozpryskując ją nieco. Te, które by go trafiły, moc filaru strąciła w locie, jak nagła wichura strąca muchy. Zebrał je wszystkie w fali Odbijania – czego próbował nauczyć Andena – zawrócił i cisnął nimi w nastolatków jak garstką kamyków.

Nie miały śmiertelnej siły i celności pocisków wystrzelonych z broni palnej, ale nadal pozostawały niebezpieczne. Jeden z napastników wypuścił fullertona i złapał się za ramię, drugi zaś oberwał w kolana i runął z krzykiem na promenadę. Jego broń spadła ze stukiem na deski. Lan zerwał się już do ataku, szybszy niż cień. Zapłonęła w nim Siła. Złapał jednego z napastników za gardło i zmiążdżył mu tchawicę, nim ten zdążył upaść. Zwrócił się w stronę drugiego, tego, któremu przed sześcioma miesiącami darował życie. Zraniony chłopak próbował unieść broń lewą ręką. Lan wyrwał mu ją, zgiał lufę w dłoniach i odrzucił fullertona na bok. Nastolatek cofał się przed nim, rozdziawiając szeroko usta. Jego twarz przerodziła się w biały owal, gdy lekkomyślna chciwość wreszcie ustąpiła miejsca strachowi.

– Pragniesz tego, prawda? – Lan ujął w dłoń jadeitowy naszyjnik. – Uważasz, że warto za to zginąć. Wydaje ci się, że jadeit uczyni cię kimś, kim nie jesteś. – Wyciągnął rękę, by złapać durnia za włosy, pociągnąć go ku sobie i złamać mu kark jak kaczce, co poprzednio zamierzał uczynić Hilo. – To znaczy, że jesteś głupi. Za głupi, żeby żyć.

Ale jego dłoń pochwyliła tylko powietrze. Niespodziewanie nogi się pod nim ugięły i Lan osunął się na deski. Jego ciało wypełnił żar gorejący pod skórą. Ból w klatce piersiowej powrócił ze zdwojoną siłą, przeganiając wszelkie myśli.

Nastolatek cofał się, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Po chwili odwrócił się i rzucił do ucieczki. Jego kroki niosły się echem wewnątrz czaszki Lana niczym dźwięk cymbałów. Ale filar tego nie słyszał. Nie był w stanie oddychać. Czuł suchość w ustach, a gardło mu płonęło. Starał się to powstrzymać. Zgasić ogień. Ogień był jak jadeit, jak chciwość, wojna i niespełnione oczekiwa-

nia. Pochłaniał wszystko, czego dotknął. Woda. Musi się dostać do wody.

Świat tracił barwy. Lan miotał się gwałtownie, jakby zrywano z niego cały jadeit. Gorączkowo dotykał swego ciała, szukając naszyjników i bransolet. Nadal miał każdy kamień. „Wstań”, rozkazał sobie. „Ruszaj się”. Podźwignął się i postąpił kilka kroków. Kiedyś biegał swobodnie po cienkich belkach w Sali Ćwiczebnej w Akademii, ale teraz stracił równowagę i postawił stopę za blisko brzegu pomostu. Przewrócił się i wpadł do wody. Nagłe zimno przyniosło mu ulgę tak wielką, że nawet nie próbował się opierać, gdy nad jego głową zamknęła się cisza.

## Interludium 2

### Ten, który powrócił

Najbardziej znany ze świętych tekstów religii bogowierców, Pakt Powrotu, opowiada historię pobożnego człowieka imieniem Jenshu, który bardzo dawno temu wystąpił przeciwko złym rządóm despotycznego króla i był zmuszony opuścić ojczyznę. Zabrał ze sobą całą liczną rodzinę, w tym również młodszych braci i siostry z ich rodzinami, wsiadł z nimi na wielkich statek i wyruszył na poszukiwania legendarnych ruin pierwszego jadeitowego pałacu na Ziemi.

Ich podróże trwały czterdzieści lat, podczas których często się zatrzymywali, ale nigdy na stałe. Jedni bogowie im pomagali, inni zaś przeszkadzali. Przeżyli też mnóstwo przygód, które stały się podstawą wielu mitów znanych w kekońskiej kulturze. W końcu dotarli na kwitnącą, wolną od zepsucia wyspę. Yatto, Ojciec Wszechrzeczy, któremu zaimponowały pobożność i poświęcenie Jenshu, przemówił do starego wędrowca i zaprowadził go w góry, by pokazać mu jadeitowe głązy, pozostałość boskiego domu, ongiś przeznaczonego dla ludzkości. Dar bogów.

Rodzina wędrowca wzniosła na brzegu wioskę, natomiast sam Jenshu pozostał w górach, gdzie wiódł życie pustelnika, poświęcone medytacji. Otoczony jadeitem osiągnął mądrość i moce bliskie tym, które posiadają bogowie, z każdą chwilą zbliżając się do stanu boskiej cnoty. Wnuki i prawnuki przychodziły do niego z prośbami o pomoc. Wtedy wychodził na moment z izolacji, by rozstrzygać spory, powstrzymywać trzęsienia ziemi, odpędzać burze albo hamować zapędy barbarzyńskich najeźdźców. Gdy ukończył trzysta lat, bogowie zgodzili się, że Jenshu, jako jedyny z ich ludzkich potomków, zasługuje na wniebowzięcie.

Pobożni kekońscy bogowiercy uważają się za potomków Jenshu i ulubieńców bogów. Zielone kości praktykujące dziś tę religię utrzymują, że pochodzą od ulubionego siostrzeńca starego wędrowca, Bajjena, który wyruszył w góry, by uczyć się od wuja, a gdy Jenshu opuścił już Ziemię, stał się obrońcą wyspiarzy, pierwszym i najgroźniejszym z jadeitowych wojowników w ich legendach. Wszyscy Kekończycy czczą Jenshu jako Tego, Który Powrócił, ale tylko zielone kości uważają, że są na tyle bliskie jego dziedzictwa, że mogą go nazywać „Starym Wujkiem”.

Po wniebowzięciu Jenshu bogowie ogłosili, że gdy reszta ludzkości podąży za jego przykładem i osiągnie cztery Boskie Cnoty – pokorę, współczucie, odwagę i dobroć – również będzie mogła powrócić do nieba. Wszyscy bogowiercy oczekują na to obiecane wydarzenie i zwą je Powrotem.

## Rozdział 32

### Ta, która również powróciła

Telefon zadzwonił przed świtem, budząc Shae. Spodziewała się, że tego dnia pojedzie do rezydencji, by zjeść kolację z dziadkiem i braćmi. Uniosła słuchawkę i z zaskoczeniem usłyszała głos Hila.

– Zostań na miejscu – rozkazał jej brat. – Wysyłam po ciebie samochód.

– Hilo?

Przez krótką chwilę nie była pewna, czy to rzeczywiście on.

– Musisz przyjechać do domu, Shae.

– Dlaczego? Co się stało? – Senność umknęła w jednej chwili. Nigdy dotąd nie słyszała w głosie Hila tonu tak bliskiego paniki. – Czy to dziadek? – Odpowiedziała jej cisza, tak głęboka, że Shae odnosiła wrażenie, że słyszy własny głos, odbijający się echem w studni. Ścisnęła słuchawkę. – Hilo? Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, daj telefon Lanowi.

Coś w ciszy, która nastąpiła, pozwoliło jej uzmysłwić sobie prawdę na ułamek sekundy przed tym, nim usłyszała słowa:

– Lan nie żyje.

Usiadła. Przewód słuchawki rozciągnął się mocno, a słowa Hila razem z nim. Stały się ciemnie jak nitka, ledwie docierająca do niej z drugiej strony rozległej przepaści.

– Robotnicy znaleźli jego ciało w Dzielnicy Portowej. Utonął.

Wstrząsnęła nią głęboka żałoby, która nagle na nią opadła.

– Przyślij samochód. Będę gotowa.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła czekać. Gdy wielka biała duchesse priza zatrzymała się przed budynkiem, Shae wyszła, nie gasząc światła ani nie zamykając drzwi. Zajęła miejsce na tylnym siedzeniu.

Maik Kehn obejrzał się przez ramię i obrzucił ją spojrzeniem pełnym współczucia tak szczerego, że mogłaby się rozplakać, gdyby nie było na to za wcześnie.

– Muszę się zatrzymać przy banku – oznajmiła.

– Miałem cię zawieźć prosto do domu – sprzeciwił się mężczyzna.

– To ważne. Hilo zrozumie.

Maik skinął głową i włączył się do ruchu. Mówiła mu, dokąd ma jechać, a gdy przybyli na miejsce, wysiadł razem z nią. Miał mnóstwo broni – guan dao, karambit i dwa pistolety.

– Nie wpuszczą cię do banku z tym wszystkim – zauważyła.

– Zaczekam przy wejściu.

Bank otworzono dopiero przed chwilą. Weszła do środka i zażądała dostępu do skrytki depozytowej.

– Oczywiście, panno Kaul – zgodził się kierownik. – Proszę pójść ze mną.

Zaprowadził Shae do pokoju na zapleczu, ze ścianą wypełnioną stalowym drzwiczkami, i zostawił ją tam samą.

Nie otwierała sejfu od dwóch i pół roku. Gdy obróciła klucz w zamku i zajrzała do środka, na moment ogarnął ją irracjonalny strach. Co, jeśli ich tu nie będzie? Ale były. Jej jadeity. Wszystkie. Zanim sięgnęła do środka, poczuła, jak ich moc przyciąga jej krew niczym grawitacja księżycy powodująca oceaniczne pływy. Policzyła każdy kamień, wkładając kolczyki, bransolety, łańcuszki na nogi oraz naszyjnik. Wreszcie zamknęła skrytkę, usiadła na ziemi, wsparta plecami o ścianę, i podciągnęła kolana do piersi.

Minęło tak wiele czasu, odkąd ostatnio nosiła jadeit, że fala energii była jak tsunami zbliżające się do brzegu, by go pochłoniąć. Nie czuła napięcia ani nie kulila się trwożnie. Wybiegła jej na spotkanie, pozwalając, by niepowstrzymany prąd uniósł ją ze sobą. Pomknęła na nim, uniósł jej ciało, jednocześnie wnikając w nie głęboko. Znalazła się wewnątrz sztormu. Była sztormem. Kręciło się jej w głowie od uniesienia i dezorientacji, jakie przychodzą w chwili, gdy wracamy do dawno opuszczonego domu i otwieramy szuflady, dotykamy ścian albo siadamy na krzesłach, przy-

pominając sobie to, o czym dawno zapomnieliśmy. Poczucie winy i zwątpienie wezbrały w niej jako dwie skonfliktowane siły, po czym opadły, umykając z falą.

Wstała, wyszła z banku i wróciła z Maikiem Kehnem do duchesse. Wsiadła do samochodu po stronie pasażera.

– Mam cię teraz zabrać do domu, Kaul-jen? – zapytał Maik. Skinęła głową.

Nie rozmawiali podczas jazdy. Umysł Shae był rozdarty na dwoje i jej twarz oraz ciało nie wiedziały, jak zareagować. Ktoś obserwujący ją od niechcenia, jak Maik Kehn, rzucający od czasu do czasu spojrzenia w jej stronę, mógłby pomyśleć, że zamarła w bezruchu i nie czuje absolutnie nic.

Śmierć Lana otworzyła w jej wnętrzu otchłań rozpacz tak głęboką, że nie widziała jej drugiego brzegu. Jej najstarszy brat był opoką rodziny. Była pewna, że cokolwiek by się wydarzyło, zawsze może na nim polegać. Nie traktował jej nieprzychylnie ani nie osądzał, zawsze poświęcał jej uwagę i okazywał szacunek, mimo że była od niego znacznie młodsza. Pragnęła, by zostawiono ją sam na sam z żałobą, ale jednocześnie napawała się powrotem jadeitowych zmysłów. Nie była w stanie uciec od euforii zrodzonej z odzyskanej mocy, lecz ta świadomość budziła w niej straszliwe wyrzuty sumienia. A jednocześnie inna część jej jaźni klarownie, choć gorączkowo, planowała zemstę.

Gdy dotarli do domu, ominęła strażników i znalazła Hila. Stał w kuchni, ciężko wspierając dłonie na blacie stołu. Łopatki mu sterczały, a głowa zwisała bezwładnie między nimi. Podobnie jak Maik, był uzbrojony po zęby. Sprawiał wrażenie panującego nad sobą i pogrążonego w zadumie, ale jego jadeitowa aura kipiała i kłębiła się niczym gorąca, bliska erupcji lava. U jego boków stały pięści. W kuchni pełno było żądnych przemocy mężczyzn. Zbiorowa aura ich przyozdobionych jadeitem ciał zaatakowała obudzony na nowo zmysł Postrzegania Shae z taką gwałtownością, że musiała się zatrzymać, zanim weszła do środka.

Z oddali dobiegł cichy płacz Kyanli.

Hilo uniósł głowę i spojrzał na siostrę, ale nie ruszył się z miejsca.

– Pojadę z wami – oznajmiła. – Wiem, dokąd musimy się udać.

Brat wyprostował się, okrążył stół i podszedł do niej. Spróbowała coś wyczytać z jego oczu, ale były ciemne i nieprzeniknione. Położył dłonie na ramionach Shae, przyciągnął ją do siebie i dotknął policzkiem jej policzka.

– Niech mi niebo pomoże, Shae – wyszeptał do jej ucha. – Zabiję ich wszystkich.

## Rozdział 33

### Wyjście z lasu

Gont Asch zwykł spędzać szóste dni w lokalu Srebrna Ostroga – Bar i Walki Kogutów, będącym własnością jego kuzyna, latarnika klanu Góra. Od dawna był entuzjastą tego sportu i sam miał tuzin ptaków najwyższej klasy, wyhodowanych i wytresowanych przez jego bratanka. Jeden z nich właśnie rozprawiał się z przeciwnikiem, machając skrzydłami i dziobiąc z błyskiem stalowych ostróg. Pióra sypały się na wszystkie strony. Od otaczających kręgiem pole walki widzów dobiegały podekscytowane krzyki oraz jęki rozczarowania. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk, gdy sędzia uniósł oba ptaki. Drżącego jeszcze pokonanego wrzucił do niebieskiego plastikowego wiadra, a zwycięzcę wręczył uśmiechniętemu treserowi.

Arena oraz otaczające ją ławki całkowicie zajmowały parter Srebrnej Ostrogi. Na otwartym piętrze znajdowały się restauracja i bar. Połowa stolików zwracała się w stronę areny, a dla tych, którzy nie mogli obserwować walk bezpośrednio, na ścianach zawieszono ekrany monitoringu. W przerwie między walkami Gont zjadł spóźniony obiad, rozmawiając z trzema pięściami. Wtem do lokalu wpadł posłaniec i podbiegł prosto do stolika, przynosząc wiadomość, że Kaul Lan nie żyje, a Kaul Hilo jedzie tutaj, by zabić Gonta.

Róg był zaskoczony, ale niczego po sobie nie okazał. Świetnie potrafił ukrywać myśli i uczucia. Tylko jego pierwsza pięść, Waun Balu, zauważył niewielką zmianę w twarzy szefa – rozszerzone nozdrza, zaciśnięte usta oraz sceptyczny mars na czole. Gont rozejrzał się wkoło. Budynek znajdował się w południowych Błotach, w głębi terytorium Góry. Był biały dzień i Gonta otaczała grupa jego zielonych kości. Czy Kaul naprawdę był aż tak szalony, by zaatakować go w tym miejscu?

Gont doszedł do wniosku, że tak.

– Zwołajcie wszystkie palce, które macie w pobliżu – rozkazał swym pięściom. – Ewakuujcie stąd ludzi. Ustawcie obserwatorów na obu końcach ulicy i pilnujcie drzwi.

Jego ludzie ruszyli do akcji. Gont znalazł swego bratanka i powiedział mu, żeby zabrał stąd cenne ptaki, wyszedł tylnym wyjściem i oddalił się w bezpieczne miejsce. Właściciel lokalu nie chciał uciekać razem z klientami, więc Gont kazał mu zamknąć się w kuchni ze wszystkim pracownikami i mieć dwie strzelby gotowe do użytku.

Bitwa będzie krwawa. Drugi syn Kaulów nosił mnóstwo jadeitu i był groźnym wojownikiem, a choć Góra oficjalnie zapewniała, że klan Bez Szczytów chyli się ku upadkowi, Gont wiedział, że to nadal bardzo niebezpieczny przeciwnik mający mnóstwo młodych, zdolnych do poświęceń wojowników. Po nieudanym zamachu na Hila i pojedynku pod Fabryką Ayt-jen rozkazała wszystkim zachować większą ostrożność i skupić się na dalekosiężnych celach Góry. Dlatego Gont nie spodziewał się gwałtownej konfrontacji w najbliższym czasie. Choć bardzo się cieszył na myśl o oddzieleniu głowy Kaul Hila od ciała, zastanawiał się, co poszło nie tak, dlaczego ich plany zawiodły. Nie miał jednak czasu na spekulacje.

Zielone kości wypełniły Srebrną Ostrogę oraz sąsiadujące z nią ulice. Po kilku minutach Gont miał już czternastu ludzi – trzy pięści i jedenaście palców. Wszyscy zajęli pozycje przy drzwiach i w oknach na piętrze. Sześciu kolejnych jadeitowych wojowników zebrało się nieopodal w należącym do Góry hotelu Mosiężne Kinkiety. Mieli tam zaczekać na napastników z klanu Bez Szczytów i zaatakować ich od tyłu. Gont spodziewał się, że przeciwnik będzie miał przewagę liczebną, ale to były tereny Góry, co zapewniało mu lepszą pozycję.

Zastanawiał się nad zadzwonieniem do Ayt Mady, ale zdecydował, że tego nie robi. Posiłki i tak nie przybyłyby na czas. Poza tym zamierzał sam spotkać i zabić Kaul Hila.

\*\*\*

Podstęp był pomysłem Shae.

Przed jej przybyciem Hilo był gotowy zaatakować samo serce terytorium Góry i zabić Gonta oraz tyłu jego ludzi, ilu tylko zdoła. Wypił już kieliszek hoji i skaleczył się w język nożem



razem ze swoimi pięściami. Zielone kości tradycyjnie odprawiały ten rytuał przed wyruszeniem na misję, z której nie spodziewały się wrócić.

Spojrzała na niego nad kuchennym stołem, podobnie jak robili to w latach dzieciństwa.

– Musimy to zrobić mądrzej. Jeśli dzisiaj zginiemy, Góra wygra. – Nie mogli zapominać o planowaniu, nawet w tak straszliwych chwilach. – Gont będzie na nas czekał. Nawet jeśli go zabijemy, nie pokonamy w ten sposób Góry. Nie zniszczymy jej.

Być może właśnie ten niekontrolowany wybuch emocji przydał jadeitowej aurze Shae gwałtowności, której Hilo nie był w stanie zignorować. To zmusiło go do bardziej klarownego myślenia. Spojrzał na swe najbardziej zaufane, doświadczone pięści i zauważył, że niektóre z nich kiwają głowami, popierając słowa jego siostry. Zwrócił się w jej stronę.

– Gdybyż tylko bogowie wybrali coś innego, by sprowadzić cię z powrotem – rzekł. – Ale jesteś zielona, znowu stałaś się jedną z nas. Dlatego powiedz mi, co masz na myśli.

Gdy wyjaśniła mu swój plan, uśmiechnął się z zimną determinacją i przystąpił do jego realizacji z tak wielkim przekonaniem, jakby sam go stworzył. Wydał szybkie rozkazy swym ludziom, którzy zerwali się natychmiast, by je wykonać. Bracia Maik organizowali grupy szturmowe, a Shae zeszła do zbrojowni pod salą ćwiczebną, by znaleźć dla siebie jakąś broń. Kiedy wróciła, Hilo siedział na schodach z Wen, żegnając się z nią. Pochylali głowy ku sobie i rozmawiali cicho. Oczy Wen były suche, ale jej palce drżały, gdy czule głaskała włosy za uchem Hila. Shae odwróciła wzrok. Czuła się jak intruz, będąc świadkiem tak prywatnej chwili. Wyszła na zewnątrz, by patrzeć, jak duchesse i pięć innych samochodów opuszczają rezydencję.

Obserwatorzy Góry zauważą konwój wjeżdżający na ulicę Lo Low i zawiadomią Gonta, że Kaul Hilo wyruszył zaatakować Srebrną Ostrogę. Góra pośpiesznie zorganizuje obronę, a konwój tymczasem okrąży Błota i wróci na terytorium klanu Bez Szczytów.

Parę chwil po tym, jak fałszywa grupa szturmowa wyjechała z rezydencji Kaulów, Maikowie i trzy inne pięści przyprowadzili pod dom pięć nieprzyciągających uwagi samochodów, sprowadzonych z pobliskiego salonu sprzedaży prowadzonego przez latarnika klanu. Hilo wyszedł na zewnątrz. Łagodność, którą przedtem zauważyła u niego Shae, zniknęła bez śladu. Zszedł na dół po schodach, po czym odwrócił się w stronę domu. Następnie opadł na kolana i dotknął głową betonu, a wreszcie odchylił się, wznosząc twarz ku niebu.

– Słyszycie mnie?! – ryknął. Shae nie była pewna, do kogo kieruje te słowa: do swoich żołnierzy, okna pokoju dziadka, ducha zabitego brata czy do samych bogów. – Słyszycie mnie? Jestem gotowy na śmierć. Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem.

Choć zawsze okropnie irytowało ją upodobanie Hila do dramatycznych gestów, pochyliła głowę i przełknęła ślinę, widząc, że wszystkie zielone kości opadły na kolana i zakrzyknęły z ferworem.

– Nasza krew dla rogu!

\*\*\*

Trzema największymi i najbardziej zyskownymi kasynami w mieście były Pałac Fortuny, Pani Cong oraz Poczwórna Wygrana. Wszystkie ulokowano obok siebie, na tym samym odcinku ulicy Dla Ubogich, w południowej części Pachy, nadal należącej do Góry. Zaliczały się do najlepiej znanych lokali tego klanu. Tam właśnie bogaci latarnicy zawierali umowy po godzinach, a biznesowych i politycznych stronników klanu przekupywano bądź nagradzano luksusem oraz rozrywką. To było odpowiednie miejsce na wywarcie bezprecedensowej zemsty.

Hilo skinął z podziwem głową, usłyszawszy propozycję Shae.

– Lan walczył o Pachę i cała ta dzielnica powinna prawnie należeć do nas.

Przecięli Patriotyczną w towarzystwie dwunastu najsilniejszych pięści klanu. Shae zajęła się Panią Cong wraz z czterema wojownikami, których przydzielił jej brat, Maikowie zaatakowali Poczworną Wygraną razem z drugą grupą, natomiast Hilo ze swoimi ludźmi miał zniszczyć Pałac Fortuny.

W oczach Shae wszystko to wyglądało jak gwałtowny sen w gorączce. Samochód zatrzymał się przed kasynem, wysiadła z niego, minęła zszokowanego odźwiernego, który skulił się trwożnie na ich widok, okrążyła oświetloną fontannę z posągami tańczącej kobiety, umieszczoną pośrodku sali, i weszła na górę po marmurowych schodach, docierając do szklanych drzwi obrotowych. Nie

mogła już ukrywać się w tłumie. Blask zachodzącego słońca padał na jej jadeitowe bransolety i pełne strachu oczy śledziły każdy jej ruch. Niecierpliwość przyprawiała ją o mdłości. Od lat nie czuła się taka potężna. Cudzoziemcy mieli rację. Kekończycy byli dzikusami. Lan nim nie był, nie w głębi serca, ale Lan już nie żył.

Towarzyszający jej szarooki mężczyzna zwany Eitenem nie był pewien, jak powinien ją traktować. Zaliczał się do najwyższych rangą pięści Kaula, ale ona była jedną z Kaulów. Nie wiedział, czy powinien jej rozkazywać, czy wykonywać jej polecenia.

– Jak wygląda plan, Kaul-jen? – zapytał, nim dotarli do drzwi.

Uniosła guan dao i podsunęła je mu. Splunął na nie na szczęście.

– Zabijcie wszystkich, którzy noszą jadeit – rozkazała.

Na to nie było trudno się zgodzić. Gdy weszli do środka, rozległy się krzyki. Shae wykryła w pomieszczeniu cztery jadeitowe aury – niczym kobra wyczuwająca ciepło ciała. Wszystkie lśniły jasno na tle pozbawionego znaczenia ruchu i hałasu. Niektórzy z nich Postrzegli już mordercze zamiary i rzucili się na intruzów, trzymając w rękach guan dao.

Minęły lata, odkąd Shae ostatnio walczyła na śmierć i życie. W ciągu kilku minut jazdy zastanawiała się, czy nadal potrafi to robić, czy zachowała odruchy i instynkt, czy dwa i pół roku pokojowego życia w Espanii i braku jadeitu pozbawiło ją ich całkowicie.

Dlatego była niemal zaskoczona, gdy pierwszego przeciwnika wykończyła w kilka sekund. Sparowała jego atak, biały metal uderzył z brzękiem o biały metal, a potem wyprowadziła łatwy do przewidzenia atak na jego brzuch. Mężczyzna użył Stali i wygiął kręgosłup do tyłu, próbując zrobić unik, ale jednocześnie jego głowa pochyliła się do przodu. Shae uderzyła lewą ręką, wbijając karambit w nieosłonięte gardło. Użyła Lekkości, by przeskoczyć nad ciałem, wyrwała nóż i ruszyła ku następnemu celowi.

To było jak ćwiczenia w Akademii, kolejna walka na czas. Szkolenie i doświadczenie stały się jej przewodnikami. Była skupiona i skuteczna, a jadeitowa energia płynąca w jej krwi przypominała pieśń, której od pewnego czasu nie słyszała, lecz nadal znała ją na pamięć. Wdała się w walkę z drugim mężczyzną, lecz nagle Eiten poderżnął mu gardło. Ponownie użyła Lekkości i skoczyła na balkon na drugim piętrze.

Pięć strzegąca pokoju, w którym schronił się personel, była kobietą. Przywitała Shae serią Odbijań. Krzesła się przewracały, karty i żetony wlatywały w powietrze, a ściany drżały. Shae wykonała serię uników, powstrzymując ataki własnymi Odbijaniami, aż wreszcie zbliżyła się do przeciwniczki w wąskim korytarzu. W ruch poszły karambity. Nóż nie był w stanie przebić się przez Stal kobiety i Shae w końcu wyprowadziła miażdżące kopnięcie skierowane na rzepekę. Kobieta zatoczyła się do przodu, a Shae uderzyła łokciem w tył jej głowy, wkładając w ten cios całą swą Siłę. Czaszka pękła. Gdy wszystkie zielone kości w budynku – w sumie sześć – były już martwe, wyrwali z zawiasów drzwi do pokoju na zapleczu i Shae przemówiła do przerażonych pracowników Pani Cong.

– Wszystkie lokale na ulicy Dla Ubogich należą teraz do klanu Bez Szczytów – oznajmiła. – Możecie odejść i zachować życie albo złożyć hołd, zapłacić daninę i utrzymać pracę pod nowym kierownictwem, na takich samych warunkach. Decydujcie szybko.

Jedna czwarta pracowników odeszła – ci, którzy byli za starzy, mieli zbyt dobre koneksje w Górze, byli naprawdę lojalni albo bali się możliwych konsekwencji zdrady. Reszta została i stonkowo szybko odzyskała równowagę. Kekończycy przywykli do nagłych zmian zarządu i traktowali je podobnie jak katastrofy naturalne – chwile pełne nagłej, niepowstrzymanej gwałtowności, powodujące szkody, z którymi trzeba było sobie spokojnie poradzić, by wszystko mogło wrócić do normy. Wkrótce personel kasyna zajął się ustawianiem mebli, sprzątaniem potłuczonego szkła oraz usuwaniem plam krwi, nim zdążą trwale wniknąć w drogie dywany albo tapicerkę.

Shae zebrała jadeit zabitych przeciwników i opuściła budynek, przekazując dowództwo Eitenowi oraz reszcie ludzi Hila. Brata znalazła na ulicy. Stał tam, wskazując w różne strony zakrwawionym czubkiem karambita. Jego twarz i aura gorzały od bojowego szału. Poczwórna Wygrana płonęła. Nikt nie wiedział, czy pożar wybuchł przypadkiem, czy ogień podłożyli uciekający ludzie Góry bądź nadgorliwi wojownicy klanu Bez Szczytów. Z okien na górnym piętrze buchał dym, przesłaniający wyblakłe wieczorne niebo.

Hilo zerknął na nią, gdy się zbliżała, zobaczył garść jadeitu, którą ścisnęła w dłoni, i jego

usta rozciągnęły się w czymś, co nie do końca było uśmiechem. Ponownie skierował spojrzenie na pożary, uciekających ludzi oraz przerywane odgłosy toczącej się jeszcze walki. Nie pochodziły tylko od zielonych kości. Coraz więcej ludzi z części Pacy należące do klanu Bez Szczytów przyłączało się do starcia, przechodząc przez Patriotyczną. Na ulicach słyszało się krzyki oraz odgłosy zmagania między cywilami wspierającymi jeden lub drugi z klanów.

– To nie wystarczy – mruknął Hilo. Shae nie była pewna, co miał na myśli: ilość jadeitu, który trzymała w rękach, same kasyna czy liczbę zabitych dziś zielonych kości z Góry. Czuła się zbyt wstrząśnięta, by mu odpowiedzieć.

Minęło jeszcze trzydzieści minut, nim pożar w Poczwórnej Wygranej wreszcie ugaszono i chaos przerodził się w niesamowitą ciszę po bitwie. W pewnej chwili, gdy słońce zniknęło już z zasnutego dymem nieba, Hilo wydał swoim ludziom rozkazy na czas nocy, a Shae znalazła się na tylnym siedzeniu samochodu, który odwiózł ją do rezydencji Kaulów. Cały ten incydent stał się dla niej zamazaną plamą, ambitnym, surrealistycznym filmem o zemście i brutalności.

\*\*\*

Gont Asch odebrał telefon. Nie odezwał się ani słowem, ale wszyscy jego ludzie władający Postrzeganiem odsunęli się trwożnie. Zrobił się zupełnie zimny ze zdumienia. Po chwili jego szyja poczerwieniała pod wpływem gniewu.

W niespodziewanym ataku zginęło dwudziestu jeden ludzi Góry. Palce i młodsze rangą pięści, które pośpieszyły z odsieczą trzem kasynom na ulicy Dla Ubogich, nie mogły się mierzyć z zabójcami zgromadzonymi przez Kaul Hila. Dwóch głupich latarników, którzy otworzyli ogień do atakujących, leżało w szpitalu. Każdy cal kwadratowy Pacy znajdował się teraz pod kontrolą klanu Bez Szczytów. W Janloonie nigdy dotąd nie widziano równie wielkiego wybuchu międzyklanowej przemocy.

Gont odwiesił słuchawkę i na kilka sekund zamarł w bezruchu. Następnie wyrwał telefon ze ściany i cisnął nim na drugi koniec pokoju z siłą tak wielką, że aparat wbił się w mur. Jego ludzie znieruchomieli wstrząśnięci tym nietypowym dla niego wybuchem.

– Kaul Lan nie żyje – oznajmił Gont. – A jego rodzina wyszła z lasu. Klan Bez Szczytów zaczął otwartą wojnę. Każdy z was może odebrać jego członkom życie i środki utrzymania. Jadeit należy do zwycięzcy.

## Rozdział 34

### Dług wobec umarłych

Shae obudziła się zdezorientowana. Był środek nocy, a ona znajdowała się w swym pokoju z czasów dzieciństwa. Ostatnio zajrzała tu tylko raz, by zabrać stare ubrania i inne rzeczy. Otworzyła oczy. Blade światło księżyca padało na stertę zakrwawionej odzieży oraz broni, leżącą na podłodze obok starej kulistej lampy oraz stosu powieści w miękkich okładkach. Uświadomiła sobie, że wsunęła się do łóżka, nie mając na sobie nic poza bielizną i jademitem.

Wspomnienia powróciły. Lan zginął, znowu włożyła jademit i sięgnęła po broń, a następnie wyruszyła z Hilem, by pomścić śmierć brata na ulicy Dla Ubogich. Narastające w jej wnętrzu napięcie było jak balon wypełniający powoli pudełko. Wreszcie z jej piersi wyrwało się łkanie. Położyła się na boku, wtuliła twarz w poduszkę i płakała, długo i intensywnie, aż w końcu zabrakło jej łez i energii. Potem leżała nieruchomo, oddychając z wysiłkiem, i zastanawiała się nad swą nową, straszliwą sytuacją.

Była opętana. Tylko w ten sposób mogła to wytłumaczyć. A może po prostu usprawiedliwić. Tama, w której już od pewnego czasu pojawiały się drobniutkie rysy, pękła nagle wczoraj w jej wnętrzu. Zamiast się przerazić, ucieszyła się z jej ostatecznego zniszczenia, napawała się słodką mocą jademitu i szałem gwałtownej zemsty.

Potem jednak nadeszło zimne odrętwienie. Zrobiła wczoraj coś nieodwracalnego, odważnego i tchórzliwego zarazem. Zastanawiała się, czy ta mieszanina smutku, dziwnego uniesienia i spokojnej akceptacji jest tym, co czuje ktoś, kto skoczył z mostu do rzeki. Po takiej decyzji nie można już było zmienić swojego losu, a jedynie zaakceptować go i czekać na nieunikniony rezultat. Ta myśl uspokoiła ją i jej ciało powoli się rozluźniło.

Postrzeganie powiedziało jej, że nie tylko ona nie śpi. Teraz, gdy widziała jademitowe aury równie łatwo, jak rozróżniała kolory, wydawało się niewyobrażalne, że już nigdy nie poczuje chłodnej, potężnej obecności Lana. Ta prawda była bardziej niezmienna i bezlitosna niż siła grawitacji działająca na spadające ciało.

Wstała z łóżka i zapaliła lampę. W szafce znalazła starą koszulkę i spodnie dresowe – ubrania, których nie chciało się jej stąd zabierać. Włożyła je powoli. Jej ciało i umysł wypełniał ból. Nawet regularne ćwiczenia nie były tym samym, co noszenie jademitu i wykorzystywanie go w walce. Miała ciemne siniaki i płytkie skaleczenia, których przedtem nie zauważyła. Podejrzała, że minie więcej niż tydzień, nim będzie mogła poruszać się albo wykorzystywać jademit bez bólu. Przejrzała się w lustrze nad komodą. Wyglądała na zmęczoną i poobijaną. Przypominała raczej ofiarę przemocy domowej niż wojowniczkę zielonej kości, pomijając tylko jademit, który nosiła na ramionach, w uszach i na szyi.

Wyszła z pokoju i ruszyła pogrążonym w mroku korytarzem ku jednemu światłu palącemu się na parterze. Na dworze nadal było ciemno. W domu panowała niesamowita cisza. Nie było słychać niczego poza tykaniem zegara oraz stukotu łyżki skrobiącej o ceramikę. Zeszła na dół, weszła do kuchni i zobaczyła, że Hilo siedzi sam przy stole i je gorące płatki śniadaniowe. Nie zmienił ubrania, a jego nóż leżał na granitowym kuchennym blacie. Nie ogolił się i najwyraźniej również nie spał, ale pochłaniał śniadanie z takim spokojem, że ktoś mógłby pomyśleć, że nic szczególnego się nie wydarzyło.

Shae bez słowa usiadła naprzeciwko niego.

– Jeśli też chcesz trochę, garnek stoi na piecu – oznajmił po chwili. – Kyanla zrobiła je wczoraj, ale nikt nie miał ochoty ich jeść. Nadal są dobre, tylko dodaj trochę wody.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała pozbawionym wyrazu głosem. – Gdzie jest dziadek?

Hilo wskazał ręką łyżki na sufit.

– W swoim pokoju. Dostał uspokajacz. Pod naszą nieobecność Kyanla musiała wezwać lekarza. Najwyraźniej dał staruszkowi coś mocnego, żeby go uspokoić.

Shae jęknęła.

– Co mu dolega?

– Jest stary i szalony. – Spojrzenie jej brata przybrało mroczniejszy wyraz. – Kiedy dowiedział się o Lanie, przeżył załamanie nerwowe. Myślał, że wróciła wojna i to Du zginął. Cały czas bredził o Szotarczykach. Nie poznaje mnie. A nawet jeśli poznaje, mówi, że to ja jestem winien śmierci Lana.

Wypowiedział te słowa obojętnym tonem, ale Shae nie dała się nabrać. Pragnęła pobiec na górę do dziadka, ale gdyby teraz wstała, uraziłaby Hila, a w tej chwili to mogłoby być niebezpieczne. Dziadek zawsze traktował ją lepiej niż jej braci, a Hila najgorzej ze wszystkich.

Jej brat ponownie zajął się jedzeniem. Jak w ogóle może jeść w takiej chwili? – zadała sobie pytanie. Sama nic nie jadła od z górą doby, ale nie miała apetytu i nie była pewna, czy kiedykolwiek go odzyska.

– A co z całą resztą?

– Są zajęci, Shae. Za bardzo rozciągnęliśmy siły. Zleciłem Kehnowi dowództwo nad całym tym bałaganem, a Tarowi kazałem jeździć po mieście, żeby sprawdzić, czy wszystkie punkty są bronione.

Shae wyprostowała się nagle. Nasunęła się jej pewna myśl.

– Gdzie jest Doru?

Hilo się skrzywił.

– Zdrajca? No wiesz, przechwyciliśmy go nocą. Lan miał się z nami spotkać i samemu zająć się sprawą. Zadzwoiłem do niego, ale nie odbierał. Nikt nie wiedział, gdzie się podział. Wtedy sobie uświadomiłem, że coś jest nie w porządku.

– Zabiłeś Doru?

Hilo pokręcił głową.

– Decyzja miała należeć do Lana. Co mogłem zrobić ze starym cwaniaczkiem? Zabrałem mu jadeit i zamknąłem pod strażą w jego domu. Nadal tam siedzi. Żadnych telefonów ani odwiedzin.

Zabrano mu jadeit. Cóż za upokorzenie dla starej zielonej kości. Dawnego zaufanego powiernika Płomienia Kekonu. Choć Shae go nienawidziła, to gdy sobie wyobraziła, że dręczą go skutki odstawienia jadeitu i we własnym domu pilnują go wrogo nastawieni ludzie Hila, uświadomiła sobie, że lituje się nad nim, nawet jeśli jest zdrajcą.

– Nie mogę go teraz zabić – oznajmił Hilo. – To skaziłoby pogrzeb Lana pechem. Ale nie jest już prognostykiem. Oznajmiłem to całemu klanowi.

Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie jasno, że Hilo jest teraz filarem.

Wlepiła spojrzenie w brata. Nigdy dotąd nie było filaru, który miałby mniej niż trzydzieści lat. Hilo był niewiele starszy od niej. Najmłodszy filar, odkąd ludzie sięgali pamięcią. A teraz siedział za stołem, splamiony krwią i cuchnący dymem, bo niedawno kierował masakrą. Jego aura miała ostry posmak nowego jadeitu, który zdobył. Shae zakręciło się w głowie. To będzie koniec, pomyślała. Koniec klanu Bez Szczytów.

Hilo uderzył łyżką o pustą miskę. Odsunął krzesło z głośnym zgrzytem i wstał od stołu. Zapewne nawet nie potrzebował Postrzegać jej emocjonalnej reakcji – łatwo ją było odczytać z jej twarzy – ale nic nie powiedział. Nowy filar zaniósł naczynia do zlewu, a potem umył i wytarł ręce. Złapał za krzesło, ustawił je przed Shae, usiadł i złapał ją za łokcie. Ich kolana się stykały.

– Teraz nas zaatakują – oznajmił. – Rzuca przeciwko nam wszystko, co mają.

– Tak – zgodziła się.

Ayt Mada mogłaby rokować z Lanem. Po ostatniej nocy, po tym, co zrobili Shae i Hilo, nie okaże łaski. Góra wyjdzie z lasu i nie spocznie, dopóki wszyscy Kaulowie nie zginą. Ich najbliższych sojuszników czekała egzekucja, a rezydencja pójdzie z dymem. Resztki klanu zostaną wchłonięte przez Górę.

– Potrzebuję cię, Shae. – Na twarzy Hila wreszcie uwidoczniło się napięcie. Wszystkie jej rysy wydawały się ostrzejsze niż poprzednio. – Wiem, że nie zawsze zgadzaliśmy się ze sobą. Wiem, że czasami posuwałem się za daleko, ale wyłącznie dlatego, że jesteś moją siostrą i cię kocham. Nawet jeśli nadal się na mnie gniewasz, wiem, że klan nie jest ci obojętny. Dziadek go stworzył, Lan za niego zginął, a teraz potrzebuję twojej pomocy. Nie poradzę sobie bez ciebie. – Wzmocnił uścisk, pochylił się ku niej i przechylił głowę, by spojrzeć jej w oczy. W jego nieruchomym wzroku uwidoczniła się solenna prośba. – Shae, chcę, żebyś została moją prognostyczką.

Zaledwie kilka dni temu zapewniła Andena, że zostawiła za sobą problemy klanu i życie zielonej kości.

Nie mieszaj się w to, nie przejmuj się tym, Lan nie potrzebuje twojej pomocy. Te problemy nie są twoimi problemami.

Samolubność. Pycha. Obojętność. Przeciwnieństwa Boskich Cnót, które kontemlowała, klęcząc w Świątyni Boskiego Powrotu i modląc się o znak. Jednoznaczna wiadomość. Dostała to, o co prosiła.

Bogowie często bywali okrutni. Wszyscy o tym wiedzieli.

Jeśli klan Bez Szczytów miał mieć szansę przetrwania, filar potrzebował prognostyka, któremu będzie mógł zaufać. Kto inny w całym klanie mógłby się sprzeciwić Hilowi? Kto mógłby skłaniać go do umiarkowania, starać się, żeby nie dał się zabić i nie zgubił w ten sposób całego klanu? Gdyby do tego doszło, duch Lana nigdy nie zaznałby spokoju. To nieprawda, że umarłych nic nie obchodzi, pomyślała. Mamy wobec nich dług.

Zsunęła się powoli z krzesła i uklękła na zimnej posadzce, po czym uniosła do czoła splecione dłonie.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem. Na mój honor, moje życie i mój jadeit.

## Rozdział 35

### Niespodziewana reakcja

Jedyną rzeczą, której Berowi z pewnością nie brakowało, były pieniądze. W Kuźni znajdowała się czynna przez całą dobę przychodnia, jedna z nielicznych w mieście, w której lekarze o wątpliwych umiejętnościach opatrywali rany, nie zadając pytań, pod warunkiem, że klient mógł za to zapłacić. Wczesnym rankiem po wydarzeniach na nabrzeżu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy znaleziono ciało Kaul Lana, Bero usiadł na metalowym stole w blasku brzęczącej jarzeniówki i mężczyzna o pokrytej zmarszczkami twarzy, załzawionych oczach oraz włosach przypominających brudne, skłębione nici wyjął mu dwie płytko wbite kule, po czym założył bandaż, odwijając gazę tak powoli, że chłopak miał ochotę mu przyłożyć. Przez wiele godzin ukrywał się w chaszczach pod estakadą i był teraz bliski szaleństwa.

Kiedy wreszcie opuścił przychodnię, wieści rozeszły się już po całym mieście. Usłyszał je, stojąc w kolejce po bułkę z mięsem i butelkę gazowanego napoju w pierwszym sklepie, który udało mu się znaleźć. Kaul Lan, filar klanu Bez Szczytów, nie żył. Podejrzewano, że zamordowała go Góra.

Puls chłopaka przyspieszył nagle. W pierwszej chwili poczuł się zdezorientowany, ale na jego twarzy szybko pojawił się uśmiech. Był jednak zmuszony go ukryć. Wyłącznie szczęściu – słodkiemu, łaskawemu szczęściu bogów – zawdzięczał, że uszedł z życiem, podczas gdy ten głupi posraniec Pyskaty zginął. Teraz jednak był pewien, że szczęście nie przestanie go darzyć swą łaską. Uciekł w panice. Było ciemno i nic nie zauważył, ale Kaul z pewnością oberwał jedną z kul. Po prostu umierał wolniej, niż dzieje się to zwykle. To znaczyło, że on, Bero, zabił filar klanu Bez Szczytów! Znowu się uśmiechnął. Nikt inny, żadna zielona kość w mieście, nie mógł tego o sobie powiedzieć. Był wściekły na siebie za to, że uciekł i nie wrócił na nabrzeże, żeby to sprawdzić.

Minęła większa część dnia, nim wrócił do Dobrych Towarów, na południowy koniec Junko. Kupił sobie nowe ubranie i kapelusz, a stare wyrzucił do śmieci. Następnie ruszył w drogę na piechotę. Nie ufał nikomu, w tym również taksówkarzom i kierowcom autobusów. Ktoś mógł go wczoraj widzieć, a być może już go poszukiwano. To było terytorium wierne klanowi Bez Szczytów i wielu ludzi wyglądało na wstrząśniętych. Bero widział mnóstwo smutnych twarzy, ludzie gromadzili się pod sklepami ze sprzętem elektronicznym, by oglądać lokalne wiadomości telewizyjne, a nawet płakali publicznie. Ten widok wypełnił Bera radością, dodał energii jego znużonym krokom. Wszyscy ci ludzie zlinczowaliby go, gdyby tylko wiedzieli, co uczynił. Powiesiliby go, pokroili jego ciało na kawałeczki i spalili szczątki.

Gdy zapukał po raz trzeci, Mudt otworzył tylne drzwi swojego sklepu. Spojrzał z przerażeniem na Bera, jakby ujrzał ducha, po czym złapał go za ramię i wciągnął do środka.

– Idź do drzwi frontowych i krzycz, gdyby ktoś się zjawił! – zawołał do syna, oglądając się przez ramię. Chłopak odstawił skrzynkę i popędził wykonać polecenie. – Co się, kurwa, stało?

– Zrobiłem to – oznajmił Bero. – Zabiłem Kaula.

Ku jego zaskoczeniu Mudt był przerażony.

– Gdzie jest Pyskaty?

– Nie żyje.

Usta Mudta poruszyły się, jak u wyciągniętego z wody karpia.

– Jebać bogów – odezwał się wreszcie. – Jebać. – Zatoczył kilka kręgów, pociągając się drżącymi palcami za mokre, sztywne włosy. Nagle zwrócił się w stronę Bera. – Musisz natychmiast stąd zwiwać.

Chłopak się rozgniewał. Nie takiego przyjęcia się spodziewał.

– Niby dlaczego? Szedłem tu na piechotę przez cały dzień. Nie masz pojęcia, jaką miałem noc. Ale zrobiłem to. Zabiłem Kaula. Dlatego łap za telefon i zadzwoń do tej zielonej kości. Zrobiłem to, czego chciał. I chcę dostać jadeit. Natychmiast. Zasłużyłem na niego. Nie może być wątpliwości.

– Ty jebany debilu – warknął Mudt. – Nikt ci nie kazał zabijać Kaula. Mieliście ostrzelać

Boski Bez i odjechać. Nastraszyć Kaula na jego własnym terytorium, zniszczyć jego samochód i jeden z ulubionych lokali, wkurzyć go, ale nie zabijać. Sam pomysł, że dwóch takich przygłupów jak wy mogłoby załatwić zieloną kość klasy Kaul Lana... – Mudt parsknął pogardliwym śmiechem.

– Mamy przejebane – dodał poważniejszym tonem.

– Góra chciała śmierci Kaula, tak? – zapytał Bero, nie chcąc uwierzyć własnym uszom. – To byłaby demonstracja siły, tak właśnie powinny postępować zielone kości. Chcesz mi powiedzieć, że nie przyszło ci do głowy, że mogę to zrobić?

– Człowieka noszącego tyle jadeitu, co filar? Nie ma mowy, żeby załatwiło go dwóch chłopaków z fullertonami, którzy ledwie potrafią strzelać! Myśleliśmy, że wywołacie panikę, może postrzelicie kilku gości i będziecie mieli szczęście, jeśli ujdziecie z życiem. Nie mam pojęcia, jak zdołałeś tego dokonać, jak to możliwe, że tu jesteś.

Mudt umilkł, złapał Bera za ramię i pociągnął przez pomieszczenie pełne skrzyń, papierów i środków czyszczących.

Chłopak wyrwał się z uścisku.

– Co ty wyprawiasz?

Mudt otworzył drzwi sąsiedniego pomieszczenia. Odsunął na bok szafkę na dokumenty na kółkach i zwinął częściowo dywan. Pod nim znajdowała się kłapa w podłodze.

– Już raz dzwonił, żeby zapytać, czy wróciłeś – mruknął Mudt, pociągając za wielki mosiężny pierścień, by otworzyć kłapę. – Przyjedzie tu dzisiaj. Może się zjawić w każdej chwili. Jeśli cię znajdzie, będziesz trupem, keke. Jeśli będziesz miał szczęście, po prostu cię zabiją za to, że spieprzyłeś sprawę. W przeciwnym razie oddadzą cię klanowi Bez Szczytów jako dar. Choć na to zapewne jest za późno. Mówią, że róg klanu Bez Szczytów wkroczył już na ścieżkę wojenną.

– Mówisz, że powinienem uciekać?

– Bogowie, naprawdę jesteś trochę głupawy, co – skwitował Mudt i wskazał na kłapę w podłodze. – Nie sądzę, żeby ktoś widział, jak tu wchodziłeś. Lepiej nie ryzykować, że ktoś cię zauważy, jak będziesz wychodził. Tunel biegnie pod Parkiem Letnim i kończy się nad wodą. Bardzo się przydaje przemytnikom, a o tej porze roku będzie w nim sucho. Jeśli miałeś tyle szczęścia, że dożyłeś aż do dzisiaj, może uda ci się wydostać z Janloonu.

– Wydostać się z Janloonu?! – zawołał Bero. – Jak?!

– W tym ci nie pomogę, keke – oznajmił Mudt. – Moja rola kończy się tutaj. Jeśli Góra dowie się, że to zrobiłem, na początek wytną mi język. – Pobladł. – Żegnaj, jadeicie. Żegnaj, poranny błysku. Żegnaj, stałe jedzenie.

Bero przyjrzał mu się z uwagą.

– W takim razie dlaczego to robisz?

Mężczyzna spojrzał na niego, jakby zadawał sobie takie samo pytanie. Skrzywił się, jakby nie spodobała mu się odpowiedź, jakiej sobie udzielił.

– Dzięki tobie zarobiłem kupę forsy. Co więcej, nie dałeś się złapać, mimo że większość pozostałych capnęli, i przez jakiś debilny cud, którego nie potrafię pojąć, udało ci się załatwić Kaul Lana i nie odnieść żadnych obrażeń poza bandażem na ramieniu. Nie wiem, co z tobą jest, keke, ale masz naprawdę niezwykle szczęście bogów, a ja nie zamierzam wchodzić mu w drogę. Nie ma mowy. – Wskazał na schody prowadzące pod ziemię. – Nie dotykaj tam niczego. A teraz zmiataj, nim zmienię zdanie.

Bero nie potrafił w to uwierzyć. Zrobił wszystko, jak trzeba, wykorzystał każdą szansę, która mu się nasunęła, i oto jak mu się odplacili! Jeszcze przed chwilą czuł się niemal niezwykłym, przekonany, że wreszcie otrzyma należną nagrodę. Teraz sobie uświadomił, że wszystko to był okrutny żart. Przyszło mu na myśl, że mógłby odmówić ucieczki. Zaczeka tutaj, na zapleczu Dobrych Towarów, aż skurwysyńska zielona kość z bródką się zjawi, a wtedy zażąda stosownej zapłaty.

Mudt jednak miał rację. Sprzyjało mu niezwykle szczęście i lepiej było tego nie kwestionować. Wczorajszej nocy kazało mu ścigać Kaula, a teraz mówiło mu, że jeśli tu zostanie, nie dożyje chwili, gdy fortuna znowu się odwróci.

Ruszył w głąb tunelu.

– Tu jest ciemno – poskarżył się.

Mudt wręczył mu latarkę i Bero ją włączył. Gdy dotarł do końca schodów, mężczyzna



zamknął klapę. Bero poderwał się nagle, słysząc, jak właściciel sklepu przetacza szafę na kółkach z powrotem na miejsce. Za gardło złapała go nagła panika. Co, jeśli to nie była droga ucieczki, tylko pułapka? Co, jeśli Mudt zamknął go tutaj, żeby oddać go później jednemu z klanów albo po prostu po to, by umarł?

Zatoczył krąg latarką. Wiązka światła drżała, padając na pozbawione etykiet skrzynie i pudełka. Z pewnością tu właśnie Mudt przechowywał swą najwartościowszą kontrabandę.

W innej sytuacji Bero chętnie otworzyłby skrzynie i zajrzał do środka, ale teraz, gdy żółta plama światła przesunęła się po najbliższych skrzyniach i zniknęła w długim, kuszącym tunelu, żyły chłopaka wypełniła ulga. Popędził naprzód, uciekając przed nienawistną świadomością, że znowu go oszukano.

## Rozdział 36

### Niech bogowie obdarzą go uznaniem

Przynajmniej nie pada deszcz, pomyślał Hilo.

Długi i kręty orszak pogrzebowy Lana posuwał się powoli ulicami, zmierzając ku rodzinnym terenom pogrzebowym na cmentarzu położonym na wzgórzach w Parku Wdowy, niedaleko od Akademii Kaul Dushurona. Nie było groźby przemocy – zaatakowanie konduktu pogrzebowego zielonej kości przyniosłoby niewiarygodnego pecha – ale wyczuwało się napięcie. Jego całun zwiślał nad ceremonią niczym gęste, późnojesienne chmury. W Janloonie przez cztery dni utrzymywał się iluzoryczny spokój. Klany chowały swoich zabitych. Klan Bez Szczytów zwrócił ciała zielonych kości zabitych w kasynach, żeby Góra mogła odprawić odpowiednie obrządki. W częściach miasta należących do nich w oknach zapalono ceremonialne latarnie będące przewodnikami dla duchów, by uczcić pamięć Kaul Lana, wnuka Płomienia i filar klanu. Niech bogowie obdarzą go uznaniem.

Hilo wiele godzin siedł tuż za karawanem. Shae i Maik Kehn, niedawno mianowany rogiem, posuwali się tuż za nim. Za nimi szły głowy innych ważnych rodzin z klanu – pięści, szczeniodawcy albo latarnicy – a jeszcze dalej długi szereg lojalistów, którzy przyłączyli się do konduktu, by okazać szacunek. Była wśród nich Wen, w towarzystwie Tara. Hilo wolałby, żeby szła u jego boku, ale nie byli jeszcze małżeństwem. Ślub odłożono bezterminowo. Zamiast planować wesele, siedł w kondukcje pogrzebowym brata.

Zgodnie ze zwyczajem przed pogrzebem członkowie rodziny musieli przez dwie doby czuwać w milczeniu przy nakrytej białą tkaniną trumnie, a w ciągu kilku poprzednich dni Hilo spał powyżej cztery godziny. Czuł się piekielnie zmęczony. Co kilka minut pogrzebowe gongi i bębny niesione przed karawanem generowały straszliwy hałas, mający przyciągnąć uwagę bogów i sprawić, by czuwali nad przejściem Lana do świata duchów. To wrywało Hila z senności i ułatwiało mu stawianie kolejnych kroków. Uważano, że podczas czuwania nie powinno się mówić ani spać, bo jeśli duch zmarłego ma jakieś pożegnalne wiadomości do przekazania, zrobi to właśnie w tym czasie. Jeśli nic się nie wydarzy, będzie to oznaczało, że zmarły opuścił ziemskie królestwo i zaznał spokoju.

Zdaniem Hila był to kolejny dowód na to, że wszystko, co mówiono o duchach, to bzdury. Jeśli duch Lana gdzieś tu był, z pewnością nie zaznał spokoju, i Hilo był pewien, że powiedziałby mu parę rzeczy, gdyby tylko mógł. „Nie jesteś filarem. Ja urodziłem się do tej roli i szkoliłem się do niej, a i tak mnie zabiła. Wydaje ci się, że potrafisz spisać się lepiej? Dziadek zawsze powtarzał, że jesteś tylko zwyczajnym zbiorem”.

– Zamknij się – wyszeptał Hilo, mimo że wiedział, że nie rozmawia z Lanem, tylko z własnymi obawami wyrażanymi głosem jego brata. Ostatniej nocy, gdy bezsenność osłabiła go i skłoniła do ulegania przesądom, położył dłonie na rękojeści guan dao brata i wyteżył Postrzeżenie tak bardzo, że dziesiątki aur i rytm setek serc wypełniły jego umysł na podobieństwo białego szumu. Nie wyczuł nawet najdrobniejszego śladu obecności Lana. Podczas czuwania nie pojawił się ani przemówił do niego żaden duch, choćby tylko po to, by mu powiedzieć: „Nie przejmuj się, bracie, wkrótce do mnie dołączysz”.

Wreszcie dotarli do cmentarza. Karawan wspiał się na wzgórze, na którym wykopano nowy grób obok rodzinnego pomnika z zielonego marmuru, pod którym pochowano ojca Hila i innych jego przodków. Trójka bogowierczych pokutników w białych żałobnych szatach czekała na miejscu, by odprawić ostatnie obrządki. Matka Hila stała obok Kaul Sena, który siedział w fotelu na kółkach tuż przy grobie. Kyanla trzymała nad nim chroniący przed słońcem parasol, mimo że niebo było zachmurzone. Przywieziono ich tu przed dotarciem na miejsce orszaku. Kaul Wan Ria, sprowadzona z Marenii, garbiła się jak ktoś, kto dawno już przestał kwestionować świat czy z nim walczyć. Miała pozbawione wyrazu oczy, jak lalka. Patriarcha siedział nieruchomo. Jego sękaty dłonie zaciśnięte na ramionach wózka wyglądały jak korzenie drzewa zagłębiające się w glinę.

Hilo objął matkę, lecz jej odwzajemniające uścisk kończyny były słabe. Wydawało się, że

ledwie go zauważyła. Lan okazywał jej najwięcej zainteresowania ze wszystkich dzieci, więcej niż dwoje pozostałych razem wziętych.

– Kocham cię, mammo – rzekł Hilo.

Nie odpowiedziała. Siwizna w jej włosach była wyraźniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Jej ciało ukryte pod obszernym białym żałobnym strojem wydawało się dziwnie bezkształtne. Ze wszystkich członków rodziny to ona zapewne przeżyła największy szok. Hilo wątpił, by Lan opowiadała jej wiele o konflikcie między klanami trwającym w mieście. Z powodu wcześniejszej niewiedzy cierpiała teraz bardziej. Zapisał sobie w pamięci, że trzeba ją znowu przybliżyć do rodziny albo wynajść kogoś, kto lepiej zadba o nią w Marenii.

Podszedł do Kaul Sena i uklęknął przed nim z szacunkiem, splatając dłonie i dotykając nimi czoła.

– Dziadku.

Wstał i pocałował w czoło nienawistnego starca. Gdy się pochylał, niemalże oczekiwał, że jego dziadek wyciągnie szponiastą dłoń i zmiażdży mu tchawicę na oczach świadków. Palce Kaul Sena drżały nerwowo, ale łytał tylko z lekką pogardą na jedyne go wnuka, jaki mu pozostał. Hilo odsunął się na bok, pozwalając, by Shae zajęła pozycję przy wózku i ujęła dziadka za rękę.

– Gdzie jest Doru? – zapytał starzec.

Hilo bał się jego obecności na pogrzebie. Kaul Sen stawał się coraz bardziej nieprzewidywalny. Co mógł powiedzieć? Czy publicznie oskarży Hila albo zacznie głądzić o tym, jaki wspomniały był jego syn Du? Teraz jednak uspokoił się nieco. To dobrze, że dziadek tu był. Na wózku sprawiał wrażenie kruche go i zdeorientowanego. Nie ulegało wątpliwości, że jest już tylko złamanym starcem, a nie Płomieniem Kekonu. Hilo wiedział, że niektórzy ze starej gwardii klanu mogliby agitować za tym, żeby Kaul Sen wrócił na pozycję przywódcy. Teraz zobaczą, że to niemożliwe.

Hilo zajął miejsce tuż przy trumnie. Gdy przybyli inni członkowie klanu, pilnie obserwował, którzy najpierw podchodzili do niego, by okazać szacunek nowemu filarowi, a kto szedł wyszeptać kondolencje Kaul Senowi. Większość przychodziła do niego, jak wymagał zwyczaj. Ale niektórzy nie. Było ich wystarczająco wielu, by Hilo wiedział, że jego władza bynajmniej nie jest powszechnie akceptowana.

Gdy Wen podeszła do niego z Tarem, pocałował ją w oba policzki. Wyglądała pięknie, nawet z białym żałobnym pudrem na twarzy, pozbawiającym jej cerę naturalnego blasku. Kiedy jego usta dotknęły jej twarzy, wsunęła na moment dłoń w jego uścisk.

– Nie przejmuj się tymi staruchami – wyszeptała, jakby czytała w jego myślach albo po prostu zauważyła, jak zerkał na grupę gości, którzy nie podeszli do niego, by uznać go za filar. – Jeszcze nie zaakceptowali rzeczywistości.

– Niektórzy z nich są potężni – odparł cicho Hilo. – Niektórzy są radcami.

– Podczas wojny z radców nie ma żadnego pożytku – sprzeciwiła się Wen. – W tej chwili latarnicy nie potrzebują nowych przepisów ani ulg podatkowych. Potrzebują ochrony. Potrzebują siły klanu. Spójrz na pięści. Wszystkie cię poparły. Każdy w klanie również to zauważył.

Uścisnęła jego palce i stanęła obok brata.

Hilo przesunął spojrzeniem po tłumie i dostrzegł stojącego z boku Andena. Spojrzał kuzynowi w oczy i wezwał go skinieniem do dołączenia do rodziny. Chłopak się zawahał, ale po chwili podszedł do niego. Biedny dzieciak sprawiał wrażenie złamanego żałobą, oczy miał zaczerwienione, a twarz prawie tak zapadniętą i bladą jak trup Lana, gdy Hilo ujrzał go po raz pierwszy.

– Dlaczego stoisz sam, Andy? – zapytał łagodnie nowy filar. – Twoje miejsce jest wśród nas.

Anden skrzywił się, jakby ledwie mógł zapanować nad sobą, ale skinął bez słowa głową i przystanął obok Shae.

Gongi i bębny wydały z siebie ostatni dźwięk, od którego Hila ponownie rozboleła głowa. Najstarszy z pokutników, wykształcony, przesunął się naprzód i rozpoczął długą, cichą melorecytację, mającą zaprowadzić ducha Lana do życia przyszłego, gdzie będzie czekał w spokoju na długo wyczekiwany Powrót, kiedy cała ludzkość zostanie na nowo wpuszczona do nieba i odzyska jedność z bogami.

Hilo przestał go słuchać po kilku minutach. Poruszał wargami, by powtarzać odpowiednie

fragmenty tekstów, ale nigdy nie wierzył w nic, czego nie mógł zobaczyć ani wyczuć własnymi potężnymi zmysłami. Bogowierstwo, podobnie jak wszystkie religie, tworzyło skomplikowaną historię z prawd, które były proste, lecz ludziom trudno je było zaakceptować.

Jadeit był tajemniczą, lecz naturalną substancją, a nie darem od bogów czy pozostałością jakiegoś niebiańskiego pałacu. Kekończykom sprzyjało genetyczne szczęście, podobnie jak pierwszym małpom, u których pojawiły się przeciwstawne kciuki. To wszystko. Ludzie nie pochodzili od bogów i nie staną się nimi znowu w przyszłości. Ludzie byli ludźmi. Moc jadeitu nie czyniła ich lepszymi ani bliższymi bogom, a tylko potężniejszymi.

Przyjrzał się pogrążonemu w smutku tłumowi. Było w nim mnóstwo wpływowych latarników – biznesmenów, członków kadry kierowniczej korporacji, sędziów albo polityków. Wszyscy przynieśli białe koperty ze specjalną daniną, mającą pokryć koszty pogrzebu Lana. W ten sposób publicznie ogłaszali, że dochowują wierności klanowi. W tej chwili był to tylko gest, nie obietnica. Prawdziwą wartość ich lojalności ukażą następne tygodnie i miesiące. Wszystko zależy od tego, jak potoczy się wojna klanów.

Hilo rozglądał się w lewo i w prawo, patrząc na członków rodziny stojących przed zgromadzonymi żałobnikami. Dzisiaj zademonstrują im jedność klanu – Shae jako prognostyczka, straszliwi bracia Maik jako róg i pierwsza pięść, jego narzeczona i utalentowany nastoletni kuzyn, wszyscy byli razem. Publiczna deklaracja, zapewniająca, że młodsze pokolenie klanu Bez Szczytów nadal jest silne i obroni jego przyszłość. Miał nadzieję, że to na razie wystarczy.

Kazanie zakończyło się kilkakrotnie wyszeptanym refrenem „niech bogowie obdarzą go uznaniem”. Następnie wszyscy zwrócili się w stronę trumny, by patrzeć, jak opuszczają ją do dołu. Hilo będzie potem musiał poświęcić nieco czasu na przyjmowanie kondolencji. Wolałby położyć się na ziemi i zasnąć. Shae, która czuwała razem z nim, stała wyprostowana, wpatrując się przed siebie. Jedną ręką trzymała matkę za ramię. Kaul Sen siedział bezwładnie na wózku. Sprawiał wrażenie zagubionego. Ludzie zaczęli rozmawiać ze sobą szeptem. Wszystko to wyglądało bardzo przygnębiająco.

– Idzie kanclerz Son – poinformowała go szeptem Shae.

Rumiany polityk z nadwagą zbliżył się do grobu i taktownie położył białą kopertę na umieszczonej obok tacce.

– Kaul-jen – zaczął, odwracając się i unosząc ręce w geście przywitania. Hilo zauważył jednak, że nie trzymał ich w górze zbyt długo ani nie wykonał niczego, co przypominałoby ukłon. – Jest mi niewiarygodnie ciężko na sercu z powodu twojej straty.

– Dziękuję, że zjawiłeś się, by dzielić naszą żałobę, kanclerzu – odrzekł Hilo.

– Twój brat był filarem znacznie krócej, niż na to zasługiwał. Był rozsądnym i mądrym przywódcą, który zawsze myślał o potrzebach kraju i nigdy nie zapominał o tych, którzy okazali klanowi przyjaźń. Zawsze darzyłem Kaul Lana wielkim szacunkiem. Będzie go nam bardzo brakowało.

– Z pewnością – zgodził się Hilo, starając się, by jego twarz zachowała obojętny wyraz.

Nie mogło być wątpliwości, że kanclerz próbuje mu przekazać jasną wiadomość, a jego sprytne spojrzenie sugerowało, że nowy filar z pewnością nie dorównuje poprzednikowi. Son posługiwał się gładkim dyplomatycznym językiem, ale Hilo nie potrzebował Postrzegania, by zauważyć nieufność i niezdecydowanie promieniujące od zebranych tu dziś latarników. Potrzebowali ochrony i patronatu klanu, a gdy patrzyli na Hila, widzieli jego młodość oraz reputację człowieka gwałtownego.

Po pogrzebie Shae policzy datki, które otrzymali. Wtedy będzie lepiej wiedział, na czym stoi i ile ma powodów do niepokoju. Choć bardzo pragnął odnaleźć pocieszenie w słowach Wen, wiedział, że nie ma znaczenia, iloma lojalnymi pięściami dysponuje. Jeśli latarnicy wycofają swe poparcie i zaczną odpływać do Góry, utraci klan. Odwrócił się z niechęcią i uprzejmie przywitał kolejnego żałobnika, który podążył za przykładem Sona, by położyć kopertę na tacce i przekazać wyrazy szacunku.

Gdy kolejka gości wreszcie się przerzedziła i tłum zaczął się rozpraszać, podszedł do niego Anden.

– Hilo-jen... – zaczął niepewnie. – Muszę z tobą porozmawiać. – Nastolatek skrzywił się, jakby cierpiał fizyczny ból. Słowa popłynęły mu z ust wartkim strumieniem, a jego mina sugero-

wała, że błaga o wybaczenie za jakąś straszliwą zbrodnię. – Jest coś, o czym powinienem być ci powiedzieć, ale tego nie zrobiłem. Gdyby tylko...

Hilo odciągnął zestresowanego kuzyna na bok.

– O co chodzi, Andy?

– Niedługo przed śmiercią Lan zlecił mi pewne zadanie. Chciał, żebym chodził w pewne miejsce i przynosił mu przesyłki. Powiedział, że nikomu nie mogę o tym wspomnieć. – Szept Andena był pełen bólu i przesycony nerwowością. – Kiedy ostatnio go widziałem. Lan zachowywał się dziwnie. Gniewał się, jakby nie był sobą, a jego aura była inna niż zwykle. Zbyt ostra. W tych przesyłkach były fiołki, Hilo. Fiołki...

Hilo złapał chłopaka za kłapy i pociągnął go w górę.

– Nie mów tego – rozkazał cichym, gniewnym głosem.

Anden umilkł i znieruchomiał, wlepiając w niego spojrzenie.

Twarz nowego filaru była jak wykuta z kamienia. Pochylił się w stronę Andena.

– Lan był pierwszym w naszej rodzinie, filarem naszego klanu – wyszeptał mu do ucha. – Góra go zabiła, a ja dopilnuję, by za to zapłaciła. I z całą pewnością nie pozwolę nikomu kalać pamięci o moim bracie ani podawać w wątpliwość siły naszej rodziny. Nigdy. – Wzmocnił uścisk na marynarce Andena. Przyciągnął chłopaka bliżej i spojrzał mu prosto w oczy. – Czy mówiłeś o tym komuś w szkole?

– Nie – zaprzeczył Anden, otwierając szeroko oczy. – Nikomu.

– Nie wspominaj o tym już nigdy.

Chłopak poruszył grdyką, ale nie zdołał wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Skinął głową.

Hilo rozluźnił uścisk. Wyraz jego twarzy złagodniał. Poprawił marynarkę Andena i położył dłonie na jego barkach.

– Mnie to również gryzie, Andy. Zadaję sobie pytanie, co więcej mogłem zrobić. Powinieniem był poświęcać mu więcej uwagi. Przydzielić mu tamtego wieczoru strażników. Ale to już nie ma znaczenia. Co się stało, to się nie odstanie. Nie możemy tego zmienić. To nie była twoja wina, nawet w najmniejszym stopniu.

Anden nie patrzył na niego. Otarł oczy grzbietem dłoni. Hilo nie chciał, by chłopaka nadal dręczyły smutek i poczucie winy.

– Czy potrzebujesz trochę wolnego czasu? Mogę o tym wspomnieć w Akademii?

Nastolatek natychmiast potrząsnął głową.

– Nie. Chcę ukończyć naukę o czasie.

– To dobrze. Tego właśnie chciałby Lan.

Hilo spróbował uśmiechnąć się pocieszająco do kuzyna, ale ten nadal nie chciał unieść wzroku. Wreszcie chłopak skinął głową i oddalił się ku kilku kolegom z Akademii, którzy stali nieopodal w towarzystwie rodzin.

Hilo wypuścił z płuc pełen znużenia oddech, śledząc wzrokiem kuzyna. Nie chciał użyć tak twardych słów, ale Anden wkrótce miał złożyć przysięgę i stać się członkiem klanu. Musiał zrozumieć, że dla zielonej kości klan oraz dziedzictwo są najważniejsze. Autorytet Lana opierał się na dziedzictwie jego ojca i dziadka, a autorytet Hila będzie dodatkowo wspierało dziedzictwo brata. Klan był jak ciało. Latarnicy byli jego skórą i mięśniami, pięści i szczęściodawcy sercem i płucami, ale to filar był kręgosłupem. Kręgosłup nie mógł być słaby, bo inaczej ciało nie będzie mogło stać prosto i utraci zdolność walki. Lan wpadł w zasadzkę wrogów i zginął jak wojownik. Nie można było dopuścić, by ktokolwiek w to wątpił.

– Zabierz stąd resztę ludzi – rozkazał Tarowi. – Chcę zostać sam.

Tar i Kehn grzecznie, lecz stanowczo, poprowadzili pozostałych żałobników w stronę wyjścia. Shae przez długi czas pochylała głowę. Jej wargi się poruszały, jakby mówiła coś bezgłośnie do trumny Lana. Wreszcie odwróciła się i odeszła, sterując powolnymi krokami matki. Wen podeszła do Hila i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Idź z braćmi – poprosił. – Niedługo do was dołączę.

Kaul Sen pozostał przy otwartym grobie. Kyanla stała cierpliwie za jego wózkiem.

– Był dobrym chłopakiem – rzekł wreszcie. – Dobrym synem.

Starzec nagle się rozplakał. Milczał, a jego twarz przybrała brzydki wyraz kogoś, kto wstydzi się płakać i uważa, że łzy są tylko dla słabych. Kyanla próbowała go pocieszyć, wręczając mu

serwetki, które miała w torebce.

– Spokojnie, Kaul-jen, w płaczu nie ma nic złego. Wszyscy jesteśmy ludźmi i od czasu do czasu musimy się rozpłakać, by poczuć się lepiej. Nawet filar.

Kaul Sen nie zwracał na nią uwagi.

Hilo się odwrócił. Na widok łez na twarzy starca poczuł w piersiach ucisk ciężki jak ołów. Jego dziadek był straszliwym tyranem, ale nikt nie zasługiwał na tak tragiczne życie. Wszystkie militarne i cywilne triumfy, publiczne wyrazy uznania oraz dziesięciolecia władzy nad rodziną nie mogły wynagrodzić faktu, że pochował jedynego syna i najstarszego wnuka.

Dziadek ostatecznie pogrążył się w demencji i przed kilkoma dniami trzeba mu było podać środki uspokajające. Hilo polecił wtedy doktorowi Truw zabrać mu i zamknąć w sejfie część jadeitu. Na początek kilka kamieni z pasa. Doktor zapewnił, że to pomoże zmniejszyć prawdopodobieństwo, że staruszek zrobi krzywdę sobie bądź innym, przytępi jego zmysły, spowolni metabolizm i uspokoi go. Gdy Kaul Sen się obudził, nawet nie zauważył, że brakuje mu części jadeitu, co samo w sobie było złym znakiem. Ale Hilo to wyczuwał. Potężna ongiś aura Płomienia Kekonu już przedtem była cieniem dawnej chwały, a utrata jadeitu uczyniła to jeszcze łatwiej dostrzegalnym. Gdy ujrzał go w tym stanie, uświadomił sobie z nagłą pewnością, że dziadek wkrótce umrze. Niedługo czekał ich kolejny pogrzeb w rodzinie Kaulów, choć nie był pewien czyj.

Hilo wiedział, że Kaul Sen kochał go najmniej z trojga wnuków, lecz mimo to nakazał sobie podejść do niego.

– Wszystko w porządku, dziadku – rzekł cicho. – Uczyniłeś klan potężniejszym niż ktokolwiek z nas. – Przykucnął obok wózka. – Nie martw się, zadbam o wszystko. Mogę nie być Du ani Lanem, ale jestem Kaulem. Obiecuję, że sobie poradzę.

Nie wiedział, czy dziadek słyszał jego słowa ani czy cokolwiek go obchodziły, ale starzec przestał płakać i zamknął oczy. Podbródek opadł mu do piersi. Hilo kazał Kyanli odwieźć go do samochodu.

Wreszcie został sam przy grobie Lana. Mimo że nie wierzył w niebo ani w duchy, musiał powiedzieć mu kilka rzeczy.

– Twój jadeit kazałem zaszyć w podszewkę trumny, bracie. Nikt ci go nie odebrał i nikt nigdy nie będzie go nosił. Należy do ciebie. – Umilkł na chwilę. – Wiem, że nie wierzysz, że sobie poradzę, ale nie zostawiłeś mi wyboru, prawda? Dlatego udowodnię, że się myliłeś. Nie dopuszczę do upadku klanu Bez Szczytów. Jeśli istnieje życie pozagrobowe, to kiedy znowu się spotkamy, powiesz mi, że dotrzymałem przysięg, które ci złożyłem.

## Rozdział 37

### Ulaskawienie prognostyka

Shae poszła do domu prognostyka, gdzie dwóch mężczyzn nieustannie trzymało Yun Doru-pona pod strażą. Obaj byli młodszymi rangą palcami i nie mogliby się mierzyć z potężną zieloną kością, ale też nie musieli tego robić, ponieważ więźniowi odebrano cały jadeit. Jeden z nich stał przed drzwiami, by nikogo nie wpuszczać do środka, drugi zaś czuwał wewnątrz, żeby nie pozwolić Doru uciec. Zostawili sobie tylko pistolety. Nie mieli nawet karambitów, więc więzień nie miał szans dostać w ręce broni z jadeitową rękojeścią.

– Hilo-jen powiedział, że nikomu nie wolno tu wchodzić – oznajmił wartownik, gdy podeszła do drzwi. Nawet te młode Palce mówiły o Hilu w poufalej formie, jakby byli przyjaciółmi.

– To jest dom prognostyka – odpowiedziała Shae. – Teraz ja jestem prognostyczką, zatem to moja rezydencja. Ten człowiek jest tu tymczasowym gościem, a ja chcę z nim porozmawiać. – Strażnik nadal się wahał. – Lepiej będzie, jeśli zawiadomisz o tym, co zrobiłam, mojego brata, zamiast próbować mnie powstrzymać – dodała.

Palec zastanowił się nad tym, jak wygląda jego pozycja w porównaniu z jej pozycją, i wpuścił ją do środka. W całym domu panowała ciemność, choć był już późny poranek. Żaluzje zasunięto, a wentylator pod sufitem obracał się powoli, poruszając ciepłym, dusznym powietrzem pachnącym goździkami i zatechłymi swetrami. Doru niczego nie wyrzucał. Wszędzie było pełno niedobrych mebli, roślin doniczkowych oraz najrozmaitszych prezentów, które zgromadził w ciągu dziesięcioleci kariery prognostyka – statuetki i małe, zdobne szkatułki, kolorowe wazy i rzeźbione przyciski do papieru, dywaniki i hebanowe podstawki. W kącie salonu, przy oknie, siedział na krześle drugi strażnik. Miał wyraźnie znudzoną minę. Doru leżał na sofie, oczy zasłaniał mu wilgotny, złożony ręcznik.

– Czy to ty, Shae?

– Doru-je... – Shae umilkła na chwilę. – Cześć, wujku Doru.

Były prognostyk nie miał już uprawnień do przyrostka, którym się posługiwał przez większą część życia.

Doru zdjął ręcznik z oczu i poruszył chudymi kończynami. Siadał powoli i ostrożnie, jakby nie był przyzwyczajony do własnego ciała i podejrzewał, że może się złamać. Bez jadeitu wydawał się chudy i niezgrabny. Były prognostyk oblizł suche, wąskie wargi i przyjrzał się z uwagą Shae, jakby chciał się upewnić, czy to rzeczywiście ona.

– Ach – wydyszał, odchylając głowę do tyłu i zamykając oczy, jakby ten ruch już go wyczerpał. – Jak zdołałaś tego dokonać, Shae-se? Jak przeszłaś przez to sama i tak daleko od domu?

Była młoda i zdrowa, lepiej znosiła bóle głowy, przygniatające zmęczenie oraz ataki paniki towarzyszące odstawieniu jadeitu. Doru prawie dorównywał wiekiem dziadkowi. Nie potrafiła się powstrzymać przed zadaniem sobie pytania, czy szybka śmierć nie byłaby dla niego lepszym losem niż to upokarzające traktowanie.

– Po dwóch tygodniach robi się łatwiej – zapewniła.

– Wiem, Shae-se. – Doru westchnął. – Nie po raz pierwszy pozbawiono mnie jadeitu i uwięziono. Przynajmniej tym razem siedzę we własnym domu, nie w szotarskiej izbie tortur. – Poruszył palcami w geście mającym znaczyć „nieważne”. – Nie spodziewam się jednak, by to miało potrwać tak długo. Podejdź bliżej. Nie słyszę cię zbyt dobrze. Usiądź przy mnie i powiedz mi, dlaczego jeszcze żyję.

Shae podeszła do fotela i usiadła w nim naprzeciwko więźnia.

– Z powodu pogrzebu Lana, wujku – odparła. – Odbył się wczoraj.

Woda zebrała się pod cienkimi jak papier powiekami Doru i wypłynęła z kącików oczu, zostawiając wąskie ślady na policzkach, niczym rzeki szukające dla siebie drogi przez zryty zmarszczkami krajobraz.

– Dlaczego on? Zawsze był dobrym, rozsądnym człowiekiem. Dobrym wnukiem. Ach, Lan-

se, dlaczego byłeś taki głupi? Taki dobry i taki głupi? Mogliście pozwolić mi przyjść na pogrzeb – dodał oskarżycielskim tonem. – Hilo mógł przyznać mi tę łaskę.

– Wiesz, że nie mógł tego zrobić.

– Jak to się stało? Biedny Lan-se, w jaki sposób zginął?

– Zastawili na niego zasadzkę, gdy wracał do domu z Boskiego Bzu. Utonął w porcie.

Dziwiła się, że jest w stanie wypowiedzieć te słowa.

Doru potrząsnął głową.

– Niemożliwe. To na pewno jakaś straszna pomyłka. Nigdy nie planowano czegoś takiego.

Nigdy.

Żył Shae wypełnił zimny gniew.

– Dlaczego nas zdradziłeś, Doru? Po tylu latach, dlaczego?

– Robiłem to, co uważałem za najlepsze. Czego chciałby Kaul-jen. Nigdy bym go nie zdradził, dla nikogo ani niczego. – Na jego twarzy pojawił się wyraz żalu. – Nawet dla jego wnuków.

– To nie ma sensu. Próbujesz mi powiedzieć, że dziadek chciał, byś spiskował z Górą przeciwko nam?

– Dobry prognostyk potrafi czytać myśli swojego filaru jak własne – odparł Doru. – Kaul-jen nigdy nie musiał mnie prosić, bym to zrobił, nie musiał pytać: „Doru-jen, jak powinienem postąpić?”. Zawsze wiedziałem, do jakiego celu zmierza, nim jeszcze sam to sobie uświadomił. Jeśli powiedział „Musimy zdobyć to miasteczko”, wiedziałem, że ma na myśli odcięcie połączeń morskich, a kiedy stwierdził „Powinniśmy porozmawiać z takimi-to-a-takimi”, wiedziałem, że ma na myśli przekupienie go, i rozpoczynałem przygotowania. Dostrzegałem sprawy, o których Kaul-jen nie wspominał, i podejmowałem odpowiednie kroki. Rozumiesz?

– Nie – odpowiedziała.

– Kaul-jen popełnił w życiu tylko kilka błędów, których żałował. Gdy on i Ayt współpracowali ze sobą, Towarzystwo Jednej Góry było potężne. Tak potężne, że wyzwoliło cały kraj! Urodziła się po końcu wojny, Shae-se i nie potrafisz zrozumieć, jakie to ma znaczenie. To pokój, nie wojna, podzielił nas na klany, spowodował rywalizację o terytorium, zyski i jadeit. Widzę, że twój dziadek jest zdruzgotany świadomością, że on i Ayt zostawili po sobie dziedzictwo konfliktu. Starałem się naprawić to, co on pragnął naprawić. Znowu połączyć klany.

– Pomagając Górze ukryć fakt, że wydobywa jadeit za naszymi plecami? Współdziałając w zdradzie z prognostykiem klanu Góra? Czytałam raporty KSJ i Skarbca. Wypełniałeś własne kieszenie.

– Po co mi więcej pieniędzy w moim wieku? – Wykrzywił pogardliwie usta. – Córka Ayt zamierza zjednoczyć klany. Zrobi to pokojowo, albo robi to siłą. Zawsze była silniejszym, ambitniejszym i sprytniejszym filarem niż Lan, niech niebo mi wybaczy te słowa. Wielokrotnie próbowałem go przekonać, żeby rozpoczął negocjacje w sprawie połączenia klanów. Ale on nie chciał o tym słyszeć. Z jednej strony przemawiała do niego duma, a z drugiej ten wilk Hilo.

Głos Doru cichł, jakby wyczerpywała mu się energia.

– Zgodziłem się zamaskować górnicze działania Góry w zamian za pieniądze, które przekazywałem klanowi. Starałem się wzmocnić naszą pozycję w dziedzinach, w których byliśmy silni, jak handel nieruchomościami, budownictwo czy branża hotelarska, a zacząłem wycofywać się z tych, w których przewagę miała Góra, jak hazard, przemysł, handel i tak dalej. Ich klan stałby się bogatszy i potężniejszy, lecz my również uroslibyśmy w siłę. Stalibyśmy się pasującymi do siebie dwoma kawałkami układanki. Wtedy Lan odzyskałby rozsądek i zrozumiałby, że połączenie to jedyne pokojowe, sensowne rozwiązanie.

Zamknęła oczy.

– Czy wiedziałeś, że spróbują zabić Hila? Że zamordują Lana?

Doru poruszył głową w tył i w przód, leżąc na poduszce.

– Nie Lana, nie. Niech bogowie obdarzą go uznaniem. W sprawie Hila nic nie mogłem zrobić. Działał przeciwko Górze, odbijał siłą lokale, które im przekazałem, ciągle krążył przy granicach i wywoływał walki. No wiesz, pięści są jak rekiny, wystarczy odrobina krwi w wodzie, żeby wpadły w szał. Walki na ulicach szerzyły się jak pożar i Góra straciła cierpliwość. Wiedziałem, że Ayt zdecyduje, że Hilo musi umrzeć. Wiedziałem o tym, ale nic nie powiedziałem i nic nie zrobiłem. Dlatego nie kłopotce mnie myśl, że to Hilo wkrótce pozbawi mnie życia.



Gdy Shae spojrzała na Doru, na cętkowaną, przypominającą welin skórę jego dłoni i szyi, pomyślała o swej przyjaciółce Pai, z którą nie rozmawiała od lat. Zapamiętała ją nie dzięki jej miłości do muzyki albo talentu do liczb, tylko z powodu szoku wywołanego widokiem kilkunastu obrzydliwych zdjęć, które wysunęły się z koperty. Woląła nie myśleć o tym, co jeszcze by znalazła, gdyby przeszukała ten dom. Doru był obecny w rodzinie Kaulów przez całe życie Shae, był jak wujek dla wnuków Płomienia Kekonu, ale nadużył pozycji prognostyka na wiele sposobów, nawet nim zaczął podważać pozycję Lana. Nawet gdyby znalazła powody, by litować się nad nim, nie mogła sprzeciwić się temu, co zapewne powiedziałby Lan; „Wystąpił przeciw klanowi. Prognostyk nie może sprzeciwić się filarowi. Musi umrzeć. Nic na to nie poradzimy”.

Ale Hilo nie wydał rozkazu egzekucji Doru. Dla wrogów mógł być bezlitosny, ale wobec rodziny miał miękkie serce. Podejrzała, że zwleka, ponieważ nie chce, by to była jedna z jego pierwszych decyzji jako filaru. Pogrzeb Lana mieli już jednak za sobą i wkrótce nadejdzie czas. Być może nawet dzisiaj albo jutro.

Shae podjęła decyzję. Zebrała w myślach słowa, które pragnęła wypowiedzieć już od pewnego czasu, i przesunęła się ku przodowi.

– Brzydzę się tobą, wujku Doru. Nie muszę ci mówić, dlaczego. Moim zdaniem żyłeś za długo. Przyjaźń z dziadkiem chroniła cię, bez względu na wszystkie twoje uczynki. Nie przelałabym ani jednej łzy z twojego powodu, ale uchronię cię przed egzekucją, jeśli zgodzisz się pomóc dziadkowi. – Jej słowa nabrały silniejszego brzmienia. – Cały czas tylko siedzi w pokoju. Na pogrzebie był bardzo słaby, a od tego czasu nie mówi prawie nic. A kiedy się odezwie, pyta o ciebie.

Głowa Doru przetoczyła się na bok, ale nie przestał jej słuchać. Widziała, że jego oczy poruszają się pod powiekami, a grdyka się porusza, kiedy przełyka ślinę.

– Traci rozum – podjęła. – Lekarz mówił, że potrzebuje znajomych ludzi i codziennej rutyny. Jeśli zgodzisz się pić z nim rano herbatę i grać w szachy, jak zawsze robiłeś, to z pewnością bardzo go pocieszy. Jeśli przysięgniesz, że nie będziesz się już mieszał w sprawy klanu, porozmawiam z Hilem. Przekonam go, by darował ci życie, jeśli zgodzisz się pomóc dziadkowi w ostatnich dniach jego życia, kiedy cię potrzebuje.

Podejrzała, że będzie musiała stoczyć z bratem ciężką walkę w tej sprawie i to na samym początku ich współpracy. Była jednak gotowa to zrobić. Traciła dziadka, wkrótce po utracie Lana. Dla wszystkich zatroskanych członków klanu, którzy zjawili się na wczorajszym pogrzebie, by uznać Hila za filar, było oczywiste, że wola życia opuszcza Kaul Sena jeszcze szybciej niż jadeitowa aura, gdy pozbawiono go klejnotów, które zdobył i nosił w ciągu dziesięcioleci.

Fakt, że ostatnie dobre lata życia dziadka spędziła w odległym kraju, był pełen bolesnej ironii. Po powrocie widziała tylko ulotne chwile klarowności, pojawiające się i znikające jak tropikalny deszcz. Kochał ją najbardziej ze swoich wnuków i bardzo pragnął, by wróciła do klanu, ale teraz to zrobiła, a on nawet o tym nie wiedział. Mogła się z tym pogodzić, ale nie czuła się gotowa pozwolić mu odejść, patrzeć, jak jego ciało więdnie, a umysł zmienia się w pył.

– Chcę tego, co najlepsze dla dziadka – oznajmiła. – To ważniejsze nawet niż klanowa sprawiedliwość. Zgodzisz się, wujku?

Doru uniósł głowę. Jego czaszka zakołysała się, jakby była za ciężka dla szyi. Oczy miał zapadnięte, lecz nadal były ciemne i lśniące jak polerowane kamyki.

– Zrobię wszystko, czego potrzebuje ode mnie Kaul-jen.

– Powiemy dziadkowi, że miałeś problemy zdrowotne. Początkowe objawy śwędziawki. Dlatego nie nosisz już jadeitu. Zawsze będzie z wami strażnik i nie wolno ci nic mówić o sprawach klanów. Tylko pod tymi warunkami będziesz mógł żyć, a jeśli je złamiesz, nie uratuję cię przed Hilem po raz drugi.

– Nie mogę już przysiąc na jadeit – odparł Doru z gorzką wesołością. – Ale masz moje słowo. Rozumiem swoją sytuację, Shae-se. Robiłem, co mogłem, by osiągnąć lepszy rezultat dla nas wszystkich, ale przegrałem. Lan nie żyje, a Hilo został filarem i żyje tylko dzięki jego łasce. I twojej, jak rozumiem. Jeśli mogę być prostym towarzyszem Kaul-jena przez krótki czas, który został nam obu, to wystarczy z nami. Nie musicie się niczego obawiać z mojej strony.

Shae skinęła głową i wstała. Miała wrażenie, że nie powinna mu dziękować, ponieważ to ona darowała mu życie, ani przepraszać go za sytuację, w jakiej się znalazł.

– W porządku – rzekła tylko.

Duru znowu ułożył swe chude, wątłe ciało na kanapie.

– Bardzo łatwo się teraz męczę. Nie potrafię określić, czy winne jest to stare, bezjadeitowe ciało, czy raczej ból serca. – Położył sobie wilgotny ręcznik na oczach i znieruchomiał, ale jego głos nadal brzmiał ochryple. – Możesz mnie nienawidzić za moje słabości, wiem, że tak jest, ale nigdy nie życzyłem ci źle, Shae-se. I nigdy nie będę. Jedyne, co cieszy mnie w losie, który mnie spotkał, to fakt, że widzę ciebie, silną, inteligentną, piękną i noszącą jadeit. Trzeba było morderstwa i wojny, by sprowadzić cię z powrotem, ale czy pamiętasz, jak powtarzałem twojemu dziadkowi, że pewnego dnia zastąpisz mnie na stanowisku prognostyka?

## Rozdział 38

### Dylemat latarnika

Podwójne Szczęście od miesięcy miało znakomite obroty. Ponieważ było położone przy wyjeździe z autostrady, nieopodal granicy terytoriów, pan Une był zaniepokojony, ale nie zaskoczony, gdy rankiem zjawiły się dwie uzbrojone po zęby zielone kości z klanu Bez Szczytów. Obaj mężczyźni siedzieli przy zamkniętym barze, grali w karty na blacie i obserwowali drzwi wejściowe. Restaurator podszedł do nich i zapytał, czy może im zaoferować coś do jedzenia albo picia.

– Spodziewacie się kłopotów, jen?

– Być może – odpowiedział jeden z zielonych kości, mężczyzna z krótką brodą imieniem Satto. Drugi był znacznie młodszy i nazywał się Caun. – Róg myśli, że nadejdą. Potrzebujemy telefonu, by go zawiadomić, jeśli tak się stanie.

Minęła chwila, nim pan Une uświadomił sobie, że nie mówią już o Kaul Hilu, lecz o Maik Kehnie.

Pan Une przyniósł telefon ze swego gabinetu i podłączył go do gniazdka za barem.

– Czy powinienem zamknąć lokal na cały dzień? – zapytał. Był coraz bardziej zaniepokojony.

– Decyzja należy do ciebie – odpowiedział Satto. – W tej chwili nie ma takiej potrzeby.

Rzeczywiście nie było. Gości było bardzo niewiele. Z reguły w porze obiadowej piątego dnia zjawiały się tłumy klientów, ale wczoraj odbył się pogrzeb zamordowanego filaru, Kaul Lana, niech bogowie obdarzą go uznaniem. Wszyscy spodziewali się, że dzisiaj klany wrócą do wojny na pełną skalę i janloończycy rozsądnie postanowili pozostać w domach, gdy tylko było to możliwe. Pan Une słyszał, że niektóre lokale na spornych terenach skróciły godziny otwarcia albo – jak Tancerka w dzielnicy Pacha – zamknęły się całkowicie. Jednakże ojciec pana Une otwierał Podwójne Szczęście prawie codziennie, nawet podczas wojny wielu narodów, gdy zarówno szotarscy żołnierze, jak i espeńskie bomby mogły zamknąć je na zawsze. Dlatego restaurator niechętnie odnosił się do myśli, że niebezpieczeństwo powinno zakłócać interesy.

Zaczął zmieniać zdanie po południu, gdy zadzwonił telefon i głos w słuchawce oznajmił, że chce rozmawiać z Sattem. Dwie zielone kości skorzystały już z bufetu obiadowego i sprawiały wrażenie znudzonych. Kilku pozostałych gości siedziało daleko od nich i co chwila zerkało ku nim nerwowo.

– Każ gościom wyjść – rzekł panu Une Satto, odkładając słuchawkę. – Góra zaatakowała Dzielnicę Portową. Jej ludzie jadą już tutaj.

Caun zasunął drewniane żaluzje i zamknął je na klucz.

– K... kiedy przybędą? – wyjąkał pan Une.

Satto wzruszył ramionami.

– Może za piętnaście minut.

Restaurator podszedł osobiście do wszystkich stolików. Nikt się nie sprzeciwił. Goście natychmiast opuścili lokal. Niektórzy zabrali niedokończone posiłki w pudełkach na wynos, a wielu zostawiło hojne napiwki, zakładając, że właściciel wkrótce będzie potrzebował pieniędzy na naprawy. Pan Une odesłał również najmłodszych pracowników. Reszta personelu schowała garnki i patelnie, talerze i szklanki – wszystko, co mogło się potłuc i co byli w stanie zabezpieczyć. Zaczekali, aż klienci wyjdą, bo tak właśnie postępowało się w podobnych sytuacjach, po czym jeden z nich poszedł do pokoju wypoczynkowego, a drugi do kuchni. Obaj usiedli na podłodze. Pan Une został we frontowym pomieszczeniu, na przemian wycierając czoło szmatką i załamując ręce.

– Jest was tylko dwóch? – zapytał. – Nie chodzi o to, że wątpię w wasze umiejętności, jen, ale z pewnością...

W tej samej chwili do lokalu weszła trójka kolejnych zielonych kości z klanu, dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy byli spoceni i dyszeli ciężko, jakby przybiegli tu z innego miejsca. Ulga, jaką poczuł pan Une na ich widok, szybko zniknęła.

– Zdobyli prawie wszystko na południe od Bulwaru Generalskiego. Gont osobiście dowodzi

atakiem – oznajmiła kobieta. Guan dao w jej dłoniach było wilgotne. Żołądek pana Une poruszył się na znak protestu. – Za chwilę tu będą.

Stojący przy drzwiach Caun zwrócił raptownie głowę w stronę ulicy, jakby jego uwagę przyciągnął nagły hałas, którego restaurator nie usłyszał.

– Już tu są.

Zielone kości wyciągnęły broń i wybiegły na zewnątrz, by bronić budynku. Pan Une pisnął i pobiegł w przeciwnym kierunku. Schował się za barem w tej samej chwili, gdy sprzed restauracji dobiegł pisk opon, trzask zamykanych drzwi oraz huk wystrzałów.

Pierwsze pociski zrobiły dziury w fasadzie i rozbiły trzy frontowe okna Podwójnego Szczęścia. Pan Une jęknął na myśl o szkodach. Po chwili jednak strzały umilkły. W walce o terytorium ani atakujący, ani broniący klan nie chciał niszczyć własności będącej potencjalnym źródłem daniny albo zabijać przypadkowych gapiów. Na zewnątrz było słycać krzyki, brzęk stali uderzającej o stal, wrzaski bólu, odgłos hamulców kolejnego samochodu i dalsze stłumione dźwięki walki. Pan Une miał wrażenie, że usłyszał czyjś krzyk: „Wycofujemy się!”, ale zagłuszyły go dwa kolejne strzały.

Potem zapadła cisza. Restaurator bał się oddychać.

Gdy jednak zdobył się na odwagę i wstał, by zobaczyć, co się dzieje, drzwi otworzyły się gwałtownie. Wielka zielona kość, która weszła do środka, z pewnością była Gont Aschem, rogiem Góry. Trzech wojowników Gonta podążało tuż za nim. W ich oczach błyszczało szaleństwo. Twarze i ubrania mieli zbryzgane krwią. Gont stanął w holu, rozglądając się po pustej sali.

– Bardzo ładny lokal – stwierdził i spojrzał w stronę baru. Pan Une znowu się za nim schował, jęcząc cicho w rękaw. – Wyjdź, przyjacielu – rzekł Gont.

Pan Une wyprostował się niepewnie. Gont skinął na niego, rozkazując mu podejść bliżej. Restaurator przełknął ślinę i, starając się zachowywać profesjonalnie, podszedł do grupy napastników. Zerknął ku drzwiom i przeraził się na widok krwi na szkle oraz dolnej połowy ciała Cauna widocznej za nimi.

– Gdzie są twoi pracownicy? – zapytał Gont. Restaurator poderwał się jak wystraszona wieiórka. Spróbował odpowiedzieć, ale miał z tym trudności, dlatego wskazał tylko na kuchnię i pokój na zapleczu.

– Przyrowadź ich – rozkazał Gont jednemu ze swoich ludzi.

Pan Une znowu się poderwał, gdy drzwi wejściowe się otworzyły i do środka weszły dwie kolejne zielone kości z Góry, wlokąc między sobą bezwładnego Satta. Położyli go przed Gontem, jak koty przynoszące w prezencie zabitego szczura.

– Jadeit dla naszego rogu – oznajmił jeden z wojowników Góry, oddając honory Gontowi. – To wielkie zwycięstwo. Podwójne Szczęście to jeden z klejnotów klanu Bez Szczytów.

Satto podźwignął się na kolana i splunął na buty Gonta.

– Moja krew dla mojego klanu. Hilo-jen wyrwie ten jadeit z twoich zimnych, martwych...

Gont uderzył guan dao tak szybko i silnie, że pan Une nie zdążył nawet pisnąć, nim głowa Satta potoczyła się po dywanie i zatrzymała się u podstawy baru.

– Wszyscy walczyliście dobrze. Podzielcie jadeit między sobą – oznajmił swym ludziom Gont. – Powiedzcie Orowi, żeby nie przyprowadzał pracowników, dopóki nie uprzątniemy ciała. Nie ma sensu ich straszyć. – Róg schował broń, usiadł przy najbliższym stoliku i rozejrzał się, kiwając głową. Zatrzymał spojrzenie na tablicy, na której wypisano kredą najlepsze dania. – Czy bufet obiadowy nadal jest czynny? – zapytał.

To pytanie wyrwało z szoku pana Une.

– T... tak, Gont-jen. Ale dania odstawiono i mogą nie być tak gorące i świeże, jak dwie godziny temu.

Umilkł, uświadamiając sobie, jak śmiesznie to brzmi.

– Poinformowano mnie, że tu właśnie lubi jeść kolację mój wróg Kaul Hilo – oznajmił Gont. – I że chrupiące kotleciki z kalmarów są tu wyjątkowo pyszne. Niestety, nigdy nie miałem okazji odwiedzić tego lokalu. Tak wygląda życie zielonej kości w tym mieście.

Dwaj jego ludzie przeszli obok, niosąc pozbawione głowy ciało Satta.

– Pochlebia mi, że sława Podwójnego Szczęścia dotarła do ciebie, jen – odpowiedział pośpiesznie pan Une. Po jego skórze spływały strumienie potu. – Pozwól, proszę, że przyniosę ci

talerz chrupiących kotlecików z kalmarów, byś mógł ich spróbować.

– To by mnie bardzo ucieszyło – zapewnił Gont. – Przynieś mi też swoje księgi.

Pan Une pośpiesznie wykonał oba polecenia. Po dziesięciu minutach róg Góry włożył kawałek kotlecika do ust i zaczął żuć. Jego podkomendni przyglądali się temu z zainteresowaniem. Pracownicy Podwójnego Szczęścia, przyproawdzeni z zaplecza, zebrali się za plecami pana Une w milczącym, pełnym strachu półokręgu. Na czole Gonta pojawił się głęboki mars. Róg przełknął kęs, a potem uniósł rękę i kilka razy uderzył nią w blat w geście aplauzu.

– Sława Podwójnego Szczęścia jest zasłużona. Kruchość jest doskonała, a przyprawy są niezwykle i odpowiednio ostre. Nie miałbym nic przeciwko temu, by jeść twoje kalmary każdego dnia.

Pan Une rozpromienił się mimo woli, słysząc te pochwały. Jego pracownicy odetchnęli z ulgą.

Nie przerywając jedzenia, Gont skierował uwagę na otwartą czarną księgę rachunkową, którą pan Une położył przed nim.

– Jak wysoką daninę płacisz klanowi Bez Szczytów?

Restaurator mu odpowiedział. Gont skinął z namysłem głową, przeglądając księgę.

– Twój lokal ostatnio radził sobie bardzo dobrze. Co więcej, mamy czas wojny. Będziesz płacił klanowi Góra półtora raza więcej. – Skinął na swoje pięści, polecając im wziąć w ręce pałeczki i poczęstować się kotlecikami z kalmarów, co zrobili z wielką ochotą. – A teraz, przyjacielu, poprzysięgnij wierność i daninę, a jutro będziesz mógł otworzyć lokal jak zwykle.

Pan Une dwa razy otworzył i zamknął usta, po czym otarł czoło.

– Gont-jen, byłem latarnikiem klanu Bez Szczytów od ponad dwudziestu lat. Mój brat i mój bratanek również są latarnikami wiernymi Kaulom, moja szwagierka jest w klanie szczęściodawczynią, a kuzyn palcem. Czy nie pozwolisz mi odejść z honorem?

Od dawna obowiązujący zwyczaj mówił, że jeśli jeden klan przejmuje terytorium drugiego, nienoszący jadeitu biznesmeni i robotnice mogą przejść na stronę zdobywców albo odejść bez żadnych konsekwencji. Tak właśnie zrobiono w kasynach na ulicy Dla Ubogich, podbitych przez Kaulów zaledwie kilka dni temu.

– W tym przypadku to nie będzie możliwe – odparł Gont. – Rodzina Une kierowała Podwójnym Szczęściem od początku jego istnienia i byłoby farsą pozwolić, by lokal działał nadal bez twojego biegłego przewodnictwa i wizji kulinarnej.

Pan Une znowu ucieszył się z pochlebstw Gont Ascha. Róg Góry mówił głębokim, precyzyjnym barytonem, sprawiającym, że jego słowa brzmiały bardzo rozsądnie. Może bycie latarnikiem Góry nie będzie takie złe. Płacić daninę jednemu czy drugiemu klanowi, co to za różnica? Niemniej przez wszystkie te lata pan Une nigdy nie rozważał poważnie możliwości, że Podwójne Szczęście może przejść w ręce innego klanu. Klan Bez Szczytów był zawsze bardzo potężny w tej dzielnicy, a patronat Kaul Hila niewzruszony. Losy wojny mogą znowu się odwrócić i klan Bez Szczytów może zatriumfować. Bezpieczniej będzie nie zdradzać nikogo.

– Błagam, Gont-jen – rzekł pan Une, splatając dłonie i raz po raz oddając honory. – Podwójne Szczęście jest dziedzictwem mojej rodziny, ale muszę odmówić.

Gont zastanowił się nad jego słowami. Otarł usta serwetką i wstał.

– Jak sobie życzysz. Rozumiem twoją decyzję. – Zwrócił się ku swoim ludziom. Dwaj z nich już odeszli, zapewne po to, by toczyć dalsze walki w Dzielnicy Portowej albo w innych częściach miasta. – Dopilnujcie, żeby wszyscy pracownicy opuścili budynek, a potem puśćcie go z dymem.

Gdy zielone kości Gonta ruszyły wykonać rozkaz, twarz pana Une zamarła w wyrazie grozy.

– Nie, Gont-jen, błagam! – Stary restaurator padł na kolana przed rogiem. – Przysięgam wierność i daninę klanowi Góra. Unoszę swą latarnię, by oświetlała drogę jej wojownikom i wzywała ich pomoc. – Jego głos drżał. – Na miłość bogów, błagam!

Gont uniósł rękę, rozkazując swym ludziom się zatrzymać.

– Z radością akceptuję twą przysięgę, panie Une. Byłbym bardzo zawiedziony, gdybym nie miał już więcej okazji spróbować twoich chrupiących kalmarów. – Ominął drżącego latarnika i ruszył ku wyjściu, zostawiając lokal swoim pięściom. – Podwójne Szczęście to tylko początek tego, co odbierzemy klanowi Bez Szczytów. A to, czego nie zdołamy odebrać, zniszczymy. Kiedy

wojna się skończy i Góra zwycięży, w Janloonie znowu będzie tylko jeden klan, jak poprzednio. Wtedy dobrzy latarnicy, tacy jak ty, nie będą mieli powodów do zmartwień.

## Rozdział 39

### Sterując statkową

Stała przed wielkimi oknami w gabinecie Doru umiejscowionym w narożniku budynku. Gdy była w tym pokoju, przebiegały ją ciarki. Wszystko tu przypominało jej Doru – od starego, obitego brązową skórą fotela, w którym odcisnął się kształt jego ciała, poprzez wieczne pióro z kości słoniowej leżące na biurku, aż po otwartą torebkę orzechów arekowych w szufladzie – uzmysławiało Shae, że znajduje się w domenie jej poprzednika, którą zajmował niemal od chwili jej narodzin.

Czuła ucisk w żołądku. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek w życiu była tak podenerwowana. Gdy uklękła przed Hilem i przysięgła, że będzie jego prognostyczką, zdawała sobie sprawę, że stanie przed bardzo trudnym zadaniem, ale żaloba i poczucie winy pomogły jej przetrwać dni czuwania oraz pogrzeb i dopiero teraz uświadomiła sobie z pełną mocą, z czym ma do czynienia. Klan mógł mieć wątpliwości, czy Hilo podoła roli filaru, ale z pewnością jeszcze mniej wierzył w jej możliwości jako prognostyczki. Doru był weteranem, który okrył się sławą podczas wojny, a także biznesmenem z doświadczeniem zbieranym przez wiele dziesięcioleci, ona zaś była dwudziestosiedmioletnią kobietą, która ostatnie dwa lata spędziła poza Kekonem i nigdy nie piastowała żadnej ważnej funkcji w klanie. Jeśli nie zdobędzie szacunku i nie zacznie biegle kierować urzędem prognostyka już od pierwszego dnia, inwestycje szybko znikną, a latarnicy zaczną dezertować dziesiątkami, jak szczury uciekające z tonącego okrętu. Doprowadzi klan Bez Szczytów do klęski szybciej niż cokolwiek, co mogłby uczynić jej brat.

Shae rzadko paliła, chyba że na spotkaniach towarzyskich, teraz jednak sięgnęła po papierosa, by uspokoić nerwy. Najbardziej potrzebowała publicznego poparcia dwóch ludzi, których Lan uważał za najlepszych kandydatów na następcę Doru – Woon Papidonwy i Hami Tumashona. Klan musiał zobaczyć, że ci wiarygodni mężczyźni ją wspierają. Woon miał się zjawić lada moment. Nadal stała przy oknie i nie odwróciła się, gdy Postrzegła aurę Woon wychożącego z windy. Towarzyszył mu Maik Tar.

Tar zapukał do drzwi gabinetu i je otworzył.

– Kaul-jen, przyprowadziłem do ciebie Woon Papiego, jak o to prosiłaś – oznajmił oficjalnym tonem.

Shae poczuła nagłą wdzięczność wobec prawej ręki brata. Najwyraźniej Hilo dobrze go przygotował. Poświęciła chwilę, by zgasić papierosa, i się odwróciła.

– Dziękuję Tar – rzekła.

Pięść oddał jej honory i wyszedł, zamykając za sobą drzwi z trzaskiem. Woon stał tuż przed nimi.

– Woon-jen... – zaczęła Shae.

Okrążyła biurko i wskazała byłemu filarowemu brzydką, ciemnozieloną kanapę. Woon usiadł na niej bez słowa. Napełniła dwie szklanki wodą ze stojącego na stoliku dzbanka i postawiła jedną z nich przed Woonem. Zauważyła, że jego dłoń zadrżała, gdy ujął naczynie. Usiadła w fotelu naprzeciwko niego.

– Mój brat miał o tobie dobre zdanie – podjęła. – Ufał ci i uważał cię za dobrego przyjaciela, jeszcze od czasów Akademii.

Woon nie odpowiedział, ale Shae natychmiast wyczytała z jego twarzy głębię smutku i wstydu, które czuł, a także uzasadnione obawy o własne życie. Woon zawiódł Lana. Nie wiedział, że jego filar opuścił rezydencję owej straszliwej nocy, nie osłaniał go osobiście ani nie dopilnował, by towarzyszyli mu ochroniarze. Gdy Maik Tar kazał mu dziś rano wsiadać do samochodu, mężczyzna przez następne dwadzieścia minut był przekonany, że Kaul Hilo skazał go na wygnanie lub egzekucję.

Fakt, że znalazł się w gabinecie prognostyka, zamiast klęczeć w lesie przy szosie, wyraźnie zbił go z tropu. Po wypiciu szklanki wody odzyskał jednak równowagę i spojrzął na Shae z pełną pogardą dla siebie nadzieją w oczach.

– Nie zasługuję na życie, Kaul-jen.

– Lan by ci wybaczył – odparła z łagodnością w głosie.

Zarówno mimowolny impuls emocji, który wypełnił aurę mężczyzny, jak i wygląd jego twarzy powiedziały jej, że te słowa wpłynęły na niego bardzo korzystnie.

– Jeśli klan ma wygrać tę wojnę i pomóc Lana, nie możemy sobie pozwolić na niepotrzebne straty – podjęła spokojnie, lecz stanowczo. – Ani Hilo, ani ja nie zdołamy zastąpić Lana. Oboje o tym wiemy. Razem możemy mieć szanse, ale ty byłeś jego filarowym. Znałeś go dobrze i wiesz o biznesowej oraz politycznej stronie działań klanu więcej niż ktorekolwiek z nas. Błędy muszą mieć konsekwencje, to prawda, ale istnieją inne sposoby odkupienia.

Na twarzy Woon pojawił się rumieniec. Wyraźnie wstydził się własnej ulgi.

– Czego ode mnie oczekujesz, Kaul-jen? – wyszeptał i Shae uświadomiła sobie, że dobrze to rozegrała. Woon uwierzył, że uratowała go przed sprawiedliwością Hila w imię jakiegoś szlachetnego celu, który spodobałby się Lanowi.

– Wiem, że Lan planował dać ci więcej odpowiedzialności w klanie, być może mianować cię następcą Doru. Hilo uczynił prognostyczką mnie, ale sama nie poradzę sobie z tym zadaniem. Pomóż mi kierować biurem prognostyka jako mój szef sztabu. To pojęcie, które poznałam w Hiszpanii, rola podobna do filarowego, ale bardziej eksponowana i dająca większe prawo podejmowania decyzji. Hilo to zrozumie. Bądź moją prawą ręką, jak byłeś prawą ręką mojego brata. Zgodzisz się na to, Woon-jen?

Oczy Woon wypełniły się łzami. Skinął głową, opuszczając wzrok.

– Tak. Tego właśnie chciałby ode mnie Lan – odpowiedział po prostu.

– W porządku – skwitowała Shae, ciesząc się, że pierwsza rozmowa poszła zgodnie z planem. – Mamy mnóstwo do zrobienia. Zaczniemy od jutra. Dzisiaj wróc do domu, ale zastanów się nad tym, jakie kroki możemy podjąć, by zapewnić bezpieczeństwo latarnikom. Ale zanim odejdziesz: kto twoim zdaniem powinien zostać pierwszym szczęściodawcą?

– Hami Tumashon – odpowiedział Woon po chwili zastanowienia.

Shae udała, że również się zastanawia. Wreszcie skinęła głową. Nawet gdyby Woon podał inne nazwisko, dobrze było zademonstrować, że już polega na jego radach. Niemniej ucieszyła się, że wskazał na Hamiego.

Po jego wyjściu dopiła wodę ze swojej szklanki i wsparła głowę o fotel, przygotowując się do drugiej rozmowy, która zapewne będzie trudniejsza. Drzwi się otworzyły i kobieta w wieku Andena niepewnie wsunęła głowę do środka.

– Kaul-jen? – zapytała wysokim, dziewczęcym głosem. – Czy czegoś potrzebujesz?

Przez na wpół otwarte drzwi Shae słyszała stłumione dźwięki rozmów w korytarzach oraz dzwonienie telefonów. Dzielnica Finansowa, formalnie rzecz biorąc, nie była neutralna, ale banki i biznesy świadczące profesjonalne usługi, mające siedziby na Statkowej trudniej było przejąć mocą. Członkowie klanu, którzy tu pracowali – prawnicy, księgowi i inni szczęściodawcy o podobnym wykształceniu – toczyli wojny zupełnie inaczej niż pięści i palce. Interesy załatwiano jak zawsze, mimo że na ulicach szalała przemoc.

– Tak – zgodziła się Shae, spoglądając na dziewczynę. Zapisała sobie w pamięci, że musi przesunąć biedaczkę do innej pracy, gdzie nie będzie musiała się ubierać w sposób przypominający Shae o upodobaniach wujka Doru.

– Zadzwoń do działu technicznego. Chcę, żeby usunięto wszystkie meble i zastąpiono je nowymi. I przyślij Hami Dumashona, jak już się zjawi.

Usiadła za drogim biurkiem Doru i zaczęła przeglądać papiery leżące na tacce na pocztę przychodzącą, gdy Hami zapukał do drzwi, wszedł do środka i oddał jej honory płytkim ukłonem.

– Chciałaś się ze mną widzieć.

Zachował neutralne brzmienie, ale mrużył oczy z nieufnością.

Shae odłożyła dokument, który czytała.

– Wejdz, Hami-jen – przywitała go, wskazując na krzesło przed biurkiem. Kiedy usiadł, poczęstowała go papierosem, ale odmówił.

Hami – opryskliwy mężczyzna przed czterdziestką – był szanowaną pięścią, nim okulał wskutek kontuzji odniesionej podczas gry w piłkę sztafetową i zajął się prawem korporacyjnym. Nosił więcej jadeitu, niż było to typowe na Statkowej, a jego aura miała dumny i solidny posmak.



Hilo zapewniał siostrę, że Hami to klanowy lojalista i można mu zaufać, choć być może ta opinia brała się stąd, że szczęściodawca w ostatnich latach kilkakrotnie ścierał się z Doru, co zaszkodziło jego karierze. Podejrzała, że mógł odegrać kluczową rolę w prowadzonych przez Hila poszukiwaniu dowodów na zdradę Doru. Nie wierzyła jednak, by miał ochotę wykonywać polecenia kobiety kilkanaście lat młodszej od niego, nawet jeśli pochodziła z rodziny Kaulów.

– Jestem w trudnej pozycji – zaczęła prosto z mostu. – Filar powiedział mi, że jesteś człowiekiem, z którym powinnam porozmawiać, ponieważ zawsze mówisz szczerze, nawet jeśli to nie jest dla ciebie korzystne. Muszę dodać, że to dziwna cecha u prawnika.

Zauważyła, że Hami otworzył oczy nieco szerzej. Przyciągnęła jego uwagę. Mógł być bezceremonialny, ale potrafił się powstrzymać przed przedwczesnym osądem. Najwyraźniej to właśnie robił w tej chwili, czekając na jej dalsze słowa.

Usiadła wygodniej na wyściełanym krześle Doru.

– Hami-jen, nie spodziewałam się, że zasiądę w tym gabinecie wcześniej niż za jakieś piętnaście lat – oznajmiła tonem sugerującym, że z niechęcią dzieli się z nim swymi najgłębiej skrywanymi tajemnicami. – Niedawno wróciłam do kraju po studiach w Espenii. Miałam kierować jakąś klanową firmą, żeby zdobyć doświadczenie. Jakimś łatwym, stabilnym interesem, który ma szansę wzrostu. Powiedzmy: handel nieruchomościami albo turystyka. Tymczasem mogłabym mieć własne życie, podróżować, być może poznać kogoś i wyjść za mąż. Jestem najmłodszą z Kaulów. Dlatego dziadek zawsze dawał mi więcej swobody.

– A teraz zostałam prognostyczką.

Hami powiedział to neutralnym tonem, ale uniesione kąciki ust świadczyły, że uważa to za ironiczne i zabawne.

– A teraz zostałam prognostyczką. – Głos Shae nabrał twardszej intonacji. Wiedziała, że Hami Postrzeże prawdziwy resentyment i irytację wypełniające jej aurę. – Zdrada, morderstwo i wojna często krzyżują nasze plany.

Wyczuła jego nieufność. Być może szczęściodawca spodziewał się spotkać rozpieszczoną dziewczynkę bawiącą się w szefową, kogoś, kogo pozycję będzie mógł podważyć albo nią manipulować, gdyby próbowała mu rozkazywać z nieznośną, fałszywą pewnością siebie. Teraz już nie był tego taki pewny.

– Gdybym uważała, że tak będzie lepiej dla klanu, poprosiłabym filar, żeby posadził za tym biurkiem kogoś innego. Ale mój brat nie jest głupi. Wie, jak wysoko zielone kości cenią pochodzenie. Wie, że w czasie wojny kolejna osoba z rodziny Kaulów wśród przywódców przypomina wszystkim o Płomieniu i jego dawnych triumfach, a to z kolei mówi im, że klan jest silny i Kekon również. Z chwilą, gdy klan zaatakowano, moje osobiste preferencje utraciły znaczenie.

– Dlaczego kazałaś mi tu przyjść? – zapytał Hami z lekkim zniecierpliwieniem.

Spojrzała na niego z nadzieją.

– Dlatego że chcę, byś powiedział mi prawdę. Jak bardzo trudne zadanie przede mną stoi? Co muszę zrobić natychmiast, by zdobyć zaufanie personelu oraz latarników, żeby to biuro nie upadło i Góra nas nie pochłonęła? Jeśli mi się nie uda, to będzie koniec klanu Bez Szczytów.

Shae dostrzegła w jego spojrzeniu początki szacunku. Przypomniała mu, że zawsze była uważana za przyszlą prognostyczkę. Wyszkolił ją Doru, uczyła się w jednej z najlepszych szkół w Espenii, była ulubienicą Płomienia. Po prostu otrzymała to stanowisko przedwcześnie. Przyznała też szczerze, że ma problemy z wiarygodnością. Wykazała się rozsądkiem, natychmiast zwracając się do niego o radę, co z pewnością mu schlebiało. Shae czekała na jego odpowiedź.

Po chwili Hami odchrząknął.

– Musisz mieć po swojej stronie najważniejszych szczęściodawców – oznajmił. – Tych, którzy naprawdę podtrzymują związki z latarnikami. Powinnaś jak najszybciej urządzić spotkanie pracowników. Jeśli chcesz wprowadzić poważne zmiany, zrób to prędko, dopóki ludzie czekają na wyniki wojny na ulicach.

Shae skinęła głową.

– Zamierzam wprowadzić zmiany. Dowiedziałam się wielu rzeczy i zdaję sobie sprawę, że niektóre poczynania Doru osłabiły klan. Zbyt wiele decyzji inwestycyjnych podejmował sam. Byliśmy ostrożni i bierni, czekaliśmy, aż latarnicy przyjdą do nas, zamiast szukać szans. To osłabiło naszą pozycję wobec Góry. – Wiedziała, że Hami jest tego samego zdania, ale była ostrożna, nie

chcąc na niego naciskać ani wywoływać wrażenia, że stara się wykorzystać jego niezadowolenie. – Jak sądzisz, ilu ludzi w biurze pozostaje lojalnych wobec Doru i może spowodować kłopoty, jeśli zachowają obecne stanowiska?

– Jest ich mniej, niż może ci się zdawać – odparł. Shae zauważyła w jego oku błysk świadczący, że z odpowiednio dobraną siłą odwołała się do ich wspólnej niechęci do Yun Doruona. – Yun-jen nie był ostatnio lubiany w biurze. Wielu uważało, że powinien przejść w stan spoczynku już pięć lat temu. Większość jego najwierniejszych sojuszników to starzy ludzie i można ich z honorem odesłać na klanową emeryturę. Silniejsze poparcie znajdziemy w działach, którym odcięto dopływ funduszy albo je osłabiono. Wśród szczęściodawców, którzy widzieli, że dochodowe firmy przechodzą w ręce Góry. Będą pragnęli zmian.

Zauważyła, że Hami użył słowa „my”. To zabrzmiało zachęcająco.

– Kto był czołowym kandydatem na następnego prognostyka, zanim Lan-jena zabito i filar mianował mnie?

Hami zacisnął zęby, ale prawdopodobność przeważyła.

– Woon Papidonwa.

– Filarowy mojego brata – stwierdziła z namysłem Shae, jakby po raz pierwszy pomyślała o Woonie. – To wartościowy człowiek, ceniony w klanie, choć być może nieco staromodny. Zrobię go moim szefem sztabu. – Niech obaj wierzą, że mianowała drugiego z nich na podstawie ich rady. – Czy obecny pierwszy szczęściodawca, Pado Soreeto, jest lojalny wobec Doru?

– Tak. Pełni tę funkcję od dwunastu lat.

– Zwalniam go – oznajmiła Shae. – Od tej chwili ty jesteś pierwszym szczęściodawcą. Zakładając, że możesz wziąć na siebie odpowiedzialność przeprowadzenia klanu przez trudne czasy z taką samą klarownością, jaką zademonstrowałeś mi dzisiaj.

Hami nie sprawiał wrażenia zaskoczonego tym nagłym awansem. Obawiała się, że mógłby zrezygnować. Nie z członkostwa w klanie, oczywiście, to było niemal niemożliwe dla zielonej kości o tak znacznej mocy. Z pewnością jednak mógł poszukać źródeł utrzymania poza biurem prognostyka, objąć kierownictwo nad jedną z klanowych firm albo zatrudnić się u ważnego latarnika. Być może jego status by się obniżył, ale zarobki byłyby lepsze. Jego odejście mogłoby przy tym wywołać reakcję łańcuchową dezercji. Okazało się jednak, że dobrze to rozegrała.

– To będzie dla mnie zaszczyt, Kaul-jen – rzekł po chwili Hami.

– To ja czuję się zaszczycona – odpowiedziała i zademonstrowała mu swój pierwszy tego dnia uśmiech. – Zgodnie z twoją radą powinniśmy działać szybko. Zaczniemy jutro, od oświadczenia dla całego starszego rangą personelu. Czy moglibyśmy spotkać się jeszcze raz po południu? Musimy przygotować strategię na to spotkanie.

Hami skinął głową i wstał. Zwątpienie, z którym przybył do tego gabinetu, ustąpiło miejsca podszytemu zdziwieniem zapałowi do pracy.

– Będziemy gotowi.

Oddał jej honory głębiej niż po wejściu i opuścił gabinet. Shae zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Dwa zadania wykonane. Zostało jeszcze kilka tysięcy.

\*\*\*

Następnym popołudniem, gdy robotnicy wynosili z jej gabinetu biurko i krzesła Doru, by zastąpić je nowymi meblami, Shae udała się do długiej sali konferencyjnej, wypełnionej starszymi rangą szczęściodawcami z biura prognostyka. Zrobiła sobie makijaż, w którym wyglądała starzej, a włosy związała z tyłu głowy w ciasny kok. Miała na sobie staromodny granatowy kostium, ale jego dekolt podkreślał naszyjnik z dwiema warstwami jadeitów. Miała też luźne jadeitowe bransolety na nadgarstkach. Nie wszyscy szczęściodawcy nosili jadeit, a nawet ci, którzy to robili, z reguły mieli go mniej niż klanowi wojownicy, niemniej na całym Kekonie demonstracyjne noszenie zieleni zapewniało status oraz szacunek i najwyższe piętro wieżowca na Statkowej nie było pod tym względem wyjątkiem.

Przyjrzała się gapiącym się na nią ludziom. Większość była mężczyznami, a wszyscy byli starsi od niej. Woon siedział po jej prawej stronie, a Hami po lewej. Wsparła płasko dłonie na gładkim blacie.

– Chciałabym móc zacząć od tego, że czuję się bardzo podekscytowana i szczęśliwa, że

jestem tutaj, to jednak byłoby kłamstwem. Jestem tu dlatego, że mojego brata, niech bogowie obdarzą go uznaniem, zamordowano. – W sali zapadła krępująca cisza. – Nasze terytoria się przejmują, nasze daniny kradnie, a nasze firmy atakuje. Rada Książęca zażądała audytu Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego, który wykaże, że okradziono nas z należnej nam części jadeitu. Wszyscy jesteśmy wykształconymi ludźmi. Pracujemy w biurach, rozmawiamy przez telefon i posługujemy się księgamis rachunkowymi. Ale w ostatecznym rozrachunku jesteśmy klanem.

Odpowiedziała jej cisza, choć niektórzy pokiwali głowami.

– Yun Dorupon przez długi czas wiernie służył Płomieniowi i szanuję go za to. Niemniej prawda wygląda tak, że zostaliśmy z tyłu i z tego powodu staliśmy się łatwym łupem dla wrogów. Jeśli klan ma przetrwać, musimy znowu uczynić go silnym, silniejszym niż w czasach mojego dziadka, ponieważ wojna z Górą zagraża nie tylko naszemu klanowi, lecz również całemu krajowi.

– Wskazała głową na okna, za którymi rozciągał się widok na miasto. – Klany kontrolują gospodarkę Kekonu. Jeśli latarnicy, Rada Książęca, Espeńczycy albo opinia publiczna utracą wiarę w przetrwanie klanu Bez Szczytów, przestaną również wierzyć w stabilność całego kraju. Dwa i pół dziesięciolecia nieprzerwanego wzrostu może zakończyć się nagłym załamaniem. Nie wolno nam do tego dopuścić. Dlatego proszę was o zaangażowanie, podobnie jak róg prosi swoje pięści o ich krew.

Wskazała głową na Woonę, a po nim na Hamiego.

– Ci dwaj mężczyźni, których nie muszę wam przedstawiać, zgodzili się udzielić mi wsparcia. To dla mnie przywilej, że mam po swojej stronie ich lojalność i doświadczenie. Woon jest moją prawą ręką. Będzie cieniem prognostyka. Hami od tej chwili jest pierwszym szczęściodawcą. Ma wam do powiedzenia kilka słów na temat tego, co wydarzy się później.

– W ciągu najbliższych dwóch tygodni przeprowadzimy ewaluację wszystkich stanowisk kierowniczych – zaczął Hami. – W jej skład wejdzie dokładna analiza wszelkich poprzednich działań biura prognostyka. W następnych tygodniach i miesiącach rozpoczniemy wymianę personelu, a także zwrócimy się do latarników z prośbą o zwerbowanie nowych szczęściodawców. Jeśli uważacie, że nie możecie nadal pełnić swych funkcji w tych nowych warunkach, klan przyjmie waszą rezygnację i przyzna wam zasiłek emerytalny za waszą służbę. Decyzję musicie podjąć dzisiaj.

Shae wyczuła konsternację i niezadowolenie części siedzących za stołem osób. Zgodnie z przewidywaniami Hamiego okazało się jednak, że podobne reakcje zdarzały się rządziej, niż można by tego oczekiwać. Ludzie byli przyzwyczajeni okazywać szacunek filarowemu, a przynajmniej nie sprzeciwiać się mu, a Hami, którego krytyczne opinie o Doru wielu potajemnie podzielało, przyciągnął ich uwagę swą typową dla pięści pasją. Shae poczuła, że dzięki wsparciu dwóch najbardziej szanowanych mężczyzn po biznesowej stronie klanu zastrzeżenia szczęściodawców wobec niej nieco złagodniały. Przynajmniej nie słyszała otwartych sprzeciwów, gdy Hami i Woon przedstawiali resztę jej planów na najbliższe dni.

Wieczorem Shae osunęła się na nowe, twarde krzesło w swym przebudowanym gabinecie. Pachniało tu nową tapicerką i tapetami. Ciemne, obite skórą meble oraz draperie z długimi frędzlami zastąpiono wyściełaną ławką, otwartymi półkami i miedzianymi lampami. Niektóre nowe meble nadal były owinięte w folię i nie ustawiono ich dotąd na miejscu. Większość ludzi poszła już do domu i w budynku zapadła niemal całkowita cisza.

Shae czuła się tak, jakby udało się jej dokonać niewielkiego cudu. Nie utraciła biura prognostyka w pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach. Wiadomość o jej początkowym sukcesie dotrze do latarników i będą gotowi przyznać jej kredyt zaufania. Na pewien czas. To było najlepsze, na co mogła liczyć.

Stojący na podłodze telefon zadzwonił. Shae podniosła słuchawkę i usłyszała podekscytowany męski głos. Ktoś domagał się rozmowy z Yun Dorupnem.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiedziała.

– Nie gadaj bzdur – warknął mężczyzna. – Powiedz mu, że dzwoni minister turystyki z Rady Książęcej. Przez trzy tygodnie byłem za granicą i natychmiast po powrocie dowiedziałem się, że całe miasto przerodziło się w pole bitwy zielonych kości! Czy wiesz, że mówią o tym w zagranicznych wiadomościach? W innych krajach odradza się podróżowanie na Kekon. To szaleństwo. Gdzie jest Yun? Muszę z nim porozmawiać.

– Yun Dorupon nie opuszcza domu z powodu problemów zdrowotnych, które, niestety,

zmusiły go do rezygnacji – odpowiedziała. Taką wersję uzgodnili z Hilem, żeby nie dopuścić, by pogłoski o zdradzie w klanie wyostały się poza jego najściślejsze kierownictwo.

– Rezygnację? – niemalże krzyknął minister. – W takim razie kto pełni obowiązki prognostyka? Połącz mnie z nim natychmiast.

– To będę ja – odparła Shae. – Ja jestem prognostyczką. Nazywam się Kaul Shaelinsan i jeśli masz coś więcej do powiedzenia, powiedz to mnie.

Odpowiedziała jej pełna zdumienia cisza. Po chwili usłyszała wymamrotane przekleństwo, trzask przerwanej linii połączenia i sygnał wybierania.

Shae odłożyła słuchawkę, obróciła się na krześle i wyjrzała przez okna. Za nimi zapadała już ciemność. Kazała otworzyć zamknięte szafy z dokumentami, zanim je wyniesiono, i teraz na jej nowym, błyszczącym biurku leżały wysokie sterty teczek zawierających szczegóły wszystkich finansowych operacji prowadzonych przez klan Bez Szczytów. Zwróciła się ku nim, wzięła w ręce jedną z aktówek i otworzyła ją na kolanach. Wieczór dopiero się zaczynał i miała przed sobą wiele godzin pracy.

## Rozdział 40

### Będąc filarem

Hilo nie lubił korzystać z gabinetu Lana. Nie odpowiadał mu. Wyglądał bardzo oficjalnie i było w nim za dużo książek. Czy Lan naprawdę wszystkie przeczytał? Nie potrafił jednak zdobyć się na to, by zmienić umeblowanie. Dlatego urządzał spotkania przy stoliku na patio.

Bracia Maik byli zmęczeni i nieumyjni jak piechociarze, którzy przed chwilą wrócili z frontu – twarze mieli nieogolone, a ubrania brudne i zakrwawione, podobnie jak broń. Hilo zdążył się przebrać i wziąć prysznic, ale podejrzewał, że wygląda niewiele lepiej. Po zdobyciu ulicy Dla Ubogich nie zamierzał pozwolić, by nieprzyjaciel odebrał mu jakikolwiek fragment tej dzielnicy. Walki rozszerzyły się na Grot i Junko, ale o świcie klan Bez Szczytów nadal panował nad całym terytorium, które poprzednio należało do niego. Niestety, w pozostałych fragmentach miasta wyglądało to inaczej.

Hilo rozerwał bułkę i zjadł jej kawałek, spoglądając na milczących Maików.

– Żaden z was nie chce odezwać się pierwszy – zauważył wreszcie. – To znaczy, że wieści są złe.

– Straciliśmy południową część Dzielnicy Portowej – zaczął Kehn. – Wczoraj i dziś w nocy zabito trzy nasze pięści i jedenaście palców. My również zdobyliśmy trochę jadeitu Góry, ale za mało. Gont i jego ludzie obozują w Podwójnym Szczęściu.

– Które trzy pięści?

– Asei, Ronu i Satto.

Filar skrzywił się. Maikowie poczuli, że jego aura rozjarzyła się niczym płomień. Spuścili wzrok. Hilo rzucił resztkę bułki na talerz i wytarł usta dłonią.

– Niech bogowie obdarzą ich uznaniem.

– Niech bogowie obdarzą ich uznaniem – powtórzyli echem Maikowie.

– A co z panem Une? – zapytał Hilo.

– Właścicielem Podwójnego Szczęścia? – Kehn prychnął pogardliwie. – Zdradził.

Hilo sapnął. Podejrzewał, że Gont dał nieszczęsnemu restauratorowi wybór między przejściem na stronę Góry a czymś znacznie gorszym, nieprzyjemna prawda wyglądała jednak tak, że jeśli można było zdobyć Podwójne Szczęście i zmusić do zdrady wieloletniego latarnika klanu Bez Szczytów, takiego jak pan Une, żaden z klanowych biznesów nie był bezpieczny.

– Nawet najlepszy latarnik jest jak kałamarnica, co chwila zmieniająca kolor, żeby ocalić życie – wygłosił posępnym tonem, krzywiąc się z niezadowolenia.

– Musimy odzyskać lokal – upierał się Tar. – Gont szydzi z nas, siedząc tam. Stamtąd może ruszyć dalej w głąb Dzielnicy Portowej albo zaatakować Junko bądź Kuźnię. Są tam ludzie, którzy zabrali jadeit Satta. Możemy go odzyskać.

– A z którego punktu wyprowadziłbyś atak na Podwójne Szczęście? – zapytał Hilo. – Potrzebowalibyśmy najlepszych z naszych ocalałych pięści, a także armii palców, żeby móc mierzyć się z Gontem. Wiem, że nie możemy wycofać żadnych sił z Pachy. A co z Sogen? Kazałem wam odzyskać tę dzielnicę. Zrobiliście to?

– Nie – przyznał z zawstydzeniem Tar.

Wen wyszła z budynku, by przynieść im talerz z pokrojonym w kostki arbuzem oraz dzbanek wody z miętą.

– Dziękuję, kochanie – rzekł Hilo i złapał ją od tyłu za udo, gdy napełniała im szklanki wodą.

Miała na sobie cienką limonkową suknię, a na nogach sandały na obcasach, podkreślające jej kształtne łydki. Obecność Wen w domu rogu była ostatnio jedną z niewielu rzeczy dających Hilowi pocieszenie. Ten dom należał teraz do Kehna, wszystko więc pozostawało w zgodzie z zasadami, ale droga z głównej rezydencji była krótka, a co ważniejsze bezpieczna. Wen uśmiechnęła się do niego, nieco blade, i oddaliła się, by pozwolić narzeczonemu i braciom rozmawiać w spokoju.

– Odzyskamy Podwójne Szczęście – zapewnił, zmieniając ton, by dać odczuć Tarowi, że nie

gniewa się na niego naprawdę. – Ale nie w tej chwili. Gont będzie się spodziewał natychmiastowego kontraktaku. Nawet gdyby udało się nam wyprzeć ich z Dzielnicy Portowej, koszty byłyby zbyt wysokie. – Potrząsnął głową. – Uderzymy w lepszej chwili.

– A kiedy nadejdzie ta lepsza chwila?

Kehn wyjął ze szklanki liść mięty i zaczął go żuć.

– Ty jesteś teraz rogiem, Kehn – odparł Hilo, mrużąc powieki. – Ty mi powiedz. Zastanów się nad tym, a potem mi powiedz, a ja udzielę ci pozwolenia albo nie. Tak to wyglądało między mną a Lanem. Nigdy mu się nie sprzeciwiałem, ale nie chciałem też, żeby mi mówił, co mam robić. Podejmowałem decyzje leżące w zakresie moich obowiązków, a z innymi sprawami szedłem do niego, mówiłem mu, co myślę, i prosiłem go o to, czego chciałem.

Jego nastrój wyraźnie się popsuł.

– W porządku, Hilo-jen – odparł zawstydzony Kehn. – Jesteś z nas niezadowolony. Rozumiemy to. Następnym razem spisujemy się lepiej.

– Jesteście moimi braćmi. Uczynię waszą siostrę swoją żoną. – Hilo opróżnił szklankę jednym haustem i na krótką chwilę przystawił sobie zimne szkło do czoła. Potem odstawił naczynie. – Wprowadzę pewne zmiany. Wiecie, że Woona przeniesiono do biura prognostyka, żeby pomagał Shae. To lepsze miejsce dla niego, tam będzie bardziej użyteczny. Tar, mianuję cię moim filarowym.

Mężczyzna zamrugął.

– Czy aż tak bardzo cię zawiodłem, Hilo-jen? – Odsunął się z krzesłem, jakby chciał wstać. Jego jadeitowa aura kipiała od dezorientacji. – Nie jestem... sekretarzem! Jestem człowiekiem rogu. Moje miejsce jest po zieleńskiej stronie klanu. Wiesz o tym. Chcesz, żebym rozmawiał przez telefon i dbał o ogród?

– Nie będziesz musiał się zajmować takim syfem. – Hilo przyszpilił młodszego Maika do krzesła spojrzeniem, do którego wróciła niecierpliwość. – Będziesz miał ludzi do takich spraw. Masz wykonywać dla mnie inną robotę. To ważna robota i będziesz odpowiadał tylko przede mną. To nie jest coś, co mogę zlecić rogowi. On i tak ma mnóstwo zajęć, bo prowadzi wojnę. Wybierz sobie dwóch ludzi do pomocy. Niech to będą palce wysokiej rangi, które nigdy nie zdradzą się nieostrożnym słowem i pragną nakarmić krwią swoje klingi. To powinno ci uświadomić, że zamierzam wprowadzić pewne zmiany w zadaniach filarowego.

Tar umilkł i usiadł wygodniej, nadal zbity z tropu, ale udobruchany.

Filo spojrzął na Kehna.

– Kogo mianujesz swoją pierwszą pięścią?

Kehn podrapał się po podbródku.

– Juena albo Vuaya.

– Którego z nich?

– Juena – odpowiedział nowy róg po chwili zastanowienia.

Hilo skinął głową.

– W porządku. – Chciał powiedzieć coś więcej, ale wszyscy trzej mężczyźni umilkli, gdy postrzegli aurę Shae iskrzącą się od frustracji. Zbliżyła się do nich z wnętrza głównego budynku. – Mam wrażenie, że prognostyczka chciałaby ze mną porozmawiać – dodał z ironicznym uśmiechem.

– Takie jest życie filaru – stwierdził Tar.

Obaj Maikowie wstali.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Hila.

– Nigdy nie chciałem być filarem. Pewni ludzie zapłacą za to, że znalazłem się na miejscu Lana. Nie zapominajcie o tym.

Bracia popatrzyli na siebie nawzajem, lecz najwyraźniej doszli do wniosku, że wystarczająco już dziś podpadli filarowi. Oddali mu honory i odeszli.

Hilo pomacał kieszenie, szukając paczki papierosów, ale przekonał się, że są puste, i zajął się talerzem z kawałkami arbuza. Po chwili padł na niego cień Shae. Stała przy jego krześle i spoglądała na niego z góry.

– Musisz się spotkać z Radą Książęcą – oznajmiła.

– Usiądź, Shae – odparł. – Robię się nerwowy, kiedy stoisz tu z rękami skrzyżowanymi na

piersiach i gapisz się na mnie jak na niegrzecznego szczeniaczka.

Napełnił pustą szklankę wodą i popchnął ją po blacie w kierunku jednego z krzesel. Wskazał na nie, prosząc, by usiadła.

Prychnęła lekceważąco.

– Gdyby tylko można było sobie z tobą poradzić równie łatwo jak ze szczeniakiem.

Usiadła jednak, skrzyżowała nogi i wzięła w rękę szklankę. Hilo nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy na nią patrzył. Poza faktem, że Wen mieszkała teraz w sąsiednim domu, jedynym, z czego się cieszył, był powrót Shae. Jego siostra była jak cień samej siebie. Wstydził się choćby na nią patrzeć. Gdy tylko ją zobaczył, wypełniały go gniew i poczucie winy, jakby celowo starała się zawstydzić jego i całą rodzinę każdą swą decyzją. Po konfrontacji z powodu Cauna, do której doszło w jej mieszkaniu na mieście, czuł się poirytowany przez wiele dni. Teraz zaś lodowaty ogień jej aury, jego znajoma siła i gwałtowność kierowały się wprost na Hila. Było to dla niego słodko-gorzki pocieszeniem. Gdyby tylko wydarzyło się wcześniej.

– Słyszałeś mnie? – zapytała Shae.

– Najpierw chciałbym poprosić cię o przysługę – odparł Hilo. – Czy mogłabyś znaleźć jakąś pracę dla Wen? Coś wewnątrz klanu, w bezpiecznej części miasta, żeby mogła się czuć użyteczna. Obecna praca jej nie wystarcza. Umie pisać na maszynie i wykonywać zadania sekretarki, ale potrafi też robić więcej. To bardzo by ją uszczęśliwiło.

– Czy na to mam poświęcać swój czas? – zapytała Shae.

– To nie będzie wymagało wiele czasu. Poproś Woona, żeby wypytał ludzi. Zawsze znajdują się latarnicy, którzy potrzebują dobrych pracowników. Sprawa nie jest pilna, ale wiem, że jest jej ciężko. Ja i jej bracia ciągle jesteśmy poza domem, a nie jest bezpiecznie opuszczać go zbyt często.

Zerknął na dom rogu i zobaczył sylwetkę Wen w kuchennym oknie.

– Zgoda. Spróbuję czegoś poszukać. Czy możemy porozmawiać o Radzie?

Hilo nagle poczuł się zmęczony.

– Po co miałbym się z nią spotykać?

Prognostyczne opadła z niedowierzania szczęką.

– Rada Książęca to ciało rządzące naszym krajem. Zesrała się ze strachu, widząc całą tę przemoc szkodzącą interesom, stosunkom zagranicznym, dochodom z handlu jademitem i tak dalej. Radcy bez końca dzwonią do biura prognostyka. Kanclerz Son dostaje szału, bo nie skonsultowałeś się z nim jeszcze ani razu. Oczekują, że filar będzie się z nimi kontaktował. Lan spotykał się z nimi regularnie, a do ciebie w ogóle nie mogą dotrzeć.

– Jestem zajęty – zauważył.

– Dowodzeniem wojskami – odparła. – Nadal zachowujesz się jak róg. Nie powinieneś walczyć w pierwszym szeregu. To zadanie należy teraz do Maik Kehna.

– Kehn potrzebuje mojej pomocy.

– W takim razie być może nie powinieneś mianować go rogiem.

Hilo sam przed chwilą ostro potraktował Kehna, ale nie znosił, gdy kogoś, kto był mu bliski, krytykowano pod jego nieobecność. Łypnął ostrzegawczo na siostrę.

– Kehn to jeden z moich najlepszych zielonych kości. Sto razy oddałby życie za klan.

Te słowa nie wywarły wrażenia na Shae.

– To pozbawiony wyobraźni żołnierz i świetnie o tym wiesz.

– Byłem rogiem do zeszłego tygodnia i kierowanie poczynaniami rogu jest moim zadaniem, nie twoim. Nie mam ochoty wysłuchiwać wykładów młodszej siostry – dodał zimno. – Nie mianowałem cię prognostyczką po to, żebyś kwestionowała wszystkie moje decyzje.

Shae uśmiechnęła się drwiąco.

– Mam złożyć rezygnację?

Hilo odwzajemnił się podobnym uśmiechem.

– Do licha, Shae, czy musisz mnie ciągle prowokować?

Postawił stopę na krawędzi pustego krzesła i je przewrócił. Metal upadł z brzękiem na kafle. Siostra zawsze lubiła się z nim drażnić, czerpała z tego jakąś okrutną satysfakcję, wiedząc, że zawsze może liczyć na to, że dziadek opowie się po jej stronie. Im bardziej gniewny i gwałtowny stawał się Hilo, tym większą sympatią dziadek darzył Shae, najinteligentniejsze i najposlušniejsze z jego wnucząt. Dobrze, że był z nimi Lan, bo inaczej mogliby pozabijać się nawzajem.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odzywało się ani słowem. Ich jadeitowe aury ocierały się o siebie nieufnie niczym naładowane elektrycznie chmury.

– Nie możemy walczyć ze sobą, Shae – odezwał się wreszcie Hilo. – Już nie. Prosiłem cię o przysięgę i otrzymałem ją, a to oznacza, że masz mnie traktować z szacunkiem i nie robić takich rzeczy. – Wskazał palcem na dom prognostyka. – Ułaskawiłaś Doru, nie pytając mnie. – Wypluł z niesmakiem pestkę arbuza. – Doru! Powinien karmić robaki już od miesiący, ale Lan był zbyt delikatny i nie chciał urazić uczuć dziadka. A ty zachowujesz się tak samo. Pozwalasz tej żmii żyć, żeby dotrzymała staremu towarzystwa.

– Zgodziłaś się dać mu szansę – sprzeciwiła się Shae. – Nienawidzę Doru jeszcze bardziej niż ty, ale dziadek dziś rano wyszedł z pokoju pierwszy raz od wielu dni. Widziałam, jak Doru wywiózł go na wózku na dziedziniec, żeby wypić z nim herbatę i zagrać w szachy przy tym samym stoliku, co zawsze. Dziadek się uśmiechał, mimo że zabrali mu jadeit. Jeszcze ma w sobie życie. Warto było to zrobić, dla niego.

– Warto pozwolić, by zdrajca żył między nami? Warto poświęcić dwa moje palce na pilnowanie go dniem i nocą? Doru nie ma nic do stracenia. Jest dla nas niebezpieczny.

– To stary człowiek, któremu zabrałaś jadeit – zaprotestowała Shae. – Sprzeciwił się życzeniom Lana i to czyni go zdrajcą oraz złym prognostykiem, ale nie wierzę, by kiedykolwiek chciał skrzywdzić nas osobiście. – Shae nie wzdygnęła się pod pełnym niedowierzaniem spojrzeniem Hila. – Gniewasz się na mnie, ale wiesz, że Lan by się ze mną zgodził.

Nie dał się przekonać tej prawdzie. Dla wszystkich byłoby łatwiej, gdyby dziadek był już na tyle dementywny, że Doru niczego by nie zmienił.

– Rzecz w tym, że nie zapytałaś mnie o zdanie – wycedził. – Zrobiłaś to, bo tak chciałaś, a nie we właściwy sposób. Tak samo, jak wtedy...

Umilkł, ale twarz Shae zamarała już w bezruchu.

– Jak kiedy? – zapytała chłodno. – Jak wtedy, gdy wyjechałam do Espenii? Kiedy zdjęłam jadeit bez pozwolenia? – Ku zaskoczeniu Hila w jej głosie pobrzmiwała nuta bólu. – To właśnie chciałaś powiedzieć, prawda?

Od całej tej rozmowy usta Hila wypełnił niesmak. Trzy jego pięści zginęły. Wartościowi ludzie, godni miana zielonych kości. Powinien teraz przekazywać koperty pogrzebowe ich rodzinom. Powinien być w mieście, gdzie był potrzebny, gdzie rozstrzygały się losy wojny, a nie siedzieć tutaj i kłócić się z siostrą.

– Już ci mówiłem, że zapomniałem o przeszłości – odpowiedział, zdobywając się na cierpliwość. – Ale kiedy tak na mnie naciskasz, czasami zapominam, że o niej zapomniałem. Nie będę już o tym wspominał. Sprawa zamknięta. Teraz chodzi o nas dwoje. Zgodziłaś się zostać moją prognostyczką i jestem ci za to wdzięczny. Mów, co masz do powiedzenia.

Shae przyglądała mu się w milczeniu, jakby się zastanawiała, czy uwierzyć w jego słowa. Jego siostra była wyjątkowo cyniczna. Wreszcie najwyraźniej dała za wygraną. Jej jadeitowa aura uspokoiła się, choć z oporami.

– Rada wzywa do wynegocjowania rozejmu między klanami.

Hilo wykrzywił usta we wściekłym grymasie.

– Rozejmu? Nie będzie żadnego rozejmu. Kto zgodziłby się na rozejm, gdy jego brat spoczywa w ziemi? Poza tym, co Radę Książęcą złożoną z bejjadeitowych marionetek obchodzą sprawy klanów? To sprawa między zielonymi kośćmi, nie między politykami.

– Rada Książęca zajmuje się sprawami państwa. Wojna między dwoma największymi klanami z pewnością jest taką sprawą i w związku z tym obchodzi Radę.

Hilo zmarszczył brwi.

– Kanclerz jest człowiekiem klanu Bez Szczytów. Czy Rada nie powinna należeć do nas? Czy nie zasiada w niej wystarczająco wielu naszych latarników?

– Zasiada i nie są zadowoleni, że ich ignorujesz. Nie są pięściami i palcami, które robią, co im każesz, Hilo. Dochowują wierności klanowi dla pieniędzy i wpływów, nie dla jadeitu i braterstwa. Jeśli będziesz lekceważył ich problemy, ich opinie zaczną się szerzyć wśród innych latarników. Góra też ma swoich radców i oni zawiadomią Ayt, że tracimy wpływy. Jeśli sytuacja wystarczająco się pogorszy, nasi latarnicy zaczną masowo przechodzić na stronę przeciwnika i Gont nie będzie musiał przelać nawet jednej kropli krwi. Co więcej, są też radcy niepowiązani z żadnym



z klanów i ich wpływy polityczne wzrosną, jeśli wojna będzie się przeciągać i opinia publiczna zwróci się przeciwko zielonym kościom.

Hilo odchylił głowę do tyłu i wpatrzył się ponuro w gałęzie drzewa wiśni. Shae pochylała się i mocno stuknęła palcem w grzbiet dłoni brata, by ponownie przyciągnąć jego uwagę.

– Została jeszcze najważniejsza sprawa. Rada jest ciałem politycznym odpowiedzialnym za stosunki z Espenią, a także innymi obcymi państwami oraz zagranicznymi korporacjami. Jeśli będziesz ją marginalizował i wywołasz wrażenie, że jest bezsilna i nie potrafi utrzymać porządku, cudzoziemcy mogą dojść do wniosku, że oni również nie muszą już się przejmować naszym rządem. Co ich wtedy powstrzyma przed zwróceniem się do tego klanu, który magazynował jadeit i produkował błysk za plecami pozostałych? Swoją drogą to nie jest nasz klan.

– Przekonałaś mnie – burknął Hilo. – Spotkam się z kanclerzem Sonem i Radą. Co mam im powiedzieć?

– To zależy – odparła Shae. – Co musimy zrobić, żeby wygrać wojnę?

Hilo zamyślił się. Zaczerpnął tchu i po chwili wypuścił powietrze. Uważał, że prawdziwe zwycięstwo osiągną tylko wtedy, gdy Ayt i Gont nakarmią robaki, a ich klan obróci się w gruzy, musiał jednak przyznać, że bardziej osiągalnym, krótkoterminowym celem byłoby odzyskanie wszystkich spornych dzielnic i wymuszenie na Górze bolesnych ustępstw, które sprawią, że nigdy już nie będzie miała szans zmiążyć klanu Bez Szczytów.

– Jeśli nasi latarnicy zostaną przy nas i utrzymamy posiadane obecnie terytoria do końca roku, nasza sytuacja znacznie się poprawi – zastanawiał się na głos. – Rocznik, który dostaniemy z Akademii, jest lepszy i liczniejszy od tego, który Góra otrzyma z Wie Lon. Na wiosnę będziemy mieli wystarczająco wiele palców, by uzupełnić wszystkie luki. – Zassał policzki. – Ale nim to się stanie, możemy wiele stracić – dodał mniej optymistycznym tonem. – Góra zna naszą sytuację i jest gotowa przelać mnóstwo krwi, by szybko zakończyć sprawę.

Shae skinęła głową.

– Nie będą też chcieli, by wojna potrwała wystarczająco długo, by opublikowano wyniki audytu KSJ i uchwalono reformy. Nawet przyjmując, że nic się już nie da zrobić w sprawie jadeitu, który zdążyli ukraść, jeśli opinia publiczna zwróci się przeciwko nim, trudniej im będzie utrzymać sporne i podbite terytoria.

Prognostyczka pociągnęła łyk wody i rozejrzała się z namysłem po dziedzińcu.

– Radcy pragną, żebyś spotkał się z Ayt w ich gmachu i rozpoczął negocjacje. Zgódź się na to. W ten sposób udobruchasz latarników i utrzymasz ich po naszej stronie, a także powstrzymasz Espeńczyków przed podejmowaniem jakichkolwiek kroków, dopóki będą wierzyli, że pokojowe rozwiązanie jest możliwe. Im dłużej zachowamy powściągliwość, tym lepsza będzie nasza pozycja negocjacyjna. Dzięki Radzie zdołamy dotrzeć do wiosny.

– Wszystko to są polityczne sprawy – poskarżył się z westchnieniem filar. – Rada, KSJ, Espeńczyki. To nie dla mnie. Nigdy nie zwracałem uwagi na takie kwestie.

– Ale teraz musisz ją zwracać – odparła stanowczo Shae, choć w jej oczach pojawił się błysk współczucia. – Pewnych rzeczy nie mogę zrobić jako prognostyczka. Jesteś filarem. Możemy wygrać wszystkie bitwy na ulicach, ale i tak stracić klan, jeśli sobie nie uświadomisz, że wojna jest większą sprawą, niż ci się zdaje. W tej chwili Ayt jest w lepszej pozycji od nas. Od miesięcy, a nawet lat, trudziła się, by zdobyć nad nami przewagę poza terytorium miasta. Produkowała błysk za granicą, zagarniała jadeit za plecami KSJ... Żaden klan zielonych kości nawet dotąd nie pomyślał o czymś takim. Jeśli nie potrafimy podjąć gry na tym poziomie i wygrać, nie przetrwamy, nie wspominając już o zniszczeniu Góry. – Otwarta żądza zemsty pozbawiła jej głos ekspresji. – Nie tylko pokonać, ale zniszczyć.

Hilo postukał w zamyśleniu palcami o metalową poręcz krzesła. Przez chwilę przyglądał się siostrze.

– Nie mam zamiaru oskarżać cię o to, co minęło. Przed chwilą obiecałem, że nie będę tego robił. Ale powiedz mi, kto zerwał, ty czy Jerald?

Wyprostowała się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– A co to ma do rzeczy?

Uśmiechnął się ze swobodą, jakiej nie widziała u niego od wielu dni.

– Pytam tylko z ciekawości.

– Właściwie to było obopólne. – Zmarszczyła brwi. – On – przyznała.

Hilo wstał. Nagle poczuł bóle w najróżniejszych częściach ciała, ale nie przestawał się uśmiechać.

– To zrozumiałe.

Obrzuciła go niebezpiecznym spojrzeniem z ukosa. Hilo okrążył stolik i zatrzymał się za jej krzesłem.

– Co to miało znaczyć?

– Kiedy byliśmy małymi dziećmi, często cię biłem, ale ty nigdy nie dawałaś za wygraną. Nigdy. Plułaś mi w twarz i atakowałaś znowu, gdy tylko odwróciłem wzrok. Niczego nie zapomniałaś. Pamiętasz, jak kiedyś omal nie rozbiłaś mi czaszki? A później, w Akademii, zmieniłaś się w coś w rodzaju maszyny. Nie pozwalałaś, by ktokolwiek zauważył, że możesz mieć trudności. Zwłaszcza ja. Chłopaki bali się ciebie panicznie. Byłaś za inteligentna i zbyt niebezpieczna dla jakiegoś cudzoziemskiego przystojniaka o rzadkiej krwi. Wiedziałaś o tym? Miał szczęście, że zorientował się przed tobą. – Hilo objął siostrę i uściskał ją mocno. – Nadal mógłbym go zabić dla ciebie – wyszeptał jej do ucha.

– Pieprz się, Hilo – warknęła. – Sama potrafię zabijać swoich byłych.

Roześmiał się, niemalże oczekując, że złamie mu nadgarstek dla podkreślenia swych słów. Gdy tego nie zrobiła, pocałował ją w czoło, a następnie zwolnił uścisk i wrócił do domu.

## Rozdział 41

### Najlepszy na roku

W Akademii Kaul Dushurona przedtesty urządzano dwa miesiące przed właściwymi Testami, które odbywały się pod koniec roku, przed nadejściem deszczowej pory wiosennej. W przeciwieństwie do Testów, które trwają dwa tygodnie i są zamkniętymi dla publiczności egzaminami prowadzonymi przez nauczycieli z Akademii, przedtesty trwają tylko jeden dzień i są publiczną imprezą, przypominającą zawody sportowe. Choć ich centrum stanowi sześć jadeitowych dyscyplin, w typowo kekoński sposób program konkursów wzbogacono o recytację poezji, szybkie liczenie w pamięci, zagadki logiczne oraz inne atrakcje przyciągające mnóstwo widzów, zainteresowanych daną dziedziną albo zakładających się o wyniki.

Przed miesiącem Anden oczekiwał przedtestów z wielką ekscytacją, teraz jednak widział w nich jedynie przeszkodę przed ukończeniem szkoły. Jeśli nawet się z nich cieszył, to tylko dlatego, że dały mu coś, na czym mógł skupić uwagę. Rano poszedł do jadalni i machinalnie zjadł śniadanie, nie odzywając się ani słowem. Nie był w stanie uczestniczyć w nerwowych rozmowach innych ósmoroczniaków. Sprawdził rozkład zawieszony na ścianie i włożył w poranne próby całe swe umiejętności, ale nie czekał na ogłoszenie wyników ani nie dołączył do kolegów, którzy zgromadzili się wokół tablicy wyników w sali, by śledzić rezultaty ogłaszane po każdym kolejnym turnieju. Oficjalnie przedtesty uważano za skondensowaną, spokojną próbę, ułatwiającą uczniom przygotowanie się do znacznie trudniejszych egzaminów, które ich czekały, ale wielu ósmoroczniaków – zwłaszcza ci, którzy aspirowali do osiągnięcia wysokiej pozycji w klanie, czyli większość – podchodziło do nich tak nerwowo, jakby były prawdziwymi Testami. Na przedtestach masowo pojawiali się członkowie rodzin uczniów, podobnie jak przywódcy klanu. Z reguły przychodził na nie róg z czołowymi pięściami, by się przekonać, których absolwentów zatrudnić jako palce. Najważniejsi szczęściodawcy obserwowali egzaminy z przedmiotów akademickich. W ciągu dwóch następnych miesięcy nauczyciele będą umiarkowanie surowi albo sadystycznie okrutni, zależnie od tego, jak dziś spiszą się uczniowie.

Anden nie potrafił wzbudzić w sobie zainteresowania całą tą sprawą. Podczas obiadu nie rozmawiał prawie z nikim i opuścił salę, gdy tylko skończył jeść. Dlatego przybył wcześniej na konkurs w wieży, by czekać na swoją kolejkę. Było pochmurno i na tyle chłodno, że większość uczestników nosiła koszulki pod bluzami mundurków, a w powietrzu unosiła się para ich oddechów. Wiał wietrzyk, ale nie na tyle silny, żeby Anden musiał się nim niepokoić. Wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na najwyżej położony z kilku pomostów ulokowanych wokół wysokiej na piętnaście metrów drewnianej tyczki. Gdy wymieniono jego nazwisko, potarł odruchowo opaskę ćwiczebną na nadgarstku, przesuując palcem po jadeitach. Uderzono w dzwon.

Wziął rozpęd i skoczył. Lekkość przenosiła go z pomostu na pomost. Pomagał sobie wszystkimi czterema kończynami i odbijał się w górę po każdym przyplywie jadeitowej energii, pozwalającej jego ciału rzucić wyzwanie grawitacji. Powierzchnia oddalała się szybko, sekundy wydłużały się, gdy skakał z jednego wąskiego występu do następnego. Miał wrażenie, że jeśli zawiśnie w przestrzeni na zbyt długi czas, może utracić kontakt z Lekkością, spaść i połamać sobie wszystkie kości. Serce biło mu gwałtownie, ale oddychał powoli i miarowo. Nie czuł lęku. Nie obchodziło go, czy wygra, czy przegra. Nie przejmował się nawet myślą o upadku. Wpatrywał się w szczytowy pomost, a gdy do niego dotarł, usłyszał dzwon, a następnie aplauz tupiących nóg, tak głośny, że natychmiast sobie uświadomił, że osiągnął najlepszy dotąd czas.

Na szczycie wiatr był silniejszy. Jego świst wypełniał chłopakowi uszy. Anden sięgał stąd wzrokiem bardzo daleko. Widział nie tylko całe tereny Akademii i Park Wdowy, lecz również gładką taflę Zbiornika Retencyjnego i porośnięte lasem Wzgórze Pałacowe – w jego północnej części znajdowała się rezydencja Kaulów – oraz śródmieście Janloonu na wschodzie – mieszanina dachówek, betonowych budynków i stalowych drapaczy chmur. Żałował, że nie może usiąść na chwilkę, zwiesić nóg w dół i popatrzeć na miasto, wyobrażając sobie, że rzeczywiście jest tak spokojne, jak na to wygląda.

Wrócił na ziemię. Potrzebował do tego tylko odrobiny Lekkości. Dudo kołysał się już na palcach u podstawy więzy.

– Wygrałeś bezdyskusyjnie – poinformował go. – Nikt z nas nie poprawi tego czasu.

– Nie jadłem zbyt wiele – odpowiedział Anden, chcąc okazać uprzejmość.

To była prawda, ale nie miała wpływu na jego wynik i przedtesty nie były powodem jego braku apetytu. Ominął Duda i wziął ręcznik z rąk jednego z szóstoroczniaków, by wytrzeć twarz z potu. Gdy uniósł wzrok, zobaczył siedzącego w pierwszym rzędzie Maik Kehna. Pomyślał, że to znaczy, że Hilo na pewno również tu jest, i zaczął się rozglądać. Nagle przypomniał sobie, że Maik Kehn jest teraz rogiem i nikt nie oczekuje, by filar miał w bieżącej sytuacji czas zjawić się na przedtestach. Maik zauważył spojrzenie Andena i skinął do niego głową.

W zeszłym roku o tej porze Anden był jednym z siódmoroczniaków, obserwujących zmagania z tylnych szeregów. Dzień był chłodny i deszczowy. Pamiętał, że zacierał dłonie, chuchał na nie i przytupywał, żeby się ogrzać. Hilo siedział w pierwszym rzędzie, razem z Maik Tarem. Anden widział, jak rozmawiają ze sobą, wymieniają uwagi na temat umiejętności tego czy tamtego ucznia, uśmiechają się i wyrażają aplauz tupaniem. Jego kuzyn najwyraźniej świetnie się bawił. Podczas przerw wstawał, by rozprostować nogi i porozmawiać z ósmoroczniakami. Traktowali go jak boga, oddawali mu honory z uniżonością i chłonęli każde jego słowo, ale on z łatwością wszystkich uspokajał. Klepał ich po plecach, chwalił ich występy, żartował z nauczycieli, opowiadał historie o czasach, gdy sam był w Akademii i ciągle pakował się w kłopoty. Anden trzymał się na dystans i obserwował to uważnie.

– Za rok ty będziesz uczestnikiem.

Lan podszedł do Andena od tyłu, zaskakując go.

– Nie wiedziałem, że filar przychodzi na przedtesty, Lan-jen – zdziwił się chłopak.

– Lubię to robić, jeśli tylko mam czas. Przynajmniej po to, żeby wręczyć nagrody i powiedzieć kilka słów na zakończenie. Gdy nadejdzie twoja kolej, zostanę na cały dzień.

Anden odwrócił spojrzenie, zawstydzony myślą, że filar będzie poświęcał mu czas.

– Czy za twoich czasów były przedtesty? – zapytał.

Lan pokręcił głową.

– Byłem w pierwszym roczniku absolwentów. Dziadek i dwaj jego nauczyciele założyli Akademię rok po zakończeniu wojny wielu narodów. Pewnie istniała już przedtem, ale nie jako prawdziwa szkoła. Po prostu zielone kości szkoliły uczniów w piwnicach i tajnych obozach. W naszej grupie było nas tylko pięćdziesięciu. Mieliśmy jeden budynek i to pole treningowe. – Zatoczył krąg ręką. – Gdy teraz tu przychodzę, wszystko to wydaje mi się inne. Ale z drugiej strony minęło już szesnaście lat. Czas ucieka i wszystko się zmienia.

W głosie filaru zabrzmiała nuta żalu. Anden zadał sobie pytanie, czy jego kuzyn miał na myśli coś konkretnego. Nigdy nie poznał odpowiedzi na to pytanie. Lana zauważono i niektórzy nauczyciele przyszli złożyć mu wyrazy szacunku. Chłopak odsunął się na bok, by obserwować z zazdrością ósmoroczniaków i zastanawiać się, jak będzie mógł zostać Kaulem, skoro nie posiada charyzmy młodszego z braci. Ani powagi starszego.

Lana tu nie było. W oczach Andena ten prosty fakt pozbawiał znaczenia całe widowisko. Przedtesty wydawały mu się teraz cczą, bezsensowną pantomimą, przez którą musiał przejść, by dotrzeć do prawdziwego celu, jakim były ukończenie szkoły, jadeit, miejsce w klanie i zemsta za to, co uczyniono jego rodzinie.

Następnym konkursem, w którym uczestniczył Anden, było rzucanie nożami. Zajął drugie miejsce za Lottem, a wszyscy wiedzieli, że on jest najlepszy. Ostatnim punktem programu był konkurs Przenoszenia, zwany przez uczniów Masakrą Myszy. Życie można było przenieść wyłącznie w życie, ale Przenoszenie było zbyt niebezpieczne, by pozwolono uczniom wypróbować go na sobie nawzajem podczas publicznego konkursu. Dlatego uczestnicy siedzieli za stołem w Sali Zebrań, a przed każdym z nich umieszczono klatki z pięcioma białymi myszkami. Mogli dotykać zwierzątek tylko jednym palcem, a sędziowie dyskwalifikowali każdego, kogo przyłapali na użyciu Siły albo Odbijania. Od lat podejmowano różne próby mające uczynić ten konkurs atrakcyjniejszym. Któż nie chciałby zobaczyć, jak człowiek próbuje Przenieść się w byka? Ze względów praktycznych oraz budżetowych takie propozycje zawsze odrzucano.

Przenoszenie było dyscypliną, którą Anden opanował najlepiej. Wolał nie myśleć o tym, że

to samo dotyczyło jego matki. Gdy uderzono w dzwon, nawet nie próbował dotykać myszy palcami. Były na to zbyt zwinne. Rozpostarł dłonie nad klatką, szybko Postrzegł pięć maleńkich płomyków życia, migoczących niczym świeczki, i wybrał przypadkowo jeden z nich. Skupił się na nim, uniósł lekko dłoń i opuścił ją, wysyłając szybki i celny impuls. Gdy ze zwierzątko uciekło życie, w górę kończyny chłopaka przebiegło ciepłe, elektryczne mrowienie. Po czterech kolejnych szybkich impulsach Przenoszenia energii Anden odsunął się, trzymając ręce za plecami, na znak, że już skończył. Gdy zabrzmiał dzwon, dwóch innych uczniów z ośmioosobowej grupy również zdążyło zabić swoje myszy, ale Anden miał najlepszy czas dnia.

Czuł się trochę smutny, gdy sędzia uniósł jego klatkę, wywołując aplauz widzów. Pięć myszek jeszcze przed kilkoma minutami żyło, a teraz wszystkie były martwe. Ich życie zgaszono bardzo łatwo. Taki był los wszystkich żywych stworzeń. Żyły lub umierały zależnie od kaprysów potężniejszych istot. Przedtesty nie obchodziły go aż tak bardzo, by uważał, że musiał zabić zwierzątko. Poczucie winy nie miało sensu. Był pewien, że został zwycięzcą całych zawodów. Czy nie mógł się cieszyć chociaż przez chwilę?

– Gratulacje – odezwał się Ton, gdy wyszli z sali.

– Wyglądałeś, jakbyś nawet nie musiał się starać – dodał Heike.

Inni uczniowie również podchodzili do niego i wychwalali go głośno. Cała zmęczona, lecz podekscytowana grupa zebrała się na polu za Salą Zebrań. Czekali na wręczenie nagród i zamykające przedtesty słowa wielkiego instruktora Le. W ciągu tygodni, które pozostały do zakończenia roku, wszyscy będą okazywać Andenowi zwiększone zainteresowanie. Uświadomili sobie, że wkrótce stanie się on najwyżej postawioną zieloną kością spośród nich i zapewne ich przywódcą. Co więcej, młody, wojowniczy filar wyraźnie go faworyzował.

Anden próbował kiwać głową, uśmiechać się, a od czasu do czasu powiedzieć kilka słów podziękowania, czuł się jednak dziwnie oderwany od tego wszystkiego, niemalże jakby utracił kontakt z ciałem. Przez cały dzień nosił jadeit i posługiwał się jego energią, a po niedawnym okresie samotności hałas tak wielu aur go przytłaczał. Od chwili pogrzebu trzymał się na dystans od reszty, poświęcając się rutynowym czynnościom związanym z nauką i szkoleniem. Inni uczniowie odnosili się do niego ostrożnie, nie wiedząc, jak traktować kogoś, kto oplakuje Kaul Lana jako żywą osobę, a nie filara, którego śmierć doprowadziła do wendety na ulicy Dla Ubogich, a następnie pograżyła cały Janloon w spirali klanowej przemocy. Całe szczęście, że nie próbowali, bo nie potrafiliby zaakceptować ich współczucia. Dowiedział się tylko jednego. Wyrzuty sumienia mają swoje granice. Po pewnym czasie przestawały pożerać człowieka od środka i musiały przejść w gniew skierowany na zewnątrz, by nie pochłoniąć żywiciela całkowicie.

Wiedział, że to on jest winny śmierci Lana. Nie wierzył słowom Hila, zapewniającego, że jest inaczej. Ale sam Lan również nie był bez winy. Podobnie jak Shae i Hilo. Nie mógł nienawidzić swych kuzynów za ich błędy, mógł jednak kierować to uczucie na tych, którzy sprawili, że te błędy stały się przyczyną śmierci Lana. Nienawidził Gama Obena, którego ostateczny cios jednak okazał się śmiertelny, choć z opóźnieniem, Ayt Mady, Gont Ascha i cały klan Góra. A także błysk, truciznę warzoną przez Espeńczyków. Nienawidził błysku.

Mówiono, że Lan wpadł w zasadzkę zastawioną przez członków Góry uzbrojonych w karabiny maszynowe, którzy nie zdołali go zastrzelić, ale w końcu utopili go w zatoce. Nie wiedział nic więcej. Najwyraźniej ani on, ani nikt inny. Nawet tożsamość zabójców Lana pozostawała nieznaną. Kimkolwiek byli i cokolwiek naprawdę wydarzyło się tamtej nocy, chłopak był pewien, że nie udałoby się im, gdyby Lan był wtedy sobą. Gdyby nie był rannym, oszołomionym narkotykiem człowiekiem w niestabilnym stanie, jak podczas ich ostatniego spotkania. Gdyby Anden postąpił, jak należy, i poszedł do Hila albo opowiedział o wszystkim Shae tego wieczoru po meczu piłki sztafetowej, może przekonaliby Lana, żeby nosił mniej jadeitu, dopóki nie poczuje się lepiej, i zrezygnował ze wspomagania się błyskiem. A przynajmniej, żeby nigdzie nie jeździł sam...

– Emery. – Ktoś trącił Andena, wrywając go z zamyślenia. – Chodź.

Chłopak uniósł wzrok. Wielki instruktor Le najwyraźniej wygłosił już swoją mowę i podał nazwiska zwycięzców indywidualnych konkursów. Na koniec wymienił nazwisko Andena i czekał teraz, by wręczyć mu nagrodę pierwszego na roku. Z każdą sekundą zwłoki na jego twarzy uwiadczała się grymas niezadowolenia.

Anden wyszedł pośpiesznie przed grupę, dotknął dłońmi czoła i pokłonił się nisko na znak

przeprosin. Nagrodę pierwszego na roku wysoko ceniono, ponieważ była bardzo wartościowa – pojedynczy jadeitowy kolczyk wręczany w ceremonialnej szkatułce wyłożonej zielonym aksamitem. Miał go przytwierdzić do opaski ćwiczebnej. Klejnot gwarantował, że o ile zda egzaminy, po ukończeniu nauki otrzyma cztery dodatkowe jadeity, maksymalną liczbę, jaką otrzymywali absolwenci. Anden przyjął szkatułkę, raz jeszcze oddał honory i wrócił na miejsce. Nie czuł triumfu, tylko przygnębienie i ulgę.

Wielki instruktor Le powiedział jeszcze kilka słów o nadchodzących testach i o tym, że kończąca naukę zielone kości muszą być wyjątkowo dobrze przygotowane w tych czasach walki i niepewności. Na koniec życzył ósmorocznikom szczęścia i ogłosił przedtesty za zamknięte. Tłum zaczął się rozpraszać. Rodziny i grupki przyjaciół ustawiały się do zdjęć. Anden chciał już wracać do akademika, ale w okolicy kłębili się jego koledzy i dobiegł go głos Lotta Jina.

– Kaulowie oszukują samych siebie, jeśli sądzą, że w tym roku dostaną z Akademii wiele palców – mówił Lott. – Nie w sytuacji, gdy ci, którzy wykonują rozkazy pięści, wkrótce będą karmić robaki.

– No cóż, nikt nie twierdzi, że Maik jest takim rogiem jak Kaul – przyznała Pau.

– Patrolowanie ulic i zbieranie daniny jest w porządku – dodał Heike. – Nawet pojedynki czystej klingi nie zawsze kończą się śmiercią. Nie, jeśli jeden z walczących się podda. Ale walka z nieprzyjacielskimi zielonymi kośćmi, mającymi więcej doświadczenia i więcej jadeitu, a w dodatku chcącymi nas zabić, żeby zabrać nasze klejnoty? To coś całkiem innego.

– W dobrych czasach każdy chce zostać palcem, przynajmniej na parę lat. To zapewnia szacunek, nawet jeśli ktoś nie zdobędzie jadeitu ani nie zostanie pięścią. Ale prawdziwa wojna? – Głos Lotta przepełniła pogarda. – Przekonają się, że nie wszyscy są tak głupi i chciwi jadeitu, jak...

Nie zdołał dokończyć zdania. Anden odwrócił się błyskawicznie i wpadł w grupkę kolegów. Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego to zrobił. Słyszał już przedtem podobne słowa i zachował spokój, teraz jednak zaciskał zęby i pięści, a w jednej dłoni mocno trzymał cenną zieloną szkatułkę, przed chwilą otrzymaną w nagrodę. Pozostali uczniowie gapili się na niego ze zdumieniem.

– Mam już dość tego twojego pierdolenia! – zawołał do Lotta Anden, zdumiony obrzydzeniem we własnym głosie bardziej niż ktokolwiek inny. – Żaden tchórz, którego więcej obchodzi ratowanie swojej skóry niż pomoc klanowi w godzinie potrzeby, nie zasługuje na jadeit.

Wszyscy byli totalnie zaskoczeni. Przez całe osiem lat nigdy nie widzieli, by wpadł w taki gniew. Ale Lan nie żył i teraz wszystko było inne. Inne niż w noc tajfunu w Sali Zebrań, gdy Anden nadal wierzył, że jego kuzyni panują nad sytuacją i nie musi zabierać głosu.

Pomimo żałoby Anden nie zapominał o fackie, że Lott od tygodni prawie się do niego nie odzywał. Wydawało się nawet, że wręcz go unika. Gdy ujrzał rozdziawione ze zdumienia usta tamtego, wypełnił go przypływ okrutnej satysfakcji. Czemu Lott zawsze był taki samolubny? Czy myślał, że nikt poza nim nigdy nie bał się o własne życie albo nie pragnął, by wszystko wyglądało inaczej niż w rzeczywistości? Jak śmiał okazywać taką arogancję, jakby mógł po prostu porzucić klan i odejść?

Lott zamknął nagle usta.

– Czy cię uraziłem, Emery? – Wycedził nazwisko Andena, przeciągając samogłoski z przesadnym espeńskim akcentem, by podkreślić ich cudzoziemskie brzmienie. – Nie wiedziałem, że nawet jedno słowo krytyki pod adresem klanu czy wielkiej rodziny Kaulów znieważa cię aż tak bardzo. – W oczach Lotta pojawił się błysk. – Możesz być pierwszym na roku, ale nikt z nas nie złożył jeszcze przysięgi i nikomu z nas nie przydzielono rangi. Nie możesz nam wydawać rozkazów.

– Jesteśmy ósmorocznikami – odciął się Anden. – Klan Bez Szczytów liczy na nas. Młodsze roczniki pilnie nas obserwują. Takie gadanie szkodzi klanowi, a ty wypowiedziałeś te słowa pośrodku pola, gdzie każdy mógł je usłyszeć. – Rzucił to oskarżenie przeciwko drugiemu uczniowi pod wpływem narastającej furii. Zwątpienie było jak wirus, z łatwością przenoszący się z ust do ust. – Twój ojciec jest pięścią. Powinieneś to rozumieć.

– Nie mów mi, co powinienem rozumieć i nie wspominaj o moim tacie! – warknął Lott.

Powietrze wypełniła niebezpieczna energia. Obaj nosili dziś jadeit i Anden poczuł, że aura drugiego młodzieńca zapłonęła nagle niczym płonący tłuszcz. Pozostali ósmorocznicy poruszyli się nerwowo. Na terenie Akademii zabraniano pojedynków, a instruktorzy byli blisko. Niektórzy z kręcących się w okolicy uczniów oraz ich rodziny już gapili się na ich grupkę.

– Przestańcie – odezwał się Ton, wchodząc między nich. – Wszyscy jesteśmy dziś lekko oszołomieni jadeitem. Być może rozmawialiśmy nieco zbyt swobodnie, ale nie sądzę, by ktoś zamierzał kogoś obrazić. Mam rację?

– Podejrzewam, że zamierzał – odparł gniewnie Lott, ale jego spojrzenie przesunęło się nagle za plecy Andena, który w tej samej chwili poczuł łatwe do rozpoznania płynne ciepło aury Kaul Hila.

– Andy. – Hilo położył dłoń na ramieniu kuzyna i dołączył do ich kręgu, jakby robił to codziennie. – Kehn opowiedział mi o wszystkim. Podobno byłeś dziś niewiarygodny. Zdążyłem dopiero na rozdanie nagród, ale musiałem tu przyjść, żeby cię zobaczyć jako najlepszego na roku. Wybacz, że nie mogłem zjawić się wcześniej. – Hilo rozciągnął usta w krzywym, nonszalanckim uśmiechu. Z jego młodzieńczym wyglądem kłóciły się mroczniejsze cienie, widoczne teraz wokół oczu i ust. Rysy jego twarzy się wyostrzyły, a na dłoniach miał świeże blizny. Obecność filaru natychmiast uspokoiła wszystkich, powstrzymała kierunek rozmowy jak wielki głaz leżący pośrodku małego strumyka.

– Cie... cieszę się, że w ogóle mogłeś przyjść, Hilo-jen – zdołał wykrztusić Anden.

– Przedstaw mnie kolegom, Andy – rzekł Hilo.

Anden zaczął od pierwszego z brzegu.

– Syn Lott Penshugona? – zapytał filar z nagłym zainteresowaniem, gdy dotarli do Lotta. – Szkoda, że twój ojciec nie mógł zobaczyć, jak się spisałeś w przedtestach. Z pewnością pragnął przyjść, ale rozkazałem mu bronić dzielnicy Sogen dla klanu Bez Szczytów. – Hilo sprawiał wrażenie, że nie zauważył napiętych mięśni barków i zamarłej w bezruchu twarzy. – Opowiem mu, jak świetnie się spisałeś – podjął jeszcze bardziej przyjacielskim tonem. – Mówi, że potrafisz rzucać nożem lepiej od niego i jesteś jednym z tych, którzy dobrze noszą jadeit. Już to zauważyłem. Powinieneś porozmawiać z Maik-jenem. W dowolnej chwili, nie musisz czekać, aż ukończysz szkołę.

Twarz i szyję Lotta pokrył rumieniec.

– Dziękuję, Kaul-jen.

Poruszył zuchwą i oddał honory, przez moment zerkając podejrzliwie na Andena.

– To samo dotyczy was wszystkich – podjął filar, omiatając spojrzeniem mały krąg ósmoroczniaków. – Nieraz mówiłem Andy’emu, że jesteście najliczniejszym i najsilniejszym rocznikiem absolwentów Akademii od wielu lat. W porównaniu z wami mogę już uchodzić za starego. Jesteście przyszłością klanu i przynosicie zaszczyt swoim rodzinom.

– Dziękuję, Kaul-jen – odezwał się Ton.

Pozostali powtórzyli te słowa.

– Nasza krew dla klanu – dodał z zapalem Dudo, oddając honory w niskim ukłonie.

– Już niedługo, przyjacielu, ale jeszcze nie w tej chwili – odparł lekkim tonem Hilo, pociągając chłopaka za kołnierzyk. – Jeszcze przez dwa miesiące możesz pozostać uczniem Akademii. I to nie tylko uczniem, a ósmoroczniakiem. Można powiedzieć, że macie obowiązek zatruwać życie młodszymi uczniami i skłonić nauczycieli do oznajmienia na ceremonii zakończenia, że byliście najgorszym rocznikiem w całej historii Akademii. Tak dzieje się co roku. Opowiedziałbym wam parę historii z moich czasów, ale jest wieczór po przedtestach i wszyscy powinniście już popędzić na kampus, żeby się napić.

Kilku uczniów się roześmiało i jeszcze raz podziękowało filarowi, po czym się oddaliło. Lott obrzucił jeszcze Andena i Hila pozbawionym przekonania spojrzeniem i podążył za nimi.

Filar ruszył z kuzynem przez prawie już opustoszałe pole.

– Ty i syn Lotta byliście gotowi skoczyć sobie do gardeł – odezwał się Hilo zmienionym, nagle pozbawionym wesołości głosem. – O co wam poszło?

– Nieważne – wymamrotał Anden. Choć był wściekły na Lotta Jina, nie chciał mówić o nim źle przed filarem. Hilo jednak czekał na odpowiedź i Anden uznał, że musi jej udzielić.

– Mówił, że klan nie dostanie w tym roku tak wielu palców, jak ci się zdaje. Że ci, którzy mogą wybierać, nie będą chcieli podejmować takiego ryzyka podczas wojny.

– Nie dostaniemy przysiąg od wszystkich, to prawda. Może nawet nie od tyłu, na ilu liczymy. Czy dlatego tak się wściekłeś?

– Chodziło o to, jak to powiedział, Hilo-jen. Okazał brak szacunku.

Hilo pokiwał głową.

– Chciałeś mu pokazać, gdzie jest jego miejsce?

– Chciałem... – Anden nie był tego pewien. W głosie filaru zabrzmiała lekko drwiąca sugestia, której towarzyszyło lekkie uniesienie brwi. Anden był wstrząśnięty myślą, że jego kuzyn mógł podejrzewać, że za jego gniewem stoją inne motywy. – Musiałem coś powiedzieć.

– Andy – odparł Hilo z powagą w głosie. – Wielu chłopaków, którzy są teraz twoimi kolegami, w przyszłości stanie się twoimi palcami. Musisz się nauczyć, że można kogoś zdyscyplinować w taki sposób, że znienawidzi cię na zawsze, lecz również w taki, że będzie cię za to kochał. Musisz znać tego człowieka, żeby wiedzieć, co okaże się skuteczne. Co wiesz o swoim koledze?

Anden się zawahał. Co właściwie wiedział o Lott Jinie?

– Powiem ci, co ja o nim wiem – podjął filar. – Jego stary to cham. Nikt nie mógłby być wierniejszy i bardziej zielony niż Lott Pen, ale on zawsze zachowuje się tak, jakby chciał sprowokować walkę. Ciągłe łypie na wszystkich ze złością, nigdy nie powie nikomu dobrego słowa. Jeden z ludzi, którzy kopią psy. Nic dziwnego, że jego syn ciągle wszystkim pyskuje i ma ponurą minę. Miał takiego ojca, że teraz nie wie, jak być mężczyzną. I nie jest pewien, co myśleć o klanie.

Szli w kierunku przeciwnym niż do akademików, ale Anden podążał za Hilem bez słowa. Odnosił wrażenie, że filar próbuje mu powiedzieć coś, co uważa za bardzo ważne. Cenne rady dla przyszłej pięści.

– To, co mówiłeś mi, kiedy przyszedłem, sprawiło, że poczuł się gorszy od swojego taty, a tego nie potrafił znieść. Zaakceptowałby zbesztanie, a nawet bicie, gdyby tylko dzięki niemu poczuł się lepszy od Lott Pena.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, że Kaul Hilo potrafi postępować z ludźmi. Owa umiejętność brała się z autentycznej troski. Ten talent był dla Andena bardziej tajemniczy niż jakakolwiek jadeitowa dyscyplina. Opuścili tereny Akademii i poszli na parking, gdzie czekała duchesse.

– Ludzie są jak konie, Andy. Palce i pięści również. Wszyscy. Każdy koń będzie biegł, jeśli będziesz go poganiał batem. Ale tylko tak szybko, żeby uniknąć razów – ciągnął Hilo. – Natomiast konie wyścigowe biegają dlatego, że widzą wierzchowca po lewej i po prawej, i myślą: „Nie chcę przegrać z tymi skurwielami”.

Zaczęła siąpić chłodna, zimowa mżawka. Anden spojrzał z niepokojem na niebo i potarł się po ramionach, ale Hilo wsadził tylko ręce w kieszenie i oparł się o bok duchesse.

– Andy, czasami się zdarza, że ludzie, na których polegasz, zawodzą cię paskudnie. Wiem, że trudno to znieść. Ale jeśli dasz komuś wzór do naśladowania, powiesz mu, że może się stać kimś więcej, niż jest teraz, czy nawet kimś więcej, niż ktokolwiek od niego oczekuje, z reguły da z siebie wszystko, by dowieść prawdziwości twoich słów.

Anden nagle uświadomił sobie, że filar skarcił go łagodnie za to, że zawiódł, niewłaściwie reagując na słowa Lotta i innych ósmoroczniaków. Gdyby nie nagłe pojawienie się jego kuzyna, zraziłby do siebie uczniów, którzy mieli na wiosnę powiększyć szeregi klanu Bez Szczytów. Opuścił wzrok, zdając sobie sprawę, że jemu również dano wzór do naśladowania.

– Masz rację, Hilo-jen.

Nie wystarczy, że jest zieloną kością i pierwszym na roku. Musi jeszcze stać się Kaulem.

– Nie rób takiej miny – dodał Hilo. – Jakbyś myślał, że jestem tobą rozczarowany. Nie jestem. Wszyscy potrzebujemy nauki. Sprzeciwiłeś się drugiemu mężczyźnie i zażądałeś, by okazał szacunek klanowi. To znaczy, że masz serce we właściwym miejscu, a to jest najważniejsze. A teraz pokaż mi nową zieleń, którą dostałeś jako najlepszemu na roku.

Anden wręczył kuzynowi małą, zieloną szkatułkę. Hilo otworzył ją i wyjął okrągły klejnot wielkości guzika od koszuli, ale dwa razy od niego grubszy, połączony z metalową zapinką. Uniósł go i przyjrzał mu się uważnie. Jadeit miał barwę nieskazitelnej, żywej półprzezroczystej zieleni, niemalże przechodzącej w błękit. Nawet przy słabym świetle, pod koniec pochmurnego dnia, prawie świecił w palcach filaru. Hilo wydał z siebie gardłowy odgłos uznania i Anden przez moment poczuł nierozumny lęk, szaloną irracjonalną zazdrość, pragnienie odzyskania łupu.

Jego kuzyn uśmiechnął się, jakby wyczytał tę żądzę z twarzy chłopaka albo z jego aury. Wyciągnął rękę, uściśnął jego lewy nadgarstek, po czym powoli, niemal z czułością, zdjął skórzaną opaskę ćwiczebną i wsunął klejnot w pusty otwór obok trzech pozostałych jadeitów. Zaciśnął opaskę, także mocno uciskała skórę chłopaka, po czym poprawił sprzączkę, żeby pasowała.

– Proszę bardzo – oznajmił, dotykając od niechcenia policzka kuzyna. – Tak lepiej, prawda?



Anden zamknął na chwilę oczy, ciesząc się nową energią, która wypełniła niczym światło jego zmęczone mięśnie i postrzępione nerwy. Nawet teraz odnosił wrażenie, że wszystko przybliżyło się zachwycająco i jest cudownie piękne – deszcz padający na jego skórę niemalże skwierczał od zmysłowych wrażeń, dźwięki, zapachy i smaki niesione przez wiatr przybrały sto tysięcy różnych tonacji, a aura jego kuzyna – jej kształt, miejsce i charakter – była dla niego klarowniejsza niż obraz postrzegany przez wzrok. Anden roześmiał się, trochę się wstydząc tak głupiej wesołości. Mógłby raz jeszcze przystąpić do wszystkich przedtestów i był pewien, że wypadłby lepiej niż za pierwszym razem. Każdy okrucuch jadeitu, który otrzymywał do tej pory, czynił świat bardziej realnym. Wzmacniał moc wypełniającą jego ciało i wszystko wokół niego. Otworzył oczy i zauważył, że Hilo przygląda mu się z dumą, lecz również z zazdrością.

– Czy też się tak czujesz za każdym razem, gdy wkładasz nowy jadeit? – zapytał chłopak.

– Nie. – Hilo odwrócił wzrok, nieświadomie unosząc rękę do piersi. – Pierwszych kamieni, w przybliżeniu sześciu, nie zapomina się nigdy. Pamięta się dzień, w którym dostało się każdy z nich, jakby otrzymało się w darze... no wiesz, wszystko. Każdy następny dodaje coraz mniej. Każda zielona kość na pewnym poziomie osiąga szczyt swoich możliwości. Kiedy już noszą cały jadeit, jaki było im przeznaczone nosić, dodawanie kolejnego niczego już nie zmienia. W niektórych przypadkach odwraca cały proces. Zaczyna ich niszczyć.

Euforia Andena zgasła, gdy usłyszał te ostatnie słowa. Niszczyć. Jego matka, wujek, a teraz Lan. Myślenie o nich w ten sposób wydawało się brakiem szacunku, ale cóż innego pozostawało? Nawet cudowny strumień nowej energii nie potrafił powstrzymać lęku. Anden bał się o siebie i o innych. Widział tylko kilka jadeitów Hila pod kołnierzem koszuli i w luce między pierwszymi dwoma guzikami, które zawsze miał rozpięte. Wiedział jednak, że tułów jego kuzyna zdobi ich znacznie więcej. W samym ostatnim miesiącu Hilo zdobył wiele niebezpiecznych trofeów.

– Tobie to nie grozi, prawda, Hilo-jen? – zapytał, nie potrafiąc ukryć obaw.

Hilo przytaknął z lekkim smutkiem.

– Niczego już nie czuję.

## Rozdział 42

### Stary biały szczur

Zaplecze lombardu Papaja było jednym z nielicznych miejsc, w których można było znaleźć Tem Bena dobijającego targu z ludźmi tak śmiałymi i lekkomyślnymi, że byli gotowi zajmować najniższy szczebel czarnorynkowego handlu jadeitem. Tem pomyślał z satysfakcją, że ta gałąź gospodarki ostatnio rozkwita. Zielone kości były zajęte zabijaniem się nawzajem i przestępcy wszelkich rodzajów mieli chwilę wytchnienia. Nadal musieli uważać na janloońską policję, ale w gruncie rzeczy zajmowała się ona tylko drobną przestępczością, kierowaniem ruchem drogowym i sprzątaniami po klanach. Policjanci byli urzędnikami, nie wojownikami. Większość w ogóle nie nosiła jadeitu. Z pewnością niczego, co przypominało piękny kawałek, który oglądał teraz pod lupą w dziesięciokrotnym powiększeniu, pozwalającym zobaczyć typowy jednorodny, nachodzący na siebie wzorec, odróżniający prawdziwy kekoński jadeit, najrzadszy, i najcenniejszy klejnot na świecie, od innych kamieni o czysto dekoracyjnym charakterze.

Tem zmarszczył brwi, próbując ukryć zachwyt przed nerwowym Abukei, który stał przed jego biurkiem, przygryzając dolną wargę czerwonymi od betelu zębami. Skinął dłonią, prosząc mężczyznę, by nie zasłaniał mu światła wiszącej pod sufitem lampy. Abukei miał powody do niepokoju. Jadeit, który przyniósł, był osadzony w wytartej rękojeści karambita. Kradzież broni zielonej kości była przestępstwem znacznie poważniejszym niż nurkowanie w rzece. Jeśli ktoś dał się złapać, niemal z pewnością czekała go śmierć. Nerwowy, żylasty mężczyzna nie sprawiał wrażenia doświadczonego albo sprytnego złodzieja. Tem podejrzewał, że ten jadeit, podobnie jak wiele innych, które ostatnio widział, zabrano trupowi. Zielone kości z reguły pamiętały o zabranii klejnotów pokonanym przeciwnikom, ale w chaosie wojny ulicznej zawsze można było coś przeoczyć albo zgubić i szybkim sępom mogło się poszczęścić.

To pobudziło jego ciekawość, ale zapewniał, że nigdy nie zadaje pytań, i trzymał się tej zasady. Odłożył lupę i wysmarkał się w gęste wąsy.

– Są pewne niedoskonałości – skłamał. – Czterdzieści tysięcy dniów.

Kamień był wart dwa razy więcej, ale Tem widział, że mężczyzna gorąco pragnie pozbyć się noża.

– Tylko tyle? – sprzeciwił się Abukei, wyraźnie podejrzewając, że próbują go oszukać. – Niewiele więcej niż dostawałem przedtem za kamienie z rzeki. To jest prawdziwy klejnot z karambita.

– Podaż jadeitu ostatnio znacznie wzrosła – odpowiedział Tem. – Czterdzieści tysięcy.

To było znacznie więcej pieniędzy, niż Abukei widział w życiu. Przyjął plik banknotów, które Tem odliczył dla niego, i opuścił lombard z niezadowoloną miną. Nie miał jednak właściwie wyboru. Trzypalczy Gee karmił robaki, a Mały Pan Oh wykazał się wyjątkowym rozsądkiem i przeszedł w stan spoczynku. Złodziej jadeitu działający w tych okolicach musiałby się wybrać na drugi koniec miasta, by znaleźć wiarygodnego pasera.

Tem Ben przeszedł do pokoiku na zapleczu, za szklanymi gablotami pełnymi zegarków i klejnotów oraz ścianą wypełnioną używanymi telewizorami oraz głośnikami. Pogłaskał rękojeść diabelnie ostrego karambita i uśmiechnął się z zadowoleniem. Odwinął z papierka ygutańskiego toffi, żeby uczcić ten sukces. Takich cukierków nie można było dostać w Janloonie i znajomy przysłał mu je pocztą. Były chwile, gdy tęsknił za przybraną ojczyzną, musiał jednak przyznać, że zimy na Kekonie są znacznie przyjemniejsze. Co więcej, łatwiej tu też było o szanse zysku. Szczęśliwym trafem Ayt Mada rozumiała wartość kamiennookich i nagradzała go hojnie. Jeszcze jeden taki rok czy dwa i będzie mógł żyć w Ygutanie jak król. Ayt obiecała mu nawet, że dostanie tam klanową robotę i będzie dobrze zarabiał. Rzecz jasna, rodzina nadal wstydziła się go i nie chciała o nim mówić, ale wkrótce stanie się obrzydliwie bogaty, a nic nie mogłoby być lepszą zemstą.

Ktoś zadzwonił do drzwi i wszedł do środka. Lombard był zamknięty dla zwykłych klientów. Może kolejny złodziej jadeitu? Wyjrzał przez judasza w ścianie, pozwalającego zobaczyć wejście. Stał tam mężczyzna w krótkim, jasnobrązowym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. Led-

wie się poruszał, jakby czegoś nasłuchiwał. Wreszcie odwrócił się i zamknął za sobą drzwi dłońmi w rękawiczkach.

Szlifierz jadeitu w jednej chwili uświadomił sobie, że mężczyzna przyszedł go zabić. Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej pistolet – samopowtarzalny ankev – o sile ognia wystarczającej, by powalić ygutańskiego niedźwiedzia stepowego. Wycelował w drzwi prowadzące do głównego pomieszczenia i wrzucił karambit do torby pełnej zwitków banknotów. Następnie zaczął się cofać ku tylnemu wyjściu. Złapał za gałkę i popchnął. Drzwi się nie poruszyły. Uderzył w nie barkiem. Ugięły się nieco, ale na tym koniec. Usłyszał metaliczny brzęk jakiejś przeszkody, niepozwalającej im się otworzyć.

Wypełnił go strach. Rzucił torbę na podłogę, odwrócił się plecami do drzwi, uniósł gotowego do strzału ankeva i czekał. Jeśli to zielona kość, zanim wystrzelisz, zaczekaj, aż znajdzie się tak blisko, że nie będzie mógł użyć Odbijania. Opróżnij cały magazynek. Jeśli pierwszy pocisk go nie załatwi, zrobią to następne. Stał nie powstrzymując kuli z ankeva. Nikt tego nie robi, żaden człowiek, kimkolwiek by był. Tem świetnie strzelał.

Nie słyszał jednak kroków mężczyzny. W lombardzie zapadła niepokojąca cisza. Po jego twarzy spływał pot, ale szlifierz jadeitu nie ruszał się z miejsca. Nadal czekał. Nagle z frontowego pomieszczenia dobiegł głośny łoskot. Na podłodze wylądowało kilka ciężkich przedmiotów. Słyszał brzęk pękającego szkła. Tem nadal się nie poruszył. Czyżby napastnik czegoś szukał? Jadeitu? A może chodziło o karambit, który miał w torbie? Podeszedł do judasza i się pochylił...

Ściana obok niego eksplodowała, sypiąc na wszystkie strony kawałkami drewna i tynku. Pięść mężczyzny przebiła się przez cienkie wewnętrzne przepierzenia. Napastnik otworzył dłoń i zacisnął ją na nadgarstku Tema z ogromną Siłą. Szlifierz jadeitu za późno uświadomił sobie, że hałasy, które słyszał, były odgłosem zrzucania telewizorów i sprzętu elektronicznego z półek na dzielącej ich ścianie. Stercząca z przepierzenia dłoń poruszyła się gwałtownie i złamała przedramię Tema, jak łamie się skrzydełka kurczaka. Kamiennooki zawył z bólu. Ankev spadł z brzękiem na podłogę.

Dłoń go puściła. Tem zatoczył się na biurko. Przyciskał zranioną kończynę do piersi, próbując podnieść pistolet lewą ręką. Ściana rozsypała się w obłokach białego pyłu. Zielona kość wybił w niej dziurę tak wielką, że mógł przejść na drugą stronę. Tem uniósł broń. Drżała tak bardzo, że spróbował podtrzymać ją złamaną ręką. Jęcząc z bólu, nacisnął spust. Wielki pistolet szarpnął się potężnie w jego słabym uścisku. Kula wybiła dziurę nad tylnymi drzwiami.

Napastnik wyrwał ankeva z jego rąk, po czym przykucnął w ciasnej klitce i dwukrotnie uderzył kolbą ciężkiej broni jak młotkiem, miażdżąc rzepki Tema. Szlifierz jadeitu krzyknął i przetończył się po podłodze z bólu.

– Ty gównozerczy świniojebco! Zabiję cię! Kurwa, zabiję cię! – wrzeszczał po ygucku.

Jego dręczyciel przysunął sobie krzesło, na którym przed kilkoma minutami siedział Tem, i usiadł na nim. Położył ankeva na biurku, zdjął czapkę i strzepnął z filcu kawałki tynku. Spróbował też oczyścić ramiona marynarki, ale przekonał się że to nic nie daje, zdjął ją więc potrząsnął nią mocno, by pozbyć się choć części odłamków. Następnie położył marynarkę na pistolecie, podwinął rękawy i czekał, aż kamiennooki przestanie wrzeszczeć. Tem dyszał, wybałuszając oczy.

– Wiesz, kim jestem?

– Jednym z tych skurwysyńskich Maików.

– Zgadza się – potwierdził Maik Tar. – A ty jesteś Tem Ben, od niedawna lepiej znany jako Szlifierz.

Wyciągnął z kieszeni marynarki czarny, prostokątny przedmiot. Tem zorientował się, że to przenośny magnetofon kasetowy, jakich używali dziennikarze. Maik przewinął taśmę do początku.

– Przez pewien czas dobrze ci się powodziło – zaczął. – Wyeliminowałeś dwóch innych paserów w tej części miasta. To wymagało gęstej krwi i stylu.

– Jestem kamiennookim – zaprotestował Tem. – Klan pozwolił Gee i panu Oh prowadzić interesy przez lata, a teraz chcesz zabić kamiennookiego z powodu odrobiny jadeitu z rzeki? Co z waszym sławetnym kodeksem *aisho*, ty kundlu, ty pierdolona mendo?

– Hej, gdybyś ograniczył się do kupowania kamieni z rzeki, sprawy wyglądałyby inaczej. Kaul Lan nie kazałby cię załatwić, nie kamiennookiego. To tylko wkurzyłoby rodzinę Temów i nie byłoby z tego żadnego pożytku. Jeśli wykończy się ulicznego szlifierza, jego miejsce zaraz zajmie

inny, tak? – Maik postawił magnetofon w rogu biurka. – Ale teraz Lan-jen nie żyje i wybuchła wojna. Pora na zbyt długo odwlekaną rozmowę. Nie jesteś tylko ulicznym szlifierzem z upodobaniem do niegustownych ygutańskich ubrań. Jesteś białym szczurem.

Biały szczur: szpieg pracujący dla klanu. Kodeks zielonych kości, zabraniający mordowania kamiennookich należących do wrogiego klanu, nie dotyczył białych szczurów.

– Rodzina się mnie wyrzekła. Nie jestem członkiem Góry. Nie możesz złamać *aisho* na podstawie domysłów.

Tem pocił się intensywnie.

– To nie są domysły. Nie trać czasu na zaprzeczenia. Śledziliśmy cię od miesięcy. Naprawdę wierzyłeś, że nie poczujemy smrodu, jeśli będziesz szczał na terytorium klanu Bez Szczytów? – Maik zajrzał do torby Tema, przerzucił zwitki banknotów i wyciągnął owinięty w kawałek tkaniny karambit, bezbłędnie wyczuwając pobliski jadeit. Rozwinął tkaninę i zagwizdał.

– Wojna to dobry czas dla sępów. – Wziął nóż w rękę, sprawdził palcem jego ostrość i położył go obok magnetofonu. – Możemy to załatwić szybko albo powoli, ale, tak czy inaczej, powiesz mi wszystko, co wiesz o działaniach Góry na terytorium klanu Bez Szczytów, zaczynając od tego, gdzie wysyłasz cały ten jadeit, który przechodzi przez twoje ręce. Wiem już sporo na ten temat, ale chcę, żebyś mi o tym opowiedział. Tę wiedzę powinno się zachować dla potomności. Dlatego lepiej mów wyraźnie.

Włączył magnetofon i nacisnął guzik nagrywania.

Tem Ben spłynął.

– Powiedz swojemu panu, Kaul Hilowi, żeby się pierdolił.

Maik przymrużył gwałtownie powieki i nacisnął pauzę.

– W takim razie powoli.

## Rozdział 43

### Nowy biały szczur

Gdy Shae wróciła do domu Kaulów z biura prognostyka, jak zwykle było już po północy. Woon wysadził ją przed wejściem, po czym odprowadził samochód do garażu. Naprawdę stał się jej cieniem. Nigdy nie opuszczał wieżowca na Statkowej przed nią, był nie tylko jej szefem sztabu, lecz również niemal nieodłącznym ochroniarzem. Uciekła się do manipulacji, gdy był pogrążony w żalobie, zapewniając sobie w ten sposób jego lojalność, nie żałowała tego jednak. Za bardzo cieszyła się z jego fachowej wiedzy i niezachwianej etyki. Bez niego nie przetrwałaby na stanowisku prognostyczki nawet tygodnia.

Wchodziła na schody bardzo powoli. Czuła się zmęczona. Podobnie jak poprzednio wrażenie, że wróciła do domu, mieszało się w niej z poczuciem obcości. Zrezygnowała z wynajmu jedno-pokojowego mieszkania i wróciła do rezydencji Kaulów, nim jeszcze Hilo zdążył ją o to poprosić. To było jedyne rozsądne rozwiązanie, biorąc pod uwagę wojnę i jej pozycję prognostyczki. Róg nie mógł już sobie pozwolić na przydzielanie ochroniarzy do jej mieszkania w Północnym Sotto. Rezydencja Kaulów była bezpieczna i mieszkając tutaj, będzie mogła znaleźć filar, gdy tylko będzie potrzebowała z nim porozmawiać.

Spakowała rzeczy, powiedziała właścicielowi, żeby zostawił meble dla następnego lokatora, i wybrała się na ostatni spacer po dzielnicy. Kupiła sobie bułkę z mięsem w piekarni na rogu. Jadła ją powoli, by nacieszyć się zapachem. Podziwiała atrakcyjne wystawy ulicznych sklepów. Zauważyła napięcie panujące wśród przechodniów. Gdy przechodzili obok kiosków, w których sprzedawano gazety informujące o wojnie klanów, przyśpieszali nieco kroku.

Na koniec wróciła do mieszkania po raz ostatni i zadzwoniła do dyrektora regionalnego Artykułów Gospodarstwa Domowego i Rolnego, by go zawiadomić, że musi z żalem zrezygnować z jego propozycji pracy, ponieważ sytuacja rodzinna uniemożliwia jej podróż.

Sama znalazła sobie mieszkanie. Sama zdobyła propozycję pracy. To były drobne sukcesy, ale miały dla niej wielkie znaczenie. Nie zatrzymała się w tym mieszkaniu zbyt długo, a myśl o zdobytej pracy nie ekscytowała jej szczególnie, ale żałowała, że straciła te niewielkie zdobycze.

Nie mogła zamieszkać w mieszkaniu prognostyka. Doru nadal był tam uwięziony, kiedy nie dotrzymywał towarzystwa jej dziadkowi pod nadzorem strażnika. Zresztą nie sądziła, by mogła kiedykolwiek poczuć się tam jak w domu, chyba żeby cały budynek zburzono i zbudowano na nowo, eliminując wszelkie ślady po poprzednim lokatorze. O ironio, rzeczywiście wróciła do swej dawnej sypialni.

Zatrzymała się, dotykając dłonią drzwi frontowych. Wyteżyła zmysł Postrzegania i zorientowała się, że jej brata nie ma w domu. On również przeniósł się do głównego budynku, by Maikowie mogli zamieszkać w rezydencji rogu. Shae odnosiła niekiedy wrażenie, że ona i Hilo wrócili do czasów dzieciństwa. Sypiali po przeciwnych stronach korytarza, ciągle spotykali się w kuchni, a ich wypełnione energią aury stykały się ze sobą na podobieństwo przewodów elektrycznych. Żadne z nich nie tknęło pokoju Lana.

– Shae-jen?

Odwróciła się i zauważyła Maik Wen stojącą w korytarzu za nią. Dziewczyna miała na sobie wełniany szlafrok, narzucony na luźną koszulę, i spodnie dresowe, a na nogach klapki. Na pewno przybiegła tu ścieżką łączącą ze sobą oba domy, gdy tylko zauważyła Shae przez okno.

– Czy coś się stało, Wen? – zapytała prognostyczka.

– Nie. – Druga kobieta podeszła bliżej. Jej kroki były szybkie i pełne gracji. – Nie mogłam zasnąć i pomyślałam sobie, że może wypiłabyś ze mną herbatę.

– Może innym razem – odpowiedziała Shae. – Jestem bardzo zmęczona i w tej chwili nie byłabym dobrym towarzystwem.

Ponownie odwróciła się w stronę domu.

Wen położyła dłoń na jej ramieniu.

– Nawet na kilka minut? Zawsze późno wracasz do domu, a później przez godzinę siedzisz

w kuchni ze stertą papierów, zanim położysz się spać. Czy nie mogłabyś choć raz zmienić miejsca? Odnawiam dom i bardzo bym chciała pokazać rezultat innej kobiecie.

Shae zauważyła, że Wen często odwiedza główny budynek. Czasami czekała na Hila, a w innych przypadkach mijała się z nią w drzwiach. Obie kobiety wymieniały ukłony bądź uprzejme słówka w kuchni albo na korytarzu, ale ich rozmowy nigdy nie były dłuższe niż dwadzieścia słów. Shae często nie cieszyła się na jej widok. Trudno jej było zasnąć, gdy musiała blokować Postrzeżenie gwałtownej energii aktu miłosnego, wypływającej z sypialni jej brata.

Myśl, że Wen zwraca uwagę na jej nawyki, zaskoczyła Shae tak głęboko, że zatrzymała się i spojrzała na nią. Druga kobieta uznała to za zgodę, obdarzyła ją ciepłym, enigmatycznym uśmiechem i ujęła ją pod rękę. Najwyraźniej lubiła fizyczną bliskość, podobnie jak Hilo.

– Nasi bracia jeszcze nie wrócili. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby pili gdzieś teraz razem. Czemu nie miałybyśmy postąpić tak samo? – zapytała Wen.

Shae powiedziała sobie, że musi być uprzejma.

– W porządku, skoro nalegasz. – Pozwoliła, by Wen zaprowadziła ją do domu rogu. Dziwnie wyglądały razem: Wen w szlafroku i klapkach stukających o ścieżkę, a Shae w wyjściowej garsonce i czółenkach, pod którymi chrzęścił żwir.

– Ogród to moja ulubiona część całej rezydencji – rzuciła od niechcienia Wen. – Jest wyjątkowo dobrze zaplanowany. Bardzo różnorodny, ale z pewnością nie naćkany. I o każdej porze roku coś w nim kwitnie. Nocami pachnie cudownie. Oczywiście domy też wyglądają imponująco, ale ogród jest wyjątkowo piękny.

Shae, która nigdy nie zwracała zbytnej uwagi na ogród, skinęła głową.

– To prawda, jest ładny.

Wiedziała, że Lan go lubił. Szła, pozwalając, by myśl o bracie pokonała znajomą krótką ścieżkę żałoby i bólu, nim zacznie się rozpraszać.

Wen zerknęła na nią.

– Ja też z początku nie chciałam się tu przeprowadzić. Kłóciliśmy się o to z Hilem. Mieszkanie w Papai nie było zbyt duże, ale urządziłam je tak, jak chciałam, i co miesiąc płaciłam czynsz z własnej kieszeni. Szczerze mówiąc, to było romantyczne, gdy Hilo tam do mnie przychodził. Obawiałam się, że będą mnie tu traktować jak niechcianego gościa, że rodzina będzie mnie lekceważyć. – Wyprostowała się nieco i uniosła podbródek. – Ale jaką wartość ma głupia duma? Ważne jest, by robić to, co jest najlepsze dla ludzi, których kochamy. Postąpiłam słusznie, przenosząc się tutaj. W ogóle tego nie żałuję. Choć dobrze by było mieć jakieś towarzystwo. Wszyscy cały czas są poza domem.

Wen nigdy dotąd nie powiedziała do niej tylu słów naraz. Shae była zaskoczona tym, z jaką swobodą kobieta nawiązuje osobisty kontakt i jak łatwo zauważyła jej niechęć do zamieszkania w rodzinnej posiadłości. Nie była pewna, czy Wen chciała okazać jej empatię, czy udzielić rady. Wybrała prostą odpowiedź.

– Wiem, że Hilo się cieszy, że jesteś tu z nim.

Dotarły do domu rogu. Gdy Wen otworzyła drzwi i weszła do środka, Shae nie mogła się powstrzymać przed pociągnięciem się za prawe ucho. Skarciła się za to w myślach. Kamiennocy nie przynosili pecha. Byli po prostu tworem recesywnych genów, podobnie jak albinosi. Odporność na jadeit nie brała się ze złej karmy, nawet jeśli Wen rzeczywiście pochodziła z nieprawego łoża, jak wszyscy uważali. Niemniej piętno pozostawało piętnem. Shae była przekonana, że istnieje bardziej logiczne wytłumaczenie tego, dlaczego zielone pięści gardzą kamiennookimi. Nikt nie lubił, by mu przypominano, że talent do władania jadeitem, podobnie jak całe życie, jest loterią. Można było pochodzić z rodu kekońskich zielonych kości i mieć go równie mało jak Abukei.

Wen rzeczywiście przebudowała dom. Shae pamiętała, że kiedyś unosił się tu zapach stęchlizny, na podłodze leżały zielone włochate dywany, a ściany pokrywały stare tapety. Narzeczona Hila zastąpiła to wszystko bambusową podłogą, jasnym oświetleniem, tkanymi dywanikami oraz nowymi meblami i sprzętami. Ściany pomalowano na jasne kolory, dzięki czemu pomieszczenia wydawały się obszerniejsze. Shae czuła utrzymujący się zapach świeżej farby, mieszający się z wonią olejku różanego. Poduszki i zasłony miały harmonizujące ze sobą kolory – burgundowy i kremowy. Na stole w kuchni zobaczyła dekoracyjne czarne kamienie i białe jedwabne kwiaty w szklanym naczyniu. Wen nastawiła czajnik.

– Nie potrafię uwierzyć, że to to samo miejsce.

Shae naprawdę była pod wrażeniem.

– A ja nie potrafię uwierzyć, że Hilo tak długo mieszkał w równie obrzydliwym domu – odparła Wen. – A teraz, gdy wygląda przyzwoicie, nie chce tu przychodzić. Mówi, że to dom Kehna, a on nie chce obrazić mojego starszego brata. – Nasypała do dzbanka kuleczek herbaty, a potem rozejrzała się i wzruszyła ramionami. – Kehn i Tar prawie nigdy tu nie bywają, a zresztą dla nich to równie dobrze mogłaby być jaskinia ze słomą na podłodze.

Najwyraźniej Wen włożyła bardzo wiele wysiłku w renowację domu i nie obeszło to nikogo poza nią samą, mimo że miała się stąd wyprowadzić, gdy tylko wezmą z Hilem ślub. Pierwsza myśl, która nasunęła się Shae, była pełna pogardy i zazdrości. „Na pewno ma za dużo wolnego czasu”. Nagle przypomniała sobie z zawstyżeniem, że obiecała Hilowi znaleźć dla Wen jakąś nową, bardziej wymagającą pracę związaną z klanem. Nie zrobiła tego. To zadanie nie miało wysokiego priorytetu, więc o nim zapomniała.

Hilo z pewnością obiecał to narzeczonej. To wyjaśniało, dlaczego nagle zechciała z nią porozmawiać. Westchnęła, zsunęła buty i usiadła na stoliku barowym przy blacie kuchennym.

– Hilo mówił mi, że chciałabyś znaleźć jakąś lepszą pracę. Miałam zamiar wypytać ludzi z klanu, czy mają coś do zaproponowania. Jak wiesz, ostatnie dni były okropnie chaotyczne, ale w przyszłym tygodniu na pewno się tym zajmę. Czy jest coś, co by cię szczególnie pociągało? Pozycja sekretarki w innej firmie?

Ku jej zaskoczeniu Wen nie okazała zainteresowania.

– Matka mówiła mi, że jako kamiennooka potrzebuję praktycznych, użytecznych umiejętności, jak pisanie na maszynie. Dzięki nim zawsze będę mogła znaleźć pracę. – Ogrzała wrzątkiem czajniczek i filiżanki, wylała wodę, nalała nowej i zostawiła herbatę, żeby się zaparzyła. – Większość ludzi nie obawia się zbytnio pecha, gdy chodzi o osoby pracujące na niskich szczeblach, na których nie stykają się z klientami ani z wielkimi sumami pieniędzy. No wiesz, potrafię wystukać sto słów na minutę.

Uniosła kąciki ust w lekkim uśmiešku i odwróciła się, by przeszukać spiżarnię.

– Jak rozumiem, nie tym pragniesz się zajmować – odparła Shae.

Wen zwróciła się w jej stronę. W dłoni trzymała butelkę.

– Espeńska cyjamonowa whisky – oznajmiła. Nalała herbaty do dwóch filiżanek i dodała do nich trochę trunku. – Bardzo dobrze się zgadza z posmakiem wędzonej herbaty gunpowder. Zastanawiałam się czy polubiłaś espeńskie trunki podczas pobytu za granicą.

Studenci w Windton pili raczej tanie piwo z nalewaka, ale Shae skinęła głową na znak podziękowania, wzięła filiżankę i pociągnęła łyk. Wen miała rację, jeśli chodzi o smak. Czego chce ode mnie ta kobieta? Nie ulegało wątpliwości, że Wen o coś chodzi. Myślała o Shae znacznie częściej niż Shae myślała o niej. A może zawsze była taka spostrzegawcza?

Nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie Maik Wen. Mogła zapomnieć o tym, że dziewczyna jest kamiennooką, ale trudno jej było zaakceptować fakt, że Hilowi wolno było z nią żyć, a ona nie miała prawa spotykać się z cudzoziemcem. Gdyby ktokolwiek zechciał zauważyć w Jeraldzie coś więcej niż jego szotarskie pochodzenie i espeński mundur, dowiedziałyby się, że wywodzi się z szanowanej rodziny. Natomiast Maikowie mieli paskudną reputację.

O ile to, czego dowiedziała się Shae, było prawdą, matka Wen przed laty wywołała skandal, zachodząc w ciążę i uciekając od należącej do klanu Bez Szczytów rodziny do swego chłopaka z Góry. Po kilku latach Maik Bacu został oskarżony o zbrodnię przeciwko klanowi i skazany na śmierć. Nikt z klanu Bez Szczytów nie wiedział, co się właściwie wydarzyło, ale krążyły plotki, że zamordował ważnego latarnika, którego podejrzewał o sypianie ze swoją żoną. Wdowa zabrała dwóch synów oraz nienarodzoną córkę i uciekła do krewnych z klanu Bez Szczytów, by błagać, żeby przyjęli ją z powrotem. Kaul Sen pozwolił na to z niechęcią, ale bracia Maik nie mieli ojca i budzili powszechną litość, a gdy Wen okazała się kamiennooką, na całą rodzinę spadła nieodwołalna hańba. Shae podsłuchiwała kiedyś, jak jej dziadek mówił: „Maikom nie można ufać. Cały ich ród jest impulsywny i niewierny”.

Hilo zlekceważył te słowa.

– To fatalistyczne pieprzenie. Los nikogo nie skazuje na podążanie tą samą ścieżką, co jego rodzice.

Zaprzyjaźnienie się z Maikami, gdy wszyscy inni się od nich odwrócili, okazało się dla Hila bardzo korzystne. Shae czuła się sfrustrowana tym, że nie potrafi określić, do jakiego stopnia jej brat był w takich sprawach interesowny. Czy sądził, że małżeństwo z Wen zapewni mu lojalność Kehna i Tara? A może zakochał się w niej, w ogóle o tym nie myśląc?

Przyjrzała się drugiej kobiecie. Wen właściwie nie była piękna, ale Shae potrafiła zrozumieć, dlaczego Hilo czuł do niej pociąg. Była opanowana i tajemnicza, jej spokój budził zainteresowanie, nawet jeśli sprawiała wrażenie, że go nie szuka. Rozmawiała z prognostyczką łagodnym, skupionym głosem i najwyraźniej niewiele umykało jej uwagi.

Okrążyła blat kuchenny i usiadła na stołku obok Shae.

– Shae-jen, jesteś prognostyczką – zaczęła z powagą, dotykając dłonią jej kolana. – Jakie zadanie, które mogłabyś mi zlecić, najbardziej pomogłoby klanowi w tej chwili?

Shae nie spodziewała się takiego odwrócenia ról. Zaciśnęła usta. Nie lubiła, gdy znieściana zadawano jej pytanie, na które powinna znać odpowiedź.

– Pomogło w czym? – zapytała.

– Pomogło tobie i Hilowi wygrać wojnę – odparła Wen.

Prognostyczka zamieszała herbatę w filiżance.

– Wojna toczy się między zielonymi kośćmi.

– Tak właśnie mówi Hilo – sprzeciwiła się Wen. – Mimo że to nie chroni mnie nawet w najmniejszym stopniu. Jeśli Góra wygra, zabije mojego narzeczonego. Moi bracia są jego rogiem i filarowym, a na dodatek synami zdrajcy z Góry. Oni również zginą. Chociaż jestem kamiennooką, mogę stracić w tej wojnie wszystkich, których kocham. Czy mam marnować cenny czas prognostyczki, prosząc ją, by znalazła mi pozbawioną znaczenia pracę polegającą na obsłudze ksero i pisaniu na maszynie notatek służbowych w gabinecie jakiegoś pomniejszego latarnika? – Wen uniosła brwi. – Czy powinnam z radością przyjąć taką pracę?

Shae pomyślała o innych kobietach, które w swoim czasie mieszkały w rezydencji Kaulów. O swojej babci, matce i o żonie Lana, Eyni.

– Będiesz żoną filaru – odpowiedziała. – Nikt od ciebie nie oczekuje, żebyś pracowała, a tym bardziej zajmowała się sprawami klanu. Zwłaszcza że jesteś kamiennooką.

– Oczekiwania to dziwna sprawa – zauważyła Wen. – Kiedy są twoim dziedzictwem, walczysz z nimi i sprzeciwiasz się im. Ale gdy nikt niczego od ciebie nie oczekuje, odczuwasz ich brak przez całe życie.

Wen dopiła herbatę, wzięła butelkę i nalala sobie whisky do filiżanki. Następnie wypila ją jednym haustem. Shae zauważyła w jej ruchu nagłą ostrość. Uświadomiła sobie, że w ogóle nie zna tej kobiety.

– Pozwól mi dla ciebie pracować. Shae-jen – poprosiła przyszła żona filaru. – Nad czymś, co pomoże nam wygrać wojnę.

– W biurze prognostyka są wolne posady... – zaczęła z namysłem Shae. – Ale nie sądzę, byś miała potrzebne wykształcenie.

– Jaka jest najbardziej użyteczna rola, jaką mogą grać w klanie kamiennooky?

Shae знаła odpowiedź na to pytanie. W gruncie rzeczy ta niepokojąca myśl nasunęła się jej już przedtem. Mimo to minęła długa chwila, nim spojrzała w oczy Wen i odpowiedziała:

– Biały szczur.

– Czy przydałby ci się biały szczur, Shae-jen?

Prognostyczka zorientowała się, że druga kobieta prowadzi ją na niebezpieczne terytorium. Musi kroczyć ostrożnie, jakby szła przez bagno. Kamiennooky mogli bezpiecznie dotykać dowolnej ilości jadeitu i transportować go, nie produkując aury. W przeciwieństwie do Abukei, którzy byli dyskryminowani i traktowani ich z podejrzliwością, nie różnili się wyglądem od zwyczajnych kekońskich obywateli. Jeśli kamiennooki został białym szczurem, rzeczywiście mógł być bardzo użyteczny jako szpieg, przemytnik, posłaniec albo złodziej. To był kolejny powód, dla którego im nie ufano.

– Jesteś za dobrze znana – sprzeciwiła się Shae.

– Tylko z nazwiska i wyłącznie w klanie Bez Szczytów. Nikt w Górze nie wie, kim jestem, i nikt nie potrafiłby mnie rozpoznać. Znają moich braci, ale ja nie jestem do nich podobna.

Nie zawahała się nawiązać do swego niepewnego pochodzenia.



– Hilo nigdy na to nie pozwoli.

– To prawda – zgodziła się Wen. – Nie może się dowiedzieć. Będę potrzebowała innej pracy, jakiejś prostej, jako przykrywki. Jestem pewna, że możesz mi znaleźć coś takiego.

– Jesteś gotowa okłamywać przyszłego męża. – Shae nie była w stanie ukryć zdumienia. – Prosisz mnie, jako prognostyczkę, żebym sprzeciwiła się życzeniom filaru. Jeśli się zgodzę, narażę cię na niebezpieczeństwo. Pozbawię cię osłony *aisho*.

Z pełnych ust i ciemnych oczu Wen można było wyczytać wyrzuty sumienia.

– Shae-jen, zostałam prognostyczką po to, by zrobić przyjemność filarowi, czy po to, by uratować klan? – Uśmiechnęła się smutno, by zasygnalizować, że zna odpowiedź na to pytanie, po czym znowu odwróciła twarz. – Hilo był świetnym rogiem – podjęła nieco ciszej. – Jest uczciwy i wojowniczy. Jego ludzie go uwielbiają. Gdyby samo serce wystarczało do zwycięstwa w wojnie, już byśmy wygrali. Ale nie urodził się, by zostać filarem. Nie jest dalekowzroczny i brak mu politycznego sprytu. Cały jadeit na świecie nie mógłby tego zmienić.

Ponownie spojrzała na Shae, wyraźnie skonsternowaną tą szczerą oceną.

– Wie, że potrzebuje twojej pomocy. Jeśli mogę być dla ciebie użyteczna jako biały szczur, zrobię wszystko, co będę mogła, by pomóc rodzinie przetrwać. Zapewnia, że za bardzo mnie kocha, by pozwolić mi uczestniczyć w wojnie w jakikolwiek sposób... a ja za bardzo go kocham, żeby go posłuchać.

Było już około pierwszej w nocy, ale Shae w ogóle nie chciało się spać. Jej umysł rozważał kolejne przerażające możliwości. Rozejrzała się z uwagą po odnowionym otoczeniu. Kilka tygodni wystarczyło Wen, by całkowicie przebudować dom. Zręczne połączenie obrazów, zapachów i wrażeń dotykowych nadało gładki, przyjemny wygląd temu, co przedtem było brzydkim, ale autentycznym domostwem najbardziej gwałtownych ludzi w klanie Bez Szczytów. Uświadomiła sobie, że błędnie oceniała Maik Wen. Widziała jej ciepłe, uległe i zmysłowe zachowanie i nie dostrzegała siły zielonej kości ukrywającej się pod piętnem kamienookiej. Zapomniała, że ma do czynienia z siostrą wojowniczych braci Maik. Resentyment, który czuła przedtem, ustąpił miejsca niepewności.

Dwie silne kobiety w męskim świecie, pomyślała. Jeśli szybko nie staniemy się sojuszniczkami, będziemy skazane na nieubłaganą rywalizację. Shae była przyzwyczajona do dyskretnego sprzeciwiania się życzeniom Hila, wiedziała jednak, że tego nigdy jej nie wybaczy.

Będzie musiała dobrze przemyśleć całą sprawę i zachować maksymalną ostrożność.

Wen wyjęła pustą filiżankę z jej rąk i wstała.

– Zabrałam ci już wystarczająco wiele czasu i nie pozwoliłam ci spać, Shae-jen.

Shae uświadomiła sobie, że na bosaka Wen jest wyższa od niej, a jej ciało ma krągłości, których ją pozbawiły lata intensywnych ćwiczeń.

Wstała.

– Dziękuję, za herbatę, Wen. Wkrótce porozmawiamy znowu.

Ruszyła ku wyjściu, wkładając po drodze buty. Gdy otworzyła drzwi, do środka napłynęła delikatna woń kwitnącej zimą śliwy. Zatrzymała się na moment i zerknęła za siebie. W blasku padającego ze środka światła rzucała długi cień na ganek domu rogu.

– Chyba się okazało, że mój brat ma lepszy gust, niż mi się zdawało – wyznała.

– Dobranoc, siostrze – odparła z uśmiechem Wen.

## Rozdział 44

### Powrót do Dobrych Towarów

Bero myślał o tunelu prowadzącym do Dobrych Towarów. Myślał o nim bardzo często i zawsze wypełniał go wtedy gorący gniew. W Janloonie wybuchła wojna z powodu śmierci Kaul Lana – dzięki niemu! – i każdego dnia na ulicach zdobywano i tracono jadeit, ale on nawet się nie zbliżył do choć jednego kamyka dla siebie. Musiał uciekać i ukrywać się jak karaluch, gdy włączono światło.

Ale nie uciekł daleko. Szedł przez ciemność bez końca, przy każdym kroku zadając sobie pytanie, czy baterie się wyczerpią, co skazałoby go na błądzenie w mroku, aż umrze ze zmęczenia. Wreszcie poczuł na twarzy lekki powiew, przynoszący ze sobą woń portu – słona woda i opary paliwa, ryby i wilgotne śmieci. Po wietrzyku pojawił się odległy krąg światła wieczoru. Bero popędził ku niemu, jakby ujrzał swą nieżyjącą matkę. Zgodnie z zapewnieniami Mudta tunel wychodził na powierzchnię pod skarpą nieopodal estakady w Parku Letnim. Podczas intensywnych wiosennych deszczy albo letnich tajfunów zalewała go woda, ale w suchym sezonie zimowym stawał się znakomitą trasą dla przemysłowców. Brudny i zmęczony Bero zapłacił za przewóz małym prywatnym promem, ale nie skorzystał z rady Mudta i nie uciekł z Janloonu.

Przez kilka tygodni ukrywał się na Małym Guziku. Wyspę dzieliło od miasta tylko czterdzieści pięć minut żeglugi promem. Oficjalnie nie była częścią Janloonu, ale w pogodny dzień Bero widział miasto położone po drugiej stronie cieśniny. Przez wiele stuleci znajdował się tu klasztor bogowierców, ale Szotarczycy zmienili go w obóz pracy, a teraz stał się atrakcją turystyczną. Była tu zrekonstruowana świątynia, rezerwat przyrody oraz malownicze miasteczko pełne sklepów, w których sprzedawano przesadnie drogie bibeloty oraz wyroby rękodzielnicze. Bero jej nie znosił.

Była jednak świetną kryjówką. Na wyspie roiło się od janloońskich wycieczkowiczów i zagranicznych gości. Bez trudu znalazł pokój w motelu, w którym mógł czekać w samotności i przygnębieniu, aż zagoją się rany zadane jego ciału i dumie, oglądać telewizję, zamawiać jedzenie na wynos i planować powrót do miasta. Małym Guzikiem władał niewielki rodzinny klan, będący lennikiem Góry. Niemniej, o ile Bero potrafił się zorientować, janloońskie klany z reguły zostawiały go w spokoju. Na wszelki wypadek przenosił się co tydzień do nowego motelu, by nie przyciągać zbyt dużej uwagi.

Z wiadomości dowiedział się, że w całym mieście szaleje uliczna przemoc, a w niektórych jego częściach nie było jasne, czy panuje nad nimi Góra, klan Bez Szczytów, czy może żaden z nich. Góra zdobyła sporą część Dzielnicy Portowej, ale klan Bez Szczytów nadal sprawował rządy nad Pachą i podbił większość obszaru Sogen. Bero nie miał pojęcia, jak wygląda sytuacja w Mieście Rybaków. Nie był w Janloonie od przeszło miesiąca. Wszędzie panował chaos i z pewnością nikt go nie szukał. Pewnego pogodnego poranka udał się do przystani i wsiadł na prom.

Uważał, że winni sytuacji, w której się znalazł, są Mudt i zielona kość z bródką. Okłamali go. Obiecali mu jadeit, a potem złamali słowo. Nigdy nie mieli zamiaru przyjąć go do klanu. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większy gniew go ogarniał. Myślał też o tunelu prowadzącym do sklepu Mudta i o ukrytych pod nim skrzynkach. Pośpiech i panika nie pozwoliły mu wtedy przyjrzeć się im ani ich ukraść. Po raz kolejny miał ochotę walnąć się w czoło. Cały jego pech brał się z nadmiernego pośpiechu. Co było w tych skrzynkach?

Wiedział, gdzie może zdobyć jadeit, który słusznie mu się należał. Odbierze go Mudtowi. Nie miał już fullertona i bardzo tego żałował, ale nie brakowało mu pieniędzy. I choć posiadanie broni przez cywilów, formalnie rzecz biorąc, nie było w Janloonie legalne, podczas chaosu spowodowanego wojną klanów łatwo było ją kupić na czarnym rynku. Berowi wystarczyło jedno popołudnie spędzone w kontrolowanej przez Górę części Dzielnicy Portowej, by znaleźć dla siebie porządny rewolwer. Miał zamiar wziąć syna Mudta jako zakładnika i zażądać jadeitu. Jeśli się nie uda, zabije lichwiarza i sam sobie weźmie to, czego pragnął.

Gdy jednak dotarł wieczorem do Dobrych Towarów, spotkała go niespodzianka. W sklepie panowała ciemność, a drzwi były zamknięte. Wielki baner zerwano i nigdzie nie było widać żywej

duszy. Bero podszedł ostrożnie do okna i zajrzał do środka. Wszystko zostało zniszczone. Sklep ograbiono. Półki były puste, a meble przewracane. Większość towaru zniknęła, a to, co rabusie zostawili, leżało na podłodze – tylko bezużyteczny syf, jak stare czasopisma i słomiane kapelusze.

Bero kopnął drzwi wejściowe i zaczął szarpać gniewnie za kłódkę. Rozejrzał się. Na ulicy nikogo nie było. Okolica znajdowała się bardzo blisko granicy między Junko a Grottem i nikt o zdrowych zmysłach nie miałby ochoty się tu wałęsać. Walnął kilka razy pięścią w wychodzące na chodnik okna, aż się zatrzęsły.

– Nie słyszałeś?! – zawołał bezdomny na rogu, jedyna osoba na zwykle ruchliwym skrzyżowaniu. – Mudt nie żyje, keke!

Bero zwrócił się w jego stronę.

– Nie żyje? A kto go zabił?

Mężczyzna rozciągnął usta w bezzębnym uśmiechu, wyglądając spod swoich koców. Wzruszył ramionami i zachichotał.

– Sam się zabił! Noszenie jadeitu to teraz samobójstwo!

Bero znalazł ciężki kamień i rozbił jedno z okien Dobrych Towarów. Hałas był okropny, ale w okolicy nie było nikogo poza żulem. Usunął kopniakiem odłamki szkła i z wielką ostrożnością wlał do zniszczonego sklepu. Kipiała w nim dziwna mieszanina rozczarowania i nadziei. Mudt zniknął i jego jadeit razem z nim. Ktoś uprzedził Bera. No, ale tego należało się spodziewać, czyż nie tak? Zawsze coś musiało się wydarzyć. Los uśmiechał się do niego, pokazywał mu upragnioną nagrodę, a później ją odbierał. Szczęście i pech, to był cały on. Tym razem być może znowu wygra szczęście. Być może. Być może.

Pomieszczenie na zapleczu było otwarte. Szuflady wyposażonej w kółka szafki na dokumenty zostały wysunięte. Ich zawartość wyciągnięto i rzucono na podłogę w szalonym poszukiwaniu gotówki i kosztowności, ale samego ustrojstwa nie ruszono z miejsca. Serce podeszło Berowi do gardła. Oparł się całym ciężarem o szafkę i odepchnął ją. Po ciemku pomacał dywan i znalazł szparę. Odciągnął go na bok, odsłaniając klapę, przez którą uciekł przed pięcioma tygodniami.

Zamknął drzwi pokoiku i zablokował je szafką. Pociągnął za sznurek i zapalił jedyną żarówkę wiszącą u sufitu. Następnie szarpnął za metalowy pierścień. Kłapa uniosła się z głośnym zgrzytem. W powietrze wzbil się obłoczek kurzu. Bero był tak podekscytowany, że aż dopadły go mdłości. Zszedł ostrożnie na dół.

Skrzynie i pudełka nadal tam były, nietknięte przez złodziei. Uniósł jedno ze stojących na wierzchu pudełek, postawił je na schodach, przeciął taśmę klejącą scyzorykiem i wybałuszył oczy na widok tego, co znalazł.

Potem przeniósł spojrzenie na wielką stertę pojemników. Jak Mudt zdołał zgromadzić to wszystko? Z pewnością nie dostał tego od zielonej kości z bródką, który przyniósł mu tylko mały pakiet, tego wieczoru, gdy Bero spotkał go po raz pierwszy. Na pewno był dilerem. Na twarzy chłopaka pojawił się szeroki uśmiech. Bero wyjął jedną szczelnie zamkniętą buteleczkę z otwartego pojemnika stojącego przed nim.

Błysk. Tyle błysku, że wystarczyłoby mu na całe życie. I wszystko to należało teraz do niego.

Drżącymi z chciwości dłońmi Bero wepchnął do kieszeni tyle fiolek, ile tylko zdołał tam zmieścić. Następnie ustawił na wpół opróżnione pudełko z powrotem na miejscu, obejrzał się jeszcze na nie pożądliwie i wrócił na górę. Zamknął klapę, zasłonił ją dywanem i przetoczył szafkę na kołach dokładnie w to samo miejsce, w którym stała wcześniej. Wreszcie zgasił światło i wrócił do zdemolowanego sklepu. Kieszenie miał wypchane, a jego umysł pracował gorączkowo. Wkrótce ktoś zapewne obejmie ten budynek w posiadanie. Musi przenieść swój skarb w jakieś bezpieczniejsze miejsce, do którego będzie mógł łatwiej dotrzeć...

Nagle usłyszał za plecami jakiś hałas. Po jego barkach przesunął się snop światła latarki. Bero poderwał się i odwrócił błyskawicznie w ciemności. Wyciągnął rewolwer i wycelował w twarz trzynasto- może czternastoletniego chłopaka. To był syn Mudta.

– Co tu robisz?! – krzyknął Bero.

– Myślałem, że to on. Że wrócił po mnie – zawołał chłopak piskliwym, nerwowym głosem. Ścisnął w dłoni tani, składany karambit, tak mocno, że zbiełały mu kostki. Nadal kierował snop światła na Bera. Obaj gapili się na siebie.

– Kto miałby po ciebie wrócić?

Bero mocno trzymał palec na spuście rewolweru. Nie chciał, żeby dzieciak poinformował kogokolwiek o jego powrocie do miasta albo żeby wpadł mu do głowy pomysł, że zapas błysku pozostały po zabitym ojcu należy do niego, a nie do Bera.

Młodszy Mudt drżał. Słaby snop światła jego latarki kołysał się na boki. Jednakże, gdy przemówił, w jego głosie brzmiała dzika nienawiść.

– Maik. Zabił mojego tatę. Maik Tar zabił mojego tatę i zemszczę się na nim, nawet jeśli to będzie ostatnie, co zrobię w życiu!

Z jego oczu popłynęły łzy.

Bero nadal nie cofnął palca ze spustu, ale zawahał się i opuścił powoli rewolwer.

– Trudno jest zabić naprawdę potężną zieloną kość – zauważył.

– Nie szkodzi. Zrobię wszystko, co będzie trzeba!

Chłopak opuścił latarkę i karambit. Dyszał ciężko, łypiąc ze złością na Bera, jakby chciał go sprowokować do wyrażenia sprzeciwu. Policzki miał zaczerwienione, a w jego oczach widniało szaleństwo.

– Już to kiedyś zrobiłem – oznajmił Bero z nagłym przyływem dumy. – Zabiłem zieloną kość. Nikt się nie domyślał, że potrafię to zrobić, ale wszyscy się mylili.

Młodszy chłopak otworzył szeroko oczy. Gdy Bero przedtem go spotykał, nie zwracał na niego zbyt wiele uwagi. Syn Mudta robił wrażenie posłusznego i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był chudy, miał przetłuszczone włosy i nieco szczerzący twarz. Nie był jednak takim tchórzem, jak Sampa czy Pyskaty.

Bero doszedł do wniosku, że nie powinien działać sam. Los był jak tygrys spotkany na drodze. Lepiej mieć coś, co odwróci jego uwagę. Gdy coś mu się naprawdę nie udawało, zawsze towarzyszył mu ktoś mniejszy i słabszy, kto przyciągnął do siebie pecha.

– Nie boję się zielonych kości – zapewnił. – No wiesz, to one powinny się bać nas. Zabiły twojego tatę, bo boją się ludzi spoza klanów noszących jadeit. Musimy zdobyć trochę jadeitu dla siebie, keke.

– Tak – zgodził się z pasją Mudt. – Tak, masz rację.

– A ja wiem, gdzie można go znaleźć.

Snop światła latarki uniósł się nagle.

– Naprawdę? – zapytał Mudt.

## Rozdział 45

### Żart dla obu stron

Hilo oddał broń jednej z umundurowanych zielonych kości strzegących wejścia do Gmachu Mądrości. Gdy się zbliżył, aurę młodej kobiety wypełniły nuty intensywnego skupienia. Członków Tarczy Haedo uczono ponoć Postrzegania na nadzwyczaj wysokim poziomie, by mogli wykrywać mordercze zamiary. Strażniczka będzie jednak musiała obniżyć standardy Postrzeganej wrogości, jeśli miała wpuścić dziś kogokolwiek do budynku. Hilo uśmiechnął się na tę myśl. Zdjął z pleców guan dao, odpiął od pasa karambit i wyjął z kabury pistolet, po czym położył je na stoliku przed wykrywaczem metalu. Nie chodziło o to, że wątpił w umiejętności strażniczki albo nie rozumiał motywów nakazu zostawiania broni przed salą, w której miały się odbywać negocjacje. To po prostu nic nie da. Ludzie, którzy się tu dziś zjawili, nosili mnóstwo jadeitu. Jeśli rokowania się załamią, uczestniczące w nich zielone kości z łatwością będą mogły pozabijać się nawzajem gołymi rękami.

Nie zrobią tego jednak, jeśli będzie tam z nimi pokutnik, a dzisiaj do sali, w której miały się odbyć negocjacje między klanami, sprowadzono aż troje. Najwyraźniej Rada uznała, że dobrze będzie potroić duchowe zabezpieczenia. Pokutnicy – jeden mężczyzna i dwie kobiety – stali spokojnie w kątach sali Pochylali ogolone głowy, a dłonie skrywali w rękawach długich, zielonych szat. Użycie przemocy było zabronione nie tylko w bogowierczych świątyniach, lecz wszędzie, gdzie znajdował się choć jeden z nich. Według bogowierców utrzymywali oni bezpośredni kontakt z niebem. Dlatego bogowie wiedzieli, kto sprzeciwił się Boskim Cnotom, i natychmiast wymierzali mu karę. Pokutnicy byli szpiegami nieba. Potępienie czekało nie tylko duszę grzesznika. Gdy nadejdzie dzień Powrotu, całemu jego rodowi – przodkom, rodzicom, dzieciom i potomkom – odmówi się wstępu do nieba. Wszyscy staną się wygnańcami, przez całą wieczność wędrującymi po opustoszałej Ziemi.

Wczoraj Hilo zasugerował Shae, że warto było narazić się na hipotetyczną karę w przyszłym życiu, gdyby tylko im dwojgu udało się zabić siedzącą za stołem naprzeciwko nich Ayt Madę.

Obrzuciła go zdumiewająco zimnym spojrzeniem.

– Bogowie są okrutni, Hilo – odparła, jakby znała ich osobiście. – Nie kuś ich swą arogancją.

W sali znajdowało się dwoje drzwi, by Hilo i Ayt nie musieli nawet iść do niej tym samym korytarzem. Wszedł do środka, spoczął na ostatnim krześle i przywitał skinieniem głowy dwunastu członków Rady Książęcej, którzy siedzieli po obu stronach stołu jako komitet mediacyjny. Wyglądali bardzo oficjalnie w ciemnych garniturach. Trzymali drogie wieczne pióra nad żółtymi notatkami.

Czworo członków komitetu należało do klanu Bez Szczytów – pan Vang o poważnym wyglądzie, białowłose pan Loyi, pani Nurh o pociągłej twarzy oraz wiecznie uśmiechnięty pan Kowi o głowie w kształcie rzepy. Hilo rozpoznał ich wszystkich dzięki informacjom, jakie wczoraj wieczorem przekazał mu Woon. Były filarowy był pracowitym człowiekiem i okazał się bardzo użyteczny w biurze prognostyka. Hilo cieszył się, że darował mu życie. Nie winił go za śmierć Lana – nie w większym stopniu niż samego siebie – ale cieszył się, widząc, że dręczące Woon wyrzuty sumienia motywują go do pracy dla klanu.

Czworo kolejnych obecnych na sali polityków było wiernych wobec Góry, ostatnia czwórka zaś nie była związana z żadnym z klanów. Hilo nawet dotąd nie wiedział, że istnieją politycy pozbawieni klanowej lojalności, których można było po prostu kupić.

– Spośród trzystu członków Rady jest czternastu niezależnych i dwóch powiązanych z pomniejszych klanami – wyjaśniła mu Shae. – Staraj się pamiętać takie rzeczy.

Miejsce u drugiego końca stołu było puste. Ayt jeszcze się nie zjawiała. Hilo spojrzął na zegarek, po czym oparł się wygodnie na krześle i uśmiechnął do zgromadzonych. Wszyscy najwyraźniej nie przejmowali się opóźnieniem.

– Ayt-jen na pewno zatrzymała się, żeby zarysować mi karoserię.

Niektórzy z siedzących przy stole zachichotali nerwowo. Pan Loyi uśmiechnął się półgębkiem, a pan Kowi roześmiał się w głos, ale Vang i Nurh nie sprawiali wrażenia zadowolonych. Większość obecnych, bez względu na klan, spojrzała na Hila z mieszaniną nerwowego szacunku i skrywanej pogardy. Nie wiedzieli, co sądzić o tym młodym, drapieźnym filarze. Hilo również nie był o nich zbyt dobrego zdania. Marionetki sterowane przez marionetki.

Aura siedzącej na lewo od niego Shae nagle stała się głośniejsza w jego umyśle. Siostra zastukała piórem w ramię krzesła, jakby chciała mu przypomnieć, że są tu po to, by zyskać przychylność Rady, a nie ją stracić.

Wtem zapadła cisza. Politycy, którzy do tej pory rozmawiali ze sobą szeptem, umilkli i wyprostowali się. Hilo dopiero po krótkiej chwili zorientował się, że to on jest przyczyną tej reakcji. Zamarł, wpatrując się w pustkę, podczas gdy jego Postrzeganie sięgnęło za ściany. Ayt Mada i jej prognostyk weszli do budynku. W tej chwili zmierzali w stronę sali. Aura Ayt była mroczna, gęsta i płynna, jak lawa zbliżająca się z każdą chwilą. Emanowała spokojną, nieubłaganą wrogością, w oczywisty sposób skierowaną na Hila. Z pewnością go Postrzegała, a intensywność tej długiej wymiany mentalnych spojrzeń była tak wielka, że gdy po jakiejś minucie Ayt weszła do sali, Hilo odnosił wrażenie, że nie zostało właściwie nic do powiedzenia. Wszystko, co miało się dzisiaj wydarzyć, już się wydarzyło. Reszta będzie tylko bezsensownym gadaniem.

Zgodnie z jego oczekiwaniami fizyczny wygląd Ayt był właściwie nieistotny w porównaniu z wrażeniem robionym przez jej aurę. Była ubrana na czarno, pomijając tylko kremowy blezer. Nie miała torebki, biżuterii ani makijażu. Sprawiała wrażenie lekko rozbawionej widokiem czekających na nią ludzi. Zasiadła na krześle naprzeciwko Hila, a niski Ree Tura o ulizanych włosach zajął miejsce za jej lewym barkiem.

– Dobry wieczór, radcy – odezwała się Ayt.

– Witaj, Ayt-jen.

Politycy związani z Górą przywitali ją skinieniem głów. Nie ulegało wątpliwości, że darzą ją szacunkiem większym, niż radcy z klanu Bez Szczytów darzyli swój filar. Wargi Hila zadrżały lekko. Nie spuszczał wzroku z Ayt Mady. Po jej przybyciu atmosfera w sali zmieniła się wyraźnie. Przedtem wyczuwało się profesjonalne oczekiwanie, teraz zaś napięcie poprzedzające coś, co było nieuniknione – jak naciągnięta cięciwa, nóż na chwilę przed tym, nim uderzy, albo przestrzeń między młotkiem a gwoździem. Wyczuwali to nawet politycy pozbawieni zdolności Postrzegania.

Przewodnicząca komitetu, kobieta nazwiskiem Onde Pattanya, jedna z nielicznych niezależnych radców, wykazała się sporą odwagą, wstając i rozpoczynając spotkanie.

– Szanowne zielone kości i członkowie Rady Książęcej, zebraliśmy się dziś w Gmachu Mądrości, w dobrej wierze i w duchu Boskich Cnót, pod czujnym spojrzeniem bogów... – zerknęła znacząco na stojących w kątach pokutników – ...a także pod auspicjami Jego Niebiańskości, księcia Ioana Trzeciego.

Pokłoniła się portretowi suwerena, wiszącemu na ścianie.

– Oby żył trzysta lat – wyszeptali zgodnie ze zwyczajem wszyscy obecni.

Hilo spojrział na olejny portret i stłumił drwiący uśmiešek. Na obrazie przedstawiono dostojnego młodego mężczyznę o gęstych brwiach, odzianego w tradycyjną długą szatę noszoną przez kekońską szlachtę. Siedział na szerokim, wyściełanym krześle, jedną rękę położył na skrytym w pochwie guan dao spoczywającym na jego kolanach, w drugiej zaś trzymał wachlarz palmowych liści, symbolizujący rolę monarchy jako wojownika i rozjemcy.

To był archaiczny symbolizm. Guan dao tradycyjnie było bronią zielonych kości i Hilo był pewien, że książę nigdy w życiu się nim nie posługiwał. Członkom kekońskiej rodziny Książęcej zabraniano noszenia jadeitu. To prawo zapisano w konstytucji, po przywróceniu monarchii po wojnie wielu narodów, gdy Kekon uniezależnił się od Imperium Szotarskiego. W rzeczywistości książę wyglądał znacznie mniej majestatycznie. Hilo widywał go podczas publicznych uroczystości noworocznych bądź innych ważnych świąt. W rezydencji Kaulów wisiała też wielka, oprawiona w ramki fotografia przedstawiająca monarchę wręczającego Kaul Senowi jakiś order za zasługi dla państwa. Książę Ioan III cieszył się popularnością jako symbol jedności Kekonu i jego historii, był jednak figurantem, człowiekiem żyjącym w finansowanym przez państwo luksusie, którego obowiązki były czysto ceremonialne. Jego wspaniały portret był obecny w sali, ale on nie. Ioan III tylko udzielał błogosławieństwa Radzie Książęcej, która reprezentowała naród i uchwałała prawa. Dziewięć-

dziesiąt pięć procent radców było powiązanych z klanami i finansowali ich potężni latarnicy. Prawdziwa władza w Janloonie, a co za tym idzie w całym kraju, spoczywała w rękach klanów. W rękach dwojga filarów, których wzajemna nienawiść przesyciała aurę w sali jak intensywny odór.

– Pozwólcie, że zacznę od wyrażenia uznania Ayt-jen i Kaul-jenowi oraz ich prognostykom za to, że zdecydowali się na ważny krok, przybywając tutaj i okazując gotowość rozwiązania konfliktu za pomocą negocjacji, a nie przemocy – podjęła radczyni Onde. – W imieniu całej Rady Książęcej daję wyraz szczerzej nadziei, że wkrótce uda się osiągnąć porozumienie, które przywróci w mieście pokój. Rozmowy zaplanowano na pięć dni, ale wszyscy członkowie komitetu są gotowi zostać tutaj tak długo, jak będzie trzeba, by pomóc w osiągnięciu rozwiązania możliwego do przyjęcia dla obu stron. Oczywiście jeszcze lepiej będzie, jeśli uda się nam osiągnąć je wcześniej – dodała z optymistycznym uśmiechem.

Hilo pomyślał z przygnębieniem o tym, ile czasu tu zmarnuje, nie mogąc uczestniczyć w bitwach o kluczowym znaczeniu toczących się w mieście. Kiedy siedział tutaj, działaniami wojennymi dowodził Kehn, a choć Hilo wierzył w swój róg, oszukiwałby sam siebie, gdyby nie przyznał, że Gont jest lepszy od braci Maików zarówno jako strateg, jak i jako wojownik. Ayt mogła sobie pozwolić na to, żeby tu siedzieć, ale on nie.

– Zacniemy od oświadczeń obu stron – kontynuowała Onde. – Rzut monetą rozstrzygnął, że pierwsza przemówi filar Góry, Ayt-jen.

Radczyni usiadła i wzięła w rękę pióro.

Ayt pozwoliła na chwilę ciszy, o mgnienie oka za krótką, by wywołać nerwowość.

– Głęboko zasmuca mnie fakt, że rozłam między dwoma wielkimi klanami tego kraju doprowadził do rozlewu krwi – zaczęła spokojnym, wyraźnym głosem, kojarzącym się Hilowi z wykładawcami z Akademii. – Jednakże mój ojciec, niech bogowie obdarzą go uznaniem, nauczył mnie, że obowiązkiem zielonych kości jest bronić zwykłych ludzi i otaczać ich opieką. Kiedy tym, którzy na nas polegają, zagraża niebezpieczeństwo, nie mamy innego wyboru jak zareagować.

Wyciągnęła rękę do prognostyka, który natychmiast podał jej kartkę.

– Już od dawna przesadnie agresywna taktyka klanu Bez Szczytów przynosiła szkody szanowanym obywatelom i zagrażała ich źródłom utrzymania. Dla użytku komitetu Ree-jen przygotował listę zawierającą zaledwie kilka przykładów. – Wskazała na trzymaną w dłoni kartkę. – Budowa kasyna Królestwo Szczęścia opóźniła się o trzy miesiące z powodu sabotażu, którego dokonano na bezpośredni rozkaz rogu klanu Bez Szczytów, gdy...

Hilo słuchał długiej listy pretensji czytanej przez Ayt. Starał się zachować obojętną minę, ale narastał w nim gniew. Mógłby odpowiedzieć na każdy z tych zarzutów. To prawda, że rozkazał swoim pięściom zakłócić budowę kasyna Królestwo Szczęścia, ale wyłącznie dlatego, że kontrakt na nią ukradziono klanowi Bez Szczytów. To prawda, że pozwolił swoim ludziom okaleczyć trzy palce Góry, ponieważ firmy należące do klanu Bez Szczytów padły ofiarą ich wandalizmu i zastraszenia. Ayt nie przestawała wyliczać zadawnionych pretensji. Niektóre z nich sięgały dwa lata wstecz, a nawet więcej, a żadna nie miała związku z obecną wojną.

Gdy Ayt skończyła, radczyni Onde podziękowała jej i przypomniała wszystkim, że dyskusja się nie rozpocznie, dopóki klan Bez Szczytów nie będzie miał szansy udzielić odpowiedzi. Następnie zwróciła się w stronę Hila i zapytała, czy jest gotowy wygłosić oświadczenie. Przez chwilę miał ochotę odmówić i opuścić salę, by zakończyć ten cyrk, ale Shae zaszeleściła głośno przygotowanym przez siebie dokumentem i podsunęła mu go na blacie. Hilo przyjrzał się kartce. Prognostyczka i jej cień przygotowali różne wersje, zależnie od tego, jaką taktykę wybierze Ayt – czy zacznie od dumnych deklaracji, konkretnych żądań czy nieokreślonych oskarżeń. Wziął kartkę w rękę.

– Chciałbym podziękować Radzie Książęcej i wyrazić dla niej uznanie za to, że zrozumiała potrzebę takiego spotkania. Jako aktywni obywatele i członkowie społeczności zielone pięści pragną dla Janloonu pokoju i dobrobytu w takim samym stopniu, jak inni.

Te słowa brzmiały w jego ustach sztywno i nienaturalnie. Pomijał niektóre fragmenty tekstu. Czy Shae rzeczywiście chce, żebym powiedział to wszystko? Czytał dalej, recytując listę wstępnych żądań klanu Bez Szczytów wobec Góry: wycofanie się z Dzielnicy Portowej, oddanie Pachy, zaprzestanie produkcji SN1 oraz zgoda na zewnętrzną inspekcję ksiąg rachunkowych, a także inwentaryzację zasobów jadeitu. To ostatnie żądanie było tak bezczelne, że Hilo ledwie stłumił

uśmiech na widok oburzonej miny Ree Tury. Ayt nie sprawiała jednak wrażenia zaskoczonej i nie zareagowała.

– Dziękuję, Kaul-jen – oznajmiła radczyni Onde, kiedy skończył. – Klarowność i bezpośredniość wystąpień obojga filarów dodają mi otuchy. To solidna podstawa, na której można będzie zbudować dyskusję.

Zapewne bardzo niewiele obecnych w sali osób zgodziłoby się z tą opinią. Politycy powiązani z oboma klanami sprawiali wrażenie podenerwowanych powierzchownymi wystąpieniami. Najwyraźniej uważali to za znak świadczący, że ich filary rozumieją się nawzajem bez słów.

– Kwestie terytorialnej jurysdykcji są najpilniejsze, ponieważ to one są przyczyną trwającej na ulicach przemocy. Dlatego sugeruję, byśmy zaczęli od nich – oznajmiła radośnie Onde.

Po kilku godzinach Ayt zgodziła się pod publiczność, że Góra zatrzyma się na południe od Bulwaru Generalskiego i nie będzie posuwała się dalej w głąb Dzielnicy Portowej ani Junko. W zamian za to Hilo zapewnił radców, że nie będzie już więcej ataków na Miasto Rybaków i Grot. Wszystkie te ustępstwa nie miały znaczenia. Hilo wiedział, że Góra nie jest w stanie kontynuować ofensywy w Dzielnicy Portowej z uwagi na brak ludzi. Zdawał sobie też sprawę, że klan Bez Szczytów nie byłby w stanie utrzymać Miasta Rybaków ani Grotu, nawet gdyby udało mu się je zdobyć. Zresztą żadna z tych dzielnic nie miała zbyt wielkiej wartości. Najcięższe walki trwały w Pasze i w Sogen, a w sprawie obu tych dzielnic nie zbliżono się do porozumienia. Obecnie Kehn przebywał w Sogen z osiemdziesięcioma wojownikami.

Co więcej żadna ze stron nie wspomniała o zamachu na Hila, zamordowaniu Lana ani o masakrze dwudziestu jeden zielonych kości na ulicy Dla Ubogich. Takich spraw nie rozstrzygało się w sali rokowań w Gmachu Mądrości. Hilo zerknął na Ayt, gdy oboje wstali z krzeseł. To był żart. Dla obu naszych stron, pomyślał.

\*\*\*

Drugiego dnia negocjacji nie osiągnięto większych postępów niż pierwszego. Podczas jednej z piętnastominutowych przerw Hilo odprowadził swą prognostyczkę na bok.

– To orgia świń w gównie – poskarżył się. – Jebana strata czasu.

– Jeśli teraz się wycofamy, wszyscy uznają, że to my zerwaliśmy rozmowy. Obciążą klan Bez Szczytów winą za to, że wojna trwa – nie ustępowała Shae. – Politycy uważają, że Góra załatwiła Lana, a my w odpowiedzi wykończyliśmy jej ludzi. Rachunki wyrównano. Powinniśmy o tym zapomnieć i wrócić do normalnego życia. – Chciał odpowiedzieć jej drwiną, ale nie dała mu dojść do słowa. – Nie zapominaj, po co tu jesteśmy. Musimy zademonstrować latarnikom i Radzie Książęcej, że podjęliśmy próbę wynegocjowania pokoju. Ayt gra na zwłokę i dzięki temu zdobędziemy ich sympatię, gdy ostatniego dnia wyłożymy karty na stół.

Shae otrzymała wczesne wyniki formalnego audytu KSJ. Zamierzała piątego, ostatniego dnia negocjacji użyć ich jako karty przetargowej w rozmowach z Górą, a gdyby to się nie powiodło, ujawnić je i uświadomić Radzie, że w wojnie chodzi o coś znacznie więcej niż klanowe wendety, a poczynania Góry są sprzeczne z prawami i wartościami Kekonu. Hilo musiał przyznać, że to nie jest zły plan. Albo uda się im uzyskać ustępstwa wystarczające, by mogli utrzymać do wiosny znośną sytuację strategiczną, albo udowodnią, że słuszność jest po ich stronie, co powinno im zapewnić poparcie latarników oraz opinii publicznej. Tak czy inaczej, Hilo uważał, że wszystko to ma drugorzędne znaczenie i nie wypłynie znacząco na rezultat wojny. Wściekała go myśl, że musi uczestniczyć w tej farsie ku uciesze gapiów.

Usiadł na swoim miejscu. Coraz bardziej gniewało go samozadowolenie, jakie Postrzeżał w aurze swej przeciwniczki, wesołość, którą czasami widział w ruchach jej warg. Oboje uczestniczyli w tej zabawie, mającej na celu uspokojenie i udobruchanie polityków oraz biznesmenów, zarozumiałych nowoczesnych Kekończyków, lubiących powtarzać sobie, że nie ma już potrzeby rozwiązywania konfliktów w stary sposób – czystą klingą poddaną osądowi Starego Wujka. Oboje wiedzieli, że to nieprawda.

Jednakże Ayt grała swą rolę chętniej niż Hilo, bo po prostu była w tym lepsza. Znacznie lepsza w gruncie rzeczy. Każdym gestem i słowem zdobywała nad nim przewagę. Była prognostyczką, zanim została filarem, i potrafiła sprawiać wrażenie kulturalnej, doświadczonej bizneswoman. Wykorzystywała teraz tę przewagę, by prowokować Hila i drwić z niego, sprawiać, by wyglądał jak młody zbir. Dzięki kontrastowi między nimi bezjudeitowi durnie zapominali, że Ayt Mada została



najpotężniejszym filarem na Kekonie dzięki temu, że zamordowała róg ojca, jego pierwszą i drugą pięć, filarowego oraz najmłodszego syna. Hilo chwilami chichotał na tę myśl.

Drugi dzień wprowadził tak niewiele zmian w porównaniu z pierwszym, że nawet nieustępliwa Onde wyglądała na zniechęconą. Hilo chciał jak najprędzej dotrzeć do telefonu, by się dowiedzieć, czy jeden z jego pięści, Goun Jeru, który przed świtem wpadł w zasadzkę i został ciężko ranny, przeżył operację. On i Shae rozstali się pod Gmachem Mądrości, nie wymieniając zbyt wielu słów. Jego siostra wsiadła do czekającego na nią samochodu i pojechała na Statkową, do biura prognostyka. Hila bawiła myśl, że choć po powrocie do Janloonu demonstracyjnie odrzucała wszelkie związki ze sprawami klanowymi, teraz pogrzyżyła się w nich bez reszty. Jego zdaniem dowodziło to, że wtedy po prostu oszukiwała samą siebie. Powinna była wiedzieć lepiej. Wrócić do klanu, zanim sytuacja ją do tego zmusiła.

Hilo wypatrywał swego kierowcy i duchesse czekającej na niego przy lśniącym basenie, ujrzał jednak Maik Tara, siedzącego w jednym z nieprzyciągających uwagi klanowych samochodów. Gdy usiadł na miejscu dla pasażera, Tar włączył radio i poczęstował go papierosem. Hilo zauważył, że rękaw filarowego pokrywają plamki zakrzepłej krwi, w jego podkrążonych z braku snu oczach lśni triumf, a aura stała się szorstka od tłumionej ekscytacji.

– Jak poszło? – zapytał Tar. – Tak samo jak poprzednio?

– Gorzej. Szkoda, że pokutnicy nadal tam byli.

– Mógłbyś mnie zabrać ze sobą – zaproponował Tar. – I tak nie pójde do nieba.

– Co z Gounem?

Przygnębienie, które pojawiło się nagle w aurze Tara, było natychmiastową odpowiedzią.

– Niech to chuj – mruknął Hilo. Goun był jego kolegą z roku, groźnym wojownikiem, lecz zarazem wesołym człowiekiem, wprawiającym innych w dobry nastrój i zawsze opowiadającym nowe kawały. Hilo powinien być przy nim w chwili śmierci, powinien zawiadomić jego rodziców i siostrę. A zamiast tego przerzucał się słówkami w Gmachu Mądrości, bez sensu marnując czas.

Jego szyję i twarz wypełniła gorąca fala gniewu.

– Jebać to! Jebać to! Jebać bogów! Jebać Ayt i jebać Gonta ostrym kijem! Jebać wszystko!

Uderzył głową o oparcie i walnął pięścią w dach samochodu, powodując wgniecenie.

Tar wystawił rękę z papierosem za otwarte okno i czekał, aż filar się uspokoi.

– Biedny skurczybyk – rzekł wreszcie. – Niech bogowie obdarzą go uznaniem.

– Niech bogowie obdarzą go uznaniem – zgodził się Hilo.

– Ale nie wszystkie wiadomości są złe – oznajmił Tar i czekał z widocznym zadowoleniem, aż Hilo go zapyta, co takiego dobrego się wydarzyło, że przybył tu osobiście, by go o tym zawiadomić. Tar czasami zachowywał się jak dziecko, starał się przypodobać innym, był skłonny do napałów szału i nadmiernej ekscytacji, w dziwny sposób łączył w sobie śmiałość z niepewnością. Od chwili opuszczenia szpitala desperacko szukał szansy udowodnienia własnej wartości, uwolnienia się od hańby, jaką w jego mniemaniu była odniesiona rana. Przedefiniowanie roli filarowego było genialnym posunięciem i Hilo był z siebie dumny.

Niemniej nadal był w paskudnym nastroju po utracie Gouna i nie spełnił natychmiast życzenia Tara.

– Czy Kehn zawiadomił rodzinę Gouna? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – przyznał Tar. – Nie rozmawiałem z nim.

– Kto dowodzi jego palcami?

– Vuay albo Lott, o ile mi wiadomo. – W głosie Tara pojawiło się niezadowolenie. Goun był również jego kolegą z roku, ale Maik nie przejmował się zbyt jego śmiercią. Obchodziło go tylko kilkoro ludzi na świecie, ale ci ludzie mogli go prosić o wszystko.

W końcu Hilo dał za wygraną.

– Co podnieciło cię tak bardzo, że musiałeś natychmiast mi o tym powiedzieć?

Gdy Tar wszystko mu wytłumaczył, Hilo wyjrzał przez okno. Jego gorejące spojrzenie kierowało się w pustkę. Palcami prawej dłoni bębnił o kolano, szybko, choć lekko.

– Jedź – polecił Tarowi. – Daj mi się nad tym zastanowić. Jutrzejszy dzień będzie wyglądał inaczej – oznajmił po chwili. – Zupełnie inaczej. Dobrze się spisałeś, Tar.

Jego filarowy uśmiechnął się z zadowoleniem, dotykając nowego karambita, który miał u pasa.

## Rozdział 46

### Szczerze rozmowy

Rankiem trzeciego dnia negocjacji Hilo przybył do gmachu wcześniej. Towarzyszyła mu Shae. Udawali się na spotkanie z kanclerzem Sonem, który już od pewnego czasu z narastającą irytacją domagał się rozmowy z filarem.

– Wejdz, proszę, Kaul-jen. Jak traktują cię bogowie? – zapytał Son Tomarho, wpuszczając ich do gabinetu.

– Jak zwykle z sadystycznym poczuciem humoru – odpowiedział Hilo. – A ciebie?

Polityk wyraźnie musiał stłumić odruchową reakcję na bluźnierstwo rzucone od niechcenia przez Hila. Pochylił głowę, kierując rumianą twarz ku podłodze, i oddał mu honory płytkim, sztywnym gestem.

– Ach. Nieźle. Całkiem nieźle. Dziękuję.

Hilo odnosił wrażenie, że kanclerz Son Tomarho go nie lubi. Rok temu odrzucił jego prośbę o stłumienie siłą strajku dzokerów, a na pogrzebie Lana kanclerz okazał filarowi tylko minimalny szacunek. Fakt, że Hilo ignorował go od kilku tygodni, skupiając się na prowadzeniu wojny, z pewnością nasilił jego niechęć. Son uważał się za wybitnego, wyrafinowanego polityka, kogoś, kto stoi ponad niefortuną, choć niekiedy niezbędną gwałtownością pewnych elementów w klanie. Gdy patrzył na Hila, widział jedynie młodość i mięśnie. Ktoś taki powinien wykonywać rozkazy, a nie je wydawać, a już z pewnością nie uchodziło, by przebywał w Gmachu Mądrości jako filar.

Hilowi trudno było odnosić się w racjonalny, uprzejmy sposób do ludzi, z którymi nie łączyło go żadne osobiste ciepło. Ich status bądź znaczenie w oczach innych nie obchodziły go zbyt. Wiedział, że ta cecha to słabość. Stawianie względów osobistych ponad politycznymi nieraz już sprawiało mu kłopoty i budziło gniew jego dziadka. Gdy Hilo i jego rodzeństwo byli dziećmi, Kaul Sen Lana bił rzadko, a Shae nigdy, ale młodszy z jego wnuków obrywał za podpadanie instruktorom z Akademii, złamanie ręki synowi jednego z biznesowych współników dziadka, a także za to, że ciągle widywano go na mieście z braćmi Maik.

Choć Hilo darzył Sona instynktowną niechęcią i czuł się skrępowany w jego pretensjonalnym gabinecie wyłożonym dębową boazerią, starał się stłumić te reakcje. Usiadł na wskazanym krześle po drugiej stronie szerokiego biurka. Shae ustawiła swoje krzesło nieco z tyłu i na lewo od niego. Cieszył się, że siostra jest z nim, bo najwyraźniej czuła się tu znacznie swobodniej od niego. Kanclerz usiadł i nakazał skinieniem sekretarzowi przynieść herbatę, po czym spojrzął na Hila z niezmiennym uśmiechem przyklepionym do twarzy.

– Jestem tu – oznajmił filar. – O czym chciałeś porozmawiać?

Uśmiech nieco przygasł, ale Son odzyskał panowanie nad sobą z godną podziwu szybkością.

– Kaul-jen... – zaczął. – Rozumiem, że masz bardzo wiele zajęć. Dowodzenie klanem jako filar w tych trudnych czasach z pewnością wymaga wysiłku. Śmiem twierdzić, że nie mniej niż rządzenie państwem.

Wypowiedział te słowa nagany od niechcenia, ale łatwo było zrozumieć ich sens. Son pełnił funkcję szefa kekońskiego rządu i nie był zadowolony, że kazał mu czekać na siebie dwudziesto-ośmioletni uliczny wojownik, który tylko przypadkiem został przywódcą klanu.

Hilo odwdziaczył się równie zdawkowym kontratakiem.

– Mam nadzieję, że żaden z twoich politycznych przeciwników nie próbuje uciąć ci głowy guan dao. – Podziękował skinieniem głowy sekretarzowi, który postawił przed nim szklanę zimnej herbaty o smaku anyżku. Pamiętając o tym, co mówiła mu Shae o znaczeniu Rady Książęcej i o tym, że klan potrzebuje politycznego wsparcia oraz uznania, postanowił zmienić ton. – Przyznaję, że muszę się jeszcze nauczyć bardzo wiele o roli filaru – podjął poważniej. – Mój brat, niech bogowie obdarzą go uznaniem, nie miał okazji przygotować mnie do objęcia tej funkcji. Postarali się o to nasi wrogowie. Odkąd to się wydarzyło, nie zaznałem ani chwili spokoju. Przepraszam, jeśli czujesz się urażony tym, że nie spotkałem się z tobą wcześniej.

Te szczere słowa najwyraźniej udobruchały nieco Sona.

– No cóż, najważniejsze jest, że uczestniczysz w rozmowach z Ayt Madą i komitetem mediacyjnym powołanym przez Radę. Jako kanclerz nie mogłem zostać jego członkiem, ale mam nadzieję, że osiągnięto jakieś postępy. W końcu wszyscy liczymy na to, że uda się wynegocjować pokój.

Hilo z największym wysiłkiem zdołał zamaskować drwiący uśmieszek, unosząc szklanę i wypijając połowę herbaty. Kanclerz Son spuścił wzrok, spoglądając na dłoń Hila, o kostkach pokrytych świeżymi bliznami. Ukrywanie pogardy udało mu się gorzej niż jego gościowi. Jego usta się skrzywiły, a policzki zakołysały.

– Im prędzej klany rozstrzygną spór i sytuacja w mieście wróci do normy, tym lepiej dla kraju i dla jego mieszkańców.

– Góra zamordowała mojego brata.

Son Tomarho odchrząknął z wyraźnym skrępowaniem.

– To straszna tragedia i nie wolno o niej zapomnieć. Śmiem jednak twierdzić, opierając się na tym, czego dowiedziałem się o Kaul Lan-jenie podczas naszej znajomości, że postawiłby dobro klanu i państwa przed pragnieniem osobistej zemsty.

– Nie jestem Lanem. – Wypowiedziawszy te słowa, Hilo odprężył się nagle. Na jego twarz powrócił uśmiech. – Latarnicy i Rada Książęca muszą się pogodzić z tym faktem.

Kanclerz po raz pierwszy zmarszczył brwi.

– Choć lojalność latarników klanu Bez Szczytów pozostaje niezachwiana, to zrozumiałe, że martwią się o bezpieczeństwo swych społeczności i nie są zadowoleni z obciążeń, jakie się na nich nakłada.

– Masz na myśli podwyższenie daniny – domyślił się Hilo. – Musieliśmy to zrobić z powodu wydatków na prowadzenie wojny. Prognostyczka może to potwierdzić.

To nie był najuprzejmniejszy sposób na dopuszczenie do głosu Shae, ale Hilo nie miał już cierpliwości na takie drobiazgi. Poza tym od pewnego czasu Postrzeżał, że aurę Shae wypełnił niepokój o to, że jej brat wszystko spierdoli. Równie dobrze mógł pozwolić, by wygłosiła swój tekst. Natychmiast się pochyliła.

– Jak już powiedziałeś, kanclerzu, wojna między klanami zaszkodziła interesom – zaczęła. –

Klan Bez Szczytów jest zobowiązany udzielić finansowej pomocy latarnikom, których własność uszkodzono albo którzy utracili źródła utrzymania. Kiedy zielone kości giną, płacimy za ich pogrzeb i dbamy o ich rodziny. Kiedy zostają ranne, pokrywamy rachunki za leczenie. Niestety, Góra ma nad nami znaczną przewagę finansową, ponieważ produkuje SN1 za granicą i zawłaszcza jadeit bez wiedzy KSJ. Oficjalnych wyników audytu dotąd nie opublikowano, ale mogę ci dostarczyć wszelkich potrzebnych dowodów. – Pochyliła głowę. – Klan Bez Szczytów potrzebuje w tej chwili pełnego wsparcia latarników. Podnieśliśmy daninę tylko w niezbędnym zakresie i wyłącznie tym, których na to stać. Jeśli chcesz zobaczyć szczegółowe dane dotyczące tego, jak wyliczyliśmy nowe stawki, z chęcią ci je udostępnię – zakończyła stanowczo.

Hilo był pod wrażeniem. Jego siostra mówiła jak prawdziwy prognostyk. Kanclerz Son usiadł wygodniej i skrzyżował grube ręce.

– Nie wątpię w twoje obliczenia, ale prawda wygląda tak, że zwiększone opłaty są obciążeniem nawet dla najbardziej lojalnych członków klanu i zostaną uznane za wyjątkowo kiepską nagrodę dla tych... – Hilo nie wątpił, że Son ma na myśli siebie. – Którzy niestrudzenie pracowali nad uchwaleniem zaproponowanych przez Kaul Lan-jena ustaw umożliwiających inspekcję i reformę KSJ.

– Jebać KSJ – warknął Hilo. – Nie ma znaczenia, co tam się wydarzy.

Twarc Son Tomarho straciła nagle wyraz.

– Kaul-jen... – zaczął po chwili, skonsternowany – ...twój brat, niech bogowie obdarzą go uznaniem, głęboko wierzył, że ustanowienie kontroli nad państwowymi zasobami jadeitu...

– Mój brat starał się powstrzymać wojnę. Teraz wojna już trwa. Ten, kto wygra, będzie panował nad miastem, Radą oraz zasobami jadeitu. Czy naprawdę wierzysz, że jeśli Góra zniszczy klan Bez Szczytów i stanie się bezdyskusyjnie najpotężniejszym klanem na Kekonie, Ayt będą cokolwiek obchodziły wasze ustawy, pies je osrał?

Hilo odsunął się od stołu, wstał i przeciągnął się, by uwolnić się od sztywności wywołanej

licznymi drobnymi obrażeniami. Jednakże kanclerz Son nie ruszył się z miejsca. Najwyraźniej nie wiedział, jak powinien odpowiedzieć na te słowa. Po chwili również wstał.

– To znaczy, że zamierzasz zlekceważyć niepokoje latarników oraz wysiłki Rady? – zapytał bez śladu udawanej dobroduszości.

– Bynajmniej – zaprzeczył Hilo. Rzeczywiście nie był Lanem, brakowało mu jego powagi i dyplomatycznych zdolności. Nie zdoła poradzić sobie z tą sytuacją tak, jak zrobiłby to jego starszy brat, ale jako róg nieraz już stykał się z niezadowolonymi podwładnymi bądź latarnikami. – Klan nie byłby nic wart bez latarników i bez ludzi takich jak ty, kanclerzu. Zaczynam jednak sądzić, że po tak wielu latach pokoju ludzie zapomnieli, dlaczego płacą daninę. Zawsze mnie uczono, że podczas wojny latarnicy byli patriotami, którzy narażali życie, by pomóc zielonym kościom, ponieważ te broniły ich, gdy krajowi zagrażało niebezpieczeństwo. Teraz również toczymy wojnę i kraj będzie zagrożony, jeśli klan Bez Szczytów padnie pod ciosami Góry. Jeśli jeden klan będzie kontrolował całość zasobów jadeitu. Czy nie tego właśnie obawiał się Lan, kiedy z tobą rozmawiał?

Hilo przeszył kanclerza przenikliwym spojrzeniem. Nie było w nim wrogości, ale miało w sobie coś drapieżnego, co sprawiało, że ludzie wzdrygali się albo spuszczaali wzrok, gdy na nich padło. Kanclerz nie był wyjątkiem.

– Widzę, że nie lubisz mnie zbyt – podjął Hilo chłodnym, lecz przyjaznym tonem. – Niemniej jestem filarem, a ty jesteś najbardziej wpływowym w całym kraju politykiem powiązanim z klanem Bez Szczytów. Poniekąd jesteśmy klanowymi braćmi. Obaj chcemy wygrać wojnę i ująć z niej z życiem.

Son otworzył szerzej oczy.

– Pragnę tego, co najlepsze dla Kekonu, Kaul-jen. A to oznacza pokój między klanami. Dlatego postarałem się jak najszybciej powołać komitet mediacyjny.

– Ta mediacja to pierdolona farsa – odpowiedział Hilo. – Wkrótce się przekonasz, dlaczego musimy wygrać tę wojnę. A to znaczy, że nasi latarnicy powinni stać się latarnikami czasu wojny i dla dobra klanu wnieść w nią swój wkład. Dowieść lojalności, o której zawsze tak głośno mówią, kiedy proszą nas o to czy o tamto. Muszą zapłacić wyższą daninę, a ty musisz dopilnować, by to zrobili.

Kanclerz Son wybuchnął nerwowym, przypominającym kaszel śmiechem.

– W klanie są tysiące latarników. Świadomie podejmujesz decyzje mogące ich skłonić do masowej dezercji. Nie możesz obciążać mnie odpowiedzialnością za...

– Jaka to była dokładnie liczba? – Hilo odwrócił się nieco, spoglądając na Shae. – Ile największych firm składa się na jak wielki procent klanowej gospodarki?

– Dwadzieścia pięć największych podmiotów gospodarczych powiązanych z klanem Bez Szczytów daje sześćdziesiąt pięć procent dochodu z daniny – odpowiedziała prognostyczka.

Usatysfakcjonowany Hilo ponownie zwrócił się ku Sonowi.

– W porządku. Kiedy wielkie psy zdecydują, co jest ważne, wszystkie małe pieski podążą za ich przykładem. Rodzina Sonów zalicza się do wielkich psów. Musisz się zwrócić do pozostałych i zdobyć ich poparcie. Przekonaj ich, że na razie trochę pocierpią, ale to może zapewnić zwycięstwo klanowi Bez Szczytów. Ludzie zawsze pozostają ludźmi. Czy są latarnikami, czy pięściami, czy noszą jadeit, czy nie, kiedy tracą nadzieję, będą uciekać, ale jeśli wierzą, że mogą zwyciężyć, nie będą szczerzyć wysiłków.

Son pociągnął się za kołnierz, jakby nagle wydał mu się on za ciasny dla jego grubej szyi.

– Wielu latarników może dojść do wniosku, że woli przejść do Góry niż pozostać w klanie Bez Szczytów na tak... twardych warunkach.

Filar udał, że zastanawia się nad tymi słowami.

– Czyżbyś również zaliczał się do takich ludzi, kanclerzu? – zapytał cichym głosem. – Jeśli Góra zniszczy klan Bez Szczytów i zawładnie miastem, zginę. Cała moja rodzina zginie. A ty będziesz musiał żyć z tym, co wydarzy się później.

Hilo widział, że polityk zastanawia się intensywnie. Nikt – czy nosił jadeit czy nie – nie mógłby zrobić w Janloonie politycznej kariery bez wielkiego sprytu i potężnego instynktu przetrwania, a kanclerz Son z pewnością zdawał sobie sprawę, że wszyscy wiedzą, iż jest ściśle powiązany z klanem Bez Szczytów, i w związku z tym nie będzie miał szans utrzymać swej pozycji w mieście rządzonej przez Górę. Son zgłosił propozycje ustaw reformujących KSJ i zorganizował audyt

mający ujawnić nielegalne poczynania Góry. Jego córki kierowały firmą płacącą daninę klanowi i poślubiły jego członków. Jeden z jego zięciów był szczęściodawcą, a drugi pięścią średniej rangi. Jego polityczni i biznesowi sojusznicy staną się celem dla powiązanych z Górą rywali. Son Tomarho nie miał dokąd uciekać, podobnie jak Kaulowie.

Hilo wyczytał te myśli w pełnym głębokiego resentmentu milczeniu kanclerza i nagle poczuł potrzebę, by okrążyć wielkie biurko i podejść do niego. Masywne ciało Sona oklapło. Nawet nie próbował się odsunąć i tylko napiął bez przekonania mięśnie, gdy Hilo położył dłoń na jego szerokim barku.

– Mój dziadek i mój starszy brat bardzo cię szanowali – zaczął z powagą. – Dlatego ja również cię szanuję, mimo że potrafię wyczytać z twojej twarzy, że twoim zdaniem nie jestem dobrym filarem. W normalnej sytuacji nie tolerowałbym tego, ale jestem gotowy ci wybaczyć, bo oczywiście cię rozumiem. Czemu miałbyś mnie zaakceptować, skoro od lat kontaktowałeś się z Lanem? Niemniej powiem ci jedno. Dopóki będę żył, nigdy nie odwrócę się plecami do przyjaciela. Zapytaj każdą z moich pięści, każdego, kto mnie zna, nawet moich wrogów. Wszyscy ci powiedzą, że to prawda. Już jesteś starym przyjacielem klanu i jeśli zechcesz zapomnieć o tym, że okazałem brak szacunku, nie przychodząc tu wcześniej, ja chętnie zapomnę o twoich afrontach pod moim adresem. Jeśli razem przetrwamy tę wojnę, będziemy jak towarzysze broni. To by było zabawne, nieprawdaz? Dwaj mężczyźni tak bardzo różni od siebie. Ale klan potrzebuje teraz nas obu.

Son odetchnął głęboko. Kiedy spojrzał na Hila, na jego twarzy pojawiła się pełna godności mina doświadczonego męża stanu zmuszonego do podjęcia niefortunnej, lecz nieuniknionej decyzji stawienia czoła nadchodzącej burzy. Kanclerz nie był zadowolony i wolałby tego uniknąć, ale Hilo dostrzegł w jego spojrzeniu, że powoli zmienia swą opinię o nowym filarze.

– Jestem wierny klanowi, a ty jasno wyraziłeś swą opinię, Kaul-jen – rzekł z odrobiną goryczy mieszającej się z podziwem. – Jestem przekonany, że doszliśmy do porozumienia.

Dotknął czoła splecionymi dłońmi i pochylił się nisko, oddając honory.

\*\*\*

– Co to miało być? – wyszczała Shae, gdy szli z gabinetu Sona do sali spotkań. – Nie to zaplanowaliśmy.

– Świetnie się udało.

Mimo że Hilo osiągnął w rozmowie z Sonem wszystko, czego pragnął, na jego twarzy nie było uśmiechu. Kroczył przed siebie z nieustępliwą determinacją. Oparł się pokusie rzucenia jakiejś drwiącej uwagi pod adresem siostry. Ludziom takim jak Son nie trzeba było przy każdej okazji prawić komplementów albo oferować korzyści. Lepiej rozmawiać z nimi szczerze i przekonać ich, że wzajemna przyjaźń lepiej się im opłaci niż wrogość. Czy Shae sądziła, że pięści słuchają go dlatego, że nagradza je względami bądź zastrasza groźbami? Nie. Wzajemne przetrwanie było podstawą braterstwa i lojalności, a nawet miłości.

– O co tu chodzi? Czego mi nie powiedziałaś? – wyszeptała nerwowo Shae, gdy dotarli do drzwi sali obrad.

Nie odpowiedział jej. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Jego siostra wkrótce wszystkiego się dowie.

Spotkanie z kanclerzem zajęło im sporo czasu i przybyli na spotkanie ostatni. Ayt i Ree byli już na miejscu. Filar Góry pogrążyła się w rozmowie z dwójką radców lojalnych wobec tego klanu. Hilo usiadł na swoim miejscu, nie przepaszając za spóźnienie. Ayt zwróciła ku niemu głowę. Nie mogłaby nie Postrzec gwałtowności wypełniającej jego aurę. Inni obecni w sali ludzie poruszyli się niespokojnie, również wyczuwając zmianę. Pierwsze dwie sesje były przewidywalnie pełne napięcia, ale ta zapowiadała się inaczej. Coś obudziło w Hilu prawdziwy gniew.

Radczyńi Onde odchrząknęła.

– Ponieważ wszyscy są już obecni, zacznijmy w tym samym punkcie, w którym zatrzymaliśmy się wczoraj. – Sprawiała wrażenie niepewnej, co robić dalej. Nerwowo przerzucała liczne kartki notatnika. – Dyskutowaliśmy o finansowych warunkach zawarcia pokoju między klanami.

Zerknęła na Hila, ale nie poprosiła go o zabranie głosu. Przeniosła spojrzenie na Ayt Madę.

– Ayt-jen, mam wrażenie, że wczoraj przed zamknięciem sesji chciałaś zgłosić jakąś propozycję.

Filar Góry zerknęła na Hila z ciekawością połączoną z pewnością siebie. Było oczywiste, że coś, co powiedziała albo zrobiła, bardzo go poruszyło. Miała ochotę sprawdzić, czy jej młody, lekomyślny rywal w końcu wybuchnie i zrobi z siebie widowisko. Splotła palce dłoni. Luźne rękawy jedwabnej bluzki osunęły się w dół przedramion, odsłaniając spirale jadeitu.

– Tak, przewodnicząca – odpowiedziała. – Wyjaśniłam, że wykroczenia, jakie popełnił przeciwko nam w ostatnim roku klan Bez Szczytów, były tak kosztowne, że jest oczywiste, że powinniśmy pomówić o reparacjach.

Reparacje! To było zbyt piękne.

Hilo odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

Nikt z siedzących za stołem ludzi najwyraźniej nie był zadowolony z jego demonstracji wesołości i pogardy. Radcy powiązani z klanem Bez Szczytów patrzyli na niego z przerażonymi minami. Wyczuwał też dezaprobatę wypełniającą aurę Shae.

– Kaul-jen – skarciła go radczyni Onde z nerwowością w głosie. – Ayt-jen poruszyła bardzo istotną i poważną sprawę finansowej rekompensaty. Twoja reakcja sugeruje, że uważasz ten problem za śmieszny. Komitet chciałby, żebyś spokojnie wyjaśnił swe motywy.

Hilo się pochylił. Jednym przedramieniem oparł się o blat, a dłonią drugiej ręki o ramię krzesła, niemalże wstając z miejsca. Wszyscy w pomieszczeniu zamarli, gdy wesołość na jego twarzy przerodziła się w groźbę.

– Dość tego pieprzenia, Ayt – rzekł cichym, bezbarwnym głosem, dobrze słyszalnym w przerażającej ciszy, która zapadła. – Jesteś złodziejką. Złodziejką jadeitu.

To była najgorsza możliwa obelga dla zielonej kości, sugerująca, że znieważona osoba nie zasługuje na noszony jadeit i zdobyła go w niehonorowy sposób. Twarz Ayt znieruchomiała na moment. W jej oczach zapłonął blask, sugerujący, że chciałaby skoczyć na Hila i złamać mu kręgosłup. Z całkowitym spokojem na twarzy zwróciła się w stronę radczyni Onde.

– Najwyraźniej Kaul-jen nie szanuje tych obrad – oznajmiła z zimną krwią.

– Nie mów do nich! – warknął Hilo. – Mów do mnie. – Po raz pierwszy zauważył w oczach Ayt coś innego niż pogardę. – Za nieprawidłowościami w księgach KSJ stoi Góra. Nie próbuj mnie okłamywać, złodziejko. Przez cały rok nielegalnie wydobywałaś jadeit ze wszystkich kopalń.

Siedząca za nim Shae zaczerpnęła spazmatycznie tchu. Jej jadeitowa aura rozbłysła, zalewając Hila szokiem i pretensjami. Usłyszał jej mentalny krzyk: „Co ty wyprawiasz?!”. Zagrał ich atutową kartę, najpoważniejsze oskarżenie pod adresem Góry, dwa dni przed terminem, nie czekając na wyniki audytu, nie uzgadniając tego z nią ani nie zdobywając poparcia radców powiązanych z klanem Bez Szczytów. Zniszczył jej plany, stracili szansę wykorzystania możliwości publicznego ogłoszenia wyników audytu jako karty przetargowej w negocjacjach z Górą. Shae była wściekła. Hilo widział, że jego siostra milczy wyłącznie dlatego, że gdyby jako prognostyczka zabrała głos na tym publicznym forum bez zgody filaru, pogorszyłaby tylko sprawę.

Ayt jednak zdążyła już odzyskać równowagę. Zgodnie z jej przewidywaniami Hilo działał impulsywnie pod wpływem desperacji. Skinęła głową, gdy Ree Tura wyszeptał jej coś szybko do ucha.

– Radcy – zaczęła. – Zgłosiłam uzasadnione pretensje terytorialne i biznesowe, a Kaul-jen odpowiedział mi jednym absurdalnym, nieuzasadnionym oskarżeniem. Jestem pewna, że audyt ujawni rzeczywiste przyczyny domniemanych nieprawidłowości w KSJ i okaże się, że były one skutkiem mimowolnych zaniedbań, a nie złej woli. To oskarżenie jest tylko próbą odwrócenia uwagi.

Hilo uniósł ręce nad głowę.

– Całe to spotkanie jest próbą odwrócenia uwagi. Tutaj nie może być mowy o żadnej mediacji. – Wskazał palcem radczynię Onde, która się skuliła. – Chcesz pokoju? Wszyscy go chcecie? Jest tylko jeden rodzaj pokoju, który może zaakceptować Góra. Cała władza dla jednego klanu. Całkowita kontrola nad jadeitem i błyskiem. Złoto i jadeit chodzące razem. Powiedzcie mi, że takiego właśnie pokoju chcecie.

Siedzący za stołem ludzie wierzili się nerwowo. Hilo skierował spojrzenie na radców powiązanych z klanem Bez Szczytów. Pani Nurh rozdziawiła usta, pan Loyi zmarszczył brwi, pan Vang i pan Kowi przenieśli spojrzenia z Hila na Shae, a wreszcie na siebie nawzajem, porażeni niezdecydowaniem. Nie mieli pojęcia, jak sobie poradzić z tą sytuacją. Nikt się z nimi nie konsultował.

– Kaul-jen! – zawołała Onde z godną podziwu stanowczością. – Muszę cię prosić o...

– Góra jest największym klanem w kraju – przerwała jej Ayt głosem twardym jak stal. – Mamy bezpieczne i wystarczające źródło jadeitu, a do tego prawie połowa głosów w radzie nadzorczej KSJ należy do nas. Po co mielibyśmy kraść to, co otwarcie kontrolujemy?

– Interesujące pytanie. – Hilo przechylił głowę i podrapał się po żuchwie, jakby był szczerze zdziwiony. – Być może nie kradniecie jadeitu dla siebie. Być może znaleźliście dla niego inne przeznaczenie i wolelibyście, żeby nasze zielone kości się o nim nie dowiedziały. – Jego twarz przybrała mroczniejszy wyraz. – Przemyt i sprzedaż na czarnym rynku za pośrednictwem ludzi takich jak Tem Ben Szlifierz. Oddawanie go oszustom o rzadkiej krwi, takim jak wasz informator Mudt Jindonon, kierujący grupami przestępczymi działającymi na terytorium klanu Bez Szczytów z poparciem Góry. I dzięki jej jadeitowi. – Hilo wstał powoli. – Ilu niewyszkolonych, dręczonych jadeitową gorączką, uzależnionych od błysku gangsterów sieje chaos na terytoriach innych klanów na rozkaz Góry, w zamian za jadeit, którego nie mają prawa nosić? Ilu członków ma Góra, jeśli liczyć ludzi takich jak oni?

Ayt pozostała nieruchoma, uniosła jedynie głowę powolnym złowrogim ruchem. Jej szyja wydłużyła się niczym przygotowująca się do ataku żmija, a aura gorzała żądzą mordy. Gdy przemówiła, jej głos miał jednak wyćwiczone profesjonalne brzmienie. Przypominał ostry nóż delikatnie przecinający odsłonięte ciało.

– Skąd wzięłeś te fascynujące historyjki, Kul Hiloshudon?

Hilo sięgnął do kieszeni marynarki. Wszyscy się wzdrygnęli. Jedynie Ayt pozostała niewzruszona, gdy pokazał im czarną kasetę magnetofonową.

– Opowiedział mi je kamiennooki Tem Ben. On i Mudt karmią teraz robaki na dnie portu. – Rzucił kasetę na blat. Przesunęła się na środek stołu i zatrzymała tam niczym ładunek wybuchowy, którego nikt nie śmiał dotknąć. Hilo wsparł na blacie rozpostarte dłonie. – Znalazłem dwa chwasty, które zasadziłaś na moim podwórku, złodziejko, i znajdę też pozostałe. Gdy spotkamy się znowu, to się nie wydarzy w tej sali i nie będzie żadnych mediacji.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu. Przez mgnienie oka Shae nie ruszała się z miejsca. Potem usłyszał, że wstała i podążyła za nim. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Po dwóch dniach otrzymała telefon.

– Ayt-jen pragnie spotkać się z tobą w cztery oczy – rozległ się w słuchawce głos Ree Tury. – W jakimś prywatnym, neutralnym miejscu.

– Jakie mam gwarancje? – zapytała Shae.

Lekko nosowy głos Ree stał się nieco cichszy, jakby mężczyzna się pochylił.

– Rozmawiamy jak prognostyk z prognostykiem, Kaul-jen. Nie jesteśmy zbirami. Wybierz czas i miejsce.

– Świątynia Boskiego Powrotu – odpowiedziała Shae po chwili zastanowienia. – W poświęconej sali, jutro wieczorem.

Odłożyła słuchawkę.

## Rozdział 47

### Niebo słucha

Następnego dnia Shae zjawiała się w świątyni wczesnym wieczorem. Weszła do poświęconej sali i uklękła na poduszce w jednym z tylnych kątów. Bogowiercza świątynia wydawała się jej teraz czymś innym niż kilka miesięcy temu, gdy przyszła tu po raz pierwszy. Jadeit wszystko zmieniał. Poprzednim razem z wielu powodów czuła się jak w odległym, bliskim jawy śnie. Teraz było dla niej oczywiste, że to, co zwyczajnej osobie wydawało się bezruchem i ciszą, w rzeczywistości było nieustanną, głęboką i wibrującą muzyką energii, która wypełniała całą poświęconą salę i wnikała aż do szpiku kości. Sześcioro pogrążonych w całkowitym bezruchu pokutników siedziało ze skrzyżowanymi nogami, ich potężne aury całkowicie wypełniały jej Postrzeganie, jakby patrzyła prosto w reflektor, wypełniający swym blaskiem centrum jej pola widzenia tak, że tylko mroczna obwódka pozostawała nietknięta. Aury pokutników oślepiały ją, lecz były spokojne, jakby zharmonizowały się ze sobą w tym samym głębokim śnie wypełnionym marzeniami sennymi. Ich oddechy brzmiały łagodnie jak wiatr szeleszczący kartkami modlitewnymi oraz liśćmi świętych drzew na dziedzińcu.

Gdy poprzednim razem modliła się w tej świątyni, czuła zwątpienie i niezdecydowanie. Właściwie nie wierzyła, że moce pozostające poza jej kontrolą udzielą jej jednoznacznej odpowiedzi. Teraz, skąpana w otaczającej ją wibrującej energii, Shae drżała w duchu. Nie mogła już wątpić, że to święte miejsce, w którym bogowie mogli rzeczywiście na nią patrzeć.

Ale to nie znaczy, że można się tu było czuć bezpiecznie. W gruncie rzeczy świątynia była najbardziej niebezpiecznym miejscem, jakie można sobie wyobrazić. Pokutnicy słyszeli wszystko, co w niej powiedziano czy nawet o czym pomyślano, a za ich pośrednictwem mogło to dotrzeć do uszu nieba. Trzy razy dotknęła czołem podłogi.

– Yatto, Ojczy Wszechrzeczy, błagam, byś obdarzył uznaniem mojego brata, Kaul Lanshinwana, który opuścił tę Ziemię i oczekuje na Powrót. Był wyznawcą Jenshu, którego zwiemy Starym Wujkiem i choć nie przychodził do tej świątyni zbyt często, miał w sobie pokorę, współczucie, odwagę i dobroć. Więcej Boskich Cnót niż jakakolwiek zielona kość, którą znam.

Zamknęła oczy i umilkła. Powiedziałyby więcej, błagała o nagrodę dla dziadka, Hila, a nawet dla Doru, ale nie miała czasu na kontemplację i żalobę. Nie dzisiaj. Czekają ją spotkanie ze śmiertelnym wrogiem i będzie musiała wyciągnąć z niego tyle informacji, ile tylko zdoła. Potrzebowała klarownego umysłu i sprawnego ciała.

Gdy Ayt Mada weszła do świątyni, jej aura dotknęła Postrzegania Shae niczym rozżarzona do czerwoności włócznia, przebijająca się przez spokojną muzykę energii wypełniającą świątynię, dysharmonijny akord zagłuszający cichą melodię. Shae czekała, starając się zachować panowanie nad sobą i nie okazać niepokoju. Ayt nie zatrzymała się ani nie rozejrzała po wnętrzu świątyni. Podeszła prosto do Shae i uklękła na poduszce obok. Nie spojrzała na drugą kobietę i nie dotknęła też czołem podłogi, jak nakazywał zwyczaj.

– Powinnaś się dowiedzieć, że nie wydałam rozkazu zabicia Kaul Lana – oznajmiła.

Wszystko w Ayt Madzie – jej sposób mówienia, ruchy i aura – świadczyło o bezpośredniości i kontroli. Gdy Shae miała okazję obserwować ją z bliska w Gmachu Mądrości, doszła do wniosku, że poza jadeitowymi uzdolnieniami i szkoleniem to wolna od sentymentów determinacja pozwoliła Ayt pokonać wszystkich rywali płci męskiej. Nawet przerwy, które robiła, mówiąc, zawsze były celowe i nigdy nie świadczyły o wahaniu albo niepewności. Zrobiła właśnie taką przerwę, nim zaczęła mówić dalej.

– Nie miałam powodu pragnąć śmierci twojego najstarszego brata. Był rozsądnym człowiekiem. Być może pozostawał w cieniu dziadka, ale był inteligentnym i szanowanym przywódcą. Prędej czy później posłuchałby głosu rozsądku. Wynegocjowalibyśmy porozumienie i udałoby się uniknąć wszystkich tych nieprzyjemnych wydarzeń.

Shae trudno było cokolwiek powiedzieć. Furia przesłoniła jej oczy.

– Mój brat leży zimny w ziemi. Spodziewasz się, że uwierzę, że to nie twoja wina?

– Każda zielona kość w Górze z dumą nosiłaby jadeit Kaul Lana. Nikt nie pochwalił się tym



osiągnięciem. Czy to nie wydaje ci się dziwne?

– Taksówkarz, który zabrał go z Boskiego Bzu, mówi, że śledzili go mężczyźni w czarnym samochodzie. Ktoś znał jego nawyki i czekał na niego tamtej nocy. Kilka osób na ulicy słyszało strzały, a obok miejsca, gdzie znaleziono ciało, pozostały niezliczone dziury po kulach. W pobliżu znaleziono też dwa uszkodzone, niezarejestrowane fullertony. To raczej nie jest broń, jaką posługują się pospolici przestępcy na terytorium klanu Bez Szczytów. Ludzie, którzy go zabili, pracowali dla Góry. Skłamięs, jeśli temu zaprzeczysz. – Cieszyło ją i lekko zdumiewało, że potrafi powiedzieć to wszystko z całkowitym spokojem, jak prawdziwa prognostyczka. – Filar jest władcą klanu, kręgosłupem ciała. Bez niego nic się nie porusza. Chcesz mnie przekonać, że ci ludzie działali wbrew twoim rozkazom? Jak możesz twierdzić, że go nie zabiłaś?

– To prawda, Kaul-jen – przyznała Ayt, zaskakując Shae użyciem uprzejmej formy. – Ponoś odpowiedzialność za jego śmierć, ale nie wyszeptalam jego nazwiska. Chciałam wysłać przywództwu klanu Bez Szczytów wiadomość, która przekona Kaul Lanshinwana, że decyzja o wywołaniu wojny z Górą byłaby nierozsądna i w ostatecznym rozrachunku nieskuteczna. W ten sposób miałam nadzieję uniknąć wojny, a przynajmniej ją skrócić. Mój plan wyglądał inaczej.

– To Hila zamierzałaś zabić.

– Tak.

Przez chwilę Shae rozważała z niezdrową ciekawością wizję zupełnie innej tragedii. Gdyby pierwszy zamach się udał, śmierć Hila byłaby strasliwym ciosem dla Lana, ale Ayt miała trochę racji, podejrzewając, że pragmatyzm i poczucie odpowiedzialności filaru w końcu zdobędą przewagę nad żądzą zemsty. Nie mając silnego rogu, Lan zapewne zaakceptowałby warunki pokoju, zamiast narażać cały klan w wojnie z silniejszym przeciwnikiem.

Wróciła myślą do chwili obecnej. Szanse, które odeszły w przeszłość, były iluzją, zamkniętymi drzwiami, pozbawionymi znaczenia jak niezrealizowane zamiary.

– Chciałaś się ze mną spotkać – odezwała się. – Z pewnością nie po to, by mnie przekonać, że zamierzałaś zamordować tylko jednego z moich braci, a nie obu.

– Audyt KSJ był dziecinny, niepotrzebnym posunięciem – odpowiedziała ostrym tonem Ayt. – Jego zarządzenie zachęciło Radę Książęcą i prasę do wtrącania się w sprawy zielonych kości. Czy naprawdę tego potrzebujemy, kiedy możemy rozwiązać nasze problemy we własnym gronie? Politykom przyszło do głowy, że mogą uchwalić jakieś biurokratyczne przepisy albo stworzyć ciało nadzorcze. Co z tego za pożytek? Możemy przyciągnąć międzynarodową uwagę, a ostatnie, czego potrzebuje nasz kraj, to więcej interesownych cudzoziemców mieszających się w nasze sprawy.

– Sama to na siebie ściągnęłaś – zauważyła Shae. – Góra bezczelnie łamała zasady Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego. Doru pomógł ci to ukryć.

– Doru to dalekowzroczny człowiek, wierny Kaul Senowi i jego ideałom – odparła Ayt. – Zdał sobie sprawę, że żaden z wnuków Płomienia Kekonu nie jest w stanie go zastąpić i sojusz jest nieunikniony. – Spojrzała na Shae. W jej oczach można było dostrzec zimno płynące z braku wątpliwości. – Nieunikniony, Kaul-jen.

– Sojusz? – powtórzyła Shae. – Dlaczego nie nazwiesz tego po imieniu? Zniszczenie twoich wrogów, całkowita władza nad miastem i monopol na jadeit.

Ayt przyglądała się jej z zainteresowaniem tak chłodnym, że Shae poczuła przez moment, że strach zatrzepotał w jej klatce piersiowej niczym uwięziona wewnątrz ćma. Fizycznie filar Góry nie była wiele większa od niej, ale to nie miało znaczenia, jeśli chodzi o moc płynącą z jadeitu. Ta kobieta zabijała ludzi przed pogrzebem własnego ojca i nie kłaniała się bogom w ich świątyni. Być może byłaby również zdolna zaatakować Shae w obecności pokutników. Gdyby postanowiła teraz ją zabić, nic nie mogłoby jej powstrzymać. Shae wypełniła swe ciało uspokajającą świadomością, zmuszając wszystkie mięśnie i stawy do rozluźnienia. Ayt znajdowała się tak blisko, że z łatwością Postrzegą jej strach, nawet jeśli twarz Shae nadal była spokojna.

Wreszcie filar Góry się odezwała, jakby udzielała wykładu opornej studentce.

– Jesteś wykształconą kobietą i wiele podróżowałaś, nie tak, jak ci, którzy nigdy nie opuścili kraju. Zastanów się nad tym, co się dzieje za granicą. Napięcia między Espenią a Ygutaniem nasilają się z każdym dniem. Świat dzieli się na dwa obozy, a obie strony pożądamy jadeitu, który można znaleźć tylko na naszej wyspie. Espeńcyzy wydali fortunę na stworzenie SN1, umożliwia-

jącego im wyposażenie w jadeit doborowych żołnierzy. Ygutańczycy starają się ich doścignąć i z pewnością pragną tego samego. Słyszałam że Szotarzczycy przed laty robili coś podobnego. Więźlili kekońskie i abukejskie kobiety w tajnych obozach, gdzie gwałcili je i zapładniali, by wyhodować żołnierzy z naturalną odpornością na jadeit. Jesteśmy małym krajem, który dysponuje cennym zasobem. Jeśli nie rozegramy tego właściwie, znowu będziemy zdani na łaskę i niełaskę imperialistycznych mocarstw. Na dłuższą metę jedyny sposób na powstrzymanie cudzoziemców to ponowne zjednoczenie się w jeden klan.

– Zjednoczenie przez podbój. Najpierw musiałaś osłabić klan Bez Szczytów. Mogłaś spróbować otwartych negocjacji z Lanem, ale wolałaś spiskować z Doru, zaopatrywać w jadeit gangsterów działających na naszym terytorium oraz dostarczać im informacji.

Ayt nie przejęła się gniewem Shae.

– To prawda. Filar jest władcą klanu, kręgosłupem ciała. Może istnieć tylko jeden kręgosłup. Kaul Lan był dumnym człowiekiem, nie wyrzekłby się dobrowolnie władzy nad swoim klanem, a już z pewnością nie zrobiłby tego, dopóki miał wsparcie silnego rogu. A Gont Asch i Kaul Hilo w jednym klanie to jak dwa koguty w jednym kurniku. Musieliśmy zdobyć przewagę na ulicach, by umożliwić rozpoczęcie szczyrych i produktywnych negocjacji.

– Gdzie jest nadmiarowy jadeit, który wydobyliście?

Ayt zaskoczyła Shae, udzielając natychmiastowej odpowiedzi.

– Sprzedajemy go Ygutańczykom. Oczywiście, umowa jest ściśle tajna z uwagi na oficjalny sojusz Kekonu z Espenią. Wiemy jednak, że Ygutańczycy kupują już jadeit na czarnym rynku. Bez względu na to, co zrobimy, jak bardzo będziemy wzmacniali środki kontroli, przemysł pozostanie problemem. Przemysłnicy mogą osiągnąć korzyści tak wielkie, że nawet kara śmierci ich nie odstrasza. Jeśli zaoferujemy Ygutańczykom pewne źródło jadeitu, zniszczymy nielegalny handel. Przystępczość na Kekonie spadnie, a dochody klanu wzrosną. Będziemy zaopatrywali obie strony narastającego konfliktu. Zapewnimy sobie bezpieczeństwo i zysk, bez względu na to, która grupa cudzoziemców zwycięży.

– Dlatego zaczęliście produkować błysk. – Shae poczuła podziw dla prostoty tego planu. – Nie możecie sprzedawać Ygutańczykom tak wiele jadeitu, nie obiecując im również błysku.

– Fabryki na kontynencie produkują SN1 szybko i tanio. Nie chcielibyśmy takiego błysku na wyspie, ale dla cudzoziemców jest wystarczająco dobry. Ygutańczycy i tak nie zauważą różnicy, a poza tym mają tak wielu ludzi, że nie przejmują się stratami.

Shae zadała sobie pytanie, ile pieniędzy zarobiła już Góra na tych tajnych umowach. Kradzież jadeitu z państwowych zasobów, sprzedawanie go cudzoziemcom, handel błyskiem... to musiały być miliony dniów. Setki milionów.

W głosie Ayt pojawiła się nuta ekscytacji. Shae wyczuła w jej aurze ciężar nieustępliwej, śmiertelności wytrwałości, jak u jakiegoś hodowanego z myślą o polowaniu zwierzęcia, które, gdy raz poczuje trop, nie przerwie pościgu, chyba że padnie trupem.

– Jeśli stworzymy pewne źródło taniego SN1, będziemy mogli sprzedawać więcej jadeitu i nasze zyski wzrosną. Gdybyśmy zakręcili kurek, zagraniczne rządy będą miały problem z noszącymi jadeit ludźmi, którzy będą wpadali w obłęd, tracili panowanie nad swymi mocami albo umierali na śwędziawkę. W efekcie zmonopolizowaniu rynku zielone kości zachowają kontrolę nad jadeitem, a dzięki zdobytemu bogactwu będziemy mogli bronić kraju, jak robiliśmy to zawsze.

Shae milczała przez dłuższą chwilę.

– To naprawdę sprytny i wizjonerski plan, Ayt-jen – odezwała się wreszcie.

Mówiła szczerze. Ayt rzeczywiście była filarem najwyższej klasy. Nie zadowalało jej podążanie w ślady ojca. Zamierzała wprowadzić na nowe ścieżki nie tylko klan, lecz również cały Kekon. Była godną następczynią Włóchni Kekonu.

Pod przewodnictwem Ayt Góra będzie mogła stworzyć międzynarodowe imperium handlu jadeitem i narkotykami. Ich ojczyzna będzie podsycala globalne napięcia i czerpała zyski ze sprzedaży jadeitu oraz błysku milionom mieszkających za granicą ludzi. Zielone kości zasiądą na szczycie ciągle rosnącej jadeitowej piramidy.

– Całkowicie szczerze dzielę się z tobą swoimi planami, ponieważ widzę, że jesteś inteligentną i ambitną kobietą – oznajmiła Ayt. – W świecie zielonych kości, świecie mężczyzn, jest nas bardzo niewiele. Wiem, że ukończyłaś Akademię z pierwszą lokatą i byłaś ulubienicą Kaul Sening-

tuna, a mimo to bracia cię zaćmili. Przekonałaś się, że klan jest zaściankową instytucją ograniczającą twoją swobodę. Dlatego postanowiłaś pracować dla espeńskiej armii, a później opuściłaś Kekon.

Klatkę piersiową i szyję Shae zalała fala gorąca. Słowa Ayt były bezczelne, lecz w zasadzie trafne. Skąd się dowiedziała tego wszystkiego? Oburzała ją myśl, że filar Góry grzebała w jej przeszłości, by znaleźć coś, co pozwoli wyrzucić na nią wpływ, lecz zarazem schlebiali jej to w dziwny sposób.

– Dostrzegam w tobie coś z siebie w młodszych latach, Kaul Shae-jen. Gdybym wiedziała, że wrócisz na Kekon i znowu włożysz jadeit, zwróciłabym się do ciebie znacznie wcześniej. Rozwińmy razem ten spór. Twój brat jest niebezpiecznym, głupim i dziecinnyim człowiekiem. Kierują nim duma i żądza krwi. Będzie walczył do ostatniego człowieka, po prostu dla zasady. – Shae wiedziała, co usłyszy za chwilę. – Obal go. Zakończ tę bezsensowną wojnę. Ree Tura powinien niedługo przejść w stan spoczynku, a poza tym czuję się nim znużona. Zrobię cię swoją prognoścyczką. Prognoścyczką wielkiego klanu. Całego Kekonu.

– Przeceniasz moje możliwości, Ayt-jen. – Shae usłyszała we własnym głosie kwaśną, drażniącą nutę. – Opuściłam Kekon na całe lata i klan nadal nie uważa mnie za swoją. Szczęściodawcy i latarnicy akceptują mnie tylko z niechęcią. Wszystkie pięści i palce w klanie są wierne mojemu bratu.

– To nie musi się zmienić. Możemy to załatwić między sobą tak, by wszystko wydało się honorowe. Kaul Hilo może zginąć w walce jak bohater wojenny, którym najwyraźniej pragnie się stać. Nie obciąży cię piętno zdrady i nie będziesz musiała się obawiać zemsty jego ludzi. Potem wszystkie kroki, które podejmiesz, będą w pełni prawomocne.

Shae skinęła głową. Zasadzka. Spowodowanie, by Hilo znalazł się sam w miejscu i czasie, które wybiorą. Tym razem Góra zadba o to, by plan zamachu był lepszy. Niezawodny. Ayt mówiła o tym z całkowitą swobodą, jakby niezbędne bratobójstwo było transakcją biznesową jak każda inna. Ona naprawdę nie boi się osądu ludzi ani bogów. Niechciany podziw przybrał w ustach Shae smak kwasu. Ayt była silniejsza od niej.

Zerknęła na pokutników. Nadal siedzieli nieruchomo, a ich aur nie zakłóciła treść rozmowy, którą mogli przekazywać do samego nieba. Czy ktoś tego słucha? Być może medytacje pokutników są bezużyteczne, pomyślała Shae z nagłym przygnębieniem. Wzmocnione przez jadeit zmysły i moc Postrzegania pozwalały zielonym kościom widzieć otaczający je świat ze znacznie większą klarownością, ale w ostatecznym rozrachunku nie umożliwiały poznania wielkich prawd, nie dawały dowodu na istnienie bogów ani nadziei, że ludzie mogą kiedykolwiek stać się kimś więcej, niż są teraz. Czy Stary Wujek patrzył na nie teraz? Czy rozpaczał nad tym, co się stało z dziedzictwem honorowych wojowników? Nic nie mogłoby opóźnić Powrotu bardziej niż zielone kości planujące morderstwo w świątyni.

Ayt z pewnością widziała ambicję i resentment Shae, próbowała wykorzystać szansę stwarzaną przez jej rywalizację z Hilem. Rozumiała, co to mówi o niej. Jeśli droga do odkupienia wiodła przez Boskie Cnoty, nie była bliższa nieba niż kobieta siedząca obok niej. Spojrzała na Ayt.

– Ty widzisz we mnie młodszą wersję siebie, a ja w tobie zieloną kość, którą nie chcę się stać. Kiedyś jadeit coś znaczył. Nie popełnię wiarołomstwa. Nie zdradzę pamięci o zamordowanym bracie i nie sprzedam życia drugiego brata za władzę. – Wstała, zadając sobie pytanie, czy właśnie skazała się na śmierć. – Nie chcę mieć nic wspólnego z Kekonem, który sobie wyobrażasz.

Ayt przez kilka sekund siedziała nieruchomo. Wreszcie wstała i spojrzała na młodszą kobietę. Jej twarz nie zmieniła wyrazu, ale aurę wypełniły złowrogie zamiary. Mimo woli Shae cofnęła się o krok.

– Bardzo nie lubię, kiedy zmusza się mnie do czegoś, czego nie chcę – zaczęła, poprawiając jadeit na przedramionach. – Powinnam była umrzeć w wojennym sierocińcu, ale Ayt Yugontin uznał mnie za córkę i wyszkolił na najsilniejszą zieloną kość w całej Górze. Jednakże kiedy się zestarzał, nie potrafił się zdobyć na to, by mianować mnie swoją następczynią. Obawiał się tego, jak zareagują mężczyźni z wewnętrznego kręgu, gdyby przekazał kobiecie władzę nad klanem. Był Włóczynią Kekonu i nie bał się walczyć z Szotarczykami, ale strach nie pozwolił mu przekazać władzy nad klanem adoptowanej córce. Mężczyzna, którego zwałam ojcem i któremu zawdzięczam wszystko, zmusił mnie do działania. Nim jego ciało wystygło, musiałam zabić jego najbliższych

towarzyszy – zielone kości, które ceniłam i szanowałam – by zdobyć pozycję, którą powinnam otrzymać bez dyskusji. Mógł na łożu śmierci zapobiec rozlewowi krwi, ale tego nie zrobił. Oto przykład tchórzostwa i krótkowzroczności mężczyzn, nawet tych, którzy mają najlepsze intencje.

Na twarzy Ayt malował się wyraz rozczarowania.

– Dałam ci szansę, a ty nią wzgardziłaś. Nie obawiaj się, naiwna, idealistyczna dziewczynko. Nie każę cię zabić. Chcę, żebyś pamiętała o tej rozmowie, gdy zobaczysz, że ze zmasakrowanego ciała twojego brata zdarto jadeit, a twój klan legł w gruzach. Gdy sobie uświadomisz, że mogłaś temu zapobiec, ale tego nie zrobiłaś. Zmusiłaś mnie do tego. Pamiętaj.

Ayt wstała i opuściła świątynię. Ślad, jaki zostawiała jej aura w poświęconej Sali, niósł ze sobą zapowiedź suszy i straszliwych zniszczeń. Po jej odejściu do świątyni powróciła jednak harmonia. Siedzący w kręgu pokutnicy nie ruszyli się z miejsca. Shae została sama i jej emocje wyrwały się spod kontroli. Serce zabiło gwałtownie, a po twarzy spłynął pot. Osunęła się na kolana.

Niech niebo nam pomoże. Mojemu klanowi, wszystkim zielonym kościom i całemu Kekonowi.

## Rozdział 48

### Czytanie w chmurach

Hilo był wściekły na siostrę. Wtargnął do głównego budynku rezydencji Kaulów i znalazł ją w gabinecie Lana. Siedziała za biurkiem razem z Woonem. W przeciwieństwie do swego brata lubiła tu przebywać, choć nigdy nie widział, by siedziała na krześle Lana. Gdyby ją na nim zobaczył, zabroniłby jej tu przychodzić.

Shae i Woon czekali bez słowa na jego przybycie. Trudno byłoby nie Postrzec, że się zbliża. Przesunął dłonią po stole, rozrzucając papiery na wszystkie strony, mimowolnie Odbił puste krzesło Lana pod ścianę i porzucił książki z regałów. Następnie wsparł się obiema dłońmi na blacie i pochylił ku swej Prognostycze.

– Doru uciekł – oznajmił.

Shae pobladła. Natychmiast zrozumiała straszliwe implikacje tej informacji. Zdrajca z pewnością popędził prosto do Góry, zabierając ze sobą wszystkie biznesowe tajemnice klanu, nie wspominając już o planie rezydencji i jej umocnień.

– Przekonałaś mnie, żebym darował mu życie, zapewniałaś, że nie będzie zagrożeniem. Niepotrzebnie cię posłuchałem. Trzeba było zabić tę zmiję!

Twarz Hila poczerwieniała. Wytrzeszczył oczy. Zaciskał i rozluźniał dłonie, jakby rozpaczliwie pragnął je zacisnąć na szyi nieobecnego Doru.

Woon nerwowo odsunął się na krześle, ale Shae tylko gapiła się ze zdumieniem na rozgniewanego brata.

– Jak to zrobił? – zapytała.

– Om ma złamaną szczękę, a Nune nie żyje. Stary skurwysyn skrzył mu kark. Te palce to były dzieciaki! Niedawno włożyli jadeit, i mogli w ogóle go nie nosić. Jak ten stary strach na wróble zdołał...? – Na twarzy Hila pojawiło się nagle zrozumienie. Mięsień na jego policzku poruszył się w gwałtownym tiku. – Dziadek. – Odwrócił się i wypadł z gabinetu. – Dziadek!

Zerwała się z miejsca i popędziła za nim. Zignorował ją. Wszedł na piętro i gwałtownie otworzył drzwi pokoju dziadka. Kaul Sen siedział na wózku przy oknie. Uśmiechnął się szyderczo do wnuka. Na jego pomarszczonej twarzy malował się mściwy wyraz. W jego oczach, tak często teraz znużonych i nieobecnych, płonął okrutny ogień.

– Zapomniałeś, jak się puka, chłopcze? – wychrypiął.

– To ty dałeś Doru jadeit. – Hilo omiółł starca pełnym niedowierzania spojrzeniem. – Swój jadeit.

– Czemu miałbym tego nie zrobić!? – wrzasnął Kaul Sen. – I tak mi go stopniowo odbierałeś, ty bezczelny łajdaku! Myślisz, że tego nie zauważyłem? To wszystko, co mi zostało. – Patriarcha zrzucił koc na podłogę i rozchylił szlafrok, pokazując bladą, obwisłą skórę i pas pozbawiony większości kamieni. Wyglądał jak jakiś antyk, wytarty i pełen dziur, coś, co powinno się znaleźć w sklepie ze starzyzną. – To mój jadeit! Mogę go oddać, komu zechcę!

Hilowi zabrakło słów. Upewnił się, że w domu Doru nie ma jadeitu, a żaden ze strażników nie nosi niczego, co można by ukraść. Były prognostyk mógł zdradzić młodszych Kaulów, ale nie zabrałby jadeitu swemu jedynemu przyjacielowi, podobnie jak nie poderżnąłby mu gardła. Nie przyszło mu do głowy, że Kaul Sen mógłby dobrowolnie oddać jadeit Doru.

– Straciłeś zmysły – oznajmił. – Nie masz pojęcia, co uczyniłeś.

– Uwolniłem Doru – odpowiedział jego dziadek z okrutnym uśmiechem. – Nie musi już tu siedzieć, znosić takiego upokorzenia. Jak śmiałeś tak go traktować?! Był najlepszym ze wszystkich prognostyków, bohaterem narodowym! A ty zabrałeś mu jadeit i zamknąłeś go jak zwierzę, tak samo jak mnie. To obrzydliwe.

Hilo postawił z drżeniem kilka kroków w kierunku siedzącego na wózku starca. Był zbyt wściekły, by dać na głos wyraz morderczym pragnieniom. Shae podeszła do Kaul Sena, pragnąc go osłonić. Jej aura kipiała napięciem. Przeszyła brata ostrzegawczym spojrzeniem.

– Hilo!

Filar zatrzymał się w odległości około metra od wózka. Gdy przemówił, jego głos był przesyconym nienawiścią szeptem.

– Nikt w tej rodzinie nie mógł zostać filarem po tobie. Mam rację, dziadku? Nie Lan, a już z pewnością nie ja. Nikt poza wielkim Płomieniem Kekonu. Czepiałeś się Lana, kwestionowałeś każdy jego krok i tylko byś się śmiał, gdybyś zobaczył, jak córka Ayt Yu zdiera jadeit z mojego martwego ciała. Zostaniesz w tym pokoju aż do śmierci.

Odwrócił się, wyszedł i zatrzaskał drzwi za sobą. Zobaczył czekającego u podstawy schodów Wooną i w swej irytacji zapomniał, że mężczyzna nie jest już filarowym.

– Wezwij doktora Truw. Chcę, żeby temu człowiekowi podano środki uspokajające i zabrano mu resztę jadeitu. Kiedy Om się ocknie, powiedz mu, że ma od tej pory stać na straży przed pokojem dziadka. Żadnych telefonów ani wiadomości. Jeśli Doru spróbuje się z nim skontaktować, muszę się o tym dowiedzieć.

Hilo usiadł na schodach przed drzwiami frontowymi i zapalił jednego z nielicznych espeńskich papierosów, jakie mu pozostały. Coraz trudniej było je dostać. Szalejąca przemoc i wzrost przestępczości zakłócały dopływ importowanych towarów. Gospodarka z pewnością ucierpiała.

Dlaczego był taki głupi? Taki litościwy? I jeszcze Shae, zawsze broniąca starego diabła. Doktor Truw powiedział im, że Kaul Sen pograża się w demencji, w miarę jak traci tolerancję na jadeit, i nie zawsze zdaje sobie sprawę, co czyni, ale Hilo uważał, że po prostu złośliwość starca coraz bardziej wysuwa się na pierwszy plan.

Oplótł ręce wokół kolan. Czuł, że zmęczenie powoli zdobywa przewagę nad utrzymującym się gniewem. Dwa tygodnie, które minęły od jego wystąpienia w Gmachu Mądrości, gdy klan Bez Szczytów ogłosił, że pokój jest niemożliwy, i skazał miasto na wojnę, były naprawdę złe. Odnieśli kilka znaczących zwycięstw. Ogłoszenie wyników audytu KSJ zaszkodziło Ayt, dzięki temu, że kanclerz Son publicznie potępił Górę i zrobił użytek ze swych wpływów, a najważniejsi latarnicy klanu Bez Szczytów dochowali wierności, czekając, co wydarzy się później.

Jednakże Gont wygrywał wojnę na ulicach. Góra najwyraźniej doszła do wniosku, że dalsza powściągliwość nie ma sensu. Jeśli wszyscy ich żołnierze zginą, nie będzie miało znaczenia, że opinia polityków i sympatia ogółu przesunęły się na stronę klanu Bez Szczytów. Mimo że Hilo miał swoją sieć szpiegów, nie docenił taktycznego geniuszu Gonta ani tego, jak głęboko Góra zapuściła korzenie na jego terytorium dzięki wspieraniu gangów ulicznych i najemników, którzy atakowali klan w należących do niego dzielnicach.

Shae wyszła z domu i stanęła za plecami brata.

– Znajdę Doru – oznajmiła pozbawionym wyrazu głosem. – Masz rację, to był mój błąd. Darowałam mu życie i mam teraz obowiązek to naprawić.

– Uciekł już daleko – sprzeciwił się Hilo. – I nie będzie łatwo go znaleźć.

– Dorwę go – zapewniła.

Niech spróbuje. Sam zleci to zadanie Tarowi i mógłby się założyć, że jego człowiek wykona je szybciej.

– I tak jest już za późno – stwierdził, nie odwracając się. Brakowało mu energii, by nadal gniewać się na siostrę – Musimy przyjąć założenie, że Góra wie teraz wszystko, co wiedział Doru. Które z naszych firm są najbardziej wartościowe, a które są słabe, ile pieniędzy i jadeitu mamy, jak długo jesteśmy w stanie prowadzić wojnę.

Rozdeptał niedopałek.

– W takim razie dowiedzą się, że niezbyt długo.

Obejrzał się na nią, po czym znowu odwrócił wzrok.

– To znaczy, że nie jest dobrze.

– Liczba turystów spadła o połowę, a to szkodzi nam znacznie bardziej niż Górze. Niektóre z ich najsilniejszych sektorów, na przykład handel detaliczny, wręcz korzystają na wojnie, bo ludzie wykupują towary i mają motywację, by robić to natychmiast, zamiast czekać, bo jutro sklepu może już nie być.

– Po zawieszeniu działania KSJ zaprzestano wydobywania i eksportu jadeitu, więc nie mamy żadnych zysków z tego tytułu – dodał Woon, który dołączył do Shae przy drzwiach wejściowych.

Góra również odczuwa te straty, ale od dawna chomikowała jadeit i miała spore zapasy.

– Podczas wojny ulicznej odbieramy jadeit sobie nawzajem, ale jeśli nadal będą go zdoby-

wali więcej od nas, nasze zapasy się wyczerpią – dodała Shae. – Nadal musimy zrobić palce z absolwentów, którzy opuszczają Akademię za dwa miesiące.

– A co z pomniejszych klanami? – zapytał Hilo. – Czy moglibyśmy coś dostać od nich?

– Krótki Namiot i Jedność Sześciu Dłoni opowiedziały się za Górą, co nie jest zaskoczeniem – odpowiedziała Shae. – Kamienny Kubek jest z nami. Właściwie nie ma wyboru, bo jest całkowicie zależny od branży budowlanej. Klany Jo Sun i Czarny Ogon obiecywały poparcie, ale co nam z tego? Słowa brzmią miło, ale z jednego grona nie wyciśnie się wiele soku. – Na Kekonie istniało około tuzina małych klanów. Niektóre z nich dominowały nad miasteczkami w innych częściach wyspy, inne zaś okopały się w określonych gałęziach gospodarki, jedne były niezależne, a inne uznawały zwierzchnictwo jednego z dwóch wielkich klanów, ale żaden nie osiągał nawet jednej szóstej wielkości Góry albo klanu Bez Szczytów. – Reszta zachowuje się jak Tarcza Haedo i trzyma się z dala od konfliktu, z pewnością gotowa wysłać bukiety lilii tańczących gwiazd temu, kto zwycięży – dodała Shae.

Hilo podniósł się z niechęcią.

– Porozmawiajmy w domu – rzekł.

Weszli do środka. Mimo że nadal nie było to jego ulubione pomieszczenie, ruszył do gabinetu Lana, ponieważ tam można było znaleźć prywatność. Shae i Woon podążyli za nim. Pozrzucone przez niego książki i papiery nadal leżały na podłodze. Filar przeszedł nad nimi i usiadł na jednym z foteli, nakazując skinieniem Woonowi zamknąć drzwi.

– Powiedzcie mi, jak długo możemy wytrzymać.

– W takim tempie za pół roku będziemy skończeni. Nawet jeśli większość latarników zostanie z nami, co do tej pory robią. W przeciwnym razie znacznie krócej. Nie ma znaczenia, co mówi Son Tomarho ani czy ludzie uważają Ayt za oszustkę. Gdy zorientują się, że jesteśmy skazani na porażkę, oskarżą klan Bez Szczytów o to, że przedłuża cierpienia miasta. Zaczną odmawiać płacenia daniny i zwrócą się do zwycięzców.

– A co z Górą? Jak długo może prowadzić wojnę?

– Nie mamy pewności, ale dłużej od nas – odpowiedział Woon. – Jeśli rzeczywiście produkują błysk w Ygutanie, mają całkowicie niezależne źródło znacznych dochodów.

– Jest jeszcze gorzej – dodała Shae. – Sprzedają przemycony jadeit ygutańskiemu rządowi. Podpisali tajne umowy z Ygutańczykami. Tak właśnie wykorzystują część zapasów, które ukradli z kopalń. Żeby wkupić się w łaski cudzoziemców, którzy są przeciwnikami Espeńczyków. Jeśli dodać to do fabryk błysku, nie przypuszczam, by groziło im bankructwo.

Hilo spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Skąd wiesz, że Góra podpisała tajne kontrakty z Ygutaniem? Czy to pewne?

Usiadła naprzeciwko niego, założyła nogę na nogę i oplotła kolano palcami.

– Prognozyk czyta w chmurach – odpowiedziała. To stare powiedzenie znaczyło, że zadaniem prognozyka jest wiedzieć różne rzeczy i mieć tajne źródła informacji, by zawsze być o krok przed innymi. Hilo uśmiechnął się, słysząc, że jego siostra cytuje archaiczną klanową sentencję. To przypominało mu, że dobry filar nie przygląda się metodom i źródłom swego prognozyka zbyt dokładnie. Jak kaczką w wodzie, pomyślał. Zawsze podejrzewał, że tak będzie.

Nie odwzajemniła jego uśmiechu.

– Potrzebujemy dwóch rzeczy, Hilo. I to szybko. Po pierwsze, pieniędzy. A po drugie, odwrócenia fali wojny na ulicach. Jeśli ja znajdę dla nas to pierwsze, a ty i Kehn zdołacie osiągnąć drugie, może uda się nam przetrwać rok. – Opuściła wzrok, ale tylko na mgnienie oka. – Musimy się też zastanowić, co zrobimy, jeśli się nie uda.

Słusznie o tym wspomniała, ale filar osunął się tylko głębiej w fotel, oparł głowę i zamknął oczy.

– Nie teraz, Shae. Jeszcze nie dotarliśmy do tego punktu.

– Ale wkrótce możemy dotrzeć – sprzeciwiła się.

– Powiedziałem, nie teraz – powtórzył Hilo. – Zostawcie mnie na moment samego.

Po dłuższej chwili usłyszał, że jego siostra wstała. Oboje z Woonem pozbiali leżące na podłodze papiery, a potem wyszli bez słowa. Drzwi zamknęły się za nimi z cichym stukiem. Nadal siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

Z nietypowym dla siebie beznamiętnym spokojem rozważył możliwość, że zadanie wykra-

cza poza jego siły. Jeśli przegra i zginie – jedno w nieunikniony sposób prowadziło do drugiego – klan Bez Szczytów zapewne upadnie. Będzie ostatnim filarem w jego historii.

Gdyby po śmierci Lana był jakiś lepszy kandydat, Hilo ustąpiłby mu miejsca, zadowolając się pozycją rogu, do której lepiej się nadawał, i zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by wygrać wojnę za pomocą typowych dla niej metod. Nie miał jednak wyboru. Shae nie mogła zostać filarem. Z pewnością była inteligentna i dobrze nosiła jadeit, ale klan by jej nie zaakceptował. Była najmłodsza z rodzeństwa. Co więcej, była kobietą i z pewnością nie mogła się równać z Ayt Mada, która była najstarsza, ale i tak musiała zamordować wszystkich rywali, żeby zdobyć władzę. Shae nie posunęłaby się do tego, a poza tym brakowało jej umiejętności nawiązywania kontaktu z ludźmi oraz siły charakteru bądź charyzmy, dzięki której skłoniłaby inne zielone kości, zwłaszcza potężne pięści do narażania życia i kontynuowania wojny po śmierci Hila. Nie, pomyślał z przygnębieniem, jego siostra była żywym przykładem trzymającej się na dystans, samowystarczalnej kompetencji. Była zdolną bizneswoman, ale nie nadawała się na filar zielonych kości. Zresztą pragnęłaby tej pozycji jeszcze mniej od niego.

Poza nią nie było innych następców. Anden był Kauliem przez adopcję, ale był za młody. Nie nosił jeszcze jadeitu, a do tego w jego żyłach płynęła mieszana krew. Ayt zapewne i tak rozkazałaby go zlikwidować, na wszelki wypadek. Bracia Maik byli synami zhańbionej pięści Góry. Żadnego z nich nie zaakceptowano by jako przywódcy klanu Bez Szczytów, zakładając, że klan przetrwałby tak długo, by rozważano podobną możliwość. Kaul Sen miał starszą siostrę, a matka Hila dwoje młodszego rodzeństwa, które nie wyróżniało się niczym szczególnym, w klanie istnieli więc kuzyni drugiego albo trzeciego stopnia, lecz żaden z nich nie nosił nazwiska Kaul, nie odebrał odpowiedniego wychowania ani nie osiągnął niczego, co pozwalałoby mu ubiegać się o przywództwo.

Hilo był przyzwyczajony do myśli o śmierci, ale perspektywa zagłady rodziny, całego rodu i stworzonego przez ten ród klanu wstrząsnęła nim głęboko. Zadał sobie pytanie, jak mógłby dołączyć do Lana wśród umarłych, wiedząc, że nie wywarł zemsty, którą poprzysiągł. Wypełniała go też rozpacz na myśl, że nie zdążył ożenić się z Wen i dać jej dzieci. Przez krótką chwilę myślał o tych sprawach, pogrążając się w bólu, ale później wrócił stopniowo do teraźniejszości.

Jeszcze nie zginął. Człowiekowi, którego postrzelono albo pchnięto nożem, zadając mu śmiertelne obrażenia, mogło pozostać kilka drogocennych chwil, które pozwolą mu zabrać wroga ze sobą. Hilo widywał już takie przypadki. Siłą rogu był spryt wykorzystywany podczas starcia, a on był urodzonym rogiem. Podczas walki mogło wydarzyć się wszystko. Odpowiednia osoba, z odpowiednią okazją i odpowiednią bronią – oto czego potrzebował.

Teraz mogę zaplanować śmierć, pomyślał.



## Rozdział 49

### Propozycja dla Adamont Capita

Przystań promowa znajdowała się w części Dzielnicy Portowej kontrolowanej obecnie przez Górę. Pięści i palce Gonta miały się na baczości nie tylko przed ewentualnym kontratakiem klanu Bez Szczytów, lecz również przed złodziejami i przemytnikami, którzy mogli wykorzystać okazję wywołaną przejściem okolicy z rąk do rąk do wzmożenia aktywności.

Gdy Maik Wen podeszła do trapu, jeden z palców Gonta zapytał ją o bilet.

– Płyniesz na Euman, panienko? – zapytał.

– Tak, jen – odparła. – Moja babcia urodziła się w Shosone. – To była mała wioska rybacka na zachodnim brzegu wyspy Euman, która obecnie przerodziła się w turystyczny ośrodek, przyjmujący zarówno kekońskich urlopowiczów, jak i espeńskich żołnierzy. – Chciała, żeby pochowano ją w rodzinnej wiosce.

Wen opuściła ze smutkiem wzrok, spoglądając na niebieską urnę pogrzebową, którą ścisnęła w dłoniach. Miała na sobie prosty biały sweter oraz długą wełnianą spódnicę tego samego koloru, a twarz posypała sobie białym pudrem. Serce biło jej nieco szybciej niż zwykle, ale z pewnością to było normalne u każdego, kogo zatrzymała nieznamiona zielona kość z klanu, który niedawno podbił okolicę. To zrozumiałe, że była zaniepokojona, nawet jeśli nie miała nic do ukrycia. Młody mężczyzna z jadeitowymi kolczykami w uszach nie Postrzeże niczego niezwykłego.

– Niech bogowie obdarzą ją uznaniem. – Mężczyzna oddał jej bilet z głęboko zawstydzoną miną. – Obawiam się, że muszę cię poprosić o otwarcie urny.

Wen wessała powietrze z oburzenia.

– Jen – zaprotestowała.

– W tych czasach jest bardzo wielu przestępców – wyjaśnił palec przeproszającym tonem. – Musimy sprawdzać bagaż wszystkich, którzy wsiadają na pokład, w poszukiwaniu broni i kontrabandy.

Albo jadeitu. Na Eumanie można było znaleźć długie odcinki niestrzeżonego wybrzeża, a co bardziej inteligentni przemytnicy woleliby, żeby złapali ich Espeńscy, a nie zielone kości. Jadeit zdobyty w klanowych wojnach i wywieziony łodzią z Janloonu mógł trafić na kontynent, do Tun, albo na wyspy Uwiwa. Wen przeszła palec Góry pełnym przekonującego oburzenia spojrzeniem, ale szybko spuściła wzrok, uniosła glazurowane wieko urny i pozwoliła mężczyźnie zajrzeć do środka.

Gdyby dotknął urny albo zabrał ją Wen, by sprawdzić zawartość, wszystko byłoby stracone. Nie zabiliby jej, nie natychmiast. Góra dowiedziałyby się, kim jest, i wykorzystałyby ją przeciw Hilowi. Rzucę się do wody, pomyślała. Razem z urną szybko poszłyby na dno.

– Możesz przejść, panienko – rzekł młody mężczyzna. – Wybacz brak szacunku, jaki okazałem tobie i twojej babci.

Odsunął się na bok i ją przepuścił. Wen przywróciła wieko na miejsce i weszła na pokład. Jej twarz odzyskała żałobny wyraz, jakiego od niej oczekiwano. Nikt nie wyczytałby z niej ulgi, jaką czuła w rzeczywistości. Co więcej, jej ciało nie towarzyszyła jadeitowa aura. Zauważyła, że palec z Góry pociągnął się za płatek prawego ucha, gdy przechodziła obok, ale chodziło mu o ochronę przed duchowymi szkodami, jakie mogło na niego ściągnąć poddawanie oględzinom szczątków umarłych, a nie o to, że wiedział, że jest kamiennooką. Mocniej przycisnęła urnę do piersi. Nie obchodziło jej już, jak wielkiego pecha przynosi, ważne, że zapewniało jej to ochronę i służyło sprawie. Jej upośledzenie było jak brzydki przedmiot, który sam w sobie wydawał się niepożądany i nieatrakcyjny, ale okazywał się bardzo użyteczny, gdy umieszczono go we właściwym miejscu. Pozostali pasażerowie – ludzie dojeżdżający do pracy, jednodniowi wycieczkowicze oraz turyści – trzymali się od niej na dystans, gdy zajęła miejsce w pobliżu dziobu. Rozległ się przenikliwy gwizdek i prom ruszył w drogę. Wen z satysfakcją przyglądała się oddalającemu się brzegowi. Mogła wynająć prywatną łódź, zamiast ryzykować przeprawę promem, ale w ten sposób zostawiłaby w dokumentach wpis z nazwiskiem Maik, który mógłby przyciągnąć uwagę, gdyby

straż przybrzeżna zatrzymała i przeszukała łódź. Przeprawa promem pozwalała zachować anonimowość, a osobiste ryzyko było warte potencjalnych zysków.

\*\*\*

Półtorej godziny później Wen wysiadła w małym porcie na Eumanie. Czekał na nią samochód. Shae załatwiła to z wyprzedzeniem. Euman, podobnie jak Mały Guzik, oficjalnie nie był częścią Janloonu, gdy jednak ten drugi był niewielkim samodzielnym miastem, Eumanem w praktyce władali Espeńczycy. Gdy tylko samochód ruszył małomiasteczkowymi uliczkami, Wen zauważyła sklepy z dwujęzycznymi napisami, kantory wymiany walut, z wypisanymi aktualnymi kursami kekońskiego diena wobec espeńskiego thalira, eleganckie cudzoziemskie sklepy i restauracje, a także – co najbardziej przyciągnęło jej uwagę – Espeńczyków chodzących po ulicach, w mundurach i po cywilnemu.

Poczuła się tak, jakby nagle znalazła się w obcym kraju, będącym połączeniem Kekonu z tym, jak wyobrażała sobie Espenię. Oczywiście w dzisiejszych czasach na ulicach Janloonu również często widywało się cudzoziemców, ale z pewnością nie aż tylu. Na Eumanie przebywało dwadzieścia pięć tysięcy osób należących do espeńskiego personelu wojskowego. Większość Kekończyków wolała ignorować ten fakt, dopóki pozostawali oni na tej skalistej i wietrznej wyspie wulkanicznej. Klany nie kontrolowały Eumanu, ale znajdował się on bardzo blisko Janloonu i ich wpływy z pewnością dawały się tu odczuć. Kierowca nieprzyciągającego uwagi szarego sedana z szacunkiem otworzył przed nią drzwi i nie zadawał żadnych pytań.

Wen raz jeszcze powtarzała sobie to, co miała powiedzieć po przybyciu na miejsce. Bardzo teraz żałowała, że nie nauczyła się mówić po espeńsku. Gdy samochód mijał lotniska oraz obszary usiane silosami i turbinami wiatrowymi, przez kilka minut w milczeniu obracała w ustach obce dźwięki, powtarzając to, co kazała jej powiedzieć Shae.

– Jak się nazywasz? – zapytała nagle kierowcę.

Mężczyzna spojrzał na nią przez ramię.

– Ja? Nazywam się Sedu.

Pan Sedu był rumianym mężczyzną o krótkiej brodzie i pokrytych stwardnieniami palcach. Wen nigdy nie zapomniała nazwisk ani twarzy, a teraz zapisała go sobie w pamięci. Według Shae był on zięciem szczęściodawcy będącego podwładnym Hami Tumashona i z pewnością nic nikomu nie powie.

– Czym się zajmujesz, panie Sedu? – zapytała go Wen ze szczerą ciekawością i ciepłym uśmiechem.

– Jestem elektrykiem.

– Czy to dobra praca?

– Ach, całkiem niezła. – Pan Sedu uspokoił się nieco. Wen podejrzewała, że gdy polecono mu odebrać z przystani promowej przedstawiciela klanu i nie wspominać o tym nikomu, wyobrażał sobie, że będzie wioził zieloną kość niepokojąco wysokiej rangi, kogoś takiego jak Hilo albo któryś z braci Wen.

– Często pracujesz dla Espeńczyków?

– Tak, bardzo często – przyznał. – Mają tu bardzo dużo budynków i ciągle czegoś potrzebują. Przyjąłem już trzech uczniów, a teraz szukam czwartego. Espeńczycy dobrze płacą, zawsze na czas i w thalirach.

– Na pewno masz mnóstwo roboty. Cieszę się, że znalazłeś czas, by mnie podwieźć.

Pan Sedu mruknął coś niezobowiązująco. Z jego ciała odpłynęły resztki napięcia.

– Powinno się służyć przysługą, jeśli to tylko możliwe. Rozmaici cudzoziemcy przychodzą i odchodzą, a klany zawsze będą z nami.

– Dobrze mówisz po espeńsku, panie Sedu? – zapytała z uśmiechem Wen.

– Jakoś się dogaduję. Ale nie tak dobrze jak moja córka. Pragnęłaby pojechać na studia do Espenii, ale nie chcę jej puścić tam samej. Espeńscy mężczyźni robią, co tylko zechcą, i nie ponoszą żadnych konsekwencji.

– Mógłbyś przez chwilę poćwiczyć ze mną espeńską wymowę?

Po godzinie samochód pana Sedu zatrzymał się pod wysokim płotem z siatki, na którym umieszczono liczne kamery oraz wielkie czerwone tablice z napisem NIEUPOWAŻNIONYM

WSTĘP WZBRONIONY. Na silnym wietrze, typowym dla wyspy, głośno łopotała flaga Republiki Espanii. Pan Sedu zatrzymał się, nim dojechali do budki wartownika.

Wen wysiadła i pokonała resztę drogi na piechotę, trzymając przed sobą niebieską urnę z prochami. Nieustępliwy wiatr Eumanu targał jej ubranie i ciasnym kokiem, w który związała włosy. Wen oddychała powoli, by zachować spokój. Bała się bardziej niż podczas rozmowy z palcem przed wejściem na prom. Od tej chwili jej powodzenie zależało wyłącznie od tego, czy Kaul Shae trafnie oceniła sytuację. Wen nie ufała do końca prognoście, choć nie wątpiła w jej inteligencję. Siostra Hila odwróciła się kiedyś plecami do rodziny i opuściła Kekon. Co powstrzyma ją przed uczynieniem tego ponownie?

Wen podjęła już jednak decyzję i nie miała innego wyboru niż zaufać drugiej kobiecie. Jej niepokój byłby jeszcze głębszy, gdyby prognościczka nie wyraziła szczerze swych obaw.

– Duch Lana splunąłby na mnie za to – oznajmiła z przygnębieniem tak głębokim, że Wen poczuła się nieco zdziwiona. Zawsze postrzegała Kaul Shae jako trzymającą się na dystans, a nawet nieprzyjazną osobę. Podejrzewała, że siostra Hila musi się czuć naprawdę zdesperowana, jeśli zwierza się jej tak otwarcie.

– Lan zrobiłby wszystko, żeby uratować rodzinę. Byłby ci wdzięczny za to, że postąpiłaś tak samo – zapewniła ją wtedy Wen. Trwająca wojna klanów już groziła espeńską interwencją i klan Bez Szczytów powinien skontaktować się z Espeńczykami, zanim zrobi to Góra.

Shae skinęła z rezygnacją głową.

– Espeńczycy nie boją się walczyć, ale jedno wiem o nich na pewno. Wierzą, że wszystko, czego pragną, można kupić za pieniądze.

Gdy Wen podeszła bliżej, z budki wyszedł wartownik z pistoletem w kaburze u pasa. Zaczął jej zadawać jakieś pytanie, ale Wen mu przerwała. Mówiła głośno, by espeńskie słowa przebiły się przez szum wiatru.

– Pułkownik Deiller. Proszę. Porozmawiać z pułkownik Deiller. Przychodzę od Kaul Shaelinsan z klan Bez Szczytów. Mam wiadomość dla pułkownik Deiller z Espanii.

\*\*\*

Pułkownik Leland Deiller, dowódca kontyngentu piechoty okrętowej Republiki Espanii stacjonującego w bazie Marynarki Wojennej na Eumanie, siedział za biurkiem, ciesząc się rzadką chwilą wytchnienia po poranku spędzonym na rozmowach telefonicznych. Służył tu już niemal cztery lata i przez cały ten czas Kekon nigdy nie przyciągał tak wielkiej uwagi jak teraz. Jego zwierzchnicy w Adamont Capita skupiali się na powstrzymaniu narastającego zagrożenia, jakim był Ygutan, i dopóki kekoński jadeit nie przestawał docierać do Espanii, byli zadowoleni. Teraz jednak sytuacja się zmieniła i Deiller zaczął odbierać telefony od zaniepokojonych generałów najwyższej rangi, a nawet od samego sekretarza Departamentu Wojny.

Ktoś zapukał do drzwi. Deiller ujrzał kościstą twarz swego zastępcy, podpułkownika Yanceya.

– Pułkowniku, myślę, że musisz to zobaczyć.

Po drodze Yancey opowiedział mu wszystko.

– Przed godziną przysłała jakaś kobieta. Wymieniła cię z nazwiska i poprosiła o rozmowę z tobą. Twierdzi, że przysłała ją Kaul Shaelinsan.

Tego nazwiska Deiller nie słyszał już od dłuższego czasu.

– Kaulowie to janloońska rodzina klanowa – stwierdził. – Czy tę kobietę przysłała wnuczka?

– Tak powiedziała.

– Myślałem, że Kaul Shaelinsan opuściła Kekon i wyemigrowała do Espanii.

– Najwyraźniej wróciła. – Yancey zatrzymał się przed drzwiami małego pokoju spotkań. – Mam przynieść wszystko, co wiemy na jej temat?

– Zrób to – zgodził się Deiller.

Weszli do środka. Siedząca na krześle kobieta miała na sobie kekoński strój żałobny, a na kolanach trzymała kekońską urnę pogrzebową.

Pułkownik obrzucił swego zastępcę pytającym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na nieoczekiwane gościa.

– Jestem pułkownik Deiller. Ja tutaj dowodzę.

– Moje nazwisko Maik Wenruxian – odpowiedziała kobieta, posługując się łamanym, lecz zrozumiałym espeńskim. – Kaul Shaelinsan z klanu Bez Szczytów przesyła pozdrowienia.

Deiller zerknął na Yanceya.

– Czy możemy sprowadzić tu tłumacza? – Ponownie spojrzął na kobietę. Z pewnością sprawdzono, czy nie ma broni, i przeszła przy wejściu przez wykrywacz metalu, ale jego wzrok zatrzymał się na urnie, którą trzymała w rękach. – A co właściwie oznacza ten przedmiot, panno Maik?

Kobieta wstała i zdjęła pokrywę z ceramicznego naczynia. Następnie, ku zdumieniu pułkownika, wysypała jego zawartość na blat. Najpierw pojawił się strumień szarego i białego popiołu.

– Co to...?! – zawołał Deiller, lecz nagle wybałuszył oczy, gdy z urny wysypały się kamienie. Uderzając o siebie ze stukiem, spadły na stertę proszku, w którym były ukryte. Kobieta wyjęła z urny ostatnie kawałki skały, postawiła urnę na blacie i rozciągnęła usta w pełnym samozadowolenia uśmiechu na widok zdumionych min obu mężczyzn.

– Jadeit – oznajmiła.

Yancey zagwizdał.

– To na pewno jest warte cholerną fortunę.

– Wezwij Gavisona – rozkazał Deiller. – Niech mi powie, czy to prawdziwy kekoński jadeit.

Przyszedł tłumacz, pan Yut. Oczy omal mu nie wyszły mu z orbit, gdy zobaczył leżące na stole klejnoty.

– Wyjaśnij, dlaczego masz ze sobą tyle jadeitu i jak go tu przyniosłaś – zażądał Deiller.

Pan Yut przetłumaczył jego słowa.

– Ponieważ Kekoński Sojusz Jadeitowy stał się przedmiotem dochodzenia w sprawie nadużyć finansowych, wydobycie i eksport jadeitu zawieszono. Dotyczy to również oficjalnej sprzedaży go Republice Espenii. Zdajemy sobie sprawę, że to niedogodne. – Kobieta przerwała na chwilę, żeby tłumacz mógł ją dogonić, po czym wskazała na leżące na stole klejnoty. – Klan Bez Szczytów ma własne zasoby jadeitu i jego prognostyczka chciałaby wynegocjować poufne porozumienie, które złagodzi skutki nagłego załamania podaży jadeitu.

Deiller uniósł brwi. Załamanie było trafnym określeniem. Od chwili, gdy w największym mieście na Kekonie wybuchła wojna między klanami, wojskowi analitycy w Adamont Capita coraz bardziej niepokoili się perspektywą, że zwycięski klan zdobędzie niemal absolutną władzę polityczną, a to mogłoby oznaczać, że wszystkie kontrakty zawarte z Republiką Espenii utracą ważność lub trzeba je będzie renegocjować na mniej korzystnych warunkach. Jadeit miał kluczowe znaczenie dla militarnej i politycznej siły republiki w tej części świata. Znajdowało się tu kilka espeńskich baz wojskowych, gospodarka Kekonu szybko rosła i modernizowała się, a społeczeństwo żywiło historycznie umotywowaną nienawiść do Szotaru i Tun. A co najważniejsze, wyspa była jedynym źródłem bioenergetycznego jadeitu na całej Ziemi. Deiller odebrał już kilka telefonów od zwierzchników, pragnących omówić możliwość militarnej interwencji mającej doprowadzić do przejęcia kontroli nad kekońskimi kopalniami, gdyby sytuacja się pogorszyła.

– Czy potrafisz udowodnić, że reprezentujesz klan? – zapytał pułkownik.

Uważne spojrzenie kobiety i biały puder na jej twarzy sprawiały, że wydawała się bardziej nieśmiała i zdystansowana niż typowe Kekonki.

– Kaul Shae prosiła, żebym ci powiedziała, że kormoran nadal może łapać ryby – odparła, pochylając głowę.

W tej samej chwili do pokoju wszedł doktor Gavison. Włożył ołowiane rękawice i ujął w metalowe szcypce jeden z największych kamieni, po czym przyjrzał się mu przez małą lupę. W ten sam sposób potraktował kilka następnych.

– Tak, to bioenergetyczna struktura minerału – potwierdził. – Nieobrobiony kekoński jadeit.

– Panno Maik – rzekł pułkownik Deiller. – Czy mogłabyś chwilę tu poczekać?

Kobieta skinęła głową i usiadła.

– Zaczekam.

\*\*\*

– Jak udało się jej przenieść tak wiele niezabezpieczonego jadeitu? Nie jest jedną z pierwot-

nym mieszkańców wyspy – zapytał Deiller, gdy znaleźli się w jego gabinecie za zamkniętymi drzwiami.

– Na pewno jest niereaktywna – wyjaśnił doktor Gavison. – To genetyczna cecha. Występuje naturalnie, ale jest rzadka. Kekończycy nazywają ich kamiennookimi.

Yancey wręczył przełożonemu aktówkę.

– To wszystko, co znalazłem o Kaul Shaelinsan. Ostatniej wiosny ukończyła Szkołę Biznesu Belforte’a w Windton. Nie tylko wróciła do Janloonu, lecz została drugą osobą w klanie, po tym, jak jej najstarszego brata zamordowano przed paroma miesiącami.

Deiller przerzucił kartki. Były tam zapiski oraz zdjęcia Kaul Shaenlinsan sprzed pięciu lat. Jako agentka pracująca dla Espeńczyków zdobyła dla nich kilka ważnych informacji, których osiągnięcie w inny sposób byłoby bardzo trudne bądź wręcz niemożliwe. Deiller spotkał się z nią tylko raz, ale świetnie ją pamiętał. Wyglądała bardzo niepokojąco – młoda kobieta nosząca więcej jadeitu niż cały oddział espeńskich sił specjalnych. Zadał sobie wtedy pytanie, czy mogliby zwerbować więcej takich zabójców.

– Pułkowniku, czy zauważyłeś jej kryptonim? „Kormoran”.

– Kormoran nadal może łapać ryby – powtórzył słowa wysłanniczki Deiller.

Przypomniał sobie, że fakt, iż Kaul Shaelinsan pracowała dla nich, wywołał wówczas spore zamieszanie. Z wyższych kręgów dyplomatycznych szybko nadeszły rozkazy zerwania z nią wszelkich kontaktów. To jednak nie znaczyło, że nie będzie można ich wznowić, gdyby sytuacja się zmieniła.

– A co z tą wysłanniczką? Wiemy coś o niej?

– Nic – odparł Yancey. – Pomijając fakt, że nosi to samo nazwisko, co dwóch bardzo wpływowych członków klanu. Braci Maik uważa się za najbardziej zaufanych doradców i wojowników drugiego z braci Kaul, który obecnie kieruje klanem. Jeśli mówi prawdę, zapewne jest ich siostrą albo kuzynką.

– Musi mieć wysoką pozycję w klanie, jeśli uzyskała dostęp do takiego jadeitu – wtrącił Gavison. – To nie jest materiał, jaki przemycają przestępcy, lecz bioenergetyczny jadeit najwyższej jakości, niemal pozbawiony skaz. Jedna z najcenniejszych substancji na świecie. To, co wysypała z tej urny, zapewne jest warte około dwustu milionów dienów. Dwadzieścia albo trzydzieści milionów thalirów.

– Ile jadeitu tracimy co miesiąc z powodu zawieszenia eksportu? – zainteresował się Yancey. – Jak poważne są długoterminowe zagrożenia dla naszych źródeł?

Deiller zmarszczył brwi, spoglądając na swego zastępcę.

– Dopilnuj, by panna Maik czuła się komfortowo, a jadeit zamknięto w bezpiecznym miejscu. Nie chcę, żeby to wyszło na jaw, trzeba więc będzie porozmawiać też z panem Yutem. Muszę zadzwonić do Adamont Capita, do generała Sakera.

## Rozdział 50

### Zielone Bractwo

Odciętą głowę Lott Penshugona dostarczono do rezydencji Kaulów w skrzynce na jarzyny. Wycie wściekłości Hila niosło się po całym dziedzińcu. Nikt, nawet Shae, nie próbował go pocieszać. Lott Pen był trzecim z jego pięści, którego w ostatnich trzech tygodniach wciągnięto w zasadzkę, zamordowano i ścięto mu głowę. Nie był zbyt sympatycznym człowiekiem, ale Hilo uważał go za jednego ze swych najgroźniejszych i najbardziej niestrudzonych wojowników, kogoś, kto po odpowiednim słowie zachęty bez zadawania pytań zrobiłby wszystko, o co by go poprosił.

Utrata każdego z dobrych pięści – ostatnimi ofiarami byli Lott, Niku i Trin, ale przed nimi taki sam los spotkał również Gouna, Obu, Mitta, Aseia, Ronu i Satta – była dla Hila jak rana zadana jemu osobiście przez Gont Ascha. Skurwysyn systematycznie wykrwawiał klan Bez Szczytów, zabijając kolejnych ludzi Hila, nim dotrze do niego samego.

Upłynęło kilka godzin, nim udało się znaleźć pozbawione jadeitu i podziurawione kulami oraz ostrzami ciało Lotta, by połączyć je z głową. Zadanie zawiadomienia rodziny, okazania szacunku zabitemu i wypłacenia zasiłku pogrzebowego powinno należeć do Maik Kehna, ale to był jedyny obowiązek rogu, którego Hilo nie chciał nikomu przekazać. Gdy obaj zjawili się w jego mieszkaniu, żona Lotta padła na podłogę i zaczęła łkać głośno. Szczerze mówiąc, Hilo nie był pewien, czy to płacz żałoby, czy raczej ulgi. Życie z Lott Penem z pewnością nie było łatwe. Kehn wcisnął jej w dłoń białą kopertę i zapewnił, że jej mąż oddał życie za klan i w związku z tym klan zadba o jego rodzinę. Jej dzieciom nigdy nie zagrożą głód ani bezdomność.

Hilo zauważył czworo dzieci – dwulatka, sześciolatniego chłopca, dziesięcioletnią dziewczynkę oraz młodzieńca, kolegę Andena z roku. Chłopak stał z pozbawioną wyrazu twarzą, otoczony młodszym rodzeństwem. Nadal miał na sobie mundur. Przybył tu pośpiesznie z Akademii, usłyszawszy wiadomość o śmierci ojca. Hilo klęknął przed młodszymi dziećmi.

– Wiecie, kim jestem? – zapytał.

– Jesteś filarem – odpowiedziała dziewczynka.

– Zgadza się – potwierdził Hilo. – Przyjechałem tu, by wam powiedzieć, że wasz ojciec nie żyje. Zginął, ponieważ przysiągł przede mną, że będzie bronił klanu przed jego wrogami. Ludzi takich jak my często spotyka ten los. Sam straciłem ojca, zanim nauczyłem się chodzić, a starszego brata parę miesięcy temu. Macie prawo do smutku i gniewu, lecz powinniście również być dumni. Kiedy dorośniecie i zasłużycie na jadeit, będziecie mogli powiedzieć: „Jestem synem albo córką Lott Penshugona”, a inne zielone kości z szacunkiem oddadzą wam honory z powodu tego, co wydarzyło się dzisiaj.

Wyprostował się i spojrzał na syna Lotta.

– Czy Testy już się skończyły?

Młodzieniec powoli skierował na niego uwagę, jakby wydobywał się ze stuporu na jawie.

– Tak – odpowiedział wreszcie.

Hilo skinął głową. Uroczystość wręczenia dyplomów odbędzie się dopiero po Tygodniu Noworocznym, gdy ustali się ostateczną klasyfikację i każdy z absolwentów oznajmi, które przysięgi zamierza złożyć. Ale, pomijając uroczystość, chłopak był teraz mężczyzną i głową rodziny zielonych kości.

– Przykro mi, że nie będziesz mógł się cieszyć zakończeniem Testów ani Tygodniem Noworocznym. – W głosie Hila pobrzmiwało współczucie, lecz słyszało się w nim również twardy ton, jakim zawsze posługiwał się podczas oficjalnych rozmów z podkomendnymi. – Wkrótce zjawi się tu przedstawiciel klanu, który załatwi sprawy związane z pogrzebem twojego ojca. Jeśli czegoś od nas potrzebujesz, Lott-jen, czegokolwiek, zadzwoń bezpośrednio do rogu, a jeśli nie będziesz mógł go znaleźć, zadzwoń do rezydencji i zostaw dla mnie wiadomość.

Na twarzy młodego mężczyzny pojawił się przelotny grymas. Jego uwagi nie umknął fakt, że Hilo zwracał się do niego jak do zielonej kości i członka klanu. Obejrzał się na leżącą na podłodze matkę, a potem opuścił wzrok, spoglądając na skupione wokół niego młodsze rodzeństwo. Hilo

obserwował jego oczy. Podczas ich pierwszego spotkania były pełne pogardy i złości, ale teraz oszołomienie powoli ustępowało w nich miejsca mrocznej akceptacji i złowrogiej determinacji.

– Dziękuję za szczodrość, Kaul-jen – odparł, po czym uniósł splecione dłonie do czoła i pokłonił się nisko, oddając honory.

– Ten młody mężczyzna jest teraz naszym bratem – oznajmił Hilo Kehnowi, gdy już wyszli z domu. – Musimy o niego zadbać i uczynić go członkiem klanu. Tego pragnąłby jego ojciec. Zastanów się, jak najlepiej możemy to zrobić. Może przydziel go Vuayowi, on jest dobrym mentorem.

\*\*\*

Wyobrażenia Hila na temat tego, co to znaczy być przywódcą zielonych kości, skryształowały się około trzynastu lat temu, gdy bracia Maik wpadli w pułapkę zastawioną przez sześciu chłopaków z Akademii i Kehnowi paskudnie złamano kość policzkową.

Do tej chwili nie poświęcał Maikom szczególnej uwagi. Tar był z nim na czwartym roku, ale nie przyjaźnili się ze sobą. Bracia Maik mieli niewielu przyjaciół. Mogli nawet nie mieć ich w ogóle.

Byli ze sobą blisko, bo wszyscy wiedzieli, że pochodzą z rodziny, która okryła się hańbą. Pewnego dnia złośliwa uwaga skłoniła Tara do zaatakowania innego chłopaka. Instruktorzy go ukarali, ale koledzy pobitego, w tym również Hilo, postanowili zaczekać na szansę złapania Maików poza terenem Akademii.

Bracia bronili się z wielką zaciekłością. Hilo trzymał się z tyłu. Pobity chłopak, Uto, miał później zostać jedną z jego Pięści, ale wtedy jeszcze się nie przyjaźnili, uważał więc, że inni powinni mieć pierwszeństwo w wywarceniu zemsty. W pewnej chwili doszedł jednak do wniosku, że Maikowie oberwali już wystarczająco mocno. Walka trwała nadal tylko dlatego, że Tar nie odniósł dotąd poważniejszych obrażeń. Kehn, dwa lata starszy i większy od brata, wziął ciężar obrony na siebie i również zadawał napastnikom imponujące szkody.

Odmowa kapitulacji słono go kosztowała. W końcu zadano mu cios tak mocny, że osunął się z jękiem na kolana. Oczy Tara zaszyły mgłą wściekłości. Chłopak nie wiadomo skąd wyciągnął karambit. To powstrzymało napastników. Do tej pory przestrzegano niepisanych zasad – używano tylko rąk i nóg i nie wolno było bić przeciwnika obalonego na ziemię. Pojawienie się noża oznaczało, że walka może zakończyć się śmiercią, a to dla wszystkich uczestników oznaczałoby wyrzucenie z Akademii. Przez grupę przeszła fala lęku i niepewności.

Hilowi nie spodobało się to, w jakim kierunku zmiierzają sprawy.

– Starczy tego! – zawołał.

Do tej pory miał w grupie autorytet, ale nie do tego stopnia, by wszyscy posłuchali go w wirze walki.

– Nie starczy – sprzeciwił się Asei. – Musimy dać tym dwóm nauczkę. Nie można im ufać.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał z zainteresowaniem Hilo.

Gdy zobaczył, jak zawzięcie walczą bracia Maik i z jaką pasją bronią siebie nawzajem, zrodził się w nim podziw dla nich. Zazdrościł im tej więzi. Nagle pożałował, że nie ma brata w zbliżonym wieku. Lan ukończył Akademię w tym samym roku, w którym Hilo rozpoczął w niej naukę.

– Wszyscy wiedzą dlaczego – nie ustępował Asei.

– Ja też uważam, że nie starczy – warknął Tar. Unosił przed sobą karambit, a w jego oczach gorzała zwierzęca dzikość. Hilo podejrzewał że chłopak nie dba już o to, czy wyrzucą go za zabójstwo.

– Jeśli chodzi o Uta, to wystarczy – kontynuował Hilo, nadal mówiąc do Aseia. – A jeśli masz do Maików jakieś inne pretensje, trzeba było powiedzieć o tym wcześniej. Nie mam pojęcia, o co może ci chodzić. Czy ktoś to wie?

– Łatwo ci mówić – zaprotestował inny chłopak, unoszący dłoń do krwawiącego nosa. – Nie zrobiłeś w walce prawie nic, Kaul. Reszta z nas walczyła za ciebie i nadal mamy do nich pretensję.

Minęła chwila, nim wszyscy sobie uświadomili, że chłopak – nazywał się Yew – powiedział coś niewłaściwego. W oczach Hila pojawił się niebezpieczny błysk.

– W porządku – odezwał się po kilku sekundach. Choć mówił cicho, jego głos docierał do wszystkich w zaułku, w którym nagle zapadło całkowite milczenie. – Nie mogę się spierać z Yew.

Nie powinienem sugerować, że powinniśmy zaprzestać walki, skoro nie ucierpiałem w takim stopniu, jak pozostali. Nie byłoby też sprawiedliwe, gdyby Kehn i Tar musieli nadal walczyć we dwóch przeciwko sześciu, skoro już zostali ukarani i nic nie mogą poradzić na to, że wszyscy nienawidzą ich rodziny. Będę walczył z Maikami. Jeśli pokonają mnie we dwóch, to rozwiąże problem Tara i Yew. – Hilo rzucił kurtkę i wręczył ją Yew. – Nikomu innemu nie wolno się wtrącać. Jeśli ktoś to zrobi, policzę się z nim innego dnia.

Wszyscy spoglądali na niego z niedowierzaniem, choć jednocześnie byli zaciekawieni. Zapowiadała się interesująca walka. Maikowie byli groźni, a Kehn był potężnie zbudowany, ale obaj czuli już zmęczenie i odnieśli obrażenia. Hilo był świeży, a w dodatku był Kaulem. Nikt, kto nie chciał narazić się jego rodowi, nie odważyłby się wyrządzić mu poważnej krzywdy. Z drugiej strony Maikowie raczej nie mogli pogorszyć sobie reputacji.

Hilo przyjrzał się braciom. Twarz starszego była poobijana, a na obliczu młodszego malowało się szaleństwo.

– Odłóż ten karambit – odezwał się z takim spokojem, jakby prosił Tara o zamknięcie okna. – Dam wam trzy ciosy dla wyrównania szans. Na pierwsze trzy nie zareaguję. Potem już będę reagował.

Maikowie nie protestowali. Potężne pięści Kehna dwa razy uderzyły Hila w brzuch i raz w twarz, omal nie pozbawiając go przytomności. Wstał z trudem. Charczał, a z oczu płynęły mu łzy. Rozpoczął walkę. W pierwszej chwili gapię krzyczeli radośnie i gwizdali, ale szybko umilkli. Wszyscy trzej walczący mieli trudności. Chwiali się na nogach jak pijani, a w dodatku żaden z nich nie czuł prawdziwej nienawiści do przeciwnika. Mimo to nie dawali za wygraną, napędzani głupim nastoletnim wyobrażeniem o honorze. Gdyby posługiwali się mocą jadeitu, Hilo by wygrał, ale w prostym fizycznym starciu nie miał szans. Maikowie zbyt często walczyli u swego boku, a w dodatku Kehn był bardzo silny.

Na koniec, widząc, że Tar dyszy ciężko i ledwie trzyma się na nogach, a mimo to przygotowuje się do zadania kolejnego ciosu, Hilo rozciągnął w uśmiechu zakrwawione usta i zgiął się wpół ze śmiechu, od którego rozboleły go poobijane żebra. Tar przez mgnienie oka gapił się na niego skonsternowany, po czym również zaczął się śmiać, aż wreszcie osunął się na mur z cegieł. Kehn łypał na nich spode łba. Połowa twarzy znieruchomiała mu z powodu odniesionej rany. Wyglądał jak upiór. Najpierw podszedł nie do młodszego brata, ale do Hila i wyciągnął do niego rękę, żeby pomóc mu wstać. Wszyscy trzej objęli się nawzajem. Pięciu pozostałych chłopaków powlokło się za nimi, zachowując pełen szacunku dystans. Gdy wrócili do Akademii, Hilowi i braciom Maik rozkazano codziennie czyścić toalety przez następne trzy miesiące.

Gdy Hilo wspominał teraz ten incydent, kręcił głową na myśl o głupocie piętnastoletnich chłopaków. Niemniej od tamtej chwili nikt już nie odważył się mówić źle o Maikach, gdy mogli go usłyszeć, chyba że chciałby rzucić wyzwanie Kaul Hilowi, a nikt taki się nie znalazł.

\*\*\*

Po śmierci Lotta Starszego Hilo raczej wątpił, by klan Bez Szczytów miał szansę utrzymać Sogen. Stracili już większość tej dzielnicy i przemoc dotarła również do Starego Miasta, zaledwie przed kilkoma tygodniami uważanego za niezdobytą twierdzę klanu.

Po drodze do Pani Cong pograżyli się z Kehnem w przygnębiającej dyskusji na temat strategii. Lokal stał się głównym miejscem spotkań członków klanu i ludzie rogu przesiadywali w nim nieustannie. Hilo osobiście wolał jeść w Poczwórnej Wygranej, ale tamtejsza kuchnia spłonęła i nie było sensu jej remontować, dopóki na ulicach trwała wojna, ponieważ mogli ponownie stracić lokal. Po przybyciu spotkał ich kolejny szok. Gdy tylko wysiedli z duchesse, jeden z palców wypadł na zewnątrz i zbiegł po frontowych schodach.

– Eiten – wydyszał młodzieniec. Jego twarz przybrała niezdrowy odcień. Z drzeniem poprowadził ich do wnętrza kasyna, a potem ruszył schodami w dół.

Grupa milczących palców w korytarzu rozstała się przed Hilem i Kehnem. Wszyscy wciśkali się w ściany, by zrobić miejsce dla filaru i rogu.

Eiten jęczał głośno, leżąc na czarnej skórzanej kanapie w salonie w piwnicy. Odrąbano mu rękę, a rany w stawach barkowych skauteryzowano. Ktoś sprowadził doktora Truw. Korpulentny, noszący jadeit lekarz pochylił się nad leżącym mężczyzną, wspierając dłonie na jego klatce piersio-



wej. Używał Przenoszenia.

– Nie – płakał Eiten. – Przestań. Zostaw mnie.

Wyginał pozbawiony rąk tułów, starając się odepchnąć lekarza. Doktor Truw odsunął się i otarł czoło z potu.

– To powinno utrzymać go przy życiu do czasu, gdy dotrze do szpitala. Karetka już jest w drodze.

– Hilo-jen – załkał Eiten. Hilo przykucnął obok niego – Pomóż mi, proszę. Nie chciał mi przyznać czystej śmierci ani nawet dać szacunku, jaki okazał Lottowi i Sattowi. Odesłał mnie żywego, żebym przekazał ci wiadomość.

Hilo pochylił się nad jego twarzą.

– Co miał do powiedzenia Gont?

W szarych oczach Eitena zapłonęła furia. Zapewne splunąłby, gdyby tylko mógł usiąść.

– Nie chcę tego powtarzać, Hilo-jen. To zniewaga, niewarta twoich uszu.

– Ten nędzny szczynopijca okaleczył cię, by przesłać swoją wiadomość – sprzeciwił się Hilo. – Powtórz mi ją, Eiten, a przysięgam na grób brata, że zdobędę dla ciebie jadeit Gonta.

Mężczyzna nadal się wahał. Po jego pobladłej z ubytku krwi twarzy spływał pot.

– Powiedział, że daje ci czas do końca Dnia Nowego Roku, żeby się poddać. Jeśli to zrobisz, przyzna ci śmierć konsekwencji, na własnych nogach i z bronią w ręku, i pozwoli, by twoja rodzina pochowała cię z jadeitem. Resztę członków klanu Bez Szczytów oszczędzi, jeśli złożą przysięgę na wierność Górze albo wybiorą wygnanie z Kekonu. – Eiten zaczerpnął z wysiłkiem tchu. – Jeśli odmówisz, Gont grozi, że będzie nadal ci przysyłał głowy twoich Pięści, a Andena i Shae-jen potraktuje gorzej niż mnie. Zamierza puścić z dymem dom Płomienia Kekonu i całkowicie zniszczyć klan.

Eiten zauważył żądzę mordy, która rozbłysła w oczach filaru, i uniósł głowę z nagłymżywieniem.

– Zakończ moje życie, Hilo-jen, i weź mój jadeit dla klanu. Na nic już ci się nie przydam. Jestem zieloną kością, pięścią klanu Bez Szczytów. Nie mogę tak żyć! Błagam...

Stojący za filarem Kehn wydał z siebie nieartykułowany dźwięk oznaczający zgodę.

Mgła gniewu otaczająca Hila rozstała się na krótką chwilę, pozwalając mu położyć dłoń na czole rannego.

– Nie, Eiten. W tej chwili czujesz się upokorzony i cierpisz ból. W takim stanie nie powinienes wybierać śmierci. Brakuje ci tylko rąk. W dzisiejszych czasach można dostać dobre protezy. Espeńczycy takie produkują. Nadal masz bystry umysł. Przeszedłeś szkolenie i umiesz posługiwać się jadeitem. Jest jeszcze żona. Masz piękną żonę i dziecko, które rośnie w jej brzuchu. Nie powinienes umierać, jeśli tylko możesz żyć.

– Nie może mnie zobaczyć w takim stanie – płakał Eiten. – Nie pozwolę na to.

Hilo obejrzał się za siebie. Stał tam Pano, palec, który ich tu przyprowadził.

– Zawiadom żonę Eiten-jena, że został ranny. Dopilnuj, żeby nie opuszczała domu, dopóki nie będzie gotowy jej zobaczyć. Zapewnij jej wszystko, czego będzie potrzebowała, i powiedz, że jej mąż wyzdrowieje, ale niech nigdzie nie wychodzi. Ruszaj.

Pano popędził wykonać rozkaz, a Hilo ponownie zwrócił się w stronę Eitena.

– Powinienes żyć po to, by zobaczyć dziecko. I czy nie chciałbyś dożyć chwili, gdy zerwę w twoim imieniu jadeit z ciała Gonta? – Na twarzy Eitena pojawiła się niepewność. – Coś ci powiem. Zbliży się nowy rok. Daj sobie czas do następnego, żebyś mógł zobaczyć te wszystkie dobre rzeczy, które cię czekają. Jeśli pod koniec następnego roku nadal będziesz chciał umrzeć, przyjdź ze mną porozmawiać, a bez pytania spełnię twoje życzenie. Zapewnię, że pochowają cię z jadeitem, i zadbam o twoją żonę i dziecko.

Z kącików oczu Eitena popłynęły łzy. Zbierały się na czarnej skórze kanapy, lśniąc w jasnym świetle wypełniającym kasyno.

– Dajesz słowo, że to zrobisz, Hilo-jen?

– Na grób mojego brata, jak już mówiłem.

Oddech Eitena uspokoił się powoli. Jego jadeitowa aura złagodniała, zniknęły z niej skoki desperacji i bólu. Gdy przybyła karetka, Hilo odsunął się, pozwalając by doktor Truw i ratownicy medyczni zabrali rannego. Kehn poszedł porozmawiać z kierowcą, by się upewnić, że zawiozą

Eitena prosto do Centralnego Szpitala w Dzielnicy Świątynnej, a nie do któregoś z pomniejszych szpitali. Kiedy wrócił, Hilo poprosił wszystkich ludzi w pomieszczeniu i na korytarzu, żeby wyszli. Posłuchali go z powagą i w milczeniu.

Hilo stanął za barem, napełnił dwa kieliszki hoji i podsunął jeden Kehnowi.

– Wypij – powiedział i przełknął jednym haustem zawartość swojego kieliszka. Trunek parzył go w gardło i ogrzewał żołądek, uspokajając napięte nerwy.

– Wstydz się, Kehn. Całe szczęście, że tu byłem – rzekł, gdy Maik również osuszył kieliszek.

– Co takiego zrobiłem? – obruszył się róg.

– Zabiłbyś Eitena, jak o to prosił.

– Myślałem, że to byłaby łaska. Tego właśnie chciał.

– Żeby jego żona została wdową, a dziecko urodziło się bez ojca? Nie, on chciał zachować godność. I obiecałem mu to. Dzięki temu nie musimy teraz pochować następnej pięści. I tak już straciliśmy zbyt wielu ludzi. – Wsparł na moment czoło na dłoniach. Dziewięć jego najlepszych pięści zabito bądź straszliwie okaleczono. Taki sam los spotkał dziesiątki jego palców. Hilo spojrzał na Kehna. – Spodziewam się, że dotrzymasz obietnicy, którą złożyłem Eitenowi, gdybym zginął. Musisz też o tym powiedzieć Juenowi i Vuayowi, żeby któryś z nich jej dotrzymał, gdyby i ciebie zabito.

Kehn skinął głową, ale na jego twarzy malowała się frustracja. To było do niego niepodobne. Zwykle był niewzruszony, nawet w dramatycznych sytuacjach. To Tar okazywał emocje, dawał im ujście za nich obu. Teraz jednak w żołnierskim spokoju rogu pojawiały się wyraźne szczeliny. Aż za dobrze rozumiał, że wojna toczy się niekorzystnie dla nich i że to on jest w znacznym stopniu winny ich niepowodzeniom. Na znużonej twarzy starszego z Maików pojawiła się złowróżbna desperacja, którą Hilo świetnie pamiętał z chwili walki, którą stoczyli, gdy byli nastolatkami.

– Nigdy bym nie wpadł na to, żeby powiedzieć Eitenowi to, co ty mu powiedziałaś – wyznał szczerze Kehn. – Nie potrafisz ci dorównać, Hilo-jen.

– Musisz się nauczyć, jak być rogiem. Wiem, że traktuję cię ostro. Gdyby Lan tu był, zru-gałby mnie za wszystko, co robię źle jako filar.

– Ale go tu nie ma – odrzekł Kehn. Hilo usłyszał w jego głosie resentment i uświadomił sobie, że Kehn nie pozbędzie się trudności, dopóki każdy jadeitowy wojownik będzie widział w Hilu prawdziwy róg. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Stawka była zbyt wysoka. Wierzył, że gdyby Kehn miał autonomię i czas na naukę, zostałby całkiem niezłym rogiem, ale zdawał też sobie sprawę, że nie może sobie w tej chwili pozwolić na zwątpienie. Róg czasu wojny potrzebował nie tylko szacunku, lecz również miłości swoich ludzi, nie tylko sprytu i determinacji, lecz również empatii. Sytuacja klanu Bez Szczytów wciąż się pogarszała i stawało się coraz ważniejsze, by zielone kości widziały, że jest z nimi, i dochowały wiary.

– Wkrótce mnie również może nie być – odparł Hilo z powagą w głosie.

Kehn uniósł nagle głowę i zmarszczył głęboko czoło.

– Chyba nie zamierzasz spełnić żądań Gonta? – Gdy Hilo nie odpowiadał, na twarzy rogu zaczął się rysować głęboki niepokój. – Jak powiedział Eiten, to była obelga, której nie warto słuchać. Czy naprawdę myślisz, że wydasz się w jego ręce i pozwolisz, żeby cię zarznął jak owcę? Zabiliśmy wielu jego ludzi. To, co zrobił Eitenowi, to próba zastraszenia naszych palców.

– Być może – odparł Hilo. Nie sądził jednak, by Gont był aż tak powierzchowny. Z pewnością zdawał sobie sprawę z ważnego faktu, o którym poinformowała Hila Shae. Kehn jeszcze o tym nie wiedział. Jeśli porównać zasoby obu klanów, było oczywiste, że Góra w końcu wygra wojnę. Będzie to jednak wymagało czasu i przelewu krwi, co okaże się kosztowne dla obu stron. Góra będzie osłabionym, zranionym zwycięzcą i może nie być w stanie zapanować nad wszystkimi zdobytymi terytoriami ani utrzymać poparcia latarników i Rady Książęcej. Pomniejsze klany mogłyby uzyskać niezależność, a systemowi przemycania jadeitu oraz produkcji SN1 stworzonemu przez Ayt zagroziłoby przejęcie przez kryminalistów i cudzoziemców.

– Próbuje wymusić zakończenie wojny – mruknął Hilo. Nawet jeśli Góra była lepiej przygotowana finansowo na długotrwały konflikt, musiała się niepokoić możliwością utraty poparcia w należących do niej dzielnicach. Zwykli, nienoszący jadeitu ludzie nie musieli się obawiać, że

padną ofiarą przemocy zielonych kości. Ale zdarzały się też przypadkowe ofiary, a straty ekonomiczne oraz uszkodzenie własności były nieuniknione. Gdy tylko absolwenci Akademii dołączą do sił klanu Bez Szczytów, konflikt rozgorzeje z nową siłą i miasto będzie cierpieć dalej. Co więcej, biorąc pod uwagę oburzenie opinii publicznej wynikami audytu w Kekońskim Sojuszu Jadeitowym oraz możliwość uchwalenia ustawy pozwalającej na nadzór, Góra z pewnością pragnęła jak najszybciej odnieść zwycięstwo. Gdy tak się stanie, kanclerz Son utraci władzę i Ayt Mada będzie mogła zmusić Radę Książęcą do zapomnienia o sprawie.

Spójrzcie na mnie, pomyślał z ironią Hilo. Naprawdę zastanawiam się nad tym politycznym syfem.

Być może jednak powoli uczył się, jak być filarem. To jednak było za mało i zbyt późno. Polityka poruszała się powoli, a klingi były szybkie.

– Gont nie zastraszy nas brutalnym okrucieństwem – nie ustępował Kehn. Nalał im obu drugą kolejną hoji. – Każda zielona kość, aż po palce o najniższej randze, jest gotowa oddać za ciebie życie, jen. Gont pragnie szybkiego zwycięstwa? Nie dostanie go.

Hilo nigdy nie bał się walki i był gotowy na długą i krwawą wojnę, jeśli to będzie konieczne, by pokonać wrogów. Jeśli jednak na horyzoncie majaczyła nieunikniona klęska, jego kolejne pięści i palce traciłyby kończyny czy jadeit nadaremno, a tego z pewnością nie chciał. Wolałby czystą śmierć dla siebie i dla tych, których kochał. W gruncie rzeczy propozycja Gonta nie była taka najgorsza.

Myśl o śmierci dla klanu nie była dla Hila czystą retoryką. Klan był przedłużeniem rodziny, pod pewnymi względami ważniejszym dla niego niż ci, w których żyłach płynęła krew Kaulów. Ojca nie znał. Matka kochała Lana. Dziadek kochał Shae. Hilo znalazł dla siebie miejsce na świecie pośród ludzi podobnych do siebie, tych, którzy cenili jego ekspresyjność i odwagę. A teraz klan polegał na nim w bardzo osobisty i realny sposób – Kehn i Tar, jego pozostałe pięści, takie jak Juen i Vuay, biedny Eiten, Satto Lott, którzy zasługiwali na to, by wyrzucić za nich zemstę, a także palce, takie jak Pano i młody Hejo, który bez chwili wahania zaryzykował życie i wszedł do Fabryki na rozkaz Hila, a także przyszli członkowie klanu, tacy jak syn Lotta i Anden. Prosił ich wszystkich, by narażali życie dla bractwa. Sam nie mógł uczynić mniej.

Zakręcił kieliszkiem i wypił trunek, po czym schował butelkę do barku, by Kehn nie mógł sięgnąć po więcej. Róg nigdy nie mógł sobie pozwolić na to, by zamąciło mu się w głowie.

– Kehn... – zaczął – ...jeśli zginę, będziesz chciał mnie pomścić i odebrać mój jadeit Gontowi, czy kto tam mnie zabije. To naturalne, ale nie chcę, żebyś to zrobił. Lepiej zaopiekuj się Wen. Postaraj się, żeby miała dobre życie, dobry dom. To dla mnie ważniejsze. Nawet gdybyś musiał opuścić Kekon albo zdradzić.

– Nigdy nie złożę przysięgi Górze – zapewnił przerażony Kehn. – Nigdy.

Hilo uświadomił sobie, że za jego pasją stoi nie tylko lojalność, lecz również fakt, że Góra skazała na śmierć ojca Maików i ściągnęła hańbę na całą ich rodzinę. – Dlaczego tak mówisz, Hilo- jen? – zapytał róg drżącym głosem.

– Po prostu chciałem jasno wyrazić swe życzenia – odparł Hilo i ruszył ku drzwiom. – Musimy pogadać z ludźmi na piętrze. Czekają na nas. Potem pojedziemy na spotkanie z żoną Eitena, a na koniec do Sogenu, żeby zdecydować, kto zastąpi tam Lotta.

## Interludium 3

### Triumf Baijena

W kekońskiej religijnej mitologii Stary Wujek Jenshu, Ten, Który Powrócił, miał ulubionego siostrzeńca imieniem Baijen, który po dziś dzień pozostaje najbardziej znanym i otoczonym największym szacunkiem ze wszystkich starożytnych bohaterów. Historie o Baijenie opowiadano kekońskim dzieciom od stuleci, a w nowożytnych czasach powstały komiksy oraz filmy opiewające jego przygody i czyny. W przeciwieństwie do swego boskiego wujka Jenshu Baijen pozostaje jednak śmiertelnym wojownikiem i nie oddaje się mu czci.

Zgodnie z legendą, gdy Baijen w końcu zginął w straszliwej walce ze swym największym wrogiem, tuńskim wodzem Sh'akiem, który dokonał najazdu na Kekon, bogowie obdarzyli go uznaniem, za odwagę i przyznali mu miejsce w niebie. Gdy już się tam znalazł, spojrzął z góry na Ziemię i zobaczył, że jego ludzie, którzy pozostali przy życiu, nadal walczą w jego imię i wkrótce zostaną podbici. Przyglądał się bezradnie, jak jego ukochana, pogrążona w żałobie żona przygotowuje się do rzucenia się z urwiska, nim armia najeźdźców zdąży dotrzeć do ich położonego w górach domu.

Zawładnęła nim panika. Błagał bogów, by pozwolili mu wrócić na Ziemię i oddali jego pałac w niebie komuś innemu. W pierwszej chwili odrzucili jego prośbę, ale Baijen pozostawał niewzruszony. Zawodził i tłukł głową o schody jadeitowego pałacu, aż wreszcie Yatto, Ojciec Wszechrzeczy, ulitował się nad nim i wyraził zgodę.

Zabity wojownik padł do stóp bogów, płacząc z wdzięczności. Tej samej nocy wrócił na Ziemię, przemknął przez usiane trupami pola bitwy i wdarł się do namiotu tuńskiego generała. Prerażony nieprzyjaciel zerwał się z łóżka w bieliźnie, ale on zabił go jednym uderzeniem, śmiejąc się triumfalnie.

Zgodnie z paktem, który zawarł Baijen z bogami, dusza Sh'aka odleciała do nieba. A Baijen, zbawca swego ludu, będzie przez całą wieczność wędrował po Ziemi jako wygnany duch. Stare powiedzenie zielonych pięści mówi: „Módl się do Jenshu, ale bądź jak Baijen”.

## Rozdział 51

### Wigilia Nowego Roku

Przygotowania do Tygodnia Noworocznego w tym roku nie były zbyt intensywne. W Janlonie nie spodziewano się wielu gości, a miejscowi nie byli w nastroju do zabaw. Dwa najważniejsze klany, które zwyczajowo przekazywały wielkie sumy na publiczne uroczystości i imprezy dobroczynne, były zanadto zajęte wojną, żeby urządzić cokolwiek poza niewielkimi imprezami w swych największych i najlepiej strzeżonych dzielnicach. Odkąd Shae sięgała pamięcią, w dzień Wigilii Nowego Roku w Janlonie rodzina Kaulów, pod przewodnictwem dziadka, a później Lana, pojawiała się publicznie w Dzielnicy Świątynnej, by zapalać fajerwerki, rozdawać dzieciom czekoladowe monety i przyjmować strumień życzeń od latarników. W tym roku siedzieli we dwoje z Hilem za stolikiem na patio.

W tej chwili właściwie zabrakło im już tematów. Shae obserwowała czerwoną plamę blasku wschodzącego słońca zabarwiającego chmury tuż nad dachem głównego domu. Za czterdzieści osiem godzin może się stać najkrócej piastującą urząd z prognostyków umierającego klanu w całej jego historii. Jej obowiązki byłyby w takiej chwili proste: urządzić bratu porządną pogrzeb i wynegocjować pokojowe przekazanie władzy w zamian za szybką i honorową śmierć dla siebie. Najtrudniejszym zadaniem będzie minimalizacja przelewu krwi. Niektórzy będą chcieli walczyć do końca, nawet bez nadziei na zwycięstwo. Miała zapieczętowane listy od Hila, napisane ręcznie do wszystkich jego ważniejszych pięści. Najtrudniejszą rozmowę z Maikami zostawi bratu.

– Nie podziękowałem ci za to, że dałaś Wen tę nową robotę – odezwał się Hilo po dłuższym milczeniu.

– To nie było trudne – odparła. – Dobrze mi wyjaśniła, co chciałyby robić.

Oficjalnie Wen miała pracować w biurze prognostyka jako doradca do spraw wzornictwa projektów nieruchomości. Ta praca wymagała wielu podróży.

– Cieszę się, że porozumiałyście się ze sobą – dodał Hilo.

– Poznałam ją lepiej.

Jej brat uśmiechnął się blado. Shae pomyślała, że wygląda na zmęczonego i trzyma się na dystans. Ostatnie miesiące wymazały wszelkie ślady chłopięcości z jego twarzy, pozbawiły go luzu i swobody zachowania.

– Rodzina nieraz traktowała cię źle z powodu twoich espeńskich kontaktów, ale teraz cieszę się, że je masz. Nie mam pojęcia, jak tego dokonałaś, ale jestem ci wdzięczny. – Przymrużył powieki, spoglądając na wschodzące słońce. – Powiedziałaś, że potrzebujemy dwóch rzeczy, żeby przetrwać: pieniędzy i militarnego zwycięstwa. Zapewniłaś nam te pierwsze szybciej, niż ja zdołałem osiągnąć to drugie.

Załowała, że nie przychodził jej do głowy żaden inny pomysł. Plan Hila był okropny. Powtarzała mu to kilka razy. Jednakże w ostatecznym rozrachunku to on był filarem, a także rogiem – w duchu, nawet jeśli nie z nazwy – i nie miała podstaw, by się mu sprzeciwić. Nie potrafiła przedstawić lepszego planu ani sprytniejszego podstępu, jak przed atakiem na ulicy Dla Ubogich. Zrobiła wszystko, co mogła – więcej, niż mogłaby wyznaczyć któremukolwiek ze swych braci – żeby zmniejszyć przewagę Góry nad nimi, ale to nadal było za mało. To mogła być ich jedyna szansa i zgodziła się, że nie mają innego wyboru jak podjąć to ryzyko.

– To straszliwie niebezpieczne – zauważyła.

– Tak samo jak twoje spotkanie z Ayt – odparł.

Uniosła nagle wzrok. Gdy Hilo zauważył, że wytrącił ją z równowagi, uśmiechnął się szerzej i stał się bardziej podobny do siebie.

– Szpiegowałeś mnie? – Nawet teraz potrafił zaskoczyć ją i poirytować swą arogancją. – Kazałeś Caunowi za mną łązić?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Caun Yu nie żyje. Zabito go w Podwójnej Wygranej, kiedy zdobyli ją Gont i jego ludzie.

Shae znieruchomiała. Starła się połączyć twarz młodego, przystojnego sąsiada ze słowami

wypowiedzianymi ze śmiertelną powagą przez Hila. Uświadomiła sobie, że lekki smutek, który poczuła, jest tylko drobiazgiem w porównaniu z tym, co musiał wycierpieć jej brat. W ostatnich tygodniach zabito wiele jego pięści i palców.

– Niech bogowie obdarzą go uznaniem – rzekła cicho.

Hilo skinął głową ze smutkiem w oczach.

– Nie kazałem cię śledzić – zapewnił. – Po prostu zgadłem i teraz widzę, że trafnie. Pomyślałem sobie, że Ayt się z tobą skontaktuje i spróbuje cię przekonać, żebyś mnie zabiła. – Wzruszył jednym ramieniem. – To ma sens. Na jej miejscu postąpiłbym tak samo.

Shae usiadła.

– Nigdy o tym nie wspomniałeś. Nie bałeś się?

Jej brat roześmiał się cicho.

– Ach, Shae, gdybyś postanowiła mnie zdradzić, cóż by mi pozostało? Po co żyć, jeśli nie można zaufać nawet własnemu rodzeństwu? – Kopnął stopę siostry pod stołem, drażniąc się z nią jak mały chłopiec. – Musiałabyś naprawdę mnie nienawidzić, żeby oddać moją głowę Górze. To by znaczyło, że jestem tak okropnym bratem, że zasługuję na śmierć. Nie mógłbym nic na to poradzić.

Z Hilem zawsze tak było. Wszystko miało dla niego głęboko osobisty charakter. Shae wstała.

– Muszę się trochę poruszać. Zesztywniałam od siedzenia. Przejdziesz się ze mną po ogrodzie? Tylko kilka minut?

– Kilka minut – zgodził się i podążył za nią.

Wen miała rację. Ogród był najpiękniejszą częścią rezydencji Kaulów. A ona nigdy dotąd nie zwracała na niego uwagi. Poranek był nieco mglisty. Światło słońca padało na nieruchomą taflę stawu i późnozimowe kwiaty – jaskraworóżowe kwiecie wiśni, a poniżej gęste krzaki usiane białymi jagodami. Hilo zgniótł jedną z nich między palcami.

– Jeśli dobrze to rozegrasz, Ayt może puścić cię wolno – stwierdził. – Wygnanie nie byłoby dla ciebie takie złe. Jest wiele rzeczy, które mogłabyś robić za granicą. – W jego głosie zabrzmiała lekka gorycz. – Wtedy poczułbym się lepiej.

Shae wróciła w myślach do zakończenia spotkania w świątyni.

– Nie – zaprzeczyła z nieubłaganą pewnością. – Nie sądzę, żeby miała to zrobić.

Serią dramatycznych, pełnych determinacji kroków pozbawiła się szansy na to drugie przeznaczenie. Zawahała się, spoglądając w te otwarte drzwi, a potem się oddaliła. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że nie czuje zbyt dużego żalu, mimo że zapewne czekały ją katastrofa i śmierć. W pierwszej chwili jej decyzja płynęła ze względów osobistych, w następnej chodziło jej o oddanie szacunku Lanowi i pomszczenie go, na koniec zaś jej uwaga przeniosła się na ważniejsze sprawy. W dzień Powrotu będzie mogła powiedzieć bogom, że była taką zieloną kością, jaką pragnęła się stać. Dążyła ku Boskim Cnotom, nawet jeśli nigdy nie udało się jej ich osiągnąć, i dochowała wierności rodzinie, ojczyźnie oraz *aisho*.

Oboje z Hilem szli przed siebie. Podejrzewała, że ich milczenie wyrażało sympatię głębszą niż kiedykolwiek dotąd. Nie chciała go przerywać, ale ujrzała oczami wyobraźni Lana siedzącego na kamiennej ławce przed stawem i przyglądającego się leniwym karpom oraz wróblom tęczowym przysiadającym na kamieniach, by pić wodę. Mogła już nie mieć drugiej szansy, by mu to powiedzieć.

– Chciałam cię prosić o coś jeszcze... – odezwała się. – Ayt zapewniła mnie, że nie wydała rozkazu zamordowania Lana. Nikt w Górze nie wziął na siebie odpowiedzialności. Hilo... gdzie jest jego jadeit?

Jej brat zwolnił kroku, a po chwili zatrzymał się i zwrócił w jej stronę. Na jego twarz padł cień przesuwał się po niebie chmury i nie można z niej było nic wyczytać.

– Pochowałem go razem z nim.

Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, poczuła szczypanie łez. A więc Ayt mówiła prawdę. Zielone kości nigdy nie zostawiały jadeitu na ciele zabitego przeciwnika. Jej brata nie zabił nieprzyjacielski wojownik.

– Jego śmierć była przypadkiem – wyszeptowała z przygnębieniem.

– To nie był żaden przypadek – warknął Hilo i postąpił krok w jej stronę. Jego aura zapłonęła burzliwymi uczuciami. Nigdy nie widziała, by wyglądał groźniej niż w chwili, gdy zrobił ten

jeden krok.

– Znaleźliśmy na nabrzeżu dwa pistolety maszynowe i zabitego nastolatka – wycedził ze śmiercionośną pasją. – Ayt i Gont zlecili tamtej nocy zabójstwo Lana co najmniej dwóm ludziom. Jednemu z nich udało się uciec i jeśli będę jeszcze żył, kiedy Tar go znajdzie, wepchnę mu jadeit do gardła i pochowam go żywcem, żeby umarł na śwędziawkę. Ani przez sekundę nie wątp, że Góra zabiła naszego brata.

– Zleciła to dwóm bezjadeitowym zbirom? – zdumiała się.

Hilo dyszał coraz mocniej, jakby przebiegł długi dystans. Ujął siostrę za ramiona i zacisnął mocno dłonie, mimo że nie opierała się mu, a tylko stała bezwładnie, wlepiając w niego spojrzenie.

– Lan był wtedy słaby, Shae. Bardzo mocno ucierpiał w pojedynku z Ganem pod Fabryką, ale niczego po sobie nie zdradzał. Nosił za dużo jadeitu, bo pragnął wydawać się silny w oczach klanu. Kazałem zrobić mu sekcję, ale nikomu o tym nie wspomniałem. W jego krwi znaleziono błysk, Shae. Jego poziom był stanowczo zbyt wysoki. Błysk! Lan nienawidził tego syfu, z pewnością by go nie brał, gdyby nie uważał, że nie ma innego wyjścia.

Puścił ją nagle i odsunął się. Jego oczy były czarnymi węgielkami wypełnionymi nieubłaganą nienawiścią.

– Góra zawsze zamierzała nas podbić. Starła się nas złamać, groziła nam, prześladowała nas, zabiła dobry filar czasu pokoju, jakim był Lan. Nieważne, co wydarzyło tamtej nocy. To Góra jest przyczyną jego śmierci. Podejmę każde ryzyko, by wyrównać rachunki.

– Wprowadziłeś mnie w błąd tamtego dnia – poskarżyła się Shae, ale w jej słowach nie słyssało się gniewu, tylko gorycz i akceptację. Czuła się dziwnie. Wszystko nagle nabrało sensu, perfekcyjnego i przerażającego. To tylko potwierdzało jej opinię, że wola bogów jest w rzeczywistości połączeniem różnych czynników. Ludzie sami wytyczali szlaki swego losu, lecz jednocześnie byli bezradni wobec niego. – Góra nawet nie wiedziała o śmierci Lana, gdy zaatakowaliśmy ulicę Dla Ubogich. To my pierwsi wyszliśmy z lasu. Zabiliśmy dwudziestu jeden ludzi, którzy niczego się nie spodziewali.

– Wprowadziłem cię w błąd? – zdziwił się Hilo. – Nigdy w życiu. Przybyłaś tu z własnej woli, Shae, bez żadnego rozkazu z mojej strony. I chwała bogom, że tak postąpiłaś. A jeśli chodzi o tych ludzi, byli zielonymi kośćmi. Zielona kość zawsze musi spodziewać się śmierci.

## Rozdział 52

### Od tej chwili aż po kres

Po południu Hilo wrócił do domu i włożył najlepszy garnitur. Po drodze do wyjścia zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami pokoju Kaul Sena. Om oddał mu honory i odsunął się na bok, by pozwolić mu wejść, ale Hilo tego nie zrobił. Gapił się tylko na drzwi. Postrzegał powolny, ale miarowy rytm serca dziadka, jego ochryply oddech oraz słabą aurę, która teraz, gdy prawie już nie miał jadeitu, zmieniła się niemalże w cień. Starzec drzemał na swym wózku. Kiedy śpi, można go znieść, pomyślał Hilo.

Choć filar nadal był wściekły i oszołomiony, musiał przyznać, że oddając jadeit Doru, by pomóc zdrajcy w ucieczce, Płomień Kekonu po raz pierwszy od kilku miesięcy zachował się w typowy dla siebie sposób. W tej chwili wcale by się nie zdziwił, gdyby patriarcha osiągnął ostateczny triumf i ściągnął na siebie ostateczną klątwę, przeżywając wszystkie swoje wnuki. Hilo dotknął drzwi, ale nie przychodziło mu na myśl nic, co mógłby osiągnąć, wchodząc do środka. Odwrócił się, zszedł na dół, opuścił budynek i pokonał na piechotę krótki odcinek dzielący go od domu rogu.

Gdy Wen otworzyła drzwi i zobaczyła go w wyjściowym stroju, odsunęła się, uniosła rękę do piersi i zgięła się, jak w nagłym ataku bólu.

– Postanowiłeś to zrobić – rzekła.

– Tak – odparł. – Dzisiaj weźmiemy ślub.

Mimo że przygotował ją na tę możliwość, wydała z siebie smutny jęk i osunęła się lekko, tuląc się do niego.

– Nie tak to sobie wyobrażałam.

– Ja również. – Wtulił policzki w jedwabiste włosy na czubku jej głowy i zamknął oczy. – Myślałem, że będzie wielki bankiet z najlepszym jedzeniem. Orkiestra grająca na żywo. I ty, z pięknie uczesanymi włosami, trzymająca mnie pod rękę, w długiej zielonej sukni. Albo czerwonej. Czerwony też mi się podoba. Najbardziej lubię suknie z tradycyjnymi wysokimi kołnierzami, eleganckie i skromne, ale dobrze by było, gdyby miała też rozcięcie do uda, żeby pokazać, jaka jesteś seksowna.

– Już wybrałam suknię – ostrzegła go.

– Schowaj ją – odparł. – Nie pokazuj mi jej. Może uda się jeszcze coś zorganizować. Bankiet z gośćmi i muzyką, takie tam rzeczy. Ale później.

– Tak będzie – zapewniła. – Wrócisz, jak już zrobisz to, co musisz zrobić.

Uśmiechnął się i pocałował ją, wzruszony pewnością, którą usłyszał w jej głosie.

– Wrócę – obiecał. – Ale cokolwiek się stanie, będziesz bezpieczna. Shae ma espeńskie koneksje. Nie wiem, jak to zrobiła, ale załatwiła wizy dla ciebie, twoich braci, dziadka i Andena. Dzięki niej wszyscy znajdziecie się poza zasięgiem Góry.

– Kehn i Tar się nie zgodzą – sprzeciwiła się Wen.

– Wydałem im rozkaz. Nie mogą znieść myśli o ucieczce, ale jeśli tu zostaną, na pewno zginą. Lepiej przeżyć i mieć szansę zemścić się później. Gdyby doszło do najgorszego, będziesz musiała im przypomnieć o moich rozkazach.

– Gdyby doszło – powtórzyła Wen. – Nie sądzę, by tak się stało.

– Ja też nie sądzę – zapewnił. – Ale to ważne, żebyśmy dzisiaj wzięli ślub. Na wszelki wypadek.

– Na wszelki wypadek – zgodziła się. Otarła łzy z oczu i wysunęła się z jego uścisku – Przebij się. Daj mi kilka minut.

Siedział w salonie i czekał. Rozglądał się, myśląc, że to naprawdę ładny dom i chętnie zamieszkałby w nim z Wen. Wróciła po kilku minutach. Zrobiła sobie makijaż, włożyła ładną i delikatną niebieską suknię oraz naszyjnik i kolczyki z pereł. Hilo wstał z uśmiechem i ujął ją pod ramię. Wyszli na dziedziniec, żeby wziąć ślub.

Miał im go dać sędzia Ledo, opłacany przez klan i cieszący się jego zaufaniem. Cywilna



uroczystość trwała zaledwie kilka minut, w przeciwieństwie do ponad godziny melorecytacji, jakiej wymagała bogowiercza tradycja. Niemniej nadal odwoływała się do Boskich Cnót.

*Będę praktykować pokorę: stawiać ukochaną osobę przed sobą i nie oczekiwać za to uznania ani nagrody, albowiem teraz jesteśmy połączeni ze sobą we wszystkim.*

*Będę praktykować współczucie: okazywać ukochanej osobie wdzięczność, cierpieć, gdy ona cierpi, albowiem teraz jesteśmy połączeni ze sobą we wszystkim.*

*Będę praktykować odwagę: bronić ukochaną osobę przed szkodą, stawiać czoło wszelkim strachom, wewnętrznym i zewnętrznym, albowiem teraz jesteśmy połączeni ze sobą we wszystkim.*

*Będę praktykować dobroć: dobrowolnie dzielić się wszystkim z ukochaną osobą, szanować jej ciało i duszę, a także dbać o nie, albowiem teraz jesteśmy połączeni ze sobą we wszystkim.*

*Składam tę przysięgę tobie i tylko tobie, na oczach bogów w niebie, od tej chwili aż po kres mojego życia.*

Twarz Wen przybrała smutniejszy wyraz. Kobieta powstrzymywała łzy, gdy Hilo powtórzył za sędzią ostatnie słowa. „Od tej chwili aż po kres mojego życia”. Jak długo mogło to potrwać? Filar czuł, jak tekst zapada w niego, wiążąc go mocą inną niż słowa klanowej przysięgi, które były dla niego przewodnictwem przez całe dorosłe życie. Już poczuł dziwny przymus pogodzenia obu tych przysięg ze sobą, wyczuwał jednak, że to zapewne okaże się niemożliwe. Gdy gapił się na piękną i ufną twarz Wen, dopadły go wyrzuty sumienia na myśl, że choć kochał ją bezgranicznie, nie będzie w stanie dotrzymać obietnicy, że nie złamie jej serca. Zdarzały się chwile, gdy mężczyzna nie mógł pogodzić ze sobą lojalności wobec brata i współczucia dla żony. Jadeitowy wojownik nie mógł być połączony z żoną we wszystkim, ponieważ poprzysiągł oddać krew klanowi.

Wen zaczerpnęła tchu dla uspokojenia i wypowiedziała tekst przysięgi z siłą, która ponownie wypełniła go podziwem i wdzięcznością dla niej. Kehn podszedł do nich i połączył ich nadgarstki paskami tkaniny, prawy z lewym po obu stronach. Shae włożyła im w związane dłonie kielich hoji. Oboje wypili po łyku, a resztę wylali na ziemię, na szczęście. Sędzia Ledo ogłosił ich mężem i żoną.

Hilo zdawał sobie sprawę, że to był raczej kiepski ślub jak na filar klanu. Głęboko żałował, że pozbawił Wen wielkiej radosnej uroczystości, na jaką zasługiwała. Najważniejsze było jednak to, że została jego żoną, a jeśli jutro stanie się wdową po nim, otrzyma wszystko, co obiecał jej zostawić. Góra nie mogła tknąć niczego, co zapisano członkom rodziny w testamencie. Wen będzie miała wystarczająco wiele, by zacząć nowe, bezpieczniejsze życie w Espenii. A teraz wreszcie był jej mężem. Od wielu lat nie czuł się taki szczęśliwy.

Zaprowadził ją do głównego domu, a potem do swego pokoju na piętrze. Zamknął drzwi, rozebrał świeżo poślubioną żonę i kochał się z nią. Małą lampę zostawili zapaloną i na przemian przejmowali inicjatywę, będąc dla siebie przewodnikami. Nie toczyli tej rozmowy w słowach, lecz w milczącym ocieraniu się skóry o skórę, kontakcie palców i ust, mieszaniu się oddechów. Hilo starał się przeciągnąć ten czas aż do granic wytrzymałości, gdy tylko zbliżał się do spełnienia, odmawiał go sobie i skupiał uwagę na Wen, aż wreszcie przyjemność ją wyczerpała i dziewczyna szepotała słodko do niego, by wreszcie skończył. Z gwałtowną desperacją i drżącym oporem osiągnął szczyt i potem starał się pozostać na jawie wystarczająco długo, by niezatarcie zapisać ten moment we wspomnieniach i mieć pewność, że to będzie ostatnie, co zapamięta.

## Rozdział 53

### Braterstwo broni

Anden przybył do rezydencji Kaulów wieczorem dnia Wigilii Nowego Roku. Akademię zamknięto na czas świętego tygodnia i przez cały dzień uczniowie opuszczali ją, by spędzić wolny czas z rodzinami. Chłopak nie śpieszył się z pakowaniem i wyruszeniem do domu. Filar odbył wczoraj z nim długą rozmowę, wiedział więc, czego się spodziewać po przybyciu. Przez większą część dnia nie czuł się jednak gotowy stawić czoła temu, co go tam czekało. Spacerował po Akademii, starając się nasycić atmosferą domu, który wkrótce miał opuścić. Przez wiele lat uważał akademię za miejsce nieuchronnego wysiłku i męki, potu i obowiązków, skromnych posiłków, braku wolnego czasu i niesympatycznych nauczycieli. Teraz jednak uświadomił sobie, że była ona azyłem, schronieniem, w którym honor zielonych kości pozostawał nieskalanym celem, jedynym miejscem, gdzie można było bezpiecznie nosić jadeit i ćwiczyć jadeitowe sztuki.

Ostatnie dwa tygodnie Testów stały się dla niego zamazaną plamą. Po wielu latach przygotowań – i gorączkowej nauce oraz ćwiczeniach przeprowadzanych w ostatniej chwili – zakończenie prób z przedmiotów akademickich i sztuk walki niemalże rozczarowało Andena. Najbardziej bał się egzaminów z nauk ścisłych i matematyki, które miał zdawać na początku. Potem nie było już większych niespodzianek. Poprawił nieznacznie wszystkie wyniki z przedtestów, zwłaszcza w Odbijaniu. Ostatniego dnia włożył jadeit i walczył kolejno z czterema zielonymi kośćmi pracującymi w Akademii jako asystenci nauczycieli. Trwało to trzydzieści uciążliwych minut. Pod koniec był zmęczony i poobijany, lecz nadal trzymał się na nogach, dyszał i był gotowy walczyć dalej. Hilo nie bez powodu raz po raz spuszczał mu lanie i uczył go podnosić się z ziemi.

Nauczyciele zapisali uwagi w swoich notatnikach i skinęli głowami, każąc mu odejść. Anden oddał im honory i opuścił salę testów, czując niewiele więcej dumy i triumfu niż po wykonaniu jakiejś fizycznej pracy, na przykład umyciu podłogi. To przynajmniej mam już za sobą, pomyślał. Ukończy Akademię, to było ważne. To nie były prawdziwe próby. Te dopiero go czekały.

Po dotarciu do rezydencji Kaulów ruszył prosto na dziedziniec. Filar siedział z całą rodziną pod ustawionym w cieniu stołem. Kończyli tradycyjną w ten dzień kolację. Smakowite zapachy wypełniały ślinką usta Andena – pieczone prosię, zupa z owoców morza, pikantne krewetki w sosie, pędy grochu z czosnkiem, smażone jarzyny. Anden jadał tak dobrze tylko dwa razy w roku, ale dla rodziny takiej jak Kaulowie, która w poprzednich latach wydawała kosztowne, publiczne uczyty noworoczne, był to skromny posiłek. Chłopak zatrzymał się w pewnej odległości, by przyjrzeć się scenie. Jego kuzyn Hilo siedział u jednego końca stołu. Miał na sobie czarny garnitur i był zwrócony plecami do Andena. Wen pochylała się ku niemu, trzymając rękę na jego nodze, jakby chciała zatrzymać go na miejscu. Shae zajęła pozycję naprzeciwko brata. Między nimi po jednej stronie zasiadali bracia Maik, po drugiej zaś Kaul Sen w wózku inwalidzkim, z towarzyszącą mu Kyanlą. Zostawiono też wolne krzesło dla Andena.

Zatrzymał się na mgnienie oka. Ten widok przeszył jego serce ukłuciem tak bolesnym, że trudno mu było zrobić następny krok. Obraz był niekompletny. Brakowało na nim Lana. Wszyscy rozmawiali stłumionymi głosami, a mowa ich ciał sygnalizowała napięcie. Nawet z tej odległości przypominało to raczej stypę niż ucztę noworoczną. Tylko Hilo sprawiał wrażenie umiarkowanie wyluzowanego i szczęśliwego. Odsunął rękę Wen, sięgającą po czajniczek, i osobiście napełnił wszystkim filiżanki. Ukroił sobie kolejny kawałek mięsa, powiedział coś wesołego do Tara, który skinął głową, ale się nie uśmiechnął, i na koniec leniwie objął Wen w talii.

Po chwili obejrzał się przez ramię na Andena, uśmiechnął się i podszedł do kuzyna.

– Spóźniłeś się, Andy. Nie zostało już prawie nic do jedzenia.

Uściskał serdecznie chłopaka, po czym poprowadził go na miejsce przy stole, obok Kaul Sena.

– Przepraszam, Hilo-jen – odparł chłopak, siadając. – Opuszczenie Akademii zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem. A do tego są korki. W końcu mamy Tydzień Noworoczny.

– Trzeba było do mnie zadzwonić. Wysłałbym samochód. – Hilo poklepał chłopaka po głowie, udając, że go karci, i nałożył mu jedzenie. Wbrew jego słowom, zostało go jeszcze dużo. – Testy się skończyły, nie jesteś już uczniem. Nie musisz jeździć na rowerze ani autobusem.

– Gratuluję zakończenia Testów, Anden – odezwała się Shae.

– Dziękuję, Shae-jen – odparł chłopak, nie chcąc spojrzeć jej w oczy.

Kaul-sen przerwał zajadanie kasek z talerza i skierował ku Andenowi pomarszczoną twarz. Przymrużył nagle powieki i jego oczy nabrały przeszywającego wyrazu.

– Zatem jesteś teraz jednym z nas. Syn Szalonej Czarownicy.

Anden znieruchomiał. Łyżka zupy zamarła w połowie drogi do jego ust. Opuścił ją z powrotem do miski. Jego szyję i twarz zalał niezdrowy żar.

– Mam nadzieję, że będziesz nosił jadeit lepiej niż twoja matka. Ach, była naprawdę zielona, zielona kobieta-potwór. Okazała się jeszcze gorsza niż jej ojciec i bracia. – Uniósł kościsty palec i pogroził nim Andenowi. – Ten chłopak mieszanej krwi, którego do nas przyprowadziłeś, jest jak skrzyżowanie kozy z tygrysem. Kto wie, czym się stanie?

Hilo wlepił w niego spojrzenie.

– Kyanlo, nie sądzisz, że już najwyższy czas, by dziadek położył się spać? – zapytał tonem tak śmiertelnie groźnym, że Anden skulił się na ten dźwięk.

Kobieta zerwała się błyskawicznie.

– Chodźmy już, Kaul-jen – mruknęła, popychając wózek w stronę domu. – Pora odpocząć.

– Uważaj na swój jadeit, synu Szalonej Czarownicy – rzucił jeszcze na pożegnanie Kaul Sen.

Za stołem zapadła cisza. Wreszcie Hilo odetchnął głęboko i rzucił serwetkę na stół.

– On nie czuje się dobrze – rzekł do Andena przepraszającym tonem. – Utrata tolerancji na jadeit szkodzi starym ludziom tutaj.

Popukał się znacząco palcem w skroń.

Chłopak skinął głową. Kaul Sen nigdy dotąd nie był dla niego okrutny. Kiedy Anden miał siedem lat, Płomień Kekonu był dla niego jak bóg, a nawet zaledwie rok temu był silny i zdrowy. Powiedział wtedy Andenowi: „Jesteś członkiem rodziny, chłopcze. Zostaniesz zieloną kością równie potężną jak moje wnuki”.

– Ignoruj go – poradził mu teraz Hilo. – Jedz, Andy. A wy wszyscy nie miejcie takich smutnych min. To jest radosny dzień. Andy ukończył Testy. Ja się ożeniłem. Jest ciepło, zbliża się wiosna. Jest wigilia Nowego Roku. Wiecie, że ludzie mówią, że pierwszy dzień determinuje nasze szczęście na cały nowy rok. Nie zaczynajcie go w złym humorze.

Anden zmusił się do przeżucia i przełknięcia kęsa. Czuł się okropnie. Przychodząc tu, tylko pogorszył sytuację. Uśmiechnął się niepewnie, lecz zarazem heroicznie.

– Gratulacje, Hilo-jen. Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie, siostrze Wen.

– Tak lepiej – ucieszył się Hilo. – Dziękuję, Andy.

Wen uśmiechnęła się blado, Anden pomyślał jednak, że przygląda się mu z wyjątkowym niepokojem. Jej bracia, siedzący naprzeciwko niego, wyglądali dziś na najbardziej nieszczęśliwych. Kehn i Tar nie odezwali się ani słowem od chwili jego przyjścia, a gdy na niego spoglądali, w ich oczach widziało się coś przypominającego pretensję. Anden unikał patrzenia im w oczy. Do obojgów rogu i filarowego należało bronienie filaru nawet za cenę własnego życia. Trudno było mieć do nich pretensję o to, że zazdrościli Andenowi roli, jaką miał odegrać w tym, co wydarzy się jutro.

– Wiecie, co powinniśmy dzisiaj mieć? – odezwał się Hilo. – Czekoladowe monety. W wigilię Nowego Roku zawsze je mieliśmy. Prawda, Shae?

Skrepowane rozmowy powoli wróciły. Anden jadł tak szybko, jak tylko mógł, nie chcąc przedłużać katuszy przy stole.

Kyanla wróciła po brudne naczynia i rodzina wstała powoli z krzeseł. Wszyscy się cieszyli, że kolacja wreszcie się skończyła, ale nie chcieli się rozejść. Shae podeszła do Andena i położyła dłoń na jego ramieniu. Anden uświadomił sobie, że to głęboko przepraszający gest. Wiedział, za co go przepraszała. Była tak blisko, że wyczuwał jej jadeit, lekkie, niepewne ukłucia aury, których nie było, gdy jadł z nią kolację. Wydawało się, że od tamtej chwili minęła cała wieczność.

– Myliłam się – rzekła cicho. – Nie słuchałam twoich słów. Nie...

– Wiem, Shae-jen – odparł. – Nie musisz tego mówić.

– Nie chciałam, żeby Hilo prosił cię o to, co zamierzacie zrobić. Klóciłam się z nim o to. To postawi cię w okropnej pozycji. Ale on jest przekonany, że to najlepsza szansa ocalenia dla klanu. Wybacz, że nie zdołałam wybić mu tego z głowy.

– Rozumiem – odpowiedział chłopak. – Sam podjąłem decyzję.

Hilo wyszeptał coś do Wen, która skinęła głową i oddaliła się z braćmi.

– Chodź ze mną, Andy – polecił. – Porozmawiamy w środku.

– Mam zanieść torbę do pokoju gościnnego?

– Zostaw ją tutaj. Przyjdziemy po nią później.

Filar zaprowadził go nie do głównego budynku, lecz do sali treningowej. Spokój, jaki okazywał podczas kolacji, zniknął, ustępując miejsca równie dobrze znanemu niebezpiecznemu skupieniu. Andena zawsze zdumiewało, że jego kuzyn potrafi tak szybko przenosić się między tymi dwoma nastrojami.

– Miałeś czas się nad tym zastanowić – kontynuował Hilo. – Myślisz, że dasz radę zrobić to, o co cię proszę?

Chłopak skinął głową. Nagle uświadomił sobie, że to jest decydująca chwila, do której prowadziło całe jego dotychczasowe życie. W tej godzinie potrzeby filara liczył na niego i tylko na niego.

– Nie zawiodę cię.

– Wiem, Andy. – Hilo przez chwilę sprawiał wrażenie wstrząśniętego. – Musimy się porządnie przygotować na jutro. Chcę, żebyś działał w imieniu klanu i w moim, a to znaczy, że musisz zostać zieloną kością klanu Bez Szczytów. Uroczystość zakończenia nauki jeszcze się nie odbyła, ale przeszedłeś już Testy i możesz złożyć przysięgę. Znasz jej słowa na pamięć czy muszę ci je powiedzieć?

– Znam je – zapewnił Anden. Klęknął na podłodze przed kuzynem i uniósł splecione dłonie do czoła.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem – zaczął spokojnym, miarowym głosem. – Wybrano mnie i wyszkolono po to, bym władał darem bogów dla dobra naszych ludzi i chronił ich przed wszystkimi wrogami klanu, bez względu na ich siłę czy liczebność. Dołączam do bractwa jadeitowych wojowników z własnej woli i całym swym jestestwem. Od tej chwili będę ich zwał towarzyszami broni. Jeśli kiedykolwiek okażę nielojalność bratu, niech zginę od klingi. Jeśli kiedykolwiek odmówię przyjscia mu z pomocą, niech zginę od klingi. Jeśli kiedykolwiek będę szukał osobistych korzyści kosztem brata, niech zginę od klingi. Ślubuję to wszystko na oczach bogów w niebie. Na mój honor, moje życie i mój jadeit.

Anden dotknął czołem podłogi tuż u stóp Hila.

Filar pociągnął go na nogi i uściskał.

– Bracie – rzekł.

## Rozdział 54

### Bądź jak Baijen

Wieczorem pierwszego dnia nowego roku Hilo oraz Anden przyjechali do Dzielnicy Portowej i tuż przed zachodem słońca przybyli niezatrzymywani przez nikogo do drzwi Podwójnego Szczęścia. Filar kazał chłopakowi prowadzić.

– Chcę się upewnić, że nie rozbijesz mojego samochodu w drodze powrotnej – wyjaśnił.

Minęło już sporo czasu, odkąd Hilo uczył go prowadzić jeden ze starych rodzinnych samochodów i chłopak czuł się niepewnie za kierownicą ulubionego pojazdu kuzyna. Ogromny sedan włókł się powoli przez całą drogę, aż filar zaczął kpić z chłopaka.

– Duchesse priza to potężna maszyna, a ty kierujesz nią jak wózkiem pedałowym.

– Mogłeś pozwolić, żeby Kehn albo Tar prowadzili – zaprotestował chłopak.

– Nie mogłem – zaprzeczył Hilo. – Widziałeś, jacy źli byli wczoraj.

Spodziewano się ich przybycia. Powoli zbliżającą się duchesse zauważono i zameldowano o niej, nim jeszcze zbliżyli się do Dzielnicy Portowej. Dlatego, gdy podjechali przed Podwójne Szczęście i Anden wyłączył silnik, zorientowali się, że na parkingu w ogóle nie ma samochodów należących do prawdziwych klientów. Na jego bocznej części stały wielkie czarne pojazdy przypominające zt valora należącego do Gonta, a u wejścia do restauracji zgromadziła się grupka zielonych kości z Góry. Hilo czekał w samochodzie około minuty. Postrzegał niecierpliwość ludzi zgromadzonych na zewnątrz oraz nieubłaganą aurę Gont Ascha toczącą się ku wyjściu z Podwójnego Szczęścia niczym czarny gładz. Przede wszystkim zaś Postrzegał strach siedzącego obok kuzyna i szybkie bicie jego serca. Zaimponowało mu, że z twarzy chłopaka można wyczytać tak niewiele. Położył dłoń na jego ramieniu i trzymał ją tam przez kilka sekund, po czym wysiadł z samochodu. Zdjął marynarkę i położył ją na siedzeniu po stronie pasażera, zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę wrogów. Po chwili wyczuł i usłyszał, że Anden również wysiadł i idzie jakieś dwadzieścia kroków za nim. Głośne bicie jego serca nadal wypełniało Postrzeganie Hila.

Drogę zastąpił mu Gont Asch. Miał na sobie skórzaną kamizelkę, a do pasa przytroczył karambit. Po obu jego bokach stał w sumie tuzin wojowników. Hilo zatrzymał się w niewielkiej odległości od niego. Pomimo ich wzajemnej wrogości obaj mężczyźni rzadko się spotykali. Przyglądali się sobie przez kilka nieśpiesznych oddechów. Żaden się nie odzywał ani nie poruszał. Czekali, co wydarzy się za chwilę.

– Wiesz, że to moja ulubiona restauracja? – odezwał się wreszcie Hilo.

– Potrafię zrozumieć dlaczego – mruknął Gont.

– Próbowaleś chrupiących kotlecików z kalmarów?

– Jem je prawie codziennie – odpowiedział róg Góry.

Hilo przymrużył lewe oko i rozciągnął usta w wąskim uśmiechu.

– Zazdroszczę ci. – Przesunął spojrzeniem wzdłuż linii doświadczonych wojowników Góry. Z pewnością niektórzy z nich nosili jadeit zabrany jego Pięściom. – W porządku – rzekł. – Jestem tutaj. To, co zrobiliście Eitenowi, było podłe, skurwysyny. – Splunął w bok. – Każdemu, kto wyzwie mnie na pojedynek na czystą klingę, okażę szacunek, ale wy ukradliście wojownikowi godność, żeby przyciągnąć moją uwagę. Teraz ją macie.

Gont ruszył ku niemu, powoli jak lew.

– Gdyby to była sprawa osobistego honoru, obaj już dawno zmierzylibyśmy się na czyste klingi, Kaul-jen. Ale to jest wojna klanów. Jesteśmy rogami i robimy, co tylko możemy, by nasze klany zwyciężyły, czyż nie tak? – Okrążył Hila, kierując na niego spojrzenie głęboko osadzonych oczu. – Muszę przyznać, że nie spodziewałem się, że się zjawisz. Sądziłem, że będę się musiał przebić przez wszystkie zielone kości z klanu Bez Szczytów, by wreszcie do ciebie dotrzeć.

– Jeśli nadal pragniesz pojedynku, mogę ci go dać tu i teraz – odparł Hilo, śledząc nieprzyjacielski róg wzrokiem i Postrzeganiem.

Cichy chichot Gonta przypominał parsknięcie.

– Tego propozycja nie obejmowała. Nie jestem aż tak samolubny, by narażać los klanu w jednym pojedynku. – Stał przed Hilem. Jego potężne ciało rzucało wielki cień na przestrzeń między nimi. – Obaj wiemy, że Góra prędzej czy później pokona klan Bez Szczytów. Po co pozwa-

łać, by lojalni wobec ciebie ludzie marnowali życie? Po co przeciągać cierpienia miasta, które jest bliskie naszym sercom? Gdybym był na twoim miejscu, pomyślałbym o poświęceniu Baijena.

Hilo milczał. Targnął nim niewidoczny spazm. Nie chciał umierać. Z pewnością był gotowy na śmierć, ale jej nie pragnął. Wiedział, że Gont Postrzega przebiegające przez niego sprzeczne emocje, nie próbował więc ich ukrywać.

– Przysłałeś mi zapewnienia – zaczął, wskazując głową na stojącego kawałek za nim Andena. – Mój kuzyn przybył ze mną, by się upewnić, czy ich dotrzymasz.

Gont przeniósł spojrzenie na nastolatka i wezwał go skinieniem.

– Podejdź bliżej, Anden Emery. – Chłopak wykonał polecenie, spokojnie, choć z wyraźnymi oporami. Gont przywoływał go coraz bliżej, aż wreszcie Anden znalazł się tak blisko, że róg mógł położyć wielką mięsistą łapę na jego ramieniu. Obaj patrzyli na Hila. – Czy wiesz, jaką rolę przeznaczono dla ciebie w umowie między twoim kuzynem a mną?

– Wie – potwierdził Hilo, zaciskając zęby na widok ręki Gonta na ramieniu Andena. – Nie wątpię, że nie będzie się wtrącał do walki, kiedy już się zacznie. Ma mnie odwiedzić z powrotem do rodziny. Chcę, żeby moje ciało było w jednej części i żeby nie brakowało na nim ani kawałka jadeitu. Jeśli Anden wróci bezpiecznie i zamelduje, że wszystko wydarzyło się zgodnie z twoimi obietnicami, moja prognostyczka skapituluje. Rozmawiałem ze swym rogiem i napisałem do wszystkich pięści listy rozkazujące im złożyć broń i przyjąć twoje warunki. Jeśli dotrzymasz umowy, moja siostra wręczy im te listy. W przeciwnym razie wszystkie moje pięści i palce będą walczyły do ostatniego człowieka, żeby rzucić Górę na kolana. Zniszczycie nas, ale wasze zwycięstwo nie będzie miało żadnej wartości. Wasz klan zostanie okaleczony, a miasto będzie leżało w gruzach. – W słowach Hila pobrzmiwało niezachwiane przekonanie. Mówił poważnie. – Obaj wiemy, że tak może się stać, ale żaden z nas nie jest samolubny, Gont-jen. Dlatego tu jestem.

Gont skinął głową. W jego oczach pojawił się błysk udzielanego z niechęcią szacunku. Puścił chłopaka.

– Daję słowo, że Andenowi nic się nie stanie i nikt nie będzie próbował go powstrzymać.

– Jeszcze jedno – dodał Hilo – Chcę, żebyś ty to zakończył. Należy mi się pojedynek na czyste klingi, ale ty dałeś mi to. Jeśli to ma być śmierć konsekwencji, zasługuję przynajmniej na to, żeby nie zginąć porąbany na kawałki. Rozumiesz, Gont-jen? Chcę, żeby drugi róg dał mi śmierć wojownika.

Po chwili Gont pochylił głowę.

– Zapewniam, że zrobię to z przyjemnością, Kaul-jen.

Hilo przesunął spojrzeniem po ludziach Gonta. Wszyscy podążali za swoim rogiem, ale teraz zatrzymali się niepewnie, a nawet nieco cofnęli, dostrzegając nagłą zmianę postawy Hila, napięcie mięśni jego barków. Filar klanu Bez Szczytów rozpiął dwa guziki koszuli i rozchylił ją, odsłaniając długi szereg jadeitów na obojczykach.

– No to ruszajcie! – zawołał z nagłą niecierpliwością.

Wyciągnął karambit, przesunął palcem wskazującym po pierścieniu rękojeści, zanim pochylił się i przybrał gotową do skoku pozycję doświadczonego wojownika.

– Gont-jen, pokaż mi, który z twoich ludzi jest najzieleńszy z nożem!

Anden odsunął się na bok. Potężna obecność Gonta go przytłaczała. Stłumił westchnienie, gdy trzech ludzi Góry otaczających Hila ruszyło jednocześnie naprzód. Scena zmieniła się w zamazaną plamę ruchów i ataków. Mężczyźni, którzy rzucili się do ataku za pozwoleniem swego rogu, byli dobrymi wojownikami. Mieli jadeit w brwiach i w uszach, na palcach, nadgarstkach i szyjach. Byli gibcy i gwałtowni. Z pewnością od początku wiedzieli, że zgłoszenie się na ochotnika do tego honorowego zadania zapewne będzie ich kosztowało życie. Kaul Hiloshudon zasłynął jako mistrz walki na noże i teraz Anden zrozumiał dlaczego.

Kekoński karambit ma krzywą, obusieczną klingę długości dziesięciu centymetrów. Można go używać do cięcia, pchania, wyrywania fragmentów ciała i zahaczania o stawy. Anden widział broń Hila. W jej rękojeść wprawiono trzy jadeity. Wykonano ją ze stali Da Tanori, podobnie jak najlepsze guan dao, ale w przeciwieństwie do tamtej broni, od zawsze powiązanej z zielonymi kośćmi, karambit jest narzędziem ulicznego wojownika. Proste, bezjadeitowe wersje takich noży łatwo można znaleźć na Kekonie i młodzi chłopcy w rodzinach zielonych kości uczyli się nimi posługiwać na długo przed tym, nim dotknęli innej broni.

Hilo walczył tak, jakby w ogóle nie miał noża. Nie patrzył na rękę ani na ostrze, nie przejmował się wysuwaniem naprzód prawej strony ciała, nie napinał w widoczny sposób mięśni i nie zwracał większej uwagi na samą broń, jak robiłby ktoś mniej wprawny. Kluczył, uchylał się i krążył, odbijał ataki przeciwników i zbliżał się do nich, a każdy kontakt wieńczył błysk stali. Jeden z mężczyzn spróbował wyprowadzić atak od góry, ale Hilo zahaczył karambitem jego nadgarstek, przeciął ścięgna pod łokciem, a następnie przerzucił nóż do drugiej ręki i wbił go w jego szyję, jakby obierał owoc.

Wszystko to trwało około sekundy. Atak był tak szybki, że mężczyzna nie zdążył użyć Stali. Ostrze przebiło jego tętnicę szyjną i padł na ziemię, tryskając krwią. Hilo ruszył naprzód. Jego oczy przerodziły się w gorejące punkciki ognia. Z drugim przeciwnikiem poradził sobie podobnie. Na jedno jego cięcie odpowiedział trzema albo czterema następującymi po sobie w płynnej serii. Trzeci mężczyzna zdołał ciąć go w żebra oraz w kark. W przypadku większości ludzi karambit przecinał ciało z łatwością, ale Stal Hila była niemal równie dobra jak ponoć Stal Gonta – może nie pod względem siły, ale z pewnością płynności. Mistrz Stali potrafił kierować swą jadeitową energią w zwinnym tańcu napięć i rozluźnień, zawsze ograniczając swe ruchy, by móc w jednej chwili wznieść ruchomą, niemal nieprzepuszczalną tarczę. Anden wstrzymał na mgnienie oka oddech, widząc, jak ostrze przecina ubranie filaru, ale popłynęła tylko strużka krwi. Hilo stęknął, zmienił pozycję i wzmocnił Siłą atak wyprowadzony lewą ręką na gardło. Zgodnie z jego przewidywaniami przeciwnik potknął się i zareagował, osłaniając Stalą górną połowę ciała. Hilo zrobił szybki krok naprzód i ciął go w tętnicę udową, a następnie pchnął w kolano od tyłu. Zielona kość zgiął się z krzykiem i kuzyn Andena z triumfalnym warknięciem wbił nóż między kręgi jego szyi.

– Marnujecie mój czas! – zawołał, oddalając się tanecznym krokiem od zabitego. Pot spływał mu po czole i szyi. – W tym tempie zaraz zabraknie ci zielonych kości, Gont-jen! Gdybym wiedział, że walka z pięściami Góry będzie taka łatwa, przyjechałbym tu szybciej!

Prowokuje ich, pomyślał zrozpaczony Anden. Wojownicy Góry, którzy ruszyli teraz do ataku, już się nie wahali. Rozwścieczyła ich śmierć towarzyszy, a odwagi dodawała im świadomość, że nawet najlepszy wojownik szybko się zmęczy, jeśli będzie zmuszony walczyć z licznymi przeciwnikami. Nakazał sobie pozostać na miejscu, obserwować i nie odwracać wzroku. Walka toczyła się z bliska. Hilo ze wszystkich sił starał się pozostać w oku cyklonu. Odepchnął dwóch napastników Odbijaniem i zaatakował trzeciego. Podskoczył wysoko, posługując się Lekkością, by uniknąć ataku z dwóch stron jednocześnie, ale ściągnięto go z powrotem na dół. Użył Przenoszenia, by wnikać w ciało jednego z ludzi Góry, lecz nim zdołał zakończyć sprawę, obaliła go na kolana Siła innego. Anden oddychał coraz płycej. Zawładnęła nim panika. Wbił paznokcie w wewnętrzne powierzchnie dłoni, gdy jego kuzyn zniknął pod sztormem odzianych na ciemno ciał oraz błyszczących noży.

Karambit Hila spadł na chodnik i wysunął się poza krąg walczących.

– Dość tego! – ryknął Gont Asch.

Kilku jego pograżonych w szale ludzi nie posłuchało go natychmiast. Róg Góry ryknął jeszcze raz i zatoczył krąg ręką, rzucając szerokie, płytkie Odbijanie, które odepchnęło jego zielone kości na wszystkie strony. Kiedy się rozproszyły, Anden zauważył, że filar klanu Bez Szczytów wspiera się na rękach i kolanach, a krew spływa mu po twarzy i barwi koszulę na plecach. Charczał głośno, a jego barki poruszały się spazmatycznie. Chłopak nagle przypomniał sobie chwile, gdy Hilo przychodził do Akademii i spuszczał mu łomot po prostu dla zabawy, czy raczej po to, by sprawdzić, jakiego rodzaju mężczyzną jest Anden i czy potrafi kontynuować walkę, nawet przeciwko przeważającej sile. Pokonał go bez trudu, bawiąc się z nim, jak duży pies bawi się z małym. Tamtego dnia Anden z pewnością sobie nie wyobrażał, że kiedyś zobaczy Hila tak bezradnego wobec wrogów, jak sam był bezradny wobec niego.

– Przelełeś już dzisiaj wystarczająco dużo krwi zielonych kości, Kaul Hilo z klanu Bez Szczytów. Zasłużyłeś na śmierć wojownika.

Gont sięgnął po rękojeść guan dao. W tej samej chwili Hilo rzucił się do przodu i uderzył go w środek ciała.

Obaj mężczyźni padli na ziemię. Hilo splunął Gontowi w twarz.

– Wydawało ci się, że odsłonię przed tobą szyję jak kaczka na pieńku rzeźniczym? Zabiorę cię ze sobą.

Podniósł się nieco, by zebrać resztki Siły do miażdżącego czaszkę ciosu.

Gont odrzucił go Odbijaniem. Hilo runął na plecy. Wojownicy Góry znowu rzucili się do ataku.

– Zostawcie go! – krzyknął ich róg, po czym zerwał się na nogi.

Dzięki Lekkości był wyjątkowo szybki jak na mężczyznę takich rozmiarów. Ruszył w kierunku Kaula, który podniósł się z jękiem i ponowił atak. Gont powstrzymał skok osłabionego przeciwnika i uderzył go w twarz. Hilo upadł, ale podniósł się znowu, lecz Gont raz jeszcze go powalił, tym razem kopnięciem w żebra. Anden drżał. Jego oczy, gardło i klatkę piersiową wypełniał ogień. W oczach rogu Góry zapłonął dziki ogień usatysfakcjonowanej żądzy zemsty, wydostający się spod ciężkiej jak kamień zasłony jego panowania nad sobą.

– Jesteś... bardzo... uparty... – warczał przy każdym ciosie, po którym Hilo drżał albo padał, ale podnosił się znowu. – Nie... wiesz... kiedy... przestać.

Gont zebrał Siłę, podniósł lżejszego mężczyznę i cisnął nim na odległość paru metrów. Hilo runął na asfalt i tym razem już nie wstał. Leżał jak roztrzaskana lalka. Z jego ust wydobywał się chrapliwy, bulgoczący oddech, a klatka piersiowa ledwie się poruszała. Gdy Gont uniósł guan dao, Hilo odchylił głowę do tyłu.

– Teraz! – zawołał.

Anden zerwał się do biegu. Nikt z zielonych kości nie zwracał na niego uwagi. Był nastoletnim uczniem wybranym na świadka walki. Nie nosił broni i nie wyczuwali u niego nawet śladu jadeitowej aury. Strach i niepokój, jaki w nim Postrzegali, był całkowicie naturalny. Biegąc, słyszał rytm serca wypełniający mu uszy. Skoczył na zakrwawionego, leżącego na jezdni kuzyna.

– Andy – wyszeptał Hilo i wyciągnął do niego rękę.

Chłopak wyszarpnął z lewego rękawa jego koszuli długi sznur jadeitów i owinał go sobie wokół zaciśniętej pięści.

Przed dwoma dniami Hilo usunął niemal wszystkie jadeity, które nosił, i związał je w cienki sznur. Mógł go sobie ciasno owinać wokół lewego przedramienia – tego, do którego uwagi nie przyciągał karambit. Zostawił na dawnym miejscu tylko kamienie na obojczykach, te, które wszyscy widzieli. W jego aurze nic się nie zmieniło. Wszystkie jego jadeity nadal dotykały skóry. Teraz jego ciało wypełniło gwałtowne drżenie, gdy utracił z nimi kontakt.

Świat Andena wypełniła fala czystej energii.

To było tak, jakby nagle wyrwał się z więzienia swego ciała. Był wszędzie i nigdzie. Przykucnął obok kuzyna, spoglądał z wysokości na siebie i na Gonta, znajdował się wewnątrz otaczających go ludzi, otaczał go puls ich krwi wraz z odgłosami pracy narządów wewnętrznych. Jego własne ciało zmieniło się w coś dziwnego, co ograniczało mu swobodę – dziwne połączenie układów i części, organicznej materii, ciała owiniętego wokół kości, a także skóry, wody i tkanki mózgowej. Jasno zdawał sobie sprawę z tego, że jest tylko tym, a zarazem czymś znacznie więcej. Był czystym czuciem, świadomą energią, która zna siebie i manipuluje sobą zgodnie z własną wolą.

Nigdy dotąd nawet sobie nie wyobrażał takiej świadomości, takiej ekstazy mocy i wrażeń.

Wczoraj wieczorem, gdy ćwiczyli ten manewr, Anden tylko szarpnął za jadeit, nie ściągając go całkowicie z ręki Hila. Nie chcieli, by rzut jadeitowej energii, a następne jej odstawienie osłabiło ich niebezpiecznie. Nawet wtedy Anden był oszołomiony gwałtownym wpływem mocy znacznie silniejszej niż wszystko, z czym zetknął się wcześniej. To jednak było nic w porównaniu z tym, co przeżywał teraz.

– Nie ruszaj się, dopóki nie dam ci znaku – rozkazał Hilo. – Jeśli umrę, zanim cię wezwę, nadal możesz mieć szansę, ale pod warunkiem, że Gont będzie blisko.

Teraz już był blisko. Anden wyczuł, że róg Góry zatrzymał się nagle, całkowicie zaskoczony. Hilo bardzo skutecznie przyciągał jego uwagę, skupiał ją wyłącznie na sobie, starał się go rozjuszyć, powstrzymać przed obejrzeniem się na Andena, choćby w ułamku sekundy między jego krzykiem a reakcją chłopaka. Guan dao uderzyło w dół, ale w jego ruchu wyczuwało się niezdecydowanie. Biała klinga opadała powoli, jakby przecinane przez nią powietrze było gęste jak miód. Andena ogarnęło absurdalne pragnienie śmiechu, gdy sobie uświadomił, że Gont wcale nie zwolnił. To dla niego tempo upływu czasu zmieniło się tysiąckrotnie.

Jadeitowa aura przeciwnika stała się dla niego czymś dotykającym. Mógł ją pochwycić w obie dłonie. Uniósł rękę, niemalże na próbę, i poczuł, że jego powiększona jaźń pochwyciła stru-



mień energii, otoczyła go, wniknęła w jego centrum. Gont znieruchomiał, a potem zrozumiał. W jego oczach pojawił się niepokój. Otoczył się swą legendarną Stalą. Anden poczuł, jak ta zasłona odpycha jego moc, a potężna aura przeciwnika gęstnieje w obronie. Wstał, ściskając w dłoni sznur jadeitów – jedną rękę nadal wyciągał ku przeciwnikowi – i popchnął. Jego Przenoszenie było jak żelazna włócznia. Przebiło zewnętrzne warstwy Stali Gonta, ale zatrzymało się tuż przed celem, napotykając nieprzezwyciężony opór.

Gont wybałuszył oczy. Guan dao zachwiało się w jego dłoni, jakby całym jego ciałem zawładnął paraliż akcji i reakcji. Anden poczuł, że po skórze przebiegają mu ciarki narastającego gorąca. Z ust i nosa rogu Góry płynęła krew, ale szok i panika wzmocniły jego Stal. Chłopak uzmysłowił sobie, że bariera zbliża się niepowstrzymanie do niego. Nie był w stanie oddychać, wzbierająca w nim moc była tak potężna, że czuł, że jego oczy i płuca zaraz eksplodują.

W tej chwili rozpaczliwej szamotaniny Hilo zdołał się podnieść dzięki przyływowi chwiejnej energii, zrodzonej wyłącznie z niezłomnej siły jego woli. Wyrwał karambit Gonta z pochwy u pasa i wbił go w jego ciało. Róg Góry ryknął z bólu.

– Czy zapomniałeś, że Baijen wrócił z martwych, żeby zabić wroga? – wychrypiął Hilo i osunął się na ziemię.

Pozostali wojownicy Góry rzucili się do ataku, by pomóc swemu rogowi i pokroić obu nieprzyjaciół na plasterki. Było już jednak za późno. Nóż wbity w bok Gonta otworzył drogę. Skupienie i Stal rogu zachwiały się i Anden użył Przenoszenia z całą siłą, jaką potrafił zebrać. Poczuł, że niemożliwy do wytrzymania nacisk w jego wnętrzu wypłynął na zewnątrz gwałtownym strumieniem, wnikając w ciało przeciwnika.

Serce Gonta przestało bić, jego płuca odmówiły posłuszeństwa, naczynia w mózgu pękły. Anden, niezdolny odciąć się od absolutnej klarowności swego Postrzegania, dzielił z nim wrażenie śmierci, czuł każdy przerażający przyływ zniszczenia przeszywający ciało przeciwnika. Gont umierał, a on razem z nim. Gdy róg Góry padł na ziemię, Anden poszedł w jego ślady. Otwierał usta, lecz nie był w stanie wydobyć z nich dźwięku. Wreszcie sztorm śmierci rozprysnął się i nadeszła następna fala – odrzut jadeitowej energii powrócił do ciała chłopaka, jakby gniewny bóg Yofu wciągnął w płuca wiatr i wypuścił go jako pustoszący okolicę tajfun. Wypływ mocy wywołany przez śmierć człowieka tak potężnego jak Gont Asch wykraczał poza wszelkie wyobrażenie. Wewnątrz czaszki Andena eksplodowały blask i żar tysiąca gwiazd. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Z głębi jego duszy wyrwał się krzyk przerażenia, bólu i ekstazy.

Czuł, że zaraz spłonie. Musiał się uwolnić od przerażającego żaru, który gromadził się pod jego skórą, pragnąc wyrwać się z więzienia ciała. Wojownicy Góry biegli ku niemu, unosząc broń niczym naczynia, w które mógł przenieść cały ten nadmiar. Ujście, tak bardzo upragnione ujście. Nie musiał nawet ich dotykać, to było równie łatwe, jak zgaszenie życia zamkniętych w klatce myszy. Dwóch mężczyzn pochwyił w biegu. Złapali się za piersi, wybałuszyli oczy i rozdziawili usta pod wpływem szoku. Broń, którą wypuścili z rąk, spadła z brzękiem na ziemię. Przyglądał się ich śmierci z osobliwą obojętnością i głodną radością.

Pozostałe zielone kości wycofały się. Anden zauważył ich strach przed nim i usłyszał, że z jego ust wyrwał się osobliwy chichot. Był demonem – bladym, nastoletnim potworem, który upił się jadeitem i zabijaniem. Kaul Sen zastanawiał się, co powstanie, jeśli skrzyżuje się kozę z tygrysem. Coś niezwykłego i przerażającego.

Zadrzał. Wzdłuż jego kręgosłupa przebiegła fala. Rozpostarł szeroko ręce i wyprostował palce, wypuszczając z siebie Odbijanie, które uniosło trzech kolejnych mężczyzn nad ziemię i odrzuciło od niego. Przetoczyli się, po czym wstali, chwając się i utykając, obejrzeni się z przerażeniem w oczach i uciekli. Pozostali podążyli za nimi. Ich kroki umilkły w oddali.

Do świadomości Andena powoli wracało poczucie rzeczywistości, do tej pory kryjące się w mrocznym zakamarku jaźni. Hilo leżał nieruchomo na ziemi. Z jego ran wypływała krew, unosząc ze sobą życie. Anden musiał... musiał wezwać pomoc... zadzwonić do kogoś. Gapił się na sznur jadeitu, który ściskał w prawej dłoni. Zebrał siłę woli tak potężną, jakby chciał wyrwać sobie oko, rozluźnił palce i pozwolił, żeby klejnoty spadły na ziemię. Wstał i zrobił jeden krok, lecz nagle cały świat przechylił się wokół niego i zapadł w ciemność. Anden runął bez czucia na asfalt obok kuzyna.

## Rozdział 55

### Jeszcze nie koniec

Anden ocknął się w szpitalu. Podłączono go do kroplówki i do jakichś maszyn, z których płynęły ciche piski. Głowa mu ciążyła, a powieki się kleiły. Gardło go bolało, a skóra była przewrażliwiona, jakby pokrywał ją jeden wielki siniak. Nawet przesuwanie się po miękkim materacu sprawiało mu ból. Przez moment nie potrafił zrozumieć, skąd się tu wziął. Lecz nagle wszystko sobie przypomniał. Serce przyśpieszyło mu gwałtownie, a po chwili zalał go pot.

Wspomnienie grozy i euforii zrodzonej z jadeitu – było go tak wiele – całkowicie wypełniło mu umysł. Wszystko inne utraciło znaczenie. Patrząc na swe nagie, blade ręce spoczywające na białej pościeli, czuł zachwyty i głód. Zabił Gont Ascha. Róg Góry, jednego z najpotężniejszych zielonych kości w Janloonie. Czuł jego śmierć jak swoją własną, a gdy fala go wypełniła, napawał się napływającą energią. Cóż za zachwyty. Odebrał też życie dwóm innym wojownikom i ich śmierć przyniosła mu satysfakcję, choć nie aż tak wielką. Niewykluczone, że tylko pierwsze zabójstwo wywoływało tak intensywne wrażenia. A może chodziło o siłę i jadeit ofiary?

Ach, jadeit! Pokutnicy mieli rację. Jego moc była boska. Pochodziła z nieba i zmieniała ludzi w bogów. Obliznął spękane wargi, zastanawiając się, gdzie się podział i kiedy będzie mógł znowu go włożyć i poczuć tę samą moc.

Nagle zachciało mu się płakać.

Wiedział, że nie jest normalny. Zawsze podejrzewał, że tak właśnie będzie. Potężna, lecz niestabilna linia genetyczna Aunów, pomieszana z cudzoziemską krwią i wrażliwością na jadeit. Mówiono mu jednak, a on w to wierzył, że rygorystyczne szkolenie w Akademii pomoże przezwyciężyć te braki. Dyscyplina i adaptacja do jadeitu tworzyły zielone kości, które były potężne, ale potrafiły zachować panowanie nad sobą i nie zmieniały się w potwory, chichoczące z czystej, zmysłowej radości zatrzymywania bijących serc. Hilo zabijał wiele razy, ale nie stał się szaleńcem.

Hilo! Chłopak usiadł nagle. Głowę wypełnił mu ból.

Pojawiła się pielęgniarka – tęga kobieta z zasępioną miną – i sprawdziła odczyty na monitorze.

– Gdzie jest Kaul-jen? – wychrypiał Anden.

Z początku mu nie odpowiedziała, tylko zmieniła kroplówkę.

– Czy żyje? – nie ustępował chłopak.

– Żyje – potwierdziła.

Anden usłyszał jej odpowiedź jak przez mgłę. Najwyraźniej kroplówka zawierała silny środek uspokajający. Po minucie już zasnął.

Kiedy się obudził, Hilo siedział przy jego łóżku. Anden wciągnął nagle powietrze na jego widok. To było tak, jakby coś wyszło z twarzy jego kuzyna jej sławetny młodzieńczy wygląd, czyniąc z niego straszdyło. Oczy miał podkrążone, na policzku zaszytą ranę, a na jednym przedramieniu gips. Mimo to uśmiechnął się szeroko, gdy tylko zobaczył, że Anden się ocknął. W oczach filaru zatańczyły radosne błyski.

– Udało ci się, Andy. – W nagłym porywie uczuć pochylił się nad chłopakiem, złapał go za włosy i pocałował w czoło. – Zmusiłeś Górę do ucieczki. Uratowałeś klan, kuzynie. I moje życie. Nigdy o tym nie zapomnę.

– Jak to się... – Anden przełknął ślinę, próbując zwilżyć usta. – Jak to się stało, że żyjemy? Co się wydarzyło po...

Trudno mu było kończyć zdania.

Hilo się roześmiał. Wstał i wypełnił papierowy kubek wodą ze zlewu. Anden uświadomił sobie, że są w prywatnej sali szpitalnej. Jego kuzyn poruszał się bardzo ostrożnie. Z typowej dla niego gracji zostało bardzo niewiele. Wyglądało to tak, jakby rozebrano go na części i nie był do końca pewien, czy wszystkie z nich wróciły już na miejsce. Usiadł i wręczył kubek chłopakowi, zamykając na nim jego palce, jakby pomagał dziecku mającemu kłopoty z koordynacją ruchów. Anden uniósł niepewnie kubek do ust i wypił wodę, pełen wdzięczności i zawstydzony tym, że filar

klanu siedzi przy jego łóżku i opiekuje się nim.

– Pan Une, właściciel Podwójnego Szczęścia, widział, co się stało, i zadzwonił do rezydencji. Shae zawiadomiła Kehna i Tara, obaj czekali w budynku po drugiej stronie autostrady w Junko, tylko pięć minut drogi stąd. – Hilo przerwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Skrzywił się z bólu w jakiejś niewidocznej ranie, ale nie przestał się uśmiechać. – Mam same dobre wieści, Andy. Gdy Góra straciła róg i kilka innych najlepszych zielonych kości, Kehn i nasze pięści natychmiast rozpoczęli atak. W jeden dzień odzyskali całą Dzielnicę Portową. – Twarz Hila promieniała dumą. – Tar odwiózł nas do szpitala razem z Shae, a potem zdobył dla nas resztę Sogen. Juen i jego ludzie wtargnęli do Grotu i zabili tyle palców Góry, że nie musimy się już obawiać, że stracimy ulicę Dla Ubogich. Odwróciliśmy falę wojny. Ty ją odwróciłeś.

Anden starał się jakoś ogarnąć to wszystko.

– Czy to znaczy, że Ayt jest pokonana?

Hilo uniósł głowę.

– Andy, zielona kość nigdy nie jest pokonana, dopóki nie zginie. Obaj niedawno tego dowiedliśmy. – Zacisnął mocno usta. – Góra to stary i wielki klan. Zadaliśmy mu potężny cios i zmusiliśmy Ayt do odwrotu. Będzie musiała mianować nowy róg. Zapewne będzie to pierwsza pięść Gonta. Słyszałem, że żyje. Minie trochę czasu, nim będą mogli przejść do kontrataku, ale to jeszcze nie koniec. – Głos Hila brzmiał złowieszczo, ale w jego oczach tańczyły iskiereki optymizmu. Anden nie widział ich tam od chwili śmierci Lana. – Ale my też jeszcze nie jesteśmy skończeni, Andy – dodał, pochylając się ku kuzynowi, jakby chciał podzielić się z nim tajemnicą. – Razem załatwiliśmy Gonta. Ją też dorwiemy.

Anden czuł się zbity z tropu. Dlaczego tak trudno było mu się cieszyć? Żył. Hilo również wyszedł z tego z życiem. Gont zginął, a klan Bez Szczytów zwyciężył. Powinien czuć ulgę, być w radosnym nastroju, jak jego kuzyn. Zamiast tego wypełniała go pustka. Czegoś mu brakowało, nie pragnął zwycięstwa ani zemsty, a tylko świadomości i mocy, które okazały się tak bardzo ulotne, ale przeobraziły go całkowicie. Krótki kontakt z wielką ilością jadeitu na zawsze zapisał w jego umyśle świadomość tego, do czego jest zdolny. Wszystko inne bladło w porównaniu z tym, nawet rodzina i klan.

– Jak... długo tu leżę? – zapytał.

– Pięć dni – odpowiedział Hilo. – Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze – dodał pośpiesznie, widząc przestraszoną minę chłopaka. – Ja byłem bliżej grobu od ciebie, a ty jesteś młodszy i silniejszy niż ja. Doktor Truw ciągle jest tu z nami. Powinniśmy go zrobić naszym lekarzem rodzinnym.

Anden nie był pewien, jak ująć swe myśli w słowa, musiał jednak podjąć próbę.

– Hilo... nie jest ze mną za dobrze. Czuję się dziwnie... pusty, jakby ważne sprawy przestały mnie obchodzić. Kiedy Gont umierał, czułem wszystko. To było najstraszniejsze, co mi się kiedykolwiek zdarzyło, ale pragnę zrobić to znowu. – Głos chłopaka załamał się nagle. – Coś jest ze mną nie tak, prawda? Czy jestem chory? Czy to śwędziawka?

– Nie gadaj głupot. – Filar wsparł dłoń na ramieniu Andena i westchnął ze współczuciem. – Pierwszy raz w życiu nosiłeś mnóstwo jadeitu i to w sytuacji wielkiego stresu. To był dla ciebie wstrząs. Nie ulega wątpliwości, że jesteś wyjątkowo wrażliwy. Regularnie podawaliśmy ci SN1, żeby zmniejszyć gorączkę i przywrócić równowagę organizmu. – Lekarze mówią, że skany twojego mózgu wyglądają już normalnie. Daj sobie kilka dni, a znowu będziesz sobą. – Hilo poklepał kuzyna po plecach. – Nie przejmuj się, do uroczystości zakończenia został jeszcze tydzień. Na pewno na niej będziesz. Żaden z nas nie chciałby, żeby go to ominęło.

Anden spojrzał na kroplówkę podłączoną do jego ręki.

– Podają mi błysk?

W jego żyłach płynęła trucizna, która zabiła Lana.

– Nie przejmuj się tym tak bardzo – uspokoił go pośpiesznie Hilo i puknął palcem w wiszącą na stojaku kroplówkę. – Wszystko jest pod kontrolą. Nic ci nie grozi. Doktor Truw przez cały czas monitoruje twój stan. Kiedy cię stąd wypiszą, przejdiesz na niską dawkę. Powiedział, że wtedy porozmawiamy o tym, czy ją utrzymać, czy spróbować całkowicie odstawić SN1. Na razie nie radzi tego robić, bo na uroczystości zakończenia dostaniesz jadeit. Lepiej, żeby twoje ciało na razie miało osłonę. To ci pomoże.

Andena przytłaczało zmęczenie. Zwiesił głowę i zamknął oczy. Czuł ucisk w klatce piersiowej. Narastało w nim niesprecyzowane pragnienie płaczu. Nie mogąc znaleźć ujścia, mieszało się z osobliwym głodem oraz działaniem narkotyku w jego krwi.

– Na razie odpocznij, Andy – poradził mu łagodnym tonem Hilo.

Nie dodał już nic więcej. Jego dłoń nadal spoczywała na ramieniu kuzyna i dzięki temu fizycznemu kontaktowi chłopak poczuł znajomy ton aury kuzyna, słaby i stłumiony, czy to dlatego, że zmysły nastolatka stępiały, czy dlatego, że Hilo nie odzyskał jeszcze pełni sił i nie nosił całego swego jadeitu. Cały jadeit, który włożył wtedy Anden, należał do Hila, który miał go tak wiele, że nic nie czuł, gdy dodawał następne kawałki. Chłopak leżał bez ruchu, ale zazdrość i resentyment szerzyły się w nim niczym narastająca infekcja.

## Rozdział 56

### Dzień ukończenia szkoły

W kolejnych latach w mieście często wspomniano świąteczny tydzień, który nastąpił po krwawych noworocznych walkach janloońskich klanów. Wielu nazwało to wydarzenie zemstą Kaułów. W niektórych częściach miasta kiwano z aprobatą głowami, w innych zaś nerwowo pociągano się za płatki uszu. Gdy w dzielnicach utrwaliła się nowa równowaga, stało się oczywiste, że żaden z klanów nie może liczyć na szybkie zwycięstwo. Mimo że powszechnie wątpiono w ich możliwości, młodsze wnuki Płomienia Kekonu zdołały powstrzymać aneksję i skonsolidować przywództwo nad klanem.

Zgodnie z tradycją ósmoroczniacy z Akademii Kaul Dushurona, którzy zakończyli Testy przed świętami, musieli czekać do pomyślnych dni po nowym roku na ogłoszenie wyników oraz uroczystość, a pierwszy tydzień po przerwie poświęcali na ciężką pracę na terenie kampusu. To miała być dla nich ostatnia lekcja Boskiej Cnoty pokory. Dopiero później pozwalano im złożyć przysięgi i dawano jadeit. Anden nadal leżał w szpitalu i nie mógł pomagać kolegom w szorowaniu chodników, naprawianiu płotów, przycinaniu drzew i prowadzeniu bezradnych pierwszoroczniaków tam, gdzie chcieli trafić. Jednakże zgodnie z przewidywaniami Hila dwa dni przed uroczystością Andena wypisano z Centralnego Szpitala i chłopak czuł się na tyle dobrze, że mógł wziąć udział w uroczystości, która odbyła się w pochmurny wiosenny dzień, szary od groźby deszczu.

Rozeszły się już wieści, że Anden był jedynym towarzyszem filaru w walce, w której zginął Gont Asch. Gdy przed rozpoczęciem ceremonii przybył do Sali Zebrań, odziany w oficjalne szaty Akademii, zapadła głęboka cisza. Odczytując jego nazwisko podczas sprawdzania obecności, instruktor Sain pochylił głowę z większym szacunkiem, niż kiedykolwiek okazał Andenowi któryś z nauczycieli.

– Emery, stań na końcu kolejki. Będziesz szedł ostatni.

Anden wiedział, że to oznacza, iż zajął pierwsze miejsce w Testach, co w połączeniu z tytułem najlepszego na roku zdobytym podczas przedtestów z nawiązką rekompensowało przeciętne wyniki w przedmiotach akademickich i pozwalało zakończyć naukę z pierwszą lokatą.

Anden oddał honory i ustawił się na końcu kolejki.

– Ton – odezwał się na przywitanie.

Chłopak poderwał się nagle, a potem uniósł ręce, oddając mu honory.

– Anden-jen, ciesz się, że już się dobrze czujesz.

W głosie Tona zabrzmiała oficjalna nuta, z jaką palec zwraca się do pięści. Anden nie był pewien, jak na to zareagować. Chciał poprawić kolegę, zwrócić mu uwagę, że nie powinien się do niego zwracać jak do zielonej kości przed zakończeniem ceremonii, nie sposób jednak było wątpić, że Ton zrobił to celowo. Anden stłumił narastający niepokój i pozdrowił skinieniem głowy Duda oraz Pau. Oboje oddali mu honory.

Przeniósł spojrzenie na Lotta. Przez ośrodek jego jaźni przemknęło ulotne uczucie, błąd cień bólu. To jednak było wszystko. Nie miał miejsca na nic więcej. Cała ta część jego osobowości była odrętwiała. Lott, który od chwili gwałtownej śmierci ojca miał posępną minę i zapadnięte oczy, pochylił uprzejmie głowę.

– Jen.

Anden odwrócił się i spojrzał na początek kolejki. Zaciskał dłonie na długich rękawach uroczystej czarnej szaty. Dwa tygodnie rekonwalescencji, sesje uzdrawiające z doktorem Truw oraz SN1 pomogły mu, zgodnie z zapowiedziami Hila. Fizycznie czuł się dobrze. Był teraz sobą w większym stopniu niż w chwili, gdy ocknął się w szpitalu, oszołomiony i dręczony głodem jadeitu. Mimo to trudno mu było przygotować się na dzisiejszą uroczystość, na to, że będą się na niego gapili nie tylko pozostali uczniowie, lecz również cały klan.

– Jesteś bohaterem, Andy – oznajmił mu Hilo, ale on wcale nie czuł się jak bohater.

Czuł się zraniony i niepewny siebie. Myślał o SN1, nadal zanieczyszczającym jego krwio-bieg. Wszyscy ci ludzie wiedzieli, co zrobił, ale nie zdawali sobie sprawy, że sam stał się z tego

powodu zagrożeniem. Materiałem wybuchowym, któremu stabilność zapewniały wyłącznie wątpliwe osiągnięcia współczesnej nauki.

Na dworze uderzono w bębny i stu dwudziestu sześciu mężczyzn oraz trzydzieści dwie kobiety, którzy ukończyli pełen ośmioletni kurs zielonych kości w Akademii Kaul Du, opuściło Salę Zebrań, wychodząc na główny dziedziniec. Wszyscy stanęli w rzędach przed niskim podium. Ustawiono przed nim setki składanych krzeseł, na których siedziały rodziny i członkowie klanu.

Anden ukląkł na kamiennych płytach razem z kolegami. Wzniesiono nad nimi namiot chroniący przed deszczem. Gdy wielki instruktor Le rozpoczął mowę, Anden obejrzał się, spoglądając na widzów. Natychmiast zauważył Kaulów. Siedzieli pośrodku w pierwszym rzędzie. Hilo miał na sobie elegancki oliwkowy garnitur oraz czarną kamizelkę, kupione specjalnie na tę okazję. Wyglądał znacznie lepiej. Jego twarz nie była już zapadnięta, choć blizna nadal pozostawała widoczna. Był w świetnym nastroju. Gdy przyjechał tu samochodem, emanowała od niego radosna nonszalancja, która w ostatnich miesiącach opuściła go niemal całkowicie. Położył rękę na ramionach Wen, przyciągnął ją czule do siebie i postawił kaptur jej kurtki dla osłony przed lekkim, lecz wilgotnym wiatrem. Po jego drugiej stronie siedział Maik Kehn, a za nim prognostyczka. Odziana w ciemną spódnicę i bluzkę Shae wyprostowała się sztywno, a jej oczy miały poważny i nieco roztargniony wyraz. Gdy jednak zauważyła Andena, uśmiechnęła się lekko do niego.

Chłopak przeniósł spojrzenie naprzód. Wielki instruktor Le wezwał pierwszą grupę uczniów. Wszyscy ósmoroczniacy musieli przed Testami zgłosić, komu zamierzają złożyć przysięgę. Pierwsza jedenastka postanowiła zostać pokutnikami. Wykształcony ze Świątyni Boskiego Powrotu wszedł po kilku stopniach na podwyższenie, by przyjąć od nich ślubowanie pokuty. Cała jedenastka wstała, podeszła do podium, ukląkla i wypowiedziała słowa nakazujące im poświęcić całe życie religijnej służbie. Potem dotknęli głowami ziemi, wstali i zajęli pozycje za kolegami z roku. Kolejnych dwudziestu pięciu uczniów postanowiło ofiarować swe jadeitowe talenty sztuce uzdrawiania. Złożyli przysięgi przed naczelnym lekarzem Kolegium Medycyny Bioenergetycznej, w którym będą kontynuowali naukę. Anden przestąpił z nogi na nogę. Kończyny mu drętwiały. Trzecią grupę wezwał do siebie sam wielki instruktor Le. Ci uczniowie poprzysięgną poświęcić się honorowemu zajęciu nauczania jadeitowych dyscyplin. Zostaną w Akademii i od przyszłego tygodnia podejmą pracę jako asystenci nauczycieli, licząc na to, że z czasem zostaną instruktorami.

Na koniec pozostała największa grupa uczniów, pragnących poprzysięć służbę i lojalność klanowi Bez Szczytów. Wszyscy ruszyli naprzód, by złożyć przysięgi. Przez tłum uczniów i widzów przebiegła fala, gdy sam filar klanu ruszył centralnym przejściem ku podwyższeniu i wszedł na nie w kilku szybkich krokach. Następnie odwrócił się i spojrzał na zgromadzony tłum. Sprawiał wrażenie zadowolonego. Około stu nowych zielonych kości dla klanu, prawie dwie trzecie całego rocznika. Niektórzy zostaną szczęściowcami, ale większość zacznie jako palce, podkomendni Kehna i jego pięści.

Wszyscy czekali, aż Hilo zacznie recytować przysięgi jadeitowych wojowników, żeby zebrani absolwenci mogli powtarzać je za nim. On jednak milczał. Krępująca cisza się przeciągała. Zdezorientowani ludzie zaczęli zerkać na siebie nawzajem. Wielki instruktor Le odchrząknął niecierpliwie, ale Hilo potrząsnął głową.

– Wielki instruktorze – zaczął z uśmiechem, mówiąc na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli. – Kiedy sam stałem tutaj w takiej samej czarnej szacie, nie potrafiłem docenić znaczenia tego miejsca. Dlatego pozwól mi się chwilę nim nacieszyć. Nie jestem już uczniem, więc nie możesz nawet spuścić mi manta za to, że przeciągam sprawę.

Tłum zachichotał. Naprawdę jest teraz filarem i wszyscy o tym wiedzą, pomyślał Anden. Ale nadal pozostaje przede wszystkim sobą.

– Bracia i siostry! – zawołał Hilo. – Filar jest panem klanu, ale filary się zmieniają. Tylko bractwo żyje dalej i trwa. Składacie tę przysięgę nie tylko mnie, lecz również sobie nawzajem. Kto zna przysięgi zielonych kości na pamięć i może posłużyć kolegom jako przykład, recytując je jako pierwszy?

Nie tak wyglądał plan ceremonii, ale nawet wielki instruktor Le się nie sprzeciwiał, gdy z grupy wystąpił Lott.

– Ja to zrobię, Kaul-jen.

Hilo skinął głową i zaprosił gestem nastolatka na scenę. Anden przyglądał się temu z uwagą.

Serce podchodziło mu do gardła. Lott wszedł po trzech stopniach na podwyższenie i uklęknął obok Hila. Filar wyszeptał mu coś do ucha, a potem się odsunął. Lott z pełną determinacją miną uniósł splecione dłonie do czoła.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem – zaczął donośnym głosem, słyszalnym na całym dziedzińcu.

Setki absolwentów wstały i powtórzyły za nim:

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem.

Usta Andena się poruszały, gdy powtarzał przysięgę złożoną przed dwoma tygodniami. Nie mógł oderwać spojrzenia od Lotta, który klęczał przed wszystkimi, unosząc ręce i spuszczać wzrok pod ciepłym, lecz przenikliwym spojrzeniem Hila. Wypełniły go zdumienie i żal. Był pewien, że Lott nie pragnął wstąpić na krwawą ścieżkę ojca. To on, Anden, powinien tam klęczeć. Kaulowie byli jego rodziną. Udowodnił już, że zasługuje na jadeit, a w dodatku wszyscy uważali go za protegowanego Hila oraz nową, potężną moc w klanie. Mimo to było mu straszliwie żal Lotta i wypełniała go przerażająca, niepojęta radość z tego, że to nie on tam klęczy. Przez długi, surrealistyczny moment odnosił wrażenie, że Lott jest nim, że zajął miejsce Andena w chwili, gdy ten klęczał na podłodze sali treningowej w rezydencji Kaulów po noworocznej kolacji, i teraz to on, Anden, obserwuje tę chwilę przez oczy kogoś innego, widząc krew, moc i tragedię.

– Na mój honor, moje życie i mój jadeit – zakończył Lott i dotknął czołem podwyższenia.

Reszta zielonych kości z klanu Bez Szczytów powtórzyła po nim te słowa, kończąc przysięgę. Podobnie jak zrobił to z Andenem, Hilo pociągnął Lotta na nogi, uścił go, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział cicho coś, czego Anden nie usłyszał. Lott skinął krótko głową, zszedł ze sceny i wrócił na swe miejsce w szeregu. Hilo splótł dłonie, oddając mu krótko honory.

– Przyjmuję wasze przysięgi. Od tej chwili połączyło nas braterstwo broni – oznajmił podniesionym głosem, zwracając się do wszystkich nowych członków klanu.

– Nasza krew dla filaru! – zawołał ktoś. Gdy Hilo zszedł ze sceny, kilka kolejnych głosów powtórzyło te same słowa. – Bez Szczytów! Bez Szczytów!

Anden odwrócił się w stronę tłumu, by sprawdzić kto pierwszy wzniósł okrzyk, ale wielki instruktor Le łypnął na zgromadzonych z dezaprobatą i uniósł ręce, nakazując zachować ciszę. Wszyscy absolwenci i wielu gości wychowali się pod jego ścisłą dyscypliną. Dlatego umilkli odrucho.

– A teraz... – zaczął wielki instruktor z wyraźną nutą dezaprobaty wobec przesadnie dramatycznego aktu składania przysięgi oraz reakcji tłumu – ...musimy nagrodzić absolwentów jadeitem, na który zasłużyli przez długie lata ciężkiej pracy, dyscypliny i ćwiczeń.

Z tyłu sceny ustawiono stół. Na jego blacie spoczywały cztery oddzielne grupy małych szkatulek. Wszyscy kierowali spojrzenia na instruktora Saina, gdy ten wziął w ręce szkatułkę z pierwszej grupy i ją otworzył.

– Au Satingya – przeczytał nazwisko wypisane na dolnej powierzchni wieka.

Po zakończeniu Testów wszyscy ósmoroczniacy zwrócili opaski ćwiczebne razem z umieszczonymi w nich jadeitami. Teraz otrzymają te klejnoty z powrotem – być może trochę więcej albo trochę mniej, zależnie od tego, jak wypadli na egzaminach. Każdy z czterech ułożonych na blacie stosów reprezentował stopień opanowania jadeitowych dyscyplin. Au Sati, który wszedł na scenę przy akompaniamencie uprzejmego aplauzu, dostał jeden klejnot zawieszony na łańcuchu. Wielki instruktor Le wyjął go ze szkatułki i zawiesił chłopakowi na szyi. Au zostanie palcem najniższej rangi albo – jeśli miał talent do rachunków – początkującym szczęściodawcą.

– Goro Gorusuto – wezwał następnego absolwenta instruktor Sain. Au oddał honory i zszedł ze sceny. Trwało to jakiś czas, aż wreszcie pierwsza grupa szkatulek się skończyła i pod sceną ustawiła się liczniejsza grupa absolwentów, którym przyznano po dwa klejnoty. Dla wielu zebranych tu młodych mężczyzn i kobiet otrzymane dzisiaj klejnoty będą jedyną zielenią, jaką będą mieli szansę nosić przez całe życie. Dla innych jednak będzie to jedynie początek. Dostaną jadeit przekazywany w rodzinach albo jako nagrodę od klanowych zwierzchników bądź też najbardziej prestiżowy ze wszystkich, zdobywany w walkach i pojedynkach.

Gdy pod sceną zaczęli się zbierać uczniowie wyższej rangi, którym przyznano po trzy klejnoty, Andena ogarnęła nerwowość tak wielka, że ledwie był w stanie na to patrzeć. Swoją jadeit otrzymał Dodo, a po nim Pau i Ton. Wszyscy uśmiechali się szeroko, gdy tylko wielki instruktor

wręczył im klejnoty i mogli dołączyć do kolegów czekających po drugiej stronie sceny. Liczba stojących na stole szkatułek zmniejszała się z każdą chwilą. W ostatnim stosie zawierały one nagrody dla najlepszych uczniów, zasługujących na maksymalną liczbę czterech klejnotów – tyle, ile mógłby nosić starszy rangą palec albo początkująca pięść, i więcej, niż była w stanie tolerować większość Kekończyków oraz wszyscy cudzoziemcy.

Po tym, przez co przeszedł Anden, noszenie takiej ilości jadeitu nie powinno sprawiać mu większych trudności. To byłby tylko chwilowy, dezorientujący przypływ energii, podobny do tych, których doświadczał podczas szkolenia, w niczym nie przypominałby potężnego, obezwładniającego haju, jaki przeżył pod Podwójnym Szczęściem. Mimo to jego palce zrobiły się zimne i odrętwiałe, a w żołądku poczuł ucisk głodu mieszającego się z instynktowną niechęcią. Wielki instruktor zaczął wyczytywać nazwiska ostatnich uczniów. Gdy Lott wyszedł na scenę i pochylił przed nim głowę, nagrodzono go szczególnie głośnym tupaniem. Anden słyszał głosy stojących obok absolwentów, już gratulujących sobie nawzajem i opowiadających, w co oprawią jadeity. Czy chcą mieć pierścionki na kciuki, klejnoty noszone w brwiach czy może inne kolczyki, umieszczone w bardziej śmiałych miejscach. Wreszcie została tylko jedna szkatułka.

– Emery Anden – przeczytał instruktor Sain.

Anden wstał i wszyscy umilkli. Nagle poczuł się, jakby śnił na jawie, świadomie znalazł się w fikcyjnym miejscu, w którym robił coś, nie wierząc, że to rzeczywistość. Nogi niosły go naprzód, podeszwy jego butów uderzały o stopnie, a gdy wreszcie znalazł się na scenie, ktoś zawołał:

– Kaul-jen!

Wybuchł aplauz.

– Kaul-jen! – powtarzano.

Anden zatrzymał się, sądząc, że widzowie mają na myśli Hila. Kiedy sobie uświadomił, że chodzi im o niego, do jego twarzy napłynęła fala gorąca. Mówią, że jestem Kaulem. Był sierotą mieszanej krwi, a oni stawiali go na równi z Lanem, Hilem i Shae. To był najwspanialszy komplement, jaki mógłby sobie wyobrazić. Poczuł się zażenowany. To nie była prawda. Nie był taki jak oni. Wielki instruktor Le uniósł srebrny łańcuch z czterema jadeitami, ale Anden cofnął się trwożnie, jakby w szkatułce był jadowity pająk.

– Nie – sprzeciwił się.

Wielki instruktor zamarł ze zmarszczonymi brwiami.

– Jak to nie?

– Nie... – wykrztusił Anden. – Nie chcę nosić jadeitu.

Przez wszystkie lata spędzone w Akademii nigdy nie widział na twarzy wielkiego instruktora takiej miny jak teraz. Jego siwe brwi przerodziły się w dwa nastroszone łuki, a naznaczona bruzdami twarz zamarła w bezruchu. Instruktor Sain i inni obecni na scenie nauczyciele popatrzyli z wyraźnym zdumieniem na siebie nawzajem. Żaden nie miał pojęcia, co powiedzieć. Absolwent nie chce przyjąć jadeitu? Coś takiego nigdy dotąd się nie wydarzyło.

Po chwili pełną zaskoczenia ciszę zmałyły szepty niedowierzania. Anden wpatrywał się we własne stopy, nie śmiąc przenieść wzroku w żadne inne miejsce. Zhańbił samego siebie, zhańbił Hila i Shae. Płonąc ze wstydu, splótł drżące dłonie i uniósł je do czoła, pochylając głowę w geście najgłębszych przeprosin, po czym odwrócił się i zszedł ze sceny, nie odzywając się ani słowem.

\*\*\*

Nigdy nie widział, by Hilo był tak wściekły i zmieszany. Filar podszedł prosto do niego, gdy tylko wielki instruktor pośpiesznie zakończył uroczystość, nie chcąc przeciągać krępującej chwili. Wystraszeni widzowie rozstępowali się pośpiesznie przed Hilem. Palce filaru zamknęły się na bicepsie Andena niczym szpony. Odciągnął niestawiającego oporu kuzyna od innych absolwentów, tworząc dystans kilku metrów między nimi a wpatrującymi się w nich licznymi gapiami. Odwrócił chłopaka gwałtownym ruchem, kierując go twarzą ku sobie.

– Co ty wyprawiasz?

Anden chciał coś powiedzieć. Otworzył usta, ale nic nie przychodziło mu na myśl. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego tak postąpił. Dłoń Hila nadal zaciskała się mocno na jego ramieniu i za jej pośrednictwem Anden wyczuwał jadeitową aurę kuzyna, przypominającą rój rozjuszonych szerszeni.



– Przepraszam – zdołał wykrztusić.

– Przepraszasz? – Przez moment Hilo nie był w stanie znaleźć słów. – O co tu chodzi, Andy? Co cię napadło? Zrobiłeś z siebie durnia na oczach klanu. Na oczach wszystkich zielonych kości, twoich braci. Zrobiłeś durnia ze mnie.

– Nie jestem taki jak ty, Hilo – wybuchnął Anden z bólem w głosie. Wszystko, czego się obawiał, cała niepewność tego, kim jest naprawdę, którą do tej pory tłumił dzięki intensywnemu szkoleniu i wierze w klan, wszystkie koszmary o wypełnionej zakrwawioną krwią wodzie i krzykach matki wypłynęły w jednej chwili z tej niewielkiej szkatułki na scenie, przewyciężając nawet straszliwą świadomość, że niszczy wszystko, czego pragnął w życiu. – Nie jestem kimś, kto powinien nosić jadeit. Komu jest to przeznaczone. Gdybym go dzisiaj włożył, pragnąłbym go coraz więcej, jak w chwili gdy zabiłem Gonta. Stałbym się gorszy niż moja matka, Szalona Czarownica. Wiem, że tak by było. Czuję to we krwi, bez względu na wszystko, co możesz powiedzieć. – Ledwie był w stanie zaczerpnąć tchu, by mówić dalej. – Mógłbyś podawać mi błysk, espeńską truciznę, która zabiła Lana, ale nie chcę tak żyć. Nie chcę być tym, czym próbujesz mnie uczynić...

– To znaczy czym? – zapytał gniewnie Hilo. – Zieloną kością? Członkiem naszej rodziny?

– Bronią – wyszeptał w odpowiedzi Anden.

Filar puścił go gwałtownie i odsunął się. Na jego twarzy uwidoczniła się mieszanina najrozmaitszych uczuć. Na pierwsze miejsce wysuwał się ból. Hilo otwierał szeroko oczy z zaskoczenia zadaną mu raną, jakby Anden wyciągnął nagle nóż i ciął go w policzek. Za plecami filaru chłopak zauważył zbliżającą się Shae. Kehn i Wen szli za nią, ale zatrzymali się w pewnej odległości, żeby nie wtrącać się do rozmowy.

Hilo postąpił krok naprzód, uniósł ręce i złapał kuzyna za ramiona. Anden wzdrygnął się pewien, że zaraz padną ciosy.

– To moja wina, Andy – rzekł jednak Hilo spokojnym, choć usilnie kontrolowanym głosem. – Ta walka... to było zbyt wiele i za wcześnie. A potem wyładowałeś w szpitalu. To mogło cię przestraszyć. Sam się przestraszyłeś swoimi myślami, ale to ja jestem winien. Musiałem to zrobić. Potrzebujemy cię. Nie poradziłbym sobie sam, bez ciebie nie uratowałbym klanu. Nadal jesteś nam potrzebny.

Anden znowu się zarumienił. Dręczyło go poczucie winy. W cichych słowach Hila słyszał zarówno błaganie, jak i wyrzut.

– Upokorzyłeś nas obu, ale wiem, że nie zrobiłeś tego celowo. Nie będę miał ci tego za złe. Znajdźmy razem wielkiego instruktora Le i weźmy od niego twój jadeit. Pracowałeś na niego przez te wszystkie lata. Zapomnijmy o tym, co się wydarzyło, i zróbmy to, jak trzeba. Jesteś członkiem tej rodziny, Andy. Wychowano cię na zieloną kość.

Nastolatek poczuł, że jego determinacja słabnie, ale po chwili potrzęsął głową.

– Mam za wielką wrażliwość na jadeit. To czyni mnie zbyt potężnym. Zabijanie sprawia mi zbyt wielką przyjemność. – Przełknął z wysiłkiem ślinę. – Góra już wie, jak poważne zagrożenie stanowią. Jeśli będę nosił zieleń, Ayt robi wszystko, co w jej mocy, żeby mnie załatwić, i ciągle będę musiał zabijać, tylko po to, żeby pozostać przy życiu... – Słowa wypływały mu z ust pełnym desperacji strumieniem. – A za każdym razem, gdy pozbawiam kogoś życia, sprawia mi to więcej przyjemności, coraz więcej i więcej. Będę zdobywał wciąż nowy jadeit i na koniec nie pomoże mi cały błysk na świecie. Wiem, że tak będzie.

Hilo uniósł ręce nad głowę.

– Góra pragnęła mojej śmierci od lat! Śmierć i szaleństwo zagrażają nam cały czas, ale robimy, co w naszej mocy, żeby jakoś sobie z tym sobie poradzić! Myślisz, że w zeszłym tygodniu było mi łatwiej niż tobie? Kurwa, musiałem przejść przez objawy odstawienia jadeitu, kiedy ledwie trzymałem się życia, a potem ocknąć się i znowu być cholernym filarem. – Podniósł głos, ale zapłamał nad sobą z wyraźnym wysiłkiem. – Moc czyni cię celem, fakt, że jesteś Kaulem, czyni cię celem, ale zielona kość nigdy nie odwraca się plecami do swojej rodziny i swego klanu. – Blask w poszerzonych źrenicach Hila wyglądał niebezpiecznie. – Zastanów się nad tym, co robisz, Andy.

Shae podeszła do nich.

– Decyzja należy do Andena, Hilo – odezwała się cichym, stanowczym głosem przesyconym zimnym wyrzutem kierowanym pod adresem brata. – Ukończył naukę i złożył przysięgę. Jest teraz mężczyzną.

– Komu twoim zdaniem składa się przysięgi? – sprzeciwił się Hilo. – To są klanowe przysięgi, składane filarowi. One kierują tym, jak żyjemy i umieramy. Jeśli to zrobisz, Andy, zdradzisz mnie osobiście. – Na twarzy Hila pojawił się straszliwy grymas. – Jak mogłeś powiedzieć, że próbuję cię uczynić bronią? Jakbym cię nie kochał i nie uważał za młodszego brata, jakbyś był dla mnie tylko narzędziem? Jak mogłeś tak powiedzieć? – Cofnął się o krok. Barki mu drżały, jakby powstrzymanie się przed zamordowaniem odrażającego kuzyna sprawiało mu fizyczny ból. Jego twarz i głos stały się nagle zimne i przesycone pogardą. – Jeśli to zrobisz, przestaniesz być członkiem rodziny.

– Hilo – wysyczała Shae. Sprawiała wrażenie gotowej go uderzyć. – Przestań.

– Hilo-jen... – błagał Anden, czując nagły chłód.

– Zejdź mi z oczu – zażądał Hilo. – Zejdź mi z oczu! – ryknął, gdy kuzyn go nie posłuchał.

– Nie chcę cię już nigdy oglądać, ty niewdzięczny, zdradziecki kundlu!

Wstrząśnięty Anden zatoczył się do tyłu. Siła furii filaru stłumiła wszystkie słowa, jakie mogłyby się wyrwać z jego gardła. Odwrócił się i uciekł.

\*\*\*

Nie przestawał biec, aż wreszcie opuścił tereny Akademii. Zdarł z siebie szatę absolwenta i rzucił ją na ziemię, a potem pędził dalej, w spodniach wyprasowanych w kant i cienkiej koszuli. Pobrudził je, przedzierając się przez chaszczki w Parku Wdowy, nie wiedząc, dokąd zmierza. Biegł, aż łzy wypełniły mu oczy, a jego płuca i nogi płonęły ze zmęczenia. Wreszcie zwolnił. Potykał się i obijał o drzewa, jakby mógł uciec przed tym, co się wydarzyło, zostawić w lesie swój wstyd.

Gdy wyszedł na ulicę, zorientował się, gdzie jest, i znowu zaczął biec. Za dnia bramy cmentarza były otwarte. Przemknął bliski płaczu obok usianego grobami zbocza i osunął się na ziemię przed nagrobkiem Lana u stóp rodzinnego grobowca Kaulów.

– Wybacz – wydyszał, drżąc. Na chłodnym wietrze przepełniona koszula lepiała mu się do ciała. Zaczął padać deszcz. Jego wielkie krople rozpryskiwały się na okularach chłopaka i zwilżały mu włosy. Padały też na jasnozieloną marmurową płytę, niemalże upodabniając ją barwą do brudnego jadeitu. – Wybacz mi, Lan.

Anden usiadł i zalał się łzami.

Po minutach czy może po godzinach zjawiała się Shae. Przyniosła czarną parasolkę i rozpostarła ją nad nim, pozwalając, by deszcz padał na jej nieosłoniętą głowę. Stała obok Andena, wpatrując się w miejsce ostatniego spoczynku ich rodziny.

– Byłby z ciebie dumny – stwierdziła rzeczowo. – Zawsze myślał o tobie z dumą.

## Rozdział 57

### Przebaczenie

Dwa tygodnie później do biura prognostyka na Statkowej dostarczono list. Adresu zwrotnego nie było, ale Shae wiedziała, kto go napisał, gdy tylko zobaczyła małe, pionowe litery napisane na kopercie niebieskim atramentem. Usiadła za biurkiem, dotykając rogów sztywnej koperty, po czym rozdarła ją i przeczytała list.

*Najdroższa Shae-se. Nie potrafię Ci powiedzieć, jak bardzo żałuję, że musiałem zdradzić Twoje zaufanie. Zawsze wykonywałem wszystkie rozkazy Kaul-jena i mogę powiedzieć, że to nadal jest prawda. Zakładam, że oboje z Hilem ciągle mnie poszukujecie, i nie oczekuję współczucia ani łaski, gdybyśmy spotkali się znowu.*

*Uważaj, co teraz zrobisz. Hilo może sądzić, że wygrał, ale Góra nie pozwoli tak łatwo zepchnąć się do morza. Nie mogę zrobić nic, by zmienić los Twojego brata albo biednego Andena, ale serce przeszywa mi ból na myśl, że coś złego może przydarzyć się Tobie. Uznaj moje słowa za szczerą ostrzeżenie od kochającego wujka: Przygotuj plan szybkiej ucieczki z Kekonu. Musisz to zrobić sama. Zachowaj trochę pieniędzy i użyj swych espeńskich koneksji, żeby nikt w klanie o niczym nie wiedział. Dobry prognostyk zawsze czyta w chmurach.*

*Z wyrazami szczerego żalu*

*Yun Dorupon*

Obróciła się powoli na krzesło i wyjrzała przez okna na miasto. Nadeszła już ciepła wiosna. W powietrzu unosił się rzadki smog, słychać było odgłosy ruchu drogowego oraz hałasy dobiegające z portu, a także głośnie sapanie klimatyzacji. Nagle poczuła się bardzo świadoma siebie, ciała i krwi, oddechu i aury, składających się na jej fizyczne jestestwo. Znajdowała się w gabinecie należącem przez wiele lat do autora listu, który przed chwilą przeczytała.

Ona i jej rodzina nadal żyli, choć przed kilkoma tygodniami była pewna, że nie doczekają tego dnia. Klan Bez Szczytów poważnie ucierpiał i nadal nie przestawał cierpieć, ale bronił się nieustępliwie, podobnie jak zielone kości, od stuleci broniące swego życia i swoich zwyczajów. Przeczytała list raz jeszcze, po czym przystawiła zapalniczkę do jego rogu i przyglądała się, jak płonie w popielniczce. Nie ucieknę, Doru, nie tym razem. Przyjdę po ciebie.

Brunch, który zjedli siódmego dnia w Podwójnym Szczęściu, nie był tak radosny, jak za dawnych czasów. Niemniej odzyskali panowanie nad Dzielnicą Portową, przemoc na ulicach osłabła, a do wielu popularnych portowych lokali wracali klienci. Shae i Hilo siedzieli naprzeciwko siebie w boksie, daleko od reszty gości. Wózek Kaul Sena przytoczono do końca stołu. Siedząca obok Kyanla poprawiła serwetkę na kolanach starca. Wen nie mogła dziś być z nimi. Kilka razy tygodniowo chodziła na lekcje espeńskiego w Miejskim College'u Janlońskim, by móc podróżować za granicę, czego wymagała jej nowa praca.

Shae nałożyła dziadkowi na talerz trochę kielbasy i marynowanych jarzyn. Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak podziękowanie, i pogłaskał ją po dłoni. Zostały jej teraz tylko takie krótkie chwile, drobiazgi przypominające rodzinnego patriarchę, którego podziwiała i kochała, człowieka, uważającego ją za zieloną kość równie dobrą jak jej bracia. Momenty jasności myśli zdarzające się Kaul Senowi mogły być jedynie iluzją, podobnie jak pokój, który nastał obecnie w Janloonie, ale ich kruchość sprawiała, że cieszyła się nimi tym bardziej.

Góra się wycofała, wzmocniła obronę w Parku Letnim, Grocie oraz innych południowych dzielnicach stanowiących centrum jej terytorium. Krążyły pogłoski, że Ayt Mada mianowała nową pięść. Nie był to Waun Balu, pierwsza pięść Gonta, jak spodziewali się prawie wszyscy, w tym również Hilo. Udała się do Szkoły Świątynnej Wie Lon, leżącej poza Janloonem, i zwerbowała jed-

nego z dawnych wojowników swego ojca, Nau Sena. Nau od dwóch lat wiódł spokojne życie starszego instruktora w Wie Lon. Uważano, że była to nagroda od klanu za to, że udzielił Ayt Madzie pełnego wigoru poparcia w walce o pozycję filaru, między innymi z godną podziwu skwapliwością podrzynając gardło Ayt Eoda. Ponoć był mistrzem Postrzegania.

Shae starała się cieszyć posiłkiem i choć na chwilę zapomnieć o wojnie. Hilo siedział naprzeciw niej, jedząc chrupiące kotleciki z kalmarów.

– Dla nich warto było zrobić to wszystko – oznajmił.

Uśmiechał się, ale w jego oczach nie widziało się wesołości. Starał się okazywać optymizm, lecz Shae nie dała się nabrać. Gont i jego ludzie zadali mu obrażenia tak ciężkie, że choć minęło już wiele tygodni, nadal regularnie odwiedzał doktora Truw i łatwo się męczył z powodu odniesionych ran. Nie to jednak było przyczyną jego złego nastroju. Jej brat wdział płaszcz urazy. Wypełniał go zapiekły resentyment, często przeradzający się w gniew albo w zwątpienie w siebie. Uratował klan, ale stracił kolejnego brata.

– Powinieneś mu wybaczyć – rzekła mu. – Nawet jeśli on jeszcze nie potrafi wybaczyć tobie.

Przyszło jej na myśl, że w tym, iż podobne słowa popłynęły z jej ust, kryje się wielka ironia. Były czasy, kiedy sądziła, że już nigdy nie będzie chciała rozmawiać z Hilem, a teraz zostali filarem i prognostyczką klanu.

Nie potrafiła wydobyć z brata żadnej reakcji na liczne wspomnienia o Andenie. Tym razem również na nią nie spojrzął ani nic nie powiedział. Nie zaprzestawała prób. Upłynęło niewiele czasu. Lan mówił jej, że po tym, jak wyjechała do Hiszpanii, nie chciał o niej mówić przez sześć miesięcy.

– Nie chcesz się dowiedzieć, gdzie jest? Czy jest bezpieczny?

O to przynajmniej zadbała.

– Nie – odpowiedział Hilo.

Każda reakcja była krokiem naprzód. Nie naciskała na niego więcej. Zostawiła kuzyna – złamanego, ale spokojnego – na plaży za chatą matki i porozmawiała z Wen, która pomówiła z Kehnem, prosząc go, by wysłał dyskretnie do Marenii dwóch godnych zaufania strażników.

Pan Une podszedł do ich stolika, pochylając się i powłócząc nogami. Lewą połowę głowy spowijał mu gruby bandaż. Trzymał w rękach maleńką czarną szkatułkę z drewna, a wymuszony uśmiech raczej nie maskował jego skrajnej nerwowości.

– Jesteście zadowoleni, Kaul-jenowie? – zapytał.

Hilo wyrwał się z ponurego zamyślenia i uśmiechnął się szeroko do restauratora.

– Panie Une, z pewnością wiesz, jak bardzo się cieszę, że znowu mogę odwiedzać jeden za swych ulubionych lokali.

Właściciel Podwójnego Szczęścia zarumienił się i zgiął w pół. Postawił szkatułkę na blacie przed Hilem, jakby pokornie ofiarował mu specjalne danie z kuchni. W pudełku znajdowało się jednak jego lewe ucho. To było błaganie o łaskę filaru, prośba o wybaczenie przejścia na stronę Góry.

– Mam nadzieję, że będę mógł dalej ci służyć, Kaul-jen – oznajmił nieco drżącym głosem. Otarł czoło i pokłonił się także Shae i Kaul Senowi, kierując swe błaganie również do nich.

Hilo położył dłoń na szkatułce i delikatnie odsunął ją na bok. Pan Une wyraźnie oklapł z ulgi. Dotknięcie pudełeczka było oznaką akceptacji filaru.

– Wszystko jest wybaczone, przyjacielu – oznajmił z powagą Hilo. – Czasami nawet najbardziej lojalni i oddani ludzie popełniają błędy, jeśli są zmuszeni podejmować decyzje w straszliwych okolicznościach.

– Tak, Kaul-jen – zgodził się z całego serca pan Une. Splótł dłonie i raz po raz dotykał nimi czoła, cofając się od stolika. – To szczerza prawda.

Shae zauważyła, że dziadkowi zaczyna opadać głowa.

– Kyanlo, zawieź Kaul Sena do domu – poleciła. – Hilo i ja wrócimy później.

Kyanla otarła serwetką usta patriarchy i oddaliła się z nim od stołu. Gdy jego wózek przejeżdżał przez salę, wszyscy umilkli. Niektórzy wstali i unieśli splecione dłonie, z szacunkiem oddając honory staremu Płomieniowi. Gdy Kaul Sen i jego opiekunka opuścili lokal, niektóre osoby zaczęły wstawać z miejsc i kolejno podchodzić do Hila oraz Shae.

– Kaul-jenowie, mieszkamy w pobliżu Podwójnego Szczęścia i to nasz ulubiony lokal, ale

nigdy tu nie przychodziliśmy, gdy rządziły nim te psy – zapewnił pan Ake, ojciec dwóch palców. – Bardzo się cieszymy, że w naszej okolicy przywrócono pokój.

Następnie pojawiło się małżeństwo, pan i pani Kino. Shae ich znała. Oboje byli szczęściowcami w jej biurze. Włożyli kopertę pod jej talerz.

– Żeby pomóc panu Une zapłacić daninę w tym miesiącu – wyjaśnili. – Wiemy, że klan wesprze go w naprawieniu uszkodzeń okien oraz dywanu.

W sali wyczuwało się wyraźną ulgę. Wentylatory pod sufitem obracały się powoli w parnym powietrzu napływającym z portu patrolowanego przez Kehna i jego ludzi. Klienci Podwójnego Szczęścia zauważyli bandaż na głowie pana Une, a teraz również szkatułkę stojącą na stole obok Hila. Ucieszyli się na myśl, że filar okazał łaskę i ponownie przyjął restauratora pod swoje skrzydła. Odzyskali poparcie latarników, a Espeńczycy płacili im za jadeit. Shae pozwoliła sobie na odrobinę niepewnego optymizmu. Być może okrutna wizja Ayt – jeden klan władający Janloonem – się spełni, ale nie w taki sposób, jak pragnęła tego filar Góry.

Hilo przyjmował wyrazy szacunku z czymś przypominającym typowy dla niego dobry humor.

– Jedzcie, proszę – odezwał się po chwili. – Musimy z siostrą omówić pewne sprawy.

Kolejka lojalistów rozproszyła się, wracając do stolików. Filar i prognostyczka zostali sami, by dokończyć posiłek i porozmawiać o problemach klanu.

## Epilog

### Zawsze trafiają się okazje

Gdy Bero po raz pierwszy przyszedł na grób, siedział przy nim jakiś młody mężczyzna. Długo nie ruszał się z miejsca, ale potem Bero i Mudt wrócili nocą i na niesamowitym wzgórzu nikogo nie było. Bez trudu znalazł właściwe miejsce. Z uwagi na brak przestrzeni, większość Kekończyków kremowano, a ich prochy umieszczano w grobowcach. Niewiele rodzin mogło sobie pozwolić na place na cmentarzu i wielkie marmurowe pomniki.

Kaul Lanshinwana pochowano obok jego bohaterskiego ojca. U podstawy nagrobka wierni członkowie klanu pozostawili bukiety wiosennych kwiatów, miseczki z woskowanymi owocami oraz wypalone już pałeczki kadzidła w wypełnionych piaskiem kubeczkach. Pod nazwiskiem i datami wykutymi w marmurze umieszczono tylko dwie linijki tekstu:

ukochany syn i brat  
filar swego klanu

Mudt splunął gwałtownym ruchem na grób i spróbował rozrzucić kopniakami leżące na ziemi przedmioty, ale Bero odciągnął go na czas.

– Nie bądź idiotą – wysyczał – Chcesz, żeby kazali pilnować grobu?

Chłopiec wyrwał się z uścisku, ale nie próbował już powodować szkód. Wsadził ręce do kieszeni i rozglądał się po skąpanym w blasku księżyca cmentarzu z ponurą, niespokojną miną. W końcu okradanie grobów karano śmiercią.

Bero przykucnął i przesunął otwartymi dłońmi wzdłuż podstawy pomnika. Następnie przycisnął je do porośniętej trawą ziemi. Przysunął policzek tak blisko powierzchni, że czuł intensywny zapach wilgotnej gleby. Ponad metr niżej leżało ciało człowieka, którego zabił. Bero był pewien, że pochowano je z jadeitem. Ten jadeit prawnie należał się jemu. Teraz, gdy zgromadził wielki zapas błysku i wojna klanowa osłabła do tego stopnia, że życie w Janloonie niemalże wróciło do normy, mógł znowu spróbować szczęścia.

W tym mieście zawsze trafiały się okazje.

## Podziękowania

Od samego początku *Miasto jadeitu* było ambitnym, zrodzonym z pasji projektem. Od czasu do czasu popadałam w rozpacz, nie wierząc, że potrafię mu sprostać. Nie traciłam jednak nadziei, że moje zdolności wystarczą, by odzwierciedlić na kartach książki wszystko, co tak wyraźnie żyło w mojej wyobraźni. Jeśli udało mi się odnieść sukces z książką, którą przed chwilą przeczytaliście, w znacznej mierze zawdzięczam to wsparciu innych.

Po przeczytaniu pierwszej wersji tej powieści mój agent, Jim McCarthy, nie tylko zachęcał mnie do dalszych wysiłków, lecz również udzielił mi rad tak wnikliwych i użytecznych, że napisałam do niego: „Miałeś cholerną rację w każdym punkcie. Mam nadzieję, że uda mi się to zrobić”. Udało się. Dziękuję Ci po raz kolejny, Jim.

*Miasto jadeitu* nie mogłoby mieć lepszego adwokata niż Sarah Guan z wydawnictwa Orbit. Wiedziałam, że znalazłam się w dobrych rękach, gdy Sarah nie tylko natychmiast „załapała”, co chciałam osiągnąć, ale też oddała się ze mną zachwycającej zabawie wymyślania wymarzonej obsady aktorskiej. Miałam ogromne szczęście, że trafiła mi się tak bystra redaktorka, kierująca moją pracą i udoskonalająca ją.

Na wdzięczność zasługują też Tim Holman i Anne Clarke, za to, że wprowadzili cały cykl do rodziny wydawnictwa Orbit; moja brytyjska redaktorka Jenni Hill, za zachwalanie go na wyspach i gdzie indziej; Alex Lencicki, Ellen Wright i Laura Fitzgerald, za wywołanie marketingowej burzy; Lauren Panepinto i Lisa Marie Pompilio, za fantastyczny wygląd, jaki nadały książce; Gleni Bartels, za zwracanie uwagi na wszystkie szczegóły produkcji; oraz Kelley Frodel, za sokole oko korektorki. Tim Palu, który zamienił moje proste szkice Kekonu i Janloonu w piękne mapy. Z pewnością są też inni, którzy zasługują na wzmiankę. Dziękuję Wam wszystkim.

Nic nie zastąpi wiarygodnych czytelników wersji beta. Curtis Chen, Vanessa MacLellan, Carolyn O’Doherty i Sonja Thomas wielokrotnie zamieszali mi w głowie, próbując zmienić tę książkę w coś, czymś powinna być. Wszystkim towarzyszom z warsztatów pisarskich Viable Paradise XVIII dziękuję za wsparcie i współczucie na Slacku. Należy również wymienić tych, którzy czytali i krytykowali pierwsze rozdziały gotowego tekstu, gdy już się pojawiły. Są to Amanda Helms, Annaka Kalton, Renee Melton, Benjamin C. Kinney, Steve Rodgers, Shveta Thakrar, a zwłaszcza Jesse Stewart, który kilka razy jasno mi oznajmiał, że mam skończyć książkę.

Kolejnymi zasługującymi na wdzięczność osobami są Elizabeth Bear, Tina Connolly, Kate Elliot, Mary Robinette Kowal, Ken Liu, Scott Lynch oraz Fran Wilde, wielokrotnie służący mi wsparciem i radą. Moi przyjaciele pisarze, z którymi jadałam obiady i spotykałam się na konwentach albo utrzymuję z nimi kontakt w sieci. Jesteście dla mnie źródłem inspiracji i motywacji. Nadal przeszywa mnie dreszcz, gdy widzę swoje książki na półkach księgarń, a tymi, którym jestem szczególnie wdzięczna, są Powell’s w Portland i University Bookstore w Seattle, gdzie urządzono premierę mojej książki.

*Miasto jadeitu* jest połączeniem wschodnich i zachodnich wpływów. Z jednymi i drugimi zapoznał mnie ojciec. Nie pamiętam, kiedy dokładnie stałam się fanką gangsterskich sag i filmów kung-fu, ale z pewnością odegrał w tym znaczącą rolę. Jestem również winna wdzięczność mojemu mężowi, Nathanowi, który dobrowolnie i na własne ryzyko zgodził się być zarówno surowym krytykiem, jak i współczującym słuchaczem, zależnie od tego, czego w danej chwili potrzebowałam. Na koniec poświęcam tę książkę Ardenowi, najlepszemu bratu, jakiego mogłabym mieć. Porozumiewamy się ze sobą znacznie lepiej niż Hilo i Shae.

Jestem również bardzo głęboko wdzięczna Wam, Czytelnicy.

*Fonda Lee*

# Kekon





